

31206

HISTORIA

PILOTY I ODKRYCIE

AMERYKI

W 1492 ROKU

PRZEZ KRYSTOPHERA KOLUMBUSA

WYDAŁ DZIAŁO I TRANSDUKCJO

WYDAŁ

Wydawnictwo Naukowe PWN



WARSZAWA

W Drukarni Państwowej Polskiej

WYDAWCA

CENNIK ul. Twarda 51/55

tel. 22 62-76 773



HISTORJA PODRÓŻY I ODKRYĆ

DOKONANYCH

NA MORZU I LĄDZIE

OD POCZĄTKU XV. WIEKU AŻ DO DNI NASZYCH.

PRZEŁOŻONA Z FRANCUZKIEGO

PRZEZ

Wojciecha Szymanowskiego.



WARSZAWA.

W DRUKARNI BANKU POLSKIEGO.

1842.

CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5154151

hist. odkryc geograf.

ALSOFT

FORBROXY I ODKRYW

DEKONZERT

NA KORBIE I LADIE

OP FOCATVE ZE ... DO DNI NASZYCH



REKONSTRUKCJA I ...

31206

Instytut Szymonowski



WARSZAWA

W Drukarni Bazaru Polskiego

1882

R 8968

J A Ś N I E W I E L M O Ź N E M U

P I O T R O W I

E L J A S Z E W I C Z

D Y R E K T O R O W I P R Z Y B O C Z N Ę J K A N C E L A R J I

N A M I E S T N I K A

J E G O C E S A R S K O - K R Ó L E W S K I Ę J M O Ś C I

W K R Ó L E S T W I E P O L S K I E M

Hammer

P R A C Ę S W Ą W H O L D Z I E U S Z A N O W A N I A

P O Ś W I Ę C A

T Ł U M A C Z

Handwritten signature or scribble at the top of the page.

FASTER WITH HONOR

PROBATION

ALL RIGHTS RESERVED

THE NATIONAL ARCHIVES

RECORDS

GENERAL INVESTIGATIVE DIVISION

WASHINGTON, D.C.

1950

U.S. GOVERNMENT PRINTING OFFICE

1950

1950

HISTORJA

PODRÓŻY I ODKRYĆ

DOKONANYCH

NA MORZU I LĄDZIE

OD POCZĄTKU XV WIEKU, AŻ DO DNI NASZYCH.

ROZDZIAŁ I.

PIERWSZE ODKRYCIA PORTUGALCZYKÓW.

Rzeczy pospolite włoskie. — Morska ich wyższość w średnich wiekach. — Postępy żeglugi. — Odkrycie żelaza magnesowej. — Domysły iż pierwiej już znana była Chinczykom i Arabom. — Pierwsza wzmianka że ją Europejczyk odkrył. — Hiszpanie przyzwyczajają się do zbytków wschodnich. — Ich wojny z Maurami. — Powody skłaniające do szukania przez morze drogi do Indji. — Portugalczycy czynią pierwsze próby. — Don Henryk. — Odkrycie Puerto. — Santo i Madery. — Historia Machama. — Osiedlenie wysp Kanaryjskich. — Przylądek Bojador opłyniony. — Jency wykupieni za proszek złoty. — Podróż Kada-Mosto. — Mieszkańcy wysp Kanaryjskich. — Maurowie z pustyni. — Okreta brane za duchy. — Handel soli u Murzynów. — Senegal. — Król Budomel. — Jego zdania religijne. — Opis kraju przyległego Zielonemu przylądкови. — Śmierć Don Henryka. — Jego przyzioty.

Nieprzerwany ciąg ważnych wypadków, zwrócił w średnich wiekach baczość narodów europejskich na Wschód. Grecja i Włochy nigdy zupełnie nie straciły z uwagi korzyści, jakie im mógł zjednać handel z Indjami. Chociaż krucjaty koniecznie musiały wzniecić wielkie zaburzenia i dotkliwą zrodzić nędzę, w krajach, w których brały początek, głównym skutkiem jednak ich było rozprzestrzenienie zakresu wyobrażeń ludzkich, i rozszerzenie w Europie znajomości wszystkich zbytkowych przedmiotów rozmaitych krain wschodnich. Złe, spowodowane na ówezas przez wyprawy wyczerpujące zasoby, i opóźniające wewnętrzne rozwinięcie ludów europejskich, zostało później nagrodzone skutkami sto-

sunków, jakie zawiązały się pomiędzy krajami tak oddalonymi od siebie. Uporczywość, z jaką władcy Zachodu trwonili swe skarby, aby wydrzczyć ziemię świętą z rąk niewiernych, korzystną się stała szczególnie dla Wenecji, i innych państw morskich włoskich, które same mogły przewozić wojska i dostarczać im wszelkich potrzeb, do wykonywania działań. Ow wzrost bogactw, w głównych rzeczach pospolitych włoskich, nadał nowy popęd i korzystny kierunek ich kupieckiej czynności, i przyczynił się do wznieśienia ich na ów wysoki stopień pomysłowości żeglarskiej, który nie zadługo zwrócił na siebie uwagę i obudził współzawodnictwo niektórych potężnych królestw.

Chociaż przerywały działania handlowe, wojny ciągle prowadzone przez zawistne sobie państwa Genui i Wenecji, spowodowały jednak bezpośrednio i ważne rezultata. I tak, gdy walczyły pomiędzy sobą o pierwszeństwo na morzu, sztuka budowania okrętów wielkie poczyniła postępy, a te ulepszenia, z jakich morze Adriatyckie pierwsze korzystało, niezadługo doszły aż do najdalszych wybrzeży Europy Zachodniej.

Taka kraina jak Włochy, gdzie szlachta nawet poświęcała się handlowi, a wszystkie sztuki tyżące się żegluga, w jak największym były wzięciu, musiała naturalnie odkryć, lub udoskonalić użytek narzędzi najpotrzebniejszych dla żeglarzy w ich podróżach. Pomiedzy wypadkami najbardziej odznaczającymi ową epokę postępu, trzeba wspomnieć szczególniej o wynalazku igły magnesowej, dokonany według powszechnego zdania, około roku 1302, przez Flawiana Gioja, zrodzonego w Amalfi, dość znacznym i handlowym mieście państwa Neapolitańskiego: Oschle i niedokładne opowiadania dziejopisów ówczesnych, nie dostarczają nam żadnych szczegółów o życiu tego sławnego człowieka, i okolicznościach które przygotowały lub towarzyszyły temu odkryciu, niepodobna więc z pewnością uważać go za tworcę kompasu, mniej lub więcej znanego już od wieku.

Cudowny przymiot, który magnes posiada, przyciągania żelaza i własność obracania się zawsze ku północnemu biegunowi, nieuszedł postrzeżeń pierwszych filozofów greckich. Niektórzy z nich, niemogąc fizycznym wpływem wytłumaczyć owej niedosiętej tajemnicy natury, osmielili się twierdzić, że magnes posiada duszę, przypuszczenie widocznie ugruntowane na owym zdaniu, że tylko istota duchowa może działać na ciało będące w niej jakiej odległości, niepotrzebując mieć z niem bezpośredniej styczności. Biegunowość magnesu, to jest własność jego obracania się zawsze ku biegunom ziemi, gdy jest wolno zawieszony w po-

wietrze, niebyła znaną starożytnym, lub przynajmniej żadnego z niej nie czynili użytku.

Niektórzy twierdzą, iż Chińczykowie znali magnes na kilka wieków przed erą chrześcijańską; mniemanie to opiera się jedynie na kilku ciemnych przytoczeniach, znajdujących się w pismach ich najdawniejszych pisarzy. Chińczykowie nie czynili nigdy żadnego postępu w sztuce żeglarskiej; przypuściwszy nawet iż znali własności magnesu i korzytki do których można go zastosować, kiedy jednak nigdy nieumieli zręcznie używać kompasu, niepodobna, bez najmocniejszych dowodów, przypisywać im zaszczyt tego wynalazku.

Człowiek, krok tylko za krokiem i stopniowo wznosi się do wielkich odkryć; gdy też najwyższego dosięgnie szczytu odwróciwszy się ujrzy jak małą przestrzeń przebiegł, najmocniej wierzy, iż koniecznie musi stanąć u kresu, przebiegnąwszy już jakąś część drogi, a jednakże dzieje sztuk aż nadto dowodzą, jak wielki przedział dzieli pierwsze użyteczne odkrycia od ich ostatecznego wydoskonalenia.

Twierdzą, iż Arabowie używali, podobnie jak Chińczykowie, kompasu, do kierowania się przez owe niezmierzone piaszczyste pustynie, dla większej pewności, iż w godzinach modlitwy, obracają twarz ku Mekce. Żegluga jednakże czyniła zawsze powolne postępy, podobnie u Arabów jak i u innych narodów i niepozyskała nigdy owej przedsiebieczej śmiałości, jaką tak szczęśliwe odkrycie byłoby bez wątpienia natchnęło lud żeglarski. W szesnastym nawet wieku, gdy Portugalczycy pierwszy raz zwiedzili morza Indyjskie, przekonali się, iż Arabowie, którzy wówczas byli głównymi żeglarzami na tych morzach, kierowali się jedynie podług biegu gwiazd, lub opływając nadbrzeża, zupełnie nieznając użycia kompasu.

Niektórzy dziejopisowie wspominają, że król Salomon i Hebrajczycy znali kompas, który wedle innych, znany był także ludostajczykom. Lecz pominawszy owe niczem nieugruntowane domniemania, można przypuścić, iż na

Wschodzie odkryty ten wynalazek, podobnie jak wiele innych pożytecznych, długo tam niejako rośliniał niedoszedłszy owęj doskonałej dojrzałości, która sama nadać mu może wykonawczą użyteczność. Zjawiska przyrody są również częste i widoczne w Chinach jak we Włoszech, a zarody wszystkich sztuk i nauk, obficie były rozsiane w całej naturze, pierwój nim je upłodnił jensz zachodu i niejako życie im nadał.

Chociaż przywłaszczony sobie przez nich zaszczyt wynalazku igły magnesowej, zupełnie im przypisany być nie może, mamy jednakże wielkie powody do mniemania, że Arabowie znali pierwsze zarody tego odkrycia. Najdawniejszy z europejskich pisarzy, który wspomina o igle magnesowej w swoich dziełach, jest Gujot z Prowinu, trubadur, czyli poeta Prowancki, który czas niejakiś przepędził na dworze Fryderyka Rudo-brodzigo, roku 1181. Poeta ów, nietylko nadmienia o magnesie i podwójnej własności jaką tenże posiada, obracania się ku biegunowi północnemu i pozostawania zawieszonym; lecz dodaje, iż magnes służy żeglarzom do kierowania się po Oceanie.

Roku 1204, Kardynał Witry, wzmiankuje o nim powtórnie i to wyraźnie, jako o dobrze znanym przewodniku majtków. Od połowy trzynastego wieku, używanie igły magnesowej upowszechniło się ogólnie pomiędzy żeglarzami hiszpańskimi. A że dowiedziono jest dzisiaj, że nanka i poezya trubadurów, podobnie jak wszystkie postępy, które naród hiszpański uczynił w trzynastym wieku, w sztukach i naukach, biorą swój początek od cywilizacji maurytańskiej, można zatem wnosić, że lud ten znał igłę magnesową.

Włście, datowanym 1269, Piotr Adziger, doktor niemiecki, opisuje starannie i ze wszelkimi szczegółami układ igły magnesowej, czyli bussoli; a nade wszystko wzmiankuje o jej niewytłumaczonej dążności kierowania się bezustannie ku północnemu biegunowi. Oczywiście więc jest rzeczą, iż Goja uważany być powinien, nie za wynalazcę onęj, lecz po prostu [za uczone-

go który pokazał do czego użytą być może. Jednakże zmiana którą to narzędzie miało zdziałać w sztuce żeglarskiej, nie była chwilową, gdyż żeglarze przyjęli ją początkowo, raczej jako pożyteczną towarzyszkę, niżeli przewodniczkę jedyną.

Widzieliśmy, w opowiadaniu Żenigo, że w czternastym wieku, żeglarze skandynawscy używali igły magnesowej, w swych wycieczkach po morzach zachodnich. Wielkie morskie rybolówstwa na morzach północnych, były wówczas, również jak za dni naszych, główną szkołą, w której kształcili się, biegli i śmieli żeglarze; one spowodowały także ściśle stosunki, pomiędzy miastami anżeatyckimi, i handlowemi rzeczami-pospolitemi włoskimi. Nie trzeba się też bynajmniej dziwić, że wszystkie postępy, jakie Włosi czynili w sztuce budowania statków i żegludze, przechodziły natychmiast do ludów północnych, i że w piętnastym wieku, już budowano w portach Anglii, statki, równe wielkością i trwałością, sławnym statkom weneckim.

Pomiędzy wypadkami, których ważny wpływ nadał kierunek czynnościom Europy Zachodniej, nienależy pominąć wojny Hiszpanów z Maurami. Arabowie przenieśli do Hiszpanji swoje zwyczaje wschodnie i swoją wspaniałość; rozszerzały się działania ich handlowe, jakieśmy to widzieli, prawie po całym dawnym świecie, od Oceanu Atlantyckiego aż do Chin, od wnętrza Afryki, aż do samego środka Syberji. W Hiszpanji, przepych władców maurytańskich, do najwyższego doszedł stopnia. Wszystkie ostre przepisy Koranu, zdawało się iż utraciły w tym kraju wielką część swojej powagi, a religija niezdolała powściągnąć potrzeb powstałych z cywilizacji. Ogromny handel Arabów, napelniał Hiszpanją płodami Wschodu. Naród hiszpański nie mógł więc unikać przejęcia zaraźliwego przywiązania do zbytków nawet od swych nieprzyjaciół; z resztą, stosunki jego z Maurami nie zawsze były nieprzyjacielskie, a obyczaje świetnych dworów Sewilli i Grenady, były naśladowane

przez władców chrześcijańskich Aragonu i Kastylji.

Znamienity wypadek wykazuje do jakiego stopnia Maurowie zachowali wystawne obyczaje Wschodu, i z jakim zbytkiem handel Lewantu zaspakaiał ich potrzeby. Po wielkiem zwyciężtwie, odniesionem przez Chrześcian, roku 1340, blisko Taryfy, nad połączonemi siłami królów Grenady i Maroku, ogromne łupy znalezione zostały w obozie zwyciężonych. Oprócz materji jedwabnych, złotogłowów i kosztownych kamieni, które rozdzielili pomiędzy siebie zdobywcy, znaleziono tak wielką liczbę złota i srebra, w monecie i sztabach, iż wartość tych kruszców, jak twierdzą, spadła o szóstą część w całej Hiszpanji i Francji. W tejsze samej epoce, Hiszpanie nabyli upodobania do wszystkich rzadkich płodów Wschodu. Gdy Alfons XI. wieźdzał do Sewilli, ulice któremi przejeźdzał ozdobione były jedwabnemi i złotogłowemi draperjami, a po wszystkich domach paliły się najkosztowniejsze wonie. Prawo przeciwno zbytkom ustanowione przez tego monarchę, nie zdołało wstrzymać nawet męzczyzn, od zdobienia szat swoich perłami.

Nie można wątpić że perły, wonie kosztowne, i inne towary zbytku wschodniego, były sprowadzone powiększej części przez Maurów, i że kłótnie dwóch ludów z stając się z każdym dniem zjadliwsiemi i nieubogańszemi, czyniły dostarczanie tych wszystkich przedmiotów, wówczas tak modnych, coraz bardziej niedostatecznemi. Targi Wenecji i Genui nie mogły równie tak obficie być zaopatrywane i przedstawiać te same korzyści kupcom hiszpańskim co targi maurytańskie. Można więc przypuścić że wypędzenie Maurów z półwyspu Hiszpańskiego, było jedną z przyczyn które spowodowały szukanie nowego przejścia przez Ocean do Indji.

Portugalczykowie pierwsi wypędzili Maurów z ich posiadłości; a nieprzystając na tćm, ścigali ich jeszcze aż na brzegi afrykańskie. Jan I król Portugalski, w towarzystwie syna i znaczniejszych swoich rycerzy, wylądował

na brzegi Afryki roku 1418, i zdobył na Maurach miasto Ceutę. Za powrotem, oddał księstwo Wizeo piątemu swemu synowi, Don Henrykowi, i mianował go gubernatorem swoich ostatnich zdobyczy, wynagradzając męztwem i talenta, jakie on w tej wojnie okazał. Don Henryk był monarchą czynnym i rozumnym; połącał wiadomości mędrca z przymiotami doskonałego rycerza i może być uważanym za najuczciwszego człowieka swojego czasu. Od najmłodszych lat powziął gwałtowną namiętność do przedsięwzięć morskich; w czasie swego pobytu w Afryce, nabył od Maurów wiele wiadomości o środkowych narodach Afryki, a nadewszystko o Jallofach zamieszkujących brzegi Gwinei; wyciągnął z tego wniosek, iż można przez Ocean dostać się do tego ludu, i postanowił wytrwałością przezwyciężyć wszystkie trudności podobnej żeglugi.

Roku 1412, to jest na trzy lata przed zdobyciem Ceuty, Don Henryk wysłał okręt na zwiedzenie brzegów afrykańskich. Wyprawa ta, która niespowodowała żadnych ważnych skutków, zasługuje jednak na uwagę, gdyż była pierwszą odkryciową podróżą, jaką Portugalczykowie przedsięwzięli. Książę wysłał okręt corocznie, z rozkazem posuwania się jaknajdalej wzdłuż brzegów afrykańskich; a żeglarze, ożywieni przykładem jego gorliwości, wkrótce opłynęli przylądek *Non*, który, jak sama jego nazwa wskazuje, stanowił dotąd nieprzebytą granicę ich morskim wycieczkom. Lecz za tą zaporą, inna daleko straszliwsza powstała przed nimi; śmiało wystający przylądek *Bojador*, gwałtowne jego napływy i najeżone skały, wystające na kilka mil w głąb morza, zdały się być tamą, do której nawet niepodobna się było przybliżyć bez niebezpieczeństwa, szczególniej dla żeglarzy nawykłych tylko do krążenia wzdłuż brzegów.

Roku 1418, Żuan, Gonzales Żarko i Tristram Vaz Texeira, dworzanie Don Henryka, widząc jak gwałtowną żądzą władca ich państwa czynienia odkryć na afrykańskich brzegach, dobrowolnie

przedsięwzięli wyprawę, na okrążenie przylądka Bojador i dalsze żeglowanie ku południowi. Okrążyli wybrzeże, podług zwyczaju, i nie dopieli by może zamierzonego celu, gdyby nie przypadek, gwałtownym bowiem wichrem, nagle uniesionemi zostali na szerokie morze; utracili ziemię zupełnie z oczu, już sądzili się za zgubionych niezawodnie, lecz burza uciszyła się w nocy, a nad świtem postrzegli wyspę, niezbyt odległą od okrętu, téj nadali, na pamiętkę szczęśliwego swego oswobodzenia, nazwę *Puerto-Santo*. Zachwyceni tém odkryciem, powrócili do Portugalji, i opowiedzieli monarsze wypadki swéj podróży, i prosili o pozwolenie założenia osady. Don Henryk chcąc ich wynagrodzić, i widząc że położenie wyspy było dogodném do ziszczenia jego zamiarów, natychmiast przychylił się do tego żądania. Przygotowano nową wyprawę, złożoną z trzech okrętów: Zarko, Waz i Bartłomiej Perestrello, inny dworzanin książęcia, odebrali rozkaz założenia osady w *Puerto-Santo*; zabrali więc z sobą ładunek wszelkiego ziarna i narzędzi potrzebnych do wykonania tego przedsięwzięcia. Na nieszczęście, mieli także z sobą kilku królików, które, puszczone na wyspę, tak szybko się rozmnożyły, iż po dwóch latach wyniszczyły wszelki ślad roślinności i zmusiły powstającą osadę do oddalenia.

Skoro dokonano osiedlenia, Perestrello wrócił do Portugalji, dla zdania sprawy królowi. Waz i Zarko pozostali na wyspie; w czasie swojego tam pobytu, postrzegali kiedy niekiedy na widnokręgu punkt czarny, wprawdzie nie w każdej chwili zarówno wyraźny, lecz niezmiennający nigdy swego położenia. Wsiadłszy więc na statek, popłynęli ku niemu i znaleźli wyspę niezmiernie obszerną, zupełnie bezludną, lecz pokrytą nieprzebyte miasami, z powodu téj okoliczności nadali jéj miano *Madera*. Starym jęz wiedzisz, wędrownicy nasi powrócili do Portugalji i z takim zapalem opisywali nową wyspę, że Don Henryk postanowił założyć na niej osadę i wybrał winną latorośl i trzcinę

cukrową, jako najzdatniejsze do uprawy.

Lecz portugalscy awanturnicy Waz i Zarko, tę tylko jedynie mieli zasługę iż znaleźli na nowo wyspę Maderę, podług wszelkiego podobieństwa, mało znaną żeglarzom w połowie czternastego wieku. Twierdzą, iż około 1344 r. Anglik zwany Macham z piękną Anną Dorset, chroniąc się przed gniewem rodziców swojej kochanki, został przez nawałnicę wyrzucony na brzegi Madery. Wsiadł na ląd ze swemi przyjaciółmi, dla wypoczęcia potrudach podróży; lecz okręt, na którym przybył, odplynął, pozostawiwszy go wraz z towarzyszami. Anna Dorset umarła ze zmartwienia, a Macham, niemogąc znieść tego ostatniego nieszczęścia, w pięć dni po jéj zgonie żyć przestał. Towarzy-sze którzy go przeżyli, wzniesli wielki krzyż drewniany z skromnym napisem, na wspólnym grobie nieszczęśliwych kochanków; potem, zbudowawszy czółno, dostali się do Maroko, z kąd ich odesłano do Hiszpanji. Pomimo wszelkiej wątpliwości jaka może powstawać o autentyczności tego wypadku, ta legenda romantyczna jasno dowodzi że wyspa Madera już znaną była, wszyscy pisarze portugalscy zgadzają się i umieszczają na niej widownię przygody, dodając że port i obwód Machiko, brały swą nazwę od napisu znalezione-go na grobowcu Machama.

Okolo roku 1395, kilku awanturników z Biskai, Andaluzji i Guipuzkoi, utworzyło pomiędzy sobą związek w Sewilli, a otrzymawszy upoważnienie od Henryka IIIgo króla Kastylji, uzbrowili eskadrę z pięciu okrętów złożoną, zwiedzili wyspy Kanaryjskie, rabując wszystkie zamieszkane miejsca, i uprowadzając w niewolę króla i królowę Lance-roty, wraz z siedemdziesięciu mieszkańcami. Naładowawszy okręta woskiem i skórami, dwoma głównemi płodami owéj wyspy, powrócili do Sewilli, i uwiadomili króla jak łatwo jest podbić one. W kilka lat potem, zarząd wysp Kanaryjskich, monarcha Kastylski oddał, wraz z królewskim tytułem baronowi normandzkiemu Janowi Be-

tancourt, który złożył hołd i przysięgę, jako naczelnik owego państwa, Janowi II, roku 1412. Lecz ów baron, jak się zdaje, nigdy niedokonał podbicia tych wysp, wkrótce albowiem, następcy jego sprzedali wyspy Kanaryjskie Don Henrykowi Portugalskiemu, za posiadłość wyspy Madery.

Godnym jest uwagi, iż poprzednio, przed Janem Betancourt, awanturnicy normandzcy, przebiegli zachodnie brzegi Afryki, aż do Sierra-Leona, i że baron nim stanowczo osiadł na wyspach, zwiedził także nadbrzeże pomiedzy przyładkiem *Kantin i Rio-do-Ouro* po za przyładkiem *Bojador*; pojmał kilku niewolników, nabył wiadomości o pobliskich portach, i powziął nawet zamiar wzniesienia tam twierdzy.

Lecz wiadomości w owęj epoce były tak niejednakowe i tak niedokładne, iż żeglarze portugalscy, długo wąpili o wykonaniu tego, co już dopięli korsarze normandzcy. Nakoniec roku 1433, Gilianez, rodem z Lagós, dokazał iż okrążył przyładek *Bojador*; a za powrotem doniósł, wbrew publicznemu zdaniu, że za owym straszliwym przyładkiem, morze było żeglowne, a grunt i klimat najwyborniejsze. Niecoo pierwej, Don Henryk otrzymał od papieża Marcina V. ustąpienie, które za dni naszych byłoby dziwnem. Papież bowiem nadał na wieczną własność koronie Portugalskiej, wszystkie ziemie i wyspy, dotąd znane, a nawet mogące być jeszcze odkrytymi, pomiedzy przyładkiem *Bojador* i Indjami Wschodniemi, nadto ustanowił zupełny odpust dla dusz tych wszystkich, którzy zginą w owem przedsięwzięciu wydarcia obszernych krain z rąk niewiernych i pogan. Tym sposobem Henryk umiał obrócić na swoją korzyść, ten zapal religijny, który był jedną z najpotężniejszych sprężyn jego wieku, i pozyskał, prócz wyłącznego posiadania swych odkryć, tytuł, którego ważność długo uznawały wszystkie dwory Europy.

Roku 1441, Don Henryk polecił Antoniemu Gonzales i Nunez Tristan, dokonanie rozpoczętych już odkryć. Ten ostatni posunął się aż do *Białego przy-*

ładka, około sto pięćdziesiąt mil po za przyładkiem *Bojador*. Portugalczykowie pojмали w tej wyprawie w niewolę, dziesięciu czy dwunastu Maurów: którzy przyrzekli złożyć znaczny okup za swe uwolnienie. W skutku tego, Gonzales wysłany został z rozkazem wysadzenia na ląd Maurów, w tém samym miejscu w którym ich pojmał. Skoro okręt przybił do brzegu, i gdy się dowiedziano że na nim byli jency, przyjaciele ich zebrali i złożyli okup, który się składał z proszku złotego i czarnych niewolników, owych dwóch przedmiotów ciekawości dla Portugalczyków. Na pamiątkę otrzymanego złotego proszku, Gonzalw nadał miano *Rio-Ouro*, czyli *Złota-rzeka* odnodze morskiej, w której okręt jego zarzucił kotwicę. Murzyni w liczbie blisko trzydziestu, uprowadzeni zostali do Lizbony, gdzie największe podziwienie wzbudzili pomiedzy ludem. Wnoszą, iż w tej ostatniej podróży, Trystan odkrył wyspę *Arguin* i niektóre z wysp przyładka *Zielonego*, i że zwiedził całe pobrzeże aż do *Sierra-Leone*.

Mała ilość złotego piasku, przywieziona z *Rio-de-Ouro*, nadała nadzwyczajny popęd morskim przedsięwzięciom. Widok murzynów zwrócił uwagę publiczną na świat nowy, gdyż przez dostanie się do krain zamieszkałych przez czarnych, Portugalczykowie uderzająco okazali dowód, swych postępów w sztuce żeglarskiej. Gdy się zapuścili po za przyładek *Non*, i znaleźli tylko niepłodne i bezładne pustynie; zaczęli się wówczas lękać, czy zdanie uczonych, którzy uważali strefę gorącą jako niemieszkalną, nie było prawdziwem; lecz gdy się dostali do urodzajnych okolic, przyległych Senegalowi i ujrzeli kraj coraz bardziej zaludniony, w miarę jak się posuwali ku południowi, powstawała na nowo w nich ufność, i przekonali się, że natura nie stawiała im tak nieprzełamanego oporu, jak początkowo mniemali.

Don Henryk, widząc iż usiłowania jego otrzymują niejaki skutek, usłuchał rady niektórych mieszkańców z *Lagos*, którzy w widokach własnego in-

teresu, zaopatrzyli pięć statków, 1444 r. i popłynęli ku brzegom Gwinei. Brak żywności zmusił ich do powrotu, przed dokonaniem zamierzonego celu; lecz sprowadzili znaczną liczbę murzynów, wziętych w niewolę w czasie podróży. Odgłos tych odkryć i wielkich korzyści jakie z nich ciągnięto, zwałił do Portugalji mnóstwo cudzoziemców, szczególnie Włochów, poczytywanych wówczas za najbieglejszych żeglarzy. Monarcha przyjmował z największymi względami wszystkich, chętnie używając ich talentów i doświadczenia. Roku 1444, wysłał Wincentego Lagos i Aloizego Kada-Mosto Wenecjanina, na zwiedzenie mórz afrykańskich. Ci żeglarze zwiedziwszy wyspy Kanaryjskie i Madere, skierowali ku przylądkowi Białemu i Gambji, gdzie znaleźli Genuńczyka Antoniego Nowa, który już rozpoznawał brzegi tamtejsze z rozkazu tego monarchy. Połączyli się z nim i razem powrócili. Kada-Mosto, dokonawszy powtórnej wycieczki w roku 1446, ogłosił wkrótce w Portugalji, opis swoich podróży, który wzbudził najżywsze zajęcie.

W dziele tém, Kada-Mosto mówi, o nadzwyczajnej pomyślności, jaką w samej kolebce zakwitły osady na Madere i wyspach Kanaryjskich. Grunt oddawał siedemdziesiąt ziarn za jedno; winnice i plantacje trzciny cukrowych na Madere, wydawały już najobfitsze plony. *Orchil* do farbowania i piękne skóry kozie, wyprowadzano z wysp Kanaryjskich. Krajowcy wysp owych, nadzwyczajną zwinność okazywali, albowiem byli przyzwyczajeni przebywać góry. Umieli skakać ze skały na skałę, jak kozy. Rzucali kamienie z taką siłą i zręcznością, iż prawie zawsze trafiali do celu, jak gdyby mierzyli z ręcznej broni. Wyspy Kanaryjskie znacznie były zaludnione przed przybyciem Portugalczyków, gdyż liczono 9000 Gwanoszów, czyli krajowców w Wielkiej-Kanarji, a 15,000 na Teneryffie.

Kada-Mosto wspomina, że Maurowie rozproszeni po pustyniach, leżących naprzeciw wyspy Arguin, uczęszczają do krainy murzynów, i zwiedzają także

nadbrzeża Barbarji, najbliższe morzu Śródziemnemu. W czasie tych wypraw, podróżują oni w licznych karawanach, z wielką liczbą wielbłądów obładowanych srebrem, miedzią i innymi przedmiotami, które sprzedają w Tombuktu i krainie murzyńskiej, przywożąc z am-tąd złoto i *melhegatt* czyli kardamomowe ziarna. Nadbrzeżni Arabowie posiadali także wielką liczbę koni barbarzyjskich, które prowadzili do krain murzyńskich, i zamieniali z naczelnikami tamtejszymi na niewolników, biorąc od dziesięciu do ośmnastu ludzi za każdego konia. Niektórzy z owych niewolników sprzedawani byli w Tunecie, i w innych miastach na brzegach Barbarzyjskich; drugich przewożono na wyspę Arguin, i zbywano kupcom portugalskim, którzy kupowali ich corocznie od siedmiuset do ośmiuset. Przed założeniem takowego handlu w Arguin, Portugalczycy mieli zwyczaj wysyłać corocznie cztery karawelle do zatoki tej wyspy; osady owych statków, wysiadały na ląd w nocy dobrze uzbrojone, i wprowadzały mieszkańców w niewolę. Niekiedy nawet zapuszczano się w głąb kraju i porywano Arabów płci obojg, sprzedając ich potem jako niewolników w Portugalji.

Pokolenia Arabskie, koczujące na północ Senegalu, zwane są przez Kada-Mosta, *Asanhaji* lub *Włóczęgi pustyni*. Miały one szczególniejszy zwyczaj obwijania głowy chustką, tak, iż jedna część zakrywała im nos i usta, bo poczytywali za nieprzyzwoitość okazywać one, chyba w chwili posiłku. Tuarykowie, mieszkający w oazach Wielkiej-Pustyni, tenże sam zachowują zwyczaj, ukrywają twarz, wszystkie jej rysy, wyjąwszy oczy.

Mnóstwo Azanhaisów, uwiadomiło podróżnika weneckiego, że, gdy pierwszy raz ujrzeli statki z żagłami, mniemali że to są wielkie ptaki z białemi skrzydłami, przybywające z dalekich krajów; lecz gdy zwiniono żagle, sądząc podług gości statków, i widząc je pływające po wodzie, wnosili że to były wielkie ryby. Inni, brali je za duchy błędzące po nocy, gdyż wieczorem postrze-

gano je na kotwicy w jedném miejscu, a nazajutrz rano, znajdowano o sto mil z tamtąd.

Uwiadomiono Kada-Mosta, że o 6 dni drogi od Hoden, znajduje się kraj zwany *Tegazza*, z którego wyprowadzano corocznie niezmierną ilość soli, przewożąc ją na wielbłądach do Tombuktu, a z tamtąd do państwa Melli, należącego do murzynów. Przybywszy do tego państwa, kupcy zbywali sól w przeciągu dni ośmiu i powracali z zyskanem za nią złotem. Upewniano naszego podróżnika, że w krajach leżących pod równikiem, niekiedy upały tak były wielkie, iż zepsułyby zupełnie krew mieszkańców i wszyscy by wyginęli, gdyby nieużywali soli. Z Melli, ludzie przenosili tę sól na plecach, nad brzeg pewnej przestrzeni wody. Kada-Mosto nie umie z pewnością powiedzieć czy to było morze, jezioro lub rzeka.

Gdy przybywali nad brzeg tej wody, właściciele soli składali ją na kupy, nagromadzone w jednej linii, w niewielkiej odległości jedne od drugich, i każdy szczególnym znakiem cechował należącą do niego kupę; poczem cała gromada oddalała się o pół-dnia drogi z tamtąd. Wówczas, inni murzyni, którzy pod żadnym pozorem nie chcieli nigdy być widzianymi, przybywali czółnami do miejsca, gdzie były nagromadzone kupy; a złożywszy na każdej pewną ilość złota, znów z kolei się oddalili. Po ich odejściu, właściciele soli wracali i jeśli byli zadowoleni z kwoty zostawionej, zabierali złoto; jeśli nie, zostawiali oba te przedmioty, i oddalali się powtórnie. «Tym sposobem, mówi Kada-Mosto, handel odbywają, chociaż się nie widzą i nie mówią ze sobą.

Zbliżając się do Senegalu, nasz podróżny zdziwiony został nagłą zmianą, którą postrzegł. «Na południowym brzegu, mówi, ludzie są mocno czarni, wysocy, silni i kształtni; kraj pokryty piękną zielonością i owocowymi drzewami. Na brzegu północnym, przeciwnie, ludzie są śniadzi, chudzi, małego wzrostu, a grunt nieplodny i nagi. Senegal, dodaje, podług zdania uczonych, jest odnogą Gichonu, który wypływa-

jąc z rajy ziemskiego, był nazwany Nigier przez starożytnych, obiegłszy on całą Etyopję, dzieli się na kilka odnóg zbliżając się do oceanu, od strony zachodniej. Nil, który jest znów inną odnogą Gichonu, wpada do morza Śródziemnego.» Zdanie, że główne rzeki Azji i Afryki, wspólne mają źródło, w jakimś odległym zakątku Etyopji, zdaje się iż niebardzo się zmieniło, od czasów Lukana i Wirgiljusza, aż do Kada-Mosta.

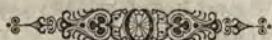
Blisko ośmdziesiąt mil po za Senegalem, nasz podróżny wstąpił na grunt naczelnika zwanego Budomel, którego jak się zdaje Portugalczycy znaleźli doskonale, gdyż kupował wielkie mnóstwo europejskich towarów. Przyjął on Kada-Mosta z wszelkimi względami, przybyli przez cztery tygodnie byli gościnnie podejmowani przez murzynów. Stół Budomela, podług zwyczaju krajowego, zaopatrywały jego żony, z których każda przysyłała mu codziennie pewną ilość półmisków. Jadał ze swemi dworzanami na trawniku, bez żadnej ceremonji. Kada-Mosto, odważył się pewnego dnia oświadczyć mu, w obec wszystkich, że wiara Machometa była fałszywą, a rzymsko-katolicka jedynie prawdziwą. Wyrazy te do rozpacz przywiodły Arabów; lecz król Budomel śmiał się z nich i odpowiedział nawet: «Że wiara chrześcijańska niezapreczenie była dobrą, gdyż nikt, tylko sam Bóg mógł im nadać tyle bogactw i rozumu.» Dodął jednak potem: «Ponieważ Bóg jest sprawiedliwy, i chrześcijanie posiadają już wszystkie dobra ziemskie, murzyni przeto prędkiej pozyskają niebo.» — Kobiety owego kraju, a szczególnie młode, wydały się Wenecjanom niezmiernie przyjemne i wesole: lubią nadzwyczajnie tańczyć i śpiewać przy świetle księżyca. Opuszczając państwo króla Budomela, Kada-Mosto opłynął przylądek Zielony i wzdłuż wybrzeża posunął się ku południowi. «W kraju tym, mówi: grunt jest niezmiernie niski, i odkryty pięknymi drzewami, ciągle zielonemi, gdyż nowe listki wyrastają, nim stare opadną, nie wędną one tak jak drze-

wa europejskie, rosną po nad brzegiem, tak iż zdają się pocić wodą morską. — Pobrzeże jest najwspanialsze; niewidziałem nic, co by można z niem porównać, chociaż nieraz żeglowałem w Wschodnich i Zachodnich częściach Europy. Pobrzeże to w całej swój rozciągłości jest zlewane mnóstwem małych rzeczek, nieprzydatnych jednak handlowi, gdyż nie są spławnymi nawet dla najmniejszych statków." — Opowiadanie Kada-Mosta, nader jest zajmujące samo z siebie, a prócz tego okazuje jak świetne powodzenie uwieńczyło usiłowania portugalskiego księcia, gdyż za życia otrzymał, dokładny i zupełny opis krain murzyńskich, i cieszył się widokiem owocu światłych prac swoich, to jest rozgałęzionym handlem i kwitnącymi osadami.

Roku 1449, król Alfons, nadał stryjowi swemu Don Henrykowi, pozwolenie osiedlenia wysp Azorskich, które odkryte zostały na kilka lat pierwej, przez Flamandczyków i Portugalczyków. Osady na Zielonym przylądku, Maderze i wyspach Kanaryjskich, były szkołami, w których kształcili się żeglarze i przedstawiały wielką łatwość do rozszerzenia odkryć morskich. Corocznie wysyłano nowe wyprawy, i granice żeglugi posuwały się ku po-

łudaiowi, zwolna wprawdzie, lecz za to ciągle. Don Henryk przebywał kilka lat w Sagres na przylądku Świętego-Wincentego, a Ocean Atlantycki rozciągając się przed jego oczyma, ciągle mu przywodził na pamięć jedyny cel życzeń jego, to jest odkrycia jeograficzne. W owym to ulubionem schronieniu umarł 1463 r. w siedemdziesiątym roku życia, a śmierć jego zawięsiła, na lat kilka, wszelkie morskie przedsięwzięcia.

Przez pięćdziesiąt dwa lat, ten książę poświęcał całą uwagę i ogromne dochody jakie posiadał na rozprzestrzenienie wiadomości jeograficznych i odkryć. Wprawdzie zbyt świetne powodzenia nie wynagrodziły jego wytrwałości; albowiem skończyły się one tylko na odkryciu 1500 mil brzegów afrykańskich, przed jego zgonem żaden z Portugalczyków nie dostał się do szóstego lub osmego stopnia po za równik, lecz liczne usiłowania, z rozkazu jego podjęte, utwierdziły go w tém przekonaniu, że można rozszerzyć zakres żeglugi ku południowi i usposobiły do walczenia z niestrudzoną wytrwałością, przeciw wszelkim przeszkodom napotykanym w wykonaniu jego zamiarów.



ROZDZIAŁ II.

ODKRYCIE PRZEJŚCIA OKOŁO PRZYLĄDKA DOBRZEJ-NADZIEI.

Portugalczykowie budują twierdzę na Wybrzeżu-Złotem. — Widzenie się ich z jednym z królików krajowych. — Przyzwolenie Papieża. — Podróż Diego-Kam. — Zwiedza on Kongo. — Przywozi tamtejszych mieszkańców do Portugalji. — Król Kongo opiekuje się Chrześcianami. — Król Beninu pragnie mieć przy sobie Missyonarzy. — Książę Ogan. — Książdz Jan w Afryce. — Wytłumaczenie początku tej wiary. — Nowe wyprawy. — Bartłomiej Diaz odkrywa przylądek Dobrej-Nadziei. — Kowilham i Paywa wysłani do Indji. — Kowilham zwiedza Sofala. — Uznaje podobieństwo przepawy. — Zatrzymany zostaje jako jeńiec w Abissynji. — Wasko de Gama. — Przybycie jego do Mozambiku. — Kwiłoa. — Melinda. — Sternik indyjski. — Dostaje się aż do Kalikutu. — Zamorin. — Siatki u Maurów. — Niebezpieczeństwo na jakie naraża się Gama. — Unika go. — Jego przybycie do Lizbony. — Przyjęcie ja-kięgo doznaje.

Po śmierci Don Henryka, Portugalcykowie przestali przez czas jakiś posuwać się dalej wzdłuż afrykańskich brzegów, gdyż Alfons V wyłącznie był

był zajęty kłótniami z dworem Kastylskim. Roku 1469 kupiec nazwiskiem Ferdynand Gomez, wydzierżawił od króla Alfonsa handel Gwinei, za roczną opłatę 500 dukatów, zobowiązał się zarazem, rozpoznać w czasie trwania zapewnionego sobie monopolium 500 mil południowych wybrzeży. Tym sposobem odkryte zostały kolejno wyspy, *Fernando Po, Książęca, Świętego-Tomasza i Annobon*; ta ostatnia leży o półtora stopnia po za równikiem.

Niepozostał nam żaden szczegółowy opis rozmaitych podróży, w których uskutecznione zostały te ostatnie odkrycia. Lecz zdaje się rzeczą niezawodną, że w perjodzie, który upłynął pomiędzy zgonem Don Henryka (1463) i króla Alfonsa (1481), to jest przez przeciąg lat osmnastu, żeglarze portugalscy, posuwając się coraz dalej brzegami Afryki, rozpoznali całą Gwineję z jej zatokami, *Benin i Biafra*, wyspy przyległe i całe wybrzeże ciągnące się ku południowi, aż do północnej granicy królestwa *Kongo*. Z wstąpieniem na tron Portugalski Jana II, roku 1481, z nowym zapałem rzucono się do zwiedzania brzegów afrykańskich. Dopóki był Infantem, czyli następcą tronu, czerpał on większą część swoich dochodów z zysków odnoszonych z handlu z Gwineją, lub z przywozu złota z zatoki *Mina*. Jak tylko więc został królem, zajął się natychmiast ulepszeniem i rozszerzeniem tak kosztownej gałęzi handlu. W tym celu, wydał rozkaz zbudowania twierdzy i kościoła, niedaleko portu *Mina*. Wszystkie potrzebne ku temu materiały upakowano w *Lizbonie* na eskadrę, na którą wsiadło także 500 żołnierzy i 500 rozmaitych rzemieślników, a dowództwo jej powierzono Don *Diegowi Azambuja*, oficerowi równie walecznemu jak doświadczonemu.

Skoro wyprawa dostała się na brzegi Gwinei, *Azambuja* wystąpił z uwiadomieniem do *Kamaransa*, murzyńskiego naczelnika tego obwodu, o swoim przybyciu i prosząc go o posłuchanie. Nazajutrz rano, *Portugalczykowie* na ląd wysiedli, mając broń ukrytą pod su-

kniami, z obawy aby krajowcy nienapadli ich ukradkiem. Postąpili w ówczas z pewnym rodzajem wystawności ku wielkiemu drzewu niezbyt oddalonemu od murzyńskiej wioski *Aldea*, położenie miejsca tego zdało się im być stósowne do wzniesienia przyszlęj warowni. Natychmiast chorągiew z królewskimi herbami *Portugalji*, zatknięto nad drzewem i ołtarz wystawiono pod jego cieniem, cała osada wyprawy była obecną na mszy, odbytej na intencję prędkiego nawrócenia krajowców i pomyślności kościoła, mającego być wzniesionym w tém miejscu.

Zaledwie ukończono religijny obrzęd, gdy ujrzano *Kamaransa* zbliżającego się z licznym orszakiem. *Azambuja* przygotował się na przyjęcie naczelnika murzyńskiego, z jak największą uroczystością. Siadł na wysokim krześle, podobnym do tronu, a wszystkich swoich towarzyszy uszykował tak przed sobą, aby tworzyli pewien rodzaj wału. Murzyni uzbrojeni byli włóczniami, puklerzami, łukami i strzałami, a na głowach mieli skórzanne kaszkiety, najeżone rybiemi zębami, które im nadawały pozór niezmiernie wojowniczy. Wyżsi naczelnicy różnili się od żołnierzy z łańcuchami, zawieszonemi na szyi i rozlicznemi ozdobami z tego kruszczu, które mieli pozatykane we włosach a nawet i brodach. Po wzajemnej zamianie podarunków i innych oznakach poważania i wspólnej ufności, *Azambuja* przez tłumacza przemówił do *Kamaransa*, wyjaśniając mu cel swego poselstwa i wyprawy. Użył całej wymowy i wszelkich środków dla ziednania sobie przyjaźni czarnego naczelnika, okazania mu potęgi króla portugalskiego i przedstawienia w najkorzystniejszym świetle, czasowego zakładu, jaki chciał wnieść na wybrzeżu. *Kamaransa* słuchał tej mowy z natężoną uwagą, a po krótkim namyśle, dał odpowiedź w której objawił swe zadziwienie iż *Portugalczykowie* chcą osiąść w jego kraju, starając się ich odwieść od tego zamiaru.

Niedowierzanie, okazane przez *Kamaransa*, zakłopotaly niemało portu-

galskiego dowódcę i musiał użyć nadzwyczajnej zreczności, dla nakłonienia rządzących czarnych, że mu pozwolił wykonać odebrane rozkazy, bez użycia gwałtownych środków. Gdy nazajutrz robotnicy zaczęli kopać fundamenta twierdzy, którą zamierzono wystawić nad brzegiem, postrzegli ogromny odtłamskały, mogący być im bardzo przydatnym w robocie, wzięli się przeto do porznięcia go w kawałki. Nieszczęściem, skała ta była przedmiotem czci dla murzynów, którzy natychmiast porwali się do broni, aby siłą odeprzeć bezbożną zaczepkę, kilku robotników zostało już zranionych, nim darami zdołano usmierzyć słuszny gniew krajowców. Nakoniec, po dwudziesto-dniowej pracy, twierdza została ukończoną i otrzymała nazwę twierdzy Świętego Jerzego Mina. Postanowiono corocznie odprawiać uroczystą mszę, w znajdującym się w niej kościółku, na pamiątkę sławnego Don Henryka, Azambuja był gubernatorem tej twierdzy, przez dwa lata i siedm miesięcy, a za powrotem do Portugalji, otrzymał szczegółniejsze dowody łaski królewskiej.

Przekonany o ważnych korzyściach, z nowych odkryć, poczynionych wzdłuż brzegów afrykańskich, a szczególnie z utworzenia drogi przez morze do Indji, król Portugalski, który dodał do swoich tytułów, tytuł władcy Gwinei, prosił Papieża o potwierdzenie ustąpień już uczynionych jego poprzednikowi Don Henrykowi. Najwyższy kapłan, uradowany że znalazł porę okazania swej władzy, wyraźnie zakazał wszystkim narodom chrześcijańskim, przekraczać ogromne i nieskończone prawie granice, zakreślone przez niego koronie portugalskiej. W kilka też lat później, gdy doszła wieść, że mała liczba Anglików chciała przedsięwziąć podróż do Gwinei, król Portugalski wysłał posła do Edwarda IV, króla Angielskiego, z wylłowieniem ustąpienia papieżkiego i nakłonienia by zabronił swoim poddanym opływać brzegi Afryki. Monarcha Angielski zadość uczynił temu przedstawieniu. Aż dotąd żeglarze portugalscy, wciąż swych podróży wzdłuż

zachodnich brzegów Afryki, wznosili tylko krzyże drewniane na pamiątkę swych odkryć, lecz król rozkazał im odtąd stawiać kamienne, na sześć stóp wysokie, z wyrytym herbem Portugalji, nazwiskiem panującego monarchy, oraz żeglarza i datą odkrycia.

Roku 1484, Diego Kam czyli Kano, posunął się za przylądek Świętej Katarzyny, punkt najodleglejszy do którego się przedarto pod panowaniem Alfonsa, dostał się on do ujścia znacznej rzeki, zwaną przez krajowców Zaira, później zaś Kongo. Diego popłynął tą rzeką, nieopodal jednak od morza; napotkał krajowców, lecz nie mógł od nich otrzymać żadnej wiadomości, gdyż czarni tłumacze znajdujący się na jego statku, mowy ich nie rozumieli; dowiedział się jednakże, za pomocą znaków, że okolica ta należała do króla mieszkającego w głębi kraju, w mieście zwanem Banza, (które Portugalczycywie później nazwali San Salvador). Wysłał więc do tego miasta, pod przewodnictwem krajowców, kilku swych ludzi, z bogatym darem dla króla i na powrót ich miał czekać. Lecz, że niespodziewane okoliczności zatrzymały go daleko dłużej niżeli sobie zamierzyl, postanowił przeto sam zawieść do Portugalji wiadomości o tém odkryciu, a pozyskawszy ufność krajowców, skłonił czterech z pomiędzy nich iż się zabrali wraz z nim na okręt.

Owi Afrykanie w czasie swej podróży do Lizbony, dostatecznie nauczyli się po portugalsku i mogli Don Diegowi Kano udzielić potrzebnych objaśnień o swoim kraju i królestwach rozciągających się ku południowi. Król Portugalski, uradowany tym odkryciem, przyjął ich z dobrocią i wspaniałością prawdziwie monarchiczną. W następującym roku, Diego Kano powrócił do rzeki Zairy albo Kongo i wysadził na ląd zabranych w przeszłym roku 4ch krajowców i liczne dary które król Jan przesyłał ich monarsze, z najusilniejszymi naleganiami, by przyjął wiarę chrześcijańską.

Diego wysadziwszy na ląd Afrykanów i zabrawszy Portugalczyków któ-

rych zostawił w czasie pierwszej swojej podróży, usiłował rozpoznać południowe brzegi rzeki Kongo. Jak daleko postąpił? dziejopisowie portugalscy stanowczo o tém niewspominają; zdaje się, iż tylko dla braku żywności, czy téż w chęci zawiązania przyjaźnych stosunków z królem Kongo, powrócił do rzeki Zairy, i został od tego monarchy przyjęty z największymi względami. Opowiadania murzynów, świeżo przybyłych z Portugalji i świetne dary króla Jana, głębokie uczyniły wrażenie na umyśle afrykanina. Liczne on zadawał pytania Diegowi, względem wiary chrześcijańskiej, a zado wolony tém co usłyszał, wysłał jednego z pierwszych swoich urzędników, nazwiskiem Kazuta, w poselstwie do króla Jana, z usilnym błaganem, aby rozkazał ochrzcić jego posła i przysłał mu kilku duchownych, którzyby nawrócili Afrykanów, i skłonili ich do wyrzeczenia się bałwochwalczych błędów. Don Diego szczęśliwie przybył do Portugalji, wkrótce wraz z całym orszakiem swoim został ochrzczony, i przyjął imię Jana Sylwa.

Niezadługo potem, Alfons Awiero, przywoził do Portugalji posła króla Beniuu, proszącego także o przysłanie misyonarzy, którzyby nawrócili jego poddanych. Z pośpiechem zadość uczyniono temu żądaniu, a chociaż niestały i przebiegły Afrykanin stawiał misyonarzom wszelkie przeszkody, wielka jednakże liczba krajowców przyjęła wówczas wiarę chrześcijańską.

Posel króla Beniuu udzielił królowi Portugalskiemu następnym oiekawych objaśnień: O dwadzieścia księżyców, (blisko 250 mil) na wschód Beniuu, mieszka monarcha potężny, zwany Ogane, któremu pogańscy naczelnicy tych krajów okazywali tę samą cześć, co królowie Europejscy papieżowi. Po długim bardzo dawnego zwyczaju, po śmierci króla Beniuu, następcą jego wysyłał posłów do Ogana, z bogatemi dary, błagając aby mu potwierdził prawo do posiadłości, której był dziedzicem. Ogan dawał mu w zamian kij i czapkę jedno i drugie z blyszczącą

miedzi i wyobrażające niby berto i koronę. Ofiarował także krzyż z tego samego kruszczu, dla noszenia go na szyi; gdyby nie te znaki, lud nie wierzyłby, że król ma prawo rządzenia, a nawet że jest monarchą. W czasie pobytu posłów, Ogan był ukryty przed widokiem wszystkich, po za jedwabną firanką, tylko był widzialnym dla jedyniej osoby; lecz gdy się z nim żegnali ukazywał im z po za firanki jedną nogę, której jak największą część złożyć musieli. Otrzymywali przytém małe krzyżyki, z rozkazem oddania ich swemu monarsze.

Uwiadomiony o tych wszystkich szczegółach, król Hiszpański ani wątpił, że ów Ogan był księdzem Janem, chrześcijańskim monarchą Wschodu, którego tak długo napróżno szukano. Ciekawy ten błąd, może być do pewnego stopnia wytłumaczonym, gdyż mało jest bajek, które by się nieopierały na historycznej zasadzie. Rubrukis mówi o księdzu Janie, jako o mongolskim monarsze, nawróconym na wiarę chrześcijańską, lecz którego dzieje, tak były ciemne, że nie mógł powziąć żadnego szczegółu o jego życiu. Pisarze wschodni wspominali niekiedy księdza Jana. Zdaje się iż pokolenie mongolskie Keraitów, przyjęło wiarę chrześcijańską na początku XI wieku. Monarchowie tego pokolenia zależeli od państwa chińskiego i dodawali do swego tytułu *Kohan* albo *Khan*, król, wyraz chiński *Wang* mający toż samo znaczenie. Taki jest początek imienia *Ung-Khan*, albo *Wang-Khan*, które nosili zwykłe w XII i XIII wieku. Syryjczycy byli rozproszeni po całej Azji i prowadzili handel od morza Środkowego aż do Chin. Można więc wnosić, że wielka ich liczba znajdowała się pomiędzy chrześcijanami mongolskimi; tytuł więc *Wang-Khan*, który nosili królowie Keraitscy, co do znaczenia mało się różni od wyrażenia syryjskiego *Jan kapłan*; i pod tém to mianem Europejczycy poznali chrześcijańskiego władcę Azji Środkowej. Najdawniejsza wzmianka o księdzu Janie, znajduje się w pewnym pisarzu XII

wieku, który przekazane nam objaśnienia o tym kraju, powziął od Syryjskiego biskupa Gabala.

Wszyscy dawni podróżnicy zgadzają się w nadaniu, tytułu księdza Jana, mogolkiemu monarche, zwanemu Ung albo Unk-Khan. Rubrukis wprawdzie przypuszcza, że ksiądz Jan był bratem tego władcy, sądząc może że tym sposobem zdoła wyłomaczyć zamieszanie imion. Wszyscy inni podróżni umieszczali znowu posiadłości chrześcijańskiego monarchy w Tartarii; lecz gdy Gengis-Khan, r 1202, skazał na śmierć swego krewnego Togrul-Unk-Khana, i gdy wiara i królestwo władców Keraitskich zniknęły w zaburzeniach zakłócających później Azyę, Europejczycy wie przenieśli króla Jana do wszystkich części Wschodu, gdzie tylko mogli znaleźć jakie ślady wiary chrześcijańskiej. Karpini i wielu innych wędrowników, umieszczają tego bajecznego monarchę w Indjach.

W średnich-wiekach, nadawano w ogólnie nazwę Indji, wszystkim dalekim krainom Azji, leżącym na wschód lub południe. Starożytni zwali ogólnie Etyopją lub Indjami, wszystkie kraje Azji lub Afryki, oblانة oceanem Indyjskim. Jeografowie arabscy, perscy i tureccy, mianowali zarówno nazwą *Jemen* i południową część Arabji, sąsiednio morzom Indyjskim. Gdy przerwane zostały stosunki pomiędzy Europą i Wschodem, przez wygnanie Franków ze Syrii i gdy niemiano sposobności czynienia nowych poszukiwań względem historii księdza Jana, niedokładne wiadomości rozsiewane od kilku wieków o tej tajemniczej osobie, stawały się coraz bardziej zawiąkszonymi. Przypominano sobie tylko, że posiadłości jego leżały gdzieś w Indjach. Głównym celem morskich przedsięwzięć Portugalczyków w XV wieku, było odkrycie drogi do Indji przez Ocean. W owej epoce, droga lądem szła przez Egipt, nie ma więc nic dziwnego, że podróżni kraj ten przebiegający, uważali księdza Jana, jako pierwszego chrześcijańskiego monarchę, którego dotąd napotkali; prócz tego,

Abissynja zwana niekiedy była *Indjami środkowemi*, jak to potwierdza Marko-Polo, a monarchowie tego kraju łączyli nieraz w swojej osobie razem kapłańską i królewską godność. Nie żadna więc omyłka przenosiła księdza Jana z Tartarii do Abissynji i bynajmniej niepowstała u Portugalczyków.

Roku 1444, Don Pedro, rejent Portugalji, wniósł na radzie, aby wysłać kilka osób dla szukania królestwa księdza Jana, i starać się o zawarcie przymierza z tym monarchą. Pochwalono ten wniosek: na nieszczęście okoliczności przeszkodziły jego wykonaniu. Lecz gdy postępy przedsięwzięć morskich wzdłuż afrykańskich brzegów, zwiększyły powzięte nadzieje, odkrycia drogi do Indji przez Ocean, zaczęto znowu myśleć o korzyściach, jakieby wyniknęły z przymierza z księdzem Janem, a objaśnienia udzielone przez czarnego posła, względem władcy zwanego Oganem, skłoniły rząd portugalski, iż powrócił do dawnych zamiarów, których zupełnie już był zaniechał. W podwojonym przeto celu, pozyskania pewnych objaśnień względem portów indyjskich, za pośrednictwem lądowej podróży i znalezienia księdza Jana, król Portugalski rozkazał Franciszkowskiemu, nazwiskiskiem Antoniemu Lisboa, udać się do Indji przez Palestynę i Egipt. Lecz zakonnik ten nieumiał po Arabsku, niemógł zatem dostać się dalej jak do Jerozolimy, zkad powrócił do Portugalji. Chociaż ciemnota czy tchórzostwo wysłańca, nadzieje króla zawiodły, przygotował się jednak natychmiast do czynienia nowych zabiegów morzem i lądem, dla dopięcia swego celu. Polecił Kowilhamowi i Pajwieszukać przejścia do Indji przez stały ląd Afryki i Azji, uzbroił dwie duże karawelle, każda o pięćdziesięciu beczkach, z dodaniem małego statku z żywnością. Przeznaczone one były do czynienia nowych odkryć morskich i dowództwo ich oddano Bartłomiejowi Diaz, ta mała flota wyruszyła pod żagle, przy końcu Sierpnia 1486 r.

Przybywszy do Sierra-Parda, leżą-

cego blisko o dwa stopnie od południowego zwrotnika, a 120 mil od najdalszego punktu, do którego dotarli poprzedni żeglarze, Diaz wznosił tam krzyż zdobny herbem portugalskim. Wówczas, z odwagą godną wielkiego przedsięwzięcia, puścił się morzem prosto ku południowi i niezadługo stracił ziemię z oczu. Popchnięty nakoniec ku wschodowi gwałtownymi burzami, zbliżył się do zatoki, którą nazwał *Dos Vaqueros* czyli *Zatoką Pasterzy*, z powodu licznych stad owiec, które krajowcy pasali na brzegu. Znajdował się w ówczas o 40 mil na wschód od przyłądka, który opłynął niepostrzegłszy nawet tego. Płynąc dalej ku wschodowi, dostał się do wyspy, którą nazwał *Santa-Cruz*, na pamiątkę drugiego krzyża, który tam wystawił. Kiedy niekiedy wysadzał na ląd murzynów, których zabrał ze sobą z Portugalji, ci byli przystrojeni w wspaniałe szaty, aby zwracali na siebie uwagę krajowców i jednali poszanowanie. — Dał im także rozmaitego gatunku towary, dla zamieniania ich za płody krajowe, zaleciwszy nadewszystko czynić poszukiwania względem księdza Jana; lecz dzieć tak byli bojaźliwi i nieśmiali, że żadnej od nich wiadomości powziąć niebyło podobna. Gdy flotta, dostała się do zatoki *Lagoa*, nieukontentowanie osady, otworcie wybuchło; wszyscy żądali wracać do kraju. Zapasy jakie mieli całkiem wyczerpano; a statek z żywnością zniknął w czasie nawalnicy. Diaz, niewiedząc że już okrążył szukany przyładek, nakłonił powstańców, aby jeszcze płynęli 25 mil dalej, przedstawiając im, jak wielką okryli by się hańbą, wracając do rodzinnego kraju, niczego nie dokazawszy. Portugalczycywie przybyli na koniec do ujścia rzeki, którą nazwali *Rio do Infante* dzisiaj *Wielka Rzeka Ryb*. Lecz jakaż była radość i zadziwienie Diaza i jego towarzyszy, gdy wracając wzdłuż brzegów, srodze zawiędzeni i nieukontentowani, postrzegli nagle ów przyładek, którego tak długo nadaremnie szukali. Drugi krzyż na nim wzniesli, i poświęcili to miej-

sce Świętemu Filipowi. Na uzupełnienie szczęścia, napotkali i mały statek z żywnością, zabłąkany wśród burzy, czterech już tylko ludzi znajdowało się na nim, gdyż resztę dzicy wymordowali na wybrzeżu. Diaz jaknajakuratniej oznaczył położenie miejsca, a szczególnie przyłądki, potem wrócił do Lizbony, gdzie przybył w grudniu 1487, odkrywwszy blisko 300 mil wybrzeży. Na pamiątkę gwałtownych burz, jakich doznał niedaleko południowego wzgórza, nadał mu miano *Cabo Tormentoso*, *Przyładek Nawalnic*. Lecz król lękając się zniechęcić żeglarzy tak przerażającą nazwą i spodziewając się znacznych korzyści z tego nowego odkrycia, nazwał go *Przyłądkiem Dobrzej Nadziei*.

W młodości, Piotr Kowilham, wojował z Kastyliczycami; gdy pokój zawarto wziął się do handlowych przedsięwzięć. Podeczas bytności swój w Afryce, miał polecenie od króla, zawrzeć traktaty z naczelnikami maurów, jego wiadomości i zrećność zjednały mu niezadługo wielką wziętość. Król Jan wybrał go jako najzdolniejszego dla wyszukania króla Ogana, czyli księdza Jana, którego państwo, podług mniemania Portugalczyków leżało w Abisynji. Kowilham odebrał także rozkaz, dowiadywać się wszędzie, czy podobna dostać się morzem do Indji, od przyłądka Dobrzej-Nadziei, który Diaz odkrył. Alfonsowi Paywie polecono aby towarzyszył Kowilhamowi, dwaj nasi podróżni, wzięwszy od biskupa z Wizeo mapę, na której Afryka wyrażoną była jako całkiem oblana od południa żeglownym morzem, wyruszyli z Lizbony, w maju 1487, z zamiarem przebycia Egiptu. Że dość biegle mówił po arabsku, Kowilham połączył się z karawaną kupców arabskich, z Fez i Tremisen, którzy go wraz z towarzyszem przewieźli do Tor, pod górę Synai, w Arabji Skalistej, tam powzięli gruntowne wiadomości, dotyczące się Kalkuckiego handlu. Lecz rozłączyli się w arabskim porcie Aden; Paywa udał się dla zwiedzenia Abisynji, Kowilham zaś do Indji, chcąc się zape-

wnić o prawdzie opowiadań kupców arabskich. On był najpierwszym Portugalczykiem, który zwiędził morza Indyjskie, nim zaszyły wielkie handlowe zaburzenia. Zwiedziwszy Kalkutę, Kananor i Goa, udał się do Sofala, na wybrzeżu afrykańskim, aby rozpoznać sam przez siebie sławne kopalnie złote tego kraju, tam powziął pierwsze niezawodne wiadomości, o wyspie *Księżycowej* czyli *Madagaskar*, jak ją późniejszą nazwano. Zadovolony ze swęj podróży, już się przygotowywał wrócić do Portugalji, gdy w Kairze dowiedział się o śmierci Paywy, tamże zamordowanego. Postanowił więc natychmiast sam szukać księdza Jana; w tym zamiarze, posłał przez żyda swojemu władcy, zebrane uwagi i dziennik podróży; z mapą, którą mu Maur podarował, i w towarzystwie innego żyda, zwrócił swą podróż ku Abissynji. Negus, czyli król tego kraju, przekonawszy się o jego wiadomościach i uzdatnieniu, zniewolił go siłą i namową do przedpędzenia reszty życia w Abissynji. Kowilham ożenił się tam, zebrał znaczny majątek i dostąpił najwyższych godności. Roku 1525, gdy Rodryg Lima wysłany został jako poseł do Abissynji, Kowilham żył jeszcze, chociaż już w podeszłym był wieku; gdyż trzydzieści-trzy lat upłynęło, jak stanowczo osiadł w tym kraju. Stary Portugalczyk płakał z rozczulenia i radości na widok współrodaków, którzy odjeżdżając, napróżno prosili o pozwole-
nie wzięcia go z sobą.

Podezas swego długiego pobytu przy dworze Abissyńskim, Kowilham często pisywał do króla Portugalskiego. — W niektórych swych listach, uwiadamił dawnego pana, że można dostać się do Indji morzem, wypłynąwszy z przylądu Dobręj Nadziei, i twierdził że Indyjscy i Arabscy żeglarze bardzo dobrze znali ów przylądek. Jeśli zaśługa opłynięcia przylądka, należy się Waskowi de Gama, teoryczne jego odkrycie słusznie przypisać można Kowilhamowi.

Było więc w owęj epoce ogólnie przyjętęm zdaniem w całej Europie, że za-

dana ważna przeszkoda nieprzeszkadzała żeglarzom płynąć do Indji, okrążając Afrykę. Dziesięć lat upłynęło od odkrycia przylądka Dobręj-Nadziei, gdy Emanuel król Portugalski, postanowił wysłać Wasko de Gamę do Indji na czele floty, złożonej z trzech okrętów i sześćdziesięciu ludzi. Ten wyruszył pod żagle 8 Lipca 1497, udał się prosto ku wyspom przylądka Zielonego, minawszy je, płynął dalej ku południowi i zarzucił kotwicę w zatoce *Świętej-Heleny*, na zachodnim brzegu Afryki, w niewielkiej odległości na północ, od przylądka Dobręj-Nadziei. Opuściwszy tę zatokę, dostał się w dwóch dniach do najdalszego południowego krańca Afryki; lecz gdy chciał płynąć na zachód, musiał waleczyć z wiatrami południowo-wschodniemi, wiejącemi przez całe lato w tych stronach. Majtkowie, zniechęceni na chwilę owym niekorzystnym wypadkiem, chcieli go zmusić do powrotu, lecz znalazł środki poskromienia niecierpliwych, a wytrwałość jego i zręczność przewyciężyły wszelkie zawady.

Płynąc ku wschodowi, wzdłuż południowego brzegu Afryki, zarzucił kotwicę w zatoce *Świętego Błażeja* i przybył niezadługo potem do małej wysepki *De la Cruz*, na której skończyły się odkrycia Diaza. Wasko-de-Gama, który chciał znaleźć krainy zwiedzone przez Kowilhama, starał się najusilniej nigdy ziemi z oczu nie tracić i wszędzie wysadzał na ląd po kilku swoich ludzi, aby się rozpatrzyli i wypytywali, czasem nawet sam wysiadał. Lecz niemogąc się nic ważnego dowiedzieć, od krajowców, płynął ciągle ku wschodowi, przepłynął nawet około kraju Sofala, gdzie sądził że Kowilham znajdował się w tęj chwili; nie spostrzegł jednak żadnego przedmiotu, któryby zwrócił na siebie jego uwagę. Nakoniec, na początku marca 1498, zarzucił kotwicę przed miastem *Mozambikiem*, zamieszkanęm w ówczas przez Maurów, prowadzących wielki handel z morzem Czerwonem i Indjami. Nadzieja korzyści, zjednała zrazu Portugalczykom uprzejme przyjęcie; lecz sko-

ro dowiedziano się że byli chrześciana-
nami, użyto wszelkich podstępów dla
zgubienia ich. Gama, zmuszony ucie-
kać, zwrócił się na północ ku *Kwiloa*;
majtek, którego wziął ze sobą z Mo-
zambiku wskazał mu drogę, Lecz gdy
się zbliżył do północnego brzegu tego
miasta, prąd niedozwolił mu powrócić
wzdłuż brzegów, popłynął zatem do
Mombasa. To miasto, lepiej zbudowa-
ne niżeli Mozambik, jeszcze znacznie-
szy prowadzące handel, również było
przez Machometanów zamieszkane, któ-
rzy także z podstępna zawiścią obesł-
zi się z Portugalczykami. Gama odjechał,
nie otrzymawszy żadnego objaśnienia ani
pomocy i posunawszy się ośmnaście mil
dalej, przybył do *Melindy*. Monarcha
owego kraju jak najuprzejmiej przyjął
Gamę. Przyplłynął ku flocie portu-
galskiej, i prosił wodza aby wysiadł
na ląd i wzajemnie go odwiedził; lecz
Gama, nauczony doświadczeniem, wy-
mówił się od tego zaproszenia; posłał
tylko na swoje miejsce kilku oficerów,
których przyjęto najzaszczytniej i naj-
gościnniej.

Stało w ówczas w porcie *Melindy*
kilka statków indyjskich, a kilku chrze-
ścian krajowców ostrzegło Gamę aby
się miał na ostrożności. Malemo Kana,
Indjanin z Guzaraty, którego król *Mel-
indy* dał za sternika Gamie, był je-
dnym z najdoświadczeńszych żeglarzy
na owych morzach; nieokazał on naj-
mniejszego podziwienia na widok astro-
labu, którym Portugalczykowie uwa-
żali południową wysokość słońca. Po-
wiedział im nawet, iż żeglarze na mo-
rzu Czerwoném, używają podobnych
narzędzi.

Flotta Gamy udała się z *Melindy* do
Kalikutu i dwadzieścia trzy dni bawila
w drodze. To miasto, w ówczas naj-
bogatsze i najhandlowniejsze w całych
Indjach, rządzone było przez władcę
nazywającego się *Zamoryn*. Posłowie
Gamy, dokazali iż byli przedstawieni
ministrom tego monarchy. Pierwsze wi-
dzenie tak się udało szczęśliwie, iż Por-
tugalczycy otrzymali natychmiast po-
zwolenie wplłynąć do portu i *Zamoryn*
skłonił się do przyjęcia Gamy z temi

samemi honorami, jakie zwykle czy-
niono posłom największych monarchów.
Lecz zdradzieckie postępowanie Macho-
metanów uczyniło Portugalczyków tak
niedowierzającemi, że oficerowie floty
błagali dowódcę aby się wyrzekł za-
miaru wyładowania i powierzenia swej
osoby krajowcom.

Podczas narady w tym celu zebra-
nej, brat jego, Paweł Gama, przedsta-
wił z mocą niebezpieczeństwa na któ-
re się narażał; lecz Wasko był nieu-
błagany. Oświadczył iż wysiadzie na
ląd nazajutrz rano i na brata zdał do-
wództwo wyprawy w czasie swej nie-
obecności, zalecając nadewszystko, w ra-
zie, gdyby złowrogie jego przepowie-
dnie ziścić się miały, by się nie mścił
za śmierć jego, lecz odpłynął natych-
miast z flotą uwiadomić króla o od-
kryciu Indji i nieszczęśliwym losie je-
go powstańca.

Nazajutrz rano, Wasko de Gama wysiadł
na ląd w towarzystwie dwunastu naj-
śmielszych swych ludzi. Przyjęty zo-
stał z największą okazałością, a że mu-
siał udać się jeszcze pięć do sześciu
mil po za *Kalikut*, do wiejskiego mie-
szkania *Zamoryna*, przebył całe mia-
sto w pośród niezmiernego tłumy mie-
szkańców, spoglądających na cudzo-
ziemców, z tém żywszém zadziwieniem,
iż dotąd nigdy nie widziano w Indjach
podobnego ubioru jaki na sobie no-
sili. Admirał portugalski przybył na-
zajutrz do wiejskiego domu *Zamory-
na*. Na pierwszym posłuchaniu był
nader mile przyjęty i już pochlebiał
sobie iż otrzyma dla swego kraju przy-
wilej prowadzenia korzystnego handlu
z *Kalikutem*. Lecz wypadki wkrótce
zniweczyły jego nadzieje. Mozambij-
czykowie i *Mombazowie*, uważali Por-
tugalczyków jako niebezpiecznych współ-
ubiegaczy i postanowili jeżeli można
ich zgubić. Przedstawili przeto *Za-
morynowi*, że ci cudzoziemcy byli
morskimi rozbójnikami, którzy po to
jedynie przybyli na morza indyjskie,
aby zakłócić spokojność jego państw
i rabować jego poddanych. Te pod-
stępne sprawy pożądany skutek. Ga-
ma prócz tego nieprzywiózł ze sobą

podarunku godnego tak wielkiego monarchy; rozmaite przedmioty, które ofiarował ministrom, były w ich oczach tak mało warte, iż je z pogardą odrzucili. Nieukontentowanie z obu stron do takiego doszło stopnia, iż Gama lękał się, że będzie zatrzymany jako więzień, a nawet może wraz z towarzyszami na śmierć zostanie skazany. W takim stanie rzeczy, odebrał tajemnie ostrzeżenie, iż pod pozorem zgody, nieprzyjaciele jego mają zamiar zwabić flotę w jedno miejsce, by łatwo ją zniszczyć mogli. Przesłał tę wiadomość swojemu bratu, który tak roztropnie postąpił, iż zniweczył zupełnie zamiary Maurów. Wasko ze swojej strony, tyle dokazał swoją wytrwałością i zręcznością iż odzyskał szacunek władcy indyjskiego i jego ministrów; rozpoczął na nowo przerwane z nimi układy i przekonał ich o wielkich korzyściach, jakie odniosą przez zawarcie przymie-

rza z Portugalczycami. W tak przyjaźnym usposobieniu, pozwolili mu powrócić do floty.

Skoro tylko Wasko de Gama dostał się na pokład swego statku, kazał wyruszyć pod żagle nie tracąc ani chwili; potem naprawiwszy swoje okręta na wyspach Angediwach, leżących nieco na północ Kalikutu, odpłynął do Europy, by udzielił wiadomość o swoim nowém odkryciu. Przepływając około Melindy, zabrał na statek posta króla tego kraju, jedynego sprzymierzeńca którego Portugalczycy zjednali sobie. Okrążył przylądek Dobrzej-Nadziei, w Marcu 1419 i przybył do Lizbony we Wrześniu tegoż roku, to jest we dwa lata blisko po swoim odjeździe. Król Emanuel przyjął Wasko de Gamę z jaknajwiększą wspaniałością, uczcił uroczystościami szczęśliwy jego powrót, nadał mu szlachectwo i mianował admirałem Indyjskim.



ROZDZIAŁ III.

KOLUMB.

Jego rodzina. — Wychowanie. — Pierwsze podróże. — Osiała w Lizbonie. — Żeni się tam z córką Perestrella. — Rozmyśla nad podobieństwem udania się do Indji od Zachodu. — Zdania jego wieku. — Dowodzenia Kolumba. — Jego przekonanie. — Przedstawia swój plan rządowi Genueskiemu. — Starą się pozyskać opiekę króla Portugalskiego. — Ucieka do Hiszpanji. — Udaje się do dworu Hiszpańskiego. — Posyła swego brata na dwór Angielski. — Nadzieje jego zostają zawiedzione. — Niespodziewa się pomyslnego skutku. — Królowa Izabella przyjmuje go jak najlepiej. — Wyprawa niezawodnie ma się odbyć. — Wsiada na okręt w Palos. — Szczegóły jego podróży. — Odkrycie ziemi. — Flotta zwiedza Kubę. — San-Domingo. — Rozbicie okrętu Kolumba. — Dobroć Kacyka. — Wybudowanie twierdzy. — Flotta odpływa do Europy. — Okropna burza. — Sposób jakiego użył Kolumb dla dochowania pamiętki swego odkrycia. — Jego szczęśliwe przybycie do wysp Azorskich. — Powrót do Palos. — Zapal powszechny. — Udaje się do dworu. — Zaszczyty któremi obsypuje go Ferdynand.

Odkrycie drogi do Indji około przyładka Dobrzej-Nadziei, poprzedzone było na kilka lat pierwiej więcéj zadziwiającém odkryciem, dokonaném na drugiej półkuli. Szczęśliwe powodzenie portugalskiego żeglarza, godnie uwieńczało wytrwałą usilność jego współziomków. Kolumb ze swojej strony No-

wy Świat odkrywając, niebył zachęcany opieką monarchów; nie szedł w ślady żadnego żeglarza; samą potęgą swego jenujszu i zapału którego nikt nie podzielał, dokonał najśmielszego i najważniejszego przedsięwzięcia, jakie nam dotąd przedstawiają dzieje społeczeństwa.

Młodość Kolumba całkiem jest nieznaną, dziejopisowie zgadzają się że ujrzał światło dzienne w państwie Genueskim, roku 1441; małe wioseczki Kongoreo i Nerwi, wydierają sobie wraz z miastami Genuą i Sawoną, zaszczyt że się w ich murach urodził. Rodzina jego, chociaż rozmaitemizmiannami losu do nędzy przywiedziona, niegdyś zajmowała pierwsze miejsce pomiędzy szlachcią Placencji.

Dominik, ojciec młodego Krysztofa Kolumba, posłał go do Pawji dla ukończenia nauk; to miasto było wówczas stolicą sztuk i nauk Włoch całych; lecz Krysztof wkrótce opuścił uniwersytet, dla rozpoczęcia zawodu żeglarskiego. Uczynił jednak nadzwyczajne postępy i przez całe życie zachował upodobanie do nauk wyzwolonych, wiadomości jego w jeometrii, astronomji i kosmografji, do których od dzieciństwa wyłączone okazywał upodobanie, daleko były rozciąglejsze niżeli kogo kolwiek ze współczesnych. Młody Kolumb odznaczył się niezadługo odwagą i talentami, już w roku 1473 był okrętowym kapitanem w marynarce króla Neapolitańskiego, a w dwa lata później dowodził eskadrą galer genueskich. Zaburzenia wybuchły w kraju, skłoniły go do szukania służby za granicą; udał się do Lizbony, gdzie brat jego Bartłomiej zaszczytnie zarabiał na życie, rysując karty morskie. Portugalja słynęła w ówczas ze swoich odkryć; mnóstwo Włochów, a nadewszystko Genueszyców, przybywało do tego królestwa, a ich nauka, połączona, z zamiłowaniem morskich podróży, nie mało się przyłożyła do postępow jęografji.

Kolumb niedługo pozostał bezczynnym; odbył na północ podróż niebezpieczną i trudną, i doszedł aż do 73 stopnia szerokości, lub podług jego własnego wyrażenia, zapuścił się sto mil dalej niżeli Tulea Ptolomeusza. — Najpodobniej do prawdy że Kolumb dostał się do brzegów Grenlandji. Przedsiębrał jeszcze kilka innych podróży do Gwinei, Anglji i wysp oceanu Atlantyckiego, posiadanych przez Hiszpanją

i Portugalją; stał się też wkrótce najbieglejszym żeglarzem swojego wieku. Zapisywał wszystkie postrzeżenia i porównywał je potem z systematami kosmografów starożytnych i tegoczesnych. Skreślał karty, globy i głęboko zastanawiał się nad nauką, w której później miał zdzielać tak wielką zmianę.

W czasie pobytu swego w Lizbonie, ożenił się z Donną Filipiną, córką Pedra Perestrello, sławnego sternika, któremu Don Pedro polecił założenie osady na wyspie Santo-Puerto. To małżeństwo zjednało mu posiadanie kart i papierów Perestrella i innych wsławionych żeglarzy, którzy byli spokrewnieni z rodziną jego żony. W częstych rozmowach z najbieglejszymi ziemio-pisarzami, astronomami i żeglarzami, których Lizbona w ówczas posiadała, radził się ich względem możności odkrycia, krajów Kataj i Zipanga, płynące ku Zachodowi, a opisanych przez Marka Polo. Marcin Behaim, oraz inni uczeni na dworze Jana II, uczynili wniosek aby zastosować astrolab do żeglugi, dla uważania szerokości jeograficznej, na pełnym morzu. Kolumb przewidział natychmiast, że narzędzie to uwolni nadal żeglarzy od konieczności płynienia wzdłuż brzegów; pierwszy go użył i ustanowił zasady do oznaczenia, za pomocą długości i szerokości położenia okrętów. Poważni ci autorowie, nad których dziełami bezustannie się zastanawiał, a nadewszystko niektóre wypadki, o jakich się dowiedział; utwierdziły go w nadziei znalezienia owego Zipangu podróżników tegoczesnych, kierując się prosto ku zachodowi.

Wiadomości jeograficzne Włochów i innych ludów Europejskich przed Kolumbem, nieprzewyższyły wiadomości starożytnych, a nadewszystko Ptolomeusza; dodawali po prostu do mappy tego ostatniego pisarza, krainy opisane przez Marka-Polo, a leżące na wschód najodleglejszych krańców Azji, znanych starożytnym. Lecz Ptolomeusz nadał zbyt wielką rozległość owej części świata, gdy więc pomnożono jego mappy, wielkimi krainami Kataju i Zipangu,

zajęto tym sposobem większą część półkuli ziemskiej. Z owych niedokładnych podań, Kolumb wyciągnął słuszny wniosek, że posuwając się w przeciwnym kierunku, temu, którego się trzymał Marko Polo, to jest płynąc ku zachodowi, możnaby się dostać do tych krajin daleko krótszą drogą. Mappy Andrzeja Bianco, i glob Marcina Beheima, mieszczą Zipangu nader blisko brzegów Afryki, tak iż dzieląca je przestrzeń nie przenosi szóstęj części obwodu ziemi; wyspy Azorskie, znajdujące się na tychże samych mappach, pomiędzy Zipangu i Afryką, zmniejszają jeszcze morze, które żeglarze powinni byli przebyć, chcąc się tam udać.

W epoce, w której żył Kolumb, wiara w istnienie wielkiej krainy zachodniej była bardzo pospolitą; widziano w XIV wieku, niektóre mappy mieszczące wyspę Antyllę na oceanie Atlantyckim; w XV wieku napotykamy wielką liczbę skazówek tego rodzaju. Zdaje się jakoby wszystkie umysły, pomimowolnie prawie zwracały się ku temu wielkiemu celowi, i przygotowywały, jak to prawie zawsze się zdarza, odkrycie prawdy, za pomocą szczęśliwych błędów. Mieszkańcy Madery i Puerto-Santo, mniemali że postrzegają w pewnych epokach, podczas najczystsze go nieba, ziemię na widokregu od strony zachodniej, i zawsze w tymże samym kierunku. Dzisiaj nawet krajowcy wysp owych, podziwiają toż samo przekykanie. W połowie ostatniego wieku, tak wyraźnie widziano ową urojoną ziemię, że okręt wyruszył pod żagle dla jej odkrycia, lecz tym razem podobnie jak i pierwój, zniknęła nim się do niej zbliżono. Nazywano tę ziemię *Święty Brandon*, od imienia świętego szkockiego; ta okoliczność naprowadza na domysł, że owa bajka musiała być przyniesioną do Madery przez Normandów, którzy niezmiernie dawnymi podaniami potwierdzali wiarę w istnienie zachodnich krajin. Dzisiaj, mieszkańcy wysp Arran, leżących na zachód Irlandji, pochodzący od Normandów, wyobrażają sobie że kiedy niekiedy widzą brzegi wyspy szczęśliwej, wznoszące

się z łona wód, i twierdzą że Irlandja była pierwotnie połączona z tą ziemią, dopóki nie została w większej części pochłonięta przez ocean, za odpokutowanie grzechów swych mieszkańców.

Lecz Kolumb powziął inne objaśnienia, zdolne większy wpływ wywrzeć na jego zdanie. Pedro Torez, krewny jego żony, pozbiarał na brzegach Puerto-Santo, kawałki drzewa zdobne rzeźbą, która widocznie nie mogła być wykonaną nożem, wyrzucił je tam mocny wiatr zachodni. Inni żeglarze zbierali prócz tego na oceanie Atlantyckim trzciny wielkości nadzwyczajnej, i rozmaite rośliny, niezdarzące się należeć do dawnego świata. Znalezione nakoniec, na jednej z wysp Azorskich, trupy ludzkie, których rysy zupełnie różniły się od Afrykanów i Europejczyków, a które niezawodnie pochodziły z zachodu.

Wyspa Świętego Brandona, 7 miast, Antilja i inne urojone kraje zachodu, niewielkie może wrażenie czyniły na Kolumbie; niepodobna jednak, ażeby taki zapalenie jak on, niezwracał najmniejszej uwagi na te bajki. Gminne owe podania ciągle przypominały mu ulubiony zamiar, i coraz żywszą chęć wzniecały do ich ziszczenia. Lecz przytoczone wyżej uwagi przekonały go, że płynąc na zachód, napotka Zipangu albo inny kraj jaki.

Od tej chwili Kolumb zajął się wykonaniem swoich zamiarów. Własny jego majątek zbyt był szczupły, aby mógł własnym kosztem przedsięwziąć wyprawę. Zagrzany miłością rodzinnej ziemi, poddał plany swych odkryć pod rozpoznania rządu krajowego. Lecz od dawna opuścił już Genuę; współziomkowie nie poznali się na jego zaśłudze i z pogardą odrzucili jego wnioski. Udał się potem do króla Portugalji, który wyznaczył kommissyę dla rozpoznania tych planów; uznała ona całą ich ważność, lecz niegodnym podejściem, monarcha ów postanowił wykonać je tajemnie, bez wiedzy ich wynalazcy. Sternik jednakże ku temu celowi wybrany, nieposiadał potrzebnej zręczności do wykonania zamiarów Ko-

lumba. Niezdolny kierować swoim okrętem, skoro tylko ziemię utracił z oczu, długo na los się błąkał, niewiedząc w którą stronę wiatr go poppycha, i z wielką trudnością dostał się napowrót do portu. Dla usprawiedliwienia się, nazwał Kolumba szalonym zapaleńcem, a wielki człowiek oburzony nikczemną niesprawiedliwością jakiejś doznał, postanowił na zawsze Portugalją opuścić. Zapobiegając nadal podobnym nieprzyjemnościom, Kolumb umyślił ofiarować swoje usługi królom Hiszpanji i Anglji. Brat jego Bartłomiej wyjechał do Londynu, gdzie jak najchętniej przyjęty; lecz układy jego przerwane zostały skutkiem zobowiązań, jakie brat wówczas na siebie dwór Hiszpański. Krysztof Kolumb potajemnie opuścił Lizbonę, przy końcu roku 1488, i przybył do portu Palos. Doznał niezadługo losu wszystkich znakomitych ludzi swego wieku; niezrozumieli go współcześni. Musiał walczyć z najdziwniejszymi i najograniczeńszymi przesądami. Przepędził całe pięć lat na dworze Hiszpańskim, bez otrzymania najmniejszej zachęty. Może przypisać należy ten długi pobyt w kraju, w którym talenta jego tak źle były ocenione, tkliwej poufałości, zawiązaną pomiędzy nim a Donną Beatryksą Enrykez z Kordowy, z którą miał syna Ferdynanda, ten później napisał historją swego ojca. Zmartwiony i zniechęcony dziwną obojętnością, postanowił prosić o pomoc króla Francuzkiego. Lecz w chwili gdy się gotował opuścić Hiszpanję, jeden z jego przyjaciół, imieniem Marchena, posiadając wziętość u królowej Izabelli, zjednał mu opiekę tej monarchini; układy rozpoczęte wówczas, równie jak pierwsze bezskutku zostały. Tym razem przynajmniej oddano sprawiedliwość wielkim jego widokom; dwór tylko uznał, iż nagroda, jakiej żądał w razie dopięcia swych zamiarów, zbyt była wielką.

Kolumb przywiedziony do rozpacz, że z taką nieufnością i obojętnością przyjmowano wielkie jego widoki i silne dowodzenia, postanowił opuścić kraj,

w którym tak liczne spotkały go zawady. Lecz w tymże samym czasie, królowa, przekonana naręście o całej ważności odkryć mogących być dokonaniem przez Kolumba, i jak wiele złego wyniknie, jeśli ustąpi takich korzyści innemu mocarstwu, postanowiła zaspokoić z własnych dochodów wszystkie wydatki wyprawy. Kurjer wysłany w ślady zbiega, doścignął go o dwie mile od obozu Santa-Fe, gdzie król wtenczas przesiadywał. Kolumb lękając się, aby znowu w nadziejach zawiedziony nie został, natychmiast wrócił z posłańcem. Nakoniec, po ośmiu latach cierpień, i bezkorzystnych błagań, pomyslny skutek uwieńczył jego usiłowania, i dwór hiszpański powierzył mu wyprawę morską i odkrycie Nowego-Swiata.

Dnia 19 Kwietnia 1492, podpisane zostały przez dwór hiszpański, artykuły układu, nadające Krysztofowi Kolumbowi dziedziczny tytuł admirała i vice-króla wszystkich mórz, lądów stałych i wysp, które odkryje. Dnia 12 Maja wyjechał do portu Palos, gdzie się odbywało uzbrojenie. Trzy okręta składały małą tę flotę. Okręt Kolumba nazywał się Santa-Marja; drugi, dowodzony przez Alondza Pinzon, nosił miano Pinta; trzeci, którego kapitanem był Janez Pinzon, brat Alondza, nazywał się Nina. Marcin Pinzon, najmłodszy z trzech braci był sternikiem na statku Pinto. Załoga trzech okrętów, licząc w to majtków, wynosiła podług niektórych pisarzy czterdziestu, a wedle innych sto-dwudziestu ludzi.

W Piątek, 3 Sierpnia 1492 wyprawa ruszyła pod żagle; Kolumb skierował naprzód ku wyspom Kanaryjskim, gdzie się na krótki czas zatrzymał. Odplynął ztamąd 6 Września. Początkowie wiatr był niezmiernie słaby, czasem nawet zupełnie ustawał, tak iż flotta nader małą przestrzeń upłynęła; lecz następnego dnia stracono ziemię z oczu.

Jedenastego Września, o sto pięćdziesiąt mil od *wyspy Żelaznej*, znaleźli maszt okrętowy, który zdawał się być tam wichrem zaniesiony. Kolumb uwa-

żał codziennie wysokość słońca; dostrzegał nachylenie się igły magnesowej i badał z pilnością widok niebios i wszelkich zjawisk na Oceanie. Dnia 15 Września o trzysta mil od wyspy Żelaznej, morze czyste było jak zwierciadło, gdy nagle ujrzano kulę ognistą, spadającą do morza, o pięć mil blisko przed okrętem. Przez owe dziewięć dni, wiatr ciągle wiał od wschodu. Majtkowie, którzy nigdy niezapuszczali się tak daleko od stałego lądu, uważając że wiatr nieprzyjazny powrotowi dał ciągle od ich wyjazdu, wmówili w siebie że już nigdy niepowrócą do Hiszpanji. Nazajutrz postrzegli jednak kilka ptaków, należących do gatunku, nieoddalającego się więcej jak na dwadzieścia mil od brzegów; to spotkanie ożywiło ich nadzieje. Wkrótce morze pokryło się roślinami morskimi, które zdawały się być świeżo od skał oderwanymi, powzięli przeto przekonanie że się zbliżają do lądu. Dnia 18, Alondzo Pinzon, którego statek był na czele floty, doniósł Kolumbowi iż widział mnóstwo ptaków na zachodzie, i mniema iż postrzeżę ziemię na północ. Lecz Kolumb, przekonany że to pomyłka tylko, rozkazał mu dalej płynąć. Zarzucili ołowiankę w tym miejscu i znaleźli głębokość na sto sążni, niedostawszy się jednak jeszcze do dna.

Majtkowie, widząc się zawiedzionymi w nadziejach znaleźć się nanowo i gorzko utyskiwali, że tak są wystawieni na Oceanie bez wszelkiej pomocy.

Dwudziestego dnia, postrzeżono ptaki lecące od zachodu; ujrzano także i wieloryba. Morze całkiem było okryte pływającymi porostami wodnemi, te skazówki bliskości lądu uspokoiły na chwilę szemrania. Nazajutrz, wiatr dotąd im pomyślny, zwrócił się ku południo-zachodowi, i stał się przeciwnym. Majtkowie, pomiędzy którymi od dawna tłało powstanie, wykrzyknęli wówczas że ponieważ wiatr sprzyja ich powrotowi do Europy, należy przeto spieszyć z niego korzystać. Kolumb starał się uspokoić ich, zapewniając że wiatr ten był tylko lekkim powiewem, wskazującym bliskość ziemi. Lecz mi-

mo tych tłumaczeń i przedstawień, coraz bardziej zwiększało się nieukontentowanie. Niezadługo otwarty bunt powstał i nieukontentowani nalegali aby natychmiast powracano do Europy. Kolumb postąpił z rzadką roztropnością; zachęcał jednych, przekładając że ziemia nie może być daleką; innym groził gniewem królewskim. Wiatr jednakże coraz stawał się gwałtowniejszym; morze wzdymało się co chwila, i niepodobna było płynąć ku zachodowi. Ta przymuszona zwłoka, zgadzająca się z życzeniami majtków, usmierzyła na chwilę powstanie. Codziennie widziano ptaki i łapano raki morskie, w ziołach pływających po wierzchu wody. Korzystając z tych niezawodnych znaków bliskości ziemi Kolumb uspokoił wszystkich umysły, skierował znowu ku zachodowi. Lecz cisza była tylko pozorną; szemrania powstały bardziej złowrogie niż kiedykolwiek. Majtkowie zaczęli się gromadzić i oświadczyli głośno, iż uczynili zadość swęj powinności, posuwając się dalej na oceanie niż którykolwiek żeglarz dotąd śmiał to uczynić, że admirał chce ich poświęcić swęj dumie, że o własnej tylko myśląc stawie, nietroszczy się o zgubę innych. Niektórzy wnosili nawet aby go wrzucić w morze, a potem wrócić do Hiszpanji. Kolumb pojął niebezpieczeństwo swego położenia, i użył wszelkich sposobów mogących ukoić nieukontentowanie towarzyszy, wystawił im skutki ich nieuległości, przytoczył zjawiska równie liczne jak niezawodne, wskazujące bliskość ziemi; zapewniał, że niezadługo znajdą przedmiot swych poszukiwań. Usmierzyło się nakoniec gwałtowne powstanie; lecz niespokojność i obawa nie były jeszcze zupełnie rozproszonemi.

Dnia 25 Września, przy samym zachodzie słońca Kolumb rozmawiał z Janem Pinzonem, gdy jeden z majtków zawołał: «Ziemia! ziemia!» wskazując na czarny punkt ku południo-zachodowi, oddalony blisko o dwadzieścia pięć mil. Okrętowa osada najżywszą uniesioną radością, zaczęła dzięki składać Bogu; obsypano admirała podziekowa-

niami i puszczono się natychmiast ku stronie, w której postrzeżono ziemię; przez całą noc flotta płynęła w tym kierunku. O świcie, wszystkich oczy zwróciły się ku południo-zachodowi; lecz ziemia, która wczoraj wznicała tak wielkie uniesienia radości, zniknęła całkiem i z największym zalem, skierowano napowrót ku zachodowi.

Dnia 1 Października, wyrachował Kolumb że się znajdują o siedmset mil na zachód od wysp Kanaryjskich. Nazajutrz nadzieja floty bardziej się ożywiła na widok ptaków liczniejszych jak dnia poprzedzającego, wielkie mnóstwo ryb otaczało statek; na trzeci dzień ptaki i ryby zniknęły zupełnie, a majtkowie sądzą że flotta opłynęła jakąś wyspę niepostrzegłszy jej. Żądali od admirała, aby kazał zwrócić w prawo lub lewo, dla szukania owych wysp mniemanych; lecz Kolumb niezachwiany ciągle płynął ku zachodowi; to wszystko co widział, nie wskazywało mu stanowczo, w której stronie znajduje się ziemia. Stałość jego wzbudziła niechęć, wybuchnęło powstanie straszliwsze niżeli poprzednie; słowem, nie był odtąd panem na flocie. Na szczęście Opatrzność przysłała mu w pomoc; 4go Października, skazówki zwiastujące ziemię coraz się bardziej pomnażały; ptaki latały tak blisko okrętu, że jeden z majtków zabił kilka kamieniami; w Hiszpanach powstała na nowo odwaga. 7go mniemano na statku *Santa-Marya* że postrzeżono ziemię; lecz po tylu zawodach, nie śmiano już mieć nadziei. *Nina*, płynąca na czele, sądząc że to była istotnie ziemia, zaczęła strzelać z armat i wywiesiła chorągiew. Wielką była radość i poruszenie całej floty; lecz w miarę jak się posuwano, mniemana ziemia coraz się bardziej zmniejszała i nakoniec zniknęła zupełnie. Wtenczas smutek i niespokojność wróciły z większą jeszcze siłą. Jednakże nieustannie latały po nad statkami niezmiernie stada ptaków, a Kolumb utrzymywał, iż rozróżnia pomiędzy nimi niektóre, nie oddalające się nigdy bardzo od lądu; zważając on iż wszystkie dożyły ku południo-zachodowi, postano-

wił puścić się w tym kierunku. Oświadczył później załodze okrętowej, iż nie spodziewał się nigdy znaleźć bliżej ziemi, jak o siedmset pięćdziesiąt mil, i że nadeszła wreszcie chwila, w której wierni jego towarzysze osiągną cel wszystkich swych życzeń.

Dnia 11 Października, oznaki bliskości lądu stały się widoczniejszemi. Trzcina zupełnie zielona przepłynęła około statku, i niezadługo potem postrzeżono ryby, przesiadujące w rozpadlinach skał. Pinta złowiła trzcinę bambusową, i deskę po prostu wyżłobioną. Zarzucono ołowiankę o zachodzie słońca, która dostała do dna; wiatr stał się nieregularnym, a ta ostatnia okoliczność najzupełniej przekonała admirała, że ziemia nie była daleką. Majtkowie zgromadzili się podług zwyczaju na modlitwę wieczorną. Po jej skończeniu, Kolumb wezwał ich aby złożyli dzięki Bogu, że ich zachował przez ciąg tak długiej i niebezpiecznej podróży, i oświadczył, że skazówki sąsiedztwa ziemi zbyt teraz były pewne aby im można było niewierzyć. Zalecił przeto by pilnie czuwali przez noc całą, gdyż niezawodnie odkryją ziemię przed wschodem słońca; przyrzekł aksamitną suknię temu, który ją pierwszy ujrzy, oprócz pensyi 10,000 marawedów, zapewnionej przez króla. Około dziesiątej z wieczora, Kolumb siedział na tylnym okręcie; w tym postrzegł nagle światło, które spiesźnie wskazał Piotrowi Gutieres. Przywołali oni natychmiast Szansa z Segowji, zbrojownika i puskarza; lecz nim ten nadszedł, już owo światło zniknęło; jednak postrzegli je po dwakroć jeszcze. O drugiej po północy, Pinta, płynąca na czele, zwiastowała umówionym znakiem, że także ziemię spostrzeża. W nocy więc 11 Października 1492, nastąpiło odkrycie Nowego-Swiata. Hiszpanie z utęsknieniem wyglądali dnia, gdyż pragnęli niecierpliwiej ujrzeć ową ziemię, tak długo upragnioną, a której wielu z nich niespodziewało się nigdy zobaczyć. Nadszedł wreszcie dzień, i zachwycone ich oczy ujrzały w dalekości pagórki i doliny, okryte zielonością. Wszystkie trzy

okręta ruszyły ku brzegowi o wschodzie słońca. Osada Pinty, płynącej na czele, odśpiewała *Te Deum*, i wszyscy szczerze złożyli dzięki Bogu za pomysłny skutek podróży. Zbliżywszy się postrzegli mnóstwo krajowców, zgromadzonych na lądzie. Kolumb wsiadł do szalupy z Alondzem i Janez Pinzonem mając w rękę sztandar Królewski. Hiszpanie składający osadę trzech okrętów, wstąpili na ląd wzniesli krzyż, i rzucając się na kolana, ze łzami w oczach, podziękowali Bogu za jego dobroć. Kolumb powstał, nazwał wyspę *San Salvador*, i objął ją w posiadłość, w imieniu Króla Hiszpańskiego, w obec krajowców, zdziwionych i milczących. Kastyljanie, z kolei, ogłosili go admirałem i Vice-królem Indji, poprzysięgłszy posłuszeństwo. Uczucie sławy jaką na zawsze pozyskali, zwróciło ich w karby posłuszeństwa.

Wyspa którą Hiszpanie odkryli, zwaną była przez krajowców *Guanahani*; lecz odtąd zachowała miano *San-Salvador* które jej nadał Kolumb. Mieszkańcy zdawali się być prości i nie zaczepni. Ogarnęło ich początkowo nadzwyczajne podziwienie, gdy ujrzeni białą płcią Hiszpanów, ich brody i ubior; lecz nie długo przybliżyli się do nich z ufnością, i byli zachwyceni, gdy nowo-przybyli ofiarowali im czapki różnobarwne, paciorki szklane, i inne podobne drobnostki. Gdy admirał powrócił na statek, niektórzy towarzyszyli mu aż do czółen, inni rzucili się w pław, i wkrótce ze wszystkich stron otoczyli szalupę. Mężczyźni i kobiety, byli zupełnie nędzy; nie znali użytku żelaza i wielu z nich zraniło się z lekka, ściskając w rękę klingi pałaszy hiszpańskich. Nazajutrz przybyli na statki zamieniać bawełnę, za szkiełka i inne małej wartości przedmioty. Nosili zawieszane przy uszach małe blaszki złote, które wkrótce zwróciły na siebie uwagę Hiszpanów. Pytano ich z kąd biorą to złoto, odpowiadali wskazując rękami na południe, dając przez to do zrozumienia, że to złoto pochodzi z kraju położonego w tamtej stronie. Kolumb postanowił szukać tej nowej zie-

mi, lecz nim opuścił *Guanahani*, przekonał się, po baczniem rozpatrzeniu, iż nieodniesionoby żadnej korzyści z założenia osady na tej wyspie. Zabrał z sobą siedmiu krajowców, aby mu służyli za tłumaczy.

Flota rozwinięszy żagle i skierowała się ku południowi, odkryła kolejno wyspy *Poczęcia*, *Ferdynanda*, i *Isabelli* i wiele innych. Im dalej posuwano się, tém więcej otrzymywano szczegółowych i wyraźnych objaśnień, o krainie obfitującej w złoto; uwiadomiono ich prócz tego iż się ona nazywała *Kuba*. Płynąc ciągle ku południowi, flota przeszła pomiędzy małemi wyspami *Los Arenas* i *Los Miraporos*, i odkryła 27 października brzegi *Kuby*; Hiszpanie okrążyli północną część tej wyspy; lecz wszędzie, gdzie tylko usiłowali wysiąść, krajowcy natychmiast uciekali. Z wielkim trudem zaledwie Indjanie, zabrani z *Guanahani*, zdołali rozmówić się z niemi i uspokoić ich trwogę. Owi tłumacze dowiedzieli się, że wyspa *Kuba* wydaje złoto, lecz że to daleko obficiejsz znajduje się w kraju, leżącym bardziej ku wschodowi.

Hiszpanie mniemali na ówczas że ziemię którą odkryli, zawierają nieprzebrane skarby, o niżem przeto nie myśleli tylko o przywłaszczeniu sobie owych bogactw. Alondzo Pinzon dowódca Pinty, najszybciejszego statku z całej floty, chcąc pierwszy przybyć do ziemi złota, rozpuścił z wiatrem wszystkie swoje żagle, i niezadługo stracono go z oczu. Kolumb pozostawszy z dwoma tylko okrętami, opuścił 5 grudnia, wschodnie wybrzeże *Kuby*, i dostał się niezadługo do kraju, który mu tak pięknie opisywano; krajowcy zwali go *Hajti*; Kolumb nadał mu miano *Hispaniola*; lecz później nazwany został *San-Domingo*. Okręta stanęły początkowo w porcie Świętego Mikołaja; lecz przekonawszy się, iż ta część wyspy była zaledwie zaludnioną, opłynęły brzeg północny, i zarzuciły kotwicę w niewielkiej odległości od miejsca, na którym wzniosło się później miasto zwane przylądek Francuzki. Hiszpanie użyli wiele trudności nim zawiązali stosunki z krajowcami,

którzy podobnie jak mieszkańcy Kuby, uciekali przed nimi; lecz szczęśliwy wypadek zmienił niezadługo postać rzeczy. Hiszpanie uratowali Indianina, który z czółnem się przewrócił, i bez ich pomocy byłby niezawodnie utonął. Przyjęto go na okręt, i obsypanego względami, odesłano na ląd. Uwiadomił on swych rodaków o przyjęciu jakiego doznał, ci wkrótce nabrali ufności i tłumem cisnęli się do okrętów, z owocami i inną żywnością. Zamieniali swe złoto za kawałki porcelany, i inne bagatele niemające żadnej wartości. Rządca tameczny, czyli *Kacyk*, (tak go bowiem poddani nazywali), zapragnął widzieć cudzoziemców, o których tak wiele dobrego powiadano. Kolumb przyjął go jaknajlepiej; władca ten nazywał się Gwakanagari; i okryty był złotem i ozdobami, uwiadomił on Hiszpanów, że kruszec, który tak nadzwyczajnie obudzał w nich uwielbienie, znajduje się w *Cibao*, krainie położonej nieco dalej ku wschodowi. Kolumb zwiedziony podobieństwem nazwisk, sądził z razu że to było *Zipangu*. Lecz poznał później, że *Cibao* brało swe miano od wielkiej góry, znajdującej się w środku wyspy. Kolumb odwiedził *Kacyka* w jego stolicy, i był przyjęty z największemi honorami, zawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń, którą czas jeszcze bardziej utrwalił.

Wyruszywszy z Hispanioli, flota zwróciła się ku wschodowi, dla szukania złotych kopalni *Cibao*; 24 grudnia, około jedenastej wieczorem, gdy Kolumb tylko co się położył, okręt jego wpadł na piaski, i pomimo wszelkich usiłowań, pękł niezadługo. Kolumb schronił się z resztą załogi na statek *Nina*. *Kacyk* wysłał natychmiast czółna na pomoc Hiszpanom, rozkazał ratować ich rzeczy, sam nawet oznaczył miejsce gdzie miały być złożone. Krajowcy najmniejszej niepopelnili kradzieży, i starali się wynieść na ląd, wszystko co tylko mogli zabrać ze statku. *Gwakanagari* przybył osobiście pocieszyć admirała, uwiadomił go w ciągu rozmowy, że poddani jego wiele cierpią od napadających na nich Ka-

raibów, ludu odważnego i okrutnego z wyspy sąsiedniej, i że mieszkańcy *Hajty* uciekali początkowo przed Hiszpanami, gdy sądzili tych cudzoziemców, równie za niebezpiecznych, jak *Karai-bów*. Admirał przyrzekł mu obronę przeciw jego nieprzyjaciółom, a korzystając z tej sposobności, prosił o pozwolenie założenia osady na wyspie. *Kacyk* chętnie na to zezwolił, wybudowano natychmiast twierdzę, ze szczątków rozbitego okrętu. Kolumb wybrał trzydziestu ośmiu ludzi, którym straż jęj powierzył, pod wodzą *Diega Arena*. Twierdza ta otrzymała miano *Natividad*, i wznosiła się blisko trzy mile od miejsca, na którym miasto *Kap* później założone zostało, przy wejściu do małej zatoki, zwaney dzisiaj zatoką *Karakola*. Kolumb pozostawił w twierdzy zapasy żywności, rozmaite przedmioty do zamiany i amunicyą na przypadek napadu. Pożegnał się z przyjacielem swoim *Kacykiem*, przyrzekłszy niezadługo powrócić.

Dnia 4 Stycznia 1493, Kolumb odplynął, i zwrócił się naprzód na wschód, dla dokonania przeglądu północnej części wyspy. Po drodze, spotkał *Pintę* przy *Monte-Christo*. Udał że poprzestaje na wymówkach jakie mu dawał *Alondzo Pinzon*, usprawiedliwiając swe nagle z nim rozłączenie. Nakoniec 16 Stycznia, 1493, oba statki ruszyły do *Hispanji*. Początkowo najpiękniejsza pogoda sprzyjała żegludze; lecz wiatr gwałtowny powstał za zbliżeniem się do wysp *Akorskich*, i *Alondzo Pinzon* znówu został rozłączony z *Kolumbem*. Mały statek admirała w największym był niebezpieczeństwie, nawałnica tak się stała gwałtowna, że sam nawet Kolumb zwątpił o możliwości wpływania do portu. Najbardziej się martwił, że odkrycie jego wraz z nim zagrzebane zostanie w falach oceanu; użył przeto wszelkich środków aby je ochronić od zaguby. Spisano na dwóch arkuszach pergaminu cały rys podróży, i umieszczono każdy arkusz w pudełku szczelnie zamkniętym, aby woda nie mogła się do niego dostać. Jedno pudełko natychmiast wrzucouo w morze, a dru-

gie zostawiono na pokładzie, dopóki wraz ze statkiem pochłonięte nie zostanie; lecz opatrność ocalała wielkiego męża. Wiatr ustał, i wszelkie niebezpieczeństwo przeminęło. Dnia 15 Lutego, ukazały się Azory, i wkrótce okręt zarzucił kotwicę przed wyspą Świętej Maryi, gdzie go naprawiono. Opuszczając wyspy Azorskie, Kolumb nowęj doświadczył nawałnicy, która go zagnała na rzekę Tagus; dopiero 15 Marca wpłynął do portu Palos, z kąd wyruszył przed siedmiu przeszło miesiącami, dokonawszy w tym przeciągu czasu ową pamiętną podróż, której inie jego winno swą nieśmiertelną wziętość. Alondzo Pinzon, w tymże samym czasie, dostał się do jednego z północnych portów Hiszpanji, i w kilka dni potem umarł.

Kolumb był przyjęty w Palos z największym uniesieniem radości. Uderzono we wszystkie dzwony, urzędnicy, w towarzystwie najznakomitszych obywateli, wyszli na jego przyjęcie, z wynurzeniem podziwu jakie w nich obudziło powodzenie tak wielkie i niespodziane. Podróż jego do dworu była prawdziwym tryumfem; lud zewsząd się zbiegał, dla przypatrzania się człowiekowi, który dokonał tak nadzwyczajnego przedsięwzięcia. Odprawił wjazd uroczysty do Barceliony. Całe

miasto wyszło na jego spotkanie. Kolumb szedł otoczony Indianami których przywiódł z sobą, wszyscy oni byli odziani we własnych swoich ubiorach. Kawalki złota i inne rzadkie i kosztowne przedmioty pochodzące z Ameryki niesiono przed nim w odkrytych koszykach; w takim orszaku doszedł aż do pałacu, niezmiernemi tłumami otoczony. Ferdynand i Izabella, siedząc na tronie, oczekiwali na jego przybycie. Skoro się tylko ukazał, Król i Królowa powstali; Kolumb ukląkł przed niemi, lecz mu rozkazali usiąść w swojej przytomności. Wówczas ze skromnością i otwartością, które cechują prawdziwą zaślęgę, opowiedział swoje podróże i odkrycia. Przedstawił towarzyszących mu Indian i kosztowne przedmioty jakie przywiódł ze sobą. Ferdynand, niewypowiedzianą uniesioną radością z dokonania tak wielkiego przedsięwzięcia, potwierdził Kolumbowi wszystkie przywileje, i pozwolił przyłączyć, do herbów rodzinnych, herby królestw Kastylji i Leonu, z emblematami swych odkryć i nowych godności; poczem zając się rozkazał przygotowaniami drugiej wyprawy, przedsięwziąć się mianęj dla uzupełnienia odkryć, zaczętych pod tak szczęśliwą wróżbą.



ROZDZIAŁ IV.

KOLUMB.

Powtórna podróż Kolumba. — Zapal powszechny. — Jego przybycie do wysp Karaibskich. — Przybija do Hispanioli. — Znajduje twierdzę zniszczoną. — Los Hiszpanów których w niej pozostawił. — Założenie miasta Izabelli. — Kolumb płynie dalej ku zachodowi. — Odkrycie Jamajki. — Poczytuje wyspę Kubę za kraj azjatycki. — Powraca chory do Hispanioli. — Nieład w interesach. — Przybycie Bartłomieja Kolumba. — Zażalenia przesłane dworowi Hiszpańskiemu. — Juan Agwado mianowany Kommissarzem. — Kolumb powraca do Hiszpanji. — Przyjęcie jakiego tam doznaje. — Jego trzecia podróż. — Odkrywa stały ląd Ameryki. — Stan osady w San-Domingo. — Bobadilla mianowany Gubernatorem. — Odsyła Kolumba do Hiszpanji w kajdanach. — Powszechne współuczucie dla admirała. — Owando następuje po Bobadillu.

Odkrycie świata nowego wzbudziło w Europie powszechną radość. Uważa-
no Kolumba jako istotę przeznaczoną od Opatrzności do zdziałania wielkich

rzeczy. Żegluga przez ocean, pod takim przewodnikiem, nie wzbudzała już ani obawy, ani nieufności. Przeciwnie, podług powszechnego zdania wiodła ona do niezawodnych i nieograniczonych bogactw. Zaszczyty, któremi obypypywali Kolumba wdzięczny Król i Królowa, złoto i rzadkie płody jakie przywiózł ze świata nowego, wszystko się to łączyło dla wzniesienia odwagi i dumy w jednych, a skąpstwa i chciwości w drugich. W czasie pierwszej wyprawy, doświadczone największych trudności w przygotowaniu trzech małych statków; tak bowiem uważano to przedsięwzięcie za niepodobne do wykonania, że nigdyby nie uzupełniono potrzebnej liczby majtków, gdyby nie osobisty wpływ Pinzonów. Marcin Alondzo Pinzon, najstarszy z rodziny, posiadał poważanie w Andaluzji. Z zapalem chwycił się on przedsięwzięcia Kolumba; pożyczył mu pieniędzy; zakupił potrzebne zapasy; i sam nawet z dwoma braćmi wsiadł na okręt, chcąc dzielić trudy i niebezpieczeństwa wyprawy; nieszczęściem chybił tylko że zapomniał względów przynależnych admiralowi.

Przekonanie, iż uczynił rzecz niedościgną sobie, zwiększyło jego cierpienia i skróciło życie.

Kolumb przedsięwzięcie przygotowania do drugiej wyprawy, nie doznał żadnych trudności; zebrał niezadługo flotę złożoną z siedemnastu statków, to jest, trzech wielkich okrętów, i czternastu karawell; wiodł z sobą tysiąc pięćset ludzi, powiększając część ochotników, pełnych nadziei i zapału, pragnących zebrać pierwszy plon złota i sławy, oczekujący ich w nowym świecie.

Dnia 25 grudnia, o wschodzie słońca flota ruszyła pod żagle z zatoki Kadyksu. Tym razem admirał dążył ku przyładowi Zielonemu, zamierzając udać się z tamtąd drogą, którą płynął w pierwszej swej podróży. Dnia 13 października, pominęli wyspę Zieloną, flota pędzona pomyślnym wiatrem, z lekka kierowała się ku zachodowi; 2 listopada, odkryto wyspę, którą nazwano *Dominika*, na pamiętkę że

ją postrzeżoną w Niedzielę. Kolumb wówczas poznał wyspy Karaibskie i ich mieszkańców, ów naród, który spokojni wyspiarze Hiszpanioli mu odmalowali za tak straszliwy. Gdy flota okrążyła *Antylle* czyli wyspy *Wietrzne*, Hiszpanie musieli stoczyć z krajowcami kilka utarczek w których doświadczyli ich oporu i odwagi; niewiasty walczyły z równą rozpaczą jak mężczyźni.

W Gwadalupie, Hiszpanie pierwszy raz ujrzeli rokoszny owoc ananasa, i przejęci zostali zgrozą na widok jak dzieje piekli przy ogniu kawały ciała ludzkiego, lub je rozwieszali w swych chatkach dla dalszego zapasu. Okropność ta nieosłabiła jednak ich odwagi; pojmali kilku Karaibów i uprowadzili ze sobą do Hiszpanioli, gdzie przybyli 22 listopada.

Zbliżywszy się do wybrzeża, na którym zbudowano twierdzę *Navidad*, Hiszpanie będący na flocie, z obawą oczekiwali na znaki współrodaków, zostawionych na wyspie w czasie pierwszej wyprawy; lecz ponure milczenie panujące wzdłuż brzegu, zwiastowało im jakieś nieszczęście i napełniało ich obawą. Żadne czółno nie wypłynęło naprzeciw okrętom. Krajowcy, tak uprzejmi, tak przychylni dawniej Hiszpanom, teraz stali na ustroniu; lecz wkrótce odgadniono powód tej tajemniczej obojętności, gdy znaleziono twierdzę *Navidad* obróconą w perzynę, i załogę zupełnie zniszczoną przez Indian.

Smutny los pierwszych osadników Hiszpanioli głęboko dotknął nowych awanturników; a przenikliwy umysł łatwoby ujrział w tych klęskach groźną przepowiednię przyszłych nieszczęść. Skoro tylko na nowo zawiązano stosunki z krajowcami, powzięto następujące wiadomości; załogę admirał oddalił się od brzegów, załoga twierdzy, zapominając wszelkiej karności obesła się z Indianami z jak największym okrucieństwem. Ów lud, który w swojej prostocie, uważał nowo przybyłych za istoty wyższego rzędu, teraz przestał się ich lękać i szanować. Wyuzdane nadużycia których się Hi-

szpanie dopuszczali, dowiodły ich nieprzyjaciółom, że równie będzie rzeczą łatwą jak i potrzebną ich wyniszczyć. Błędy osadników stały się więc najbardziej nauczającą częścią owej tragicznej historii. Aby się nadal tego uchronić. Kolumb postanowił w innym miejscu nową założyć osadę. Na ten cel wybrał płaszczyznę z dobrym portem, nie bardzo oddaloną od góry Cibao, która, jak twierdzono, zawierała w sobie obfite kopalnie złota. W tym to miejscu położył on fundamenta miasta które nazwał Izabella. Gmachy publiczne jak na przykład kościoły i składy, wzniesiono z kamienia; inne domy pobudowano ze trzciny, gipsu i wszelkich materiałów, jakie były pod ręką.

Przeglądając potem w rozmaitych kierunkach głąb kraju, dla znalezienia kopalni złota i srebra, Kolumb usiłował zjednać sobie przyjaźń Indian; i natchnąć duchem porządku i pracowitości powstającą osadę; potem przygotował się do nowej odkryciowej podróży na zachódzie. Ustanowił Juntę czyli Radę, na czele której umieścić swego brata, ta w jego nieobecności miała samowładnie zarządzać. Ukończony to wszystko, wyruszył pod żagle 24 kwietnia 1494, z flotyllą złożoną z trzech małych statków. Zamierzył on rozpoznać dalsze brzegi Kuby, zaczawszy od miejsca, na którym zakończył poszukiwania w czasie pierwszej podróży, i posunąć się jak tylko można najdalej ku zachodowi, płynąc wzdłuż brzegów w mniemaniu iż one są częścią stałego lądu Azji.

W pięciu dniach, admirał dostał się do wschodniego krańca Kuby, zwanego dzisiaj pod nazwą przylądka *Maysi*; opłynął potem południowe nadbrzeże wyspy. Wszędzie, gdzie tylko zatrzymywały się statki, Indianie tłumnie się zbiegali, dowożąc w czółnach owoce i żywność dla cudzoziemców, na których z podziwieniem i uwielbieniem patrzyli. Na zwykłe zapytanie: — «Gdziebyśmy mogli znaleźć złoto?» — odpowiadali znakami, że w wielkim kraju leżącym na południe. Wówczas s

Kolumb postanowił zmienić kierunek; 3 Maja zwrócił się ku południowi i niezadługo potem ujrzał błękitne góry *Jamajki*. Zbliżając się do brzegów Hiszpanie zdziwieni zostali widokiem urodzajności gruntu i urozmaiconych krajobrazów. Mieszkańcy zdawali się im bardziej wojennymi i przemysłniejszymi od mieszkańców Kuby czyli Hispanioli; budowa ich czółen, zdobnych kształtną rzeźbą, wykazywała bardziej posunioną sztukę; niektóre z tych czółen, zrobione z jednego pnia, miały więcej niżeli dziewięćdziesiąt stóp długości.

Nieziściły się jednak nadzieje Hiszpanów; nie było złotych kopalni w Jamajce, a Kolumb dumny że tyle od kryć pomógł jeszcze tą wspinał się krajiną, puścił się dla czynienia dalszych poszukiwań wzdłuż brzegów Kuby. Płynąc ciągle ku zachodowi, trafił na grupę małych wysp, z których jedne były suche i nieplodne, inne rozpościerały przed oczyma wszystkie cuda roślinności zwrotnikowej. Jak drzewa i kwiaty, podobnie ptaki i ryby jaśniały świetnymi barwy, które natura z takim upodobaniem rozsiewa w pięknych owych klimatach. Kolumb uniesiony ognistą wyobraźnią, mniemał początkowo, iż znalazł wręście ów archipelag Indyjski, przez Mandewilla i Marko Pola tak świetnie opisany. Dowiedział się prócz tego od krajowców, że na zachód, znajduje się wielki kraj, zwany *Mangon*, którego mieszkańcy chodzą w ubraniu. — Wniósł że to było Mangi podróżników weneckich. Skierował zatem ku zachodowi, w nadziei że potrafi opłynąć kulę ziemską, i powróci do Europy, przejściem świeżo odkrytym na około Afryki. Lecz trudność niebezpiecznej żeglugi wzdłuż krętego brzegu, odjęła wszelką odwagę jego towarzyszy; statki znajdowały się w jak najgorszym stanie, i niepodobieństwem było przynajmniej w obecnej chwili, dalej płynąć. Kolumb jednakże nie chciał zaniechać swego ulubionego zamiaru, dopóki wszyscy majtkowie niepodpisali się i niepoświadczyli, że w ich przekonaniu Kuba była lądem stałym, należącym do

Indji. Ferdynand Perez Lima, Sekretarz wyprawy, w obecności czterech świadków, płynął od statku do statku, spisując nazwiska tych, co podzielali zdanie admirała. Szczególny ten dokument dotąd jeszcze istnieje. Gbyby dwa lub trzy dni jeszcze dalej żeglował Kolumb, byłby się dostał do zachodniego krańca wyspy i poznał prawdę. Powracając do osady, flotta zatrzymała się znowu w Jamajce, a okrążywszy południowe jej brzegi, skierowała potem ku południowej stronie Hiszpanii; lecz tam doznała licznych nawałnic, i musiała ciągle walczyć z przeciwnymi wiatry. Ucichła nakoniec burza, i Kolumb znowu puścił się na morze w zamiarze skierowania na zachód i odkrycia reszty wysp Karaibskich; lecz nadzwyczajne trudy, nadwreżyły silne jego zdrowie. Wpadł w głęboki letarg, i wstanie najzupełniejszej nieczułości, przywieziono go do portu Izabelli.

Nie zadługo po odplynieniu Kolumba do Kuby, brat jego Bartłomiej Kolumb przybył do nowej osady. Szcześliwy ten wypadek nie mało się przyczynił do przywrócenia zdrowia admirałowi. Bartłomiej Kolumb posiadał odwagę, wielkie talenta i niezmiernie był czynny. Był oprócz tego biegłym i doświadczonym żeglarzem. Utrzymują nawet, iż towarzyszył Bartłomiejowi Diaz w sławnej podróży odkrycia przyładka Dobrzej-Nadziei. Wśród nieładu panującego w osadzie, pomoc takiego człowieka była dla Kolumba nieocenioną. Wkrótce też nadał mu tytuł Adelantada, czyli Vice-Gubernatora. W czasie nieobecności Kolumba, wszystkie interesa nowej osady popadły w najopłakaniejsze zamieszanie; ludzie którzy z nim przybyli z Hiszpanji, byli po większej części tylko chciwymi awanturnikami, którzy się spodziewali bez trudów nagromadzić wielkie bogactwa, w kraju który im przesadzone opisy wystawiły jakoby w sobie zawierał wszystkie skarby natury. Lecz gdy doznali trudności sprzeciwieństwa, przeszli z największych uniesień do najzupełniejszego zniechęcenia; z największą trudnością zaledwie mogli się zao-

patrywać w pierwsze potrzeby, oskarżali więc Kolumba że był sprawcą tych wszystkich nieszczęść; najniespokojniejsi wzniecili zaburzenie, opanowali kilka okrętów stojących w porcie i odplynęli do Hiszpanji. Pomiedzy zbiegami znajdował się brat Boyl, franciszkanin, pierwszy opowiadacz Ewangelii w Indjach Zachodnich; znalazłszy sposobność wynurzył przed całym dworem swe uzalenia na zarząd Kolumba. Prezydent rady Indyjskiej, Fonseka biskup z Bajadoz, żacięty nieprzyjaciel admirała potwierdził te oskarżenia, wskutku czego wysłano Kommissarza, z poleceniem zbadania osady. Urzędnik ów nazywał się Żuan Aguado, i należał do strony przeciwniej admirałowi, zbierał więc wypadki do swego raportu w wyraźnym duchu nieprzyjazni, Kolumb postanowił towarzyszyć mu do Hiszpanji, w nadziei iż zdoła naprawić popełnione przez siebie błędy.

Gdy Kolumb ukazał się na dworze hiszpańskim, jak najzaszczytniej został przyjęty. Obraz tchnący szczerością, jaki przedstawił królewskiej parze, nieładu panującego w osadzie, widoczna jego troskliwość o dobro tego zakładu, rozsądne plany przyszłego ulepszenia, to wszystko zjednało mu ufność Ferdynanda i Izabelli, a potępiło nieprzyjaciół, którzy go oczerniali śmieli. Wysłano do Hiszpanii staki naładowane żywnością i posiłkami w żołnierzach. Lecz dochody Hiszpanji tak wówczas były wyczerpane wojnami z Europą, iż dwa lata upłynęło nim zdołano uzbroić flotę dla przewiezienia admirała.

Nakoniec 30 Maja 1498, Kolumb wypłynął z sześciu okrętami, i rozpoczął trzecią podróż. W powtórnej wyprawie więcej kierował się na południe niż w pierwszej i mniej ucierpiał od zmiennych wiatrów; tym razem dla uzupełnienia doświadczeń, popłynął jeszcze bardziej w tym kierunku. Opuszczając wyspy Przyładka-Zielonego, skierował ku południo-zachodowi o pięć stopni od równika. Tam najzupełniejsza cisza zatrzymała jego okręta, i dokucające upały tak się

stały gwałtownymi, że przypomniały nieszczęśliwym żeglarzom bajkę o owej strefie gorącej, którą prostopadłe promienie słońca czyniły niemieszkalną dla ludzi. Powietrze tak było ciężkie i tak przykro działające na nerwy, iż po kilku dniach musiano zwrócić się, ku północy-wschodowi. Dnia 31 czerwca, postrzeżono ziemię: trzy szczyty gór okazały się na widokregu; zbliżywszy się do nich, poznał Kolumb iż były u spodu ze sobą złączone; z powodu tej okoliczności, nadał tej wyspie nazwę *Trynidad* czyli *Trójca*.

Zwróciwszy się potem w stronę południowo zachodnią Kolumb wpłynął do wielkiej zatoki *Paria*, i posirzegł ziemię ciągnącą się ku południowi, jak tylko oko dosięgnąć mogło. Mniemał początkowie iż przybił do brzegu jakiej rozległej wyspy; lecz silne bałwany w głębi zatoki, i bystry prąd wybiegający z niej ku północy, wkrótce zmieniły jego zdanie; wniósł że zjawisko to pochodziło od wód wielkiej rzeki, wpływającej w morze, na owych płaszczyznach ukazujących się od południa, a mającej swe źródło w wielkich górach, położonych w znacznej odległości, zapewne blisko równika. Rzeka, której tym sposobem odkrył istnienie, była to *Orenoka*. Kolumb z podziwieniem patrzył na płodność tej krainy, łagodne powietrze i piękną cerę mieszkańców, zwłaszcza gdy ich porównywał z afrykanami znajdującymi się pod tymże samym stopniem szerokości. Kolumb wśród uniesień radości i zapału, mniemał iż znalazł raj ziemski, i że owa wielka rzeka, buchająca swe wody w zatokę *Paria*, wypływała z ogrodów *Edenu*. Niezmierne mnóstwo pereł, które krajowcy znosili Hiszpanom, nie mało przyczyniło się także do rozplamienia jego wyobraźni. Okręta doświadczyły trudności w przebyciu *Paszczeki Smoka*, (tak zwano wązki kanał oddzielający przylądek *Paria* od wyspy świętej *Trójcy*.) Optnęły ład stały na zachód, aż do wysokości wyspy *Matgorzaty*, zkad udały się prosto ku Hiszpanioli.

Przybywszy do miasta *San-Domingo*,

które z rozkazu jego założone zostało przez jego brata *adelantada*, znalazł osadę pogrążoną w bezrządzie i nieładzie najzupelniejszym; przywrócił *Roldana*, do urzędu *alkada-majora*, czyli wielkiego-sędziego; temi pojednawczemi środkami przytłumił zewnątrz plamienie powstania; lecz ogień niezgody ułał jeszcze w sercach; stronnieta tak długo sobie nieprzyjaźne, zachowywały tylko pozór spokojności. Każdy okręt odpływający do Hiszpanji; wiozł z sobą nowe skargi i nowe szemrania; z drugiej strony, *depeze* admirała, uwiadamiające dwór o poczynionych odkryciach, nadmieniały także ciągle o powstaniach, nieporozumieniach z *Indjanami*, zagrażających istnieniu osady. Postanowiono zatem wysłać do Hiszpanioli urzędnika, upoważnionego do objęcia tymczasowie najwyższej władzy i przywrócenia porządku. Poselstwo to powierzono *Franciszcowi Bobadilla*, dworzaninowi królewskiemu, był to człowiek słaby i gniewliwy; a że w podobnych okolicznościach interes własny nakazywał mu używać bez granic powierzzonej sobie władzy, zaledwie więc przybył do Hiszpanioli, obszedł się z Kolumbem jak ze zbrodniarzem, rozkazał go przytrzymać i okuć w kajdany. Wielki ów człowiek tak został dotknięty tém niegodnym obejściem się, i nienawiścią jaką mu okazywano, że sądził iż *Bobadilla* nastaje na jego życie. Gdy *Vallejo*, dowódca okrętu na którym miał admirał odpłynąć do Hiszpanji, wszedł do więzienia, dla przeprowadzenia Kolumba na statek ten mniemając że go chcą prowadzić na rusztowanie, zaczął wołać głosem rozpaczny: — « *Vallejo*, co zamýszasz z mną czynić? » Zaledwie powtarzane zapewnienia godnego officera, uspokoić go zdołały.

Przybywszy na statek niepozwoilił aby mu zdjęto kajdany; silny ufnością w swego jeniusza, pewny przyszłej sławy, dzwigał z dumą owe do wody niesprawiedliwości losu, a wynurzył nawet życzenie aby je z nim raw grobie złożono.

Gdy się dowiedziano w Hiszpanji że

Kolumb wraca obciążony kajdanami, głośno oburzano się przeciwko tym, co się tak niegodnie obeszli z człowiekiem, tak wielkie mającym zasługi. Niesłychana ta surowość wykazała gwałtowność jego nieprzyjaciół. Wspaniałomyślna Izabella czuła bardzo wyrządzoną Kolumbowi niesprawiedliwość, a Ferdynand lubo nie zbyt mu przychylny, uległ jednak publicznemu

zdanu. Na rozkaz jego Kolumb wraz z bracią natychmiast został uwolniony i przyjęty u dworu z oznakami największego poważania. Ferdynand słuchał z uprzejmością usprawiedliwienia admirała, zdawał się być zupełnie zadowolony, odwołał natychmiast Bobadilla, i następcą jego mianował Don Mikołaja Owando, człowieka nader godnego.



ROZDZIAŁ V.

KRYSTOF KOLUMB I AMERYK WESPUCJUSZ

Czwarta podróż Kolumba. — Wypadki w Hiszpanii. — Kolumb dostaje się do Honduras. — Zbiera wiadomości dotyczące się Meksyku. — Rozpoznaje wybrzeże Weraagua. — Cierpienia doznane w czasie wyprawy. — Rozbite na brzegach Jamajki. — Śmiała podróż czółnem do Hiszpanii. — Niedostatek w jakim się znajduje Kolumb. — Nieludzkie obciążenie Owanda. — Admirał otrzymuje nakoniec pomoc. — Powraca do Hiszpanji. — Jego zgon. — Cześć oddana jego zwłokom. — Zasluga jego odkryć. — Wyrażenia klasycznych autorów, które sądzą dotyczącemi się Nowego Świata. — Podobne podania Basków i Bretonów. — Alondzo Hojeda wstępuje w ślady admirała. — Ameryk Wespucjusz niesłusznie dopomina się o zaszczyt odkrycia nowego ładu stałego. — Świadcstwa majtków. — Powody które go skłoniły do nadania Nowemu Światu swego nazwiska.

Lubo Kolumbowi odjęto władzę w kraju przez niego odkrytym, jednak umysł jego niepozostał bezczynnym, niewyrzekł się on bynajmniej swego pierwszego zamiaru dostania się od zachodu do owych bogatych Indyjskich krajów, które Marko-Polo i inni podróżnicy tak świetnie opisali. Błagał Króla aby mu powierzył dowództwo nowej wyprawy, a świeże wypadki dzielnie poparły to żądanie. Na rok blisko pierwój nim Kolumb powrócił z Hiszpanii, Wasko de Gama przybył do Lizbony odbywszy pierwszą podróż do Indji, około przylądka Dobrej Nadziei, przywiózł ze sobą tak świetne opisy owych bogatych i ludnych krain, że wszystkie narody Europejskie pałały chęcią zawiązania z niemi stosunków handlowych. Kolumb przyrzekł przeprowadzić flotę do Indji, drogą daleko krótszą, niżeli ta którą płynął Wasko de Gama, Zapewnił się, że wybrze-

że Karakas ciągnie się bardzo daleko na zachód; rozpoznał także w tymże samym położeniu południowe brzegi Kuby, które jak sądził, muszą należeć do ładu stałego; wnosił więc z tą, że Ocean zapełnia pszewstów objęty między temi dwoma granicami, i że cieśnina prowadząca środkiem owych mórz Indyjskich, świeżo odkrytych i zwiedzonych przez Portugalczyków, znajdowała się gdzieś w kierunku Darienu; aczkolwiek było to błędne przypuszczenie, dowodzi jednak przenikliwości jego umysłu.

Wyprawa którą Kolumb dowodził w czwartej swojej podróży, składała się tylko z czterech małych karawel, z których największa mogła objąć zaledwie siedemdziesiąt beczek ładunku. Z tak słabą siłą postanowił zwiedzić ocean Zachodni, i dokonać okrążenia kuli ziemskiej. Wyruszył z Kadyksu 9 maja 1502, i przyplął do

Martyniki, jednej z wysp *Wietrznych*, czyli *Antyllów*, 15 Czerwca. Przyjacielski list króla i królowej, radził aby nieprzybijał do Hispanioli, gdzie obecność jego mogłaby znowu spowodować nowe zaburzenia. Lecz że jeden z jego statków niedosyć był szybkim, pragnął przeto postarać się o inny, bądź przez zamianę, bądź za pieniądze; w tym celu skierował ku San-Domingo, mając nadzieję że konieczna potrzeba usprawiedliwi to nieposłuszeństwo, lecz niedozwolono Kolumbowi wplynąć do portu; jako doświadczony żeglarz, przewidział nadejście gwałtownej burzy, a widząc, że liczna flotta gotową była wyruszyć do Europy, ostrzegł Owanda o grożącym niebezpieczeństwie, nakładając aby się wstrzymał z odpłynięciem; bynajmniej na tę radę niezważano, i jak tylko flota wyszła z portu, gwałtowny orkan większą część jęj zniszczył. Okręt na którym znajdował się Bobadilla ze wszystkimi swojemi źle nabytemi bogactwami zatonął; z całej tej floty ocalała tylko mała karawella, niosąca na sobie skarby przez Kolumba zostawione na wyspie, niedoświadczywszy ona żadnego przypadku doplynęła aż do Europy. Przyjaciele admirała przypisywali tę okoliczność wyraźnej nad nim opiece niebios, gdy tymczasem nieprzyjaciele oskarżali go iż użył nadprzyrodzonych sposobów dla wzniecenia wściekłości żywiołów. Cała tajemnica istotnie zależała na tém, że umiał równie dobrze chronić się przed niebezpieczeństwem, jak je przewidywać, potrafił przeto zapobiedz zagubieniu swęj małej eskadry od gwałtownego orkanu, który pochłoniął jego nieprzyjaciół.

Skoro tylko niebo się wypogodziło, Kolumb znowu w dalszą wyruszył podróż. Prąd zapędził go zrazu do Kuby, zkąd płynął w prostym kierunku ku południo-zachodowi, dopóki niedostał się do wyspy *Gwanaga*, na pobrzeżu Honduras. Mieszkańcy tego kraju zdali mu się być więcej ucywilizowanymi, niżeli inni dżicy Nowego-Swiata dotąd znani; używali naczynń miedzianych, nosili bawełniane suknie sztu-

ecznie wyrobione, i rozmaitemi upstrzone kolorami. Pomiędzy tamtejszemi zwierzętami, Kolumb uważał szczególniej *pekari*, czyli świnkę amerykańską, i długo-ogonowe małpy, znajdujące się jedynie w tej części świata. Krajowcy dali mu do zrozumienia, że na zachodzie znajduje się kraj, odznaczający się sztukami, bogactwem i ludnością. Wniósł że tym krajem musi być Katakaj; i nie bacząc na owe skazówki, które by go niezawodnie były doprowadziły do odkrycia *Meksyku*, Kolumb szukał tylko usilnie cieśniny, która jak sądził leżała bardziej ku południowi. Płynął więc wzdłuż całego brzegu od *Truksillo* w Honduras, aż do zatoki Dariena, i zatrzymał się dopiero gdy przybył do punktu, do którego dostał się szczęśliwy żeglarz *Bastidas*. W owęj nadbrzeżnej podróży, Kolumb wiele ucierpiał od wiatrów przeciwnych, prądów i nieprzyjaznych mu krajowców, którzy z odwagą oparli się założeniu osady na brzegach *Weragwa*. Wielu Hiszpanów padło ofiarą tego nieszczęsnego przedsięwzięcia, zaledwie moc duszy i nadzwyczajne usiłowania *Adelantady*, ocalić zdołały od zupełnej zguby resztę wyprawy. Kłopoty i niewygody tak nadwerczyły zdrowie Kolumba, że z trudnością mógł wyjść na pomost; statki małej jego eskadry tak były zniszczone, że zaledwie mogły się na morzu utrzymać. Na dopełnienie niedoli, zbliżając się do wyspy Kuby, zostali napadnięci tak gwałtowną burzą, że chcąc uchronić się od zatonięcia, musieli dozwoić statkowi wpaść na nadbrzeżne piaski Jamajki. Na szczęście, dżicy przyplynieł niezadługo w czółnach, i dostarczyli Hiszpanom wszelkich zapasów. *Adelantado* przedsięwziął wszelkie potrzebne środki dla utrzymania porządku pomiędzy majtkami coraz bardziej nieukontentowanymi, wczasie gdy admirał leżał wyniszczony fizycznymi i moralnymi cierpieniami, których od tak dawna doznawał.

Indjanie znudzeni ciąglem zaspakaniem potrzeb cudzoziemców, którzy tak stanowczo w ich kraju osiedli, zaprzestali dostarczać żywności. Obawa

głodu wyniszczyła wszystkie uczucia powinności w sercach większej liczby majtków, którzy niechcąc słuchać swych dowódców, przebiegali wyspę, popełniając najokropniejsze gwałty na bezbronnych jej mieszkańcach. Zemsta krajowców głód i własne ich niezgody, zagroziły Hiszpanom niezawodną zglubą. W tak oplakanem położeniu, Diego Mendez i Genuieńczyk Fiesko postanowili popłynąć do Hispanioli, czólnem które im sprzedali Indianie, dla uwiadomienia gubernatora, o nieszczęśliwym stanie, w którym znajdował się Kolumb i jego towarzysze. Udało się to śmiało przedsięwzięcie, i odważni żeglarze dostali się do tej wyspy po czterniodniowej podróży.

Lecz Owando, ulegając poduszczeniu azdrości i nienawiści, spóźniał się umyślnie z wyprawianiem okrętu na pomoc Kolumbowi. Posłał wręście mały statek z grzecznym listem; widok przyjacielskiego żagla spieszącego do lądu, wprawił w najżywsze uniesienie radości nieszczęśliwych rozbitków. Lecz jakież zniechęcenie i rozpacz ich ogarnęły, gdy spostrzegli że statek krążył tylko opodal od brzegu niezbliżając się do niego, i niemyśląc im nieść najmniejszej pomocy. Kolumb ukrył jak mógł doznana zniewagę; potrafił nawet tak zręcznie wytłómaczyć tę nadzwyczajną okoliczność, iż ożywił nadzieję w swych towarzyszach, a korzystając z zaćmienia księżyca, dostał od nieświadomych i zaborbonnych krajowców, obfite zapasy żywności.

Cierpienia tego wielkiego człowieka wzbudziły powszechne współczucie pomiędzy osadnikami San-Domingo. Postępowanie gubernatora, który spóźniał się z udzieleniem pomocy, głośno i surowo zostało zganione. Chociaż bynajmniej niedbał o ocalenie życia Kolumbowi, Owando zarówno przebiegły polityk jak okrutny z natury, chciał jednak utrzymać swą osobistą popularność. Posłał więc okręt dla zabrania admirała i wiernych jego towarzyszy, pędzących od roku najprzykrzejsze i

pełne obawy życie, na brzegach, na których się okręt ich rozbił.

Kolumb przyjęty został w San-Domingo z najżywszemi uniesieniami radości. Nieszczęścia jego uspiły nienawiść publiczną, najmniejsze wspomnienie o przeszłej niezgodzie nie powiększyło obecnych cierpień tego znakomitego człowieka. Sam nawet Owando, chociaż zranił serce admirała, niesprawiedliwem i przykrém obejściem, teraz usiłował okazać mu najgłębsze uszanowanie.

Skoro tylko Kolumb cokolwiek przyszedł do zdrowia i mógł znieść trudy podróży, odpłynął natychmiast do Hiszpanji, gdzie przybył 7 Listopada 1504. Tak się zakończyły prace tego wielkiego żeglarza. W trzeciej podróży odkrył stały ląd Ameryki, a w czasie swojej czwartej i ostatniej wyprawy, przebywając w niektórych najbogatszych okolicach tej błogostawionej ziemi, otrzymał jak najdokładniejsze wiadomości o bogactwach Meksyku, którego niezmierne skarby miała niezadługo posiadać Hiszpanja. Pomimo długich i licznych wysług, zaszczytów i godności które sobie zawarował w umowie zawartej z Hiszpanją, Kolumb został przywiedziony do największej nędzy. Protektorka jego, królowa Izabella umarła, a Ferdynand który zwykle tylko wtenczas słuchał głosu sprawiedliwości, gdy tego własny jego wymagał interes, zaledwie zwrócił uwagę na słuszne jego żądania. Na próżno Kolumb odwoływał się do swej władzy, jako wice-król Indji; król ciągle odwlekał wydanie stanowczej odpowiedzi na prośbę, której zadość uczynić wcale nie miał zamiaru. Polityka ta osiągnęła zamierzony skutek. Moralne cierpienia tak dalece pogorszyły fizyczną słabość Kolumba, że ten wielki człowiek umarł w Walladolid, 12 Maja 1506. Prócz innych rozporządzeń, polecił w testamentie, aby starszy syn jego Diego i wszyscy co po nim godność i tytuły odziedziczą, podpisywali po prostu «Admirał», a to dla zachowania na zawsze pamiątki założyciela ich rodziny. Wysokie dostojeństwa, które pia-

stować wzbroniono Kolumbowi, z małą odmianą przekazane zostały jego starszemu synowi Diegowi, który ożenił się z siostrzenicą Księcia Alwa i tym sposobem spokrewnił się z najpierwszemi rodzinami Hiszpanji.

Chociaż najzdolniejszy w dopięciu nadzwyczajnego przedsięwzięcia, jednak skory do uniesień i zapapału charakter Kolumba, niedozwalał mu wypełniać delikatnych obowiązków gubernatora nowo powstającej osady. Jego zamiary coraz bardziej stawały się dziwaczne. Zawarłszy unowę z Ferdynandem i Izabellą, uczynił ślub iż powiedzie 50,000 wojska do ziemi świętej, w siedem lat po zdobyciu Indji, i wydrze Jerozolimę z rąk niewiernych. Złoto było głównym przedmiotem jego poszukiwań w Nowym Świecie i trudno uwierzyć z jak wielką łatwowiernością i pośpiechem chwycił wszelkie objaśnienia podniecające jego nadzieję nagłego odkrycia niezmiernych bogactw. Ani trudy, ani zawody nie były zdolne ostudzić zapala, ani ślepego zaufania jakie odrazu wzdudził w swoich stronnikach, był to tym większy powód do wstrętu jaki powzięli gdy się przekonali o rzeczywistości swego położenia. Ufność jaką ciągle pokładał w swoich marzeniach, naraziła go na gorzkie pośmiewisko tych, których zawiodł prostotą, a na szemranie ich odpowiadał z dumą i surowością zapaleńca, przekonanego doświadczeniem o prawdzie swych urojeń. Jego zniechęceni stronnicy mieli słuszny powód oskarżać go o nadzwyczajną surowość, gdyż zapal często usiłuje wykorzystywać występki gwałtownymi sposobami. Ferdynand i Izabella odejmując Kolumbowi zarząd Hiszpanji, do sprawowania którego nie posiadał potrzebnych zdolności, podali mu zarazem sposobność porzucenia stanu, w którym życie jego co chwila na niebezpieczeństwo było narażone; królowa nieprzestała przez cały ciąg swego życia, okazać powiniących względów jeniuszowi i wielkim zasługom admirała. Po śmierci Izabelli, odbierał jeszcze od Ferdy-

nanda tyle oznak poważania, ile tylko zapalenie spodziewać się może, po zinnym i wyrachowanym monarsze.

Ciało Kolumba, złożone początkowo w kościele N. Panny, w Walladolid, później przeniesione do Sewilli. W roku 1536 wysłane zostało do Hiszpanioli, gdzie je pochowano przy wielkim ołtarzu, w katedrze Świętego Dominika. Pozostawało tam aż do roku 1795, w którym Hiszpanie ustępując Francuzom Hispaniołę, nie chcieli pozostawić śmiertelnych zwłok człowieka, którego wspomnienie tak silnie łączyło się z najświetlejszym perjodem ich dziejów, postanowili przeto przenieść one na wyspę Kubę. Wszystkie obrzędy religijne, cała pompa wojskowa, zdolne uczcić pamięć sławnego zmarłego, uświetniły ten obchód. Złożono zwłoki Kolumba w katedrze Hawańskiej, a ostatni ów hołd czci i poważania okazany jego sławie, po upływie trzech wieków, wzbudził zapal równie wielki, jak ten, z którym przyjęty został za swoim powrotem po odkryciu Nowego-Swiata.

Potomstwo Kolumba długi czas cieszyło się bogactwami i zaszczytami. Syn jego Don Diego, w poparciu swoich żądań, musiał wieść długi proces przeciw celnej komorze, która się domagała aby oznaczył wyraźnie, które części Nowego-Swiata odkryte zostały przez jego ojca; Don Ludwik, syn Don Diega, odstąpił swoich pretensji do vice-królestwa Indyjskiego, za tytuły księcia de la Weragwa i margrabiego Jamajki; prawo zaś do dziesiątej części wszystkich dochodów z Indji, sprzedał za roczną pensję tysiąca złotych dublonów. Roku 1608, gdy linja mężka wygasta, tytuły i dochody rodzinne, przeszły w ręce Don Nuno Gelves de Porto Gallo, pochodzącego od córki Don Diega Kolumba. Gałęź więc szlacheckiej rodziny Braganckiej odziedziczyła dostojęństwo admirała; księżęta de Weragwa, wzniesieni zostali r. 1712, do rzędu pierwszych Grandów hiszpańskich. Tak ziszcili się zwolna wszystkie nadzieje, jakie tylko niedgdyś zamarzył Krysztof Kolumb. Lecz

książe Weragwa został ogołoconym ze wszystkich swoich własności, i przywiedzionym do ostatniej nędzy, przez zmiany które wydarły Hiszpanji jej osady w Indjach-Zachodnich. Był zmuszony udać się do swego rządu, dla otrzymania wynagrodzenia. Uczyniono zadosyć jego żądaniu, i przed kilku laty przyznana mu została roczna pensja 24,000 dolarów, z dochodów Kuby i Porto-Riko.

Ze wszystkich wielkich ludzi, którzy ważne przysługi wyświadczyli ludzkości, przez swe prace lub rozum, ntema ani jednego, któryby bardziej przewyższał ducha epoki, w której mu życie przeznaczono, jak Kolumb. Zapął, który go skłonił do przebycia oceanu, dla szukania Nowego-Swiata, wyłącznie tylko jego był udziałem; był prócz tego skutkiem dojrzałego i dobrze skierowanego namysłu; nakoniec sama biegłość z jaką skombinował wszystkie okoliczności świadczące o istnieniu zatlantyckiej krainy, byłaby już dostatecznym dowodem jego ogromnego jenzusu.

Odkrycie jednak Ameryki przygotowane zostało długim ciągiem wypadków. Wydoskonalenie kompasu, użycie astrolabu do mierzenia wysokości na morzu, śmiałość jaką natchnionemi zostały wszystkie ludy przez odkrycia Portugalczyków, niewspominając już o szybkiem i powszechnem rozwinięciu energii politycznej i naukowych spekulacji w Europie, doprowadziły epokę Kolumba do owego stanu dojrzałości, w którym jeografia nie mogła pozostać ścięśnioną w dawnych swoich granicach, lecz musiała koniecznie rozszerzyć się po całej kuli ziemskiej. Kabral, żeglarz portugalski, który powiodł flotę do Indji Wschodnich r. 1500, puścił się na pełne morze, chroniąc się przed wiatrami panującymi na brzegach Afrykańskich, wyrzcony został na brzegi Brazylii, zapął więc i śmiałość Kolumba poprzedziły tylko dwunasto laty to przypadkowe odkrycie, ta uwagą bynajmniej nie uwłacza zastrudze Kolumba, gdyż wyższość wielkiego człowieka na tém zależy aby się od-

różniał od podobnych sobie, a nie zaś na tém aby się od nich zupełnie oddzielał. Dopóki postępy towarzyskie zależą od postępów naukowych, a nie od przypadku, spekulacje jeniálnego człowieka, muszą koniecznie ściśły mieć odznaki z wyobrażeniami wielu innych odznaczających się umysłów jego wieku.

Nieumniejszylibyśmy także sławy Kolumba, gdybyśmy mogli przypuścić, jak to uczyniło kilku uczonych, że Ameryka zwiedzana już była w starożytności przez żeglarzy fenicyjskich, i że błache wzmianki klasycznych pisarzy o krainach oceanowych z ich podań wpływają. Lecz postępy Fenicjan w sztuce żeglarskiej, podobnie jak i podania dochowane o nich przez autorów greckich i łacińskich, przedstawiają raczej krytyce ogólne kształty mitologii i teorii, niżeli osobiste rysy rzeczywistości.

Wiara w istnienie ziemi, leżącej po za oceanem, bardzo rozszerzoną była w starożytności, i nie mamy żadnego powodu przypisywać jej początek, bądź marzeniom Platona, bądź podaniom tegożczesnym o owych fizycznych rewolucjach, które jak wnoszą oddzieliły dawny świat od nowego. Chociaż dowiedziono już że kula ziemską jest okrągłą, okrągłość ta nie jest bynajmniej widoczną dla oczu gminu. Przypuszczenie, że ziemia jest ogromną płaszczyną, czyni wprawdzie dziwne wrażenie na umyśle ludzkim, lecz otwiera dla wyobraźni pole bez granic, i zawsze powinno być przenoszone nad inne od postrzegaczy.

A że nie łatwo powziąć myśl o świecie bez końca, nic zatem prostszego, iż wyobrażano sobie, że ziemską siedziba ludzi już się kończy nad brzegami oceanu. Jednakże, aby ustalić granice oceanu, znów potrzeba było wymyślić inny ład stały. Tak ziemia i woda następowały po sobie z kolei, granice których rozum nie mógł wynaleść ustalił przesąd i podobnie jak w systemacie Indostańczyków, liczba święta ustaliła granice świata. Teorja ta tak była naturalną, iż byłoby pra-

wdziwie zadziwiająca rzeczą, gdyby starożytni nieuczynili wzmianki o krajach leżących po za oceanem, i ten nie musiał nigdy się zastanawiać nad ciągle myślącym i czynnym umysłem ludzkim od pierwszych zaraz wieków cywilizacji, kto mógł popełnić błąd i upatrywać w owych przystosowaniach co innego, jak zarody pierwotnej filozofii.

Północne narody, w bardzo dawnych czasach, przedsiębrały morskie wycieczki. Odkryły Grenlandję i podług wszelkiego podobieństwa dostały się także do sąsiednich brzegów Ameryki. Pomimo tego, że zniszczoną została Grenlandzka osada, morza te, przebiegane od takiego mnóstwa okrętów, nie zostały zupełnie zaniechane, i można wnosić, że już przed Kolumbem, zwiedzano Nowy-Swiat dla połowu ryb, wktóre tak obfituje. Normandowie i Bretańczykowie pływali po tych samych wodach od roku 1504, albo na dwanaście lat tylko pierwiej przed pierwszą podróżą Kolumba. Najlepsi ziemio-pisarze XVI wieku, jak np. Ortelius, Merkator, Witfliet, Pontanus i inni, uważali za rzecz dowiedzioną, że Biskajczycy przyłądka Bretańskiego, niedaleko Bajony i inni rybacy poławiający stokfisz w owej części Francji, odkryli nową ziemię jeszcze przed Kolumbem; ośmielili się nawet twierdzić że ci odważni żeglarze posunęli się aż do Kanady, i że biskajski majtek uwiadomił Kolumba o ich podróży. Zdania te gruntuwały się szczególniej na podaniach, dochowanych pomiędzy rybakami biskajskimi.

Starożytnym odkryciom zbywa jednak zupełnie na pewnych dowodach. Don Nawarette, którego zdanie w podobnym razie zdaje się być stanowczem, sądzi że Biskajczycy nieodkryli nowej ziemi przed rokiem 1526, i utrzymuje że dopiero zaczęli do niej uczęszczać w 1540 r.

Niezbyt dawno, mieszkańcy Diepp, chcieli sobie przywłaszczyć zaszczyt odkrycia, jako najsmielsi i najbieglejsi żeglarze z całej Europy. Piszą że Diepczyk zwany Cousin, skłoniony domysłami swego współrodaka Déchalier,

którego Normandowie uważają za wynalazcę nauki hydrograficznej, odbył kilka długich podróży i odkrył 1488 ujście rzeki Amazonek, zkąd w rok powrócił, wysiadłszy po drodze na Afrykańskich brzegach. Powiadają także, iż niejaki Pinzon, kapitan małego okrętu z wyprawy pana Cousin, wnosząc z nazwiska, może był członkiem rodziny która się zabrała z Kolumbem na okręty w porcie Palos, a może nawet jest to ten sam, który roku 1499 odbył wyprawę na rzekę Amazonek. Ostatnia ta okoliczność, połączona z podobieństwem nazwisk i charakterów, nadaje domysłom pozór prawdy. Jednakże, ponieważ archiwum Diepskie pochłonięte zostało od pożaru 1694 r., i że teraz nieistnieje żaden oryginalny dokument, dotyczący się podróży Cousina, przeto cała ta historia powinna być uważaną za bajeczną, pomimo zrzeczności, z jaką na jej potwierdzenie zgromadzono świadectwa współczesnych pisarzy.

Tak więc zupełnie zbywa na dostatecznych dowodach do zaprzeczenia Kolumbowi odkrycia Ameryki. Chciałby nawet za czasów jego znajdowały się jakowe podania, o istnieniu krajin zaatlantycznych, niezmięszka to bynajmniej oryginalności i śmiałości jego przedsięwzięcia.

Znaczna liczba osób odważyła się pójść w jego ślady i przepłynąć ocean; pominąwszy już powodzenia i osobiste przymioty tych śmiałych żeglarzy, szybkość, z jaką te wyprawy następowały jedno po drugich, zasługuje na wyjątką wzmiankę w dziejach odkryć morskich.

Pomiędzy towarzyszącami Kolumbowi w drugiej podróży, znajdował się Alondzo Hojeda, młodzieniec piękny, szczupły, lecz posiadający zadziwiająca siłę, zrzeczność i odwagę potrzebną do dokonania najsmielszych przedsięwzięć. Alondzo Hojeda odznaczył się w wojnach przeciwko Maurom z Grenady. Zaczął wkrótce służyć w Hispanioli uczyniwszy wielką przysługę osadzie, przez porwanie Kaonaby naczelnika Karaibskiego z pośrodku jego ludu.

Znajdował się właśnie na dworze hiszpańskim, gdy przybyły wiadomości od Kolumba, donoszące o odkryciach, które poczynił w trzeciej swojej podróży, żeglując wzdłuż brzegów Paria, które słusznie uważał jako ląd stały, i o niezmiernem mnóstwie pereł, które wdział u krajowców. Hojeda powziął natychmiast zamiar udać się w ślady admirała dla korzystania z jego odkrycia, a że posiadał łaski u Fonseki, projekt więc jego został przyjęty. Przygotował wyprawę złożoną z czterech okrętów, i dopłynął do stałego lądu Ameryki południowej, niedaleko równika, jednak nie tracąc brzegów z oczu; przepłynął okolo ujścia rzek *Ezekwibo* i *Orenoki*, potem z wyspy Małgorzaty udał się ku Zachodowi, i rozpoznał całe wybrzeże *Wenezueli* aż do przylądka *Wela*, zkąd przy pomyślnym wietrze puścił się do Hispanioli. W tej pierwszej wyprawie towarzyszył Hojedzie Florentczyk nazwiskiem Ameryk Wespucjusz, który nadając swą nazwę nowemu stałemu ladowi, przywłaszczył sobie podstępem sławę, niezaprzeczenie przynależną Kolumbowi. Wespucjusz posiadał wziętość jako doświadczony żeglarz i wyborny kosmograf. Niektórzy pisarze utrzymują iż towarzyszył Kolumbowi w pierwszej podróży do Nowego-Swiata, lecz pierwsza autentyczna wzmianka, którą o nim uczyniono w Hiszpanji, znajduje się w aktach z roku 1495. Był wówczas, jak się zdaje kommissantem a może i handlowym towarzyszem Berarda, kupca florenckiego, osiadłego w Sewilli, poufałego przyjaciela Kolumba, który zwykle odbierał od rządu polecenie zaopatrywania okrętów wysyłanych do Hispanioli. Od roku 1500, to jest od podróży odbytej z Hojedą, aż do początku roku 1505, Ameryk Wespucjusz zostawał w służbie króla Portugalskiego; przez ten czas miał zwiedzić Indje Wschodnie, czy też wybrzeża Brazylii, Powrócił potem do Hiszpanji, i najlepiej został przyjęty, gdyż wydzierano uzdatnionych ludzi współzawodniczemu dworowi. Po śmierci Kolumba król Hiszpański chcąc wynagrodzić so-

bie tak wielką stratę, powołał do swych usług najbieglejszego ówczesnego żeglarza, i mianował Wespucjusza pierwszym sternikiem; lecz żadne ważne przedsięwzięcie nie zostało dokonaniem po tém mianowaniu, gdyż wyprawa przygotowana roku 1507, dla odkrycia przejścia zachodniego do wysp *Korzennych*, powierzona Amerykowi Wespucjuszowi i Wincentemu Janez Pinzon, zaniechana została wskutku przedstawień króla Portugalskiego. Ameryk Wespucjusz umarł w służbie hiszpańskiej roku 1512.

Ludzie, zajmujący w naukach wysoki stopień, nawet tegoceśni, dopominali się aby przywrócić Amerykowi Wespucjuszowi zaszczyt pierwszego odkrycia stałego lądu Nowego-Swiata. Żeglarz florencki potrafił pozyskać, nawet za życia, przychyłność Europy literackiej, gdyż opis, który sam skreślił w języku włoskim, czterech pierwszych swoich podróży, już roku 1507 wydrukowany był po łacinie, a poprzednio jeszcze wytłumaczony po francuzku i hiszpańsku. Opis ten zawiera niektóre okoliczności, zdolne zastraszyć podejrzliwą krytykę, i można nawet powątpiewać czy istotnie odprawił cztery podróże przez siebie opisane. Data bowiem którą naznacza pierwszą podróż, w maju 1497, podstawa na której spoczywają mniemane jego tytuły do sławy, widocznie jest podstępem kłamstwem; wszyscy ziemio-pisarze przyznają iż towarzyszył Hojedzie, a pierwszą odkryciową podróż tego śmiałego żeglarza autorowie hiszpańscy naznaczają jednoznacznie w roku 1499, to jest na rok pierwój przed podróżą w której Kolumb odkrył brzegi Paria.

W długim i trudnym procesie, który w kilka lat później wytoczył się pomiędzy skarbem królewskim a Don Diegem Kolumbem, zeznania najznakomitszych ówczesnych żeglarzy, którzy w większej części byli towarzyszami Kolumba, żywe rzuciły światło na wszystkie okoliczności pierwszych podróży do Nowego-Swiata. W niektórych dokumentach, po dziś dzień jeszcze istniejących, Hojeda oświadcza iż ruszył pod

żagle 1499, zabrawszy ze sobą Żuana de la Cosa i Ameryka Wespucjusza, jako sterników, i że był pierwszym żeglarzem, który po admirale odbył odkryciową podróż. A przedsięwziął ją dla tego jedynie, jak powiada, iż widział rysunki i mapy odkryć, które Kolumb przysłał do Hiszpanji; dodaje także, to co Wespucjusz umyślnie pominał, to jest że znalazł ślady admirała na wyspie *S. Trójcy*, przy ujściu rzeki *Smoczéj*. W ciągu processu, o którym wspomnieliśmy, stu-dziewięciu świadków, pomiędzy któremi liczone Pinzona, Hojedé, Bastidasa, Moralesa, Ledesma i wielu innych znakomitych żeglarzy dowiodło, że Krysztóf Kolumb pierwszy odkrył Indje-Zachodnie, ląd stały i przesmyk Dariena, godném jest także uwagi, iż, gdy głównym celem tego śledztwa, było oznaczenie, kto pierwszy dokonał tego odkrycia, nikt nie pomyślał o pretensjach Ameryka Wespucjusza; wyjąwszy jednego Hojedé, żaden z powołanych świadków naj-

mniejśj o nim nieuczynił wzmianki. Chociaż pretensje te na niczém się gruntowały, Florenczyk jednak doka-zał, że w roku 1509, nadał swą nazwę Nowemu-Swiatu. Gminne baśnie i pełne zapalu marzenia Kolumba, wydarły mu wielką część jego sławy. Uroił sobie że się dostał do Indji, owéj uprzywilejowanej ziemi zbytku i bogactwa, i bardzo by się może zmartwił, gdyby się widział zmuszonym, wyrzec téj ulubionéj myśli, dla otrzymania sławy, w nadaniu swéj nazwy nowéj części świata, do czego tak słuszne miał prawa. Zazdrość i obojętność hiszpańskiego dworu, który zawsze prawie przy-cmiał sławę sług swoich, nie mało się przyczyniły do niesprawiedliwości, jak potomność wyrządziła temu wielkiemu człowiekowi. Ameryk Wespucjusz, pierwszy ogłosił opis krain nowo- odkrytych, a społeczeństwo hojnie mu wynagrodziło otrzymane od niego objaśnienia.



ROZDZIAŁ VI.

PIERWSZE ODKRYCIA W AMERYCE.

Żeglarze wstępujący w ślady Kolumba. — Wincenty Janez Pinzon. — Odkrywa Brazylję i rzekę Amazonkę. — Przywozi do ojczyzny pierwszą sarygę widzianą w Europie. — Podróż Bastidasa. — Rozpoznaje brzegi Wenezeli i Kartageny. — Jego nieszczęścia. — Prowincja która mu nadają. — Polityka dworu Hiszpańskiego. — Zazdrość wzniecona przez Anglików i Portugalczków. — Wyprawa Pinzona i Solisa do Ameryki Południowéj. — Powtórna podróż Solisa. — Jej cel. Dostaje się do rzeki Plata. — Pożartym jest przez dżukich. — Hojeda usiłuje założyć osadę w Uraba. — Znajduje współzawodnika w Nikuesie. — Pobitym jest od Indian. — Buduje San-Sebastian. — Jego cierpienia i śmierć. — Nędzny los Nikuesa. — Balboa pozostaje w Darien. — Przeżywa przesmyk Panama. — Odkrywa morze Południowe. — Pedrarias wydziera mu władzę. — Jego koniec nieszczęśliwy.

Odkrycie Ameryki napelniło wszystkich podziwieniem, a szczególniej wznieciło najżywszą ciekawość w uczonych. Obszerne te kraje, tak długo nieznané, przedstawiały najpotężniejszą ponętę, najczynniejszą skłonnościom umysłu ludzkiego, to jest zamiłowaniu nowości

i zysku. Wyobrażenia utrzymuje i rozwija najslabsze nawet nadzieje, a nie-dokładnie opisane krainy Nowego-Swiata otwierały téj zdolności tak nieograniczone pole, że pośpiech i wytrwałość, z jakimi przedsiębrano niebezpieczne wyprawy po Atlantyku, idąc w ślady

odkryć, dotąd tak źle nagrodzonych, najmniejszego niepowinny wzbudzać zdziwienia.

Jednakże, pomimo wielkiej liczby awanturników, którzy się puscili tym nowym zawodem sławy i bogactw, Kolumb pozostał bez współzawodnika, lub raczej sława jego jeszcze świetniej zajaśniała śmiałością niektórych żeglarzy, którzy prawie wszyscy byli jego towarzyszami lub uczniami. W pierwszym rzędzie owych znakomitych ludzi, wymienimy Wincentego Yanez Pinzona, który towarzyszył admirałowi w pierwszej podróży. Wiadomość o odkryciu owego stałego lądu, skłoniła Pinzona, iż stanął na czele nowej wyprawy, a że talenta jego i doświadczenie wielką wzbudzały ufność, żadnej przeto niedoświadczył trudności w uzbrojeniu czterech karawel i nakłonieniu niektórych żeglarzy co zwiedzili z Kolumbem wybrzeże Paria, iż się zabrali na jego statki. Wyruszył pod żagle z Palos na początku Grudnia 1499 r. Opuściwszy wyspy przyładka Zielonego, puścił się na 300 mil ku południo-zachodowi, kierując się podług gwiazdy biegunowej, ciągle widocznej po nad widokreğim. Gdy się tak znajdował pośród oceanu, powstała gwałtowna burza, która pędziła przed sobą małą flotę z nadzwyczajną szybkością; gdy wiatr się uciszył i chmury rozeszły, żeglarze zdziwili się postrzegłszy, że biegun północny był ukryty przed ich oczyma, gwiazdziste niebo całkiem widok swój zmieniło. Ponieważ nieznali jeszcze konstellacji południowego bieguna i niemieli żadnego stałego punktu, podług którego mogliby się kierować w swoich morskich podróżach, ogarnęła ich przeto zabobonna trwoga. Pinzon uporczywie jednak kierował ku stronie zachodnio-południowej i 20 Stycznia 1500 r, znajdując się pod osmym stopniem szerokości południowej, odkrył ziemię, której nadał nazwę *Najświętsza Marya Pocieszenia*. Wylądował natychmiast i objął kraj w posiadłość w imieniu korony Kastylskiej. Niewidziano żadnego mieszkańca, lecz Hiszpanie mniemali że postrzegają śla-

dy stóp ludzkich, z czego wniesli że ziemia zaludniona jest przez olbrzymów.

Pinzon jest więc nie tylko pierwszym żeglarzem, który przebył równik na morzach południowych, lecz jemu także niewątpliwie przynależy zasługa odkrycia Brazylii, Pedro Alvarez Kabral, admirał portugalski, któremu niesłusznie przypisywano to odkrycie, płynąc z flotą do Indji i zboczywszy na zachód z drogi, dla uniknienia zmiennych wiatrów, ciągle wiejących w pewnej odległości od stałego lądu afrykańskiego, wyrzucony został przypadkowo przez burzę na to wybrzeże, które zwiedził przed trzema miesiącami Pinzon, o 2 stopnie dalej ku północy. Zajął kraj w posiadłość, w imieniu korony portugalskiej i nazwał go *Santa-Cruz*, które później zmieniono na imie Brazylii, z powodu wielkiej obfitości *drzewa ognistego koloru*.

Żeglarz hiszpański kierował ku północy wzdłuż wybrzeża, począwszy od przyładka Świętego-Augustyna, i zwiedził ujście Maranonu, czyli rzeki Amazonek, zlewającej do morza licznymi kanałami, tak znaczną masę wody, iż odejmuje mu słoność w odległości kilku mil od lądu. Ogrom tej rzeki, naprowadził Pinzona na myśl rozległego stałego lądu który skrapia, wyspy pobliskie nadbrzeżom, zamieszkane były przez prostych i dobrych dzikich, którzy podzielili się z nieznajomymi, wszystkiem co posiadali. Wynagradzając też ich gościnność, Hiszpanie kilku przez zdradę uprowadzili w niewolę. Ciągłe posuwając się wzdłuż brzegów, Pinzon przebył cieśninę, zwaną *Paszczką Smoka* i zwrócił ku Hispanioli; opuszczając tę wyspę, wśród okropnej burzy utracił dwa statki, i zawiął do Palos w końcu Września. Zaszczyt zwiedzenia 200 mil nadbrzeży dotąd nieznanych, zbiór roślin lekarskich i korzeni wielkiej ceny; około 3000 funtów farbierskiego drzewa w różnych kolorach, były jedyną korzyścią jaką odniósł ze swojej podróży. Pomiedzy próbkami zagranicznych zwierząt, które przywiózł z sobą, znajdował się

pewien gatunek oposum czyli sarygi dydelfa; zwierze to jest z natury obdarte pewnym rodzajem worka wiszącego pod brzuchem, w którym nosi wszędzie swoje dzieci, dopóki nienabędą siły, aby mogły same chodzić i bronić się.

Diego Lepe i Alondzo Velez Mendoza wkrótce poszli w ślady Pinzona. Lecz niczém niepomnożyli jego odkryć.

Przy końcu tegoż roku (1500), Roderic Bastidas, w towarzystwie sławnego sternika Zuan de la Cosa, wyruszył z Kadyksu, z dwoma małemi okrętami. Przepływając pomiędzy stałym lądem a wyspą *Gwadalupa*, zwrócił się ku zachodowi, przebył zatokę *Wenuzeli* aż do przylądka *Wela*, krańca pierwszych odkryć. Puściwszy się potem wzdłuż brzegu, ku zachodowi, rozpoznał ujście rzeki *Magdaleny*, port *Kartageny* dostał się do zatoki *Uraba*, którą opłynął aż do przylądka *Świętego Blasa*. Przejrzał dalej wybrzeże aż do *Puerto del Retrete* pod dziesiątym stopniem szerokości północnej; w którym to porcie Kolumb, w kilka miesięcy później, zwalczony żywiołami, zakończył swoje odkryciowe podróże. — Ztamąd Bastidas udał się do *Jamajki*, dla naprawy okrętów, które przez długą wysługę i toczenie robaka zwanego *toredo*, stały się niezdatnemi do długiej podróży. Straszliwe orkany uapadły na niego w tej przeprawie i szczęśliwie wyrzuciły na brzegi *Jamajki*, w chwili gdy właśnie stracił już nadzieję ocalenia swych wątłych statków. Bastidas, dozwolewszy wypocząć majtkom i zaopatrzywszy się w żywność, ruszył do *Hispanioli*. Na małej wyspie, leżącej blisko o milę od brzegu tej ostatniej, znalazł port bezpieczny i wygodny, w którym wyładował swoje okręta i zajął się zupełną ich naprawą.

Roztropny Bastidas prowadząc handel korzystny z krajowcami lądu stałego, zebrał większą ilość złota, niewolników, drzewa farbiarskiego i innych ciekawych przedmiotów, niżeli wszyscy inni żeglarze, którzy przed nim zwiedzili ocean Zachodni. Jak tylko ukończono naprawę statków, śmiały Bastidas pu-

ścił się z powrotem do Kadyksu, lecz zaledwie wyruszył, gwałtowna nawałnica zmusiła go szukać schronienia w jednym z przylądków *Hispanioli*, gdzie czekał miesiąc cały w najokrutniejszej niepewności uspokojenia burzy. Jednego dnia wyruszył pod żagle, lecz nowe prądy zapędziły go do portu *Jaragwa*, a wśród okropnej nawałnicy okręta jego zatoneły. Wypadek ten wydarzył się jednak tak blisko brzegów, że większa część kosztowne go ładunku została ocaloną. Gubernator wyspy, *Bobadilla*, dowiedziawszy się że wyratowane skrzynie ze złotem, ukryte zostały przez Bastidasa, w zamiarze ukrzywdzenia skarbu królewskiego, zaczął najokropniej dokuczać nieszczęśliwym rozbitkom. Bastidas jednak wytrwałością i przebiegłością trudności te przezwyciężył, i przybył na koniec do Kadyksu we Wrześniu roku 1502, po dwudziestu trzech miesiącach oddalenia, posiadając jeszcze, pomimo wszelkich strat znaczną część skarbów. Dwór hiszpański wynagrodził go, podobnie jak sternika *Cosa*, ustąpieniem mu przyszłych dochodów *Uraby*. Łatwość, z jaką oddawano w posiadanie rozległe grunta *Nowego-Swiata*, tym którzy się śmiało puszczały na ich zdobycie, dała powód do mnóstwa wypraw i rozwinęła niepospolite zdolności. Wspaniała ta rozrzutność była jednak wyrachowaną: monarchowie hiszpańscy pragnąc pozyskać dla swękorony niezmiernie bogactwa, przez podbicie obszernych państw w stronach nowo odkrytych, a lękając się współzawodnictwa innych narodów, szczególniejszemu *Anglii* i *Portugalji*, powzięli myśl przez zakładanie natychmiastowe osad na owych brzegach, odjąć swym nieprzyjaciołom wszelkie prawo zaprzeczenia im tych posiadłości. Rozdawali przeto z hojnością nie niekosztującą, całe prowincje, wszystkim co przedsiębrali zakładać osady.

Portugalczycy posiadali długi czas wyższość na morzu. Odkryli przejście około przylądka *Dobrej-Nadziei*, i jakieżmy już wyżej wspomnieli, *Kabral* płynąc z flotą do *Indji Wschodnich*, wyrzucony został przez burzę na brze-

gi *Brezylii*. Kraj ten, natychmiast zajęł w posiadanie, w imieniu swego monarchy, zakreślony był bowiem sławną linią demarkacyjną bull papieżkich, która według konwencji roku 1494, rozciągała się o 376 mil, na zachód wysp *Azorskich*.

Anglicy znowu ze swęj strony, roku 1497, wysłali wyprawę do Nowego-Swiata, pod dowództwem Sebastjana Kabot, który jak się zdaje, przejrzał *Nową-Ziemie* i część lądu stałego, około rzeki świętego Wawrzyńca. Wziasie pierwszej swojej odkryciowej podróży (1499), Hojeda spotkał angielskich żeglarzy niedaleko zatoki Marakaibo. Układ, zawarty pomiędzy nim a rządem hiszpańskim w Lipcu 1500 r. przed drugą jego podróżą, wyraźnie mu nakazywał: «Aby się trzymał i rozpoznał odkryte przez siebie wybrzeża, ciągnące się jak się zdaje ze wschodu ku zachodowi, gdyż właśnie tę część lądu stałego, Anglicy chcieli przepatrzyć; aby wszędzie wznosił maszty z herbami hiszpańskiemidła dowodu. że już zwiedził te strony, a przeto oparł się na tym punkcie wszelkim odkryciom Anglików.» Obawa owych straszliwych współubiegaczy, dręczyła i podżęgała chciwą politykę dworu hiszpańskiego. Wincenty Yanez Pinzon otrzymał kraj który odkrył, pomiędzy przyładkiem *Świętego Augustyna* i *Maranonem*. Bastidas i niezmordowany Hojeda, podzielili pomiędzy siebie niezmierny przestwór wybrzeży, rozciągających się pomiędzy *Parją* i *Darjenem*. Najlepsi żeglarze hiszpańscy, Wincenty Yanez Pinzon, Żuan de la Cosa, Ameryk Wespucjusz i Jan Diaz Solis, wezwani zostali do rady królewskiej, roku 1507, dla wskazania kierunku dalszym odkryciowym podróżom, i podobieństwa znalezienia na zachodzie przejścia do Indji Wschodnich, wszyscy oświadczyli, jak się przynajmniej zdaje, że stały ląd południowy, przedstawiał najobszerniejsze i najważniejsze pole przyszłym poszukiwaniom.

Pinzon i Solis, którzy rozpoznali całe wybrzeże Południowej Ameryki, od

Paria aż do Darjenu, otrzymali dowództwo wyprawy, dla przejrzenia zachodnich brzegów. W Czerwcu 1508, wyruszyli ci żeglarze i w kilka miesięcy, zawinęli do przyładka *Świętego Augustyna*, na brzegach *Brezylii*, punktu po za który ledwie posunęły się ostatnie odkrycia. Trzymając się oni ciągle południowego brzegu, dopłynęli do 40 stopnia szerokości południowej, wszędzie wznosili krzyże i obejmowali kraj w posiadłość dla korony Kastylskiej. Lecz nieporozumienie powstałe pomiędzy obu dowódcami, przeszkodziło dalszym ich postępom. Spory te za powrotem Pinzona i Solisa do Hiszpanji w roku 1509, uległy sądowemu śledztwu, i ten ostatni, uznany za winnego, wtrącony został do więzienia. Dwór jednak ocenając jego talenta wkrótce go na wolność wypuścił, a nawet po śmierci Ameryka Wespucjusza, mianował pierwszym sternikiem.

Niezadługo otrzymał dowództwo nowej wyprawy i ruszył w podróż w Listopadzie 1514 roku. Miał nadewszystko polecone sobie dostać się do południowego brzegu przemyku Darjena, żkąd Balboa postrzegł niedawno wielki ocean, i wykonać dokładne i szczegółowe mapy krajów które odkryje. Od przyładka Świętego Augustyna, Solis zwrócił się na południe, i oznaczył położenie wszystkich przygórków, z tą dokładnością na jaką mógł się zdobyć przy ówczesnych narzędziach. Znalazł wreszcie wielką zatokę pobochną, wiodącą ku zachodowi, i tę z powodu nadzwyczajnej słodyczy wody, nazwał *Mar dulce*. Wpłynąwszy do tej zatoki, to jest do ujścia wielkiej rzeki la Plata, Solis wysiadł na brzeg z małą garsztką ludzi, dla przepatrzenia kraju i plodów jego. Lecz zaledwie posunął się naprzód, wpadł w zasadzkę Indjan, którzy go pojmwawszy wraz z pięciu innemi towarzyszami, zamordowali, upiekli i pożarli. Hiszpanie pozostali na okrętach, przerażeni tém okrucieństwem, natychmiast odplynęli z powrotem do kraju; gdyby nieokrutna śmierć, Solis byłby dopiął niez-

wodnie pożądanego celu i opłynął Amerykę Południową.

Odkrycie morza Południowego, czyli oceanu Spokojnego, dokonane niewiele co pierwój przed tą wyprawą, przedstawiało wówczas dla żeglarzy wielkie pole do wytrwałości. Śmiały Hojeda, który się tak odznaczył w Hispanioli pod Kolumbem, a później w niejednej odkryciowej podróży, udał się 1501 r. do zatoki *Marakaibo*, w zamiarze założenia osady; lecz dla zbyt gwałtownego jego charakteru, wkrótce towarzysze powstali przeciw niemu i okuli go w kajdany. W takim położeniu pełen zaufania w swęj fizycznej sile, rzucił się w morze chcąc dopłynąć do lądu, aby ujsć przed zbuntowanemi. Lecz z powodu ciężkich kajdan byłby nazawsze zniknął pośród rozechukanych wałów, lecz czółno wysłane mu na pomoc, ocaliło go od niezawodnej śmierci.

Ten nadzwyczajny człowiek, który dla swęj śmiałości, siły i niestrudzonej czynności, był zdolnym zatknąć sztandar panowania hiszpańskiego na nieznanych wybrzeżach, puścił się znowu w podróż dla założenia nowej osady na północnym brzegu Ameryki Południowej. Otrzymał bowiem od króla obszerny przestwór kraju, zawarty pomiędzy środkiem zatoki Darien czyli *Uraba* (to jest czółten) i przylądkiem *Wela*, i nazwał go *Nową Andaluzją*. Lecz z oburzeniem ujrzał nowego współzawodnika w bogatym szlachcicu z Hispanioli, nazwiskiem Nikuesa, który darowany sobie przez monarchę kraj od przylądka *Wela*, aż do przylądka *Gracias a Dios* zabierając, wdzierał się w część, jego posiadłości. Pomiedzy towarzyszami Hojedy znajdowali się ludzie których imiona później świetnym zajaśniały błaskiem. Stary żeglarz, *Zuan de la Cosa*, był sternikiem, *Balboa*, *Franciszek Pizaro* należeli do wyprawy; a tylko niespodziana choroba zmusiła *Hernanda Korteza* iż pozostał w Hispanioli.

Zaledwie dostał się na brzegi *Kartageny*, natychmiast stósownie do dawnych sobie poleceń, Hojeda zaczął na-

klaniać Indjan do przyjmowania wiary chrześcijańskiej, by się obchodzili z Hiszpanami jako z przyjaciółmi i sprzymierzeńcami, i uznali władzę króla Kastylskiego. Lecz prości krajowcy, niepojmując tak dziwacznych układów, odpowiedzieli na nie silnym napadem, usiłując odpędzić na okrętach owych nieznanym, których uważali jako niebezpiecznych nieprzyjaciół. Chociaż okropny huk i straszliwe działanie broni ognistej, bardzo ich z początku przstraszyły, wrócili jednak do boju, z odwagą niepospolitą pomiędzy dziekiemi Nowego-Swiata. Pomimo lepszego uzbrojenia i korzyści wynikających z karności, Hiszpanie jednak nieopotrąfili się oprzeć, zatrutym strzałom i ogromnym maczugom Indjan. Wszyscy siedemdziesięciu, padli ofiarą nierozsądku; pomiędzy poległemi, znajdował się sternik *Zuan de la Cosa*, a Hojeda jedynie spieszną ucieczką winien był swe ocalenie. Gdy pozostali na okrętach później wyprawili kilku majtków w czółnie do brzegu, dla dowiedzenia się o losie swoich towarzyszy, ci znaleźli swego dowódcę ukrytego w małym lasku, i prawie umierającego z utrudzenia i głodu.

Nauczony świeżą klęską, Hojeda unikał odtąd wszelkich zajęć z bitnemi krajowcami tych okolic, i nakoniec dokazał swego i zbudował twierdzę, której nadał nazwę Święty Sebastyan. Lecz wkrótce głód, choroby i wszelkie inne cierpienia tak powstały w tęgowej osadzie, że Hojeda był zmuszony udać się do Hispanioli po żywność. Za przybyciem do tęgowej wyspy, dowiedział się iż wysłano mu już pomoc. Wiadomość ta ożywiła upadłą w nim nadzieję, i pomimo cierpień i klęsk znowu zaczął przemyślać o bogactwach, potędze i władzy najwyższej. Niestety, niezisiły się te marzenia, wkrótce umarł ze zgryzoty, w tak ubogim stanie, że cały pozostały po nim majątek nie mógł wystarczyć na opłacenie kosztów pogrzebowych. Hojeda jak twierdza, napisał historję swego życia lecz zazdrość i skąpstwo rządu hiszpańskiego dozwoliły spleśnieć w ar-

chiwum krajowém owym zajmującym pamiątkom, obok pamiętników Yaneza Pinzoni wielu innych dawnych podróżników.

Również był nieszczęśliwym los Nikuesa; wyruszył z Hispanioli z czterema wielkimi okrętami i jedną karawellą; lecz zaledwie odbił od brzegów, gwałtowna burza rozproszyła jego flotę; wyrzucony na obce brzegi, z niesłychanemi trudami dostał się do Weraagua, punktu umówionego zebrańia się całej wyprawy. Lecz głód, choroby i Indianie wkrótce wyniszczyli większą część jego towarzyszy. W którąkolwiek udał się stronę, bądź lądem bądź morzem, nowe go spotykały nieszczęścia. Przybył nareszcie do Darienu, spodziewając się znaleźć przytułek u współrodaków, Balboa z razu nie chciał go przyjąć, później dopiero dozwoił mu wysiąść na ląd, a wkrótce potem wyprawił go z siedemnastu jego towarzyszami na małym statku. Odtąd nikt o nim już nie słyszał.

Najważniejszym rezultatem tej wyprawy było założenie w Darjenie małej osady; którą oddano w zarząd Nunezowi Balboa. Przedsiębiorcy ten wojownik, częste czyniąc wycieczki na grunta sąsiednich kacyków, dowiedział się od Indjan, że o kilka dni drogi ztamtąd na południe, obszerne znajduje się morze. Wniósł ztąd i słusznie, że właśnie to było owe morze, którego Kolumb tak długo nadaremnie szukał. Zagrzany nadzieją, że dokona odkrycia, na które ow wielki człowiek tak długo napróżno się siłił i pragnąc co prędzej zebrać pierwszy plon zwycięstw, w krainach które według opowiadania krajowców, obfitowały w złoto, postanowił przebyć lądem przesmyk i osobiście sprawdzić tę ważną wiadomość.

Dla dopięcia tego zamiaru, trzeba było pokonać niezmiernie trudności, jakie mu stawały natura i krajowcy. Musiał prowadzić swoje wojsko, znękanę trudem i chorobami, przez bagna które dla ciągłych deszczów stały się prawie nieprzebytymi, przez góry okryte

dziewiczemi lasami, przez wąwozy, w których Indianie, od samej natury zabezpieczeni przeciw wrogom, co chwila wypuszczali na nich chmury strzał zatrutych. Lecz żadne naówczas kłeski niemogły znękać odwagi Hiszpanów. Balboa przezwyciężył wszelkie zawiady. Gdy się zbliżał do kresu swojej wyprawy, uprzedziwszy towarzyszy, wybiegł na wierzchołek góry, z kądem ujrzał z uniesieniem radości, ocean bez granic, spód jej zmywający. Rzucił się w morskie wały, i objął w dziedzictwo, dla korony Kastylijskiej, całe morze Południowe. Działo się to we Wrześniu 1513 r. Krajowcy dali mu do zrozumienia, że od strony południa, ciągnęła się ziemia bez końca i że była zamieszkałą przez potężne narody, posiadające wielką mnogość złota i używające bytła do uprawy roli i zaprzęgu. Balboa mniemał po tej wiadomości o bogactwach i cywilizacji Peru, że się dostał do Indji, do których Europejczycy tak wielką mieli chęć przedrzeć się, a niezgrabne rysy Lamy peruwiańskiego, przez mieszkańców skreślone na piasku, które najpodobniejsze były do wielbłąda, utwierdziły go jeszcze bardziej w tym błędzie. Uniesiony radością, wystął natychmiast do Hiszpanji, z uwiadomieniem o swych odkryciach, dopraszając się zarazem o rządtwo odpowiednie jego zasługom. Lecz dwór hiszpański był zawsze szczodrzejszym gdy szło o zachęcanie niżeli nagradzanie zasługi, przekładał młodych awanturników, nad starych i wysłużonych poddanych. Zarząd Darjenu powierzono Pedrariasiowi Dawila, który pałając ku Balboa nienawiścią, jaką zwykłe uczuwa słabość, znająca się na sobie, ku prawdziwej wyższości, ciągle przemysłał nad zgubą swego współzawodnika. Znalazł nakoniec sposobność nasycaenia swęj zemsty i hohaterski Balboa publicznie został ścięty w Darjenie, 1517 r, przedstawiając z siebie powtórny przykład nieszczęśliwego losu, przeznaczonego pierwszym zdobywcem Ameryki.



ROZDZIAŁ VII.

ODKRYCIA DOKONANE PRZEZ HISZPAŃÓW I PIERWSZA PODRÓŻ NA OKOŁO ZIEMI.

Diego Kolumb naczelnym rzadcą osad. — Nowa energia. — Poncjusz Leon szuka źródeł tamto dości. — Odkrywa Florydę. — Dostrzega prądy na wschodzie. — Wyprawa Garaya. — Kordob zwiedza Jukatan. — Grijalwa odkrywa nową Hiszpanję. — Aillon dostaje się aż do brzegów Karoliny. — Usiłuje założyć osadę. — Smutne jego niepowodzenia. — Ferdynand Magellan. — Szczegółowe prawa Hiszpanji i Portugalji. — Magellan zobowiązuje się przeprowadzić flotę na zachód aż do wysp Moluckich. — Zimuje na wybrzeżu Patagońskim. — Bunt na jego flocie. — Ostre jego postępowanie. — Opis krajowców. — Guanako. — Magellan przedziera się na ocean Spokojny. — Przybywa do wysp Filipińskich. — Nawraca króla Zebu i prowadzi za niego wojnę. — Zabity jest od wyspiarzy. — Zdradzieckie postępowanie króla Zebu. — Dwa okręta które uszły, dostają się do wysp Moluckich. — Los statku Trinidad. — Okręt. — Włóczy się optywa kulę ziemską. — Strata dnia jednego

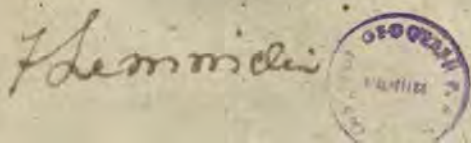
Wczynie gdy to się działo na południowym stałym lądzie, jenjusz odkryć działał w innym kierunku. Diego Kolumb, syn sławnego admirała, przybył do Hiszpanji r. 1509, mając sobie nadaną władzę, z której tak niesprawiedliwie wyrzuto jego ojca. W tej podróży towarzyszyło mu mnóstwo bogatych i szlachejnych osób, których obecność nadała nowe życie i nową sławę osadom hiszpańskim. Utworzono zakłady na Kubie i innych wyspach; wyprawy w celu przejrzenia mórz sąsiednich, z wielu miejsc razem wyruszyły. Roku 1512, Zuan Poncjusz z Leonu, gubernator *Porto-Riko*, wyprawił trzy okręta, na szukanie wyspy *Bajuka*, na której znajdować się miało źródło, którego wody, podług twierdzenia Indian, wracały zdrowie a nawet i młodość, kąpiącym się w nich, Podobnym baśniom z łatwością wierzyli romantyczni awanturnicy owej epoki. Poncjusz Leon, nieodkrył cudownego źródła, lecz posunawszy się znacznie ku północy-zachodowi, trafił na ziemię, której z powodu iż odkryta została w dzień Wielko-nocny, nadał nazwę *Floryda*. Zwrócił uwagę na bystre prądy, które nadpływając od wschodu, przechodzą około tego kraju; podróż jego wykazała żeglarzom hiszpańskim jak wielką odniosą korzyść, wracając do Europy przez cieśninę *Bahama*.

Smiały opór dzikich, przeszkodził Poncjuszowi Leon w założeniu osady na brzegach *Florydy*, nie wiele przeto

zważano na jego odkrycie aż do roku 1519, w którym Franciszek Garay, gubernator Jamajki wysłał na północ cztery statki, dla wykonania rozciąglejszych odkryć. Pineda, dowódca tej wyprawy rozpoczynawszy swe poszukiwania od Florydy, którą dotąd ciągle uważano za wyspę, opłynął całe wybrzeże ku zachodowi, aż do *Wera-Kruz* w *Nowej Hiszpanji*. Opisując narody które widział w ciągu swojej żeglugi, bardziej jeszcze unosił się przesadą niżeli inni ówczesni podróżnicy; niektórzy z owych Indian podług niego byli olbrzymami, inni zaś mieli tylko wzrost zwyczajny.

Podróż Pinedy uzupełniła znajomość zatoki Meksykańskiej, gdyż odkrycia dokonane już na zachodzie, obudziły ciekawość Garaya i nakłoniły do nowych usiłowań.

Roku 1519, Franciszek Ferdynand z Korduby, wyruszył z Kuby, i ciągle żeglując ku zachodowi, zwiedził większą część północnych brzegów *Jukatan*, i wrócił do Hawanny z wiadomościami otrzymanymi od zamożnego i ucywilizowanego Indiańskiego narodu, przebywającego na zachód wybrzeża które zwiedził. W następnym roku, Zuan Grijalwa wypłynął z tego samego portu, dla uzupełnienia odkryć, rozpoczętych przez Kordobę. Posunawszy się za granicę dotąd znane żeglarzom, przybył do kraju, zwanego od mieszkańców *Kimpeš*. Dalej zawiął do małej wyspy, nieopodal od brzegu,



zdołnej piękniemi plantacjami; w półrodku jej znajdowało się kilka świątyn kamiennych, walących się w gruzy, do których się wchodziło po długim ciągu schodów, w jednej z nich przewyższającej wszystkie wysokością, znajdowało się bożyszcze, któremu zabijano ludzi na ofiarę. Im dalej Grijalwa płynął ku zachodowi, tém bardziej kraj wydawał się mu zamożniejszym i ucywilizowanym. Białe domki, zbudowane z kamienia i rozrzucone po brzegu, przypominały Hiszpanom rodzinną ziemię i z tego powodu nadali oni tej ziemi obiecanej poehlebne miano *Nowej-Hispanji*. Złactwością weszli w stosunki handlowe z krącejowcami, którzy byli uprzejmi i spokojni. Zebrano wielkie mnóstwo złota. Grijalwa otrzymał nawet od jednego Kacyka całą zbroję, zrobioną z tego kosztownego kruszcza. Zgromadziwszy skarb dość znaczny, i rozszerzwszy swe odkrycia na północ, aż po za *Panuko*, wrócił do Kuby, mając nadzieję że znowu wkrótce powróci do owej ziemi bogactw, dla ściągnięcia nowego haraczu od słabych i dobroduszych jej mieszkańców.

W przeciągu dwudziestu-sześciu lat, licząc od dnia, w którym Ameryka została odkrytą, Hiszpanie pracowali z nadzwyczajną czynnością nad rozszerzeniem swęj znajomości Nowego-Swiata. Pozakładali liczne osady, w znacznych odległościach jedne od drugich; nie czyniąc żadnego usiłowania prawdziwie narodowego, pchnięci jedynie dumą niektórych osób, rozpoznali rozległe i nierówne wybrzeże, owego wielkiego stałego lądu, od rzeki *la Plata*, aż do ostatnich krańców *Florydy*. W miarę nabywania nowych wiadomości, śmiałość ich i ciekawość zdawały się zwiększać. Wydarzyły się często nadspodziewane wypadki, rozszerzające zakres ich wiadomości jeograficznych. Łukasz Wasquez de Aillon, wyruszył r. 1520 z Hispanioli, w celu polowania na niewolników na wyspach Bahama; lecz gdy się niepowiódł ten główny cel jego podróży, zwrócił swą żeglugę na północ i odkrył część Ame-

ryki Północnej, zawierającą się w granicach obu Karolin. Znalazł licznych mieszkańców, skłonnych do pokoju. Zrazu wielka trwoga ogarnęła dzikich, na niezwykle widok Hiszpanów i ich statków; lecz gdy przeszło to pełne obawy zadziwienie, tłumem weszli na okręty, dla zaspokojenia ciekawości jaką w nich wzbudzali ci nieznajomi goście. Hiszpanie upatrzyszy czas, nagle podnieśli kotwice i wprowadzili nieszczęśliwych Indjan z rodzinnej ziemi, zabrawszy ich w niewolę. Dumny tém powodzeniem Aillon, udał się do dworu hiszpańskiego, dla utrzymania kraju który odkrył. Natychmiast uczyniono zadosyć jego żądaniu, postanowili założyć własnym kosztem osadę, oddaloną od Hispanioli blisko o ośmset mil, a to w przeciągu trzech lat, licząc od daty otrzymanego ustąpienia, to jest przed r. 1528. Starał się dopełnić warunki; przygotował wyprawę, złożoną z sześciu statków, na które pięćset zabrał osób; wysiadł przy ujściu rzeki, pod 33° 40' szerokości (zapewnedzisiejszej *Georges Town*) i zaczął budować miasto. Lecz choroby, potrzeby i nieustanne napady Indjan zniechęciły jego ludzi. Sam Aillon padł z innymi ofiarą niezdrowego klimatu. Zowych pięćset ludzi, którzy towarzyszyli nieszczęśliwemu dowódcy, wkrótkim czasie zaledwie pozostało tylko pięćdziesięciu; słabe te szczątki, przeżalone szybką śmiertelnością, która się w ich szyki zakradła, opuściły zgubną krainę i dostały się do Hispanioli.

Krótko przed temi wypadkami, dokonano ważnego odkrycia na półkuli południowej, które rokowało nader świetne korzyści i wielce pomnażało tryumf narodu hiszpańskiego. Fernando Magalhaens, lub jak go pospoliciej nazywano, Magellan, dowódca Portugalski, zniechęcony iż go w zupełnem zostawiono zapomnieniu po długich występach w Indjach Wschodnich, i niemogąc otrzymać od monarchy łaski, do której czuł że miał prawo, postanowił opuścić na zawsze kraj, w którym najchlubniejsze usiłowania tak źle nagradzano. Podobny człowiek mógł

być pewny najlepszego przyjęcia u dworu hiszpańskiego. Zaproszony, potajemnie wyjechał roku 1517 do Waladolid, gdzie Karól V wówczas przebywał. Magellan odpowiedział na wszystkie zapytania tego monarchy, dotyczące się położenia wysp Moluckich, i silnie dowodził, że Hiszpanja ma polityczne prawo do tych wysp zamorskich. Bulla przez którą papież Alexander VI pragnął pogodzić pretensje, rozszczone przez Hiszpanów i Portugalczyków, oznaczała linje, pociągniętą od jednego bieguna do drugiego, o sto mil na zachód od wysp Azorskich, za granicę ich posiadłości, tak że wszystkie kraje odkryte o 180 stopni na zachód téj linii, należyć miały prawem do Hiszpanów, a na wschód, w równym że wymiarze do Portugalczyków. Ten sposób oznaczenia z wszelką pewnością granicy na oceanie Atlantyckim, niemógł być zastósowany do drugiej półkuli ziemskiej. Niebyło żadnego zdolnego jeografa któryby mógł oznaczyć na niej niezawodne stopnie długości. Ci którzy się odwoływali do Ptolomeusza, i mniemali że Chiny leżą o 180 stopni od wysp Kanaryjskich, zdolni byli wjerzyć że wyspy *Moluckie* czyli *Korzenne*, znajdują się za obrębem kuli ziemskiej, nadałym Portugalczynom przez Papieża, a zatem że należą do Hiszpanji jeśli się do nich przybędzie od zachodu. Traktat z 1494, którym oba współzawodnicze dwory, zgodziły się posunąć graniczną linję o 185 mil na zachód wysp Azorskich, chociaż otwierał Portugalji drogę do Brezylji, zwiększał również prawa Hiszpanji do wschodniej półkuli ziemskiej i zrzadzał nowy nieład w prawie, na mocy którego obie strony kontraktujące, tak śmiało dopominały się o posiadanie każdego kraju. Nigdy jeszcze spekulacye polityczne nie zostały bardziej zawiedzione przez niewiadomość jeografów.

Magellan popierając prawa Hiszpanji do wysp *Moluckich*, twierdził że donich dopływie od zachodu; był bowiem przekonany że istnieje przejście na około stałego lądu amerykańskiego;

wniosek jego przyjęto i przygotowano flotę dla dokonania tego wielkiego przedsięwzięcia, składającą się z pięciu okrętów i dwustu trzydziestu ludzi osady. Magellan wywiesił swoją banderę na statku *Trinidad*. Żuan z Kartaginy dowodził *Świętym-Antonim*, Ludwik Mendoza *Wittoryą*, Gaspar Mendosa *Niepokolanóm Poczęciem*, na pokładzie którego także się znajdował jako porucznik, Sebastyan del Kano, który otrzymał zaszczyt przyprowadzenia na powrót Wittorji, gdy ta odbyła godną pamięci żegluga na około kuli ziemskiej, nakoniec małym statkiem *Santiago* dowodził Roderyk Serrano. Po skończonych przygotowaniach, flotta wyruszyła z San-Lukar 20 Września 1519, i przybyła bez żadnego przypadku do brzegów Brezylji. Zmierzając dalej zwoła ku południowi, Magellan wpłynął w Kwietniu, blisko pod 50 stopniem szerokości południowej, do bezpiecznej i wygodnej przystani, którą nazwał portem *Świętego-Juljana*. Postanowił przepędzić tam zimę, która w téj części świata niezmiernie jest ostrą i trwa od początku Maja aż do Września. Lecz surowa oszczędność w rozdzielaniu żywności i cierpienia wynikające z zimnego i burzliwego klimatu, zniechęciły oficerów wyprawy, już i tak nie zbyt chętnie ulegających rozkazom cudzoziemca. Zaczęli narzekać na niedostatek i niebezpieczeństwa na jakie są narażeni, zostając bezczynnymi na nieznanych i nieplodnych brzegach wśród najsrońszej pory roku. Domagali się aby ich odwieziono napowrót do Hiszpanji; lecz że Magellan odmawiał spełnić to żądanie, podnieśli przeciw niemu sztandar buntu. W tak trudnym położeniu, Magellan postąpił z odwagą, godną wielkiego przedsięwzięcia, które chciał jakim bądźkolwiek kosztem dokonać; na nieszczęście, to go doprowadziło do zdrad i gwałtowności, a tych żadne niebezpieczeństwo wymówić niezdola. Wysłał do Ludwika Mendozy przywódcy nieukontentowanych, posta z zleceniem przebicia go w czasie rozmowy. Okrótny ten rozkaz zo-

stał wykonany, a osada jego okrętu poddała się natychmiast; Kwesada zginął nazajutrz, a Zuan z Kartageny zostawiony na lądzie, znalazł może zgon okropniejszy, niżeli inni współwino-wajcy.

Flotta zostawała przez dwa mie-siące w porcie Świętego Juljana, przez cały ten czas niepostrzeżono ani jed-nego krajowca; nakoniec pewnego dnia, gdy się najmniej tego spodzie-wano, męczyzna olbrzymiego wzrostu i prawie zupełnie nagi, ukazał się w niewielkiej odległości od okrętów. Spiewał i tańczył nader dziwacznie, posypując głowę kurzem. Natychmiast wysłano na ląd majtka z rozka-zem, iżby zupełnie naśladował wszy-stkie poruszenia tego człowieka; ta uprzejmość pożądana sprawiła skutek, gdyż dziki natychmiast udał się na okręt Magellana. Często wskazywał na niebo, jak gdyby się pytał czy Hiszpanie z niego zstąpili. „Był tak wy-soki, mówi Pigafetta, nąjlepiej wypra-wy; że nasze głowy dostawały mu za-ledwie do pasa, głos zaś miał podobny do ryku wołu. Krajowcy zebrali się wówczas tłumnie na wybrzeżu, zdzi-wieni widokiem tak wielkich okrętów a małych ludzi.” Jeden z nich często wchodził na okręt, nauczono go pacierza i nareszcie ochrzczono pod imieniem *Zuana Gingant*.

Niewidziano razem nigdy więcej jak ośmnastu krajowców; ci dzieci mieli ze sobą czworo zwierząt, które prowa-dzili na postronkach, używając ich do polowania na inne tegoż rodzaju stworzenia. Zwierze to należało do rodzaju lam. Krajowcy zwali go Guanako, co spowodowało nadanie mu nazwy *Camelus guanacus*, przez tegożczesnych naturalistów. Ze skóry jego krajowcy wyrabiali niezgrabne obuwie i dla tego od Magellana na-zwani zostali Patagonami, co znaczy po hiszpańsku: *źle obuty*.

Magellan przytłumiwszy bunt opu-ścił port świętego Juljana, w Paździer-niku 1520 r, w kilka dni później do-stał się do cieśniny, noszącej podziś dzień imię tego sławnego żeglarza.

Niepodobna opisać radości żeglarzy hiszpańskich, gdy znaleźli otwarte prze-jście na zachodzie. Okręt San-Antonio samowolnie wyprzedził eskadrę w po-wrocie do Hiszpanji. Santiago rozbił się na kilka dni pierwiej. Z trzema więc tylko okrętami, Magellan, 28 Li-stopada wypłynął z cieśniny na ob-szerny ocean, ów jedyny cel tak dłu-gich jego poszukiwań.

Nazwa morza południowego, nadana temu oceanowi przez Balboą, który tylko widział małą jego częśćkę oble-wającą południowe brzegi przesmyku Dariena, i nazwa oceanu Spokojnego, przyjęta od Hiszpanów, żeglujących po spokojnych morzach Peru i Chili, są obie zbyt ograniczone, dla tego najo-gromniejszego połączenia wód, jakie się znajduje na kuli ziemskiej. Ma-gellan potrzebował trzech miesięcy i dwudziestu dni na przebycie owego oceanu, od cieśniny noszącej jego na-zwę, aż do wysp Filipińskich, gdzie przybył 16 Marca 1521. Rzecz godna uwagi, że Magellan w ciągu swej dłu-giej podróży po morzach, na których później odkryto liczne wyspy zaludnio-ne, dwie z nich tylko napotkał; jedna i druga tak były na pozór opuszczo-ne, że je nazwał *Desventuradas*, czyli *Nieszczęśliwe*. Wątpią ażeby później zwiędzane były kiedy przez Europej-czyków, licząc od dnia ich odkrycia.

Dostawszy się do grupy, która póź-niej otrzymała nazwę wysp *Filipiń-skich*, Magellan dobrze został przyjęty od króla tamtejszego Zebu; monar-cha ten sam się uznał wassałem króla hiszpańskiego, i przyjął wiarę chrze-ścijańską z znaczną częścią swego lu-du. Dziki z Malaki, który towarzyszył wyprawie hiszpańskiej służył za tłu-macza w owiej okolicy, handlarze bowiem tego archipelagu znają pra-wie wszystkie djalecta indyjskie. Z na-tury śmiały Magellan, uniesiony zapa-łem nierozważnie ofiarował się bro-nić nowo nawróconego chrześcianina przeciwko wszystkim jego nieprzyja-ciołom. Ofiara ta została przyjętą. Oddział doborowy Hiszpanów, dowo-dzony przez samego Magellana, wy-

ruszył przeciw sąsiedzkiemu władcy, nieprzyjaźnemu królowi Zebu. Lecz zaledwie wojownicy europejscy wkroczyli na nieprzyjacielską ziemię, otoczeni zostali od niezmiernego tłumu który ciskał na nich kamieniami. Hiszpanie bronili się przez cały dzień. Magellan ugodzony w głowę poległ. Tak zginął ofiarą swęj śmiałości, człowiek którego jenjusz i wielka odwaga zdolne były dokonać największych przedsięwzięć. Wyprawa którą kierował zostawiła po za sobą bardzo daleko wszystkie poprzednie, a to pod względem śmiałości pomysłu i sposobu jej wykonania. Magellan w najwyższym stopniu posiadał sztukę rozkazania. Buntownicze usposobienie jego officerów, pochodzące z narodowej odrazy, niewkradło się nię nigdy pomiędzy majtków, uważali oni zawsze admirała z względami przynależnemi wyższej istocie.

Po śmierci Magellena, Zebu zapominając zarazem nowej wiary i przyjaźni okazywanęj Hiszpanom, kazał zdradziecko wszystkich będących na wyspie pozabijać. Pozostali na statkach, dowiedziawszy się o nędznym losie współtowarzyszów i wodza, widząc się w niedostatecznej liczbie do kierowania trzema okrętami, spalili statek Niepokalane Poczęcie, a z dwoma pozostałemi, wyruszyli dla szukania wysp *Moluckich*. Przybyli do rozmaitych punktów wschodniego brzegu Borneo, przeszli na północ *Celebes*, i dostali się nareszcie do *Tidor*, jednęj z wysp *Moluckich*, byli od monarchy tamtejszego przyjęci z radością, gdy się dowiedział że są nieprzyjaciołmi Portugalczyków, którzy opiekowali się królem Ternatu, jego przeciwnikiem. Okręt *Trinidad*, już uczynający brać wodę w siebie, pozostawiono w *Tidor* dla naprawy, a gdy był w stanie puścić się na morze, usiłował wrócić na brzegi Amerykańskie przez ocean Spokojny; lecz miotany przeciwnymi wiatrami, okrążył znowu wyspy *Moluckie* i przybył do nich w tak zupełnem stanie zniszczenia, że Portugalczykowie z łatwością zabrali

całą jego osadę w niewolę. Tymczasem *Wittorya*, pod dowództwem *Sebastjana del Kano*, okrążyła przylądek *Dobrej-Nadziei* i przybyła 6 Września 1522 do *San-Lukar*. Tak się ukończyła pierwsza podróż w około świata, która trwała lat trzy i dni czternaście.

Można sobie wyobrazić, ze szczegółów przeczytanego dzieła, czém była sztuka żeglarska przed Kolumbem. Częstemi rozbiciami i wielką stratą ludzi, opłaczano nieraz odkrycie, dwustu lub trzystu mil brzegów. Postępy Hiszpanów na brzegach Nowego-Swiata, mogą być uznane za nader szybkie, jeśli cenić one będziemy pod względem zapału i wytrwałości których wymagało ich dokonanie, lecz znów były nadwyzczaj powolne, jeśli porównamy z tēm coby można dokazać w epoce w której żeglarstwo zostało wydoskonalone. Jednak zdaje się że podczas podróży Magellana, wielkie ono już uczyniło postępy i znacznie ulepszone zostało. Kierunek nadany mu przez tego wielkiego żeglarza, równie był zręczny jak jenjusz jego ufny i śmiały; sposoby przyjęte przez zwyczajnych żeglarzy, niekępowały nigdy popędu jego pomysłów. Zamiar przemierzania w porcie *Świętego-Juljana*, który tak przestraszał jego officerów już poprzednio usposobionych do buntu, sam przez się już dowodzi energii i oryginalności jego umysłu.

Wittorya wyciągnięta na ląd, przez czas długi była zachowywaną jako pomnik dokonania najznakomitszej podróży. Sternikom rozkazano aby nadesłali do dworu swe dzienniki, a majtków każdego z osobna badano pod względem wypadków podróży. Przy pomocy tych materyałów, napisano z polecenia Cesarza Karóla V dzieje wyprawy ze wszystkiemi szczegółami; lecz rękopism ów musiał uleść zniszczeniu przez pożar, podczas zburzeń Rzymu 1527, i świat byłby nigdy nie wiedział o szczegółach tēj nadwyzczajnej podróży Magellana, gdyby nieopowiadanie Antoniego Pigafetta, szlachcica z *Wincencji*, który towarzyszył

temu admirałowi (1). Pigafetta był dowciwnym postrzegaczem, lecz nadzwyczaj łatwowiernym. Bardzo zajmującym w jego opowiadaniu jest obraz wypiarzy morza Południowego, dotąd nieznanych Europejczykom. Jemu także winni jesteśmy pierwsze słowniki języków, któremi mówiły ludy od niego widziane.

(1) Dzieje pierwszej podróży na około świata, które jakieśmy powiedzieli, winni jesteśmy Pigafettemu, znane tylko były ze skrócen i wyjątków aż do początku XIX wieku. W owej epoce dopiero, zupełny rękopism tego dzieła znaleziony został przez Amorettego w bibliotece Ambrozjańskiej w Medjolanie. Jansen ogłosił go w Paryżu 1801 r.

Ponieważ *Wittorya* opłynęła świat na około, ze wschodu na zachód, to jest z codziennym biegiem słońca, a zatem gwiazda ta, odbyła względnie do okrętu, obrót daleko mniejszy, niżeli względnie do jakiegokolwiek stałego punktu na kuli ziemskiej; to też gdy Sebastyan del Kano dostał się do San-Lukar, nader się zdziwił, iż mu brakowało jednego dnia do rachuby. Brał za 5 Września dzień, który we wszystkich kalendarzach europejskich był 6 tegoż samego miesiąca. Okoliczność ta tak łatwa do wytłumaczenia, wprowadziła w kłopot ówczesnych uczonych i dała powód do niejednej bezasadnej teorii.



ROZDZIAŁ VIII.

HERNANDO KORTEZ.

Wychowanie Korteza. — Przybywa do Kuby. — Mianowany wodzem wyprawy przeciwko Nowej-Hispanji. — Buduje Wera-Kruz. — Początek jego podbojów. — Zwycięza Tlaskalanów. — Rzeź w Cholula. — Hiszpanie wchodzi do miasta Meksyku. — Niebezpieczne ich położenie. — Kortez bierze w niewolę Montezumę. — Porażka Narweza. — Powstanie Meksykanów. — Zgon Montezumy. — Bitwa pod Otumba. — Tryumf Hiszpanów. — Poddanie się Meksyku. — Alwarado idzie przeciw Guatemala. — Wyprawa De-Oli. — Kortez prowadzi wojsko z Meksyku do Honduras. — Ugoda w Badajoz. — Loyas jest wysłany z flotą do wysp Moluckich. — Jego los. — Podróż statku Pataka. — Kortez posyła Saawedra w pomoc Loyasowi. — Podziwienie Portugalczyków. — Saawedra odkrywa Nową-Gwineję i inne wyspy. — Jego los. — Kortez staje się przedmiotem politycznej zazdrości. — Wraca do Hiszpanji. — Jak tam jest przyjęty. — Powraca do Meksyku z władzą bardziej ograniczoną. — Odkrywa Kalifornię. — Traci majątek na niepotrzebnych wyprawach. — Powraca do Hiszpanji. — Jego wojna w Afryce. — Dwór go opuszcza. — Jego śmierć.

Wielkie rewolucye w dziejach społeczeństwa, zwykle wykrywają moc charakterów i talenta, tym sposobem przedstawiają obraz najgodniejszy uwagi. Odkrycie Ameryki, najważniejszy może z wypadków jaki przedstawiają dzieje świata, usprawiedliwia najzupełniej tę uwagę. Na nowym stałym lądzie, Hiszpanie wiedzeni byli do zwycięztw przez szereg bohaterskich ludzi, których wielkie zamiary i nieugięta odwaga, najzupełniej odpowiadały ogromowi widowni, na jakiej ukazywali się

przed oczami świata. Pomiędzy najznakomitszemi liczyć należy Hernanda Korteza. Sławny ten człowiek urodził się r. 1485 w Medelinie mieście Estremadury, ze szlachetnej lecz ubogiej rodziny. Przeznaczony do prawaictwa, dobre otrzymał wychowanie; lecz w miarę jak wzrastał, prócz nadzwyczajnego zapału i burzliwego charakteru, nie wielką wykazywał zdolność do nauk i życia szkolnego; obrał zatem wojskowość. Włochy były wówczas najpotężniejszymi szrankami, dla ludzi wzdychają-

cych do sławy wojkowej: choroba wstrzymała jedynie Korteza, że nieposzedł szukać szczęścia w tym zawodzie. Przeznaczeniem jego było spełnić daleko ważniejsze czyny, niż te jakie mógł dokazać w wojnach europejskich. Roku 1504 wyjechał do Hiszpanii, gdzie go jaknajlepiej przyjął gubernator Owando, który był dalekim jego krewnym. Z powodu zdrowia nie mógł z Hojedą udać się na wyprawę do Uraba, w której Balboa, Pizarro i tulu innych co tak świetnie później się odznaczyło w sprawie Nowego-Swiata, towarzyszyli nieszczęśliwemu wodzowi.

Roku 1511, Korteza wyruszył z Diegem Walaskezem na wyprawę do Kuby i pozyskał szacunek tego wojownika, przez swą staranną baczność na najdrobniejsze szczegóły wojskowe. Gwałtowność młodych lat jego, ustąpiła nawyknienu do wytrwałej czynności, a szczerłość ułożenia łatwo mu pozyskiwała ufność współtowarzyszów broni. Gdy Grijalwa powrócił z odkrytej przez siebie *Nowej - Hiszpanji*, Węlaskez przysposobił natychmiast wyprawę, dla zdobycia tego kraju; lecz charakteru słabego podejrzliwego, z żalem oddałby tak ważne zlecenie w ręce człowieka, który się już poprzednio chlubnie odznaczył. Zakłopotany wyborem, przez poduszeczenia zazdrości, ogłosił nareszcie Hernanda Korteza, który wsiadł na okręt 18 Listopada 1518; towarzyszyło mu dziesięć statków, a na tych znajdowało się od 600 do 700 ludzi, ośmnaście koni i kilka armat. Zaledwie odbił od brzegu, Węlaskez żałował iż oddał tak liczne siły pod rozkazy człowieka którego obawiał się zarówno talentów jak i skrytych zamiarów; lecz już było zapóźno błęd ten poprawić. Korteza ufny w przywiązaniu swych żołnierzy, w dalszą puścił się drogę.

W Marcu 1519, Hiszpanie wylądowali na brzegach Meksyku. Indianie patrzali ze strachem i uwielbieniem na tych nieznanym gości. Wielkość ich statków, gromy artylerji, a nadewszystko siła i szybkość koni napełniały ich podziwieniem i zmuszały patrzeć

na Hiszpanów z zabobonnem uszanowaniem, z którego przebiegli Europejczycy korzystać umieli. Korteza dowiedział się wkrótce, że ten kraj należał do Montezumy, którego obszerne państwo rozciągało się od jednego morza do drugiego i mieściło w sobie posiadłości trzydziestu potężnych kacyków. Wódz hiszpański usilnie domagał się aby go stawiono przed tym monarchą, lecz z przezorności czy też może z przeczcucia Meksykanie, wszelkimi podstępami starali się odwieść Korteza od tego zamiaru. Dwór nadesłał mu wspaniałe dary, składające się ze złotych i srebrnych narzędzi, cudownie wypracowanych, z materji bawełnianych, i obrazów z piór ułożonych. Im bardziej jednak Meksykanie okazywali, do jakiego stopnia cywilizacji i zamożności doszli, tém uporczywiej Hiszpanie usiłowali dostać się w głąb ich państwa. Bohaterski Korteza, nietrworząc się bynajmniej udzielnemi sobie objaśnieniami o potęgę i charakterze Montezumy, który mógł wyprowadzić w pole dwakroć sto - tysięcy ludzi, postanowił raczej pokonać wszystkie niebezpieczeństwa, niż porzucić łup tak zaszczytny, i natychmiast przedsięwziął zdobyc, godną swęj śmiałej dumy.

Rozpoczął przygotowania od wzniesienia miasta *Wera-Kruza*, spalił wszystkie okręty, pozostawiając towarzyszym wybór pomiędzy zwycięstwem lub zgubą, zjednał sobie kilku niechętnych kacyków, oburzonych gwałtownym charakterem Montezumy. Po tych ostrożnościach, zaczął się zapuszczać w głąb kraju z małym wojskiem, składającym się z pięciuset ludzi, sześciu armat i piętnastu koni. Jedni tylko mieszkańcy Tlaskali ośmielili się stawić mu opór; dzicy owi republikanie, którzy szczęśliwie zniweczyli wszelkie usiłowania Meksykanów, chcących ich podbić, zostali wówczas zupełnie pokonani w trzech bitwach, przez garszkę Hiszpanów, którzy nieokupili nawet znaczną stratą tego zwycięstwa. Waleczni Tlaskalanie zmuszeni byli błagać o pokój, i z zaciętych przeciwników z radością stali się sprzymierzeńcami tych, których do-

świadczyli niezachwianego męstwa. Tak wzmocniony związkiem narodu, którego dawna nienawiść ku Meksykanom była dla niego zakładem wierności, Korteż postępował ku stolicy Montezumy; monarcha ten, lekając się stać otwarty opór Hiszpanom, wysłał do nich z uwiadomieniem, że będą przyjęci w jego państwie jako przyjaciele. Istotnie doznali największej uprzejmości w Cholula; lecz znowu podejrzenia Korteza na nowo powstały, gdy otrzymał ostrzeżenie od swych sprzymierzeńców z Tlaskali: kazawszy uwięzić kapłanów Meksykańskich, dowiedział się od nich, iż go postanowiono tajemnie wraz z wszystkimi towarzyszami w pień wycieli. Hiszpanie do wściekłości przywiedzeni, sześć tysięcy Cholulanów w pień wycieli. Indianie równie zostali zdziwieni przenikliwością zdobywców, jak ich siłami i nadzwyczajnością broni.

Co do Hiszpanów, mniej omamieni byli swoim powodem, jak widokiem zamożnej prawie bez granic płaszczyny Meksyku, jej obszernego jeziora, otoczonego ludnemi miastami, i wspaniałej stolicy, wznoszącej się niedaleko brzegu na wyspie malowniczej; wszystko to im urzeczywistniało najpiękniejsze marzenia poetycznej wyobraźni. Za każdym krokiem znajdowali nowy powód podziwiania bogactw kraju i własnej śmiałości. Montezuma przyjął ich z szumną okazałością i wszelkimi oznakami przychylności. Lud patrzył na nich jak na istoty nadprzyrodzone i składał Korteżowi, którego nazywał synem słońca, cześć pełną uszanowania i uległości.

Najpierwszem staraniem Korteza było obwarowanie się w pałacu, który mu oddano na mieszkanie, a jedyną myślą, wyszukanie sposobów, dla przywłaszczenia sobie tego obszernego i zamożnego państwa. Nowy jednak wypadek, zagroził zniweczeniem dumnych jego planów. Wódz Meksykański, stósownie do tajemnych rozkazów Montezumy, napadł na słabą załogę zostawioną w *Wera-Kruz*, a lubo odparty, zabił jednak kilku Hiszpanów i jedne-

go wziął w niewolę. Skazano nieszczęśliwego na śmierć, a głowę jego obrysyłano po wszystkich głównych miastach państwa, dla przekonania ludu, że jego zdobywcy, chociaż tak straszni i groźni, nie byli jednak nieśmiertelnymi. Przesądna obawa jaką Hiszpanie natchnęli krajowców, a która stanowiła podstawę ich władzy, była tym sposobem narażoną na upadek. Skoro bowiem raz zniknął nrok, któremu winni byli swoją wyższość, wystawieni zostali na niechybną zgubę, pomimo wyższości swych oręży i karności wojennej, wściekli nieprzyjaciele, gromili ich swoim mnóstwem.

Korteż ujrawszy niebezpieczeństwo takiego położenia, postanowił przedzić skutki swęj zuchwałości, czynem śmielszym od wszystkich na jakie się dotąd odważył. Udał się, w towarzystwie swoich oficerów do pałacu Montezumy, i napróżno usiłując zniewolić go namową, zmusił gwałtem i groźbą, że się udał zanim do głównej kwatery Hiszpanów. Raz zostawszy panem jego osoby, ogarnął rzeczywistość całą powagę rządu. Wódz Meksykański, który napadł na Wera-Kruz, wydany jego zemście, został żywcem spalony. Zdobycwa doskonale przewidywał, że krwawe widoki zdolne są umocnić zabobonne wrażenia; polityka więc jego skazywała na karę najbardziej odznaczających się z pomiędzy tych, co śmieli powątpiewać o nienaruszoności Hiszpanów. Montezuma tymczasowo obciążony kajdanami, był zmuszony sam się uznać za lennika cesarza Karola V. Do tego upokorzenia przydał podarunek 600,000 marków czystego złota, prócz znacznego mnóstwa klejnotów. Groźny Korteż wyżuwszy z władzy i bogactw uciemienzonego księcia, niemógł żadnym sposobem skłonić go do odmienienia wiary. Hiszpanie jednak wstrzymali obmierzłe obrzędy z ciał ludzich i na miejsce ogromnych knp czasek, zdołających świątynie pogańskie, zawiesili obrazy świętych i Boga rodzicy.

Tryumf Korteza zdawał się już od-
tąd być pewnym, gdy się nagle do-

wiedział, że wojsko hiszpańskie wylądowało pod rozkazami Narweza, którego Welazkez przysyłał, dla odebrania mu władzy. Wystąpił przeciw tej nowej zawadzie, z zwykłą sobie śmiałością. Zostawiwszy w Meksyku dwustu ludzi, pod rozkazami swego zastępcy, resztę sił swoich poprowadził, z największym pośpiechem, przeciw Narwezowi. Spór został wkrótce rozstrzygnięty. Narweż wpadł w ręce współzawodnika, a wojsko jego z radością przeszło pod sztandary zwycięzcy. Za ledwie Korteż wrócił do stolicy, nowe wybuchnęły zamieszania. Meksykanie powstałi z większym zapętem niżeli kiedykolwiek. Montezuma, narzędzie woli Hiszpanów, zraniony został od rozjadranych poddanych, w chwili gdy chciał do nich przemówić, nowe to upokorzenie tak go mocno dotknęło, że zamorzył się głodem. Attakowano teraz Hiszpanów z wielką natarczywością i jedna tylko ucieczka mogła ich ocalić. Wyruszyli przeto pewnej noce, w nadziei iż przebędą drogi wiodące z Meksyku nad brzegi jeziora, nim nieprzyjaciele dowiedzą się o tem poruszeniu. Lecz baczni Meksykanie z taką wściekłością rzucili się na swoich ciemiężców, że ci pomimo waleczności z jaką się bronili, utracili wszystkie konie, armaty i kilku najwaleczniejszych żołnierzy. Korteż i jego towarzysze, przebywszy wzniosłości panujące nad płaszczyzną *Otumba*, ujrzeli ogromne wojska gotowe na ich przyjęcie. Na widok ten, o mało nieostała odwaga Hiszpanów, lecz bohaterki zapęta ich wodza, nigdy świetniej się nieokazał jak w tych rozpacznych okolicznościach. Niedawny czasu swoim żołnierzom, rozpatrzył się w straszliwej massie nieprzyjaciół, rzucił się z wyborowym orszakiem w szyki przeciwników, zdobył świętą chorągiew Meksykanów i bez wielkiej straty najzupełniejsze odniósł zwycięstwo. Sławna ta bitwa w której garszka Hiszpanów rozproszyła zebrane siły państwa Meksykańskiego, stoczona była 7 Lipca 1520. Następnego dnia, Korteż dostał się do Tlaskala, którego mieszkańcy pozostali mu wiernymi wśród naj-

większych klęsk jego. Towarzysze Korteza sądźli, że im niepozostaje jak tylko porzucić nierówną walkę, w której ich liczba i zapasy podołać niemogły. Lecz Korteż uparł się zdobyć państwo Meksykańskie; użył agentów dla zaopatrzenia się w żywność i do zaciągnięcia żołnierzy, pomiędzy awanturnikami w osadach hiszpańskich. Rozgłos o dokonanych czynach i łupach bogatych, zdobytych w *Otumba*, wielką ich liczbę ścigał pod jego sztandary. W sześć miesięcy po nieszczęsnem cofnięciu się z pod murów Meksyku, znowu przeciwko niemu wyruszył z pięciuset Hiszpanami i dzieściami armatami, nielicząc dość znacznego korpusu posiłkowych Tlaskalanów. Gwatimozin nowy cesarz, bronił miasta z nadzwyczajną odwagą, przez kilka miesięcy niweczył wszelkie usiłowania Korteza, który wystawiwszy kilka brygantyn, całkiem opanował jezioro. Lecz narreszcie artylerya hiszpańska odniosła górę. Gwatimozin, uciekając w czółnie został pojmany w niewolę z żoną i dziećmi, a los cesarstwa Meksykańskiego zupełnie rozstrzygnęło poddanie się stolicy, 13 Sierpnia 1521.

Przy końcu oblężenia, Korteż widział 200,000 Indian zebranych pod swojemi chorągiewami, to nadzwyczajne powodzenie, winien był swojej polityce i odwadze. Opis zwycięstw, przesłany przez niego do Europy, zjednał mu pochwałę dworu hiszpańskiego. Karól V. niezważając na skargi Welazkeza, mianował Korteza gubernatorem i generał-kapitanem Meksyku. Wdzięczny monarcha nadał zarazem swemu generałowi na własność dolinę Gwaksaka, z tytułem margrabiego i znacznymi dochodami.

Jak tylko Korteż ujrział władzę swoją uświęconą zezwoleniem królewskim, z nowym zapętem zajął się ustaleniem swej zdobyczy przez ustanowienie regularnej policyi, budowanie nowych miast i zachętę hojnie udzielaną dla sztuk kwitnących w pokoju. Za ledwie zakończył walki z Meksykanami, wysłał natychmiast rozmaite wyprawy, dla dokładniejszego rozpoznania ich pię-

knęj krainy. Alwarado i Sandowal, dwaj jego najsińsi podwładni, przebiegli kraje leżące wzdłuż morza Południowego, odbierając hołd uległości od mieszkańców, i wydzierając im złoto, jedyny przedmiot, dla którego na wszelkie niebezpieczeństwa narazali się zdobywcy Nowego-Swiata. Alwarado poniósł na południe zwycięzki swój oręż, aż do prowincji *Gwatemala*, gdzie zbudował miasto *San-lago*. W tej wyprawie, przeszedł około 200 mil krajów dotąd nieznaanych, przebywając wzgórze siarczyste i rzeki tak gorące, że jego żołnierze zaledwie one wbród przepływać mogli.

Około tego czasu, Korteż dowiedział się, że prowincje *Higueras* i *Houduras* zawierały w sobie bogate kopalnie. Niektórzy żeglarze donieśli mu, iż w owych krajach, rybacy miejscowi przywiązywali do swych sieci kawały złota, zaledwie pomieszanego z miedzią; twierdzili także że można w tejże stronie znaleźć przesmyk czyli przejście komunikacyjne z oceanem Spokojnym. Korteż postanowił wysłać morzem wyprawę aż do Honduras; uzbroiwszy więc kilka statków, oddał je pod dowództwo Krystowala Oli. Ten za przybyciem swoim do Honduras założył osadę, która przybrała miano *El Triumfo de la Cruz*; lecz powodowany osobistą nieprzyjaźnią przeciw Korteżowi, zrucił natychmiast jarzmo jego władzy; wojska któremi dowodził były także niezadowolone, iż złoto wydarte krajowcom nieodpowiadało ich chciwemu oczekiwaniu. Każde ściąganie opłat znachodziło jak największy opór. Niektóre pokolenia indjańskie z któremi walczone, nosiły zbroje utkane z bawełny, bardzo skuteczne przeciw dzirytom hiszpańskim. Korteż postanowił wówczas osobiście poprowadzić swe siły przeciw zbuntowanemu jenerałowi. Pierwszą swoją wyprawę przeciwko Honduras wysłał morzem, aby uniknęła znużenia lądowego pochodu; lecz teraz zamierzył narazić się na wszelkie trudy, które mógł napotkać przebywając niezmierny przestwór dzikich krain dotąd niezwiędzanych. —

Gdy przybył do *Tabasko*, otrzymał od kacyka tej prowincji mapkę, odmalowaną na bawelnianej materji, na której oznaczone były wszystkie miasta, rzeki i góry całego kraju, aż do *Nikaragwa*. Korteż musiał rozwinąć wszystkie pomysły swego płodnego jenu-szu, dla pokonania trudności swojej wyprawy. Z mapką indyjską i kompasem żeglarskim, przeprowadził wojsko przez lasy tak gęste, iż całkiem nieprzepuszczały promieni słonecznych; a jeśli przypadkiem trafiono na wzgórek, z którego można było dojrzeć jaką rozległość kraju, to znów postrzeżano w dalekości nieskończonej, ciąg tychże samych lasów, bez najmniejszej drogi; żołnierze Korteza już zupełnie zwątpili o swoim ocaleniu; lecz wytrwałość i zręczność jego, przewyciężyły wszystkie zawady, jakie mu stawiała natura, dostał się aż do wybrzeża Honduras, po nadzwyczajnie spiesznym przebyciu około 500 mil. De Oli został na śmierć skazany, a Hiszpanie osiedli w tym kraju, z radością poddali się zdobywcy Meksyku.

W tymże czasie odbyła się niedaleko Badajoz konferencja, dla rozważenia słuszności roszczeń Hiszpanji i Portugalji do wysp Moluckich. Z obu stron przedstawiono mapy, na których kraje, o które spór wiedziono, wyrażone były jako przypadające właściwym swoim posiadaczom. Po dość długich sporach, taż junta Badajozka rozwiązała się nic niepostanowiwszy, gdyż każda strona przyznawała sobie wygraną. Król Francuzki usłyszawszy o tych sporach i wielkim mnóstwie złota, które przywożono z Nowego-Swiata do Hiszpanji, miał wyrzec jak powiadają te słowa: «Ponieważ królowie Hiszpanji i Portugalji świat pomiędzy siebie dzielą, bardzobym pragnął aby mi pokazano testament naszego ojca Adama, dla zobaczenia w jakich wyrazach mianuje ich swemi wyłącznemi dziedzicami.» Przy rozwiązaniu Junty, dwór Hiszpański, postanowił utrzymać swe prawa do wysp Moluckich, przygotował niezwłocznie flotę, złożoną ze sześciu okrętów, pod dowództwem Gareyi de

Loyasa, kawalera Maltańskiego. Sebastian del Kano, który już raz świat opłynął, i wielu innych dawniejszych towarzyszy Magellana, zabrało się na okręta téj floty, która miała 450 ludzi osady, wyprawa wypłynęła z Korruny w Lipcu 1525. W Styczniu roku następnego, przybyła do cieśniny Magellana, gdzie poświęciła cztery miesiące dla skutecznienia przejścia na ocean Spokojny. Wciągu tego czasu, małą tylko liczbę widzieli krajowców, a że i ci okazali nieprzyjazne zamiary, niewchodzili przeto z niemi w żadne stosunki. Znalezione trupy niektórych z tych dzikich, którzy jak się zdawało musieli pomrzeć z zimna. Hiszpanie wnosili że cieśnina ma 55 mil długości. Szerokość swą zaś zmieniała od 1 do 4 mil. W niektórych jej częściach nadbrzeżne góry, tak były wielkie, iż zdawały się dosięgać nieba; promienie słońca wcale niedochodziły do tych miejsc, przeto zimno było w nich niezmierne, śnieg nigdy nie topniał, i przybierał błękitną barwę. Jednak pomimo srogości klimatu, drzewa rosną obficie na pochyłościach wystawionych na działania słonecznych promieni i prócz innych znajduje się tam pewien gatunek cynamonu, którego cokolwiek kory Hiszpanie przywieźli ze sobą.

Flotta nie wiele upłynęła drogi na wielkim oceanie, gdy została napadniętą od gwałtownej nawałnicy, *Pataka*, pinassa którą dowodził Jago Gwewara i drugi mały statek, odłączone zostały zupełnie od większych okrętów. Położenie ich było nader rozpaczne, gdyż nie miały żadnych zapasów, albowiem pobierały codzienną żywność z admirałskiego okrętu. W tak niebezpiecznej okoliczności Gwewara postanowił skierować ku Nowej-Hiszpanji. Całem ich utrzymaniem były ptaki które zaplatywały się przypadkiem pomiędzy linami. Szczęściem, znajdowały się na *Patace* kogut i kura, ta ostatnia skoro tylko okręt dostał się do cieplejszej strefy, zaczęła codziennie znosić jajka; kapitan drugiego statku ofiarował Gwewarze 1000 dukatów za oba te ptaki,

lecz on odmówił, albowiem te jajka były całą żywnością chorych. Nakoniec, po kilku tygodniach nadzwyczajnych cierpień ujrzeli ziemię lecz w miarę jak się do niej zbliżali, widzieli zgromadzających się dzikich uzbrojonych. Brzeg był tak niski i najeżony skałami, że niepodobieństwem się zdawało aby okręta mogły do niego dopłynąć; prócz tego niewiedzano czy krajowcy w przyjaznych oczekują ich zamiarach. Lecz ostateczność nakazała chwycić się najrozpaczniejszych środków. Żuan Arrayzaga, poświęciwszy się dla dobra ogółu ofiarował się dostać do piaszczystego brzegu w próżnej skrzyni. Niedaleko jeszcze odpłynął, gdy ten statek nowego wynalazku, nagle się przewrócił; natenczas postanowił wpław puścić się do lądu, lecz wkrótce siły zaczęły go opuszczać i byłby niezawodnie znalazł zgon wśród bałwanów, gdyby indjanie nie byli mu pospieszyli na pomoc. Wyciągnięty na brzeg, ujrzał się pomiędzy 20,000 dzikich, uzbrojonych w łuki i strzały. Nadzwyczajna trwoga go ogarnęła zrazu, ta jednak później zmieniła się w radość gdy kacyk, wskazując palcem na krzyż niedaleko wzniesiony, wyrzekł te wyrazy: *Sancta Maria!* Arrayzaga dowiedział się wówczas iż przybył do *Tekoantepek*, na wybrzeżu Meksykańskiem. Posłano natychmiast żywność na *Patakę*, Gwewara wysiadłszy na ląd, stawiony został przed Kortezem. Burza która *Patakę* zwróciła z jej drogi, rozproszyła i inne okręta floty Loyasa; on sam umarł zbliżając się do równika, a sławny sternik, Sebastian del Kano, zaledwie go cztery dni przeżył. Okręta przybyły do wysp *Złodziejskich* pod dowództwem Salazara. Znalazły tam Hiszpana z floty Magellana, który nauczył się języka dzikich. Płynąc dalej ku wyspom *Moluckim*, Hiszpanie rozpoczęli nieprzyjacielskie kroki przeciw Portugalczykom, a utraciwszy swoje statki, wyginęli prawie wszyscy w bitwach lub zostali w niewolę pojmami. Ferdynand de la Torre i kilka innych osób z floty Loyasa powróciło z wysp *Moluckich*

do Europy, w ciągu r. 1534, opłynąwszy całą kulę ziemską.

Kortez uwiadomiony przez dwór Hiszpański o wyruszeniu wyprawy Loyasa, pragnął się czynnie do niej przyłożyć, jak tylko się dowiedział od Arrayzagi, że admirał już przebył ocean Spokojny, uzbroidł trzy karawelle, które oddał pod dowództwo Alwara Saawedra, biegłego i przedsiębiorczego wojownika. W Październiku 1526 r. Saawedra wypłynął z *Jewatlancio* w Meksyku, i odkrywwszy grupę wysp, które nazywał *Królowie*, przybył do *Mindanao*, a później do wysp *Moluckich*, gdzie Hiszpanie i Portugalczycy wiedli z sobą straszliwą walkę. Nader się zdziwiono, gdy spytany zkąd przybywa, odpowiedział że z Nowej-Hiszpanji. Za pierwszym zjawieniem się Hiszpanów na tych morzach, Portugalczycy nie mogli wcale pojąć, jak ich współzawodnicy, płynąc na zachód, mogli się dostać do tych dalekich krain, do których oni przybywali w zupełnie przeciwnym kierunku. Lecz gdy Saawedra oświadczył, iż przepłynął ocean, począwszy od Nowej-Hiszpanji, która jak sądził była odległą o 1025 mil, niechciano temu wierzyć, tak dalece wiadomość stosunków jeograficznych, które istnieć mogły pomiędzy dawnym i Nowym-Swiatem, głęboko jeszcze była wkorzenioną.

Dowódca hiszpański, zabrawszy na swój okręt wszystkich towarzyszy Magellana i Lojasa, którzy żyli jeszcze na wyspach Indyjskich, wypłynął z *Tidor* w Czerwcu 1528 r. z powrotem do Meksyku. Po sto-dwudziesto pięć milowej żegludze, zarzucił kotwicę przy jakichś *Wyspach Złotych*, których opis przez niego dokonany już dziś nieistnieje; lecz z wielu słusznych powodów niektórzy mniemają, że one są częścią ziemi *Popous* czyli *Nowej-Gwinei*. Mieszkańcy byli czarni i zupełnie nadzy. Chcąc dokonać swojej podróży do *Nowej-Hiszpanji*, Saawedra dostał się do kilku wysp na oceanie Atlantyckim, i mocno został zdziwiony, gdy znalazł na nich mieszkańców płowych i dosyć pięknych; wszy-

scy byli ponakłówni i pomalowani od stóp do głowy, to go spowodowało do nazwania tych wysp *Pintados*. Przeciwnie wiary zwróciły go znów do wysp *Moluckich*, zkąd usiłował dostać się do *Panama* z ładunkiem gwoździaków, lecz tym razem równie jak za pierwszymu niepowiodło się mu. Umarł w ciągu podróży a okręt jego wroczył do *Tidor*.

Dwór Hiszpański, którego polityka na tem zależała, aby zachęcać w każdym awanturniku żądę podbojów, a potem uprzedać go i niedozwalać by ustalał swą potęgę i władzę, wkrótce zaczął patrzeć zawistnym okiem naprowadzenia Korteza. Skargi jego nieprzyjaciół jaknajlepiej przyjęto i wyznaczono kommissarzy, którzyby wyprawdzili śledztwo względem jego postępowania. Obrażony tak niegodnym obejściem i przekonany iż nieotrzyma sprawiedliwości w Nowym - Świecie, gdzie wszystkie szlachetne uczucia od dawna stłumiono, przez nawyknięcie do grabieży i gwałtów, zdobywca Meksyku postanowił przeto wrócić do Hiszpanji i osobiście uniewinnić swoje postępowanie przed cesarzem. Ukazał się w Toledzie otoczony świętym orszakiem i wielkim przepychem, dla dania wyobrażenia o bogactwach i możliwości krajów przyłączonych przez siebie do korony hiszpańskiej. Kilku szlachetnych Meksykanów znajdowało się w jego usługach. Okazałość ta sprawiła pożądany skutek. Kortez, teraz margrabia *del Valle de Guaxaca*, przyjęty został przez cesarza, z jaknajwiększymi oznakami łaski i szacunku; lech chociaż nieprzyjaciele jego musieli umilknąć jednak nieublagana polityka rządu, nierozbroiła się prawością jego postępowania. Odjęto mu władzę i Antonio Mendoza mianowany został vice-królem Nowej-Hiszpanji, gdy tymczasem margrabiemu zostawiono tytuł Jeneralnego kapitana i admirała mórz południowych. Przedsiębiorczy duch Korteza, ograniczony tym sposobem w swoich działaniach, widząc zamknięty dla siebie zawód wszelkich politycznych podbojów, z zapalem rzucił się do odkryć

wprost tylko jeograficznych. Obszerne to pole stało dla niego otworem, tam umysł jego szlachetne mógł znaleźć zajęcie, stawę i zaszczytne nagrody.

Wczasy jego podróży do Hiszpanji, Nunez Guzman, wyruszył z wojskiem z Meksyku, ku północo-zachodowi, nagromadził w pochodzie swoim niezmierną ilość złota i odebrał hołd uległości od wielu kacyków, nadał nazwę *Nowej-Galicji* górzystemu krajowi, na którym wstrzymał swój dalszy pochód ku północy. Kortez, pragnąc z dokładnością poznać wybrzeża leżące w tymże samym kierunku, uzbroił w *Akapulko* flotę, oddawszy ją pod rozkazy Hurtada Mendozy; lecz gwałtowne nawalnice i złe postępowanie officerów, którym powierzono jej kierunek były powodem, że wyprawa ta zupełnie się nieudała. Później, 1536 roku, Korteż wystawił drugą i osobiście nią dowodził, po wytrzymaniu wielu klęsk i ciepień, odkrył półwysep *Kalifornji*, posunawszy się przeszło na 25 mil w zatokę tegoż imienia, nazywaną także *morzem Rumianem*. Hiszpanie jeszcze przechodząc jej uiano od tego który ją odkrył i nazywają *morzem Korteza*. Wsześć lat później, gdy vice-król Mendosa wysłał wyprawę dla czynienia dalszych odkryć, officerowie należący do niej, twierdzili iż się posunęli do czterdziestego stopnia szerokości, gdzie widzieli na wybrzeżu góry okryte śniegiem i napotkali statki z poślacanami masztami, i przodami ozdobionemi srebrem. Jeśli można wierzyć wynalazcom owych pięknych bajek, okręty te miały pochodzić z Japonji lub Chin.

Dwa okręta przez Korteza w tymże samym czasie wysłane z pomocą Pizarrowi, miały rozkaz udać się do *Peru* do wysp *Moluckich* i pomyślnie tę podróż dokonały. Żeglowały one przeszło 500 mil po morzu Spokojném, nienatrafwszy żadnej ziemi, dostały się nareszcie do licznych wysp. Wyprawy te, które tak mało odpowiedzia-

ły swemu celowi, kosztować miały Korteza jak twierdzą, przeszło 300,000 koron złotych; lecz spodziewał się on, że wspaniałość monarchy wynagrodzi mu poniesione w tych przedsięwzięciach straty; miał nadzieję otrzymać na powrót włości, które mu wydarte zostały wczasy pierwszego zawieszenia jego władzy. Z tą podwójną nadzieją, przybył do Hiszpanji około r. 1540: lecz interesowne wyrachowanie dworu hiszpańskiego za nie liczyło podobne przystugi. Karól V. obojętnie go przyjął i niby żądań jego niezrozumiał. Korteż towarzyszył cesarzowi w sławnej wyprawie przeciw Algierowi; okręt na którym płynął rozbił się, a gdy chciał wpływ dostać się do brzegu, utracił najkosztowniejsze swoje klejnoty. W bitwie ubito pod nim konia, i po raz ostatni odznaczył się w boju. Karól V. tak ubliżająco zniżył się obszedł, że mu nie chciał nawet dać posłuchania. Korteż przecisnął się pewnego dnia przez tłumy dworzan i stanął na stopniu karety cesarskiej. Karól V. zdziwiony tą śmiałością, spytał kto on jest. — „Jestem, — odpowiedział zdobywca Meksyku, — człowiek, który przydał do korony Waszjej Królewskiej Mości więcej prowincji, niżeli przodkowie twoi miast ci zostawili.” Dumna ta odpowiedź rozdrażniła tylko monarchę, i dozwolono Korteżowi zgasnąć w zapomnieniu. Zdrowie tego nadzwyczajnego człowieka już i tak wyniszczone trudami, szybko niknęło, umarł on niedaleko od Sewilli, 2 Grudnia 1547 r. w 72 roku życia. Zwłoki jego pochowano z wielką okazałością w kaplicy książąt Medina-Sidonja; lecz później przeniesione zostały do Nowej-Hiszpanji, stósownie do życzenia objawionego w jego testamencie. Tytuły Korteza przeszły przez małżeńskie związki na książąt Monte-Leone, posiadających także ogromne dobra w Meksyku, aż do zaburzeń które świeżo Nowy-Swiat zakłóciły.



ROZDZIAŁ IX.

ZDOBYCIE PERU.

*Nowe usiłowania Hiszpanów. — Połączenie się Pizarra, Almagra i Luka. — Pierwsze pokuszenie się Pizarra na Peru. — Bierze w niewolę Inkasa. — Hiszpanie przywłaszczają sobie ogromne skarby. — Inkas zostaje zabity. — Almagro napada Chili. — Cierpienia Hiszpanów. — Bunt Peruwian. — Wojna domowa pomiędzy Almagrem i Pizarrem. — Almagro zwyciężony i zabity. — Waldiwia przedzie-
ra się aż do południowych granic Chili. — Nadzwyczajna podróż Wadilla. — Benalkazar zajmuje Kwito. — Wyprawa Alwarada. — Gonzalez Pizarro szuka kraju cynamonowego. — Trudności po-
dróży. — Gonzales przybywa do kraju cynamonowego, i śmiało ku wschodowi się posuwa. — Cier-
pienia wyprawy. — Franciszek Orellana wsiada na statek na rzece Maranon. — Płynięcie rzeką aż do oce-
anu. — Upowszechnia baśnie dotyczące się Eldorado i kraju Amazonek. — Los Orellana. — Powrót
Gonzalwa Pizarro do Kwito. — Bunt stronników Almagra. — Śmierć Franciszka Pizarra.*

Powodzenia Korteza prawie ziszczyły nadzieje powzięte o bogactwach Nowego-Swiata, i ożywiły awanturniczego ducha który mniemano że już gasnął. Zręczną polityką, szybkimi pomysłami i odwagą dokonał on w owej części świata, pierwszej zdobyczy którą Hiszpanie słusznie mogli się chlubić. Zamiast ograniczyć się na założeniu osady, lub odkryciu krajów nowych i urodzajnych, napadł i podbił potężne państwo. Zdobycie Meksyku jasno dowiodło, jak wielka istniała nierówność, w odwadze, sile i uzbrojeniu, pomiędzy wojownikami amerykańskimi, a wojownikami europejskim. Broń i karność Hiszpanów, ochroniła ich przed napadami słabych nieprzyjaciół; ci przeciwnie, niewiedzieli jak się oprzeć gradowi kul, lub natarciu jazdy. Tę różnicę izradzieckiemu postępowaniu Korteza, który ukazywał się zawsze jako poseł chcący zawrzeć pokój, przypisać raczej należy upadek Meksyku, niżeli opieszałości i błędom Montezumy. Kortez z garszką żołnierzy; kilkakrotnie pobił walecznych Tlaskalanów którzy tak długo opierali się wszelkim usiłowaniom Meksykańczyków, chcących ich ujarzmić. Pokonał pod Otumba niezmiernie wojsko Meksykanów, zgromadzone w chwili gdy lud ten pod wielu względami, zaprzestał się już obawiać Hiszpanów, i gdy przeciw nim pałał najwzalto-wniejszą nienawiścią. Niemożna prócz

tego przypuszczać, aby polityczne swe rachuby władca Meksykański mógł tak daleko posunąć, iżby przewidział ów nadzwyczajny wypadek, jakim było przybycie Hiszpanów, lub że mógł swoją przecznością odwrócić skutki wypadku, którego szczegóły nietylko przechodziły jego doświadczenie, ale nawet pojęcie.

Łatwość, z jaką tak wielkiego podboju dokonano, pobudziła awanturników hiszpańskich do szlachetniejszych czynów, niż te do których dotąd nawykli. Balboa przepłynawszy przesmyk Darien, przybył do *Panamy* na morzu Południowym, powziął wiadomość o wielkim narodzie osiadłym daleko ku południowi, który do wysokiego stopnia był posuniętym w cywilizacji i posiadał obficie kosztowne kruszce jakich szukano. Pochlebne opisy ziemi *Peruwiańskiej*, spowodowały nie jedno przedsięwzięcie; lecz rozległa przestrzeń kraju, rozciągającego się pomiędzy osadami *Panamy* i północnymi prowincjami *Peru*, której Hiszpanie nadali nazwę *Tierra-Firma*, stawiła tyle przeszkód ich pochodowi, iż żadnym sposobem nie mogli do niej się dostać. Bezpożyteczne pochody, przy nieustających deszczach w klimacie śmiercią grożącym, przez ponure lasy, które nagromadzona roślinność czyniła prawie nieprzebytemi, wyniszczyły zdrowie i zniekały odwagę tych co przeżyć zdołali takie wysilenia, do tego

stopnia że ostudziły w nich zapał do dalszych odkryć na południu; utraciono już nawet wszelką nadzieję względem téj strony. Jednakże, pomiędzy Hiszpanami osiadłymi w Penama, znajdowało się trzech ludzi których duszy nie zniekać niemogło. Byli to, Franciszek Pizarro, Diego de Almagro i Hernando Luk. Pierwszy był naturalnym synem szlachcica, którego przybrał nazwisko. Nieodebrał żadnego wychowania i wzrósł w Truksillo mieście Estremadury, pilnując trzody chlewnój. Jednakże, wrodzona moc charakteru owego młodzieńca, pchnęła go do szukania czynniejszego zawodu. Wojny włoskie były dla niego widownią w której rozwinął swoje doświadczenie i talenta. Posłużywszy tam lat kilka, wsiadł na okręt dla dostania się do Ameryki, owego miejsca ogólnej schedzki ludziśmiałych i niezamożnych, należał do nieszczęsnej wyprawy Hojedy. Almagro był waleczny i prawy żołnierz, nawykły rozkazywać, nieposiadał jednak ani pomysłów do tworzenia planów, ani przebiegłości politycznej tak potrzebnej by mógł sam przedsiębrać wyprawy zaborów. Luk, bogaty zakonnik, nader pragnął zostać duchownym naczelnikiem jakiego obszernego kraju, któryby kto inny mieczem zdobył. Tacy to byli ludzie którzy przedsięwzięli podbić państwo Peru. Każdy z nich poświęcał cały majątek na to niepewne przedsięwzięcie. Pizarro najmniej ze wszystkich trzech bogaty, ofiarował się przyjąć najniebezpieczniejsze stanowisko i zostać wodzem téj zuchwałéj wyprawy.

Dwaj współnicy oddali pod jego rozkazy jeden statek, osadzony 112 ludźmi; było to bardzo mało, w stosunku czego chciano dokazać. Pizarro, nieznający wcale żeglugi na morzach które miał przebyć, rozpoczął swoje podróż w porze roku, w której wiatry zupełnie były przeciwne kierunkowi jego na południe. Zawinął w kilku miejscach do brzegów Tierra-Firma; lecz wszędzie znalazł kraj okryty bagniskami i lasami nieprzebytymi, których sam widok już odejmował chęć zapu-

szczenia się w ich gęstwy. Trudy podróży, brak żywności i choroby właściwe klimatowi, znacznie zmniejszyły liczbę jego ludzi, którzy pomimo przykładu wodza, zawsze nieugiętego w powziętem raz postanowieniu, wpadali w zniechęcenie i rozpacz. Almagro idący za Pizarrem z szczupłemi posiłkami, również jak tamten był nieszczęśliwym. Nakoniec, połączywszy oni słabe szczątki obu wojsk swoich, schronili się na małą wysepkę *Gallo*, z kąd Almagro powrócił do *Panama*, dla zaciągnięcia świeżych wojsk i przygotowania zapasów potrzebnych do nowej wyprawy. Lecz pomimo wszelkich ostrożności obu dowódców, narzekania żołnierzy którzy tak wiele ucierpieli w ostatniej wyprawie, doszły do osady i wznieciły powszechnie oburzenie pomiędzy najszanowniejszymi jéj mieszkańcami. Nadzieje powzięte przez Pizarra nie zmarniały, on sam tak zienawidzony został, iż krążyły pomiędzy gminem ballady w których nazywano go rzeźnikiem, a Almagra pastuchem. Pedro de los Rios, nowy gubernator Panamy, dzieląc ogólne oburzenie, nie tylko niepozwolił awanturnikom zaciągać ochotników w krajach zostających pod jego władzą, ale nawet wysłał statek do wyspy Gorgony, gdzie się znajdował Pizarro, aby zabrał tych którzy zdołali się oprzeć niezdrowemu klimatowi. Pizarro zakreślił szpadą na piasku linję, oświadczając wszystkim którzy chcą go opuścić i porzucić nadzieję nowych zdobyczy, aby za nią bez zwłoki przeszli; wyjąwszy dwunastu wszyscy to uczynili. Pizarro pozostawszy na wyspie ze swemi śmiałemi towarzyszami, wytrzymał przez kilka miesięcy wszelki niedostatek i brak schronienia. Przybył nareście statek z Panamy z posiłkami, a Pizarro którego odwaga raczej była rozdrażnioną niżeli osłabioną doznaniem cierpieniami, postanowił natychmiast ruszyć do Peru. Po dwudziesto-dniowej podróży dostał się do kraju tak długo szukanego. Przybywszy, do kilku punktów nadbrzeżnych, Hiszpanie nadzwyczajnie zostali zdziwieni i uradowani, oznakami

przemysłu i zamożności które u ludu tego postrzegli; lecz nie byli dość silnemi aby mogli założyć tam osadę; zapewniwszy się więc tylko o bogactwach państwa peruwiańskiego, wrócili roku 1527 do Panama. Trzy lata prawie upłynęły od pierwszej wyprawy, wysłanej na zdobycie Peru i zasoby stowarzyszonych były zupełnie prawie wyczerpanemi na wydatki daremnych przedsięwzięć. A jednak dalekiemi byli od zaniechania zamiarów, których jak się zdawało nie mogli nigdy dokonać. Pierwszy cień powodzenia aczkolwiek nieco opóźnionego, żywym promieniem oświecał przyszłość przyobiecując ich usiłowania, a zwyciężka nadzieja zastąpiła miejsce wszelkiej rachuby.

Pizarro odplłynął do Hiszpanji, dla otrzymania od korony Kastylskiej pozwolenia zdobycia Peru; zezwolono na wszystkie jego żądania; został mianowany gubernatorem i jeneralnym kapitanem wszystkich krajów, jakie opanować zdoła w rozległości stu mil na południe rzeki *San-Jago*. Nim opuścił Hiszpanję; dostał nieco pieniędzy od Korteza który zebrawszy już znaczny majątek w Nowym-Swiecie, pragnął dopomóc dawnemu towarzyszo wi wstępującemu w tenże sam zawód który on przebiegał (1). Wuj Pizarra, Franciszek Alkantara i trzej jego bracia Ferdynand, Żuan i Gonzales, z których tylko pierwszy był prawym synem ich ojca i niejakię otrzymał wychowanie, udali się z nim i swe losy z jego losem połączyli.

Pizarro wróciwszy do Panamy, znalazł Almagra zagniewanego, iż tak zdradziecko zapomniano o nim w ostatnich układach. Albowiem, gdy Luk stósownie do umowy, otrzymał biskupią godność, Almagrowi oddano tylko dowództwo twierdzy a stopień vice-gubernatora jaki sobie zastrzegł, wydarty mu został przez zazdrość współ-towa-

rzyszów. Pizarro zdołał jednak uspokoić gniew tego prostego żołnierza, którego płochy umysł nie był przystępnym dla żadnych trwałych wrażeń. Znowu nanowu zaprzysiężono związek i zajęto się przygotowaniem do przedsięwzięcia, o którego powodzeniu żaden z nich nie wątpił.

Lecz chociaż napad na Peru uświęcony powagą monarszą, nie był już ukradkowym pomysłem dwóch lub trzech nieznanych osób, z trudnością jednak przychodziło zebrać dostateczną liczbę ludzi, do wykonania przedsięwzięcia które powszechnie za niebezpieczne poczytywano. Wyprawa na zdobycie tak wielkiego państwa składała się tym razem z trzech małych okrętów, z osadą osiemdziesięciu żołnierzy, pomiędzy któremi trzydziestu sześciu było konnicy. Z takimi siłami Pizarro ruszył pod żagle 15 Lutego 1531, zostawiwszy Almagra dla zbierania posiłków. Po sześciu dniach trzy-nasto-dniowej podróży, wpłynął do zatoki *Świętego Macieja*, a potem puścił się natychmiast ku południowi. Przybywszy do prowincji Koaka, Hiszpanie podeszli miasto peruwiańskie w którym znaleźli wielką moc złota i srebra; Pizarro uradowany tak szczęśliwym początkiem, przesłał natychmiast znaczne summy do Panamy i Nikaragwy, dla znęcenia nowych żołnierzy odgłosem szybkich swoich powodzeń; wkrótce też kilka oddziałów potoczyło się z nim pod dowództwem Sebastjana Benalkazar i Hernanda Soto, obu znamienitych oficerów.

Naśladując politykę Korteza posuwał się ciągle w sam środek państwa peruwiańskiego, przedstawiając Inkasowi że jest posłem potężnego monarchy wystanym w najprzyjaźniejszych zamiarach. Atahualpa, panujący Inkas, ukołysany tym fałszywym pozorem, przesłał dary Pizarrowi dla okazania mu swojej przyjaźni i dozwolił bez przeszkody podstąpić aż do *Kaksamalka* pobytu swego dworu, gdzie kilka publicznych gmachów i wały usypane z ziemi, bezpieczną tworzyły ochronę przeciwko wszelkiemu napadowi. Przy-

(1) Może istniały nawet jakie rodzinne stosunki pomiędzy Kortezem i Pizarrem; matka Korteza nazywała się Karolina Pizarro.

bywszy tam Pizarro uszykował swe wojsko oczekując Atahualpy, który wynurzył chęć odwiedzenia Hiszpanów. Dnia następnego, zaraz o wschodzie słońca, ogólne poruszanie powstało w obozie peruwiańskim. Atahualpa chciał omamić cudzoziemców nadzwyczajną okazałością. Pizarro ze swej strony nie tracąc z pamięci Korteza i losu Montezumy, postanowił od razu rozstrzygnąć los Peru, pojmaniem w niewolę monarchy. Nakoniec Hiszpanie ujrzeni zbliżający się orszak. Czterech laurów, jednostajnie ubranych biegło na czele i torowało drogę Inkasowi, potem zbliżał się sam Inka, niesiony na tronie i ubrany w piórach osadzonych w ozdobach złotych i srebrnych. Główniejsi dworzanie postępowali za nim, z równą okazałością. Tłumy śpiewaków i tancerzy, biegły w około orszaku królewskiego, a trzydzieści tysięcy wojska zakończyło ten pochód tryumfalny.

Hiszpanie w szyku bojowym oczekiwali w milczeniu na Peruwiańczyków. Gdy Inka się zbliżył, ojciec Walwerd kapelan wyprawy, wystąpił kilka kroków naprzód i zaczął mowę, w celu nakłonienia Inkasa Peru, aby wraz z chrztem przyjął lenne jarzmo króla Hiszpańskiego. Atahualpa widząc, że się nie ma czego obawiać garszki Hiszpanów stojącej przed nim, odpowiedział z pogardą. Natychmiast dano hasło ataku; Pizarro z wyborem swych żołnierzy, rzucił się naprzód dla pochwylenia Inkasa, którzy pomimo gorliwości, z jaką Peruwianie go bronili, został pojmany w niewolę. Hiszpanie niezmierny łup zabrali na pobojowisku, a pierwsze to powodzenie, zdawało się usprawiedliwiać powzięte nadzieje najzapakniejszych wyobraźni.

Niektórzy dziejopisarze, tłumacząc łatwość z jaką Hiszpanie zdobyli Peru, nadmieniają o niezgodach panujących w ówczas w rodzinie królewskiej, które miały osłabić potęgę tego państwa. Lecz wojenna wyższość Europejczyków nad prostymi krajowcami Ameryki, i użycie najpodlejszych podstępów zdrady, taką im nadały siłę, że Peruwianie, chociażby nawet nierozdzieleni we-

wnętrznemi zaburzeniami, nie mogli im stawić oporu. Każdy to pozna, kto tylko zechce się zastanowić, że 160 Hiszpanów mając tylko 3 armaty, posunęło się jednak w sam środek państwa, gwałtem i podstępem uprowadziło Inkasa, pobilo 30,000 Peruwian, z których trupem legło 4000 na placu, niestraciwszy ani jednego ze swoich.

Uwięziony Inka zamierzył odzyskać wolność, dogadzając zamiłowaniu Hiszpanów do złota. Pokój, w którym był zamknięty, 22 stóp długości, a 16 szerokości mający, zobowiązał się napełnić złotem tak wysoko, jak tylko ręką będzie mógł dostać. Pizarro przyjął tę ofiarę, niemyśląc dotrzymać umowy i wypuścić jeńca, gdy okup otrzyma. Cheiwi Hiszpanie niemogąc dłużej wstrzymać swęj niecierpliwości na widok tak niezmiernych skarbów, postanowili rozszarpać one, pierwej jeszcze nim przyrzeczona kwota uzupełniona zostanie. To co otrzymali, licząc podług terazniejszej zniżonej ceny kruszców, przenoślioby dzisiaj 120,000,000 złotych; każdy z kawalerzystów dostał około 320,000 złotych, piechotni opiątą część mniej otrzymali. Niektórzy żołnierze Pizarra ujrawszy się nagle nad wszelkie swe nadzieje bogactwami, postanowili nienarażać się dłużej na niebezpieczne igrzysko przygód, domagali się przeto, aby ich odesłano. Dowódzca pozwolił im odплыć, pewnym będąc, iż gdy rozgłoszą nagle swoje zbogacenie się, znęca pod jego sztandary tłumy nowych wojowników.

Gdy Atahualpa wyczerpał wszystkie sposoby i stał się dla Hiszpanów nieużytecznym narzędziem do wyciskania bogactw swego królestwa, postanowili odebrać mu życie. Zdobycy Meksyku i Peru niczem się nie różnili od gromady rozbójników, jedyną ich zasadą, jedynym celem, było nagromadzenie największej ilości łupów. Ich ciemnota i gburstwo najlepiej się wykazywały, w szyderezem naśladowaniu wyroków sprawiedliwości. Zarzuty czynione Atahualpie, były śmieszniejsze jedne od drugich; został jednak uznany za winnego i żywcem spalony. Gdy

by jednak zezwolił na przyjęcie chrztu, miano zmienić karę i tylko go zadusić. Pizarro łatwo uspokoił bunty powstałe po zgonie monarchy peruwiańskiego. Założył w korzystnym położeniu miasto *Los-Reyes*, znane później pod nazwą *Lima*, pochodzącą od zepsutego wyrazu Rimak, jakie nosiła dolina, na której zostało wzniesione. Dwór hiszpański zdziwiony niezmiernym ogromem bogactw, jakie przypadły koronie z podziątku Pizarra, wynagrodził szczęśliwego zdobywcę przyłączeniem jeszcze 35 mil brzegów do nadanego mu już kraju i ozdobił go tytułem margrabięgo.

Almagro, który dla osobistych powodów gorliwie popierał okrutny wyrok zgonu Atahualpy, przedsięwziął potem przygotowania do zdobycia Chili, którego to kraju 50 mil brzegów odstąpionych mu zostało przez dwór hiszpański. Posuwając się ku południowi dla opanowania tej prowincji, Hiszpanie musieli wytrzymać całą srogość klimatu, niezdrowszego od innych, w których dotąd przebywali. W górzystych okolicach, przez które przedarli się w głąb Chili, mrozy tak były dokuczliwe, że wielu ludzi i koni wymarzło. W 5 miesięcy później, gdy wojsko powracało do Peru, znaleziono trupy w tém samym położeniu i stanie, w jakim one zostawiono. Almagro natrafił w mieszkańcach Peru, na plemie silne i odważne, które lubo w bitwie nie mogło wytrzymać natarcia żołnierzy hiszpańskich, nie łatwo jednak było do ujarzżenia. Dziecy owi odziani w skóry foków albo wilków morskich, umieli z nadzwyczajną zręcznością używać łuku i strzał. Hiszpanie nie wiedzieli jeszcze, jakim sposobem mogliby ustalić swoją zdobycz, gdy nieprzewidziane wypadki odwołały Almagra do Peru.

Posiadanie *Kusko*, stolicy Inkasów, długo było przedmiotem sporów, pomiędzy nim a Pizarrem, lecz ten ostatni z zwykłą sobie przebiegłością nakłonił go, że poprzestał na zdobyciu Chili. Wkrótce jednak gdy nadania królewskie nadeszły i Almagro się prze-

konał, że miasto *Kusko* znajduje się na gruncie jemu udzielonym, a bardziej jeszcze, gdy się dowiedział, że Peruwianie pobiegli do oręża dla zgromienia Hiszpanów samą swą mnogością, że już nawet oblegli *Kusko* z wyborem sił swoich. Postanowił ocalić współrodaków od nieuchronnej zagłady, a bardziej jeszcze wydrzeć z rąk nieprzyjaciela miasto, które nad wszystko inne przekładał, z pośpiechem wrócił do Peru; chcąc uniknąć niebezpiecznego klimatu gór, utracił wielką liczbę swych ludzi w śpiętych pustyniach nadmorskich wybrzeż, które przebywał z powrotem. Za przybyciem Almagra do *Kusko*, już Peruwianie byli panami połowy miasta, gdy tymczasem garszka Hiszpanów pod wodzą Gonzalesa i Ferdynanda Pizarrow, uporeczywie drugiej połowy broniła; rozproszył wojsko peruwiańskie, pojął w niewolę Pizarrow i objął w posiadłość ulubione sobie miasto. Na nieszcześnie triumf ten krótko był trwałym. Przebiegły gubernator dopóty układał się, dopóki nie wy dobył dwóch braci swoich z rąk Almagra, potem otwarcie zaczął się gotować do rozstrzygnięcia nieporozumień orężem. Almagro, przywalony słabościami podeszłego wieku, nie mógł w walce stoczonej rozwinąć zwykłej sobie waleczności, został pokonany i pojmany w niewolę. Chociaż nie miano się już czego obawiać od zgrzybiałego starca, zwłaszcza, gdy stronnictwo jego nieistniało, jednak nienawiść osobista i zemsta wydały wyrok śmierci na niego. Zachwiała się odwaga żołnierza u stóp haniebnego rusztowania, zniżył się aż do proszenia o życie, lecz znalazłszy swych wrogów nieubłaganymi, odzyskał mężstwo na chwilę zachwiane, i poddał się losowi ze stałością godną jego wielkiej sławy.

Po zgonie Almagra, zarząd Chili oddany został Pedrowi Waldiwi, który posunął się w tym kraju aż do czterdziestego stopnia szerokości południowej. W tymże czasie Hiszpanie w Ameryce Południowej rozszerzali swe odkrycia w innych kierunkach, z zadzi-

wiającym pośpiechem i wytrwałością. Roku 1537 Wadillo z garszką żołnierzy udał się do *Uraba*, nad zatoką *Darien* aż do południowych granic Peru, to jest przebył przestwór 600 mil. Pochód ten powiększej części odbyty przez góry i dzikie lasy, uważany był w ówczas, za najbardziej nadzwyczajny ze wszystkich dotąd dokonanych. Roku 1533 Benalkazar officer Pizarra, podbił prowincję *Kwito*; jednak niedługo się cieszył posiadaniem tej krainy, powstał przeciw niemu groźny współzawodnik; Alwarado, który chlubnie odznaczył się pod rozkazami Korteza i miał sobie oddane w zarząd prowincje południowe *Nowej-Hispanji*, chciwy nowych zdobyczy, postanowił pozyskać miasto *Kwito*, które uważał za prawnie do niego należące. Naszedł ów kraj z pięciuset ludźmi i opuściwszy wybrzeże, dla udania się za biegiem rzeki *Gwajakwil*, przedarł się aż do wzniosłych płaszczyn środkowych. Przybywszy w góry, żołnierze jego musieli niezmiernie znosić trudy; przenikliwe mrozy, zawieje śniegu lub w ich braku nadzwyczajne deszcze, stawały im ciągle zapory w pochodzie. Niekiedy byli jakby całkiem zasypani deszczem popiołów, które jak później się dowiedzieli, wyrzucały wulkany o 40 mil odległe. Wielka ich liczba padła ofiarą trudów i braku żywności. Gdy nakoniec wojsko Alwarady połączyło się z wojskiem Benalkazara, obie strony poznały jak wielkiem byłoby szaleństwem walczyć o urojone posiadanie kraju, który połączone ich siły niezdolałyby podbić, ani nawet w całości przebieść. — Postanowiono zgodzić się i Alwarado przystał na oddalenie się z wojskiem, pod warunkiem, że będzie miał sobie wyliczoną kwotę dość znaczną, któraby nietylko mu wynagrodziła koszta wyprawy, lecz i zręczenie się wszelkich dalszych nadziei.

W kilka lat później wyruszyła z *Kwito* wyprawa daleko ważniejsza co do swych rezultatów geograficznych, której towarzyszyły nadzwyczaj romansowe przygody. Podług twierdzenia In-

tego miasta, obfitował w płody aromatyczne, a szczególnie w cynamon, z tego powodu Hiszpanie nadali mu miano *Los Canelos*. Trudność przedarcia się do tych krań dzikich i odległych, nieprzyjaźń pokoleń indyjskich, pochod przez niedostępne lasy i góry wiecznie śniegiem okryte, to wszystko nieodstraszyło Gonzalwa Pizarro, który właśnie w ówczas otrzymał zarząd prowincyi *Kwito*. Wyruszył więc 1540 r. z 350 Hiszpaniami, z których połowa tworzyła jazdę i z 4000 Indjan. Hiszpanie przechodząc kraj *Kwikos*, doznali kilkakrotnie straszliwego trzęsienia ziemi, roztworzyła się ona w wielu miejscach i pochłonęła więcej niż 500 krajowców. Ogólne to wzburzenie udzieliło się nawet atmosferze. Błyskawice, grzmoty i pioruny bez ustanku trzaskały, deszcz tak nawalenił lat potokami, iż zatopił wszystkie doliny niezostawiwszy żadnego śladu komunikacji Hiszpanom z krajem uprawnym, przez co byli narażeni na głód najokropniejszy. Musieli przechodzić najwyższe łańcuchy Andów, a w tych wysokościach prawie niedostępnych, mrozy tak były dokuczliwe, że wyginęła większa część ich Indyjskich sprzymierzeńców. Gonzalw przybył nareszcie do prowincyi *Zumako*, gdzie znalazł drzewo cynamonowe obficie rosnące. Całe lasy były nim napełnione, krajowcy prowadzili tą rośliną korzystny handel, zamieniając ją za żywność i wszelkie przedmioty jakich tylko potrzebowali.

Z *Zumako* Gonzalw udał się dla przejrzenia kraju na wschodzie leżącego. Szedł za biegiem rzeki aż do miejsca w którym potok spadał z wysokości przeszło 600 stóp. Łoskot tego wodospadu, o trzy mil wyraźnie słyszeć się dawał. Hiszpanie uszli 25 milbrzegiem tej rzeki, nieznalazszy punktu, w którym by ją mogli przebyć. Nakoniec dotarli do miejsca, w którym skały w znacznej wysokości wybiegały po nad jej łożysko i tak szczytami swojemi stykały się z sobą, iż z łatwością było można urządzić przez nie most tymczasowy, przerzucając poń z jednego brzegu na drugi. Przeszedłszy tę rzekę Hiszpa-

nie, musielijeszczę przebywać kraj płaski, przerywany jeziorami i trzęsawiskami, w niektórych miejscach tak zarosły gęstemi gajami, iż ledwie z nader z wielkim trudem mogli przez nie drogę sobie torować. A wśród tego wszystkiego, dzikie owoce były ich jedynym pokarmem. Gonzalw osądził za rzecz konieczną zbudować czołno dla popłynięcia wzdłuż brzegu, w celu szukania żywności, miało ono zarazem służyć do przewiezienia pakunków i chorych. Każdy bez względu na stopień wziął się do roboty. Użyto starej bielizny do zatykania szpar, a gumą, której dostarczał pewien gatunek drzew pospolitych w tych lasach, zastąpiono smołę i żywicę. Ufny w korzyściach, które mógł osiągnąć z tego statku, Gonzalw zapuszczał się coraz dalej na przekór wszelkim trudnościom, pochód jego tamującym; przebył tym sposobem więcej niż sto mil ciągle idąc z biegiem rzeki, aż gdy w braku korzonków i jagód, któremi dotąd żywili się jego ludzie, został zmuszony chwycić się śmiałego środka dla ocalenia wojska ginącego już z głodu. Gonzalw polecił Franciszkowi Orellana, jednemu z pierwszych swoich officerów, puścić się co prędzej rzeką dla wyszukania żywności, której gdy dostateczny zapas zabierze na swe czołno, by wracał i takową wyładował w miejscu, w którym stosownie do objaśnień udzielonych przez Indjan, dwie wielkie rzeki miały się łączyć ze sobą.

Ruszył Orellana i znalazł objaśnienia dotyczące splotu obu rzek najdokładniejszymi. Rzeka, którą płynął była hołdowniczka wielkiej rzeki *Maranon* może *Napo*, która w miejscu, gdzie dotarł Orellana, łączy się z głównym korytem i przybiera nazwę rzeki *Amazonek*. Lecz w całej podróży nienapotkał ani ludnych wiosek, ani pól uprawnych; widział tylko w około, albo zalane płaszczyzny, lub posępne samotnie nieprzebytych lasów. Ciekawość i chęć odkryć skłoniły Orellana, iż się puścił dalej z biegiem wspaniałej rzeki, niebacząc na rozkazy Pizarra. Zresztą, może samą nawet potrzebą

został zmuszony do tego kroku. Wyniszczeni jego majtkowie nie mogli żadnym sposobem walczyć przeciw prądowi i połączyć się z głównym korpusem wyprawy; gdyby nawet tego dokazał, na cóżby się to zdało, kiedy niezaopatrzył się w żadne zapasy. Wracając do Pizarra nie zmniejszyłby w niczem jego przykrego położenia, owszem wystawiłby się na zgubę, która nieochoybnie tamtemu groziła; gdy przeciwnie puszczając się dalej wzdłuż brzegu, oddział, którym dowodził może uniknie tej klęski, a on dokona jakiego nowego odkrycia, które nagrodzi niepowodzenie tej wyprawy. Ostatniego dnia roku 1540 Hiszpanie, któremi dowodził, zjadłszy swoje trzewiki i kilka siodeł ugotowanych z dzikimi ziołami, rozpoczęli awanturyczną podróż i puścili się z biegiem rzeki, niewiedząc wcale, gdzie ta ich poniesie. Nader niedokładne opisy, które nam pozostały podróży Orellana, pełne są niedorzecznych bajek i fantastycznej przesady, zgadzając się ze śmiałością owęj wyprawy i przesadami wieku, w którym dokonana została. Wielu z jego towarzyszy poległo w bitwach, które musiał staczać z wojowniczymi plemionami napotykanemi po drodze. Po niepodobnych do uwierzenia cierpieniach i trudach, jakie tylko wytrwałość wyrównywająca jego talentom mogła przetrzymać, dotarł do morza w Sierpniu 1541 płynąc rzeką więcej niż 500 mil, doprowadził wąż swoją nawę aż do osady *Kubagwa*. Tam nabył okręt i powrócił do Hiszpanji, gdzie opowiedział doznane przez siebie przygody. On pierwszy rozsiał bajkę o *El-doradzie*, kraju bajeczno-bogatym. Twierdził, że istnieją narody składające się z wojowniczych kobiet mieszkających nad brzegiem rzeki, którą przebył, z tego powodu nazwał ją rzeką *Amazonek*. Niektórzy nadali jej nazwę *Orellana*, dla uczczenia znakomitego awanturnika, który pierwszy przepłynął ją w całej długości; lecz miano *Maranon* zdaje się być najdawniejsze i najpewniejsze, albowiem *Janez Pinzon* już pierwój uwiadomił

o niem Europę. Orellana otrzymał od rządu hiszpańskiego rozległy przestwór płodnego kraju odkrytego przez siebie, powrócił r. 1549 ze znaczną liczbą towarzyszy dla założenia tam osady; lecz umarł niezadługo uległszy wpływowi wilgotnego klimatu; osada będąca jeszcze w kolebce, rozpieczęła się natychmiast po zgonie swego przywódcy.

Rospacz ogarała Gonzalwa Pizarro gdy przybywszy do zbiegu rzek *Napo* i *Maranon* nie znalazł żadnego śladu Orellana, którego spodziewał się tam zastać z obfitymi zapasami. Widząc się od niego opuszczonym, nagle przejrzał okropność swego położenia. Znajdował się o 200 mil od Kwito, od którego dzieliły go puste lasy, w których nie mógł się spodziewać ani schronienia ani żywności. Trudy, które z współtowarzyszami już przezwyciężył, zwiększały się teraz znacznie w oczach zmęczonych i osłabionych długim ciągiem cierpień i niedostatku. Pozostawał mu tylko spieszny odwrót. Podwładni jego przywiedzeni do najokropniejszej ostateczności, zjadłszy konie i psy, zaczęli jeść siodła, pochwy od pałaszy, najprostsze korzenie, a nawet i gady, które mogli pochwyć. Nareszcie

po wytrzymaniu niepodobnych do uwierzenia cierpień, dostał się do Peru, blisko po dwóch latach swój tam nieobecności, przyprowadził tylko ze sobą 80 Hiszpanów, jedyny szczątek z 350 ludzi, którzy się z nim razem puścili. Twierdzą niektórzy, że przeszło 4000 Indian zginęło w tej oplotanej wyprawie.

W nieobecności Gonzalwa Pizarro zaszły nader ważne wypadki. Niektórzy zniechęceni samowolnym postępowaniem Franciszka Pizarra, a w liczbie tych, byli wszyscy stronnicy Almagra, zgromadzili się na około syna tego nieszczęśliwego wodza, który tym sposobem stał się środkowym punktem wspólnego oporu. Młody Almagro połączył z starannym wychowaniem wspaniałość i szczerść w obęjsciu, które jego ojca uczyniły bożyszczem żołnierzy. Stronictwo to szybko się zwiększało, a gubernator ufnym w postrachu, który imię jego wzbudzało, chociaż uwiadomiony o niebezpieczeństwie, żadnym jednak nieprzedsiebrał ostrożności. Nareszcie 26 Czerwca 1541 r. poległ w napadzie broniąc się walecznie przeciw licznyim napastnikom.



ROZDZIAŁ X.

ZDOBYCZE HISZPANÓW.

Portugalczykowie zaniędbują Brazylię. — Diego Alvarez rozbija się ze swoim statkiem na wybrzeżach tego kraju; dzicy obchodzą się z nim jak najlepiej i mianują swoim kacykiem. — Zwiedza Europę i powraca do Brazylii. — Założenie osady Janeiro. — Sebastian Kabot płynie rzeką La Platą. — Dostaje się w górę rzeki Parana. — Pedro Mendoza zakłada miasto Buenos - Ayres. — Ayolas płynie w górę rzeki Paragwai i przez góry dostaje się do Peru. — Yrata uzupełnia swoje odkrycie. — Narwaez przedsiębierze zdobycie Florydy. — Przenika aż do Apalaszu. — Jego nieszczęśliwy odwrót. — Przygody jego podskarbiego Alwarsa Nunez. — Dzicy oburzają się na widok kanibalizmu Hiszpanów. — Alvarez trudu się handlem i doktorstwem pomiędzy Indianami. — Odbywa podróż z Florydy do Meksyku. — Floryda jest nadana Hernandowi de Soto. — Oplotany los jego. — Alvarez Nunez ogłoszony gubernatorem La Platy. — Jego podróż z wybrzeża do Parana. — Nędzny koniec jego rządów. — Podróż Marka Nizza aż do Ciwola. — Wyprawa Alarchona i Koronada dla szukania Siedmiu Miast. — Zawód. — Mniemany wynalazek statku parowego przez Garaya. — Szybki upadek całego zapatu politycznego w osadach hiszpańskich.

Przez zdobycie Meksyku i Peru, Hiszpanie stali się panami obszernych krain w których istniał pewien stopień organizacyi towarzyskiej, a w skutku

go i stosunki, mniej więcej ściśle pomiędzy rozmaitemi prowincjami. Nabycie krajów posiadających korzyści wewnętrznej komunikacji, zwiększyło czynność zdobywców a zarazem ich władzę. Oddalenie od środka władzy, oraz zapal wzbudzony dokonaniem romansowych przedsięwzięć, osłabia zwykle węzły karności; dla tego-tęż pierwsi awanturnicy rozproszeni w Ameryce tu i owdzie po rozległych krainach, gdzie cudowne wspaniałości natury mocno działały na ich wyobraźnię, nieraz zapomnieli, że są jeszcze hiszpańskimi poddanymi, i tworzylinajdziwaczniejsze i najsmielsze plany niepodległych zdobywczy. Nie w Peru to i Meksyku jedynie okazywał się ów duch wolności nieznaną granic, rozlał się on z równą siłą po rozmaitych częściach Nowego-Swiata i gdyby istniały jeszcze inne państwa równie zamożne i ludne, bohaterowie ci niezawodnieby je podbili. Energia z jaką kilka tysięcy Europejczyków, rozpierchło się jako zwycięzców po stałym lądzie Nowego-Swiata w kilka lat po jego odkryciu, może się liczyć do najosobliwszych zjawisk dziejów rodu ludzkiego. Lecz na cóż się przyda opowiadanie wszystkich szczegółów rozmaitych wypraw, przedsiębranych w celu osiedlenia i zbadania tej płodnej części świata? Czytelnik wkrótce znudziłby się powtarzaniem jednychże wypadków, łatwych zwycięstw, odniesionych nad Indianami i okrucieństw bez żadnego powodu popełnionych przez Hiszpanów. Dostateczną będzie rzeczą i odpowiednią przedmiotowi tego dzieła, dać krótką wiadomość o ludziach, którzy najlepiej obznajmili Europę z całą rozległością Nowego-Swiata.

Chociaż Portugalczycy z gorliwością popierali swoje prawa do władzy nad Brazylią, zaniedbali jednak przez wiele lat objąć w posiadłość ten kraj, gdy jm został ustąpiony. Posiadłości na wschodzie, z większym daleko skutkiem pociągały ku sobie ich narodowe usiłowania i prywatne przedsięwzięcia. Okręta wszystkich narodów udawały się bez różnicy do brzegów

Brazylii dla cięcia drzewa farbiarskiego, i gdyby nie wypadek nader zajmujący, który na chwilę zwrócił uwagę na ten kraj, zdawał się on być przeznaczonym do pozostania neutralnym gruntem, na którym wszyscy kupcy europejscy naznaczali sobie schadzki. Awanturnik portugalski zwany Diego Alwarez, rodem z Wiana, udawszy się tam po ładunek farbiarskiego drzewa, rozbił się na mieliznach przy północnych brzegach *Bahji*. Kilku ludzi z jego okrętowej osady zatonęło, inni schwytni zostali pożarci przez dzikich. Diego chcąc uniknąć podobnego losu, usiłował przekonać dzikich, że może być im użytecznym, o ile mógł uchronił szczątki rozbicia i do tego stopnia potrafił zjednać sobie ich przychylność, iż darowali mu życie. Pomiedzy przedmiotami, które szczęśliwie na brzeg sprowadził, znajdowało się kilka baryłek prochu i karabin. W kilka dni zabił ptaka w obecności niektórych krajowców, i z tego powodu został od nich nazwany *Karamuru* czyli człowiek ognisty. Odtąd wziętość jego utrwaloną została pomiędzy dzikimi, a że przyrzekł wojować z ich nieprzyjaciółmi, udali się pod jego rozkazami przeciw narodowi *Tapujasow*. Lecz sława *Karamura* już go poprzedziła, *Tapujasowie* uciekli zostawiwszy kraj na łup swoim przeciwnikom. Raz wcielony w pokolenie Indyjskie, dostąpił wkrótce stopnia, do którego zdolności jego nadawały mu prawo i z niewolnika stał się władcą. Zaślubił kilka córek różnych naczelników, którzy się chlubil z tego spokrewnienia i jeszcze po dziś dzień najpierwsze rodziny w *Bahji*, wywodzą swój początek od tego szczęśliwego awanturnika. Po kilkoletnim pobycie zabrał się na okręt francuzki z *Paragwazą*, najulubieńszą z żon swoich. Inne tak były strapione myślą jego utraty, iż powzięły zamysł wpław puścić się za statkiem, który go uwoził; jedna z nich szczególnież uparła się dokonać tego szalonego przedsięwzięcia, lecz straciwszy siły, nieszczęśliwa zginęła w rozhukanych falach. Jak tylko Diego dostał się do Francji, i gdy

usłyszano o jego nadzwyczajnych przygodach, najlepiej był przyjęty u dworu; lecz niedozwolono mu udać się do Portugalji jak sobie zamierzył. Znalazł jednak sposobność przesłania swemu królowi, wszelkich objaśnień dotyczących kraju, który zwiedził, nader przydatnych do założenia w nim osady. Aczkolwiek pragnął wyłączenie korzyść z jego doświadczenia dwór francuzki, jednak nie sprzeciwił się jego powrotowi do Brezylji. Wyruszył więc tam, zabrawszy ze sobą pomiędzy innymi rzeczami kilka armat i znaczny zapas amunicji, w zamiarze utrwalenia swego wpływu nad pokoleniami krajowców. Pomimo szczęśliwéj wróżby, którą przygody Diega powinny były wzniecić w rządzie portugalskim, nie zwracał on jednak wcale uwagi na owe posiadłości Amerykańskie aż do 1531 r. w którym pierwsza osada Brezyljska założona została przez Marcina Alfonsa Suza. Krajowcy żadnego mu nie stawili oporu, zbudował miasto *Janeiro*; on pierwszy wprowadził trzcinę cukrową do swéj osady, a szybki wzrost jéj uprawy, wróżył już pomyślną przyszłość temu nader ważnemu płodowi.

Hiszpanie, których szaf awanturnicy zamknięty był w granicach Nowego-Swiata, z większą daleko gorliwością osiedlali państwa, nad któremi pragnęli panować. Okrutny los Solisa odwręcił na czas jakiś założenie nowéj osady nad wielką rzeką, której nadał swe imię. Dopiero około roku 1526, zaczęto znowu pomyśleć ten rozważać. Tegoż samego roku, Diego Garcia, wysłany został z jednym statkiem na wyspach Kanaryjskich, wyprzedzony został w wykonaniu swych odkryć przez Sebastiana Kabota. Sławny ów żeglarz wyruszył z Hiszpanji w kilka miesięcy później niżeli Garcia, ze czterema, statkami i poleceniem dostania się do Indji Wschodnich przez cieśninę Magellana. Przybywszy do ujścia rzeki, gdzie Solis życie utracił, znalazł dwóch Hiszpanów, którzy opuścili sztabary owego dowódcy i piętnastu innych maruderów pozostałych z poprzednich

wypraw. Ci ludzie jednogłośnie opisywali kraj leżący powyżej rzeki, jako nadzwyczajnie urodzajny i obfitujący w kosztowne kruszce; z łatwością nakłonili Kabota, że zostawiwszy wielkie okręta na kotwicy, w tym punkcie, gdzie później *Buenos-Ayres* zostało wzniesione, przepłynął rzekę w małych czółnach. Udał się potem brzegiem rzeki *Parana* aż do wodospadów znajdujących się pod 27° 27' 20" szerokości, przepędził tam cały miesiąc z Indianami *Gwaranisami* i wrócił po całoroczném oddaleniu. Nie upłynął jak piętnaście mil na rzecze *Paragwai*, gdy spotkał Garciasa roszczonego sobie do tego kraju prawo bez żadnego podziału, wyprawa więc Kabota widocznie miała polecenie udać się do Indji Wschodnich.

Jednak oba współzawodnicy zgodzili się razem czynić dalsze odkrycia. W czasie trwania tych umów Kabot upatrzył sposobność przesłania cesarzowi opisu swojéj podróży; a otrzymawszy od dzikich w zamian za kilka drobnostek, ozdoby złote i srebrne, korzystał z téj błahéj okoliczności i przedstawił ten kraj jako obfitujący w drogie kruszce; z powodu owych mniemanych bogactw, nadał nazwę téj rzecze *La Plata*, którą dotąd jeszcze zachowuje, chociaż już wiadomo, że okoliczna kraina nieposiada żadnych kruszców. Król Hiszpański zadowolony postępowaniem Kabota polecił, aby dalsze czynił podboje, a nawet przyrzekł mu pomoc. Dwór obawiał się, aby niedawno odkryte bogactwa w Meksyku nie ostudziły zapału w szukaczach przygód. A ponieważ skarb królewski był naówczas wyniszczony, przeto zdobywcę i zarząd zamożnéj krainy *la Plata*, bez trudności powierzone zostały Pedrowi Mendozie, zamożnemu szlachcicowi, który przedsięwziął własnym kosztem wszelkie potrzebne przygotowania; wskutku tego Sebastian Kabot powrócił do Hiszpanji wciągu 1530 r.

Mendoza wyruszył dla obięcia zarządu z 14 statkami i 2500 ludzi. Wkrótce po swojém przybyciu na rzekę *La Plata* 1535 r., założył miasto *Buenos-Ayres*.

Wkrótce i Zuan Ayolas posłany został dla wybrania nieco powyżej nad tą samą rzeką, położenia korzystnego na zakład osady. Płynął on w górę Paragwai przez mil blisko 500 aż prawie do 21^o szerokości; tam zostawił dowództwo swoich okrętów Dominikowi Martinez Yrala, któremu polecił, aby czekał jego powrotu przez sześć miesięcy, sam zaś zwrócił się ku zachodowi z 200 Hiszpanami, w zamiarze dostania się aż do Peru. Przeszedł kraj Szakasów i Szykitasów i dostał się istotnie r. 1537 do granic tego państwa, a otrzymawszy posiłki od rządcy tej prowincyi z powrotem puścił się do Paragwai. Lecz sześć miesięcy minęło i Yrala odplynął. Ayolas, sam pozostawiony, zniechęcił ku sobie narody Indyjskie, pochwycony od Mbajasów zamordowany został ze wszystkimi swymi towarzyszami. W dwanaście lat później, Yrala na przekór wszelkim przeszkodom chciał dokonać powtórnie tejsze samęj podróży. Płynąc w górę Paragwai aż do 17^o szerokości, dostał się przez góry do rzeki Guapay i wytrzymał nadzwyczajne trudy, zaprowadził komunikacją pomiędzy Peru i zalegającą od niego prowincją La Plata.

Rozmaite okoliczności spowodowały iż najliczniejsze wyprawy awanturników hiszpańskich, skierowane były ku stałemu lądowi Ameryki Południowej. Nie wielu z nich puściło się ku północy, a cierpienia jakich tam doznali, odwróciły innych od udania się w ich ślady. Narweż ów officer wystany przez Welazkeza dla odjęcia Korteżowi władzy nad Nową-Hiszpanją, który jakieśmy to już powiedzieli, pojmany został w niewolę przez tego śmiałego wodza, przagnął zatrzeć jakim znakomitym czynem swoją porażkę; pozyskał godność Adelantady z rozkazem podbicia dla korony Hiszpańskiej rozległych prowincyi, rozciągających się od przylądka *Palmowego*, aż do przylądka *Florydy*; zgromadził około 600 ludzi i wyruszył z San-Lukar w Czerwcu 1527 r. Podskarbnim tej wyprawy był Alwar Nunez, przezwany *Krowia Głowa*, które-

go szczególniejsze przygody nader zajmującym czynią opis wyprawy, później przez niego wypracowany. Narweż oczekując w Kubie na świeże zapasy był narażony ze swemi towarzyszami na działanie straszliwych wirów wodnych, rzadko widzianych w innych częściach świata. Domy zostały powalone jedne na drugie, a przelękli mieszkańcy szukając schronienia w lasach, jeszcze bardziej zostali zgrozą przejęci, gdy ujrzeli największe drzewa wydarte z korzeniami rozrzucone tu i owdzie gwałtownością wichrów. Okręta tak ucierpiał w czasie tej burzy, że postanowiono przez zimę zaniechać wszelkich dalszych działań.

W Lutym r. 1528 flotta wyruszyła pod żagle, a po wielu nawałnicach zawinęła do brzegów Florydy. Hiszpanie zajęli kraj w posiadanie ze zwykłymi uroczystościami, lecz nie znaleźli nic takiego, coby mogło nasycić ich chciwość. Krajowcy badani o ozdoby złote, które postrzegano w ich ubiorze, wszyscy jednozgodnie wymieniali *Apalasz*, kraj bardzo daleko w głębi leżący, jako miejsce, z którego pochodziły owe stroje. Narweż niemając żadnej gruntownej wiadomości o kraju i morzach przyległych, radząc się tylko natchnienia swych urojonych nadziei; postanowił w głąb się zapuścić i opanować *Apalasz*. Rozsądny Alvaro silnie mu przedstawiał niebezpieczeństwo rozpoczęcia tak trudnej podróży bez przewodnika, bez zapasów żywności, bez zapewnienia sobie portu do którego by mógł flotę swoją wprowadzić. Lecz gdy mu obelżywie wyrzucano jego przeczność, oświadczył, że dzielić będzie z swymi współrodakami wszystkie niebezpieczeństwa.

Dnia 1go Maja 1528, Hiszpanie rozpoczęli swój pochód w głąb kraju, mając żywności tylko na dzień jeden. Gdy ją spożyli, zaspakajali głód korzonkami i owocami dzikiej palmy. Szli przez dni piętnaście nietrafiwszy na żadną okolicę zamieszkaną. Dostali się nareszcie do wioski indyjskiej, i znaleźli przewodników, którzy zobowiązali się doprowadzić ich do *Apalasz*. Kraj

przez który musieli przechodzić był dziki, niekiedy górzysty, lecz najczęściej okryty głębokimi bagniskami, które z powodu drzew poobalanych stawały się nieprzebytej prawie. Nakoniec 26 Czerwca, znużeni Hiszpanie przybyli do Indyjskiej wioski, która jak im powiedziano była Apalaszem. Bez najmniejszej trudności ją opanowali; lecz zaledwie kilka dni pobyli, przekonali się o nicości swoich zamiarów. Indianie zaczajeni po lasach śledzili wszystkie ich poruszenia. Stan kraju czynił niepotrzebnym i niepodobnym zapuszczanie się dalsze; dając hasło odwrotu, wystawiano się na gorsze jeszcze wypadki wojny z Indianami; lecz ostatni ten środek stał się nieuchronnym, Hiszpanie opuściwszy mniemane skarby w Apalasz, zwrócili się ku nadbrzeżnemu krajowi *Ante*, zwanemu teraz przystanią *Świętego Marka*. Tam dopiero oczekiwali ich niesłychane cierpienia. Trzecia część legła pod strzałami indyjskimi, a z tych którzy ocalili połowa wyniszczona trudem i głodem, padła pastwą najstraszliwszych chorób.

Przybywszy Hiszpanie w tak smutnym położeniu nad brzeg morza, postregli, że tak idąc do miejsca, w którym znajdują swoje statki, sami siebie skazaliby na zupełną zagubę. Pozostawał im tylko jeden środek, zbudować statki i puścić się na wszelkie niebezpieczeństwa morza; z koszul pozoszywanych porobiono żagle, a liny z włókniastej kory palmowej. Co trzy dni zabijano konia, a mięso jego rozdzielano w małych kawałkach pomiędzy robotników i chorych. Tak usilnie pracowano: że w sześciu tygodniach ukończono pięć czółen i puścili się na morze, ale lubo w nich tak byli natłoczeni, że brzeg statków na kilka tylko cali zaledwie wznosił się nad wodę, w rozpaczy jednak odważyli się na wszystko. Przez kilka tygodni znosząc wszelkie okropności niedostatku i niebezpieczeństw, dopiero w jednej z nadbrzeżnych wiosk indyjskich, pozyskali liście wsparcie; lecz poróżniwszy się z krajowcami, musieli znowu co prędzej

zabrać się na statki. W tak rozpacznych okolicznościach, Narwaez złożył najwyższą władzę, której nie mógł już używać ku wspólnemu dobru. A że czółno jego najlepiej było urządzone, puścił się przeto przodem, zostawiając swych towarzyszków ich własnemu losowi. Po kilku dniach niewypowiedzianych cierpień, szalupa dowodzona przez Alwara, zawinęła do małej wyspy, na którą strudzona osada zaledwie zaczęła się zdołała. Indianie wzruszeni nędznym ich stanem, dostarczyli im w obfitości ryb i owoców. Alwarez zaopatrzywszy się w żywność już miał ruszyć w dalszą drogę, gdy białwan zatopił czółno jego ze wszystkimi ubiorami; trzech ludzi zginęło w czasie tego przypadku, a reszta pozostałych nago na brzegu, już tylko całą nadzieję mogła pokładać w dzikich, którzy wspaniałomyślnie podzielili się z nimi, lichemi swemi zapasami. Niektórzy z Hiszpanów, co byli obecnem, w Meksyku obrzędem religijnym i zabijaniu jeńców, przez długi czas uczuwali raczej odrazę niż wdzięczność, za starania których nieszczędzili dla nich krajowcy, sądząc, że skoro powrócą do zdrowia, natychmiast od nich pożartem zostaną. Wspaniałomyślność dzikich większą była niżeli ich możność, za nadejściem zimy zaczęli już uczuwać męczarnie głodu, a Hiszpanie naturalnie doznali najpierwej jego skutków. Kilku towarzyszy Narwaeza wyrzuconych na też same brzegi, do takiej ostateczności zostało przywiedzionych, że sami jedni drugich pożerali; podobne czyny oburzyły Indian, którzy odtąd postradawszy wszelką ku Hiszpanom przychyłość, zaczęli się z nimi obchodzić jak najsurowiej, poczytując ich za główną przyczynę głodu i wszelkich nieszczęść jakie się zły na wyspę.

Alwarez uszedł naraście i dostał się na ląd stały, tam założył dziwaczny handel; nosił w głąb kraju muszle i inne morskie płody, w zamian których dostawał czerwoną okrę, używaną przez dzikich do malowania ciała; skóry, trzcinę i ostre krzemienie do strzał.

Przepędziwszy kilka lat w tém położeniu, Alwarcz znudzony dobrowolnym wygnaniem, postanowił narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa, aby tylko powrócić do rodzinnego kraju; dwaj jego towarzysze Andrzej Dorant i Alondzo Kastylio odważyli się wraz z nim wykonać ten śmiały zamiar, zapuszczając się w kraje dotąd niezwiędzane, zaludnione dzikimi pokoleniami. Musieli wiele ucierpieć w początkach swojej podróży. Lud na który najpierwej natrafili, był najokrutniejszym ze wszystkich dotąd widzianych; nieszczęśliwi Hiszpanie pojmani w niewolę musieli się żywić gadami; robakami, ościami ryb, a nawet i drzewem. Dziecy, w których moc popadli, żyli w zupełnym stanie spodlenia, obcy wszelkim uczuciom, porzucali bez litości wszystkie dzieci płci żeńskiej. Z nadejściem lata, gdy lasy zaczęły się owocami pokrywać, Alwarcz z swemi towarzyszami ująć zdołał, podczas uroczystości, którą dziecy obchodzili z nadzieją owęj pory chwilowój obfitości. Naród indyjski do którego później przybył, lepiej go przyjął, gdy się dał poznać z swemi lekarskimi talentami; dmu chając na chorych lub szepcząc tajemnicze wyrazy, dokonał mnóstwa zadziwiających uleceń. Trzej Hiszpanie, czczeni jako synowie słońca, otoczeni byli w całej swojej podróży przez tłum wielbicieli, którzy głosili ich talenta i cnoty; zabobonny ten zapach Indian, udzielał się z pokolenia do pokolenia. Alwarcz postępując coraz datęj ku zachodowi, przebył wielką rzekę *Missisipi* i zapuścił się w pustynię oddzielającą podziś dzień jeszcze Meksyk od Stanów-Zjednoczonych. Gdy się dopytywał o Chryścian, odpowiadano mu, że ci przemieszkują w stronie południowo-wschodniej; lecz ostrzegano go, aby z nimi unikał wszelkich stosunków, jako z ludem zdradzieckim i okrutnym. Wkrótce sam uznał słuszność tego mniemania, bo gdy się zbliżył do granic meksykańskich, zaledwie zdołał oprzeć się pojmaniu Indian, którzy byli jego przewodnikami, a gdy Hiszpanom wyrzucił to postępowanie, sam został uwię-

ziony, i doznał sroższego obejścia się od współrodaków, niżeli od dzikich narodów pomiędzy którymi podróżował. Przybywszy jednak w głąb kraju, osadnicy obficie go zaopatrzyli we wszystko. Następnego roku odpłynął do Europy, i przybył do Lizbony w Sierpniu 1537.

Za powrotem do Hiszpanji, Alwarcz żądał, aby mu przyznano grunta i tytuł gubernatora Florydy, miał do tego niezaprzeczone prawa, lecz go uprzedził Hernando Soto, jeden z najznakomitszych wodzów Pizarra, który wróciwszy do Hiszpanji po zdobyciu Peru, z ogromnym majątkiem i wielką sławą za pomocą dobrze skierowanych datków u dworu, pozyskał względy monarchy, nauczono go uieraz doznany brakiem w skarbie, ile cenić należy zasługę zamożnego poddanego. Bogactwajego były tak wielkie, wziętość tak głośna, że urządził i uzbroid 10 statków, na które zabrał 900 ludzi, wyćwiczonych już w wojenném rzemiośle.

W Maju roku 1539, Soto wylądował na brzegi Florydy, lecz zawiódł się zupełnie w nadziei pozyskania ufnosci krajowych naczelników, nie bowiem nie mogło przezwyciężyć wstretu, jaki w nich wzbudzało samo imie Hiszpana. Stoczywszy kilka walk bezowocnych, zapuściwszy się dość głęboko ku północno-zachodowi, bez znalezienia jednak owego mnóstwa srebra i złota, na które tyle rachował, ujarzmiwszy kilka narodów indyjskich, nie mogąc jednak ani jednęj założyć osady, umarł Soto w czwartym roku nieszczęśliwój swojej wyprawy. Współ-towarzysze po śmierci jego; wyniszczeni trudami, zupełnie stracili odwagę; postanowili nareszcie utorować sobie drogę do morskiego brzegu, a ścigani od Indian, których ucieczka ta ośmieliła, śpiesznie wsiedli na okręty i odpłynęli do Meksyku. Byli tam z dobrocią przyjęci, lecz zniechęceni doznany zawodem, przez długi czas nie śmieli osiąść pomiędzy ludem spokojnym i przemyślnym.

Alwarcz Nuno, którego słuszne domaganie się o zarząd Florydy, dwór tak niebacznie pominął mianowany zo-

stał r. 1540 po Mendozie gubernatorem w Buenos-Ayres. Straciwszy on dwa okręta przy brzegach Brazylii, postanowił odbyć dalszą drogę lądem. Puścił się w górę rzeki Ytabuku, leżącej naprzeciw wyspy Świętej Katarzyny, dostał się do łańcucha gór pustych, które przeszedł w dziewiętnastu dniach i przybył do urodzajnego kraju Gwaranisów. Tam kupił czołna, na które wsadził chorych kazawszy im płynąć z biegiem Parany; a sam z resztą swego orszaku szedł dalej lądem, i po czteromiesięcznym pochodzie stanął zdrów w swojej stolicy. Władzę jego niedługo tam szanowano. Gorliwość z jaką bronił Indian przeciwko ich ciemnościom, oburzyła osadników, powstałi przeciw niemu 1544, i odesłali go jako więźnia do Hiszpanji. Po ośmiu latach dopiero trybunał wziął do osądzenia ten proces; wprawdzie uznano Alwara za niewinnego, lecz potwarców jego nieukarano; nieprzywrócono mu najwyższej władzy i niewynagrodzono doznanych cierpień.

Przybycie Alwara Nunez do północno-zachodniej granicy Meksyku, po odbyciu tak nadzwyczajnej podróży, pomiędzy tyłu dzikimi ludami i objasnienia jakie o nich udzielił, wzbudziły w Nowej-Hiszpanji wielką chęć rozszerzenia wiadomości jeograficznych, dotyczących owego kraju. Vice-król, don Antonio Mendoza posłał Marka Nizza franciszkanina, by przepatrzył jak tylko zdola najdalej kraje leżące ku północy. Roku 1539 zakonnik ten powrócił z cudownymi szczegółami o istnieniu ludu tak zamożnego, że najprostsze sprzęty jakich używał były ze złota lub srebra. Cewola, czyli Cibola, jedno z główniejszych miast, podług jego zdania miało około 20,000 domów, po większej części zbudowanych z kamieni, na kilka piątr wysokich. Ów zakonnik potajemnie objął w posiadanie ten kraj. Opowiadanie Nizza napełniło cały Meksyk nadzieją. Przygotowano dwie wyprawy pierwsza popłynęła morzem, pod dowództwem Ferdynanda Alarchon, druga pod rozkazami Waskeza Koronado lądem udać

się miała i opanować siedem miast. Koronado i jego wojsko niezmiernie trudy wycierpieli przebywając najeżone góry i piaszczyste pustynie. Droga była przykrzejszą i daleko dłuższą, niżeli sobie wyobrażali. Gdy przybył do Ciwola, i zamiast wielkiego miasta napelnionego złotem i srebrem, znaleźli tylko wioskę, mającą około 400 domów, wciekłość ich z powodu zawiedzionej nadziei granic nie miała. Koronado dowiedziawszy się, że Kwiwira miasto nadmorskie, było najbardziej zaludnione w tej części Ameryki, puścił się 150 mil, aby się dostać do niego. Znalazł go w istocie wyższym daleko od Siedmiu-Miast, których sława była tak rozgłosną. Nieprzesadny opis Koronady i ślady dawnego wykształcenia, znalezione w tych prowincjach Amerykańskich, zdają się go wolnym czynić od zarzutu rozmyślnego kłamstwa, a jednak chociaż Kwiwira długo była celem przedsięwzięć Hiszpanów, nie mogli oni nigdy znaleźć ani miasta, ani kraju, noszącego podobną nazwę. Szczególny gatunek owiec (tak bowiem Koronado nazwał zwierzęta), które według niego stanowiły jedyne bogactwo tej krainy, dotąd jeszcze prawie nieznanym jest naturalistom. Wyprawa morska, pod dowództwem Alarchona, powróciła niedokonawszy żadnego ważnego odkrycia. Bajeczne miasto Ciwoli, umieszczone było na dawnych mapach, pod 37° szerokości północnej. Kwiwira miała leżeć o 4 stopnie dalej ku północy, w tém właśnie miejscu, w którym tameczni dziejopisowie mieszczą kolebkę narodu Meksykańskiego.

Nadzwyczajna energia rozwinięta w osadach przez awanturników hiszpańskich, udzieliła stolicy chwilowego popędu i zwróciła szczególniejszą bacność na handel i sztuki związek mające z żeglarstwem. Od roku 1517, zakonnicy z Hispanioli nalegali na dwóro wprowadzenie handlu zupełnie wolnego pomiędzy Hiszpanją i Indjami Zachodniemi. Mądra ta rada wznowioną została z większą usilnością 1527. Pół trzecia wieku upłynęło, nim ów

rząd podejrzliwy zdołał się wyrzec ścieśnionych przywilei. Szkody zrządzone w okrętach puszczających się na morza Indji Zachodnich przez robaczki toczące drzewo, (sam Kolumb doświadczył tego w czwartej swojej podróży), przekonała o potrzebie pobijania spodu okrętów blachą kruszczo- wą; i już 1514 Hiszpanie użyli na ten koniec ołowiu. Lecz historycy hiszpańscy XVI wieku z największym dopominają się zapałem o pierwszeństwo odkrycia statków parowych. Roszczenia swe opierają na następującym wykładzie dokumentów znalezionych w archiwach królewskich, w Simankas.

»Roku 1543, Blasko Garay, kapitan okrętu zobowiązał się cesarzowi Karólowi V, zbudować maszynę zdolną poruszać największe okręta, bez użycia żagli i wiosel, nawet podczas ciszy. Pomimo oporu jakiego doznał jego pomysł, cesarz chciał być świadkiem doświadczeń, odbyły się one w porcie Barcelony 17 Czerwca 1542. Garay nie chciał wytłomaczyć składu swojej maszyny, a jeszcze bardziej wystawić ją na widok publiczny; lecz dowiedziona jest rzeczą, że takowa się składała z kotła napelnionego wrzącą wodą, która poruszała dwa koła, przyprawione zewnątrz po obu bokach okrętu. Doświadczenie to wykonano zstatkiem Trinidad naładowanym 200 beczkami zboża.

«Osoby, którym cesarz polecił bliższe rozpoznanie tego wynalazku, oddały mu należne pochwały. Jednak podskarbi Rawago, który zdaje się że był nieprzyjacielem Blasko Garaya, twierdził, że okręt z podobną maszyną, może tylko upłynąć dwie mile co trzy godziny, że skład jój jest kosztowny i zbyt skomplikowany; nakoniec, iż zagraża widoczném niebezpieczeństwem w razie pęknięcia kotła. Inni kommissarze cesarscy utrzymywali przeciwnie, że okręt zbudowany wedle nowego systematu, ubiegnie najmniej milę na godzinę. Wraz z ukończeniem doświadczeń Garay zabrał aparat ze statku. Wiązanie tylko złożono w arsenałe Barcellońskim, reszta po-

została w jego ręku. Pomimo zarzutów Rawaga, cesarz okazywał wielką przychylność dla projektu Garaya, lecz uwaga jego w owym czasie zwróconą została na inne nader ważne przedmioty.

Posunięto jednak Garaya na wyższy stopień, wyliczonu mu znaczną kwotę pieniężną nie licząc w to wydatków jakie skarb poniósł na doświadczenia wykonane w Barcelonie, i kilka innych łask jeszcze mu udzielono. Jeśli przypuścimy, że ów wynalazek był to samo co nasze maszyny parowe, o czém jednak wątpić należy, czy podobna mieścić w dziejach pożytecznych wynalazków, odkrycie już w kolebce skazane na zapomnienie, nim jeszcze zostało poznane. Ludzie biegli, którzy za naszych czasów doprowadzili do najwyższej doskonałości ową cudowną siłę poruszającą, bynajmniej sławy swojej nie są winni poprzednim odkryciom Hiszpana, o którym nawet nigdy nie słyszeli. Sam nawet naród Hiszpański mylnieby się szczycił wynalazkiem Garaya; im bardziej bowiem podziwiamy geniusz wynalazcy, tém bardziej go żałujemy, że się urodził pod rządem, którego ograniczone widoki, pozbawiając go sławy, do jakiej miał prawo, wydarły całej ludzkości korzyść jego wynalazku. Lecz nie pierwszy to raz, zazdrośna polityka rządu Hiszpańskiego przytłumiła zapał publiczny i wstrzymała postęp oświaty. Zadziwiająca śmiałość i czynność jaką rozwinęli zdobywcy Nowego-Swiata, była udziałem kilku awanturników, po większej części od nikogo niezależnych. Dwór hiszpański pusił wolne cugle osobistym przedsięwzięciom, a za miany udział w odniesionych korzyściach, stał się współwinowajcą wszystkich gwałtów i zbrodni, które były ich skutkiem; lecz gdy ów rodzaj wyuzdania ustał, zniknęła zarazem i czynność osadników hiszpańskich. Te same przyczyny które w XVI wieku sparaliżowały energię Hiszpanji, wywarły zgubny wpływ swój na ich posiadłości zachodnie. Skoro tylko porządek i władza przywrócone zostały w osadach, wpadły

one w pewien rodzaj odretwienia i nie można się dość wydziwić, widząc jak po owej szczęśliwej gorliwości okazanej przez Hiszpanów początkowo w do-

konaniu coraz nowych odkryć jeograficznych, nastąpiła obojętność z jaką się na nie zapatrywali w następnych wiekach.



ROZDZIAŁ XI.

ZDOBYCZE PORTUGALCZYKÓW.

Polityka portugalska w stosunku podbojów w Indiach. — Kabral z flotą tam wysłany. — Odkrywa Brezylję. — Los Bartłomeja Diaz. — Powodzenie i powrót Kabrala. — Żuan de Nawa odkrywa wyspy Wniebowzięcia i Święta-Helenę. — Powtórna podróż Gamy. — Odkrywa wyspy Szeszełskie. — Wincenty Sodrez zwiędza morze Czerwone. — Wyprawa pod rozkazami Franciszka Albukierka. — Portugalczycy otrzymują pozwolenie wylądowania w Chinach. — Almejda, pierwszy vicekról. — Jego powodzenie i smutny koniec. — Zwycięstwa Alfonsa Albukierka. — Zdobywa Goa, Kalikut, Malakkę i Ormuz. — Jego śmierć. — Odkrycie wysp Trystan-Acunha, Sumatry i Madagaskaru. — Pierwsze zwiędzenie Cejlamu. — Serrano odkrywa wyspy Moluckie. — Bruto zakłada na nich osadę. — Handel zaprowadzony z Chinami. — Przygoda posta Pereiro.

Widzieliśmy w poprzednich rozdziałach jak szybko Hiszpanie dokonali odkrycia i podboju Nowego-Swiata; skoro tylko dowiedziano się, że miesięczna, a najwięcej sześć tygodniowa podróż przez ocean Atlantycki, doprowadzić może do krajów obfitych i nadzwyczajnie rozległych, natychmiast wszystkie trudności żeglugi znikły i znalazło się tysiące osób gotowych narazić swoje majątki i życia; żegluga bowiem tak w ówczas jeszcze była niedoskonałą, że większa część tych co dalekie przedsiębrali podróże, była pewną swęj zguby. Głównym powodem wszystkich przedsięwzięć, były w początkach rozgłosne bogactwa Indji. Żądza dostania się do źródła tych wszystkich skarbów, obłąkała nawet rozum samego Kolumba i ukryła przed nim prawdziwą naturę własnych jego odkryć; Portugalczycy tymczasem znaleźli tak długo szukane przejście na około przylądka Dobręj-Nadziei, i puścili się z zapałem na dalsze odkrycia. Dwór Lizboński przez długi czas za-

kładał swą dumę na zachęcaniu morskich przedsięwzięć, a gdy ów cel wielkich usiłowań został dopięty, z równym zapałem zajęto się rozgłaszaniem tych odkryć. Zamiast trzymania się polityki, którą Hiszpanja przyjęła w Nowym-Swiecie i odstąpienia Indji, za sumę przyszłych korzyści, kilku osobom na wszystko się puszczającym, dwór Lizboński chciał utrzymać władzę i utrwalić swoje interesa na wschodzie za pomocą siły zbrojnej. Wydatki spowodowane uzbrojeniem wyprawy Gamy, wzbudziły żywe nieukontentowanie, lecz szczęśliwe jej powodzenie tak zwycięzko zmieniło uczucia ludu, że ci nawet, którzy dawniej głośno utrzymywali, iż podróż do Indji jest szalonym urojeniem, liczyli się teraz do najzapaleńszych stronników przyszłych korzyści. Wkrótce po powrocie Wasko de Gamy, wydane zostały rozkazy do przygotowania powtórnej wyprawy jeszcze groźniejszej, Flota, przeznaczona do Indji, liczyła trzynastcie statków obficie zaopatrzonych we wszystko.

Dowództwo jęj powierzono Pedrowi Alwarczowi Kabral, który zabrał ze sobą znaczną liczbę duchownych, dla nawracania narodów wschodnich i 1200 żołnierzy dla odparcia wszelkich nieprzyjacielskich kroków. Kabral wiedząc jakich trudności i opóźnienia doznać musi przy brzegach afrykańskich od wiatrów i prądów przeciwnych, postanowił płynąć jak tylko będzie mógł najdalej na zachód od stałego lądu, dopóki nie przybędzie ku przylądkowi Dobręj-Nadziei, i ciągle przeto trzymał się w kierunku południowo-zachodnim, i pod 17° szerokości południowej odkrył ziemię, którą nazwał *Santa-Kruz*. Objął ją w posiadłość dla korony portugalskiej; krzyż wzniesiony z tego powodu, jeszcze dotąd jest starannie zachowywany w Brezylji. To odkrycie tak mu się wydawało ważnem, iż wysłał natychmiast okręt do Portugalji z uwiadomieniem; a chociaż Wincenty Yanez Pinzon, kilku miesiącami pierwój zwiedził już to samo wybrzeże, dwór Hiszpański nieupominał się jednak o swoje pierwszeństwo; prawa Portugalji do najwyższej władzy w Brezylji, nigdy nie były jęj zaprzeczane. Tak to Kabral, z zadziwiającą przenikliwością obrat od razu drogę, która po dziś dzień jeszcze uznana jest za najlepszą dla dostania się do Indji; jego odwaga tém bardziej jest zadziwiająca, gdy ją porównamy z płonnymi strachami, które przed kilku laty wstrzymywały Portugalczyków i dozwalały im odbywać tylko krótkie i przykre podróże, wzdłuż brzegów afrykańskich.

Powodzenie, które odznaczyło początek podróży Kabrala, zamieniło się wkrótce w najsrozsze klęski. Udając się z Brezylji do przylądka Dobręj-Nadziei; flotta jego z najstraszliwszemi musiała walczyć burzami. Wściekle orkany i wzburzone morze trażyły ją bez przerwy przez dni dwadzieścia. Cztery okręta zatonyły; jednym z nich dowodził Bartłomiej Diaz, śmiały i nieulekły żeglarz, który pierwszy odkrył przylądek Dobręj-Nadziei. Nie było mu przeznaczono poznać w całej obszer-

ności ważność odkrycia, do którego się tak skutecznie przyłożył.

Kabral długo pozostał w Mozambiku, dla naprawy rozpierzchtych szczytków swojej flotty, a potem popłynął do Indji. Chociaż tylko sześć miał okrętów, dosyć był silny, aby wzbudzić niejaką odwagę. Przyjęty też został z uszanowaniem i względami od wszystkich tamtejszych władców. Zamoryn Kalikucki poznawszy teraz straszliwą potęgę Portugalczyków, pragnął pusić w niepamięć dwójzyczną uprzejmość z jaką przyjął Gamę, w tym celu podarował Kabralowi pałac wraz z tytułem własności onego, skreślonym złotemi literami; dozwolił mu umieścić na nim chorągiew z herbem portugalskim, zgodził się na utworzenie konsulatatu i otwarcie składów dla kupna i wymiany towarów. Niedługo jednak trwały owe oznaki przyjaźni. Faktor Korrea i piędziesięciu Portugalczyków z nim pozostałych padło ofiarą gminnego zaburzenia, które spowodowali swem nierozważnem zuchwalstwem. Kabral popłynął potem ku *Kochin*, *Cejlan* i *Kananor*, wszędzie odbierając zapewnienia przyjaźni od słabych rządców owych krain. Naładowawszy okręta bogatym ładunkiem, odpłynął do Portugalji, zabrawszy ze sobą posłów wysłanych przez owych trzech monarchów. Opłynął przylądek bez żadnej trudności, i przybył do Lizbony w Lipcu 1501. Chociaż odkrył Brezylję, pomimo biegłości i odwagi, jakim odznaczył swe postępowanie w Indjach, przyjęty jednak został, z powodu znacznych strat, z tą oziębłością, jakiej zwokle doznają wątpliwe powodzenia.

Na kilka miesięcy przed powrotem Kabrala, król portugalski wysłał na jego spotkanie Żuana de Nawa, z eskadrą złożoną z czterech okrętów. Ten admirał odkrył wyspę *Wniebowzięcia* pod 8° szerokości południowej. Pomiął się z flotą Kabrala i przybył zdrów do Indji, dokonane tam przez niego czyny zwiększyły wojenną sławę Portugalczyków. Pobił liczną flotę, wysłaną przeciw sobie przez Zamoryna Kalikuckiego, zdobył bogate łupy w Ka-

nanor i Kochinie, a powracając do Portugalji, odkrył wyspę *Świętęj-Heleny*, którą tak pochlebnie opisał, że admirałowie Portugalczykowie otrzymali rozkaz zaopatrywania się przy niej na przyszłość w swoich podróżach w świeże zapasy żywności i wody.

Jeśli dotąd odbyte trzy podróże do Indji znacznych nie przyniosły korzyści, zrodziły jednak wielkie nadzieje. Niedoznawano teraz trudności w zebraniu kapitałów potrzebnych do przygotowania nowych wypraw, a król przekonany o potrzebie wstąpienia znacznej siły zbrojnej tam, gdzie przewidywano znaleźć zajadły opór, rozkazał uzbroić dwadzieścia wielkich okrętów. Wasko Gama dał się nakłonić i opuścił swoje ustronie dla objęcia dowództwa nad tą flotą. Z początkiem wiosny r. 1502 wyruszył z Lizbony i przybył bez przypadku do Kwiloa; zmusił króla tego miasta, iż się uznał hołdownikiem Portugalji i przyrzekł płacić rocznie 2000 koron złotych. Z Kwiloa, przebył ocean aż do Indji, natrafił w drodze na grupę wysp, którym nadał miano *Wysp Admiralskich*; składają one część grupy bardziej dzisiaj znaną pod nazwą *Sejsszellów*.

Gdy admirał portugalski ukazał się na morzach Indyjskich, na czele sił tak ogromnych, sprzymierzeni władcy Kananoru i Kochinu, przyjęli go z najwyższymi powinszowaniami. Chrześcianie Indyjcy, lub jak ich pospoliciej nazywają, chrześcianie z wyspy Świętego Tomasza, błagali go, aby gdy będzie wracał do Europy, zostawił im eskadrę dla ich obrony. Chętnie zadostyc uczynił temu żądaniu. Zamoryn Kalikucki uzbrajał tymczasem flotę, przeznaczoną przeciw Portugalczykom; lecz Gama odniósł nad nim łatwe i zupełne zwycięstwo. Zabrano dwa okręta, na których znaleziono ogromne skarby; gdyż pominąwszy naczynia złote i srebrne, wielkiej wartości, znaleziono na jednym z nich bożyszcze szczero-złote, ważące przeszło sześćdziesiąt funtów, mające oczy z wielkich szmaragdów, a na piersiach rubin tak duży jak orzech laskowy. Wa-

sko Gama naładował swoje okręta najkosztowniejszymi płodami Indji, bez żadnego przypadku wrócił do Lizbony. Przyjęto go z uniesieniami radości; a haracz króla Kwiloa, uroczyście przed nim niesiono w srebrnej waniece.

Wincenty Spdrez pozostał na morzach Indyjskich z sześciu wielkimi statkami. A że głównym celem było zubożenie się, zaniedbawszy więc zupełnie interesów swoich sprzymierzeńców, na brzegach Malabarskich, krążył tylko po morzu Czerwonem jak prawdziwy korsarz: Był on pierwszym Portugalczykiem, który zwiedził wyspę *Sokotora*, i opłynął brzegi *Arabji-Szczęśliwej*. Lecz zapomniawszy przestrogi, aby się niezapuszał na morza arabskie, dopóki się nieskończy pora nawalnic, zatonął ze wszystkimi swojemi skarbami.

Roku 1503 Franciszek Albukierk przeprowadził do Indji flotę złożoną z 9 statków, siostrzeniec jego Alfons Albukierk, który kiedyś miał zostać tak sławnym, dowodził jednym jej oddziałem. Od pierwszego zjawienia się Portugalczyków na morzach wschodnich, stali się oni przedmiotem zazdrości i wojny pomiędzy tamtejszemi władcami, jedni z nich postanowili odeprzeć niebezpiecznych gości, drudzy zaś pragnęli przyjąć ich jak najlepij. Król Kochinu był w liczbie tych ostatnich. Pierwszeństwo jakie ciągle okazywał cudzoziemcom, sprowadziło na niego pomstę Zamoryna Kalikuckiego, nieubłaganego wroga portugalczyków, władca Kochinu niemogąc się oprzeć tak potężnemu nieprzyjacielowi, ratował się ucieczką i opuścił swoje państwo. Za przybyciem Albukierka, zwycięstwo odwróciło się od Zamoryna, wojska jego wypędzone zostały z Kochinu i zbiegły monarcha znowu tron odzyskał. Pelen wdzięczności za tak ważną przysługę, pozwolił portugalczykom zbudować twierdzę w swoim państwie, ta wkrótce ukończona, i nazwana została *San-Jago*; w tymże czasie wzniesiono kościół chrześcijański, na cześć Świętego Bartłomieja. Tym to sposobem portugalczykowie, jak

świadczą ich własni dziejopisowie opanowali władzę duchowną i świecką, jaką później w Indjach wywierali. Albukierkowie zostawiwszy trzy okręta i załogę 150 ludzi w twierdzy Kochiu, odpłynęli do Europy z niezmiernie bogatym ładunkiem. Odtąd nie już nie słyszano o Franciszku i okrętach zostających pod jego rozkazami, Alfontylko przybył zdrów do Lizbony, ofiarował królowi, pomiędzy innymi rzeczami, czterdzieści funtów ogromnych pereł i dyament nadwyzwyczajnej wielkości.

Rozpoczynawszy podbój Indji, król portugalski osądził za rzecz potrzebną, stwierdzić pierwsze swoje zabiegi, przybraniem pozoru najwyższej władzy. Mianował więc Don Franciszka Almejda, odważnego i doświadczonego człowieka, jenerałnym rządca swoich posiadłości wschodnich, z tytułem vice-króla Indji. Almejda wyruszył z Lizbony w Marcu 1507, ze znaczną flotą, i zdobywszy szturmem miasto Mombaza, na wschodnim brzegu Afryki, którego mieszkańców zabrakł w niewolę, przybył do Indji bez przyypadku. Te powodzenia usprawiedliwiły wysokie mniemanie jakie powzięto o jego talentach. Pod jego zarządem władza portugalczyków szybko wzrastała w posiadłościach Indyjskich, rozszerzyli oni swoje odkrycia we wszystkich kierunkach i tak dalece posunęli swoją zarozumiałość, iż zatrzymywali wszystkie okręta, nieopatrzony paszportem lub kartą wolnego przejścia z podpisem vice-króla. Almejda utraciwszy syna, w morskiej bitwie z Egipcjanami sprzymierzonymi z Zamorynem i innymi nieprzyjaciółmi Portugalji, postanowił pomścić się. Wyruszył zatem z Kanaanor z dziewiętnastu okrętami, uderzył na Dabul i zburzył to miasto. Udał się potem do Diu, którym rządził wówczas Malek-Azz, i znalazł tam połączone floty Egipcyan, mieszkańców Kambaju i Kalikutu, uderzył na nie i odniósł zupełne zwycięstwo nieokupiwszy go znaczną stratą. Całe wybrzeże pomiędzy Diu i Kochinem zostało podbite, władza vice-króla zniszczoną, a rząd Indji przeszedł w ręce

Alfonsa Albukierka. Almejda, z wielką trudnością złożył swoje dostojęstwo i odpłynął do Europy w Listopadzie 1509. Przepływając około przylądka Dobrzej-Nadziei, radował się, iż się niesprawdziły przepowiednie wróżbiarek Kochińskich, które mu obwieściły, że umrze pierwój, nim ujrzy to miejsce. Wkrótce okręta jego zarzuciły kotwice w zatoce Saldanha, nieco na północ przylądka, a on wysiadłszy na ląd poległ z pięćdziesięciu towarzyszami, w bitwie, którą stoczył z dzikimi krajowcami. Nieszczęsny los Almejdy, szczerzy żal wzbudził w Portugalji.

Alfons Albukierk następca Almejdy dostąpił w Indji wielkiej wziętości. Lubo się niepowiodły napady na Ormuz w zatoce perskiej, dowiodły jednak śmiałości jego pomysłów. Piastując najwyższą władzę rozwiaął zarazem dumę bez granic i nadwyzwyczajną czynność. Najpierwszem jego dziełem było uderzenie na *Kalikut*, który obrócił w perzynę. Powiódł potem swoje wojsko przeciw *Goa*, miastu najbandlowniejszemu w Indjach i zdobył je. Maurowie posiadacze Malaki, przez kilka tylko dni opierali się napadom Portugalczyków; zostali wymordowani lub wygnani z miasta, które zaludniono natychmiast krajowcami. Zwycięzcy znaleźli tam łup tak bogaty, że piąta część, jaką przeznaczono dla monarchy, kupiona została na miejscu przez kupców, za ogromną sumę 200,000 sztab złota. Prawdopodobnie dziejopisowie Portugalscy twierdzą, że Albukierk zdobył w tej okolicy 3000 armat. Zbudowawszy w Malace twierdzę i kościół skierował ku brzegom Malabaru; lecz przepływając około Sumatry, napadnięty został przez okropną burzę, która zatopiła większą część floty i prawie wszystkie bogactwa. Statek, na którym sam płynął uderzył o skałę, i w chwili, gdy z niego miał przesiadać do głównej szalupy, ujrzał młodzieńca, spadającego z wierzchołka masztu w morze. Albukierk rzucił się za nim i ocalał go; przez ten czyn większy pozyskał szacunek u współtowarzyszów,

niż gdyby najświetniejsze odniósł zwycięstwo.

Portugalczykowie, aby stać się zupełnymi panami handlu indyjskiego, już tylko potrzebowali zdobyć Ormuz. Albuquerk na czele znacznych sił, postanowił zamiar ten wykonać. Władca Ormuzu uległ od razu; oddał Albuquerkowi cytadelę wraz z całą artylerją, najpiękniejsze domy miasta przeznaczył na składy towarów i zezwolił, aby chorągiew portugalską wywieszono po nad jego własnym pałacem. Wkrótce po powrocie swoim do Goa, w Grudniu 1515, Albuquerk wpadł w gwałtowną chorobę i po kilku dniach umarł, mając 63 lat wieku. Współrodacy przez wdzięczność nadal mu przydomek *Wielkiego*; całą jednak jego zasługę stanowiło szczęście, które mu ciągle sprzyjało. Był to żołnierz waleczny, który nieznał i nie szanował ani praw narodów, ani praw ludzkości. Interesa portugalskie w Indjach wzrosły w jego rękę do najwyższego szczytu pomysłności i zaczęły się chylić do upadku wkrótce po jego śmierci, co dziejopisarze płocho przypisywali nieudolności jego następców. Władza ugruntowana na gwałtach nie może być stałą. Zamierzyl on zniszczyć Egipt odwracając bieg Nilu ku Abissynji, chciał także złupić Mekkę, wysyłając przeciw niej z zatoki Perskiej wyprawę, złożoną z trzechset jezdnych.

Szkic, któryśmy skreślili początku i postępów panowania portugalskiego w Indjach, wykazuje jakim sposobem założone zostały podstawy owego politycznego zakładu, za pomocą którego dowcip i czynność europejska, potrafiły ciągnąć korzyści z całego wschodu. Jak tylko Portugalczyki osiedlili się w Indjach, i postanowili utrzymywać flotę na tamtych morzach, z nowym zapalem zapragnęli dostać się do owego bogatego kraju, który nadzieje ich wskazywały im leżący, po za znanymi dotąd jeograficznymi granicami; nieustawali w swych szczęśliwych poszukiwaniach, o których powezmiem istotne wyobrażenie, przypominając sobie po-

krótce i chronologicznym porządkiem, rozmaite ich odkrycia.

Roku 1506, gdy Alfous Albuquerk przybył do Indji; burza rozproszyła jego flotę. Trystan Acunha, jeden z jego officerów, tak dalece zapędzony został ku południowi, że okrętowa jego osada wkrótce narażoną została na najdokuczliwsze mrozy. Napotkał on wówczas samotne wyspy, dotąd noszące jego nazwę, a które są tylko zamieszkałe przez kilka rodzin angielskich. W tymże samym czasie Alwar Telez umieszczony daleko na wschód, przybył do Sumatry, z kąd powrócił na wybrzeża Arabskie, i tym sposobem rozpoczął niedokładne rozpoznania archipelagu indyjskiego. Nakoniec, też sama burza zagnała Emanuela Menesa ku Madagaskarowi, który nazwał wyspą *Świętego Wawrzyńca*.

Soarez odkrył wkrótce potem *Maldywy*, które natychmiast zwróciły na siebie uwagę cheiwich Portugalczyków. Lecz że nie zdołali nigdy stać się na nich osiedlić, udawali przeto, że niemi pogardzają. Lorenzo Almejda, syn vice-króla, odkrył Ceylan, r. 1506, i wystawił tam kolumnę, z napisem wyrażającym, iż zabrał tę wyspę w posiadłość w imieniu króla portugalskiego. Wszedł także w układy z monarchą tamtejszym, który zobowiązał się płacić roczny haracz, składający się z znacznej ilości cynamonu. Sekweira z polecenia Almejdy wysłany w r. 1509, zwiedził *Sumatrę*, rządzoną naówczas podobnie jak dzisiaj, przez wielką liczbę małych książąt, którzy w nieustannych zostając z sobą kłótniach, tak byli usposobieni do walk ciągłych, iż Portugalczykowie niemogli nie dokazać. «Wyspa ta, mówi Galwano: jest pierwszą ziemią, na której widzieliśmy, iż ciała ludzkie były jedzone przez lud, zwany Bakas, przemieszkujący w górach i mający zwyczaj złocenia swych zębów. Utrzymują oni, iż ciało czarnych jest smaczniejsze niżeli białych, Woły, krowy i drób w tym kraju, mają mięso tak czarne jak atrament.» Chociaż powszechnie przypisują Sekweirze, iż pierwszy dostał się do *Malakki*, wno-

sić jednak wypada, że go tam poprzedzili inni jego współrodacy. W istocie, niepodobna wierzyć, aby Portugalczycy tak długo zwlekali z wzięciem owego wielkiego punktu działań handlowych, do którego już przed pięciu laty pierwsi zamierzali wysłać wyprawę; gdyż flotta, na której się znajdował Ameryk Wespucyusz, w ostatniej swojej podróży roku 1504, (zapewne ta, którą dowodził Koelho), zdaje się, iż miała cel udać się do *Malakki*.

Wyspy *Moluckie* czyli *Korzenne* chociaż były przedmiotem długich poszukiwań, dopiero odkryte zostały przez Portugalczyków r. 1511. W tymże czasie Franciszek Serrano i Diego Abreu, otrzymali polecenie od Albuquerka posunąć odkrycia swoje ku wschodowi, rozłączeni przez burzę, pierwszy zapędzony został aż do *Ternatu*, drugi zaś zwiedził wyspę *Amboine*. Ośm lat upłynęło na tych odkryciach, i przez cały ten czas, jak najgoscinniej byli od krajowców przyjmowani. Serrano zginął powracając do Portugalji. Roku 1521 Portugalczycy wypłynęli dla objęcia w posiadłość *Wysp Korzennych*. Silną wyprawę uzbrojoną w tym celu, oddano pod rozkazy Jerzego Britto; wódz ten wysiadłszy na brzegach Sumatry, dla zrabowania świątyni mieszczącej w sobie, jak twierdzono, niezmiernie bogactwa; utracił życie, a dowództwo przeszło w ręce Antoniego Britto. Gdy officer ten przybył do wysp Moluckich, taką była prostota krajowców, że każdy z nich błagał z zapamiętaniem Portugalczyków, aby wybrali jego miasto dla założenia wojennego stanowiska. *Ternat* otrzymał nakoniec ów niebezpieczny zaszczyt: zbudowano w niem twierdzę, a że rozwołnienie obyczajów zwiększa się zwykle przez oddalenie najwyższej władzy czuwającej nad niemi; przeto Portugalczycy, przeszli swych współrodaków z Indji zachodnich, w prześladowaniach religijnych i krwawych wydzierstwach. Britto nie mało zdziwił się znalazłszy na wyspach Moluckich kilku towarzyszy Magellana, którzy się tam dostali w czasie pierwszej podróży odbytej

przez tego żeglarza na około świata, rozkazał ich pochwyć i wtrącić do więzienia, a wyspiarze zaledwie poznawszy Europejczyków, ujrzeli zarazem ochydny obraz ich bratobójczych niezgod.

Soarez objawszy po Albuquerce rząd Indji, pierwszy pojął potrzebę zawiązania handlu z Chinami. W tym celu, r. 1517 wysłał eskadrę złożoną z 8 okrętów, naładowanych towarami, pod wodzą Andrada, który przybył do Kantonu, wraz z Tomaszem Perez, mającym tytuł ambassadora. Chińczycy z niedowierzaniem spoglądali na przybyłych cudzoziemców. Dwóm tylko statkom, na których znajdowali się Andrada i Perez, dozwolono popłynąć w górę rzeki aż do samego Kantonu. Pierwszy zupełną pozyskał ufność Chinczyków łagodnym obejściem, prawem postępowaniem, a bardziej wydanem wiadomieniem, że wszyscy mający jakiegokolwiek pretensye do jego podkomendnych, mogą się udać do niego z swemi zażaleniami, a otrzymają niezawodne zadosyć uczynienie. W tymże czasie Perez dążył do Pekinu. Pomysłnie dotąd szły rzeczy, gdy Portugalczycy pozostali przy ujściu rzeki, nie mogąc nawet przez krótki czas wściągnąć swęj zwyczajnej chciwości, zaczęli prowadzić handel z Chińczykami, i okazywać względem nich, owe prostackie i wolne obejście, jakiego zwykle używali w handlowych stosunkach, z innemi wschodnimi narodami. Gubernator tej prowincyi dowiedziawszy się o ich nadużyciach, zgromadził wielką liczbę statków i otoczył flotę portugalską, i byłby ją pewno opanował, gdyby nie nagła burza, która rozproszywszy okręta ujęć im dozwoliła. Perez wśród tych wypadków wracając od dworu, padł ofiarą ztego postępowania swych współrodaków; obciążony kajdanami, i odesłany został do Kantonu; tam nędzne włóki życie w więzieniu przez lat kilkanaście, aż śmierć położyła koniec jego cierpieniom.

Roku 1542, trzech żeglarze portugalscy, Antoni Mota, Franciszek Zeimoro, i Antoni Pexoto, uciekły z okrętu

przebywającego przy brzegach Siamskich, i wsiadłszy na statek chiński, puścili się ku wschodowi. Burze zaгнаły ich aż do Japonji, i byli pierwszymi Europejczykami, którzy się do-

stali do tego kraju. Tegoż samego roku zwiedził go także inny portugalski awanturnik, którego przygody stanowią będą przedmiot następnego rozdziału.



ROZDZIAŁ XII.

FERDYNAND MENDEZ PINTO.

Pierwsza przygody Mendeza Pinto. — Odplywa do Indji. — Zwiedza Abissynja. — Przyprawadzony jako jeniec do Mocha. — Sprzedany jako niewolnik. — Wykupiony, udaje się do Goa. — Postany w poselstwie do Battasów. — Osobliwości Sumatry. — Plynie ku Aaru. — Rozbicie i niewola. — Jego nieszczęścia. — Wykupiony, udaje się do Patana. — Napadnięty przez morskich rozbójników. — Ucieka im. — Zostaje sam rozbójnikiem. — Porwanie oblubienicy. — Rozbicie przy wy-spach Złodziejskich. — Szczególniejsze uwolnienie. — Śmierć Kojas-Acem. — Plynie dla szukania Ka-templu. — Jego przygody w czasie podróży. — Rozbicie statku. — Odesłany jako więzien do Nan-kinu. — Uwagi nad Chinczykami. — Udaje się do Pekinu. — Znajduje tam współwyznawców. — Ska-zany do robót w Kwansy. — Napad Tatarów. — Jak się z nim oni obchodzą. — Przybywa do Ko-chinchiny. — Wchodzi w służbę morskiego rozbójnika. — Opuszczony w Japonji. — Leczy syna króla Bungo. — Jest odesłany. — Rozbija się na wielkim Lekujo. — Na śmierć skazany. — Wnien swe ocalenie litości kobiet. — Poselstwo do Pegu i Awy. — Bożyszcze Tinagoogoo. — Pinto zostaje Je-zuita. — Uwagi nad jego dziejami.

Portugalczykowie raz ugruntowawszy swoje panowanie na wschodzie, nie wy-dalali się już dla zaspokojenia płońskiej ciekawości, lub w szlachetniejszym celu powiększenia wiadomości dotyczących kształtu kuli ziemskiej. Zamożność kra-ju i niedołączność krajowców, wzneciły w nich najwystępniejsze żądze. Skap-stwo podżegane fanatyzmem religijnym, stało się główną sprężyną ich czynno-ści, i od tej chwili nie należy ich uży-wać jako biegłych i śmiałych żegla-rzy, lecz za drapieżnych awanturników, zbrojnych kupców, rozbójników i mis-syonarzy. Pozostał nam opis życia, jednego z najdziwaczniejszych z owej znakomitej epoki; w niem znajdziemy nietylko wierny opis wiadomości jeo-graficznych Portugalczyków w XVI wie-ku, lecz nadto dokładny i żywy obraz ich sposobu życia.

Ferdynand Mendez Pinto, autor i bohater tej biografji, był jednym z pier-wszych europejczyków, którzy zwie-dzili Japonją, a chociaż wzmianki jeo-graficzne, które dzieło jego zawiera, zbyt często są ciemne i niezrozumiałe, rzucił on jednak żywe światło na dzie-je ziemio-pisarstwa, obeznawszy nas z zwyczajami i charakterem swoich współrodaków, którzy najpierwsi prze-darli się w najodleglejsze krainy wscho-du.

Mendez Pinto urodzony ze szlache-tnych rodziców, w portugalskiem mie-ście Monte-mor-Ovelho; mając lat je-denaście albo dwanaście, był wzięty przez wuja swego do Lizbony, który go umieścił w usługach znakomitej da-my. Tam popełniwszy jakąś zbrodnię, lub jak się sam wyraża: „gdy się mu przytrafił wypadek, przez który o mało

nie utracił życia." Zmuszony uciekać, wszedł w Pedra w mały czółn mający wyruszać na morze; lecz zaledwie stracił ziemię z oczu, czółno zostało pochwycone przez francuzkiego rozbójnika, który porzucając niezadługo tę zdobycz dla daleko ważniejszej, wysadził na ląd nieszczęśliwych branców, a między innemi i Mendoza Pinto, «okrytego siúcami, odebranych dnia wczorajszego pletni." Po tej przygodzie wszedł w służbę Franciszka Faria, który go polecił pewnemu komandorowi orderu świętego Jakóba. Lecz niezadowolony utrzymaniem udzielaném służącym po wielkich domach, opuścił swego pana, i postanowił odbyć podróż do Indyi, gdyż jak sądził, był to najlepszy i najkrótszy sposób wydobycia się z nędzy. W Marcu 1527, rozpoczął swoją podróż i przyłączył się w Diu do wyprawy, wyruszającej na morze Czerwone. Poselstwo, które ona przewoziła było bardzo dobrze przyjęte na dworze Abissinijskim. Pinto odwiedził matkę księdza Jana, zaspokoił ciekawość tej pani «wymienieniem nazwiska papieża i ilu chrześcijaństwo mamonarchów." Celem poselstwa było zawiązanie stosunków, przy pomocy których można by zmniejszyć przewagę Turków na morzu Czerwoném. Portugalczycy powracając postrzegli trzy okręta, za któremi puscili się w pogoń; powstała bitwa, Turcy byli mocniejsi, i z pięćdziesięciu-czterech portugalczyków, jedynastu tylko zostało przy życiu. Jeńcy wojenni przewiezieni do Mocha, byli oprowadzani po całym mieście okuci w łańcuchach. Lud wzburzony złżył nieszczęśliwych chrześcian. Wtrąceni potem do więzienia, przedzili w niem dni siedemnaście, dostając za całą żywność troche kaszy owsianej i groch suchy rozmoczony w wodzie. Kilkakrotnie wyprowadzano ich na rynek dla sprzedania, lecz dzięki zaburzeniom nigdy nie było kupujących, z radością więc powracali do więzienia, tam przynajmniej czuli się bezpiecznie. Gdy się uspokoiło, siedmiu Portugalczyków pozostałych przy życiu, nakoniec sprzedano jako niewolników. Mendez Pin-

to, dostał się w ręce Greka renegata, który tak źle z nim się obchodził, że kilka razy już chciał się otruć. Okrutny pan, lękając się utracić swego niewolnika, odprzedał go żydowi, z którym dostał się do Ormuz, tam był wykupiony przez portugalskiego gubernatora.

Tu zabrał się z wyprawą Pedra Vaz-Kutinho, z powrotem do Indyi. Pokonani Portugalczycy przez galere turecką, na którą napadli, zamierzali już powetować swe niepowodzenie na sprzymierzonej ze sobą królowej Onorze; lecz ta kazała ich zapewnić przez swego posła: «że tak została zmartwiona, dowiedziawszy się o ich niepowodzeniu, jak gdyby ją zmuszono jeść mięso krowie, na głównej bramie świątyni, w której ojciec jej był pochowany." Eskadra portugalska, pośpieszyła do Goa, tam Mendez Pinto wszedł w służbę Pedra Faria, który płynął do Malakki, dla objęcia urzędu gubernatora. Skoro tylko Faria przybył do swojej gubernii, posłańcy naczelników sąsiednich cisnęli się ku niemu dla otrzymania jego protekcyi. Pomędzy innymi przybył także ambassador króla Battasów, narodu wojowniczego na wyspie Sumatra, z poleceniem oddania mu znacznej ilości kosztownego drzewa, i listu pisanego na korze palmowej, błagania zarazem Portugalczyków o pomoc przeciwko mieszkańcom Achemu. Faria przychylił się do jego proźby, i odesłał obdarzywszy go włóczniami i innemi rysztunkami wojennemi poczem tenże wyjechał z twierdzy wylewając łzy radości."

Wraz z powracającym posłem Battasów, osądzili Portugalczycy za rzecz potrzebną wysłać swego ajenta do Sumatry, wybrano na ten koniec Mendezza Pinto, któremu polecono przekonać się o stanie krajowców, a nade wszystko wybadać z nich co wiedzą dotyczącego się wyspy Złotej. Płynąc w górę jednej z rzek na wyspie Sumatry, Pinto postrzegł wielką liczbę dziwnych zwierząt; które przez uszanowanie dla swój prawdomówności, lękał się jak mówi opisać. Zwierzęta

te, które zowie *Kakesseitansami*, najpodobniej do prawdy są to Kazoary, mylnie im przypisuje chód podskakujący i lot podobny do lotu szarańczy. Widział także węże mające tak wielkie głowy jak głowa cielęcia, opowiadano mu, że następującym sposobem na łup swój polują: «Wczołgają się na drzewo i okręciwszy ogon o jedną z gałęzi, spuszcza głowę aż do ziemi; potem przytuliwszy do niej jedno ucho, słuchają z nadzwyczajną bacznością najmniejszego szelestu; skoro przechodzi wół, niedźwiedź, lub inne jakie zwierze rzucają się na nie, okręcają, wciągają na drzewo i tam pożerają.» Łatwo poznać w tym opisie nieco przesadzonym, węża, zwanego *Boa constrictor*. Wielkie małpy, które podług naszego pisarza, napadają często na murzynów i rozpędzają ich, są to zapewne straszliwe *Pongosy*.

Pinto przybywszy do dworu króla Battasów, był przyjęty z oznakami największej uprzejmości. «Człowiecze z Malakki, mówiła mu stara niewiasta, która go przedstawiała monarsze, twoje przybycie na dwór króla, mojego pana, tak jest mu przyjemne, jak deszcz obfity zasiewom ryżowym w porze upałów; możesz wejść śmiało, i niczego się nie lękać.» Pinto uczynił królowi jak największe obietnice w imieniu Portugalczyków, obowiązując się dopóty go nieopuścić, dopóki nie ujrzy powracającego zwycięzcą wszystkich nieprzyjaciół. Można sądzić o dyplomatycznej szczerości ambassadora, z następnych własnych jego uwag: «Król ten dobrodusznie wierzył w prawdziwość wszystkich moich wyrazów, a najbardziej dla tego, że się zgadzały z jego tajemnymi życzeniami; powstawszy też z tronu rzucił się na kolana przed szkieletem głowy krowiej przyczepionym do muru. Kwiaty zwieńczały złoczone rogi tej szczerólniejszej relikwii.» Pomimo pomocy przyrzeczonej przez Portugalczyków, król Battasów nie mógł się oprzeć swoim nieprzyjaciołom z Achemu, którzy sami siebie mianowali, «wypijaczami gęstej krwi nędznych Kaffrów, którzy przywłaszczyli sobie królestwa, na-

leżące do innych w Indjach i na wyspach.» Tak - to energicznie wyrażała się sprawiedliwa nienawiść, jaką uczuwali ku Portugalczykom. Pinto rzucając ową widownię zaburzeń, udał się w poselstwie do króla Aaru. Nim się jednak rozłączył z królem Battasów, dowiedział się od niego, że wyspa *Złota* leży po za rzeką *Kalendor*, o 80 mil od Sumatry, pod 5° szerokości południowej, że jest otoczona piaszczystemi żaspami i niebezpiecznymi prądami.

Powracając z krainy Aaru, okręt na którym płynął rozbił się, Pinto wraz ze swojemi towarzyszami był zmuszony wlec się po gęstym błocie, otaczającym wybrzeże, wystawiony na ukąszenia owadów, obawiając się co chwila, by go nienapadły węże lub drapieżne zwierzęta, przebywające w sąsiednich lasach. Jeden z współrodaków umarł na jego rękę; z trzema pozostałemi dostał się do małej rzeczki, którą trzeba było wbród przebywać. Dwaj ludzie postępujący przodem, zaledwie dostali się na środek wody, pochwyceni zostali przez Alligatorów i wciągnięci w głąb wody. Pinto i ostatni z jego towarzyszy postanowili zostać w morzu, jako w miejscu według ich zdania najbezpieczniejszem. Na szczęście mały statek przepłynął około brzegów, wsiedli więc na niego, aby powrócić do Malakki. Jednak majątkowie sądząc, że dwaj Portugalczykowie zakopali swe skarby, zaczęli ich bić, chcąc zmusić do wskazania miejsca, w którym one ukryli. Widząc, że biciem nic wskórać nie mogą, mniemali, że ich jeńcy połknęli złoto i w skutek tego dali zająć towarzyszowi Mendezowi Pinto, tak znaczną dozę emetyku, że w skutku jej umarł w kilka dni później; Pinto uniknął jedynie tak okropnego obejścia, przez dowiedzioną niepotrzebę uczynionego doświadczenia. Jednak zawleczono go na ląd, umierającego prawie z głodu i wyniszczenia; a ponieważ w skutku osłabienia dość był złym niewolnikiem, nie dawano mu przeto żywności, i jak sam powiada: «puszczono na paszę jak konia.» Pewien kupiec machometauński, dowiedziawszy się, że

miął przyjaciół w Malace, wykupił go za 42 złote.

Przyszedłszy w Malace do zdrowia, Pinto powrócił do Patana, dla prowadzenia tam handlu, w nadziei, iż wynagrodzi sobie poniesiony uszczerbek. Antoni Faria, kupiec w Patana niemożąc znaleźć w jego obwodzie nabywcy na mnóstwo swoich towarów, postanowił wysłać one do ludnego miasta *Lugor*. Naładowawszy więc wszystkie swoje bogactwa na statki, oddał one pod zarząd Pinto. W chwili, gdy się już zbliżali do kresu podróży, napadnięci zostali przez rozbójników morskich, którzy wymordowawszy osadę zatopili okręt portugalski, zabrawszy pierwiej z niego cały ładunek. Pinto i dwaj jego towarzysze rzuciwszy się w pław dostali się do brzegu, przy ujściu rzeki *Lugor*. Tam z wielkim trudem utworowali sobie drogę przez głębokie bagna, nadaremnie błagając, aby statki płynące pod górę lub na dół rzeki, zbliżyły się do brzegu i udzieliły im pomocy. Nakoniec przyjęci zostali na pokład jakiegoś okrętu, dowiedzieli się później, że swe ocalenie byli winni pewnej damie krajowej, która wzruszona ich nieszcześciami, ułatwiła naszym awanturnikom sposobność powrócenia do Patany.

Gdy Antoni Faria dowiedział się o losie swoich okrętów, rozpacz jego doszła do wściekłości. Nie mógł wrócić do Malakki i pokazać się swoim wierzycielom, w nędznym stanie do jakiego został przywiedziony. Wołał więc dla odzyskania swych skarbów obrać najkrótszą drogę i został rozbójnikiem morskim, a pokrywając swoje sknerstwo pozorem uczciwości; przysiągł pomścić śmierć czterestu Portugalczyków, zamordowanych na jego okręcie przez krajowych morskich rozbójników. Podeszła dama, która uratowała Mendezę Pinto, uwiadomiła go, że ci którym uszedł walczyli pod rozkazami *Koja-Acem*, rodem z Guzeratu, niezłaganego nieprzyjaciela Portugalczyków. Faria łatwo zgromadził 55 zbójców, gotowych mu wszędzie towarzyszyć; Pinto który nie śmiał powrócić do Malakki, będąc

tam winien 5000 dukatów, acz z musu jednak należał do ich liczby.

Ci bohaterowie nowego rodzaju, od samego początku swęj włóczęgi mieli mnóstwo przygód, które prawie wszystkie pomyslnym skutkiem uwiecznione zostały. Porabowali miasta, pojмали w niewolę kilku krajowych morskich rozbójników. Pewnego dnia ujrzeni zbliżających się kilka dżonek; na jednej z nich znajdowała się córka gubernatora z *Kolem*, narzeczona naczelnika sąsiedzkiego, który miał przybyć na jej spotkanie. Narzeczona, biorąc portugalskie okręta za statki przyszelego męża, posłała na niego list, napisany stylem przenośni i porównań używanych na wschodzie, wyrzucając mu obojętność. Zapewniała go: „Ze gdyby słabość jej płci dozwalała, toby tak poskoczyła naprzeciw niemu, dla ucałowania leniwych nóg jego, jak zgłodniały sokół leci za lekkliwą czapłą.” Portugalczycy ukryli się, zostawiwszy na pomoczcie tylko lekkliwych majtków *Chińskich*. Dzonka ślubna i inne towarzyszące jej, bez żadnej trudności zostały pojmane, Oblubienicę, jej braci i 20 majtków, wzięto w niewolę. Wkrótce oblubieniec ukazał się z pięciu dżonkami, a przepływając około Portugalczyków, popitał ich „huczną muzyką i radosnemi okrzykami, nie domysłając się, że w tej chwili oni porwali mu żonę.” Faria i jego towarzysze, wciąż półosma miesiąca opłynawszy wszystkie wybrzeża, i niepowziawszy żadnej wiadomości o *Koja-Acemie*, postanowili przepędzić zimę w *Syamie* i łupy pomiędzy sobą rozdzielić. Zawarli w tym celu uroczystą ugodę, popłynęli ku wyspom *Złodziejskim*. Napadnieni tam zostali od gwałtownej burzy; około drugiej z północy wichur zerwał statki z kotwicy i zagnał one do brzegu, o który się rozbiły. Zatonęło 480 osób, a z 53 które zdołano ocalić, połowa zaledwie była Portugalczyków.

Faria, powtórnie przywiedziony do największej nędzy, nie poddał się rozpacz; upewniał swoich towarzyszy, że Bóg zsyła wtenezas klęski, gdy chce obdarzyć większém szczęściem; że nie-

powinni wątpić, iż w zamian 500,000 dukatów, które stracili, ześle im przynajmniej połowę. Pewnego dnia, gdy nasi awanturnicy zajęci byli w lesie, zbieraniem dzikich owoców, któremi się żywili, mały okręt zawinął do brzegu: Chińczycy do których należał wysiedli na ląd i rozłożyli ogień dla wysuszenia swych sukien. Faria dawszy znak rzucił się z swemi towarzyszami ku brzegowi, zabrano statek i puszczono się na nim natychmiast na morze. Chińczycy pochyceni tak niespodzianie, złodowaciele z podziwu i zgrozy, ujrawszy się opuszczonemi bez żadnej pomocy.

Bohaterowie nasi skierowawszy ku portowi Xingran, z nadejściem nocy podpłynęli do wielkiego czołna i wprowadzili je na pełne morze; wkrótce potem zawarli przymierze z chińskim rozbójnikiem, który przyrzekł wiernie im służyć za trzecią część pozyskanej zdobyczy. Pomoc tę w sam czas otrzymał Faria, dowiedział się bowiem o schronieniu swego śmiertelnego nieprzyjaciela, Koja-Acema i wyruszył na jego spotkanie natychmiast. Obie strony zapalczywie z sobą walczyły, lecz zwycięstwo pozostało przy Portugalczykach. Koj-Acema w kawałki rozsiekanego wrzucono w morze, a pięciu z jego majtków, pozostałych przy życiu, osadzono na dnie okrętu, aby na torturach odkryli tajemnicę, gdzie zakopali swoje skarby. Zwycięzcy popłynęli do *Liampoo*, tam jak najzaszczytniej byli przyjęci przez kupców Portugalskich.

W *Liampoo*, Faria zapoznał się z Chińskim rozbójnikiem, zwanym Similau, który mu najniedorzeczniejszych udzielił wiadomości o mniemanej wyspie *Kalempluy*, gdzie się miały znajdować groby siedemnastu monarchów Chińskich, wszystkie ze szczerego złota, nie licząc ogromnych skarbów wszelkiego rodzaju. »Awanturnik portugalski, jak mówi nasz pisarz, postanowił wynaleść i przywłaszczyć sobie te bogactwa.» Nie można zrozumieć z opowiadania Pinta, jakiej trzymano się drogi w tej wyprawie. Portugalczycy

przybyli najprzód do przystani Buxipalem, leżącej pod 49° szerokości północnej, gdzie klimat był zimny, a morze zawałone potworami, których nasz autor nie śmie opisywać. Już od półtrzecia miesiąca żeglowali, trzymając się ciągle drogi północno-wschodniej, a *Kalempluy* jeszcze się nie ukazywał. Portugalczycy wyrzucali Similaw, że kieruje ich statkiem na ślepo, a Faria, gniewem uniesiony, zagroził, iż go zabije. Rozbójnik złęczony uciekł, za jego przykładem poszło trzydziestu sześciu majtków chińskich. Faria, pozbawiony przewodnika, nie przestał jednak szukać grobów królewskich, i przybył nakoniec do *Kalempluy*, w którego opisie autor nasz daje nam wysokie wyobrażenie o swęj imaginacyi.

»Wyspa ta, jak mówi, ma blisko milę obwodu, cała jest otoczona tarasem jaspisowym, wzniesionym na dwadzieścia palm, kamienie tak są sztucznie ze sobą potążone, iż cały ten mur zdaje się być zrobionym z jednej sztuki. W przedziatach dwudziestu łokciowych, ustawione były na tym murze słupy miedziane, a na każdym z nich stał posąg niewiasty, trzymającej urnę w rękę. Wewnątrz owej galerji, były długie ciągi arkad, wież złoconych i potwórnych posągów, lanych z kruszcu, oraz 360 pustelni, poświęconych bożyszczom całego roku. Faria natychmiast na ląd wysiadł i dostawszy się do jednej z owych pustelni, zaczął zabierać pieniądze, pemięszane z trupiami kośćmi; pieniądze te pochodziły, jak mu powiedział przestraszony pustelnik, z jałmużn, złożonych wraz z trupami, dla ułatwienia im życia na księżycowym świecie, gdzie miały przebywać przez całą wieczność.»

»Faria rabując to święte miejsce wyznał, iż ten czyn poczytuje za wielki grzech, i głośno oświadczył, że postanowił później odpokutować tak ogromną zbrodnię. Rozsądny Chińczyk odpowiedział mu na to: »że ten, który znając swą winę nie może się powściągnąć od jej popełnienia, na daleko większe naraża się niebezpieczeństwo, od tego

który grzeszy przez niewiadomość." Rozbójnicy Portugalscy oddalili się w ówczas na statki, postanowiwszy ze świtem znowu rozpocząć rabunek. Pinto powiada, że ich grzechy, nie dozwoliły im rzec tę szczęśliwie ukończyć.

«Zaledwie wrócili na statek; ujrzeli ognie porozpalane na wyspie i usłyszeli dzwony zdające się bić na gwałt. Faria chciał powrócić na brzeg, pomimo nocy która była ciemna, biegł tu i owdzie, miotany szaloną żądzą porwania jeszcze jakiego kosztownego przedmiotu; lecz już było zapóźno, niebezpieczeństwo tak się stało groźnym, że towarzysze musieli go gwałtem wprowadzić. Rozwinęli wszystkie żagle i dostali się na pełne morze, omyleni w swych nadziejach i tak zawstyżeni, że zaledwie mogli kilka wyrazów przemówić do siebie przez resztę podróży. Po cało miesięcznej żegludze, gwałtowny orkan napadł na nich w zatoce Nankińskiej, byli przywiezieni do tej ostateczności, że musieli dla ulżenia swoim statkom pościnać maszty i wrzucić w morze skrzynie naładowane złotem. Około północy, ludzie na okręcie Antonia Faria, wydali okrzyk żałobny: «Boże! ulituj się nad nami!» a ze świtem postrzeżono, iż statek zniknął. Drugi okręt był w najopłakańszym stanie, a załoga próbując jedyne go sposobu który jej pozostał, pchnęła go ku brzegowi, o który rozbił się natychmiast. Czternastu Portugalczyków uratowało się, liczba utonionych wraz z majtkami chińskimi wynosiła trzydziestu sześciu. Okropny ten wypadek, wydarzył się w Poniedziałek 5 Sierpnia roku 1540.»

Rozbitki oziemle zostali przyjęci od Chińczyków, ilekroć razy Pinto i jego towarzysze przybywali do jakiego miasta, mogli być pewni że zostaną wypędzeni z niego kijami, chociaż udawali się za biednych Siamczyków. Nakoniec z innymi zbrodniarzami stawieni byli przed sądem w Nankinie, który wydał wyrok, aby im poobrzynuano duże palce i oćwiczono biczami. Ostatnia klauzula wyroku natychmiast została wykonaną i to z taką surowością,

że dwóch z pomiędzy nich umarło pod razami. Z Nankinu, który nasz autor obszernie opisuje, Portugalczycy posłani zostali do Pekinu, większą część drogi odbyli kanałami. W tej podróży wspólnie się znajdowali z chrześcianami krajowcami, których przodkowie jeszcze przed wiekiem nawróceni byli przez misyonarza węgierskiego Mateusza Eskandela. Napotkali także córkę Tomasza Perez, nieszczęśliwego posła, który przed kilku laty umarł w więzieniu chińskim. Postrzeżenia czynione przez Pinta o narodzie chińskim są zrazem żywe i dokładne. Uważa on szczególnie wielkie mnóstwo mieszkańców przebywających na rzekach, opisuje używany przez nich sposób wychowywania ptaków wodnych, porządek panujący pomiędzy pospolitym gminem, zachętę udzielaną ich przemysłowi, urządzenie targowisk, metodę jaką posiadają do wykluwania jaj za pomocą sztucznego ciepła, zwyczaj jedzenia śpiczastemi kijkami i wielu innych szczegółów. «Ośmieliłbym się powiedzieć, jeśli świadectwo moje zastępuje na wiarę, że przez dwadzieścia i jeden lat w ciągu których przebiegłem większą część Azji, wśród ustawicznych nieszczęść, trudów i cierpień, widziałem w niektórych krajach cudowną obfitość, wiele pokarmów i owoców nam nieznanych i sądzę że w całej Europie nie znajdzie się ich tyle, ile same Chiny wydają. Toż samo można powiedzieć o wszystkich łaskach, które niebo złało na ten klimat, jakoteż co się dotyczy łagodności powietrza, polityki, zamożności i rozległości kraju. Lecz największą ma on wyższość nad innymi przez sposób w jaki tam sprawiedliwość bywa wymierzana. Pod tym względem, kraj ten tak jest dobrze urządzony, że ma prawo, aby mu wszystkie inne zazdrościły." Owe pochwały sprawiedliwości chińskiej, odznaczają się szczerością, godną uwagi w ustach człowieka, który tak często doznał jej surowości. On i towarzysze jego przybyli do Pekinu, okuci w łańcuchy po trzech razem, tam na przywitanie każdy z nich dostał po trzydziści plag.

Dziewięciu Portugalczyków, którzy przeżyli to obejście, okuci potem razem, stawieni byli przed najwyższym trybunałem i skazani zostali na rok ciężkiej pracy, w mieście zwanem Kwansy. Pinto udziela najdrobniejszych szczegółów o Pekinie w którym bawił pół-trzecia miesiąca, najzupełniejszy opis tego miasta w języku Chińskim, miał przywieść, jak twierdzi, ze sobą do Portugalji. Portugalczycy już od ośmiu miesięcy byli więzieni, gdy doszła wiadomość, że król tatarski z wojskiem, złożonem 1,800,000 ludzi, napadł na Pekin; i że część tego najezdniczego wojska, ciągnęła już przeciw Kwansy. Miasto to wkrótce zostało opanowane; niewolnicy portugalscy dostali się w moc zdobywców. Wkrótce zdarzyła im się sposobność odznaczenia się. Twierdza Niksiamkoo oparła się wszelkim usiłowaniom Tatarów, wówczas Jerzy Mendez, najśmielszy z więźniów, oświadczył, że ją potrafi opanować. Wódz tatarski przyjął tę ofiarę i Mendez, z dwoma innemi Portugalczykami poprowadził do szturmowania znaczną część wojska. Od tej chwili Portugalczykowie jak najzaszczytniej uważani byli w obozie tatarskim. Wódz oświadczył: »że prawie byli tak odważni jak Japończykowie.«

Gdy nasi awanturnicy stawieni zostali przed królem tatarskim, pytał najpierw, skąd przybywają; na to odpowiedzieli, że kraj ich nazywa się Portugalja, że ich monarcha jest nadzwyczajnie potężnym i bogatym, i że z Pekinu do jego stolicy najmniej 3 lata trzeba żeglować. Na tę odpowiedź, król który nie miał najmniejszego wyobrażenia o rozległości kuli ziemskiej, wielkie okazał zadziwienie, kilkakrotnie zapytał: *Prikau? Prikau?* co ma znaczyć: wiele? wiele? Gdy go powtórnie upewniono, że trzeba było najmniej przez lat trzy odbywać tę drogę, uczynił uwagę, »że w kraju, o którym mu mówiono, musi panować albo zbyt wielka duma, albo zbyt wielka niesprawiedliwość, kiedy jego mieszkańcy udają się na podbicie ziem tak oddalonych.« Władca tatarski nie

osiągnąwszy skutku swoich usiłowań przeciw Chinom, nakazał odwrót wojskom, uprowadziwszy jednak ze sobą Portugalczyków. W mieście, zwanem Kwanginau, odwiedził króla tatarskiego Talapikor z Lechuny, który jak twierdzi Pinto, jest Papieżem owych krain. Wszystko co nasz pisarz powiada o Talapikorze, zupełnie się stosuje do wielkiego Lamy tybetańskiego. »Miasto Lachuna powiada nam, jest religijną stolicą pogan, i pod niejakim względem, prawie tém samem, czem dla nas Rzym.« Portugalczycy, otrzymawszy pozwolenie odjechania, przybyli z posłami Kochińchińskimi aż nad brzeg morza, gdzie spodziewali się znaleźć okręt odpływający do Malaki. Omyleni w nadziei zmuszeni byli nająć mały statek, aby ich przewiózł do Liampoo. Lecz kłócili się z sobą przez całą podróż, i tak postępowali zuchwale, że kapitan okrętowy porzucił ich na dzikiej wyspie, z której wkrótce morski rozbójnik zabrał ich na swój okręt. Tak znowu rozpoczęli życie występne i rozpustne.

Pierwszą przygodę jakiej doznali, była bitwa stoczona z morskim rozbójnikiem, utraciło w niej życie pięciu, z ocalonych 8 Portugalczyków. Trzech pozostałych przeniesiono na dzonkę, która wśród burzy o mało nie zatoneła. Rozbójnik morski skierował ku wyspom *Lekujos*, czyli *Loochoo*; lecz wiatr przeciwny zwrócił go z zamierzonej drogi. Postrzegł nakoniec ziemię, na której widział ognie porzupalane; pośpieszył ku brzegowi, i zarzucił kotwicę w bezpiecznej przystani. Kilku krajowców przybyło natychmiast na okręt; zbiegowie dowiedzieli się od nich, że zawinęli do *Taniksumaa*, jednej z wysp Japońskich. Nautakim czyli rządcą tej wyspy, badał Portugalczyków o osobliwości ich kraju. »Najpierw się pytał, czy to prawda, co się dowiedział od Chińczyków i Lekujosów, że Portugalja była bogatszą i rozleglejszą od Chin; cośmy natychmiast potwierdzili. Powtóre, czy istotnie nasz król podbił na morzu większą część świata; i tośmy mu potwier-

żlili. Po trzecie, czy można było temu wierzyć, że nasz król posiadał jak mówiono tyle złotych i srebrnych pieniędzy, iż miał nimi więcej niż dwa tysiące domów napelnionych aż po same dachy. Nato odpowiedzielismy, że nie możemy z pewnością oznaczyć ilości jego domów, gdyż królestwo Portugalskie tak jest obszerne, zamożne i ludne, że niepodobna wiedzieć o wszystkich jego zasobach."

Jeden z Portugalczyków, zwany Diego Zeimoto, podarował gubernatorowi strzelbę, której robotę Japończykowie natychmiast naśladowali tak sztucznie, że r. 1556, gdy nasz autor powtórnie zwiedził te wyspy, liczono już na nich przeszło 30.000 sztuk ognistej broni. Król Bungo życzył sobie widzieć cudzoziemców, przeto Mendez Pinto został do niego posłany, lecz na dworze tego monarchy doznał nader smutnego wypadku. Bawił się niekiedy strzelaniem na ptaki; dzicy niewiedząc z czego się proch robi, przypisywali czarom straszliwą potęgę jego strzelby. Pewnego dnia, syn króla Bungu wziął ową broń, nabił ją aż po sam otwór i wystrzelił do drzewa; lecz lufa pękła i mocno zraniła w rękę młodego księcia. Lud w mniemaniu, że książę poległ ofiarą czarodziejskich sztuk Pinta, natychmiast zażądał zemsty. Nasz biedny awanturnik niewidząc innego sposobu ocalenia życia, musiał odegrać rolę doktora. Zobaczywszy, iż rana nie jest niebezpieczną, oświadczył, że ją zeszyje jak tylko będzie mógł najlepiej, siedmiu ściegami. Biegły chirurg byłby zapewne mniej ich użył. Pokrywszy potem ranę szarpią umaczną w biały, mocno ją zawiązał, a po dwudziestu dniach, książę zupełnie został wyleczony. Wprędce rozszerzyła się doktorska wziętość Pinta i zjednała mu podarunki wynoszące najmniej 1,500 dukatów. Rozbójnik morski, na którego statku przybył, wyruszał pod żagle, Portugalczycy zabrali się z nim do Liampoo, gdzie zdrowo się dostali.

Gdy Pinto i towarzysze jego, opowiedzieli współrodakom tam mieszkającym o zamożności ziemi Japońskiej,

którą odkryli, jak wielki tam znajdują pokup towary zagraniczne; wiadomość ta, tak wielki wzbudziła zapal, iż w piętnaście dni później, dziewięć dzonków wypłynęło do Japonji, po większej części źle urządzonych, do odbycia tej podróży, i bez sterników, którzyby nimi kierowali. Siedm z owych statków zatoneło w czasie pierwszej przeprawy, a na nich więcej niż 600 osób. Zatonione towary warte były więcej już 300,000 koron. Dzonka, na której nasz pisarz się znajdował, rozbita się o skały przy wielkiem Lekujo i większa część jej osady zatoneła, 24 osób utonęło się a pomiędzy nimi kilka kobiet. Wyspiarze, jak się zdaje, wiedzieli dobrze o postępowaniu Portugalczyków, gdyż zaledwie Pinto i jego towarzysze stawieni zostali przed rządca, ten ich zapytał: «Dlaczego ich współziomkowie, podczas wzięcia Malaki, gdzie ich znęciła nadzwyczajna chciwość, tak niełitościwie wymordowali jej ludność?» Już mieli jednak być uwolnionemi, gdy kopiec chiński oskarżył ich o morski rozbój, twierdząc, że Portugalczycy wciskają się w głąb krajów, pod pozorem prowadzenia w nim handlu, a istotnie dla opanowania go jako rozbójnicy, mordując wszystko co tylko się im opierać zechce. Obwinienie to tak wielkie wrażenie uczyniło na monarsze, iż rozkazał poćwiertować Portugalczyków, i pozawieszać ich członki na publicznych gościńcach.

Gdy ten wyrok ogłoszono, kobiety portugalskie swą rozpaczą wzruszyły serca litościwych wyspiarzy. Damy z Lekujo otoczyły na śmierć skazanych i postanowiły błagać za nimi. Napisały list do matki królewskiej, którą nazywały «świętą perłą, utworzoną w największej muszli wód najgłębszych;» zaklinały, aby się ulitowała nad cudzoziemcami, i wstawiła się usilnie za nimi. Litość niewieścia nie pozostała bez skutku; uwolniono Portugalczyków, i dano im okręt na którym do Chin odpłynęli. «Tym-to sposobem, mówi Pinto, opuściliśmy Pungo, stolicę wyspy Lekujo. Mieszkańcy dodaje on, nie mająją wielkiego pociągu do sztuki wo-

jennéj, a wojsko ich nędznie jest urządzone."

Pinto przybył do Liampoo, z kąd wrócił do Malaki w niezamożnym stanie. Gubernator, Pedro Faria, pragnąc być mu użytecznym, posłał go do Martabanu ze zleceniem zawarcia pokoju z królem owego kraju; tam wśród zaburzeń Mendez-Pinto pojmany w niewolę z kilku innymi Portugalczykami, został sprowadzony do Awy, z kąd towarzyszył posłowi króla Bramy aż do *Timplan*, stolicy *Kalaminchama* czyli *Władcy stonia białego*.

Odbył tę podróż w nikczemnej odzieży niewolnika. Kraj, który przebył udając się do *Timplan*, bardzo mało jeszcze jest znany, a nazwy, które nadaje rozmaitym miejscom, tak widocznie są poprzekręcane, że nie wiele można się dowiedzieć z jego opowiadania. Opis uroczystości, czyli jarmarku pogan, w pagodzie *Tinagoogoo*, zgadza się zupełnie z tém wszystkiém co wiemy, iż się dzieje w *Juggernaut*. Zabobonni rzucają się pod koła świętych wozów, ranią się nożami, rzucając pomiędzy tłumy kawały ciała swojego. Posąg *Tinagoogoo* miał włosy murzyńskie, podług twierdzenia naszego podróżnika; są one główną i wyłączną cechą wyobrażeń *Budhy*.

Powróciwszy do Malaki, Pinto był w stanie prowadzić handel z wyspami, i znowu uzbierał majątek, tyle razy tracony, lecz spokojność i pomyślność nie były udziałem jego awanturniczego życia. Może zresztą należy przypisać płochości i niestałości jego charakteru, ów zbieg okoliczności, co go wciągały do wszystkich zaburzeń i życia jego uczyniły nieprzerwanym ciągiem osobliwych przygód. Wszedł w Malakę do zakonu Jezuitów, i dokonał opisaną Siam i Pegu, widocznie w celu zachęcania misjonarzy, do nawracania tamtejszych mieszkańców.

Siamczykowie mają zwyczaj wykrzykiwać, za każdym kichnięciem *Sam razi!* czyli *Trzy i jeden!* To tajemnicze wyrażenie podług naszego pobożnego pisarza, wykazuje wielkie ich usposobienie do zostania chrześcijanami. Zwiedził on

później Chiny i towarzyszył do Japonji w 1556 r. misjonarzowi *Belkujor*; musiał dobrze wykonać dane sobie polecenia, gdyż otrzymał pochlebne świadectwo zasług swoich od gubernatora Malaki. Lecz dwór mało zważał na jego przygody, gdyż im nie wierzył; uskarża się on gorzko, iż doznawszy najdolegliwszej nędzy przez lat dwadzieścia w usługach kraju, nieotrzymał żadnej nagrody. Przez długi czas wcale nieufno opowiadaniu Mendeza Pinto; lecz stopniowo jak głębszej nabyliśmy znajomości krajów zwiedzanych przez niego, z wolna zaczął odzyskiwać swą wziętość i niepodobna teraz uważać jego podróży za płonne urojenia. Upieknia on wprawdzie niekiedy swoje przygody, lecz wolność, której sobie dozwala, równie jak sprzeczności, jakich się dopuszcza, nie w jednym miejscu, mogą być wybaczone człowiekowi nieuczonemu, piszącemu z pamięci, którego smak omamia, tajemniczy powab jaki zawsze uczuwa niewiadomość ku wszystkiemu, co się niedaje wytłumaczyć. Książka jego, prócz tego, mniej się odznacza przesadą, jak mnóstwem wypadków i szczegółów opowiadanych z zadziwiającem podobieństwem do prawdy. Gdy nam przytacza swoje rozmowy z *Chińczykami* i innymi mieszkańcami wschodu, niezawodnie przyzywa wyobraźni w pomoc. Trzeba jednak na to pomnieć, że spędził kilka lat pomiędzy awanturnikami wszystkich narodów, że rzadko był bez tłumacza, że we wszystkich opisach, zachowuje przyzwyczajony język i obyczajów wschodnich, z wiernością, której niemogłby posiadać, gdyby ich niezgłębiał w samej naturze. Nigdzie nie szczyści się zbyt zbytnią odwagą; przeciwnie, przedstawia się nam zawsze jako najmniej znaczący pomiędzy swojemi rodakami. Wprawdzie ani on, ani oni, nie mogą się bardzo szczyścić z ról odegranych w przytoczonych przez niego przygodach. Prostość i koloryt stylu, równie jak rozmaitość usępów, wielce przyczyniły się do powodzenia jego dzieła, które długi czas uważane było w Portugalji za utwór klasyczny.

ROZDZIAŁ XIII.

PODRÓŻE NA PÓŁNOC.

Podróż Sebastjana Kabot. — Pierwsze odkrycie Nowej-Ziemi. — Korterealowie. — Podróże Francuzów. — Kacada. — Pierwsze wyprawy Anglików. — Pierwsze usiłowania znalezienia przejścia północno-wschodniego. — Los Sir Hugona Willughby. — Ryszard Chancellor udaje się do Moskwy. — Jak tam jest przyjęty. — Stefan Burrow dostaje się do cieśniny Waigatz. — Frobisher szuka przez morze przejścia północno-zachodniego. — Ziemia lodowata. — Sprowadza do Anglii Eskimosa. — Mnie-many kruszec złoty. — Powtórna jego podróż. — Ładuje swoje okręta kruszczem. — Wypływa po raz trzeci dla założenia osady. — Zawód. — Podróż Sir Humfreja Gilbert. — Okręta zaopatrzone w rozmaite zabawki. — Zakłada osadę w Nowej-Ziemi. — Czyni dalsze odkrycia i umiera.

Zdobywcy Hiszpanów i Portugalczyków w Nowym-Swiecie i na Wschodzie, przedstawiają tak świetny ciąg wypadków i odkryć, iż zajmować zawsze będą pierwsze miejsce w dziejach prac geograficznych. Lecz, gdy ich dokonywano, inne narody bacznie zwracały uwagę na owe działania, i rachowały korzyści jakie mogą wyniknąć z rozprzestrzenienia znajomości kuli ziemskiej. Odkrycia te i działania nie szybko po sobie następowały, lecz cierpliwość i wytrwałość w usiłowaniach, miały je w końcu doprowadzić do korzystniejszych daleko postępów. Anglja szczególnie odznaczyła się jako szkoła śmiałych i biegłych żeglarzy.

Jan Gawotta, albo Kabot, rodem z Wenecji, przybył do Anglii i osiadł w Bristolu pod panowaniem Henryka VII. Monarcha ów, niespodziewając się już zawrócić układow z Kolumbem, chętnie udzielił swojej protekcyi awanturnikowi Weneckiemu, którego wziętość jako sternika, bynajmniej nie była niższą od wziętości sławnego Genuńczyka. Nadał patentem, z dnia 5go Marca 1496, Kabotowi i trzem jego synom, Ludwikowi, Sebastjanowi i Sancyuszowi, pozwolenie udania się dla szukania ziem nieznanych, podbijania ich, i zakładania osad. W opisach, które nam pozostały podróży przedsięwziętych na mocy owych przywoleń królewskich, znajdujemy nadzwyczajne sprzeczności. Jeden tylko Sebastjan Kabot udziela nam nieco pewnych objaśnień. W rap-

porcie jego adresowanym do Legata papieżkiego w Hiszpanji, mówi: »że znając kształt kuli ziemskiej, wiedział dobrze, iż gdy uda się ku północno-zachodowi, to przybędzie niezawodnie do Indyi drogą daleko krótszą; poddał więc swój plan monarsze, z rozkazu którego dwie karawelle natychmiast zaopatrzone we wszystkie potrzeby do podróży, którą rozpoczęł, jeśli dobrze pamięta, w pierwszych dniach lata r. 1496. Zaczął więc płynąć ku północno-zachodowi, niespodziewając się natrafić na inną ziemię, prócz Katalju czyli Chin, i zamierzając ztamtąd skierować do Indyi; lecz po kilku dniach postrzegł, że ziemia ciągnie się dalej ku północy, co mu wielką nieprzyjemność sprawiło. Jednak żeglując wzdłuż brzegów dla widzenia czy nie znajdzie jakiej zatoki, za pomocą której mógłby okrążyć ląd stały, sprawdził, iż ziemia ciągnie się aż do 56° pod biegun północny. Widząc, że w tém miejscu ziemia zwraca się ku Wschodowi, zwątpił o znalezieniu przejścia, zwrócił się więc napowrót i płynąc wzdłuż brzegów tego lądu aż do równika, (zawsze w zamiarze odkrycia przejścia do Indyi), przybył do owej części lądu stałego, którą teraz nazywają Florydą. Gdy mu zaczęło brakować żywności, powrócił do Anglii, gdzie znalazł lud niezmiernie zaburzony, gotujący się do prowadzenia wojny ze Szkocją; to znacznie przyczyniło się do zaniedbania jego podróży.»

Bardzo podobnym jest do prawdy, że Jan Kabot i syn jego, odkryli w czasie tej pierwszej wyprawy, wyspę teraz zwaną *Nowa Ziemia*, której nadali imię *Prima- vista*. Zdaje się, iż przywieźli ze sobą do Anglii trzech krajowców; «ci dzicy, jak mówi, okryci byli skórami zwierząt, jedli mięso surowe i mówili językiem, którego nikt nie mógł zrozumieć; podobni zresztą byli ze sposobu życia do dzikich zwierząt, które król niezadługo potem otrzymał. Ramusio przytacza, że Kabot dopłynął aż do 67° i pół szerokości północnej, i znajdujemy wzmiankę w innym współczesnym pisarzu, iż natrafił na pokolenia Indyjskie, u których wielka znajdowała się obfitość miedzi. Sebastyan Kabot odżył r. 1516, wraz z Johnem Pert podróż do *Porto-Riko*, a potem wrócił do Hiszpanji, kład przewodniczył do *Rio de la Plata*, owęj wyprawy, o której wspomnieliśmy wyżej. Lecz w r. 1548 za Henryka VIII, Kabot powrócił do Anglii i przy wstąpieniu na tron Edwarda VI mianowany został od młodego monarchy naczelnym sternikiem, z dożywotnią pensją 500 marek, czyli 166 liwrow, 13 szelingów, 4 denarów na rok; wspaniała nagroda jak na ową epokę, i prawdziwie zasłużona. Kabot umieszczony na czele towarzystwa awanturników handlowych, przez swoją gorliwość, dojrzały sąd, jak również i wielkie doświadczenie, nader się przyczynił do wzbudzenia i skierowania owego ducha przedsięwzięć morskich, przez który Anglja wzniosła się do tej wyższości na morzu, którą obecnie posiada.

Odkrycia Kabota zwróciły niezadługo uwagę Hiszpanów i Portugalczyków, którzy najbardziej się obawiali, aby im niezaprzeczono panowania na morzach. Zresztą ani wątpić można, że któryś portugalski żeglarz musiał odkryć *Nową Ziemię*, daleko pierwój przed Kabotem. Jan Waz Kosta Kortereal, zwiedził morza północne, z rozkazu Alfonsa V. około r. 1463 i odkrył ziemię *Bac-calhaos* czyli *Ziemia Stokwiszowa*, później nazwana *Nową-Ziemią*. Mamy nawet powody mniemać, że nietylko Por-

tugalczycy mieli zwyczaj poławiać na owych sławnych hakach, lecz, że nawet tam także pozakładali osady przykońcu XV wieku. Gaspar, syn Jana Kortereal wyruszył z Lizbony r. 1500 i żeglując od wysp Azorskich ku północy odkrył pod 60° ziemię, którą nazwał *Terra Verde*, po angielsku *Greenlande*. Według własnego jego opowiadania zdaje się, iż cały rok spędziwszy w tej podróży, odkrył pomiędzy zachodem a północno-zachodem ląd stały, dotąd nieznanym reszcie świata; że przebiegł blisko ośmset mil jego wybrzeży; że wedle jego, wniosków, ziemia ta przyległa była krainom, do których Wenecyanie już się zbliżyli, i położoną była prawie pod samym północnym biegunem; nakoniec, że nie mógł posunąć się dalej będąc zatrzymanym wielkimi lodowemi górami, zawałającemi morze, i nagromadzonemi śniegami. Wielki ów kraj, odkryty przez Kortereala, jest widocznie ziemią dzisiaj znaną pod nazwą *Labradoru*, a której pisarze XVI wieku, nadawali nieraz miano *Corterealis*.

Gaspar Kortereal, ośmielony temi odkryciami, będąc prawie pewnym, iż dokona odkrycia przejścia do Indyi w stronie północno-zachodniej, z ławnością otrzymał od króla pozwolenie przedsięwzięcia powtórnej podróży; wyruszył z Lizbony, w Maju 1501 roku i więcej już do niej nie powrócił. Podróż jego pomyslną była aż do *Greenlandji*; tam nawalnia rozłączyła okręty; towarzyszowi jego udało się wrócić do Portugalji; lecz o Korterealu, nie miano odtąd żadnej wiadomości. Brat jego, Michał Kortereal, w roku następnym wyruszył dla szukania go, zabrawszy ze sobą trzy okręta. Gdy przybył na wybrzeża ziemi nowo odkrytej, poprzeczne mnóstwem zatok i rzek, okręta rozdzieliły się, dla bliższego ich przepatrzenia, naznaczywszy dzień 20 Sierpnia na zebranie się w miejscu oznaczonym. Dwa okręta stały się podług umowy, lecz Michał Kortereal nie ukazał się więcej, i nigdy niepowzięto wiadomości co się z nim stało. Wasko Eanes Kortereal, wielki mistrz

dworu królewskiego, nie mogąc się pocieszyć po stracie braci, postanowił nadać się za nimi dla wykrycia tajemnicy los ich oceniającej. Lecz król, który już z tej rodziny utracił dwóch najszacowniejszych sług swoich, chciał przynajmniej ocalić trzeciego i żadnym sposobem nie można go było nakłonić, do dania zezwolenia na tę niebezpieczną wyprawę.

Te podróże lubo tak nieszczęsne dla tych co niemi kierowali, oswoiły jednak żeglarzy Portugalskich z oceanem północnym, i niemało się przyczyniły do postępu odkryć w tym kierunku. Obfite rybelowstwo urządzone zostało przez Portugalczyków na hakach Nowej-Ziemi, gdzie się nieraz zbierało po 300 okrętów, przybyłych z samych tylko portów Viana i Aveiro. To nowe źródło pomyślności, otworzone usiłowaniami i rzec można poświęceniem się Korte-realów, wyszło dopiero po poddaniu się Portugalji pod obce berło.

Sam tylko naród francuzki zdawał się być długo obojętnym, na ową miłość sławy, co wiodła inne narody w zawód odkryć geograficznych. Francuzi jednak nie pogardzali korzyściami handlowymi i nie tracąc czasu, umieli korzystać z odkryć dokonanych przez sąsiadów. Roku 1508, żeglarz z Diepp, zwany Aubert czyli Hubert, udał się do Nowej-Ziemi, żądaj przywiózł jednego krajowca, którego pokazywano w Paryżu całemu dworowi. Lecz po tej podróży nie słyszymy już o żadnym odkryciu dokonanym przez Francuzów aż do r. 1534, w którym Jakób Kartier zwiedził rzekę Świętego Wawrzyńca; i tam bez wątpienia wyprzedzony został przez Korte-reala i żeglarza hiszpańskiego Welasko. Kartier uwiadamia nas, że od krajowców, mieszkających na północnych brzegach rzeki Sgo Wawrzyńca, wioski czyli nagromadzenia domów, zwane były Kauada; miano to później Europejczycy nadali całemu krajowi. Długo tej nazwie przypisywano jeszcze bardziej urojony początek. Mówiono, że gdy Hiszpanie wplęnęli po raz pierwszy na tę rzekę, szukając na próżno śladów drogich kruszców, zawołali o-

myleni: *Aca nada!* co ma znaczyć: *«Nic tutaj!»* i że dzieci nauczywszy się owych wyrazów, powtarzali one często Europejczykom, później do nich przybyłym, a którzy je niesłusznie wzięli za nazwę ich kraju.

Zapał do odkryć, ostygł także w Anglii na początku XVI wieku, lub co bardziej do prawdy podobne pomie-
 waż pierwsze usiłowania ich podróżników, nie zostały uwiecznione świetnym powodzeniem, przeto nie zwróciły na siebie uwagi współczesnych dziejopisów. Pierwszą wyprawę, na którą sami pokusili się Anglicy, winni byli namowom Roberta Thorne, bogatego kupca z Bristolu, który długo przebywając w Sewilli, przejął się zapałem odkryć geograficznych. Mówią, iż doradzał królowi Henrykowi VIII «z ważnych powodów, aby wysłał okręta ku północnemu biegunowi, dla czynienia odkryć.» Dokonano istotnie podobnej podróży w owej epoce. Dziejopisowie wspominają: «że król Henryk VIII posłał dwa piękne okręta uzbrojone i w żywność zaopatrzone, na których znajdowało się kilku biegłych ludzi, dla szukania odległych krain; wypłynęły one z Tamizy 20 Maja 1527 r.» Tyle tylko wiemy o tej podróży, że jeden z owych statków wyrzucony został na północy Nowej - Ziemi. Roku 1536, znów uczynił nowe przedstawienie o przedsięwzięcie odkrywcowej podróży w stronie północno-zachodniej Ameryki, jeden z mieszkańców Londynu nazwiskiem Hore «człowiek wysokiego wzrostu, pełen odwagi i poświęcający się kosmograficznej nauce.» Rzecz godna uwagi, że ze 120 osób, które z nim odplęły, trzydzieści było wyszło z uniwersytetów i szkół prawa; czego można stanowczo twierdzić, że jedynie żądza rozszerzenia dziedziny nauk była bardziej przedmiotem wzmiankowanej podróży, niż spekulacye handlowe. Lecz wyprawa ta nieszczęśliwy miała koniec. Za przybyciem swoim do Nowej-Ziemi, podróżni nasi tak wielkiego głodu doznali, że byli zmuszeni żywić się ciałem ludzkim. Gdy niektórzy zbierali w lasach korzon-

ki na pożywienie, drudzy zdradziecko napadły na swych towarzyszy, zamordowało kilku z nich i pożarło. Kapitan dowiedziawszy się o tym wypadku, chciał naprowadzić osadę okrętową na drogę powinności; ożywił jej nadzieję i starał się nakłonić do poddania smutnemu przeznaczeniu. Lecz głód do tego doszedł już stopnia, że ciągnęli losy, który z nich ma dobrowolnie śmierć ponieść dla ocalenia swych towarzyszy. Tegoż samego wieczora, statek francuzki zawinął do brzegów; Angliey podstępem o którego szczegółach nie wiemy, opanowali go i powrócił do ojczyzny. Później król Henryk VIII szczerze wynagrodził francuzom poniesione szkody i przebaczył gwałty, jakich się dopuścili awanturnicy angielscy w chwili ostatecznej potrzeby.

Haudel zagraniczny Anglików, w wieku XVI, nie rozciągał się dalej jak do Flandryi i Islandyi; udawali się oni prócz tego, za rybołówstwem ku hakom *Nowej-Ziemi*. Lecz obecność i rady Sebastjana Kabot, doskonale znającego śmiałe żeglugi Hiszpanów, rozprzestrzeniły widoki, rozplomieniły dumę tego narodu, który czuł dobrze do czego jest zdolnym. Doświadczony ten żeglarz został mianowany przez Edwarda VI wielkim sternikiem Anglii, oraz Gubernatorem handlowym i naczelnikiem kompanji kupieckiej zbranej w celu odkrywania krajów, państw, wysp i miast nieznanych. Z jego to porady i pod jego kierunkiem przedsięwzięto r. 1533 podróż, której celem było odkrycie północno-wschodniego przejścia do Katalju czyli Chin. Urządzono do tej wyprawy trzy okręta, których dowódcą mianowany został sir Hugon Willoughby. Ryszard Chancellor, pierwszy sternik floty, dowodził statkiem *Edward Bonawentura*. Dowódcy owej wyprawy, nie wątpiac bynajmniej o jej powodzeniu, niepomięli żadnej ostrożności, które wówczas uważano za potrzebne dla ochrony okrętów, przeznaczonych żeglować po morzach Indyjskich; rozkazali przeto swoje statki pokryć i obić ołowiem,

dla zabezpieczenia ich od robaków tak szkodliwych w klimatach gorących, dla drewnianego pokrycia. Jest to pierwszy przykład w Anglii; obijania statków kruszcem. Od dawna, jak wiemy, ostrożność ta znaną już była żeglarzom hiszpańskim.

Gdy okręta stały na kotwicy przy Greenwich, gdzie wówczas dwór przebywał, majtkowie odbierali najpochlebniejsze oznaki łaski królewskiej. Lecz ta wyprawa, zaczęta pod tak szczęśliwą wróżbą, w jak najopłakawszym sposobie się zakończyła. Odważny Willoughby i jego współnicy, kupcy, oficerowie i cała osada okrętowa, jak również 70 osób, znajdujących się na statku *Bona Confidencia*, wyginęło marnie z zimna i głodu, na pustych i niepłodnych wschodnich brzegach Laponii przy ujściu rzeki zwanéj Arzina, niedaleko od przystani Kegor. Okręta i trupy pomarłych, odkryte zostały dopiero w następnym roku przez kilku rossyjskich rybaków; z papierów znalezionych na okręcie admirałskim, a szczególnie z daty jego testamentu, dowiedziano się, że większa część osób, które się zabrały na owe dwa okręta, żyła jeszcze w Styczeniu 1554 r. Wpłynęły one na rzekę 18 Września roku poprzedzającego. Nie zdaje się, aby spisywano regularne dzienniki na owych okrętach. Księga Sir Hugona Willoughby zawierała w sobie zaledwie kilka wierszową wzmiankę o okropnym położeniu, w jakim się znajdowali.

Zostając w téj przystani przeszło tydzień, i widząc, że rok się kończy wśród niepogody, mrozu, śniegu i deszczów, jakby w najcięższej zimie osądziliśmy za rzecz najlepszą tam przezimować. W tym celu wysłaliśmy trzech ludzi w stronę południowo-zachodnią, aby odkryli krajowców; lecz ci przez trzy dni tułając się wszędzie, nieznalezli nikogo. Potém wyprawiliśmy trzech innych na zachód i ci po cztero-dniowej podróży z niczém powrócili. Narazcie wysłaliśmy znowu trzech w kierunku południowo-wschodnim, powrócili oni po trzech dniach, nienatraf-

szy na żaden ślad ludzi lub mieszkań ludzkich."

Sternik, Ryszard Chancelor, szczęśliwszym był w swojej podróży. Zdało się, iż ciągle dążył ku północy, i wedle jego własnego wyrażenia: «tak daleko płynął w tej nieznannej części świata, iż przybył nareszcie do miejsca, w którym nie było nocy, gdyż blask pogodnego słońca obijał się ciągle o rozległe i groźne morze." Wpłynął nareszcie do wielkiej zatoki, gdzie znalazł krajowców, których przybycie jego zdawało się przestraszać; lecz gdy się później przekonali «o nadzwyczajnej łagodności, uprzejmości cudzoziemców, przynosili żywność, i weszli z nimi w bliższe stosunki." Chancelor bardzo zrecznie ułatwił swoje negocjacje, i odważył się przedsięwziąć blisko 750 milową podróż dla dostania się do Moskwy, uprzejmie tam został przyjęty, jego to pośrednictwem położono węgielny kamień do owoch handlowych stosunków, które odtąd istnieją bez przerwy, między Anglią i Rosją.

Następnej wiosny Chancelor ruszył z Archangelu, i przybył szczęśliwie do Anglii, przywiozłszy ze sobą list, pisany przez Ciarę Iwana Wasilewicza do Edwarda VI. Szczęśliwe powodzenie Chancelora, i widoki zawiezienia stosunków handlowych z rozległym państwem, wynagrodziły w oczach publiczności nieszczęścia Willoughbego i chybienie głównego celu wyprawy zostającej pod jego dowództwem. Wydano nowy patent towarzystwu kupieckiemu i Ryszard Chancelor z dwoma kommissarzami, wysłany został dla ułożenia z Carem Moskiewskim przywilejów handlowych, jakimi by się temu monarsze podobało obdarzyć nowo-ustanowione towarzystwo. Naszym awanturnikom, prócz tego, polecono by nie porzysztając na osiągnięciu li tylko handlowych korzyści, zebraли wszelkie objaśnienia i dowiedzieli się jaką drogą można się dostać, czy to lądem, czy morzem, z Rosji do Chin.

Gdy tak przygotowywano powtórną wyprawę Chancelora do Rosji, niezaniechano jednak szukania przejścia pół-

noco-wschodniego. Stefan Burrow, który towarzyszył Chancelorowi w poprzedniej podróży, wypłynął w Kwietniu 1556 na małym statku dla przejrzenia mór północnych. W ostatnich dniach Lipca, Burrow i jego towarzysze przybyli do wyspy *Waigatz*, tam się dowiedzieli od Rossyan, że przeciwne wybrzeża nazywają się *Nowa-Zemla* czyli *Nowa Ziemia*, a krajowcy owych wielkich wysp *Samojedami*; nie mieszkają oni w chatkach lecz pod namiotami zrobionymi ze skór jelenich. Zawijając Anglicy do lądu postrzegli mnóstwo bożyszcz tego ludu; były niezgrabnie wyciosane i w niektórych miejscach krwią zbroszone. Gwałtowność wiatrów wschodnich niedozwoliła naszym awanturnikom posunąć się dalej; przeto przezimowawszy w Kolmagro, następnego roku powrócił do Anglii. Chancelor tymczasem odbył korzystnie swoje poselstwo do Archangelu i Moskwy. Gdy wracał w r. 1556 do Anglii, towarzyszył mu Osip Neped, ambassador cesarski. Podróż ich nader była niepomysłą, ze czterech bowiem statków składających flotę, trzy się rozbiły, a czwarty na którym płynął Chancelor i Ambassador Rosyjski, zapędzony został w zatokę *Pitsligo*, na wschodnich brzegach Szkocji; Chancelor i większa część jego osady zatoneła; ambassador z wielką tylko trudnością został ocalony. Wiechał do Londynu, wśród nadzwyczajnej okazałości; obchodzono się z nim z największymi względami i poważaniem; odtąd też stosunki handlowe obu krajów zostały ugruntowane na stałych zasadach.

Usiłowania czynione w celu odkrycia przejścia do Indyi w stronie północno-zachodniej, chociaż właściwego nieosiągnięty celu, przyniosły jednak już niezaprzeczone korzyści, jak wszystkie pasowania się mocy i woli ludzkiej. Zresztą, pomysłne skutki równie jak i zawody takowych podróży, podniecały chęć dokonywania odkryć w nowych coraz kierunkach i zwracały umysły ku przejściu północno-zachodniemu, dla dostania się do Indyi wschodnich i Katalju, okrążając Amerykę, dla poparcia

mniemania iż to przejście może być dokonaniem, przytaczano wiele sprawiedliwych postrzeżeń, stwierdzonych opowiadaniem, z których jedne były dwójznaczne, a większa część widocznie bajeczną. Marcin Frobisher, żeglarz biegły i doświadczony, wniósł w siebie, że ta podróż nie tylko jest podobną do odbycia, lecz nawet i łatwą; starał się więc usilnie przez lat piętnaście o środki dokonania wyprawy, na której polegały wszystkie jego nadzieje.

Nakoniec, r. 1576, dzięki opiece Dudleya, hrabi Warwick, przygotowano dwa male statki. W chwili, gdy nasi awanturnicy przepływali przed Greenwichem, królowa Elżbieta przestała im zachęcające pożegnanie, i powiała chustką z ganku, odpowiadając na ich ukłony. 11 Lipca, Frobisher odkrył ląd, który sądził być *Ziemią Lodowatą Zenona*; lecz to, co poczytywał za wyspę, jest widocznie południową częścią Grenlandyi. Z powodu pływających lodów musiał skierować bieg swój ku południo-zachodowi, i dostał się do Labradoru. Płynąc ku północy, wzdłuż tego wybrzeża, dostał się do cieśniny, leżącej pod 63° 8' szerokości, którą później nazwano odnogą *Lumleya*. Frobisher przybył z powrotem do Anglii, 2 Października. Pozyskał szacunek wszystkich, przez swoją wielką i znakomitą wyprawę, a szczególnie przez nadzieję, jaką czynił prędkiego wynalezienia przejścia do Chin. Jeden z jego majątków przywiózł kamień na pamiątkę odbytej podróży do tak dalekich krain, który, gdy żona owego żeglarza wrzuciła w ogień, postrzegł, iż ten nagle pokrył się złotą siatką. Wypadek ten wkrótce się rozgłosił, a złotnicy londyńscy, przywołani dla rozbioru kamienia, potwierdzili, iż takowy zawiera w sobie znaczną część złota. Tak nadzieja znalezienia kosztownych kruszców, pomnożyła jeszcze liczbę powodów, które skłaniały do przedsięwzięcia odległych podróży i poszukiwań geograficznych. Królowa wyraźnie oświadczyła się, że jest przychylną nowym wyprawom, i Frobisher wyruszył

powtórnie w Maju 1577 z trzema okrętami. Słuszne on uczynił postrzeżenie, że lód zawałający morza północne musi się tworzyć w cieśninach lub morzach wewnętrznych, pobliskich biegunowi, bo pełne morze nigdy nie zamarza. Skierował ku cieśninie, w której swojej ostatniej podróży dokonał, i szukał miejsca, gdzie znaleziono ów mniemamy złoty kruszec; lecz napróżno spłądrowano całą okolicę; gdyż dopiero odkryto mnóstwo tego kamienia na wyspach pobliskich. Anglicy zwiędzając cieśninę Frobishera, nigdy nie mogli zawrzeć przyjacielskich stosunków z krajowcami. Schwytali dwie kobiety, jedną z nich starą i brzydką, którą miano za czarownicę, puszczono natychmiast. Tym razem złoto, a nie odkrycia, było jawnym celem podróży; zajęto się pakowaniem i zabrano na okręta więcej niż 200 beczek owego świeżącego kruszczu, który poczytywano za okrucy złota. Gdy ukończono ładunek, ruszono z powrotem, a chociaż gwałtowne burze nieraz statki naszych awanturników rozpraszały, zawinęli oni jednak zdrowi do rozmaitych portów angielskich.

Królowa i osoby, które łożyły na koszt wyprawy, zachwycone były widząc: «że przywieziony kruszec posiadał wszystkie własności złota, i nadzwyczajne obiecywał korzyści; ostatnia ta podróż zwiększyła także powzięte nadzieje, znalezienia przejścia do Chin.» Królowa nadała imię *Meta inoognita* nowo odkrytemu krajowi, i postanowiła założyć tam osadę. Przystosowano w tym celu flotę złożoną z piętnastu okrętów, na które zabrano się sto osób dla utworzenia owęj osady. W pierwszym roku trzy okręta miały tam pozostać. Dwanaście zaś innych przeznaczono do odwiezienia ładunku złotego kruszczu. Frobisher mianowany admirałem wyprawy, odebrał przy pożegnaniu z rąk królowej, w nagrodę łańcuch złoty. Flotta wyruszyła pod żagle 31 Maja 1578. We trzy tygodnie później odkryła *Ziemię lodowatą*, którą ze wszystkimi formalnościami zajęto w posiadłość; potem wprost udano się do cie-

śniny Frobishera. Dotąd podróż była szczęśliwa; lecz przeciwności i rozmaite przygody przeszkodziły założeniu osady. Gwałtowne burze rozproszyły flotę; masy lodu zawałyły cieśninę; malenki statek, na którym umieszczono drewniany domek, przeczyniony na mieszkanie osadników, zdruzgotany pomiędzy bryłami lodu, zatopił się; gęste mgły, śnieg obfity i gwałtowne nurty, stały się nadzwyczajnych klęsk powodem. Nakoniec, po wytrzymaniu największych cierpień, postanowiono wrócić do Anglii, a wszelkie zamiary dotyczące osady odłożyć aż do następnego roku. Burze, które bezkorzystną uczyniły tę pierwszą wyprawę, ścigały ciągle flotę w jej powrocie; rozproszone okręta, zawinęły jednak przed początkiem Października do rozmaitych miejsc angielskich brzegów.

Okręt zwany *Stós Bridgewater*, wracając do Anglii odkrył wielką wyspę w stronie południowo-wschodniej Ziemi-lodowatej, pod 57° i pół szerokości położoną; żeglował przez trzy dni wzdłuż jej brzegów, grunt zdawał się być urodzajnym, zarosłym lasami, zresztą zaś odkrytym rozległymi płaszczyznami. Stósownie do tych objaśnień, ową wyspę nakreślono na mapach naszych, lecz odtąd już nigdy jej nie widziano i zapewne nie istnieje, chociaż niedawno, gdy zarzucono ołowiankę, natrafiono na jakowyś grunt; to spowodowało wznowienie mniemania, że ziemia lodowata Zenona i ląd, który odkrył *Stós Bridgewater*, były jedną i tą samą wyspą, pochłonią trzęsieniem ziemi.

Po pierwszej podróży, której celem było odkrycie krajów nieznanych, nie się już nie wiodło Frobisherowi. Gdy chciwe nadzieje, jakie on wznicił, zostały zawiedzionymi, podróżę te utraciły cały swój powab, on sam przez niejakiś czas w najzupełniejsze popadł zapomnienie. Lecz roku 1585 służył w Indyach-Zachodnich pod rozkazami Franciszka Drake; we trzy lata później, dowodził największym statkiem z całej floty, która pokonała *Armadę*; w teju to niebezpiecznej okoliczności za od-

znaczenie się nadzwyczajnym mężstwem, pozyskał zaszczytny tytuł kawalera. Gorliwość okazana przez Frobishera w szukaniu północno-zachodniego przejścia, podnieconą była, według wszelkiego podobieństwa, czytaniem dzieł Sir Humfreja Gilberta, który dla świętych swoich talentów i romantycznego charakteru, tak się wślawił w owej epoce. Gdy się zastanowimy nad pierwszemi odkryciami Hiszpanów i Portugalczyków, widzimy awanturników ubogich i osławionych, szukających z gwałtownością wśród krwi potoków, niecných korzyści, połączonych z rozwiązłością, nieznającą żadnych granic. Lecz żęglarze angielscy, którzy pod panowaniem Elżbiety, starali się rozpoznać rozmaite części świata, należeli w ogólności do klas wyższych, i działali wzaśzczytniejszych zupełnie widokach. — Przedsiębrali najtrudniejsze wyprawy, po morzach ciągle miotanych nawałnicami, lub zawałonych lodami, i to na statkach najnędniej zbudowanych; walczyli z trudami i wszelkimi przykrościami ostrego klimatu, powiększłej części w nader dalekich widokach, często nawet bez żadnej nadziei pieniężnych korzyści. Sir Humfrey Gilbert posiadał ów szlachetny umysł, który zamiłowanie nauk i żądza sławy wciągają w zawód odkryć. Roku 1578, otrzymał patent królewski, upoważniający go do czynienia poszukiwań na zachodzie i obejmowania krajów, niebędących dotąd posiadłością żadnego z książąt chrześcijańskich, lub którego z ich poddanych. Ustąpienie to, było uczynione na wieczność, z zastrzeżeniem jednak nieważności, gdyby w ciągu lat 6 od daty wydania, niekorzystano z niego. Dla zadosyćuczynienia temu warunkowi, Sir Humfrey przygotował wyprawę r. 1583, w celu objęcia w posiadłość północnych części Ameryki i Ziemi-Nowej. W tymże czasie, królowa Elżbieta wydała młodszemu bratu tego żęglarza, Adryanowi Gilbert, przywilej szukania przejścia do Chin i wysp Moluckich, w kierunku północno-zachodnim, północno-wschodnim i wprost północnym, i aby kompania, której był

prezesem, przybrała nazwę: Konfraterni odkrycia przejścia północno-zachodniego.

Flotta Sir Humfrefya składała się z pięciu okrętów, od 10 do 200 beczek, na których znajdowało się około 260 ludzi, pomiędzy którymi byli cieśle okrętowi, mularze, kowale i stolarze, nie licząc w to mineralogistów i złotników; «dla zabawy majtków i złudzenia dzikich ludów, zabrano także mnóstwo muzykantów, skoczków maurytańskich, cacek, szkiełek i tym podobnych drobnostek.» Mała ta flotta zawinęła 30 Lipca do brzegów *Nowej-Ziemi*. Od tej epoki uważają że: «Portugalczycy, a szczególnie Francuzi, prowadzą znaczne rybołówstwo na hakach *Nowej-Ziemi*, gdzie częstokroć zgromadzonych bywa przeszło sto żagli, należących do obu tych narodów.»

Wpłynawszy do *Saint-John*, objęto w posiadłość w imieniu królowej, port i sto mil brzegów w rozmaitym kierunku. Wódz szczególniej zwracał uwagę na szukanie drogich kruszców.

Gdy osada została założoną przynajmniej na pozór, sir Humfrey Gilbert wszedł na fregatę zwaną *Wiewiórka*, która w istocie była nędznym czółnem o dziesięciu beczkach, i zabrawszy z sobą dwa inne statki, puścił się na południe dla czynienia nowych odkryć. Jeden z nich, *Przyjemność*, rozbił się wkrótce na mieliznach, pobliskich wy-

spie *Kunięj*; z znajdujących się na nim stu ludzi, zaledwo dwunastu ocalonych zostało. Pomiędzy zatopionemi znajdowali się dziejopis i mineralogista wyprawy, ta okoliczność tak głębokie uczyniła wrażenie na umyśle Sir Humfrefya, który tylko marzył o sławie i bogactwach, że postanowił natychmiast wrócić do Anglii; lecz, że mała jego fregata nie zdolną była odbyć takową podróż, błagano go przeto, aby się na widoczne nie narażał niebezpieczeństwo i przesiadł na *Złotą Łanię*. Odważny kawaler na to odpowiedział: «Że przetrzymawszy ze swoją małą osadą tyle burz i niebezpieczeństw, nie chce jej opuszczać w chwili powrotu do Ojczyzny.» Gdy oba statki pominęły wyspy *Azorskie*, widziano fregatę Sir Humfrefya z wielką trudnością walczącą przeciwko zburzonemu morzu. Zdołała się jednak oprzeć pierwszej wściekłości wałów; admirał siedząc w tyle wielkiego masztu z książką w rękę, wołał na swoją osadę: «Odważnie dzieci! zarówno się dostać można do nieba, jak łądem tak morzem!» W kilka godzin później, wszyscy pochłonięci zostali przez fale. Taki-to był opłakany koniec godnego Sir Humfrefya i Gilberta, który może być uważany za ojca osadnictwa zachodniego, i jest jedną z najwydatniejszych osób rycerskiej epoki dziejów angielskich.



ROZDZIAŁ XIV.

PODRÓŻE NA PÓLNOC.

Podróże Jana Dawis. — Wypadek jego poszukiwań. — Wierzy w istnienie przejścia północno-zachodniego. — Wyprawy na północ Hollendrów. — Podróże Williama Barentz. — Kornelison przepływa cieśninę Waigatz. — Barentz dostaje się aż do północnego krańca Nowej-Zemli. — Opisanie konia morskogo. — Druga podróż. — Objasnienie dostarczone przez Samojedów. — Trzecia podróż. — Odkrycia Spitzbergu i Cherry-Island. — Barentz i jego okrętowa osada zimują w Nowej-Zemli. — Ich cierpienia. — Nadzwyczajne odbicie. — Śmierć Barentza i podróż jego ludzi w okrętowych czółnach. — Duńczycy usiłują zwiedzić Grenlandyę. — Podróże Jamesa Hall. — Los Halla i Knigta. — Henryk Hudson. — Czynn postrzeżenia nad zboczeniem igły magnesowej. — Jego podróż ku biegunowi. — Podróż powtórna. — Położenie bieguny północnego. — Opis syreny. — Trzecia podróż. — Odkrycie rzeki Hudson. — Czwarta podróż. — Płyńie ku zachodowi. — Dostaje się do zatoki Hudson. — Opowiadanie jego odkryć. — Zaburzenie okrętowej osady. — Hudson i cherzy wystawieni na igrzysko balwanów. — Powrót buntowników.

gorliwość i talenta okazane przez Frobishera w szukaniu przejścia północno-zachodniego, zostały zrównoważone, jakieśmy widzieli, bezskuteczności poszukiwań drogich kruszców. Niepowodzenie ostatnich podróży, wróciło przemysłowi pierwotny i najszlachetniejszy jego charakter; postanowiono bowiem wysłać wyprawę, której jedynym celem były odkrycia geograficzne.

Kupcy londyńscy, przekonani «o podobieństwie istnienia przejścia północno-zachodniego» wysłali dwa małe statki, jeden o 50 drugi o 35 beczkach, które oddali pod rozkazy Jana Dawis, biegłego i odważnego żeglarza. Wypłynął on z Darmuth, 7 Czerwca 1585, i w połowie Lipca zawiąnął do zachodnich brzegów *Grenlandyi*, którym z powodu ich pępośności i dzikości Dawis nadał miano *Ziemi Zniszczenia*. Znalazł tam, mnóstwo pływającego drzewa i złowił jedną sztukę przeszło na 60 stóp długości mającą. Opuściwszy to wybrzeże, skierował ku północno-zachodowi, i znalazł ziemię pod 60° 15' szerokości; temperatura była w ówczas średnia, a morze wolne od lodów. Ziemia ta była grupą wysp, na których znajdowały się liczne i wyborne przystanie. Ta, w której Dawis zarzucił kotwicę, nazwaną została przez niego *portem Gilberta*, na cześć jego dowódcy, Adryana Gilbert, brata nieszczęśliwego Sir Humfrefya. Krajowcy byli liczni, tańczyli z majtkami, a potem podzielili się z nimi wszystkiem co posiadali. 1 Sierpnia, Dawis skierował ku północno-zachodowi, a 6, odkrył ziemię pod 66° 48' szerokości. Żeglarze zarzucili kotwicę około przylądka, który nazwali *Górą Ralegha*; «szczyty jęj błyszcząły jak złoto.» Łąd ciągnący się ku północy nazwano *Przylądkiem Diera*, a zachodzący na południe *Przylądkiem Walsinghama*. Zeglując dalej ku północy, odkryli na zachód cieśninę, mającą szerokości od 10 do 15 mil, i zupełnie wolną od lodów. Koloryt morza w tém miejscu, zupełnie był podobnym kolorytowi oceanu, to utwierdziło naszych awanturników w powziętej nadziei, iż

znaleźli przejście tak dawno upragnione. Płynęli o 30 mil ku zachodowi, dopóki nie trafili na grupę wysp, zajmujących sam środek cieśniny. Lecz gęste mgły i przeciwne wiatry, nie dozwoliły im posunąć się dalej, zwrócili się zatem i przybyli do Darmuth 30 Września.

Odkrycie otwartego przejścia na zachodzie; przyjaźne usposobienie krajowców, którzy zdawali się być skłonni do prowadzenia handlu futrami, nakoniec talent Dawisa, okazany w kierowaniu tą wyprawą, zachęcił kupców zachodniej Anglii do powierzenia mu drugiej.

Dnia 7 Maja wypłynął z Darmuth, a w połowie Czerwca 1586, przybył do zachodnich brzegów *Grenlandyi*, krajowcy w znacznej liczbie przybyli do niego i przynieśli z sobą dla handlu skóry cieląt morskich, jeleni, białych zająców i ryby. Nasi żeglarze poczytywali ich za czarnoksiężników i wierzyli w zaklęcia, które oni udawali, iż robią. Lodowate szczyty, widziane od Dawisa w tej podróży, tak były ogromne, iż onych nie opisuje z obawy, aby go o kłamstwo nie posądzoną. Nagromadzenie lodów, tak oziębiło atmosferę, że majtkowie angielscy zaczęli już cierpieć i zniechęcać się. Z trudnością nakłonił ich Dawis do dalszej żeglugi ku północy. Pod 66° 33' szerokości północnej, spozreżono grupę wysp. Morze było lodem zawalone; a upał nadzwyczajny i niezmiernie tłumy mustyków, okropnie dokuczały. Pod 67° szerokości, napotkano ziemię na zachodzie i powracając na południe pod 54° ujrano nieprzeliczone cieśniny morskie, które, z pozoru wód sądząc, wzniewały ciągle nadzieję znalezienia przejścia. Lecz z powstaniem burz na brzegach Labradoru, Dawis zwrócił się i przybył do Anglii na początku Października. Większą część owej podróży, odbył oddzielnie na małym 30 beczkowym statku zwanym *Swiatło księżycy*.

Lubo w poprzednich wyprawach Dawis nie odkrył przejścia północno-zachodniego, ani zawiązał ważnych stosunków handlowych, jednak tak zna-

cznie zwiększył swoje żeglarskie wiadomości i znalazł tyle odnóg morskich w kierunku zachodnim, że nie tylko nie stracił powziętej nadziei, lecz jeszcze nową nabrał. Przedsięwziął zatem trzecią wyprawę, i wypłynął z Darmuth z dwoma statkami, 19 Maja 1587 r. W Czerweu przybył do zachodnich brzegów Grenlandyi, których nie opuścił, dopóki nie dostał się aż do 70° 12' szerokości; tam ujrzawszy się na pełnym morzu, skierował zupełnie ku zachodowi, i upłynął w tym kierunku 20 mil niepostrzeższy żadnej ziemi. Prądy i gwałtowność wiatrów zapędziły okręta ku południowi; przybyły one do cieśniny odkrytej przez Dawisa w pierwszej podróży, a która teraz się nazywa *cieśniną Kumberlandzką*. Przepatrzone ją w przestrzeni przeszło 30 milowej; potem dążąc ku południowschodowi przez wielką zatokę, ujrzeli pod 61° 10' szerokości, ląd, który nazwali *przyładkiem Chidlój*. Zdaje się więc, iż cieśnina Hudsonska, była w istocie odkrytą przez Dawisa, słusznie on dał swą nazwę jej, którą przebył w punkcie najbardziej oddalonym północnej szerokości.

Dawis przybył do Anglii 15 Września. Rezultat jego trzech podróży nie bardzo zachęcał kupców do wspomagania dalszego owych poszukiwań, ciągle bezskutecznych. Lecz gorliwość jego była zawsze jednakową i w miarę jak poznawał morza zachodnie, coraz bardziej się spodziewał, iż się zbliża do odkrycia drogi do Indyi w stronie północno-zachodniej, którą sądził nader łatwą do przebycia. W małym tomiku, który wydał w kilka lat po powrocie, krótko, lecz mocno i z zajęciem opisuje trzy swoje podróże. Mówi, iż się zapuścił aż na 40 mil w cieśninę Kumberlandzką, że tam znalazł po odplywie morza aż sześć sążni głębokości, co uważa za dowód jej związku z wielkim oceanem. Sądzi, iż wszystkie kraje położone na północ nowego stałego lądu, są wyspami: zdanie to popierali najbardziej żeglarze, począwszy od Sebastjana Kabota aż do czasów teraźniejszych. Dawis utrzymuje także, iż że-

głował ku północy, po morzu zwaném dzisiaj zatoką Baffińską, aż do 75° szerokości. Nieulekły ów żeglarz, który później towarzyszył Kandischowi w drugiej jego podróży do cieśniny Magellana, i który sam jeden uparł się przedrzeć aż na Ocean Spokojny, wszedł później w służbę hollenderską, i odbył najmniej pięć podróży do Indyi Wschodnich, co w owej epoce mogło uchodzić za nader szczęśliwy wypadek.

Hollendrzy odzyskawszy swą niepodległość, zapragnęli mieć udział w koźzystnym handlu, który dotąd przywłaszczali sobie Hiszpanie; zrazu wcale nie myśleli współubiegać się na tejże samej drodze, którą tamci otworzyli; lecz oszczędzi za rzecz stósowniejszą dostać się do Indyi, jeśli można inną stroną. Zwrócili więc całą dążność ku odkryciu przejścia Północno-Zachodniego, i roku 1594, Prowincye Zjednoczone, wysłały wyprawę, której Korneliusz Kornelison był admirałem, a William Barentz pierwszym sternikiem. Korneliusz, opłynawszy przyładek Północny, znalazł tam temperaturę tak ciepłą w Maju i Lipcu, jak w Hollandyi bywa w Sierpniu. *Wyspa Waigatz* była okryta zielenością i czudobiona mnóstwem najpyszniejszych kwiatów. Bożyszcza widziane przez Burrowa, dostrzeżone były także od Hollendrów, którzy nazwali tę część wyspy *Afgoden-Hoek*, czyli *Przygórkem Bożyszcza*. Rossyanie nazywają ją: *Waigati-Noss*, czyli przyładkiem *Ciosanych Bożyszczy*, stąd zapewne powstało miano *Waigatz*. Lecz, że ta nazwa mogłaby znaczyć w języku hollenderskim *Cieśnina Burzliwa*, wiele osób mniema, iż była po raz pierwszy jej nadaną przez Kornelisona i jego towarzyszy, chociaż jest rzeczą niezawodną, że Stefan Burrow znalazł ją na kilka lat pierwiej. Admirał hollenderski przebył cieśninę Waigatz i natrafił na samym wstępie na mnogie zawady; lecz przedarł się potem na głębokie i ciemno lazurowe morze; o 20 mil w cieśninie, ląd stały zdawał się ciągnąć ku południowschodowi. Ow kierunek wybrzeża, równie jak głębokość morza ze wszech stron otwartego, natchnęły

naszych żeglarzy taką pewnością dostania się do Kataju, że zamiast dokonania dalszych odkryć, postanowili wrócić do Hollandyi z tą szczęśliwą wiadomością. Przepłynęli więc powtórnie cieśninę, i 26 Września powrócili do kraju swojego.

Barentz tymczasem, który nie płynął razem z admirałem, przebył morze Białe w stronie północno-wschodniej i przybył 4 Lipca do brzegów *Nowej-Zemli*; płynął na północ pobrażem owego kraju, aż do 77° 25' szerokości, tam znalazł obszerne lodowate pole, do którego krańców nie mógł się dostać. On i towarzysze jego byli zmuszeni zwrócić się ku południowi, i zawiijając od wyspy do wyspy, zajmowali się ładowaniem zębów morskich koni na okręty. Znajdujemy dokładny i żywy opis owego zwierza w hollenderskim dzienniku: «Koń morski jest ogromnym potworem, daleko większym od wołu, a ciągle przemieszkuje w morzu; skóra jego pokryta jest niezmiernie krótką sierścią; ma paszczę podobną lwiej. Bardzo często można je widzieć porozciągane na lodzie. Trudne są do ułobienia, chyba, że są wprost w czoło ugodzone. Zwierzęta te mają cztery nogi, lecz żadnych uszu; samice zdaje się, iż wydają na raz po parze młodych. Gdy jaki rybak patrafi na wysepce lodowatej na samiec z jej dwoma małemi, w ówczas ona wrzuca je przed sobą w wodę, potem bierze w objęcia, zaturla się, lub wypływa, nigdy ich nieopuszczając. Gdy zaś chce się pomścić na rybakach, lub im stawić opór, porzuca młode i z całej siły płynie ku łodziom. Konie morskie mają z każdej strony pyska wystający ząb na łokcieć długi, te są równie kosztowne jak słoniowe.»

Barentz, wracając w kierunku południowym, zawiął pod 71° 33' do miejsca już poznanego przez Anglika Brunel, którego podróże byłyby nam pozostały wcale nieznanne, gdyby nie kilka oschłych przytoczeń niektórych żeglarzy hollenderskich. Barentz wkrótce połączył się z okrętami, Kornelisona, razem powrócili do Hollandyi.

Podróż ta ożywiła nadzieje tych, co wzdychali za odkryciem drogi do Chin w kierunku północno-wschodnim. Stany Jeneralne przygotowały flotę z siedmiu okrętów, z których sześć naładowano towarami mogącemi mieć odbyć na targach wschodnich; Barentz został mianowany pierwszym sternikiem tej wyprawy; lecz wypłynęła ona zapóźno, aby mogła dokonać czego ważnego; lody powznosiły na wybrzeżu *Nowej-Zemli* nieprzebyte zapory. Przepływając cieśninę *Waigatz*, Hollendrzy spotkali czołno rossyjskie płynące z *Peczory*; rozmaite jego części powiązane były ze sobą sznurami; czołno to wyprawione było dla szukania zębów koni morskich, foków i innej wodnej zwierzyny. Dowiedziano się od *Rossyan*, że najdalej za dziesięć tygodni, mrozy tak się wzmocnią i rzeki tak ztężeją, że można się będzie dostać po lodzie aż do *Tartaryi*. *Samojedzi*, których tamże napotkano, uwiadomili prócz tego hollendrow, że po pięcio-dniowej żegludze ku północno-wschodowi, dostaną się do klinu ziemi, po za którym pobraże weźmie kierunek południowo-wschodni. Wiadomość tę z wielką radością przyjęto; gdyż potwierdzała powzięte przez nich nadzieje znalezienia przejścia do Chin. Lecz ponieważ mrozy stały się niezmiernie dokuczliwemi i pora nie była siósnową do podróży, postanowiono wrócić do *Hollandyi*; 18 Listopada, flotta zawięła do *Maes*.

Wysławszy dwie kosztowne wyprawy bezowocnie. Stany Jeneralne nie okazały już chęci czynienia dalszych odkryć w kierunku północno-wschodnim. Nie chcąc jednak zupełnie porzucić powziętej nadziei i ceniąc korzyści mogące wyniknąć dla dobra publicznego, z usposobienia żeglarskiego przechowywanego wśród *pospólstwa*, ogłosiły pewne nagrody dla osób, któreby dokonały podróży do Chin drogą, którą pragniono odkryć. Zachęceniu tym sposobem kupcy *Amsterdamscy*, przygotowali dwa okręta, które powierzono doświadczonemu *Barentzowi*. Wyruszył on wcześniej niż w pierwszą podróż, i 1 Czerwca już tak się znaj-

dował wysoko na północy, że przedział pomiędzy dniem a nocą, już się nie dawał uczuć. Dziewiątego, przybyli do wyspy *Niedźwiedziej*, tej samej, którą zwano niegdyś *wyspą Wiśniową*, tam hollendrzy zabili niedźwiedzia, którego skóra miała sześć łokci długości. W dziesięć dni później odkryli ziemię na wschodzie, i według swych postrzeżeń, znajdowali się pod 80° 11' szerokości. Było to niewątpliwie pierwsze odkrycie *Spitzbergu*. Hollendrzy zdziwili się niezmiernie, ujrzawszy ów ład północny okryty obfitemi pastwiskami, po którym bujały stada danieli, gdy tymczasem o cztery stopnie bliżej ku południowi, Nowa-Zemla przedstawiała tylko dziką i niepłodną pustynię. Znaleźli także tam mnóstwo czerwonych dzikich gęsi, podobnych tym, co zwiedzają w zimie niektóre części *Hollandyi*; jak mówi nasz autor: nie wiadano pierwój gdzie wylęgają swe jaja, «tak, iż niektórzy pisali, że owe ptaki siadały na drzewach szkockich, których gałęzie rozpościerały się po nad wodą, a z jaj spadających w wodę wykłubały się młode gąski, i wpław zaraz się puszczaly, gdy tymczasem jaja upadające na ziemię rozbijając się, nic z siebie nie wydawały.»

Ze *Spitzbergu*, oba okręty popłynęły ku południo-wschodowi, przybyły do wyspy *Niedźwiedziej*, tam postanowili rozdzielić się; *Jan Kornelis* dla przepatrzenia pobrzeży *Spitzbergu*, a *Barentz* w nadziei znalezienia przejścia wschodniego nieco poniżej. W tym celu skierował ku *Nowej-Zemli*, i w pierwszym tygodniu *Sierpnia* dostał do 77° szerokości. Lecz, gdy mocny wiatr wschodni dalej płynąć mu nie dozwalał, przymuszony był przywiązać okręt do ogromnej bryły lodu, która wkrótce potem, z straszliwym hukiem rozpadła się na tysiąc części. Z niewolony do powrotu, z trudnością dostał się do *Icehaven*, pod 73° 50' szerokości. Lody, które otaczały jego okręt, zamknęły go w około 26. Nieszczęśliwa osada okrętowa, składała się z 17 osób; była zmuszoną przepędzić zimę, na owej niepłodnej i niegościnnój ziemi. Na

szczęście, drzewo pływające blisko brzegu, dostarczyło obficie materiału do opatu i na wystawienie małej chatki. Hollendrzy z spokojnością przygotowali się znieść przykre swe położenie; dziennik ich cierpień, nader jest zajmującym. Trudno pojąć, a może nawet niepodobna wydać za pomocą mowy ludzkiej, czego doświadczyli owi nieszczęśliwi, skazani na pobyt w miejscu tak ciemnym, zniszczonem, lodowatem, którego samotnie ożywały tylko niedźwiedzie i lisy swoją obecnością. Czwartego *Listopada*, ostatnie promienie słońca zniknęły po za widnokręgiem, a zimno coraz się zwiększające, stało się ostrem aż do niewytrzymania. Wino i piwo zlodowaciałe, utraciły całą tęgość; Hollendrzy z największym trudem uchronili się od zmarznięcia, utrzymując ciągle wielkie ognie, podkładając pod nogi rozpalone kamienie, i obwijając się w podwójne futra lisie. Gdy wychodzili dla szukania drzewa pływającego, musieli znosić okropne i niesłychane cierpienia, i pokonywać największe niebezpieczeństwa. Przytrafiało się częstokroć, że bywali napadani od niedźwiedzi, które bez obawy przypuszczały szturm do ich chat drewnianych; zabili kilka tych zwierząt, a z tłustości ich mieli światło do lamp swoich. Rzecz godna uwagi, że z powrotem słońca zniknęły niedźwiedzie, a w zamian lisy białe w wielkich ukazały się stadach. Zwierzęta te, których mięso pożywano, a skóry najlepszą były ochroną od zimna, łatwo się chwytaly w sidła pozostawiane na dachach chatup.

Z nadejściem 19 *Grudnia*, nasi nieszczęśliwi podróżnicy znaleźli niejakaś pociechę, myśląc, że połowa ciemnej pory już minęła, i że z powrotem słońca znajdą środki wydobyć się z przykrego swego położenia. Nadeszła wręście tak wielce upragniona chwila. Dnia 27 *Stycznia*, cała tarcza słońca ukazała się po nad horyzontem, z wielkim zadziwieniem *Barentza*, który za czternaście dni dopiero spodziewał się ją ujrzeć; lecz zapewne pomylił się w swoich rachubach; z drugiej znówu strony, trudno

Jest wylómaczyć opowiadanie Hollendrów; gdyż podług zwyczajnych okoliczności odbicia, zjawienie się słońca przyspieszonym byłoby tego roku, o siedm lub ośm dni. Aby brzeg słońca ukazał się po nad widnokreśiem 24 Stycznia pod 76° szerokości północnej, trzeba przypuścić odbicie blisko trzy stopniowe. Wraz z powrątem światła słonecznego, ukazały się znówu niedzwiedzie; niebo zdawało się pochmurniejsze, a zimno dokuczliwsze. Tak nadszedł już Czerwiec, a żeglarze hollenderscy jeszcze się niemogli wziąć do naprawy swych czółen; co do okrętu, ten zbyt był uszkodzonym przez lody, aby stałe ich siły były dostatecznymi do wyporządzenia go. Dnia 13 tegoż miesiąca, nasi żeglarze postanowili opuścić opłakane miejsce swego pobytu; lecz pierwszy Barentz spisał listę imienną wszystkich, niepowodzenie doznane na morzu i szczegółowe dzieje przezimowania. Puścili się z Icehawen w dwóch małych czółnach; lecz Barentz, osłabiony chorobą i niepokojnością, nie długo się cieszył promykiem nadziei, który mu zabłysł; umarł 26, mocno żałowany od swojej okrętowej osady, pokładającej ufność bez granic w jego talentach i doświadczeniu. Było kilka przykładów odbycia dalekich podróży przez Ocean w odkrytych czółnach; lecz żadna nie przedstawiała tak nadzwyczajnych okoliczności, ile ta ostatnia, w której dwa małe czółna odważyły się przebyć przeszło tysiąc sto mil przez ocean, ciągle będąc zagrożone skałami pływających lodów, napadami niedzwiedzi, walcząc przez czterdzieści dni, z nadzwyczajnymi srogościami zimna, głodu, chorób i utrudzenia. Wyniszczona osada dostała się wreszcie do Kola, gdzie znalazła trzy okręta hollenderskie, na które się zabrała i przybyła szczęśliwie do Maes, w Październiku 1597.

Nieszczęśliwy wypadek wszystkich podróży dotąd przedsiębranych w celu dokonania odkryć na północy, spowodował zniechęcenie, jakiego się można było spodziewać. Zyskowne monopolium, wywierane przez Hiszpanów co do

handlu wschodni; z którego ich współzawodnicy jeszcze sobie podwyższali korzyści, stało się przedmiotem pokusy, zarówno potężnej jak trwałej. Pierwsza wyprawa Anglików do Indyj Wschodnich, jak najopłakańszy spowodowała zawód; lecz kapitan Lankaster twierdził za swym powrotem, że przejście do Indyj znajduje się na zachodzie pod 60° 30' szerokości północnej. Objaśnienie to, równie niedokładne, jak bajeczne opowiadanie niektórych hiszpańskich żeglarzy, dało powód do wyprawy, która wyruszyła roku 1602, pod rozkazami kapitana Weymouth, lecz nie przyniosła żadnej korzyści.

Do szybkich postępów żeglugi i odkryć jeograficznych w XVI wieku, przyczyniło się współzawodnictwo Hiszpanów z Portugalczykami, i zapal z jakim wzajemnie zaprzeczali sobie praw do posiadania półkuli ziemskiej, ustąpionej im przez papieża. Niesnaski wybuchły w ciągu tego wieku, pomiędzy Hiszpanią i Anglią, sprowadziły w szranki trzeciego przeciwnika. Hollendrzy, zachęceni przykładem Anglików, usiłowali wydrzeć Hiszpanji część jej wschodniego handlu. Poruszenie polityczne, które początkowo powstało z prywatnych okoliczności, rozszerzyło się wkrótce śród państw neutralnych, i narody będące z początku obojętnymi widzami walki, wmięszwały się do niej, gdy zrozumiały ważność praw, które sobie tak cheiwie wydzierano. W pierwszych wyprawach ku północo-zachodowi, Duńczykowie, których najbardziej powinno było obchodzić odkrycie Grenlandyi, małą przywiązywali do niego wagę; dopiero żarliwość żeglarzy angielskich, natchnęła ich nadzieją wielkich korzyści handlowych. Roku 1605, król Duński wysłał wyprawę na przepatrzenie brzegów Grenlandyi. Trzy małe statki oddano pod rozkazy admirała Lindenau; lecz po większej części niżsi oficerowie, a między innymi James Hall, pierwszy jego sternik, byli anglikami. Okręt vice-admirała, dowodzony przez Duńczyka, cofnął się na widok trudności, jakie przedstawiała żegluga, pomiędzy lodami wybrzeży Grenlandzkich i pozostał

w jej okolicach południowych; lecz Hall niezachwiany, opłynął ów kraj aż do 69° szerokości, odkrywając wiele wybornych stanowisk, zatok, rzek i napotkawszy mnóstwo pływającego drzewa. Chciał nie ustawać w swej żegludze ku północy, lecz załoga okrętowa oparła się jego woli; wysadziwszy więc tylko na ląd dwóch zbrodniarzy duńskich, w tym celu mu oddanych, skierował ku południowi i wrócił do Danii.

Następnego roku, wysłano cztery małe okręta z Elzenor, dla posunięcia dalszych odkryć w Grenlandyi; Hall i tym razem dowodził flotą. Celem tej wyprawy jak się zdaje były raczej kopalnie złota i srebra, niżeli odzyskanie utraconych osad. Gdyż, skoro przybyli do *Cunningham's Fiord*, «cała flota wyładowała dla widzenia kopalni srebra, z której, jak powiada Hall, wolno im było brać ile się podoba.» Postrzegli, nad brzegami rzeki leżącej pod 66° 25 szerokości, że czterdzieści chat, należących do dzikich, były one wystawione z ości wielorybich a pokryte ziemią. Pochwycili pięciu dzikich, i tych uprowadzili ze sobą do Danii. Po tej daremnej wyprawie nastąpiła w przyszłym roku inua, mniej jeszcze chlubna. Okrętowa osada zbuntowała się zaraz za przybyciem do Grenlandyi, i zmusiła Halla do powrotu. Doświadczony ten żeglarz, przeszedłszy w służbę kupców londyńskich, odbył 1612 r. czwartą podróż do Grenlandyi; lecz zaledwie wysiadł na ląd w miejscu, gdzie Duńczycy w drugiej jego podróży, porwali pięciu Eskimosów, o których wspomnieliśmy, jeden z wyspiarzy poznał go i przebił strzałą; Hall umarł wkrótce w skutek tej rany. Odtąd, wszelkie stosunki ustały z krajowcami, i okręta powróciły do Londynu, nie posuwając dalej swych poszukiwań.

John Knight, który towarzyszył Hallowi w pierwszej wyprawie, i zapewne udzielił korzystnych szczegółów o srebrnych kopalniach Grenlandyi, wyruszył roku 1606, dla odkrycia przejścia północno-zachodniego, w małym czół-

nie należącym do kompanii kupców angielskich, prowadzących handel z Rosją. Zbliżając się do brzegów Labradoru, ujrzał się zagrożonym lodami, które napływały od północy w tak ogromnych bryłach, że był zmuszony schronić się do małej przystani, mając zamiar wyciągnąć swoje czółno i naprawić uszkodzenia. Skoro tylko przybył do lądu, ruszył z trzema ze swoich towarzyszy, ku najgórzystszej części wyspy, dla przepatrzenia tego kraju; lecz nie powrócił już więcej, a że osada jego została później napadnięta przez krajowców, wniesiono zdą, że Knight i jego towarzysze padli ofiarą ich dzikości. Pozostali przy życiu, naprawiwszy jak mogli statek, puścili się ku Nowej-Ziemii, zkąd wrócili do Anglii, z wielkiem niebezpieczeństwem.

Tyle klęsk doznanych przez tych, co usiłowali dostać się do Indyi przejściem północno-wschodniem lub północno-zachodniem, zwróciły w przeciwny kierunek na niejaki czas spekulacye awanturników i jeografów. Pomimo to jednak, nadzieja na chwilę słumiona, miała odrodzić się z widokami pomyślniejszemi niż kiedykolwiek. Wybrzeża odkryte podczas tylu podróży na północ, nie były tak dokładnie zdjętymi, aby okazać mogły niepodobieństwo żeglugi, której pragniono dokonać. Można było przypisać trudnościom, które doświadczenie kiedyś musi pokonać, niepowodzenia licznych wypraw, na jakie się dotąd pokuszono. Kupcy londyńscy postanowili utorować nową drogę, i szukać przejścia wprost przez biegun północny. Wybrali dla dokonania tego śmiałego przedsięwzięcia Henryka Hudson, biegłego i odważnego żeglaza. Daleko więcej posiadał on nauki niżeli zwykle ludzie jego powołania; je, mu to przypisują pierwsze postrzeżenia uczynione w Anglii nad pochylaniem się igły magnesowej. Hudson wypłynął z Gravesend 1 Maja 1607, w małym statku, którego osada składała się tylko z dziesięciu ludzi i jednego okrętowego chłopca. Postrzegł ziemię pierwszy raz przy wschodnich brzegach Grenlandyi, pod 70° szerokości. O trzy

stopnie dalej, ujrzał łańcuch gór wysokich, niepokrytych śniegami. Pod niewiadomym mu stopniem, ku biegunowi północnemu, srogość zimna zdawała się znacznie zmniejszać; powietrze było łagodniejsze, deszcz padał wielkimi kroplami, jakby w Anglii, w czasie letniej nawałnicy.

Z Grenlandyi, skierował ku *Nowej-Ziemi* czyli *Szpitbergowi*, do którego dostał się pod 78° szerokości. Nadzwyczajnie był tam niepokojony przez lody, które jak uważa, zawalają zwykle morza błękitne, gdy tymczasem morza zielonawe prawie zawsze są od nich wolne. Pod 80°, kilku ludzi z jego okrętowej osady wysiadło na ląd, i postrzegli zęby foków, kości wielorybów, rogi danieli, i szczyty wielu innych rodzaj zwierząt. Ziemia zdawała im się ciągnąć daleko po za 82°; lecz postrzeżenie to, mające za główną podstawę barwę nieba, niezaprzeczenie jest błędnem. Zima nadchodziła, nie mając więc potrzebnych zapasów do przedłużenia tej podróży, Hudson ruszył na powrót i na wątłym swoim statku przybył do Anglii 15 Września.

Następnego roku puścił się w powtórna podróż, tym razem osada jego była liczniejsza, albowiem składała się z czternastu ludzi. Na przypadek, gdyby mu lody przeszkodziły dostać się na północ Szpitbergu, miał zlecenie ponowić usiłowania znalezienia przejścia do Chin w kierunku północno-wschodnim. W czasie tej podróży dokonał wielkiej liczby postrzeżeń nader zajmujących, co do pochylania się igły magnesowej. Pod 74° 30', pochyłość jej wynosiła 86 stopni; a pod 75° 22', Hudson uczynił postrzeżenie, które gdyby uznano za dokładne, miejsce jednego z magnetycznych biegunów przypadałoby gdzieś pomiędzy Nową Ziemią i Cherry-Island. W tej części swojej podróży, Hudson wspomina, że jeden z jego majtków, wyjąwszy z okrętu, zobaczył Syrenę. Zawałał swego koleżę, który ją podobnie widział; znajdowała się w tej chwili tuż przy boku okrętowym i ogniste swe oczy wlepiała w obu majtków. Wkrótce potem prze-

walił ją balwan wodny. Miała piersi i biodra kobiety. Kibić tak wysoka jak nasza, skórę zaś nadzwyczajnej białości, długie czarne włosy spadały jej na ramiona. W chwili, gdy znikła, postrzegli jej ogon, dość podobny do ogona foki cały pokryty łuskami. Świadkowie tego zjawiska, nazywali się Tomasz Hilles i Robert Rayner. Hudson trafił na takie skały lodów, pomiędzy Szpitbergiem i Nową-Ziemią, że zupełnie stracił nadzieję dopięcia celu swej podróży w tym kierunku. Postanowił przeto spróbować szczęścia w cieśninie Waigatz, spodziewając się prócz tego zebrać tam ładunek zębów morskich koni, tak obfity, iżby mógł pokryć kosztą wyprawy. Opisuje Nową-Ziemię, jako ląd przyjemny dla oka, górzysty, i okryty w wielu miejscach zielonemi pastwiskami. Uważać należy, iż przypisuje ogrom lodów, któremi zawalone są morza północne, rozciągłości okalających je brzegów; prócz tego, postrzega i utrzymuje za rzecz niezawodną, że morze na środku nigdy nie przybiera. Pomimo wszelkich usiłowań nie mogąc się dostać na wschód, rozwinął żagle i wylądował szczęśliwie w Grawesend 26 Sierpnia. Przedsiębiorczy ten żeglarz użyty został w następnym roku przez Hollendrów do odbycia podróży; której cel trudno odgadnąć. Udał się najprzód na wschód, i opłynął *Przylądek Północny*, lecz potem wrócił do *Nowej-Ziemi*, i okrążając Amerykę-północną; odkrył rzekę, nad którą Hollendrzy wkrótce potem założyli osadę; ta rzeka nosi teraz jego nazwę.

Sława Hudsona, jako śmiałego i biegłego żeglarza była tak wielką, że ożywiła nadzieje wierzących jeszcze w istnienie przejścia północno-zachodniego. Okręt o pięćdziesięciu pięciu beczkach, zaopatrzony w żywność na sześć miesięcy, oddany został pod jego rozkazy, dla szukania tej nowej drogi. W pierwszych tygodniach czerwca, Hudson przybył do zatoki Frobishera. Długo musiał pasować się z lodami i wiatrami przeciwnymi, lecz dążąc z wytrwałością ku zachodowi, przybył na-

reńskie do ostatniego północno-zachodniego krańca Labradoru, który nazwał przyładkiem *Wolstenholma*, a postrzegłszy na północ-zachodzie grupę wysp, nazwał przyładkiem *Tamy* najbliższy ich przygórek. Ziemia w tym miejscu, zdawała się chylić ku południowi, i obszerne morze otworzyło się przed nim. Lecz w tym tak zajmującym miejscu jego podróży, opowiadanie pisane własną ręką Hudsona, raptem jest przerwane; to co następuje, dostało się do nas przez bardzo podejrzane świadectwo Abakuka Priklet, jednego z członków buntowniczej okrętowej osady. Zdaje się, iż odtąd wybuchnęły nieporozumienia, które spowodowały smutny koniec tego sławnego żeglarza. Hudson otoczony lodami, i nie widząc podobieństwa do dalszego posunięcia się naprzód, oświadczył okrętowej osadzie, że się dostał w cieśninę o sto mil dalej, niż wszyscy jego poprzednicy: Potém zwróciwszy się na południe, wszedł do zatoki, którą z powodu dnia w którym odkryta została, nazwano zatoką *świętego Michała*. Przez trzy miesiące, był niejako otoczony labiryntem wysp. Na koniec 1 Listopada, okręt wyciągnięty został na ląd, a w dziesięć dni później, lody zamknęły się naokoło Hudsona i jego towarzyszy.

Jak się zdaje, admirał szczególniej okował się młodzieńcem nazywającym się Green, pochodził on z dobrej rodziny; lecz był niezmiernie zepsutych obyczajaj, sprawował on urząd sekretarza przy Admirale. Niedostatek zrodził wkrótce w osadzie okrętowej nieporozumienia, które ów niewdzięczny młodzieńiec z upodobaniem jeszcze bardziej podzegał, by więcej szkodził swemu dobroczyncy. Na początku zimy, kuropatwy białe w takiój znajdowały się obfitości, że prawie niedoświadczono braku pożywienia; niedługo zastąpiły ich miejsce gęsi, kaczkki, łabędzie, zwierzyna ta daleko trudniejsza już była do podejścia. Jednak, gdy coraz większy

uczuciwać się dawał niedostatek, osada okrętowa była zmuszona żywić się mchem i żabami. Na wiosnę, z puszczeniem lodów łowiono z rzadką liczbą ryb, lecz i to źródło nagle się wyczerpało. Nareszcie Hudson zaczął przygotowywać się do opuszczenia zatoki, i z oczyma też pełnemi, rozdzielił pomiędzy załogę okrętową resztę pozostałej żywności. Za ledwie jej wystarczyło na dni czternaście. Dnia 21 Czerwca, wybuchło powstanie, Green i jego towarzysze postanowili wydać na igrzysko bałwanów kapitana i chorych, aby tym sposobem zmniejszy liczbę ust. potrzebujących pożywienia. Natychmiast pochwycono Hudsona, związano go i spuszczone wraz z choremi i kalekami do wielkiej szalupy. Zostawiono im fuzyę, kilka nabojów, małą ilość żywności i garnek żelazny. Oderżnięto potém linę, i czołm zniknął pomiędzy pływającymi lodami, wystawiony na położenie, o którém bez zgrozy nie można pomyśleć, Gdy go zbuntowani stracili z oczu, zaczęli uczuwać jakąś obawę, i nie wiedzieli co począć. Słusznie lękali się wrócić do Anglii, Green, który został mianowany kapitanem, przysiągł, że dopóty nie opuści morza, dopóki nie otrzyma pieczęci królewskiej na zakład bezpieczeństwa. Został jednak wkrótce zabity na wyspie pobliskiej przyładkowi *Tam* w kłótni, do której się wmięszał z dziakami. Pozostali przy życiu, przywiedzeni do ostateczności, postanowili skierować ku Irlandyi, Nędzny zapas żywności wyczerpał się niedługo, ratując się gotowali skóry i potłuczone kości już zjedzonych zwierząt. — »Co, jak dodaje ów opis, z przymieszaniami octu stanowiło potrawę dość smaczną i posilną.« W czasie tej przepadki, Robert Iwet, po śmierci Greena, dowodzący zbuntowanymi, umarł z głodu. Dostali się nareszcie do zatoki Galloway, z kąd czołmem rybackim przybyli do Plimut.



ROZDZIAŁ XV.

PODRÓŻE NA PÓŁNOC.

Podróż Sir Tomasza Button. — Przybywa na brzeg zachodni zatoki Hudsonskiej. — Zimuje na rzece Nelsona. — Jego talenta jako dowódcy wyprawy. — Gibbon próbuje dalej posunąć rozpoczęte odkrycia. — Podróż Bylota i Bassina. — Talenta żeglarskie tego ostatniego. — Powtórna podróż. Dane im instrukcje. — Odkrywają zatokę Bassińska. — Szczególniejsze zmiany igły magnesowej. — Rozciągnięcie ich żegluga. — Początek rybołówstwa na morzu północnem. — Podróże Stewena Bennet. Towarzystwo kupców z Rossya, bierze w posiadłość Cherry-Island. — Początek rybołówstwa na wieloryby. — Podróż Jamesa Poole. — Odkrycie wyspy Mayen. — Postrzeżenia Bassina. — Podróż Foxa i Jamesa. — Objasnienia dostarczone przez strzelców Kanadyjskich. — Pierwsza osada angielska w zatoce Hudsonskiej. — Utworzenie kompanii, zwaney Hudson bay company. — Podróż Wooda do Nowej-Zemli. — Nieszczęśliwa wyprawa Knighta do zatoki Hudsonskiej. — Podróż kapitana Middletona. — Spór pomiędzy Dobbem i Middletonem. — Nagroda przez rząd naznaczona, za odkrycie przejścia północno-zachodniego.

Wielkie morze, odkryte przez Henryka Hudson, na zachód przylądka *Wolstenholma*, było i powinno było być nową latarnią morską, zapaloną dla oświecenia przyszłych odkryć. Kupcy londyńscy przygotowali roku 1612 wyprawę, i taką powierzyli kapitanowi Button, biegłemu żeglarzowi, zostającemu wówczas w służbie księcia Henryka. Pricket i Bylot, oba towarzysze Henryka Hudson, w jego ostatniej nieszczęsnej wyprawie, chociaż mogli być słusznie posądzeni, że należeli do występnego buntu, użyci jednak także zostali z powodu znajomości jaką posiadali morz zachodnich. Nazwy przygotowanych statków były też same, co nazwy okrętów, na których sławny Kook później dokonał swojej ostatniej podróży: *Postanowienie i Odkrycie*. Button wpłynawszy na cieśninę Hudsonską, posuwał się ciągle ku zachodowi, dopóki nie dosięgnął do brzegu wielkiej wyspy, zwaney dzisiaj wyspą *Southampton*. Ztamtąd, płynąc ciągle ku zachodowi, przybył do stałego lądu Ameryki, pod 60° 40' szerokości, i nazwał to wybrzeże *Zawiedzioną Nadzieją*, potem dążąc ku południowi, wpłynął 15 Sierpnia do ujścia rzeki leżącej pod 57° 10' szerokości, a po nad brzegami której wzniosł się później główny zakład towarzystwa

zwaney *Hudsons bay Company*; i uważał ją rzeką *Nelsona*. Tam uczynił przygotowania do przepędzenia zimy. Kilku ludzi z okrętowej osady padło ofiarą srogości klimatu; lecz na wiosnę przez kilka pięknych dni Button z swemi ludźmi polował na zwierzęne. Kuropatwy białe tak były obfite na owych wybrzeżach, że osady oba okrętów natapały ich i zjadły więcej niż 1800 tuzinów. Button, nie nie zaniedbywał, aby ciągle utrzymywać zapał swoich podwładnych ludzi i niedozwolić im uleść pod nieszczęsnym wpływem zima i przymuszonej bezczynności. Zadawał im do rozwiązania pytania dotyczące żegluga i odkryć, tak, aby bawiąc zarazem nauczał, ożywiał ich gorliwość, i chronił sereca od szkodliwego zniechęcenia. Owa sztuka utrzymania w ruchu umysłowym osady okrętowej, sztuka zupełnie nieznaną pierwszym hiszpańskim żeglarzom, a której świeże podroże kapitana Parry okazały tak uderzające przykłady, była wrodzoną Sir Tomaszowi Button. W Kwietniu, gdy lody zniknęły, spuścił swoje okręta na morze, i płynąc ku północy, wzdłuż zachodniego brzegu zatoki Hudsonskiej, aż blisko 65° szerokości, przybył do grupy wysp, które nazwał *wyspami Mancel*, (dzisiaj *wyspy Mansfield*); potem, okrążwszy przylądek

Chidley, skierował ku Anglii, gdzie się dostał po szesnasto-dniowej podróży, w jesieni roku 1613. *Button* był pierwszym, który się dostał do wschodniego brzegu Ameryki, na zachód zatoki Hudsonskiej. Zdaje się, iż wyprawa jego była dokonana z zręcznością; nigdy jednak jej nie ogłosił drukiem; przedmiot i rezultat tej podróży pozostały ostonione tajemnicą. Dziwić się niewątpliwie będziemy, że człowiekowi, którego biegłość żeglowania po morzach dotąd nieznanym, w tak świetnym sposobie dowiedziona została, nie polecono później żadnego nowego wystawnictwa. Śmierć księcia Henryka jego opiekuna położyła kres usiłowaniu *Buttona*, *Kapitan Gibbons*, jego krewny, który mu towarzyszył w pierwszej podróży, wyruszył r. 1614, dla szukania przejścia północno-zachodniego, którego istnienie było dla *Sir Tomasza Buttona* celem najpewniejszych prawie nadziei. Jednak *Gibbons* napotkał na tyle przeszkod, a mgły, orkany, pływające lody tak go utrudziły, że nie mógł posunąć się dalej i wrócił, nieczem niepomnożywszy odkryć swoich poprzedników.

Na przekór mnogim zawodom, które wstrzymywały wszelkie usiłowania czynione w celu odkrycia przejścia północno-zachodniego, postępy nauki ziemio-pisarskiej, spowodowane przedsięwzięciami morskimi, zbyt były wielkimi, aby się miano zupełnie zniechęcić. Awanturnicy handlowi, pojmujący korzyść wynikającą z rozprzestrzenienia działań handlowych, uporczywie i wytrwale rozszerzyć je usiłowali. Roku 1615, statek *Odkrycie* znów przygotowano do czwartej wyprawy, ku północno-zachodowi. *Robert Bylot*, który już kilkakrotnie zwiedził tamtejsze morza, mianowany został kapitanem, a *William Baffin*, autor opisu tej podróży, otrzymał urząd porucznika. Osada okrętowa składała się z czternastu mężczyzn i dwojga dzieci; tak były słabe w ówczas zasoby, z którymi puszczono się na to trudne przedsięwzięcie. Przy odjeździe, nasi podróżni postrzegli lodowate góry, niektóre z nich wznosiły

się na 240 stóp po nad morze, rachując w to części pod wodą będące, musiały więc mieć w ogóle przynajmniej 1680 stóp wysokości. *William Baffin* należał r. 1612 do nieszczęsnej wyprawy *Jamesa Halla*. Opis jej przez niego dokonany, tém się najbardziej odznacza, że pierwszy zawiera w sobie sposób wyrachowania na morzu stopni długości, podług stosunkowego położenia gwiazd pomiędzy sobą. Widać z zasad, na których jest ugruntowaną ta metoda, że *Baffin* posiadał w wysokim stopniu równie teorię jak i praktykę żeglugi. W podróży odbytej pod rozkazami *Bylota*, miał sposobność rozprzestrzenia swe naukowej wiadomości i tak, ujrawszy przy wyspie *Postanowienia* słońce i księżyc błyszczące na jednymże widnokregu, pomnożył tym wypadkiem swoje postrzeżenia względem stopni długości. Z tego powodu nadmienia i nader słusznie: «że, gdyby podobne postrzeżenia czyniono w miejscach odległych od siebie, jak naprzykład przylądek *Dobrej-Nadziei*, *Bantam*, *Japonia*, *Nowy-Albion* i cieśnina *Magellańska*, miano by jeografię daleko dokładniejszą.» Nasi żeglarze uważając, że przybywanie morza pochodziło od północy, powzięli nadzieję, że im się zupełnie powiedzie ich wyprawa; lecz w miarę jak się zapuszczali w małe odnogi, otwarte przed nimi, napotykanne niezlicznie rozproszyły to złudzenie. Naraziwszy się na wielkie niebezpieczeństwa wśród pływających lodów, pozostawili po za sobą, na początku Sierpnia, wyspę *Postanowienia*. Przybyli do Anglii w miesiąc później, nieutraciwszy ani jednego człowieka. Zastugi i talenta *Baffina* jako żeglarza, zbyt były teraz jawnymi, aby mogły pozostać nieużyte. Liczne jego postrzeżenia dostarczyły obszernych materiałów do spekulacji filozoficznych, i wynagrodziły niejako brak odkryć geograficznych. Toż samo towarzystwo kupieckie, które uorganizowało poprzednią wyprawę, przygotowało znów mały okręt, zwany *Odkrycie*, do piątej podróży dla szukania przejścia północno-zachodniego. *Robert Bylot* znów

mianowany został jego dowódcą, a William Baffin pełnił przy nim urząd sternika. Dane im instrukcyje, o których poniżej się dowiemy, skreślone były zapewne bez przyłożenia się tego ostatniego, gdyż jak się zdaje, nie miał on wielkiej nadziei co do powodzenia tej wyprawy.

«Wyłynawszy, dostaniesz się z największym pośpiechem do przylądka *Zniszczenia*; ztamtąd, ty Williamie Baffin, przeprowadzisz okręt wzduż brzegów Grenlandyi po za cieśninę Dawisa, aż do 80° stopnia szerokości, jeśli łód dozwoli. Potém, z obawy, abyś sobie nie zamknął powrotu, zbyt się zapuszczając na północ, skieruj na zachód i południe, o ile to uznasz za potrzebne, dopóki nie przybędziesz pod szerokość sześćdziesięciu stopni, staraj się potém dostać do ziemi *Jesso*, która leży prawie pod tą samą wysokością. Wolno wam posuwać się na południe, jeśli dozwoli pora roku i kierunek wiatrów. Jednakże życzymy sobie, jeśli podróż rok trwać mająca, będzie dość szczęśliwą, abyście posunęli się ku południowi, i zawinęli do północnej części Japonii, a ztamtąd, lub z *Jesso*, przypuszczając, że będziecie to mogli uczynić bez niebezpieczeństwa, przywieźli choć jednego krajowca, niech Bóg złać raczy swoje błogosławieństwa na całą wyprawę, i przyprowadzi was zdrowo napowrót do kraju.»

Okręt *Odkrycie* wypłynął z Grawesend, 26 Marca 1616, zabrawszy osób siedemnaście. Kierując na północ, ku cieśninie Dawisa, podróżnicy nasi zarzucili kotwicę pod 70° 20' szerokości. Krajowcy uciekli na ich widok, zostawivszy swoje trzody psów. Morze tam przybierało tylko na ośm do dziewięciu stóp, a Baffin tę okoliczność słusznie uważał za przepowiednię niepowodzenia. Mieszkańcy tego wybrzeża są nader ubogimi, całem ich pożywieniem było surowe mięso cieląt morskich. Nasi podróżnicy mniemają, że oddają cześć słońcu, gdyż je ciągle wskazywali palcem, wołając: *Ilyout!* Lecz może to miało znaczyć, iż uważali Europejczyków, jako ludzi przybyłych z o-

wiej gwiazdy. Snieg zaczynał właśnie topnieć, Baffin przeto sądził, że może dalej podróżować ku północy, lecz temperatura nagle się zmieniła i w dzień Sgo Jana, żagle i liny tak obmarzły, że zupełnie niepodobna było kierować statkiem. Około 75° 40' szerokości, gdy łód zniknęła, widok otwartego morza ożywił nadzieję znalezienia przejścia. Lecz znowu z nastaniem niepogody, Baffin z towarzyszami zapędzony został w cieśninę, w której znaleźli tyle wielorybów, iż ją nazwali *cieśniną Wielorybów*, druga szeroka odnoga leżąca na północ 78° przybrała miano cieśniny *Sir Tomasza Smith*, a sąsiednia wyspa nazwaną została wyspą *Hakluyt*. «Cieśnina ta, mówi Baffin, tem się odznacza, iż igła magnesowa bardziej i częściej tam zmienia kierunek, niżeli w innych punktach świata. Pokilkokrotnie ją uważałem, jak się zmieniła więcej jak o pięć punktów czyli pięćdziesiąt sześć stopni na zachód.»

Znajdowali się wówczas na południowozachodzie, na otwartém morzu, i byli wystawieni na ostry wiatr, dopóki nie przybyli do lądu przy wejściu do cieśniny, którą nazwali cieśniną *Aldermana Jones*. Płynąc dalej ku zachodowi, znaleźli pod 74° 40' inną wielką zatokę, i tej nadali miano cieśniny *Sir Jamesa Lankustra*. Nadzieja znalezienia przejścia zmniejszyła się codziennie. Brzeg stał się nieprzystępnym z powodu lodów, które zdawały się coraz być grubsze, w miarę jak się posuwano ku południowi. Okręt *Odkrycie* okrążył jednak tę zaporę, i dostał się do 65° 40' szerokości, przy cieśninie Kumberland. Tam niepodobna już było wierzyć w istnienie przejścia zachodniego, prawie wszyscy podróżni byli słabi, musiano tedy dostać się do brzegów Grenlandyi, gdzie dzięki szałacie z łyszczaku, szczawiu i cykoryi, osada okrętowa wkrótce powróciła do zdrowia. Baffin i jego towarzysze opuścili te miejsca 6go Sierpnia; i zarzucili kotwicę w Plimut 13go tegoż samego miesiąca.

Przedsiębiorstwa handlowe wzrastały w miarę postępów nauki ziemio-pisar-

skiej. Podróże po morzach biegunowych, chociaż nie odkryły przejścia do Indyj, rozszerzyły jednak kilka gałęzi korzystnego handlu. Od r. 1603, Stewen Bennet żeglując na małym okręcie, wyprawionym kosztem: „godnego Franciszka Cherie,” udał się do Kola, na północnym brzegu Laponii, dla wyprzedania swego ładunku, a później wyruszenia stamtąd na czynienie dalszych odkryć. Bennet skierował swój okręt na północ Koli, dopóki nie napotkał wyspy, na której zobaczył lisy, lecz ani jednego mieszkańca; nazwał więc położenie pod $74^{\circ} 30'$, i nazwał wyspą *Wiśniową* (Cherry-Island), które to miano dotąd zachowała; była to jednak ta sama, którą Barentz odkrył na kilka lat pierwiej i nazwał wyspą *Niedźwiedzią*. Bennet powrócił do Cherry-Island roku następnego; znalazł tam wielkie mnóstwo drobiu i wołów morskich. Zęby tych zwierząt stały się przedmiotem nader korzystnego handlu, lecz osada okrętowa napróżno usiłowała zabrać ich ładunek. Majtkowie Benneta użyli na to okrutnego sposobu; wylupywali najprzód szrótęm oczy wołom morskim, a potem uderzali na nie i dobijali je siekierami. Nie poszczęściły się te łowy; napotykali tysiącami tych zwierząt, a zaledwie ubili piętnaście. Następnego roku inna wyprawa wysłana została do wyspy, przez tychże samych właścicieli, tym razem tak się udały łowy morskich wołów, że nietylko zebrano ładunek zębów, lecz jeszcze i kilka beczek tłuszczu z tych zwierząt. Odkryto także kopalnię ołowiu, i przywieziono małą jego próbkę. Handel ten szybko się zwiększył. Gdy Bennet zwiedził wyspę r. 1606, zbierał w 15 dniach 3 baryłki zębów i 22 beczek tłuszczu. Właściciele statku przybyli wraz z nim do Cherry-Island, r. 1608; w przeciągu siedmiu godzin ubito przeszło tysiąc morsów. Parę żywych przywieziono do Anglii; zwierzęta owe nie tylko są dziwnego kształtu, lecz nadzwyczaj łagodne i nader pojętne, jak to dowiodło kilka przykładów. Na wyspie Wiśniowejtak jest gorąco przy końcu Czerwca, jak w Anglii w téjże samej porze.

Smola ciekła wzdłuż boków okrętowych, a na maszcie, w stronie wystawionej na słońce, żywica prawie się paliła. Owe podróże i korzyści z nich wynikające, musiały nareszcie zwrócić na siebie uwagę monopolu; r. 1609 Towarzystwo Moskiewskie uroczyście zajęło w posiadłość Cherry-Island. Znajdowało się tam wówczas mnóstwo lisów; zabito kilku niedźwiedzi; trzy kopalnie ołowiu odkryto; zasługuje na uwagę, że się tam napotkały ze sobą trzy statki, których połączony ekwipaż wynosił 82 ludzi, którzy wszyscy zajmowali się ładowaniem futer, oleju i zębów morsów na okręty. Towarzystwo Moskiewskie, objąwszy nową swoją posiadłość, wysłało r. 1610 mały statek ku północnemu biegunowi, w podwójnym celu: rozszerzenia handlu i przyłożenia się do odkryć. Jonas Poole, należący do wszystkich poprzednich wypraw, otrzymał dowództwo nad tym okrętem; posunął się aż po za 78° ; przytacza on w swoim opowiadaniu nader ważne postrzeżenie, już dawniej czynione przez żeglarzy co go poprzedzili, to jest, że na otwartem morzu, zbliżając się ku biegunowi, temperatura daleko jest wyższa, niżeli w poniższych krainach. „Przejsście, mówi: może być dokonane przez samże biegun, jako téż przez jakąkolwiek inną nieznaną drogę; cała tego przyczyna, że słońce nadzwyczaj tutaj dogrzewa, a lód nie jest grubszy od tego, który widziałem pod 73° . W téj podróży, Poole nie posunął się po za $79^{\circ} 50'$ ściśle stosując się do danych mu instrukcyj, skreślonych w następującem brzmieniu: „Ponieważ się podobało Bogu Wszzechmogącemu, twoim przemysłem a zarazem i przemysłem innych, odkryć dla naszego narodu ziemię, leżącą pod 80° ku biegunowi północnemu; pragniemy, przeto nietylko rozpatrzeć bliżej ową ziemię ku północy, dla dowiedzenia się czy jest wyspą, czy lądem stałym, czy się pochyła ku wschodowi lub zachodowi bieguna, lecz także poznać czy jest zamieszkaną, i czy nie znajduje się morze, wolniejsze ku północy, niż te, które dotąd zwiedzono.”

Jonas Poole wypłynął znowu r. 1611, najpierwszym statkiem który wysłano z Anglii dla połowu wielorybów; sześciu majtków biskajskich, obeznanych z tym zatrudnieniem, przydano do okrętowej osady. Gdy ów statek zajmował się połowem, Poole kierując ku północy, dotarł aż do 80° blisko Spitzbergu; potem, dążąc ku zachodowi, zawinął do wschodniego brzegu Grenlandyi, i przepłynąwszy tam blisko 20 mil ku północy, dostał się do miejsc nieoznaczonych na mappach. Tegoż samego roku, Jan Mayen, kapitan hollenderskiego okrętu, wysłanego na połów wielorybów, odkrył na północ Islandyi wyspę, która dotąd nosi jego imię; przez wiele lat była ona dla Hollendrów stanowiskiem rybackiem, lecz z czasem nagromadzone lody, przystęp do niej uczyniły niepodobnym. Sztuka zabijania wielorybów tak dalece postąpiła, dzięki wyłącznym wiadomościom Biskajczyków, że sam okręt Poolea złowił ich więcej, niżeli trzynaście w ciągu swojej podróży; a w r. 1613 dwadzieścia okrętów francuzkich, hollenderskich, hiszpańskich i biskajskich, nie licząc w to sześciu angielskich; było razem zebranych na morzu Szpitzbergkiem; jednym z tych ostatnich dowodził sławny żeglarz William Baffin. Anglicy objawszy w posiadłość wyspę w imieniu Jego Królewskiej Mości Wielkiej Brytanii, wzbroniли okrętom innych narodów połowu w tych stronach. Spodziewano się doznać oporu ze strony obcych rybaków, lecz ci poddali się spokojnie przywłaszczonej władzy Anglików. Podczas tej podróży, Baffin, zawsze ściśle wszystko rozwiązujący, dostrzegł nadzwyczajne łamanie się światła atmosfery w stronach północnych. Znalazł, iż wynosiło dwadzieścia sześć minut na widnokregu; dodaje filozoficznie: «Wnoszę, że jest mniej lub więcej znaczne, w miarę jak powietrze jest ściśnione lub rzadsze, co wręście zostawiam do rozstrzygnięcia uczęszszym odemie.» Ufny, że się znajduje rozleglejsze morze, pomiędzy Grenlandją i Spitzbergiem, nie uważał przejścia przez biegun za zupełnie niepodobne, i usil-

nie namawiał kompanią Moskiewską do poświęcenia corocznie 150 lub 200 funtów szterlingów na zwiedzanie mórz północnych, gdyż podług niego, mała pinassa z osadą dziesięciu majtków, była na ten cel dostateczną.

Nadzwyczajne powodzenie rybołówstwa północnego, obudziło współzawodnictwo Danii. Roku 1619 dwa okręta obsadzone prawie samemi żeglarzami angielskimi pod dowództwem Jana Munk, wysłane zostały na odkryciową podróż w ślady Hudsona i Baffina. Lody nie dozwoliły Munkowi płynąć w całej długości zachodniego wybrzeża Grenlandyi. Skierował zatem ku cieśninie Hudsonskiej, i napotkawszy brzegi Amerykańskie pod 63° 20', schronił się do przystani (może *Chesterfield Inlet* na wyspach angielskich), której nadał miano *Zimowa przystań Munka*, a kraj ją otaczający nazwał *Nową Danią*. Wpłynął do owej przystani 7 Września; a że niepodobniestwem było, w tak spóźnionej porze przebyć zatokę Hudsonską, zaczął stawiać chaty i przebiegać przyległe okolice, szukając zwierzyny i opału; załoga obu jego okrętów wynosiła ogółem 60 ludzi, ponieważ nie mogła ona dla zbyt ostrej zimy żyć w ruchu, i żyła tylko solonem mięsem, przeto ziadliwy szkorbut zjawił się pomiędzy nią. Znadejściem wiosny całkiem zbrakło sucharów; wprawdzie zwierzyny znajdowało się podobnie, lecz nikt nie miał ani odwagi, ani siły w dalszą puścić się podróż. Okropność tego położenia zwiększał głód a nadewszystko choroby. Pozbawieni wszelkich wygod i nadziei, liczb ich szybko przez śmierć zmniejszoną została. Munk mieszkał sam jeden w małej chacie oddzielonej od innych, i tak był zniechęcony, że w najzupełniejszym odrętwieniu oczekiwał śmierci. Głód zmusił go jednak do wyjścia ze schronienia i szukania towarzyszy; znalazł tylko jeszcze dwóch przy życiu; inni wszyscy wymarli. Nasi trzej nieszczęśliwi zachęcając się wzajemnie do szukania żywności, rozkopowali śnieg i wyrwali z ziemi korzonki, ułamki, nieco ryb, a w miarę jak powracały

ich siły, złapali kilka sztuk ptaków i zwierzyny. Odzyskali wreszcie potrzebne siły, wyporządzili mniejszy ze swoich okrętów i puscili się na morze, a po nader niebezpiecznej żegludze, wśród której ich okręt prawie był losowi zostawiony, przybyli zdrowi do jednego z portów Norwegii. Powrót ten słusznie za cud uważano. Trudno istotnie uwierzyć, aby z pomiędzy 60 ludzi, trzech tylko ocalało przed zimną biegunową, wyleczyło się ziołami najprostszymi, zebrano z wielkim trudem zapasy potrzebne do podróży i powróciło do kraju, pomimo tak nadzwyczajnych wszelkiego rodzaju przeszkód.

Srogość klimatu, bardziej może niżeli niebezpieczeństwo morza zawalnego lodami, przeraziła żeglarzy i zniechęciła do przedsięwzięcia nowych wypraw ku północo-zachodowi. Zresztą, podróż Baffina w r. 1616, tak zupełnie zniszczyła mniemanie o istnieniu przejścia przez północ do stałego lądu amerykańskiego, że odwiodła od czynienia wszelkich dalszych odkryć w tym kierunku. Kilka więc lat upłynęło, nim znów pomyślano o rozpoczęciu owych niewdzięcznych poszukiwań. Roku 1631 dopiero, kapitan Luke-Fox powiada, że był dręczony ciągle manią odkryć północnych od roku 1606, w którym usiłował błągać, by mógł towarzyszyć Johnowi Knight w stopniu porucznika; z rozkazu króla, dano mu statek dla odbycia podróży, którą zamierzył dokonać. Przy pożegnaniu, otrzymał od monarchy kartę odkryć dokonanych przez jego poprzedników, i list do cesarza Japońskiego.

Fox był człowiekiem śmiałym, lecz zbyt ufny w sobie samym, wada ta przebija się wszędzie w szumnym opisie jego wyprawy. Uprzedza on łaskawego czytelnika: »aby nie spodziewał się wyrażen kwiecistych lub wymownych; gdyż to dziecię jego pióra, zrodzone w zimnych klimatach północy, gdzie nauki klasyczne nie mają wielkiej wziętości, nie ssało słodkiego mleka retoryki." W cieśninie Hudsonskiej, Fox zostawał w przykrém położeniu z powodu lodów, których odla-

my, jak utrzymuje: «rzadko wyrównywały w wielkości kościolowi." Na wyspie Salisbury uważał, iż ruch igły magnesowej wolniej i staje się prawie niedostrzeżonym, zjawisko to przypisuje: «ostrości powietrza krążącego pomiędzy igłą magnesową a jej punktem atrakcyjnym." Nadał nazwę: *Szczęśliwego Przybycia Sir Tomasza Rowe*, wyspie leżącej na wschodnim brzegu Ameryki; znalazł tam cmentarz krajovców; w grobach ich były złożone łuki, strzały i dziryty, powiększej części żelazem okute. Fox wniósł z tego, że Europejczycy już byli w tych stronach. Nad brzegami rzeki Nelsona, znalazł krzyż, wzniesiony tam przez Tomasza Button. Fox powrócił do Anglii ostatniego Października. Widocznie się okazuje, że nie był zadowolony z rezultatu swojej podróży, stale utrzymywał podobieństwo wynalezienia przejścia północo-zachodniego, które jak mówi, odkryć będzie można na wyspie *Szczęśliwego - Przybycia*, gdzie uważał, iż morze przybiera od północy, i gdzie wielka mnogość wielorybów, zdaje się wskazywać sąsiedztwo rozległego morza. Gdy Fox w tym celu przygotował nową wyprawę, kupcy bristolscy, chcąc wydrzeć kupcom londyńskim palmę zwycięstwa, wysłali kapitana Tomasza James, z temi samymi instrukeyami i dowodami ufności królewskiej, jakie Fox poprzednio otrzymał. Lecz James nie był tak zręcznym, i tak szczęśliwym jak jego współzawodnik. Okręt, na którym płynął, wiele ucierpiał w zatoce Hudsonskiej od pływających lodów i orkanów. «Morze, powiada: tak ciągle wznosiło po nad nami swoje wały, żeśmy się znajdowali jak Jonasz w paszczy wieloryba." Nieumiejętność żeglowania pomiędzy lodami, była powodem coraz nowych kłopotów dla niego, tak że ani mógł pomyśleć o przebyciu zatoki Hudsonskiej na początek zimy; wołał zatem pozostać na wyspie leżącej pod 52° szerokości, którą teraz nazywają *Charlton-Island*. Zbudowano chatę dla chorych, i tę przykryto tylko wielkim żaglem. Nieszczęśliwi musieli wytrzymać wszelkie okro-

ności, nieodłączne od zimowego pobytu w krajach biegunowych. Wino, ocet, oliwa, zgoła wszystkie płyny, które mieli, zmieniły się z powodu mrozu w twarde drzewo, tak, iż musiano je rozrąbywać siekierą. W ciągu Lutego, pierwsze symptoma skorbutu ukazały się pomiędzy okrętową osadą, i dopiero na początku Lipca, i to z wielkim trudem, zdołano naprawić i przysposobić okręta do powrotu. James był widocznie nędznym żeglarzem, a może nawet i tchórzem, a przynajmniej sam w własnych swych oczach zwiększał przeszkody. Należał on do rzędu tych rzadkich umysłów, które owego czasu trzęęły wątpić o możliwości odkrycia przejścia północno-zachodniego, lecz to zdanie tém mniej miało wagi, że przeciwnikami jego byli ludzie, którzy jak wszystkim wiadomo, rozwinęli daleko więcej od niego talentów i przenikliwości w przedsięwzięciach tego rodzaju.

Wyprawy do zatoki Hudsonskiej, albo nie przekonały o nieistnieniu przejścia północno-zachodniego, nie zwiększyły jednak także i nadziei znalezienia go w tych stronach. Zresztą, trudności żeglugi i ostrość klimatu odstręczały żeglarzy, chcących go tam szukać. Anglicy zapomnieli prawie o zatoce Hudsonskiej, gdy znowu wypadek zwrócił ich uwagę ku niej i w chwili, gdy przedstawiała już być przedmiotem zajęcia jeograficznego, nabyła wielkiej ważności pod względem handlowym.

Osadnicy francuzcy Kanady, odbywając podróż w głąb kraju dla szukania futer, przybyli nareszcie nad brzegi zatoki Hudson. Jeden z owych awanturników, nazwiskiem Gosseliez, zwiędziwszy te strony przewidział, iż one mogły być nader dogodnymi dla handlu futrzanego. Udał się do Francji, i przedstawił rządowi objaśnienia, które zebrał. Ministrowie najmniejszej nie udzielili mu zachęty, lecz poseł angielski, przebywający naówczas w Paryżu, wysłuchał z uwagą opowiadań wędrowca i dawszy mu list do księcia Ruperta, wysłał go natychmiast do Anglii. Uprzejmie go tam przyjęto, natychmiast przygotowano okręt, na którym odpły-

nał, nie tylko dla założenia osady w zatoce Hudsonskiej, lecz by powtórnie próbował także dostać się do Chin północno-zachodem. Z powodu owej umyślonej podróży, pan Oldenburg, pierwszy sekretarz towarzystwa królewskiego, pisał co następuje, do sławnego pana Boyle: «Niepotrzebuję ci mówić z jaką radością wszysej tutaj przyjęli odkrycie przejścia północno-zachodniego, dokonanego przez dwóch naszych współziomków i jednego Francuza. Podałi niedawno swoje plany Jego Królewskiej Mości, w czasie jego przejazdu do Oxfordu; odpowiedział im jak najłaskawiej, i przeznaczył okręt na przewiezienie ich do zatoki Hudsonskiej, a ztamtąd na morze południowe; ludzie ci twierdzą, jak słyszałem, że wsiadłszy w czółno, wypłynęli z jeziora Kanadyjskiego rzeką, która wpada w stronie północno-zachodniej do morza południowego, zkad powrócili od północno-wschodu do przystani Hudsonskiej.»

Kapitanowi Zachariaszowi Gillam, polecono przewieść Gosselieza do zatoki Hudsonskiej, i dokonać dalszych odkryć na północno-zachodzie. Przewiował on nad brzegami rzeki *Ruperta*, daleko na północ Charlton-Island; nie uskarżał się jednak wcale na srogość i długie trwanie zimy, które było powodem tylu cierpień dla Jamesa i jego towarzyszy. W tém miejscu kapitan Gillam założył węgielny kamień pierwszej angielskiej osady, wznosząc małą kamienną warownię, której nadał nazwę twierdzy Karola. Król, który zachęcał do tej wyprawy, był nader wspaniałomyślnym dla awanturnicznych podróży, «zważając i mając na względzie, że utworzyli własnym kosztem wyprawę w zatoce Hudsonskiej, której skutkiem mogło być odkrycie nowego przejścia na morze południowe, i rozwinięcie handlu futrzanego i kruszcowego, przedstawiającego na przyszłość wielkie korzyści dla monarchy i jego poddanych. Zatem, by nadać nowy zapamięć przedsięwzięciu, «Jego Królewska Mość udziela im na własność wyłączną wszystkie brzegi i ziemie zatoki Hudsonskiej, wraz z przywilejem prowadze-

nia tam powyższego handlu, lub wszelkiego innego, jakiby mogli lub chcieli utworzyć, i t. d."

Ów nadzwyczajny przywilej, uświęcający tak niezmierny monopol nadany r. 1669 kompanii zatoki Hudsonskiej, istniał bez przerwy w swych skutkach aż do dni naszych. Lubo dokonanie odkryć wyraźnie zastrzeżone było w warunkach owęj niby to umowy, zyski monopolu przeważały wszystko, i przez jakiś czas przejście północno-zachodnie zdawało się być skazanem na zupełne zapomnienie. Gdy się to działo pisma Józefa Moxon, członka towarzystwa królewskiego, ożywiły powzięte nadzieje względem znalezienia przejścia do Chin w stronie północno-wschodniej. Przez wniosków wprost spekulacyjnych, jakie uczony ów przytaczał na poparcie swego zdania, odwoływał się jeszcze do objaśnień, udzielonych mu, jak mówi, przez sternika statku grendlandzkiego, który dostał się aż do północnego biegunu: "Gdy z tego względu opowiadanie jego zdawało mi się być godnem bliższego zbadania, mówi pan Moxon, wszedłem z nim w pogadankę, i umyślnie udawałem, że powątpiewam o prawdziwości jego zeznania; lecz ponowił mi swoje zapewnienia, dodając, że okręt znajduje się obecnie w Amsterdampie, a świadectwem wszystkich żeglarzy potwierdzi, to co mi powiedział. Zapewniał mnie, prócz tego, że płynął dwa stopnie dalej po za biegunem. Pytałem czy nie znalazł żadnego lądu lub wyspy przy biegunie? Odpowiedział: Nie, było to otwarte i wolne morze. Spytałem czy nie napotkał wielkich nagromadzeń lodu? Rzekł mi: Nie widzieliśmy nic podobnego. Pytałem znowu jakowa była temperatura w owem miejscu? Powiedział, że pogoda, ciepło, takie prawie jak w lecie w Amsterdampie."

Jak tylko nadzieja została ożywioną, wkrótce téż zaraz nastąpiły i wyprawy. Kapitan John Wood, żeglarz równie czynny jak doświadczony, który towarzyszył Johnowi Nerborough w jego podróży po morzu południowem, podał prośbę do monarchy, w której

mocno popierał twierdzenie, iż istnieje przejście północno-wschodnie. Dowodzenia jego zwróciły na siebie uwagę, i dwa okręta zwane *Szybki* i *Szczęśliwy*, przygotowane zostały do téj nowęj podróży. Zaopatrzone je w żywność na szesnaście miesięcy, i nafaadowano towarami, które, jak mniemano, najłatwiej będzie można zbyć na brzegach Tartarii i Japonii. Wood wyruszył pod żagle r. 1616, płynął ciągle ku północy, pragnąc się oddalić od lądu jak tylko można najdalej, lecz po pewnym przeciagu czasu, znalazłszy przed sobą morze, prawie całkowicie lodami okryte, nie pozostał mu inny wybór, tylko skierować ku północno-zachodowi, co go oddalało od jego przeznaczenia, lub téż zbliżyć się do lądu, płynąc ciągle ku południo-wschodowi. W końcu Czerwca, widział zachodni brzeg Nowej-Zemli, lecz wkrótce potem, okręt jego wpadł na skaliste haki, i roztrzaskał się w sztuki. Wood z całą okrętową osadą schronił się do szalupy; jednak po takowem nieszczęściu musieli się wyrzec dalszej podróży. Szczerosc Wooda nie zdołała się oprzeć rozpacz; i chociaż poprzednio przytaczał kilkokrotnie najdowcipniejsze argumenta, by dowiodł istnienia przejścia północno-wschodniego, zmienił nagle swe zdanie po utracie okrętu, i zaczął niesłusznie krytykować opowiadania żeglarzy co go poprzedzili.

Na początku XVIII wieku, Knight, dyrektor faktoryi ustanowionęj przez towarzystwo zatoki Hudsonskiej nad brzegami rzeki *Nelsona*, powziął wiadomość z zeznania kilku Indian, że w pewnej odległości ku północy, i po nad brzegami rzeki spławnej lub morskiej odnogi, znajduje się obfita kopalnia miedzi. Knight zażądał natychmiast od Kompanii kilku statków, aby wysłać wyprawę w tę stronę; prośba jego została zaniedbaną, dla poparcia jej był zmuszony przypomnieć dyrektorom kompanii, obowiązek, jaki na nich wkladał przywilej królewski przedsięwzięcia nowych odkryć. Groził prócz tego, iż się uda do admiralicyi, by ich zmusić do wypełnienia przyjętych w tym wzglę-

dzie zobowiązań. Po długich zwłokach; dwa okręta przygotowane zostały do téj wyprawy, i jemu powierzono nad nimi wyłączny zarząd. Wyruszył pod żagle roku 1719, dla przejrzenia cieśniny Anian, nareszcie dla odkrycia złota i innych handlowych przedmiotów w stronach północnych. Okręta jego nie wróciły już nigdy; i wiele lat upłynęło nim najmniejszą powzięto wiadomość o ich nieszczęśliwych osadach. W roku 1722 wypłynął jeden okręt pod rozkazami kapitana Scroggs, z rzeki Churchill do zatoki Hudsonskiej, na szukanie wyprawy, którą Knight dowodził; lecz w opisie téj podróży nie ma najmniejszej wzmianki o głównym téj celu. Scroggs przywiózł jednakże potwierdzenia i wiadomości, które już powzięto o istnieniu kopalni miedzi. «Dwaj północni Indianie mówili mu o obfitej kopalni tego kruszcza, położonej w miejscu niedokładnie oznaczonem nad morskim brzegiem, prawie na powierzchni ziemi; ci Indianie podejmowali się tak doprowadzić statek, że przytknie swym pokładem tuż do niej i będzie mógł zebrać natychmiast dobry ładunek. Przynieśli z sobą próbki téj miedzi do Churchill, co tém bardziej potwierdzało ich zeznania. Mappy kraju węglem niezgrabnie przez nich skreślone, odrysowali nim opuścili Churchill, okazały się nader dokładnemi, przynajmniej ile je sprawdzić można było.»

Oplakany los Knighta i jego towarzyszy, był okryty głęboką zasłoną, aż do roku 1769. W owéj to epoce Hearn powziął następujące wiadomości od Eskimosów, mieszkających w pobliżu wyspy *Marmurowej*: «Gdy okręta przybyły do téj wyspy, jesień się prawie kończyła, sprowadzono je przeto do przystani, większy z nich bardzo był uszkodzony; gdy jednak już się znajdowały w bezpiecznym miejscu, Anglicy, których mogło być piędziesięciu, zaczęli dom budować. Następnego roku (1720), skoro tylko topnienie lodów dozwoliło, Eskimosowie odwiedzili tę nową osadę; liczba Anglików znacznie się w ówczas już zmniejszyła, a ci którzy pozostali przy życiu, bardzo byli osła-

bieni. Według twierdzenia Eskimosów ci nieszczęśliwi wówczas bardzo się zajmowali, lecz niemożna się było dowiedzieć od krajowców jakim rodzajem roboty; według wszelkiego podobieństwa starali się powiększyć swoją szalupę, gdyż nieopodal od chaty w której mieszkali, znaleziono jeszcze wielkie mnożstwo szczytów dębowego drzewa, obrobionego bezwątpienia przez wprawnych cieśli.»

«Głód i choroby tak wyniszczyły Anglików, że na początku drugiej zimy zaledwie ich dwudziestu pozostało. W ostatnich miesiącach 1720, kilku Eskimosów osiadło na przeciwnym brzegu przystani, nad którą Anglicy zbudowali swoje mieszkania, i nieraz przybywali w pomoc tym ostatnim, dostarczając im niektórych żywności, w jakie byli zaopatrzeni, tłuszczu i oleju wielorybiego, lub mięsacieląt morskich. Z powrotem wiosny, Eskimosowie odплыnęli do stałego lądu, a gdy pokazali się znowu na wyspie Marmurowej, w lecie roku 1721, znaleźli, już tylko pięciu Anglików, ci nieszczęśliwi tak wielki cierpieli niedostatek, że się rzucali z chciwością na mięso cieląt morskich lub tłuszcz wielorybią, których im dostarczali krajowcy, nie czekając nawet aż się ugotują. W kilka dni, trzech umarło z tego niezdrowego pożywienia; dwaj pozostali, pomimo wielkiego osłabienia wykopali grób dla swoich towarzyszy. Przeżyli tych o wiele dni jeszcze, widywano ich często na szczycie pobliskiej skały, patrzących z upragnieniem ku południowi i wschodowi, jak gdyby oczekiwali na jaki okręt wystany im na pomoc. Gdy długo stali nie niepostrzegłszy, siadali obok siebie i gorzko płakali. Nakoniec jeden z nich umarł; siły zaś drugiego tak były wyczerpane, że przygotowywując ostatnie schronienie dla swego towarzysza, padł obok trupa i więcej nie powstał.» Czaszki, i inne większe kości owych dwóch ludzi, leżały jeszcze na ziemi, obok rozwalonego domku. Ten co wszystkich przeżył, według zeznania Eskimosów, cią-

gle pracował około żelaza, robił z niego szów; był to zapewne puskarz albo rozmaite narzędzia dla swych towarzyszy- kował wyprawy.



ROZDZIAŁ XVI.

OSADY NA WSCHODZIE.

Podróż Jenkinsona do Bokary. — Opis Astrachanu. — Sultán Tymur. — Obyczaje Turkomanów. — Czarownik i łopata barania. — Bokara. — Handel morza Kaspijskiego. — Handel Weneccy z Wschodem. — Anglić mają udział w handlu Wschodnim. — Podróż Fítscha i Newbery do Indyj. — Pierwsza podróż Anglików do Indyj, około przyładka Dobrój-Nadziei. — Nieszczęśliwy koniec. — Założenie kompanii Indyj Wschodnich. — Szczęśliwa podróż Lankastera. — Middleton udaje się do wysp Moluckich. — Posyłają ambassadora do Wielkiego Mogoła. — Handel Hollendrów w Indyach Wschodnich. — Zajmują miejsce Portugalczyków w Japonii. — Wyprawa Vanderhagena. — Przygody Williama Adams. — Buduje okręt dla cesarza Japońskiego. — Jego wpływ u tego monarchy. — Nie pozwalają mu się oddalić. — Sprzyja Hollendrom. — Jego list. — Kapitan Savis przybywa do Japonii. — Opisuje ten kraj. — List cesarza do króla angielskiego. — Koniec handlu z Japonią. — Hollendrzy rozbici na brzegach Korei. — Ich przygody. — Ich uciezka. — Wiadomości jakich udzielają o tym kraju. — Podróż Francuzów na Wschód. — Pirard de Laval rozbija się blisko Maldivów. — Opisuje te wyspy. — Jego sen i szczęśliwe uwolnienie.

Pomyślnie poselstwo Chancelora do Moskwy, wstrzymało poszukiwania Anglików w otworzeniu sobie drogi handlowej ku morzom Indyjskim; lecz poznawszy lepiej Rosyją, uczuł on na nowo powstający w sobie zapał, do prowadzenia handlu ze Wschodem. Przekonał się, że stosunki nader korzystne istniały pomiędzy Rosyją a Persyją i Bokarą; umyślono więc użyć przychylności, jaką dwór rossyjski okazywał podróżnym angielskim. Wybrano Antoniego Jenkinsona do wykonania tego zamiaru; był to człowiek odważny i pojętny, znający doskonale Rosyją, w której kilka już odbył podróży, a nawet miał później powrócić, jako ambassador królowej Elżbiety.

Jenkinson wyjechał z Moskwy w Kwietniu r. 1558, przybywszy do Astrachanu znalazł pełno kupców, lecz towary sprzedają w tak drobnostkowej ilości, że ten handel nie wielką wzbudził zachętę w angielskim podróżniku.

Dnia 6 Sierpnia, wsiadł na statek płynący Wolgą i naładował na niego swoje towary; miał za towarzyszy kil-

ku Persów i Tatarów, lecz musiał się sam zajmować całą żegluga; po czterech dniach dostał się na morze Kaspijskie, a w dwa dni później pominął ujście rzeki Jaik, nad którą jest zbudowane; jak mówi, miasto Szerazyk, stolica najpotężniejszego z książąt Nogajskich, lecz dodaje: «Nie ma handlu w tym kraju; mieszkańcy nie mają innych pieniędzy tylko swe trzody i żyją powiększej części z rabunku.

Po trzech tygodniach podróży, Jenkinson i jego towarzysze przybyli do portu Mangusława, na południowowschodniem wybrzeżu morza Kaspijskiego; zaledwie wylądowali, poznali natychmiast jak byli chciwe obyczaje krajowców trudniących się handlem.

Nasi kupcy wyruszyli z karawaną, składającą się z tysiąca wielbłądów, i po pięciu dniach przybyli na ziemię Sultana Timura, którego urzędnicy, bez żadnej ceremonii, nakładali samowolne i bardzo znaczne cło na wprowadzone towary; Jenkinson pośpieszył się zatem z przedstawieniem się samemu sultanowi, od którego był przyję-

ty z dobrocią i zaproszony na biesiadę; zastał sułtana przebywającego w małym okrągłym domku z trzciny, pokrytym zamiast dachu piłsnią, a wewnątrz wyłożonym kobiercami. Kupcy nasi, puściwszy się w dalszą drogę, podróżowali całe dni dwadzieścia przez pustynię, nie postrzegłszy żadnego mieszkania. Gdy im zabrakło żywności zmuszeni byli zjadać zwierzęta, przeznaczone do dzwigania ładunku, sam Jenkinson, chociaż z żalem, musiał zabić wielbłąda i konia. Żadna rzeka przez ten kraj nie płynęła, rzródła były rzadkie, głębokie, w których znajdowała się tylko mała ilość wody i to jeszcze słonej i błotnistej. Podróżni przepędzili miesiąc w mieście Urjenz. Jenkinson powiada, że handel tam prowadzony, «nie wart nawet wspomnienia.» Co do obyczaj i cywilizacyi kraju, który przebył, agent angielski opisuje go pokrótce w tych słowach: «Cały kraj ciągnący się od morza Kaspijskiego, aż do Urjenz, znany jest pod ogólną nazwą ziemi Turkomanów. Lud ten mieszka pod namiotami, włóczęg się z miejsca na miejsce licznymi gromadami, które prowadzą za sobą swoje wielbłądy, konie i owce, te ostatnie są duże, a ogony ich ważą od 60 do 70 funtów. Większa część bydła równie jak i koni, znajduje się jeszcze w stanie dzikim; chwytają je za pomocą sokółków, które je ścigają i dokuczają dopóty, aż dalej biedz nie są w stanie. Khan i pięciu jego braci rządzą całym krajem; każdy panuje we własnych swoich posiadłościach, i stara się drugich wyniszczyć; są tylko w połowie braćmi, gdyż każdy z nich pochodzi z innej matki, i to zawsze niewolnicy. Gdy wojna pomiędzy nimi wybuchnie, co prawie ciągle się dzieje, zwyciężony ucieka w pustynię, obdziera podróżnych, rabuje karawany, dopóki nie zgromadzi znowu sił dostatecznych, by mógł na nowo walkę rozpocząć.»

Opuszczając Urjenz, kupcy nasi przebiegli z 50 mil wzdłuż rzeki Oxus; potem dostawszy do innej wielkiej pustyni, napadnięci byli od groźnej bandy rozbójników, przeciwko nim wystanęj,

jak mniemali od tego samego Khana, którego niedawno okupili opiekę. Tamto Jenkinson był widzem tatarskich czarów, jakie dotąd jeszcze istnieją na brzegach morza Czarnego. Stary pielgrzym zabił barana, i kazawszy spalić jedną jego łopatkę, zmieszał jej popioły ze krwią zwierzęcia; tym atramentem nowego wynalazku, skreślił pewne znaki kabalistyczne, za pomocą których jak utrzymywał dowiedział się, że karawana napadnięta zostanie przez rabusiów, i że bitwa z jej korzyścią roztrzygniętą będzie. Ta przepowiednia sprawdziła się, i wielką wziętość zjednała czarnoksiężnikowi.

Miasto Bokara, jak twierdzi nasz autor, bardzo jest obszerne i otoczone wysokim murem; lecz zdaje się, iż powziął bardzo małe wyobrażenie o jego handlu i bogactwach.

W czasie pobytu Jenkinsona w Bokarze, przybyły tam karawany z Indyj, Persyi, Bałkanów i Rossyi, lecz jeszcze czyni postrzeżenie: «że kupcy zbyt są ubodzy i nader mało posiadają towarów, aby można mieć nadzieję prowadzenia z nimi znacniejszego handlu.» Stosunki handlowe z Chinami właśnie były przerwane przez całe trzy lata, dla wojen Tashendu i Kashgaru. Też same przeszkody istniały na granicy Perskiej, i nie dozwoliły wysłańcowi angielskiemu, jak miał zamiar, sprawdzić stan handlu w tym kraju. «Jednakże powiada, że podług tego co się dowiedział w Astrachanie i Bokarze może wnosić, że Persya w tym względzie nie więcej przedstawiała korzyści od Tartaryi.»

W miesiącu Marcu r. 1559, Anglicy opuścili Bokarę wraz z karawaną złożoną z 600 wielbłądów, wracając do swego kraju; w dziesięć dni po ich odaleniu miasto to obległ król Samarkandy. Przybywszy nad brzegi morza Kaspijskiego znaleźli okręt ogolonym z lin, żagłów, przez koczujących tatarów; Jenkinson jednakże zdołał na nowo zaopatrzyć go i w dalszą puścić się drogę. Co do morza Kaspijskiego, uważa: «że rzadkość okrętów, brak miast i portów, ubóstwo są-

siednich ludów, i długotrważące lody, czynią tam handel zupełnie nie znaczącym." Przybył do Moskwy 2go Września.

Opowiadania Jenkinsona nader się przyczyniły do postępów ziemiopisarstwa, starannie bowiem uważał położenie znaczniejszych miast, które zwieździł: jego opis morza Kaspijskiego, o wiele zmniejszył nadzwyczajną rozległość przypisywaną temu morzu, w kierunku ze wschodu na zachód, od Ptolomeusza i jego następców. Towarzyszący mu Anglicy, skreślili mapę Katalaju, który chcąc zwiedzić trzebaby odbyć podróż najmniej dziewięć miesięcy, zgromadzili oni wiele dokumentów, dotyczących się wewnętrznego handlu Azji.

Rezultat podróży Jenkinsona zmniejszył powziętą nadzieję zawiązania handlowych stosunków ze Wschodem. Anglia nabywała płody Indyjskie od Wenecyan, którzy ciągle prowadzili handel przez morze Czerwone i Aleksandryę; nadzwyczajnie był on korzystny dopóki Europejczycy nie opłynęli przylądka Dobrej-Nadziei. Wielkie jest podobieństwo do prawdy, że nawet w tym kraju, współubieganie Portugalczyków znacznie zmniejszyło ich zyski, a układy rozpoczęte przez królową Elżbietę z Wielkim Sułtanem, położyły koniec ich wywozowemu handlowi. Ostatni kupiecki okręt Wenecyan, który ukazał się na brzegach Wielkiej Brytanii, był to wielki statek o 1100 beczkach; rozbił się o skały wyspy Wight r. 1587, a cała jego osada wraz z ładunkiem zatonała. Odtąd Anglicy sami zaczęli prowadzić czynny handel ze Wschodem, otrzymawszy w portach tureckich przywileje, dotąd wyłącznie udzielone Wenecyanom. Tym pierwszym stosunkom ze wschodem, towarzyszyły nowe wyprawy, których celem było poznanie znaczniejszych targów w owęj części świata.

Ralf Fitch, Jan Newbery i dwóch innych wysłanych zostało, r. 1583 przez kilku kupeców Londyńskich, dla rozgałęzienia stosunków handlu angielskiego na Wschodzie, polecono im po-

sunąć się przez Alep, Bagdad i Bassorę aż do Ormuz i Goa, dla nabycia jeżeli podobna z pierwszej ręki, towarów Indyjskich. Przewidując, że się będą mogli dostać do Indyj, a nawet aż do Chin, opatrzone Newbergo i jego towarzyszków listami wierzytelnymi, w których królowa Elżbieta polecała ich cesarzowi Chińskiemu i Zesabdimowi Echebar, (Saladinowi Akbar czyli Akbar Szachowi), cesarzowi zdobywców mongolskich Indostanu, którego zwała królem Kambai. Ci wędrownicy zwiedzili jak powiadają, Cejlan, Malakę, Pegu i Siam, opłynawszy wzdłuż brzegi Indostanu. Lubo nie można zaprzeczyć, że odbyli podróż do Indyj, jednak dla słusznych nader powodów, wątplić należy o autentyczności opowiadania im przypisywanego. Zazdrość Portugalczyków, którzy kazali uwięzić naszych podróżnych w Ormuz, była powodem, że ta wyprawa nie osiągnęła zamierzonego celu. W jednym ze swoich listów, Newbery pisze te wyrazy: «Nie widzę powodu chociaż jesteśmy Anglikami, aby nam wzbraniać no handlu, prowadzonego tutaj przez wszystkie inne narody: Francuzi, Flamanńczykowie, Węgrzy, Włosi, Niemcy, Grecy, Ormianie, Nazarejczycy, Turcy, Maurowie, Żydzi, Persowie, Poganie, wolny mają wstęp do Ormuz, krótko mówiąc, naród nasz jest jedynym, którego interessa starają się tutaj skompromitować.» Toż samo pismo tłumaczy wstręt okazywany przez Portugalczyków narodowi Angielskiemu, dając za powód przestrah, który wznieciło podług Newbergo, zjawienie się Franciszka Drake na morzach Indyjskich.

Jakiśmy już widzieli usiłowania Anglików, aby się dostać do stałego lądu indyjskiego; zaczęły się już od roku 1627; w tej epoce bowiem wysłano okręt dla wyszukania przejścia, któreby wprost przez biegun wiodło do Katalaju. Anglia wówczas nie sądziła się dość mocną, by mogła stawić czoło na morzu Portugalii, chciała więc dostać się na Wschód niespotykając floty zazdrośnych swoich współ-ubiegaczy; lecz

wszelkie jęj usiłowania nie zostały pomysłnym uwieńczone skutkiem; z innej znowu strony, podróże Draka i Kandysha okazały, jak mało Anglicy powinni się lękać morskiej wyższości innego narodu. Można więc słusznie powiedzieć, że oni utorowali drogę do Wschodu. Naród angielski, którego zasoby szybko wzrastały, a świeże wypadki polityczne wykryły własną siłę, postanowił mieć udział w korzyściach handlu, który jego nieprzyjaciele zuchwale chcieli przywłaszczyć sobie. R. 1591 przygotowano trzy okręta, które się miały udać do Indyj opływając przyładek Dobrzej-Nadziei. Po raz pierwszy Anglicy mieli przebyć tę drogę, Celem wyprawy, nie tylko był handel, lecz także i pogoń za Portugalczykami, wypadek jęj był najniebezpieczliwszym; jeden z owych statków zwrócił się z przyładka Dobrzej-Nadziei, z wielką liczbą chorych z całej floty; drugi zatonął z całą osadą o 30 mil po za przyładkiem; trzeci, którym dowodził kapitan James Lancaster, dostał się do Wielkich-Indyj, bardzo uszkodzony; lecz w powrocie zagnany nawałnicą aż do Indyj-Zachodnich, został tam opuszczony, a Lancaster z siedmiu ludźmi pozostałymi z całej swojej okrętowej osady, powrócił do Anglii na francuzkim korsarskim okręcie. Te niepowodzenia jednak nie zniechęciły kupców angielskich; wiedzieli, iż nic osiągnąć nie można bez wytrwałości. Żeglarze, kupcy, udawali się na Wschód na obcych statkach, zgadzając się na to, iż najłatwiej jest założyć kilka faktoryj i prowadzić korzystny handel na półwyspach Indyjskich. Znakomici kupcy londyńscy, uporczywie postanowili plan ten wykonać; bez trudności otrzymali od królowej Elżbiety pismo z daty 31 Grudnia r. 1600, na mocy którego upoważnieni byli do utworzenia towarzystwa pod nazwą: «Zarząd i kompania kupców londyńskich, prowadzących handel z Indjami Wschodnimi.» Nadanie to było wyłączne, i królowa zobowiązała się nie udzielać innego przez lat piętnaście. Nowo utworzona kompania wysłała w Maju roku 1601 pod

dowództwem Lankastra pięć okrętów, których ładunek był ceniony na 27,000 funtów szterlingów. Podróż ta odbyła się szczęśliwie; admirał (tak tytułowano Lankastra), zawarł przymierze z królem Achemu, wysłał pinasę do wysp Moluckich, założył faktoryę na wyspie Jawie, i powrócił bez przypadku do Anglii, znacznemi zyskami. Roku 1604, Sir Henryk Middleton, zwiedził wyspy Moluckie i był dobrze przyjęty przez władców tamtejszych, pomimo obelżywych pogłosek, które Hollendrzy o nim rozpuścili. Podróż kapitana Keeling r. 1607, zasługuje z tego względu na wzmiankę, że nie utracił ani jednego człowieka w swojej wyprawie. Flotta, którą dowodził niosła także kapitana Williama Hawkins pierwszego ambasadora Anglii wysłanego do Wielkiego Mogola, który przez roztropne swoje negocjacje zawiązał stosunki trwałej przyjaźni pomiędzy obu monarchami.

Hollendrzy zaczęli prowadzić handel z Indjami wschodnimi w tymże samym prawie czasie co i Anglicy; lecz ten daleko szybciej się rozwinął. W ciągu lat 1613 i 1614, Hollendrzy mieli już dwadzieścia siedm wielkich i zbrojnych okrętów na morzach Indyjskich; a pomimo znacznych wydatków na ich uzbudzenie, zysk z tego handlu, w ciągu poprzednich lat dwunastu, wynosił już więcej niżeli trzydzieści siedm od sta. Najbardziej zadziwiająca jest rzeczą, że w pierwszych swoich podróżach żeglarze angielscy używali małych statków, w których nie lękali się przebywać morza nieznanego, i narażać się na najburzliwsze klimata. To wkrótce zjednało anglikom wziętość dobrych majtków, lecz w porównaniu floty ich uważane były za nader słabe. Zaopatrywali w majtków i sterników okręta obcych narodów, które uważając wzrost swojej żeglugi za interes krajowy, oczyszczali morza siłami daleko groźniejszymi. Hollendrzy wkrótce wyparowali Portugalczków z wysp Moluckich, a niezadługo potem szczególnym zdarzeniem aż do samej Japonii rozciągnęli swoje handlowe zabory. Utrzymują, że wówczas

Portugalczykowie miewali czystego zysku z handlu prowadzonego w tamtych stronach, rocznie przeszło milion funtów szterlingów. Rzecz jednak najdziwniejsza, że Hollendrzy zdołali ogarnąć handel japoński za pośrednictwem anglika, handel, który podziś dzień jeszcze wyłącznie do nich należy. Rzecz się tak miała:

Wyprawa złożona z pięciu okrętów wyruszyła z Texel r. 1598, miała przez cieśninę Magielańską dostać się do Yedso i Moluk. Przytoczymy w innym rozdziale niektóre szczegóły dotyczące tej próby podróży na około świata (a). Sternikiem tej floty był William Adams, oddawna już zostający w służbie hollenderskiej, według wszelkich domysłów, towarzyszył on w r. 1596, Cornelisowi Ryp i Barentzowi w podróży, której wiśni jesteśmy odkrycie Szpitzbergu. Flotta hollenderska była narażona na ciągłe niepowodzenia na morzu południowym; z samego zaraz prawie wstępu doznała głodu, a wpłynąwszy na ocean spokojny, okręta jej tak przez burzę rozproszone zostały, że się już nigdy z sobą nie połączyły.

Adams ciągle płynął ku Japonii, i postrzegł wtenczas łód, gdy zaledwie pięciu ludzi z jego okrętowej osady zdolnych było kierować statkiem. Gdy zarzucono kotwicę, Japończykowie nie tracąc czasu zrabowali cały ładunek. Adams przywołany stanął przed monarchą japońskim, który za pomocą tłumaczy zadawał sternikowi liczne pytania, co do jego kraju, mieszkańców, obyczajów, siły wojskowej, płodów, praw, rządu i religii. Cesarz nie mało się zdziwił, gdy mu Adams wskazał na swojej mapie cieśninę Magiellańską, którą przebył płynąc z Europy do Japonii; zaczął więc powątpiewać o prawdziwości opowiadań cudzoziemskiego sternika; jednakże, gdy ten uporczywie obstawał przy swoim zeznaniu, a mapa niejako one potwierdziła, cesarz uwierzył i tak go polubił, że nie chciał słuchać żadnych potwarzy, które mio-

tała na niego nienawiść Portugalczyków; wprawdzie bacznie był strzeżony, lecz doznawał najwzględniejszego objęcia; pozwolono mu odwiedzać dawnych współtowarzyszów, którzy nadzwyczajnie byli zdziwieni, gdy go ujrzeli; albowiem śmierć jego oddawna ogłoszono w całej Portugalii. Okręt Adamsa zupełnie był zrabowany; narzędzia, towary, wszystko zniknęło. Cesarz dowiedziawszy się o tem, hojnie wynagrodził Hollendrom szkody poczynione przez jego poddanych. Nie chciał wprawdzie pozwolić by odплыnęli z powrotem, lecz za to dał im podostatkiem pieniędzy i żywności, aby się mieli z czego utrzymać, i dozwolił im wolno krążyć po swoim państwie.

Adams spędził już blisko pięć lat w Japonii, prowadząc handel w rozmaitych prowincjach tego państwa, gdy cesarz rozkazał mu zbudować okręt podług metody europejskiej. Sternik angielski napróżno przedstawiał, że jego powołaniem było kierować statkami, nie zaś one budować; cesarz tak usilnie nalegał, że musiał wziąć się do roboty i po niejakiem czasie spuścił na morze osmdziesięcio-beczkowy okręt. Cesarz obiegł pomost tego małego statku z zachwyceniem. Adams posiadał początki nauk matematycznych, obznajmił cokolwiek z niemi cesarza, dla tego wkrótce zaczął uchodzić za mędrca pierwszego rzędu, i pozyskał zupełną przewagę nad umysłem monarchy. Wówczas, lecz równie napróżno jak pierwój, błagał o pozwolenie odjechać; pragnął go przywiązać do siebie, monarcha nadał mu grunt i dziewięćdziesięciu niewolników do jego uprawy. Użył także Adamsa do kierowania okrętem, który tenże zbudował. Nowy ten urząd jaknajlepiej powiódł się Anglikowi. Kazano mu potem wystawić drugi, lecz większy od pierwszego, na tym nowym statku wkrótce przewieziono do Akapulko w Nowej-Hiszpanii, około 350 Hiszpanów, w rozmaitych podróżach pozostałych na brzegach Japonii. Można wnosić z tej okoliczności, że Adams był obeznany

(a) Zobacz rozdział XX.

z głównymi zasadami budownictwa okrętowego.

Widząc niepodobieństwo otrzymania dla siebie pozwolenia do wyjazdu, użył wpływu swojego na korzyść kapitana hollenderskiego i jego porucznika; powiodły się jego usiłowania. Teżoż samego roku, w którym oba ci żeglarze opuścili Japonię, mały okręt przybył tam z Johory dla zebrania plonu pierwszych plonów nowo związanego handlu. Gdy statek ten odpływał, Adams wręczył kapitanowi list adresowany do: „*Nieznajomych przyjaciół i współrodaków*,” z oświadczeniem, iż pragnął, aby pismo to doszło do *Limehouse* niedaleko Londynu, lub do *Gillingham* w hrabstwie Kent, miejsca jego urodzenia. List ten zawierał w sobie krótki obraz Japonii, która jak on mniema, zajmuje 228 mil długości, a daleko więcej jeszcze szerokości. Wychwala bardzo prócz tego, dobroć, odwagę i grzeczność Japończyków, ich zamiłowanie sprawiedliwości i najściślejsze uszanowanie dla praw. Wpływ Adamsa zjednał natychmiast Hollendrom widoczne pierwszeństwo; jemu-to Portugalczycy przypisują ową uienawiść powziętą ku Jezuitom, która stała się powodem ogólnego wyrugowania kupców innych narodów europejskich i wiary chrześcijańskiej z Japonii. List Adamsa, doszedł do Bantam w ciągu r. 1612, a następnego roku, okręt angielski, pod rozkazami kapitana Jana Saris, zawiązał do brzegów japońskich. Adams skutecznie użył swego wpływu na umysł Monarchy, dla zawiazania pomiędzy Japonią i swoim krajem przyjaźnych stosunków. Cesarz udzielił Anglikom prawo prowadzenia handlu w swoim państwie; dołączył przytém dary dla króla angielskiego, i list, następujący: „Umiem cenić jak powinienem, łaskawość Waszjej Królewskiej Mości, która mi przysłała dar takowy, jakiego kraj mój nie mógłby wydać, a ja dotąd jeszcze nigdy nie widziałem. Przyjmuje go, nie jako pochodzący od obcego, lecz od Waszjej Królewskiej Mości, którą równie wysoko cenię jak sam siebie. Pragnę, by uwieczniły związki przy-

jaźni łączące mnie z Waszą Królewską Mością, i abys raczył przysłać swoich poddanych do portów mojego państwa; zawsze tam będą mile widzianemi. Z całego serca podziwiam ich cudowną znajomość żeglugi i odwagę, za pomocą której przebywają rozległe morza, nie dbając na burze i orkany. Pochwalam zapał, z jakim poświęcają się handlowi, i zaszczytnym odkryciom, znajdują mnie też zawsze gotowego do wspierania ich postępów. Posyłam Waszjej Królewskiej Mości słaby zakład mego przywiązania, i pragnę, abys go przyjąć raczył, jako pochodzący od człowieka, którego Wasza przyjaźń przepętnia radością.” Kapitan Jan Saris musiał być człowiekiem odważnym, prostym i prawnym; postrzeżenia jego względem Japonii, mieszczonę są dotąd pomiędzy najszacowniejszymi dokumentami posiadanymi o tym dziwnym kraju. Przebywał on kolejno w rozmaitych miastach, w *Fuekat*, *Osaka*, *Suranga* i *Meako*, z których, jak powiada każde jest tak wielkie jak Londyn; a już za jego czasów Londyn liczył najmniej 550,000 ludności. Rzeka, płynąca pod Osaką, tak ma być szeroką jak Tamiza przy Greenwich, i przebywa ło się ją po kilku pięknych mostach: *Meako*, największe miasto w całej Japonii, było punktem ogromnego handlu; ma ulice, wytkniętę w najdoskonalszym do porządku; rzemieślnicy są rozdzieleni po rozmaitych dzielnicach miasta, stósownie do swych zatrudnień, co dowodzi nawyknięciem porządku i świadczy o metodycznym duchu Japończyków. Wielka świątynia w *Meako*, wydała się kapitanowi równie obszerna i wysoka jak kościół Świętego Pawła, długi ciąg kolumn, ozdobionych papierowymi latarniami, starannie każdej nocy oświetlonych, prowadził do przedsionka świątyni. Krajoicy z nadzwyczajną uprzejmością przyjęli Anglików. Upraszano jednakże, aby nie przyprowadzili ze sobą żadnego ojca czyli księdza, zapewne z obawy, by się nie wznowiły prześladowania religijne, które spowodowali Portugalczycy.

Saris, chociaż w ogóle zadowolony

z osiągniętego skutku swęj podróży, nie wielkie jednak korzyści zdawał się rokować z handlu, któryby można zawiązać z Japonią. Adams umarł w Japonii roku 1631 ciągle ceniony od monarchy i szacowany od publiczności. Wybuchnęły tam wkrótce zaburzenia i prześladowania, w skutku których Portugalczycy byli wygnani, a zawichrzenia w tymże samym czasie miotające Wielką Brytanią, przerwały zwolna handel prowadzony w tęj stronie; nie można oznaczyć właściwie daty, w której on ustał. Lecz w r. 1673, gdy angielski okręt ukazał się przy brzegach tego kraju, Kapitan został wezwany przez władze, do wyłomaczenia przyczyny przerwy stosunków handlowych pomiędzy obu ludami; lecz nie był w stanie wyjaśnić tęj trudności historycznej. Pytano go potém, czy prawda, że Karól król angielski, ożenił się z córką króla portugalskiego? a że nie śmiał temu zaprzeczyć, okoliczność ta stała się powodem, że władca japoński wzbronil wstępu kupcom angielskim do krajów swoich i tylko Hollendrzy uzyskali wyłączone prawo prowadzenia handlu z tym państwem. Najkorzystniejszą gałęzią handlu japońskiego, są stosunki z Chinami i Koreą; kraj ten ostatni nieraz podbijali i niszczyli Japończykowie. W roku 1653 szczególny wypadek stworzył Koreę dla Europejczyków. Okręt hollenderski, przeznaczony do Nangasaki, rozbił się na brzegach wyspy *Quelpaert* czyli *Sehesur*, odległej tylko o sześć mil na południe od Korei. Krajowcy zrabowali rozbity okręt, a Hollendrów pojмали w niewolę, z którymi łagodnie się obchodzili, nie pozwalając jednak im odpłynąć. Największą pociechą śród ich niedoli, było to, iż znaleźli tam swego rodaka zwanego *Wettewree*, rodem z Ryp, w Hollandyi, a który także rozbił się na brzegu Korejskim, roku 1627. Wyślano go do nich od dworu, jako tłumacza. Hollendrzy po kilkoletniej niewoli, weszli w służbę przyboczną strażny królewskiej, lecz objaśnienia jakich nam udzielili o tym kraju i jego ustawach, wcale nie odpowiadają spo-

sobnościom, jakie mieli do ich zbadania. Świetne ich przeznaczenie wkrótce znowu się zachwiało, przywiedzeni bowiem zostali do żebractwa przez wojny i domowe niezgody, które miotaly Koreę. Nakoniec r. 1666 ośmiu z nich nabyło czolno, pod pozorem zbierania bawełny na wyspach sasiednich, przedarli się do Japonii, zkąd wrócili do Hollandyi. Opisują oni Koreę jako kraj płodny; w czasie zimy mrozy są tam bardzo tęgic, a śniegi tak ogromne, iż muszą pod niemi wykopywać przejścia, dla dostania się z jednego domu do drugiego. Jeśli wierzyć mamy owym podróżnym, Korejczycykwie są nadzwyczaj tchórzliwi, ciemni i rozpustni.

Na początku XVII wieku, Francuzi idąc za ogólnym popędem, usiłowali sobie przyswoić część indyjskiego handlu, lecz środki ich były daleko słabsze i postępy powolniejsze, niżeli ludów, u których prywatny przemysł z większą działął samodzielnością.

Pierwsza kompania Indyj wschodnich została ustanowioną we Francyi r. 1604 lecz dopiero do r. 1611 odnieść można prawdziwy początek handlu Francyi z temiż Indyami, kiedy kompania otrzymała patent królewski; strawiła ona lat cztery nim wysłała jeden statek w tamte strony. Kilku awanturników wypłynąwszy z portów normandzkich, szukało wprawdzie szczęścia na wschodzie. Roku 1601 z Saint-Malo wypłynął Franciszek Pirard de Lawal, kupiec tego miasta na okręcie, którego sternikiem był Anglik. Podróż ich była szczęśliwą aż do wysp Maldywskich, gdzie statek wpadł na skaliste raffy. Osada jednak dostała się na jedną z wysp bezludnych, a opowiadanie Pirarda, po dziśdzień jest najdokładniejszym opisem, który nam pozostał o tym godnym uwagi archipelagu.

Twierdzi on, że wszystkich wysp Maldywskich jest 12,000; lecz wiele z nich są tylko piaszczystemi wzgórzami. Krajowcy upewniają, iż piaski, które morze codziennie nanosi, zmniejszają zwolna liczbę wysp uprawnnych i ich mieszkauców; powiadają także że, bar-

dze rozległe wyspy dzielą cieśniny morskie, pomiędzy łąd się wciskające. Ogół Maldywów okolony jest skalistemi rafami, o które się rozbijają fale morskie. Cała grupa dzieli się na trzynaście prowincyj, z których każda składa się z wielkiego mnóstwa wysepek małych. Cieśniny oddzielające wyspy każdej grupy jak są niegłębokie, iż możnaby je w bród przebyć, gdyby spadzistość skał tworzących ich łożysko, nie tamoowało téj komunikacyi. Niezamieszkałe wyspy są po większej części napełnione ogromnemi rakami morskimi, ziemnemi, lub gęsiami dzikimi, w tak licznych stadach, że niekiedy niepodobna stąpić, aby nie nadeptać ich jaj lub piskląt. Piasek bardzo piękny i bardzo biały, jest zarazem tak ciepły, iż z jaj mogą same się wykluwać. Wysepki czyli atolony, są porozdzielane między sobą głębokimi kanałami, lub odnogami morskimi, z których na całym archipelagu, cztery tylko przedstawiają bezpieczną żeglugę dla wielkich okrętów, nasz autor twierdzi, że je widział najdokładniej oznaczone na morskich mappach krajowców.

Kokos jest prawdziwem bogactwem Maldywów, i Pirard mówi o tem pożytecznem drzewie z wielkimi pochwałami. Z resztą, godnem jest uwagi, że pomimo ogólnej płodności wysp

Maldywskich, i lubo klimat na wszystkich jest prawie tenże sam, jednak płody natury są nierównie rozdzielone, różnica ta zmusza one do prowadzenia wzajemnego handlu. Ta różnorodność płodów, i towarzyskich stosunków z nich wynikających, bardziej się jeszcze wzmocnia zwyczajem krajowym, rozdzielającym zupełnie pomiędzy sobą rzemieślników, jak gdyby należeli do kast oddzielnych; tkacze mieszkają na jednej wyspie, złotnicy na innej, słowem, każde rzemiosło ma swój oddzielny kącik. Mieszkaniec Maldywki jest niezmiernie przemysłny; od młodości nawyka do żeglarki; gdyż mało z nich tak jest ubogich, aby nie posiadali czółna. Kobiety są rzadkiej piękności, i nieraz mają włosy tak jasne jak Europejki. Krajowcy raz zaopatrzywszy się w konieczne potrzeby, (a to jest rzecz tak łatwą w tym szczęśliwym klimacie), już potem myślą tylko o zabawie.

Lawal już przepędził pięć lat na tych wyspach i nie miał nadziei ująć z nich kiedykolwiek, gdy w roku 1606 monarcha Bengalski wyruszył z flotą z 16 okrętów złożoną i opanował Maldywy. Nasz autor przekonawszy zdobywcę, że nie jest Portugalczykiem, był jak najuprzejmiej przyjęty i odwieziony do Indyj, z kąd powrócił do Europy.



ROZDZIAŁ XVII.

OSADY W AMERYCE PÓŁNOCNEJ.

Powodzenie rybotówstw w Nowej-Ziemi. — Szybki wzrost marynarki angielskiej. — Przywilej udzielony Sir Walterowi Raleigh. — Podróż Amadasa i Burlowa. — Odkrywają wyspę Wokoken Handel z krajowcami. — Wirginia. — Osada założona przez Sir Ryszarda Greenville. — Przerzeczienie pobrzeży. — Cierpienia i niedostatek osadników. — Powracają do Anglii z Sir Franciszkiem Drake. — Druga osada. — Jój los. — Trzecia osada. — Niszczące z nędzy. — Raleigh i jego plany podbojów. — El-Dorado. — Raleigh zdobywa wyspę świętej Trójcy. — Płynie w górę Orenoki. — Wodospady Karoli. — Stosunki z krajowcami. — Skutek wyprawy. — Nowe zwiedzeni Wirginii. — Osada założona w James-Town. — Przygody kapitana Smith. — Pojmany przez Indyan. — Księżniczka Pokohontas ocala mu życie. — Zaślubia pana Rolfe. — Jój podróż do Anglii — Jój śmierć. — Lord Delawar mianowany Gubernatorem. — Zajęcie wysp Summersa. — Uprawa Tabaki. — Sektarze Browna zakładają New-Plymouth. — Podróż Kartiera po rzece świętego Wawrzecna. — Płynie w górę rzeki aż do Montreal. — Cierpienia jego okrętowej osady. — Jego powrót. — Osady francuskie.

W życiu politycznym narodów, podobnie jak w życiu prywatnych osób, rzadko można napotkać trwałe korzyści, zdobyte innym sposobem jak uporeczywieni usiłowaniami. I tak: w dziejach Hiszpanii i Portugalii, widzimy upadek obu tych narodów zaczynający się wraz z ich zaatlantykami zdobyczami, które, według wszelkiego podobieństwa, miały je zubożać na zawsze. Przeciwnie, przykład najbardziej zadziwiający szczęśliwego osiedlenia przedstawia się w owych stronach Ameryki Północnej, tak długo zaniedbanych mało obiecujących, gdzie natura wydała swe skarby, dopiero po długiej uciążliwej pracy. Państwa Europejskie wkrótce przewidziały korzyści wyniknąć mogące z rybołówstwa w Nowej-Ziemii, i którekolwiek tylko posiadało marynarkę pragnęło w niem mieć udział. Około r 1578 liczba statków angielskich użytych do tego połowu dochodziła do 50; Hiszpania posyłała 100; tyleż Portugalia; Francya trzy razy więcej: Biskaja trzydzieści, te ostatnie wyłącznie użyte były do połowu wielorybów. Anglicy mieli jednak niezaprzeczoną wyższość w urządzaniu swych okrętów; dla tego też posiadali rzeczywiście panowanie nad temi morzami: może je byli winni odkryciom Sebastjana Kabot; którego śladem szli wszyscy cudzoziemscy żeglarze. Lecz istotnie osada założona w Nowej-Ziemii przez Sir Humfrya Gilberta, ustaliła w tym kraju panowanie jego współrodaków; to też przy schyłku życia królowej Elżbiety, 200 statków angielskich, na których było 8000 majtków, zajmowało się połowem na owych wybrzeżach nowo-zdobitych.

Śmierć Sir Humfrya Gilberta zagroziła upadkiem owym planom osadniczym potrzebującym, szczególnie z początku nietylko biegłego postępowania, lecz jeszcze rzadkiej czynności wyobraźni. Jednak szlachetny ów awanturnik przekazał swój wpływ i widoki człowiekowi, który mu nie ustępował ani w zapale, ani w śmiałości charakteru, był to jego brat ciocieczny Sir Walter Raleigh. Otrzymał roku 1584

potwierdzenie przywilejów nadanych Sir Humfrejowi; przygotował on natychmiast dwa okręta, dla odbycia podróży odkryciowej; a że sam zbyt był wmięszany w dworskie intrzygi, by mógł stanąć na czele wyprawy, powierzył przeto jej dowództwo dwom doświadczonym oficerom Amadasowi Burlowi, Ci rozpoznali stały ład Florydy i płynąć dalej wzdłuż brzegów przeszło mil dwadzieścia, przybyli do rzeki, na brzeg której wysiadłszy, objęli kraj w posiadłość w imieniu królowej, była to wyspa *Wokoken*, na wybrzeżu *Nowej-Karoliny*. Krajowic, którego napotkali, i łagodnie z nim się obeszli, rozdzielił pomiędzy nich dla okazania wdzięczności swojej, cały czołn natadowany rybami. Niedługo potem odwiedził ich król tego kraju, w towarzystwie 50 swoich naczelników; z przedmiotów widzianych u nich najbardziej się mu podobał półmisek cynowy, który mu ustąpili za dwadzieścia skór danielich; zawiesił go sobie na szyi jakby pancerz, pokazując jestami, że teraz będzie już miał obronę przeciw strzałom nieprzyjacielskim. Dał piędziesiąt futer bardzo kosztownych za kociołek miedziany. Lecz najbardziej pragnął by mu dali kilka szpad, i ofiarował za nie pudełko napełnione perłami; lecz Anglicy strzegli się uzbroić dzikich, a nadewszystko okazać im jak wysoka cenę przywiązują do perł, dopóki im nieodkryto żkąd one dobywają. Jak twierdzono, miały pochodzić z wielkiego miastależącego w głębi kraju, odległego o sześć dni, gdzie król zwyczajnie przemieszkiwał. Nasi awanturnicy nie starali się wcale dostać do niego, i zadowoleni ze swojej podróży, wrócili do Anglii w początkach Września. Tam przedstawili kraj przez siebie odkryty, jako raj prawdziwy, połączający piękność położen z nieporównaną płodnością. Królowa uradowana ich opowiadaniem, rozkazała nazwać kraj ten czarodziejski *Wirginia*: pod owem mianem obejmowano wówczas prawie wszystkie punkta Ameryki Północnej, które Anglicy posiadać pragnęli.

W następnym roku 1585 Sir Walter Raleigh wysłał powtórna wyprawę, pod dowództwem Sir Ryszarda Greenville, człowieka prawdziwie odważnego i bezinteresownego. Ten wysadził na ląd 108 ludzi w Roenok naprzeciw wyspy Wokoken, i pojmawszy za powrotem, statek nieprzyjacielski, szczęśliwym skutkiem swojej podróży przewyższył nadzieje tych, co go wysłali. Tymczasem osadnicy pozostawieni przez niego starali się rozpoznać wybrzeże: optnęli go blisko 40 mil na południe a 65 na północ, nieodkrywszy żadnej ważniejszej przystani. W tych wycieczkach zapuszczali się niekiedy zbyt daleko, narażając się tym sposobem na zasadzki dzikich. Wielu z nich życiem opłaciło tę nieroztropność. Nieznając klimatu, zaniedbali także nagromadzić wcześniej zapasów, jakich im kraj mógł dostarczyć. W następnym roku żadnego zasilku nie dostarczono im z Anglii; głód już zaczynał szerzyć między nimi swoje okropności, gdy nareszcie przybyła flotta Sir Franciszka Drake, powracającego w tryumfie z swojej wyprawy z Indyj Zachodnich. Otrzymałszy pozwolenie zabrania się na jego statki, powrócili do Anglii. Raleigh jednakże nie opuścił swych osad, chociaż nieprzetłamane przeszkody nie dozwoliły mu przesłać im potrzebnych mu zasilków. Sir Ryszard Greenville przybył do Roenok, w kilka dni po odpłynieniu osadników. Zdziwiony i zasmucony opustoszeniem miejsc, w których niegdyś sam przebywał, nie wyrzekł się jednak zamierzonego ich osiedlenia; pozostawił znowu 50 ludzi, zaopatrzywszy ich w żywność na dwa lata. Nowa ta osada niszczała jak i pierwsza przez brak ostrożności. Roku 1587 zaleziono przy lądzie szczątki rozbitych jego statków, a kościotrup męczyzny, rozciągnięty na trawie, był jedynym śladem, który wskazał los jego nieszczęśliwych towarzyszy. Kapitan White, tegoż roku podjął się zwiedzić Roenok; po raz trzeci usiłował założyć tam osadę; lecz osadnicy byli tak mało przemysłni jedynie zajęci prędkim zzbogaceniem się, i tak roz-

wiązłych obyczaj, że wkrótce do zatrważającej ostateczności zostali przywiedzeni. White był zmuszony wrócić do Anglii dla zaopatrzenia ich w żywność. Lecz lud angielski przerażony zamiarem napadu hiszpańskiego, nie zwracał uwagi na inne przedmioty, i dopiero Withe w roku 1589 wyruszył pod żagle z trzema okrętami. Przybywszy do Roenok, nie znalazł nawet i śladu mieszkań, które tam zostawił; tylko na korze drzew wyczytał wyraz *Kroatan*, wielkimi wylobiony literami: z tego wniosk, że osadnicy przeniesli się na wyspę tak zwaną leżącą o kilka mil na południe od Roenok. Skierował natychmiast ku niej; lecz gwałtowna burza zwróciła go z przedsięwziętej drogi, i zmusiła go do powrotu do Anglii, bez udzielenia najmniejszej pomocy nieszczęśliwym współziomkom. Tak zaginęła trzecia osada.

Sir Walter Raleigh wysłał siedm wypraw, i wydał przeszło 40,000 funtów szterlingów, najmniejszego nieotrzymawszy skutku, lecz awanturńczy jego umysł nie należał do rzędu tych, których niepomysłne powodzenie zniechęca. Uszczuplenie majątku rozdrażniało jeszcze bardziej jego wyobraźnię; poświęcił on ostatek swego życia urojonym przedsięwzięciom.

Trudno z pewnością oznaczyć epokę i okoliczności, które naprowadziły na myśl o istnieniu (*El-Dorado*); w głębi Ameryki południowej, miała się znajdować ziemia, gdzie rząd Inkasów odzyskał, jak utrzymywano dawną swoją świetność, gdzie drogie kruszce tak były obfite, iż dachy nawet świątyni pokrywano złotem. Owe pogłoski krążyły już w r. 1531, gdy Ordaka przedsięwziął nieszczęśliwą wyprawę do ujścia Orenoki. Gonzales Pizarro, płynąc ku źródłom Maranonu, zebrał objaśnienia, zdające się potwierdzać owe bajeczne wieści; toż samo uczynił Orellana płynąc ku ujściu tejże rzeki. Lecz nie dziwnego, że Hiszpanie, którzy szukali tylko złota, ciągle o nim marzyli w snach swęj wyobraźni. Walter Raleigh znał te wszystkie cudowne podania, a używając ich, aby działać na zdanie pu-

bliczności, dozwolił im nad własnym przekonaniem zgubną wiaść przewagę. Zaprojektował zdobycie Gujanny, i odkrycie El-Doradu, którego mieszkańcy, podług jednego z autorów hiszpańskich, nacierali swe ciała gąmmą, tarzali się potem w złotym piasku, dopóki się nie pozłocili od stóp do głowy; toaleta owa, odbywać się wprawdzie tylko miała w dni uroczyste. Minister najlepiej przyjął plany Sir Raleigha, i roku 1595, popłynął on do Gujanny z pięciu okrętami. Wyspa *Świętej Trójcy* była pierwszą jego zdobyczą. Oficer hiszpański zwany Berreo, tam będący, który niegdyś napróżno usiłował dostać się do Gujanny, chciał odwieść Raleigha od powziętych planów; lecz wszelkie jego gruntowne przedstawienia, awanturnik angielski poczytywał za poduszczenie zawiści współzawodnika. Usiłował więc ze swemi okrętami dostać się na Orenokę, a gdy tego nie mógł dokazać dla wielkich prądów, postanowił wysłać stu ludzi z bronią i zapasami żywności na cały miesiąc, w trzech małych czótnach. Zaledwie popłynęli w górę rzeki, zabłąkali się w labiryncie kanałów, z których dopiero wydostali się po nadzwyczajnych trudach i pracy. Na szczęście, trafili na starego Indyanina, który podjął się służyć im za sternika. Indyanie mieszkający przy ujściu Orenoki, przepędzali lato lub suchą porę w domach, lecz w czasie zimowych miesięcy, gdy cały kraj był zalany, budowali małe chaty na wierzchołkach drzew, do których wślizli po drabinach. Raleigh popłynawszy w górę rzeki na trzysta mil blisko, napotkał Tapiowara, naczelnika Indyjskiego, mającego przeszło sto-dziesięć lat, ten mu udzielił objaśnień, o stanie politycznych i płodach kraju.

Opuszczając owego starca, Raleigh skierował ku zachodowi, aby zwiedzić wodospady rzeki Karoli. Z wierzchołka panującego nad nią pagórka, awanturnicy nasi widzieli jak spadała we trzech równoległych potokach, przez ciąg mil dwudziestu, tak szybko, że czółu ośmio-wiosłowy nie mógł jęj

przemódz, chociaż jęj łożyszko równie było szerokie jak Tamiza przy Woolwich. Dwanaście wodospadów, napiętrzonych jedne ponad drugimi, rzucało się z pędem i szumem, który o kilka mil dawał się słyszeć. Krajobraz okoliczny przechodził w piękności wszystko, co tylko wyobraźnia zamarzyć zdoła: wzgórza okryte były wspaniałemi lasami, pod któremi wody pływały tysiącem najkrętszych wężyków. Nie widać było ani jednego krzaczka na płaszczynach, zupełnie okrytych gęstą i świeżą murawą. Ze wszech stron stada danieli ożywiały ten obraz; mnóstwo ptaków nieskończonej różności, okrytych najświetniejszym pierzem, przelatowało pomiędzy drzewami, lub nieporuszenie siedziało nad brzegiem rzeki. Nawet próbki królestwa kopalnego, jaśniały tam nieznanem jeszcze bogactwem, a łatwowierni nasi awanturnicy, w mniemaniu, że w sobie zawierają złoto, chcieli je zbierać.

Raleigh znajdował się o czterysta mil od brzegów i miesiąc już upłynął jak opuścić swoje okręta. Pora dźdźysta rozpoczynała się i wody na rzece z przerażającą przybierały szybkością; roztropność nie dozwoliła mu przeto opóźniać się z powrotem. Wracając ku morzu, znowu odwiedził starego Tapiowara, dla zasięgnięcia rad jego względem sposobów podbicia Gujanny i dostania się do Manoa, bajecznego złotego miasta. Przezorne odpowiedzi starego Indyanina, jeszcze bardziej rozgnęły jego urojenia. Zresztą, niechaj sobie kto sądzi co chce o szalonych jego nadziejach, Raleigh jednak świetne wykazał zdolności w owęj znakomitej wyprawie. Ludzie jego nie szemrali, a pomimo niedostatku i niebezpieczeństw na jakie byli narażeni, ani jeden nie zginął w czasie tęg podróży, prócz murzyna, którego pożarł krokodyl. Raleigh wrócił do Londynu, przywożąc ze sobą kilka bryłek złota, słabe podstawy swych nadziei. Torzyszył mu syn Tapiowara, który z wielką uroczystością został ochrzczony w kościele świętego Pawła, i otrzymał imię Gwaltera. Dwóch Anglików po-

zostało przy wodzu Indyjskim, jeden z nich był dobrym rysownikiem, drugi jeszcze dziecię miał się uczyć języka krajowców, i szybkie już czynił postępy, gdy nieszczęściem pożarty został w lesie od dzikich zwierząt. Wziętość Raleigha bardzo już ucierpiała niepowodzeniem wypraw do Wirginii; a bezowocna podróż do Gujanny dokonała zupełnego jego upadku.

Roku 1605 kapitan Weymuth był wysłany do Wirginii, z poleceniem przepatrzenia jej brzegów, dla założenia później tam osady. Odkrył *Long-Island* i dostał się na wielką rzekę, (*Hudson* wedle wszelkiego podobieństwa). Opis wspaniałych krajów, które zwiedził, na nowo obudził ducha wędrownego tak długo uspięnego. Dwa towarzystwa zawiązały się wkrótce, w zamiarze wykarczowania Wirginii; przywileje nadane zakreślały im za granicę, pierwszemu od 38° do 43° szerokości północnej, drugiemu od 41° do 45°, tym sposobem, dwa stopnie pozostały w wspólnym ich dzierżeniu. Kompania londyńska, której przeznaczona była południowa część owej przestrzeni, jako mająca większe kapitały do rozporządzenia, pierwsza też działalność zaczęła. Trzy okręta, pod rozkazami Newporta, z stu dziesięciu osadnikami, wypłynęły z Londynu r. 1607 i zawinęły w Kwietniu do *Chesapeak-Bay*. Pierwszą wielką rzeką, zwiedzoną przez nowoprzybyłych, była Powhatan, którą nazywali rzeką *Jakoba*. O pięćdziesiąt mil od jej ujścia, napotkali półwysep połączony z lądem stałym przesmykiem, długim na trzydzieści prętów. Grunt był urodzajny, i położenie bezpieczne; założyli więc w tym miejscu *James-Town*, który dotąd istnieje i jest najdawniejszą osadą Stanów - Zjednoczonych. Pomiędzy naczelnikami osady szczególniejsię odznaczał John Schmit; rada zarządzająca osadą na samym wstępie wyłączyła go przez zazdrość od udziału w kierowaniu jej interesami. Lecz gdy zagroziło niebezpieczeństwo, władza sama przesię przeszła w ręce tego odważnego weterana. Większa część osadników była ludźmi rozwią-

złych obyczajai, bez żadnych zasobów, którzy wydalili się z kraju, dla uniknięcia surowości praw, lub zubożenia się w krótkim czasie, przez znalezienie jakiej kopalni złota. Kruszec świetno żółty, odkryty został w pobliżu *James-Town*; bezzasadnie zaraz mniemano, że zawierał w sobie owo tak upragnione złoto, i gdy zaślepieni awanturnicy bezskuteczne czynili poszukiwania, niedostatek zaczął dawać się uczuwać. Indyjanie, z którymi się obchodzono dumnie i opryskliwie, teraz otwartą rozpoczęli wojnę.

Odwadze, czynności i zręczności kapitana Schmidt, osada winną była swoje ocalenie. W czasie zawieszenia broni Smith posunął się ku *Chesapeak-Bay*, odkrył dalej *Potowmack*; widok owej wspaniałej rzeki, tak dalece zachęcił jego okrętową osadę, iż z zapalem zapragnęła wraz z nim ją zwiedzić. Już raz, gdy płynął w górę James Riwer, zbyt wielką ufność w własnej odwadze, o mało się nie stała powodem jego zguby. W tej nowej podróży płynął dopóki pogmatwane gałęzie drzew i liczne prądy nie dozwoliły szalupie dalej się posunąć; wtedy puścił się w dalszą drogę małym czółnem, z dwoma towarzyszami i dwoma przewodnikami indyjskimi. Przepłynąwszy tym sposobem przeszło dwadzieścia mil, wysiadł na ląd, i polował po lasach. Wróciwszy pewnego razu nad brzeg, znalazł dwóch towarzyszy zamordowanych, a siebie otoczonym od gromady dzikich. Jakkolwiek zatrważającym było to położenie, nie zachwiał się jednak. Pochwyił jednego ze swoich indyjskich przewodników, przywiązał go przed sobą, by mu służył za puklerz przeciw strzałom Indyan, i postanowił drogo sprzedać swe życie. Lecz otoczony od przemagającej siły, został wkrótce pojmany w niewolę. Już go przywiązano do drzewa i miał być zabity, gdy pokazaniem małego kompasu i objaśnieniem jego użytku zdziwił i zachwyił prostodusznych swoich słuchaczy, do tego stopnia, że rozwiązali krępujące go więzy i odroczyli zgon jego; zapro-

wadzano go do Powhatan potężnego wodza, którego władza rozciągała się nad całym krajem pobliskim brzegom Potowmaku. Został go otoczonego znakomitszymi wojownikami w namiocie, w którym stały uszykowane kobiety, należące do jego rodziny. Smith miany był za najgroźniejszego nieprzyjaciela pokoleń indyjskich, przeto stawny Powhatan bez wahania wydał wyrok śmierci na niego. Coś nakształt kamiennego ołtarza poprostu wyciosanego, wznosiło się w pośrodku zgromadzenia, zawleczono tam Smitha, wojownik od stóp do głowy nakluty stał przy nim wywijając maczugą, którą na pierwsze skinienie miał mu czaszkę zgruchotać. Lecz Pokohontas, starsza córka Powhatan, poskoczyła ku skazanemu na śmierć, i położyła swą głowę na głowie Smitha, oświadczając, iż pragnie albo go ocalić, albo wraz z nim umrzeć. Znikło okrucieństwo dzikich przed owym dowodem przywiązania. Powhatan dał się ubłagać, i Smith otrzymał pozwolenie oddalenia się, przyrzekłszy jednak przystać Indyanom płody europejskie najbar dziej przez nich cenione. Powrót Smitha ocalił osadę od nieuchronnej zguby; porządek, spokojność, znowu razem z nim zawitały i dopóty trwały, dopóki dzierzył władzę w swym ręku; lecz na nieszczęście przypadkowym wybuchem baryłki prochu niebezpiecznie zraniony, musiał dla wyleczenia się wrócić do Anglii. Księżniczka Pokohantas, która po raz kilka okazała dowody swojej przyjaźni ku wszystkim Anglikom w ogóle, z narażeniem życia przybyła potajemnie przez lasy, dla uwiadomienia osadników o zamiśle przeciw nim uknowanym przez pokolenia indyjskie. Szlachetny ten postępek niewdzięcznością odplacono. Pokohantas zatrzymana została jako branka, dopóki ojciec jej niezaprzymanie nieprzyjacielskich kroków przeciw Anglikom. W czasie swojej niewoli, młoda Indyanka pokochała młodzieńca szlachetnego rodu, nazwiskiem John Rohf. Została jego żoną, i ochrzczono ją pod imieniem Rebeki. Powhatan dowie-

dziawszy się o tym związku, nadzwyczajnie się ucieszył, i od tej chwili osadnicy pozyskali w nim najlepszego przyjaciela. Rebeka zwiedziła później Anglię, gdzie powszechnie wzbudziła podziwienie i zajęcie. Umarła w Gravesend, właśnie gdy miała powracać do swego rodzinnego kraju.

Księżniczce Pokohantas towarzyszył do Anglii jej krewny Witomotomakin, naczelnik i kapłan indyjski, któremu Powhatan zlecił zwiedzić szczegółowo ten kraj, a nadewszystko by powziął istotną wiadomość o liczbie jego pokoleń i wojowników. W tym celu dano mu pęk laseczek, by na nich robił narznięcia, gdy kogo spotka. Za swoim przybyciem do Plimouth, rozpoczął natychmiast ów szczególny spis ludności. Zajmował się nim bezustannie z Plimouth aż do Londynu; lecz za ledwie wszedł do tej stolicy, rzucił z rozpaczą swoje kijki o ziemię, i rzekł Powhatanowi za swoim powrotem do kraju: że chce zachować lud angielski byłoby to samo, co zliczyć listki na wszystkich drzewach jakiego lasu.

Osady angielskie w Wirginii spuszczały się więcej na obcą pomoc niż na własny przemysł, za ledwie przez lat kilka utrzymały wątle i chwiejące swe istnienie. Roku 1609, 500 nowych osadników przybyło na dziewięciu okrętach. Lord Delaware mianowany został gubernatorem osady, lecz że nie mógł tego roku udać się tam osobiście, posłał przeto w swoje miejsce trzech Vice-gubernatorów, którzy zabrawszy się razem na jeden okręt, wyrzuceni zostali przez nawałnicę na wyspy Bermudzkie, naówczas jeszcze nie zamieszkane; jednak rozbitkowie znaleźli tam wielkie mnóstwo drzewa i obfitość żywności. Wieprze przez Hiszpanów zostawione, nadzwyczajnie się rozmnożywszy, stały się wielką pomocą naszym pomimowolnym osadnikom. Bermudy przeszły tym sposobem pod panowanie korony angielskiej, a Sir Jerzy Summers, jeden z Vice-gubernatorów, nadał im swą nazwę *Summers, Islands*. Obecność tylu osób posiadających wpływ

i poważanie i zastępujących Smitha, utrzymała jakieś podobieństwo porządku i dobrego mienia pomiędzy osadnikami, zawsze marnotrawnymi, niedbałymi i skłonniemi do buntu. Lecz byt towarzystwa złożonego z tak różnorodnych żywiołów z trudnością mógł bydyć utrwalonym; gdy wkrótce Lord Delaware, przybył do Chesapeak-Bay dla objęcia rządów, znalazł osadników już na okrętach zabierających się z powrotem do Anglii. Zmusił jednak ich do wyrzeczenia się tego zamiaru przedstawieniem, że tylko w krainach Nowego-Swiata mogą się spodziewać polepszenia bytu swojego. Szczęśliwe jego przybycie ocaliło od zupełnej zagłady osady angielskie w Wirginii. Odr. 1616 przedsięwzięto uprawę tabaki, którą Anglia wiuna była potem tak wielką częścią swoich przychodów.

Gdy towarzystwo londyńskie usilnie się starało, chociaż z niepewnym jeszcze skutkiem, osiedlić południowe strony Wirginii, towarzystwo Plimutskie w tymże zawiązane czasie, któremu nadaną została północna część tej obszerniej krainy, przestawało na prowadzeniu z krajowcami mało ważnego handlu. Nierozsądna gwałtowność z jaką się zrazu obchodzono z Indyanami, natchnęła tych ostatnich ku Anglikom niezblaganą nienawiścią. Ciągłe ich nieprzyjacielskie kroki tak przerażyły wychodźców, że upadały przez wiele lat wszelkie zabiegi przedsiębrane w celu założenia osady, w kraju dziś zwanym *Nową-Anglią*. Nareszcie r. 1620, sekta Purytanów, zwana Brownistami, przybyła do Plymouth w Massachusettsie i położyła kamień węgielny osady, najprzemysłniejszej i najpotężniejszej na całym świecie.

Usiłując podbić niezmiernie przestrzenie Ameryki Północnej, Francuzi wyprzedzili Anglików; lecz przez brak wytrwałości, utracili niezadługo słabą tę wyższość. Roku 1554 Jakób Cartier przybył z Saint-Malo, dla przejrzenia wybrzeży Nowej-Ziemi. Zatoka do której wpłynął, została nazwaną przez niego *Zatoką świętego Wawrzeńca*; tam się dowiedział od dzikich, że wielka

rzeka *Hochelega* (świętego Wawrzyńca,) wiodąca do Kanady, a do której przybył, tak głęboko zachodziła w ląd stały, że dotąd jeszcze nie słyszeli, aby ktokolwiek przedarł się do jej źródeł. Cartier usiłował płynąć w górę tej rzeki, zarzucił kotwicę przy wyspie *Orleańskiej* zachwycony obfitą roślinnością, a nadewszystko okrywającemi ją winnicami, nadał jej miano wyspy Bachusa. Pusił się potem dalej w górę rzeki kanałami, i przybył do wioski Stadakona (zwaną przez krajowców Kanada czyli *Miasto*), którą przedstawia jako najpiękniejszy zakątek ziemi zarosły szlachetnymi drzewami. Naczelnik Indyjski zwany Donakona, długą miał mowę do nowo przybyłych, tymczasem kobiety jego pokolenia śpiewały i tańczyły w wodzie, dla przypodobania się Francuzom. Gdy Cartier zawarł z nim traktat przymierza, obecni Indianie wydali okrzyk wojenny, to jest trzy okropne zawycia, które Francuzów dreszczem przejęły. Okręty francuzkie zostały sprowadzone do Stadakony i Cartier natychmiast przedsięwziął przygotowania do przejrzenia Hochelegi w swoich szalupach, lecz się dowiedział, że ten zamiar nie podobał się naczelnikowi indyjskiemu. Francuzi jednak trwali w swoim przedsięwzięciu: w ówczas Indianie postanowili przeszkodzić temu podstępem, dającym najlepsze wyobrażenie o ich zaboobności i prostocie. Przebrali trzech z pomiędzy siebie za djabłów w skóry psie białe i czarne, uczernili im twarze, a do głowy poprzyczepiali rogi długie na stopę, tak przebrani i wpakowani do czółna mieli się dostać aż do okrętów francuzkich. Indianie zaś ukryci w sąsiednich lasach, czyhali na ową uroczystą chwilę. Gdy mniemani djabli tak się podsunęli, iż głos ich można było dosłyszeć, jeden z nich stanął w czółnie, miał długą przemowę, wysiadłszy potem na ziemię, popadali jak nieżywi i potajemnie zostali uniesieni przez współziomków. Niektórzy z Indian przybyli natychmiast na statek Cartiera, i udając największe przerażenie, wytłómaczyli mu co to miało znaczyć.

Bożek Kudruaigny, mówili, posłał owych trzech szatanów do Francuzów, z ostrzeżeniem, że w kraju, do którego chcieli się udać, zginą zapewne od lodów i śniegów. Nie trwając się bynajmniej ich przepowiednią, Cartier ciągle płynął w górę rzeki, a im dalej się posuwał, tem go bardziej zachwycało bogactwo i wspaniałość obrazów, rozwijających się przed nim. Ile razy zawiązał do brzegu, doznawał od krajowców przyjacielskiego i gościnnego przyjęcia. Po dziewięciu dniach podróży na tej rzece, przybył do wielkiego jeziora, długiego na mil sześć, a na trzy szerokiego, które nazwał jeziorem Angoulême (dzisiaj zwane jeziorem świętego Piotra). Od owego miejsca, prądy coraz liczniejsze utrudniały nadzwyczajnie żeglugę, jednakże po czterech dniach przybył do Hochełagi, leżącej o 23 mil za jeziorem S^o Piotra. Miasto Hochełaga, tak nazywa wieś Indyjską, oddalone było na trzy mil od brzegu; przybywało się do niego gościńcem dobrze utrzymanym, po prawej i lewej jego stronie ciągnęły się pola, zarosłe ogromnymi dębami, pod którymi cała ziemia zasłana była pięknymi żołądziami. Przy wiosce indyjskiej wznosił się płodny i uprawny wzgórek, który Cartier nazwał *Montreal*, ten potem stał się środkowym punktem jednej z najgłówniejszych osad Kanadyjskich. W opisie tych krajin przytacza Cartier okoliczność, której nieumiano sobie zrazu wytłómaczyć i zbyt pośpiesznie poczytano za dziwaczną bajkę: „Ozdobą, powiada, do której największą przywiązują cenę, jest jakaś substancja, którą nazywają *essurgny*, albo *Kornibotz*; jest ona biała jak śnieg, a otrzymują ją następującym sposobem: gdy jeden z nich skazany jest na śmierć za jakąś zbrodnię, lub jeżeli pojma jeńca wojennego, zabiwszy swoją ofiarę, otwierają głębokie otwory w jej bokach, ramionach i udach; rzucają potem trupa w głąb rzeki, w miejscach gdzie widzą, iż się obficie *essurgny* znajduje. Po dziesięciu lub dwunastu godzinach wyciągają ciało, a *essurgny* już się znaj-

duje w otworach zebrane; z owęj substancji robią pewny gatunek paciorków, który noszą naokoło szyi, jak my nasze łańcuchy, ceniąc ten klejnot jako najkosztowniejszy ze wszystkich swoich bogactw.” Znajdujemy w owém opowiadaniu najdawniejsze zastosowanie do tej szczególniejszej substancji, którą teraz nazywają *adipocir* albo *spermaceti*. Cartier albo Indyanie, którzy mu dostarczyli owych objaśnień, w tem tylko się mylili, iż wnosili, że to co nazywali *essurgny*, nie było utworzone z rozkładu materji zwierzęcej, lecz z owęj substancji spoczywającej na dnie wody, która się od niej odzielając łączyła z trupem. Znajdujemy także w opowiadaniu Cartiera pierwszy opis tytoniu, i sposób jego używania. „Indyanie, mówi on, posiadają pewną roślinę, której zapas zebrawszy każdego lata; suszą takową na słońcu; sami tylko mężczyźni jej używają i noszą zawsze pewną ilość w małym woreczku zawieszonym na szyi, w którym mają także kawałek wydrążonego kamienia lub drzewa, podobnego do piszczałki. Aby użyć tej rośliny trą ją na piasek, i wkładają w jeden koniec rurki, do którego przyłożywszy rozpalony wegielek, drugim wciągają dym w siebie, który im potem wybuchł ustami i nosem, jakby kominem jakiego domu; utrzymują, że to jest rzecz wysmienita dla zdrowia: sprobowałismy podobnie uczynić, lecz dym dochodząc do ust, palił je jak pieprz.”

Z wierzchołka *Montrealu* oko obejmowało bieg rzeki blisko na mil ośm, aż do punktu, w którym się kończyła szerokim i świetnym wodospadem. Krajowcy powiadali, że są trzy podobne wodospady, które pominawszy, jeżeli im wierzyć mamy, można płynąć w górę rzeki przez trzy miesiące bez żadnej przeszkody. Zapewniali, że złoto i srebro znajduje się obficie w stronach południowych; miedź przeciwnie, ku północy. Mówili także o trzech czy czterech wielkich jeziorach, jakoteż o morzu wody słodkiej znajdującem się wewnątrz kraju, którego granic oznaczyć nie mogli. Indianie z Hochełegi byli

pokoleniem rolniczym, nie oddalali się więc nigdy zbyt daleko od siedzib swoich; powzięli oni większą część swych wiadomości jeograficznych od pokoleń strzeleckich z Sagwenayu, leżącego na północy. Wódz Onakony w swęj młodości wiele podróżując był także w kraju Sagwenay, który opisuje jako bogaty i płodny; był także u *Pikemeńczyków* (zapewne *Pikagamów*), mieszkających nad jeziorem *Świętego-Jana*, na krańcu rzeki Sagwenay. Jeśli można mu wierzyć, mieli się znajdować w tym kraju biali ludzie, ubierający się w wełniane materye, podobne do tych, które noszą Francuzi. Ci, którzy nie uważają tego opisu za czczy wymysł starego naczelnika (a my należemy do tej liczby) domniemują się, że to mogli być Korterealowie (a), którzy z swemi towarzyszami popadłszy w ręce Indyan z Labradoru, przeprowadzeni zostali w głąb kraju.

Od Listopada aż do Marca, Cartier i jego towarzysze zimowali na rzece Sgo Wawrzyńca, naprzeciw indyjskiego miasta Stadakona. Okręta ich były otoczone lodem na dwa sążnie grubym,

a śnieg nagromadził się więcej niż na dwa łokcie nad pomosty; wszystkie płynny pomarły, a na domiar nieszczęścia osady, szkorbut choroba dotąd zupełnie nieznaną naszym podróżnym, wybuchła nagle pomiędzy niemi; wyjąwszy trzech, wszyscy prawie zostali nią rażeni. Pomarli, pochowani zostali w śniegu, gdyż ich towarzysze nie mieli sił potrzebnych do wykopania innego im grobu. Nakoniec jeden z Indyan wskazał drzewo, z którego liści i kory wygotowany dekolt, w kilku dniach ich uzdrowił. Gdy lody stopniały znacznie, Cartier puścił się na morze, i przybył do Saint-Malo w Lipcu r. 1536. W skutku świetnych jego opisów utworzono wyprawę, dla zaludnienia i wykarczowania cudownego kraju przez niego odkrytego. Roberwal, otrzymał przywilej, i wypłynął r. 1540, w zamiarze założenia osady w Kanadzie; lecz ani ta wyprawa źle kierowana, ani kilka innych po niej następujących, nie osiągnęły zamierzonego skutku. Dopiero w r. 1608, Kwebek został założony, a r. 1629 Angliey, których potęga szybko rozszerzała się w Wirginii, zagrozili istnieniu tej nowo powstałej osady. W roku 1609 Hollendrzy założyli pierwszą swoją osadę po nad brzegami Hudsonu.

(a) Rozdział XIII. stronnica 93.



ROZDZIAŁ XVIII.

OSADY W AFRYCE.

Wyłączny handel Portugalii z Afryką. — Podróż Windhama i Loka. — Przygody Andrewsza Battel. — Pojmany w niewolę przez Portugalczyków. — Urowadzony do Angola. — Prowadzi handel na korzyść gubernatora. — Chce uciec. — Pojmany i uwięziony. — Odestany do Massingano. — Ucieka. — Jego podróż. — Powtórnie pochwycony. — Odestany do Elambo. — Raniony w bitwie. — Portugalczycy prowadzą handel z Giagasamu. — Przedzierają się wraz z niemi w głąb kraju. — Battel zostawiony jako zakładnik. — Śmierć mu zagraża. — Ucieka Giagasom. — Wraca do Massingano. — Pokój z Anglią. — Portugalczycy odmawiają dymissyi Battelowi. — Ucieka po raz trzeci. — Kryje się po lasach. — Jezioro Kasansa. — Buduje czołno i dostaje się na morze. — Szczeniwiwe spotkanie. — Powraca do Anglii. — Misjonarze u Giagasów. — Okrutne obyczaje tego ludu. — Zingha chrzest przyjmuje. — Kompania angielska w Senegalu. — Tompson płynie w górę rzeki Gambii. — Zgon jego. — Podróż Jobsona. — Konferencja z Bukarem-Sano. — Opis Timbuktoo. — Handel tajemniczy. — Kompanija francuzkie. — Podróż Janekina. — Brue płynie w górę Senegalu. — Szczegóły dotyczące handlu złota. — Compagnion zwiedza Bambuk. — Opieszałość Portugalczyków.

Gdy Europejczycy zatykali swoje sztandary i ugruntowywali swą władzę w Nowym-Swiecie, i w najodleglejszych krainach wschodu, czynili stosunkowo nader małe postępy w krainach bliższych, w których jednakowoż nie zaniedbywali zupełnie czynić zaborów. Wtedy dopiero zajęto się z zapalem odkryciami afrykańskimi, gdy poznano trudności od nich nieodłączne. Portugalczycy, którzy pierwsi odkryli wybrzeża afrykańskie, zapewnili sobie mocą nadań papieżkich, wyłączne prawo handlu i rządu w tej rozległej części ziemi; Anglicy jednak wcześniej już usiłowali mieć udział w tym handlu. Roku 1481 dwóm żeglarzom tego narodu, znęconym przez księcia Medina-Sidonia, polecono przygotować eskadrę, któraby zwiedziła wybrzeża Gwinei. Dwór portugalski wysłał natychmiast ambassadorów, którzyby przedstawili królowi Edwardowi IV, iż gwałci prawo poświęcone darowizną papieża i skłonili go do wzbronienia swoim poddanym wszelkich czynów mogących naruszyć panowanie portugalskie w Afryce. Żądanie to przyjęte zostało, i przez długie lata, kupcy angielscy musieli się zamykać w ciasnych granicach, które im zakreśliło fanatyczne postuszeństwo i śmiałość przywłaszczenia politycznego.

Najgłówniejsze posiadłości Portugalczków w Afryce były w *Senegambii*, (kraju położonym pomiędzy rzekami *Gambią* i *Senegalem*), na *Pobrzeżu Złotém* i w *Kongo*. Mało jest znanym sposób ich osiedlania się i bez zadziwienia pomyśleć nie można, że tak niedostateczne świat zebrał wiadomości o niezmordowanej czynności Portugalczków w XV i XVI wieku. Okoliczność, iż język ich osiągnął pierwszeństwo w krajach na południe Gambii wyraźnie dowodzi, że władza ich rozciągała się daleko w tej stronie; powszechném nawet jest zdaniem, że sam *Bambouk* uznawał ich panowanie. Ich podróźnicy byli wszyscy kupcami lub misyonarzami; pierwsi zajmowali się tylko zyskiem, drudzy zaś wszelkie swoje widoki ścigali do religii.

Gdy reforma zachwiała w Anglii wpływ papieżki, zniosła także zapory, które wyroki najwyższego kapłana stawiały dotąd zaborcemu duchowi Anglików. Uczuli oni, że mogą przekroczyć przywileje, których początek nie wydawał im się teraz ani prawym, ani godnym uszanowania. Na przekór przełożeniom i groźbom dworu portugalskiego, dwa okręta dobrze uzbrojone, wysłane zostały r. 1553 dla prowadzenia handlu na brzegach Gwinei. Towarzystwem kapitana *Windham* dowodzącego niemi, był Portugalczyk nazwiskiem *Pinteado*, który wygnany ze swego kraju, ofiarował swoje usługi kupcom angielskim. Dumny dowódca nie mógł znieść tego, iż mu przydano towarzysza, obszedł się zatem z *Pinteadem* brutalnie, co pociągnęło najgubniejsze skutki dla wyprawy. Portugalczyk doradzał iżby zamieniono towary za złoto na pobrzeżu Gwinejskiem, i starał się odwieść swego dowódcę od niezdrowych brzegów *Beninu*; lecz *Windham* powodowany sprzecznnością udał się tam właśnie i z dwoma trzeciami częściami swojej osady padł ofiarą chorób tego groźnego klimatu. *Pinteado* umarł także wracając z wyprawy trawiony zgryzotą i rozpaczą.

Optakany koniec tej podróży, spowodowany złem postępowaniem dowódcy, nie zniechęcił kupców londyńskich, którzy powtórnie postanowili uczynić doświadczenie. Roku 1544 trzy okręta wy płynęły do Gwinei, pod rozkazami kapitana *Jana Lok*. Nie doznały one żadnego przypadku, ani przeszkody w ciągu swjej wyprawy kupieckiej wzdłuż brzegów Gwinei; przywozły też do Anglii przeszło 400 funtów złota, wielką ilość afrykańskiego pieprzu i 250 zębów słoniowych rozmaitej wielkości. Kapitan *Lok* sprowadził ze sobą kilku niewolników murzyńskich, którzy byli wysokiego wzrostu, lecz nieco stabi z powodu zimnego i wilgotnego klimatu, potrawy angielskie bardzo im smakowały. To powodzenie tak zachęciło wszystkich, że po powrocie *Loka* prowadzono przez lat kilka stałe handlowe stosunki z Gwi-

neą, które nie przestawiają jednak żadnego ważnego wypadku. Winni tylko jesteściej pewnemu angielskiemu jeńcowi najdawniejszy i ze wszech miar zasługujący na uwagę opis zakładów portugalskich w Kongo.

Andrew Battel wypłynął z Tamizy r. 1589 na małej pinassie o 50 beczkach ładunku, wysłanej do La Plata, lecz nie należy się temu dziwić. Śmiałość żeglarzy w owej epoce okazywała się nie tylko w szczupłości statków, na których przybywali ocean, lecz jeszcze i w niedbalstwie, z jakim się losowi powierzali, iż im dostarczy rzeczy potrzebnych do życia. Battel ucierpiawszy wiele z powodu braku żywności, zarzucił kotwice przy małej wyspie Świętego Sebastiana, na wybrzeżu brazylijskiem; tam okrętowa osada na pół ginąca z głodu, wysiadła na ląd, dla ułowienia cokolwiek ryb, lub wyszukania w lesie owoców. Tymczasem Indyjanie przybyli w czółnie z miasta Spiritu-Santo, przypatrzywszy się obrotom angielskiego statku, wylądowali z przeciwnej strony wyspy, i niepostrzeżeni przeszedłszy przez lasy, pochwycili pięciu majtków. Battel był w ich liczbie i wraz z drugimi został zaprowadzony do Rio-Janeiro. Po czteromiesięcznej niewoli w tym mieście, został odesłany do Angoli, a potem do twierdzy nad Koanzą, o 65 mil w głąb kraju. Przesiedziawszy znowu tam dwa miesiące, sternik, który zwykle kierował szalupą gubernatora umarł, i zlecił Battelowi, aby się puścił rzeką aż do Świętego Pawła, miasta leżącego nad brzegiem morza, gdzie zachorował i leżał przez sześć miesięcy. Obchodzono się z nim pogardnie, jako z anglikiem i heretykiem. Po długim jednak upływie czasu wyzdrowiał, i dostawszy dowództwo małego statku, użyty został przez gubernatora do prowadzenia dla niego handlu, najprzód na brzegach Zairy, potem w Loango. Battel sprawił się zręcznie. Za trzy łokcie sukna, Portugalczycy nabywali od krajowców trzy zęby słoniowe, ważące blisko sto dwadzieścia funtów. Gubernator Angoli, zawdzięczając Battelowi

jego wysługi, przyrzekł mu wolność. Ufając temu zapewnieniu, ciągle jeszcze przez półtrzecia roku prowadził handel na brzegach Angoli i Loango. Po upływie tego czasu, statek hollenderski przybył do Świętego Pawła, i kapitan przyrzekł zabrać z sobą Battela do Anglii; lecz w chwili, gdy miano podnieść kotwicę, kilku majtków portugalskich doniosło o jego ucieczce, pojmany i zaprowadzony do więzienia, nieszczęśliwy pozostawał w niem przez 2 miesiące okuty w kajdanach. Po upływie tego czasu Battel wygnany został do Massingano, gdzie przeżył lat sześć z kilku Egipcyanami i Maurami, równie jak on niewolnikami; zwierzył się on jednemu z nich, przedstawiając, że lepiej raz narazić życie dla odzyskania wolności, niżeli tak je nędznie pędzić. To dowodzenie podobano się Egipcyanowi; jeszcze kilku innych zwolna wciągnięto do zmywy, tak że siedmiu Portugalczyków i trzech Egipcyan uciekło wraz z Battelem. Opanowawszy najlepsze czółno puścili się z biegiem rzeki Koanza. Gdy już byli daleko od fortecy, wysiedli na ląd z bronią i ładunkiem, później zatopili czółno, aby Portugalczycy nie odkryli miejsca, w którym wylądowali. Szli całą noc i dzień następny nieznalazszy wody; drugiej nocy zaledwie już byli w stanie stąpać, i musieli co chwila rozkopywać ziemię i wyrwać z niej korzenie, które ssali, aby sobie usta odwilżyć. Trzeciego dnia napotkali starego murzyna, którego zmusili by im służył za przewodnika aż do jeziora Kassansa. Lękając się pogoni podróżowali podczas dziennego upału, co w owym kraju jest rzeczą prawie niepodobną do wytrzymania. Dążąc ciągle ku wschodowi, dostali się do gór, które z owej strony tworzą granicę królestwa Kongo. Wówczas dopiero odkryli zdradę swego murzyńskiego przewodnika, który ich obłąkał; otoczonymi zostali od Portugalczyków i tłumem murzynów, którzy poszli za ich śladem: Battel wyskoczył z krzaka, w którym się ukrył, i chciał drogo zaprzedać swe życie. Jednak oficer portugalski nakłonił go do pod-

dania się, dawszy słowo, iż życie jego będzie szanowane. Pomimo-to w mieście *Świętego Pawła* przez trzy miesiące zostawał w ciężkich kajdanach okuty. Nareszcie wysłano go z 400 występniemi Portugalczykami, skazanemi na całe życie do wojska przeznaczonego walczyć z murzynami. W jednej z pierwszych utarczek raniony w nogę dostał się napowrót do *Świętego Pawła* dla wyzdrowienia. Tu polecono mu przeprowadzić statek do *zatoki Krowiej*, gdzie Portugalczycy nabywali od krajowców bydło potrzebne dla swych osad.

Wczasy powtórnej podróży ku tym brzegom, gdy statek Battela znajdował się naprzeciw Kowa, ujrzano znaczne wojsko rozłożone obozem po nad rzeką. Czółn wysłany do ładu na zwiady, oznajmił, że to byli *Giagasowie* czyli *Gindowie*, którzy przybywali ze *Sierra-Leone*, dla opanowania królestwa Konga. Wielki Giaga, ich wódz, nigdy nie widział białego człowieka, pospieszył przeto nad brzeg dla przypatrzenia się z blizką Portugalczykom. Gdy się dowiedział, że przybyli dla prowadzenia handlu, nakłonił ich, aby wysiedli na ład i pokazali swoje towary. W obozie *Giagasów* znajdowała się mnogosc jeńców, których Portugalczycy nabrali na swoje okręta, «płacili po realu za jednego, a odprzedawali w mieście każdego po 12 realów.» Przeprowadzili *Giagasów* przez rzekę, i wysadzili ich na ład w *Benguela*, gdzie ci dzicy mieli zamiar dalej kraj ten pustoszyć. Tegoż jeszcze wieczora, wielki *Giaga* w *gong* swój uderzył: jestto narzędzie wojenne wydające odgłos dzwonu, i w przemowie swojej oświadczył, że chce wyniszczyć naród *Bengueli*. Portugalczycy dopomogli mu litościwie skutecznie ów plan pełen ludzkości. Skoro tylko *Giagasowie* przebyli rzekę, zaczęli mordować bez różnicy wszystkich spotkanych mieszkańców. «Przyprowadzono żyjących jeńców do obozu, mówi Battel, tam ich pożerali *Giagasowie* najwięksi ludozercy na świecie, karmiący się ciałem ludzkim z upodobaniem, chociaż mają podostatkiem bydła.»

Portugalczycy przez pięć miesięcy prowadzili z temi dzikimi najczynniejszy handel, później, gdy *Giagasowie* posunęli się w głąb ku *Bamballa* i oni także przez dwa dni szli za ich krwawemi śladami, a gdy przybyli do miasta, w którym mieszkał naczelnik kraju, posłali do niego niewolnika murzyna, z poleceniem, aby się za nim udał do obozu. Lecz władca murzyński, przeznaczenie niżeli mniemano, przeniknął podstęp, i zwrócił go przeciw tym co go uknowali; dowiedziawszy się bowiem, że *Giagasowie* kraj jego opuścili, otoczył Portugalczyków i przymusił, iż mu w jego wojnach dopomagać musieli, i dopiero, gdy przy ich pomocy pokonał swych nieprzyjaciół, i gdy mu zostawili jednego z pośród siebie jako zakładnika swego powrotu, pozwolił reszcie oddalić się.

Gdy przyszło do wybrania ofiary (gdyż niepowrócenie ich zagrażało niechybną śmiercią zakładnikowi), Battel, jako Anglik, jednogłośnie został wskazany. Zostawili mu karabin i podostatkiem nabożów, przyrzekając wrócić za dwa miesiące i przyprowadzić ze sobą w posiłek stu ludzi. Gdy po upływie oznaczonego terminu Portugalczycy nie powrócili, Battel zaczął doznawać tak okrutnego obejścia, że korzystając z pierwszej wydarzonej sposobności uszedł do obozu *Giagasów*, mając nadzieję, że w ich towarzystwie dostanie się o tyle ku zachodowi, że przedrze się do nadbrzeża morskiego, gdzie może znajdzie jakowy statek. Przebył z niemi góry *Kashindkabar*, które, jak powiada, nadzwyczajnie są wysokie i obfitują w kopalnie miedzi. Okolice *Gonza* nadzwyczajnie są urodzajne i zapełnione dzikimi pawiami, ze sto owych oswojonych ptaków chowano przy grobie starego naczelnika i uważano je za święte, gdyż były poświęcone jego pamięci. Przybywszy blisko o trzy dni drogi od *Massingano*, uszedł potajemnie *Giagasom*.

Battel najuprzejmiej przyjęty został przez gubernatora portugalskiego i otrzymał od niego stopień sierżanta. Służył dwa lata jeszcze na rzece *Koan-*

za. Portugalczycy nad brzegami jej o-
tworzyli kilka kopalni srebra, które
później opuszczono, gdyż kruszcu nie
wydawały. Nakoniec r. 1602 po dwuna-
stu latach jego niewoli odebrano wi-
adomość, że Hiszpania i Anglia zawar-
ły traktat pokoju z sobą. Battel na-
tychmiast prosił o pozwolenie powró-
cenia do swego kraju; otrzymał je, lecz
natychmiast potem zostało cofnięte.

Trzyletnia zmiana gubernatora mia-
ła nastąpić, Battel udał się na dni kil-
ka w lasy, aby wliczonym został do
amnestyi, którą nowy naczelnik osady
zwykle rozciągał na wszystkich zbie-
gów. Wyszedł z miasta w towarzy-
stwie dwojga dzieci murzyńskich, za-
brawszy z sobą strzelbę i proch; ukrył
się w lasach pobliskich gościńcowi, o-
czekując chwili przybycia nowego gu-
bernatora. Lecz dowiedział się, iż zwy-
kła zmiana nie nastąpi tego roku; na-
tenczas już mu pozostawało albo tułać
się ciągle po lasach, albo wrócić do
miasta, i ponieść śmierć za trzykrotne
zbiegostwo. Wolał przeto oddać się
i podróżował aż do jeziora Kassansa,
gdzie, jak mówił, znajdowało się naj-
większe mnóstwo zwierzyny z całego
królestwa Angola." Spędził tam sześć
miesięcy, żywiąc się mięsem bawołów,
danieli i innych zwierząt, na które po-
lował. Nasz łowiec suszył ich mięso,
jak widział, że to czynią Giagasowie,
na prętach wzniesionych o trzy stopy
od ziemi, a spodem rozpalając wielki
ogień, i kładąc kawałki mięsa na ko-
rzeniach lub liściach zielonych, które
wciągały w siebie dym i gorąco. Stru-
dzony nareszcie tak samotnym życiem
postanowił ujsć. Na jeziorze Kassansa
znajduje się wielkie mnóstwo małych
wysepek, pokrytych pewnym gatunkiem
drzewa, zwanego *membra*, które jest
tak gładkie i lekkie jak drzewo korko-
we. Zrobił z niego czóino o szeroki-
m spodzie, pozbijawszy deski dre-
wnianemi klinami. Z kółdry zrobił
żagiel, i dostawszy noża, za który dał
murzynom suszonego mięsa, wystru-
gał trzy wiosła; tak zaopatrzony, pu-
ścił się na rzekę Bengo, przez którą
to jezioro wpada do morza. Wpadł

na prąd i o mało nie zatonął wąty je-
go statek. Uszedł jednak niebezpie-
czeństwa i śmiało wypłynąwszy na mo-
rze, nazajutrz przyjęty został na pi-
nassę, której kapitan był jego dawnym
przyjacielem. Wysadził on Battela w
porcie Loango, gdzie przez trzy lata w
wielkich zostawał łaskach u króla, z
powodu łowieckich swoich talentów.
Powróciwszy on później do Anglii, skoń-
czył życie w Leigh, w hrabstwie Essex,
miejscu swego urodzenia, w sąsiedz-
twie Purchasa, który wydał opis jego
dziwacznych przygód.

Giagasowie, których Battel mieni
był "największymi ludożercami na ca-
łym świecie," odmalowani są przez po-
dróżnych tak straszliwemi kolorami, że
pomimo zgodności ich świadectw, tru-
dno jednak wierzyć prawdzie tego o-
brazu. Lud ów, przedstawiają nam o-
ni jako bandę wywołańców, którzy
wzięli sobie niejako za prawo religijne,
popętniać najbardziej oburzające okru-
cieństwa. Ponieważ wojna jedynym jest
ich zatrudnieniem, nie zadają sobie wię-
c najmniejszego starania w wychowaniu
dzieci, które też najczęściej po urodze-
niu umierają; pokolenia ich pomnaża
młodzież pokonanych ludów, która
prędko nawyka do życia tułaczego i o-
twartego wszelkim namiętnościom.

Zingha, siostra króla Matamby, któ-
rego poddani po części są tychże sa-
mych obyczajów co Giagasowie, przybyła
r. 1622 do Anglii, dla zawarcia trakta-
tu pomiędzy bratem a rządem portu-
galskim. Wzbudziła ona ogólne po-
dziwienie swoim rozumem i przyzwoi-
tym postępowaniem. W czasie pobytu
w Anglii, skłaniała się, lub przynaj-
mniej zdawała się skłaniać ku wie-
rze chrześcijańskiej; lecz gdy za powro-
tem do kraju, niezgoda rodziny poda-
ła jej sposobność wstąpienia na tron
Matamby; sądząc że przywiązaniem do
nowej wiary osłabi swój wpływ nad
poddanemi, zawarła bliższe związki z
Giagasami i przewyższyła ich samych
w okrucieństwie; była od nich szano-
waną w mniemaniu, iż posiada nadprzy-
rodzoną potęgę, i tyle dokazała, że ją
nawet swą królową obrali. Stanąwszy

na czele tego groźnego ludu, była przez dwadzieścia ośm lat postrachem zachodniej Afryki, przez cały ten czas ciągle upewniając misyonarzy, że jest chrześcianką w głębi serca i tylko dla politycznej konieczności zachowywała zwyczaj Giagasów. Przeżywszy lat 68 w roku 1654 przywołała Misyonarzy do Matamba, by nauczali ją i jej poddanych wiary Jezusa Chrystusa. Gdy ci przybyli padła na twarz i witała ich wylewając łez potoki. Stosownie do życzenia misyonarzy, zaczęła natychmiast budować kościół. Większa część ludu, i znaczniejszych urzędników, idąc za przykładem monarchini, przyjęła chrzest święty. Wyszło postanowienie zabraniające każdemu: «wzywać djabła, oddawać cześć lub składać ofiary jakiemukolwiek bałwanowi; porzucać swe dzieci w lasach na pożarcie dzikim zwierzętom: a ci, którzyby to dalej czynili, lub jedli ciało ludzkie, mieli być śmiercią karani.» Wyznawała ona wiarę chrześcijańską aż do samej śmierci, która nastąpiła przy schyłku r. 1663.

Roku 1588, królowa Elżbieta pragnąc rozszerzyć handel Anglii z Afryką, poleciła towarzystwu kupców Exeterskich wyłączone zwiedzenie krajów leżących pomiędzy Senegalem i Gambią. Pierwsze podróże przedsięwzięte w imieniu tego towarzystwa, zdawały się pomyślnym skutkiem być uwieńczone. Za powrotem żeglarze angielscy donieśli: «że sztaba żelaza daleko lepiej podobała się dzikim, niżeli czterdzieści Portugalek.» Lecz ponieważ monopol z swęj natury był wątplym i niedostatecznym, przeto i handel z niego wynikał nigdy się nie stał bardzo ważnym. W miarę jednak, jak bliższe stosunki zachodziły pomiędzy naszymi żeglarzami a krajowcami, pierwsi otrzymali objaśnienia względem tego, co, w owych wiekach ciemnoty było głównym przedmiotem poszukiwań morskich, chcemy tu mówić o złocie. Powiedziano im, że Maurowie, przecho-
dząc niezmierną przestrzeń pustyni, przybywali aż do krajów Timbuktoo i Gago, które w kruszecz ten obfitowały. Kupiec angielski w Maroku, pisał

1594, do jednego ze swoich przyjaciół w Londynie, z uwiadomieniem, że Maur, ajent Portugalczyków, świeżo wrócił z Gago ze trzydziestu mułami naładowanemi złotem. Dodawał, że Maurowie opanowali Timbuktoo, i nałożyli na mieszkańców roczny podatek 60 centarów złota. «Biega tu pogłoska, nadmienienia autor owego listu, że Mahomet uwiózł ze sobą takie skarby, o jakich dotąd jeszcze nigdy nie słyszano. Zdaje się, iż ten kraj sam zawiera daleko więcej złota, niżeli wszystkie inne części kuli ziemskiej. Jeśli władca Maroku zdoła się tam utrzymać, będzie wkrótce najbogatszym na całym świecie.»

Podobne pogłoski musiały koniecznie wzbudzić żarliwe przedsięwzięcia, i na początku XVII wieku widzimy, iż zaczęto już przedzierać się w głąb Afryki. Roku 1618, utworzyło się towarzystwo w wyłącznym celu dostania się do krainy złota i miasta Timbuktoo, w którym mniemano, iż się znajdowały nagromadzone bogactwa z całej Afryki. Jerzy Thompson, kupiec w państwach barbaryjskich, wysłany został na małym stu-dwudziestobeczowym okręcie na urzeczywistnienie tego zamiaru. Instrukcyja jego, nakazywała mu płynąć jak można najdalej w górę Gambii, a potem, zostawiwszy swój statek w miejscu bezpiecznym, by się na małych czółnach w dalszą puścić drogę. Thompson co dojoty wykonał te rozkazy; lecz w czasie jego nieobecności Portugalczycy zabrali mu okręt i wymordowali osadę. Pogłoska o tém nieszczęściu doszła do Anglii, i wysłano drugi okręt na szukanie Thompsona; lecz jego osada była tak wyniszczoną przygodami podróży i chorobami, że gdy przybyła do Gambii, Thompson musiał ją odesłać na powrót z listami, żądając nowych posiłków. Posłano mu więc dwa okręta pod rozkazami Kapitana Ryszarda Jobson, czółwieka świątłego i odważnego. Ten wpłynawszy na rzekę, dowiedział się, że Thompson posunął się aż do Tenda, dalej niżeli dotąd zapuścić się ośmielił którykolwiek Europejczyk, a to

dla widzenia się z Bukarem Sano, pierwszym krajowym kupcem Senegambii: tam poległ z ręki własnych swoich towarzyszy; a że okoliczności tego zabójstwa sprawcom jego tylko znane były, nie więc dziwnego, że powód o niego przypisali opryskliwości i złemu postępowaniu swego naczelnika. Jobson opuścił okręt w Kassanie nad Gambią. Puścił się w czółnach w górę rzeki, poznał, że jego towary istotnie niżej były cenione niżeli się spodziewał, i nieraz żałował, że nie przywiózł z sobą tylko ładunku soli. Wkrótce napotkał Brewera, który towarzyszył Tompsonowi do Tenda, pozostawał on w faktoryi angielskiej, założonej nad brzegami rzeki. Jego doniesienia napęłniły znowu Jobsona tysiącami marzeń złotych. Wszędzie, gdzie się tylko Anglicy zatrzymywali, władcy murzyńscy z rodzinami swemi wychodzili nad brzegi dla kupowania, lub raczej zebrania, o koldry, a szczególnie o wódkę. W dzień Bożego Narodzenia, *Ferambra*, władca murzyński i wielki przyjaciel anglików, przesłał im znaczną ilość mięsa słoniego. Po trzydziesto-dniowej żegludze, podróżni nasi dostali się do wodospadów Barrakondy, najdalszego punktu, gdzie przybywanie morza uczuwać się daje. Powyżej Barrakondy kraj jest niezamieszkałą pustynią. W rzece znajduje się taka mnogość koni morskich i krokodyłów, że murzyni nie śmieli puszcząc się na wodę; słonie pasły się spokojnie w nadbrzeżnej trzcinie, a gromady małp napęlniających lasy, ciskały gałęziami na podróżnych.

Dnia 26 Stycznia Jobson przybył do Tenda, i wysłał posłańca do Bukar-Sana, z wielką mnogością towarów, na które umiarkowaną naznaczył cenę. Po zobopólnej zamianie darów, i wielu innych dziwacznych ceremoniach, Bukar-Sano został ogłoszony handlowym agentem białych. Nawzajem tenże zaszczyt wkrótce otrzymał Jobson, gdy odwiedził władcę owego kraju.

W Tenda, równie jak wszędzie, bardzo żądano soli, niż innych towarów. Łatwo także można tam było sprzedać żelazo, chociaż sąsiedni naród za

daleko tańszą dostarczał go cenę. Miecz Bukar-Sana i bransoletki brązowe jego żony, wydały się Jobsonowi tak pięknymi, jak gdyby zrobione były w Anglii. Wystrzegal się on zadawania wszelkich pytań dotyczących się złota; lecz Bukar-Sano, wiedząc jak wielką cenę przywiązywali do niego Europejczycy, oświadczył im, że jeśli dłużej prowadzić będą handel w Tenda, natładują wszystkie swoje okręta tym kosztownym kruszcem. Kupiec murzyński przysięgał się, że był cztery razy w mieście leżącym o cztery księżycy podróży, gdzie wszystkie domy pokryte są złotem. Uwiadomiono także Jobsona, że o sześć dni drogi od Tenda, znajduje się miasto zwane *Mombar*, gdzie się odbywa znaczny handel złotem; o trzy marsze dalej *Jaye*, z kąd towar ten pochodził. Kupecy wędrowni należeli do narodu zwanego Arabeki.

Jobson umiał się zastosować do zwyczaju ludów, u których przebywał; tańczył, śpiewał i podzielał wszystkie ich zabawy. Uważał on, że woda Gambii, powyżej Barrakondy ma tak nieprzyjemny zapach piżma, z powodu licznych krokodyli, które w nurtach jej przebywają, że niepodobna jej używać. Rzeka ta, powyżej Kassan obfituje także w żółwie, których z początku lękali się dla ich nadzwyczajnej wielkości. Odkrył swoich Jobson nie posunął tak daleko jak nieszczęśliwy kapitan Tompson zamordowany w Tenda, który się dostał aż do *Jaye*. Lecz wiele lat upłynęło, nim inni podróżni przeszli granice, do których Jobson się przedarł. Kilkakrotnie on wspomina bajkę o tajemnym handlu, prowadzonym w środku Afryki, pomiędzy Maurami i narodem murzyńskim, pragnącym być niewidzialnym. «Przyczyna, dla której ci murzyni ukrywają się tak starannie, jest nadzwyczajna wielkość ich warg, które im spadają aż do połowy piersi, muszą je ciągle pocierać solą, aby zapobiedz zgniliznie.» Tak to wielki handel soli, prowadzony w głębi Afryki, nie uszedł bajecznych domysłów. Kapitan Stibbs usiłował znowu w r. 1723 popłynąć w górę Gambii.

Wszędzie krajowcy okazywali się chętni do czynienia zamian, i nawet w niektórych miejscach, tak zwane *safi*, czyli przyjęty czarnoksiężkie pozawieszane były nad brzegami rzeki, dla sprowadzenia na ląd ludzi białych. Stibbs nie mógł posunąć się dalej poza Tendę, która długo była krańcem odkryć geograficznych w owej części świata.

Normandowie z odległej starożytności wywodzą swój handel z Afryką zachodnią; utrzymują: że zwiedzili jej wybrzeża aż po Sierra-Leone, już roku 1364; lecz te przechwałki opierały się na dowodach, które spłonęły w roku 1694 w czasie pożaru ratusza w Diepp. Nie można więc żadnej zwracać uwagi na ową dawniejszą żeglugę, kiedy teraz żadne jej nie istnieją dowody; lecz niezaprzeczoną jest rzeczą, że kupcy z Diepp i Ruen, długo wyłączny prowadzili handel z Afryką i że w r. 1626, mieli już znakomite zakłady przy ujściu Senegalu. Do r. 1664 odnosi się początek pierwszego z owych uprzywilejowanych towarzystw, ustanowionych z rozkazu królewskiego których liczba następnie wzrosła do pięciu. Lecz jeśli towarzystwa francuskie nie wielką osiągnęły korzyść ze swoich praw wyłącznych, zapał jednak z jakim się wzięły do pierwszych spekulacyj, znacznie się przeżył do zwiększenia masy dokumentów już dotąd posiadanych; i do chwili, w której towarzystwo Afrykańskie stanowczo ustanowione zostało w Londynie, Francuzi pierwsze zajmują miejsce pomiędzy zwiedzającemi Afrykę. Roku 1637, Jannequin, młodzieniec bogaty i dobrego urodzenia, wiedziony ciekawością przedsięwziął wyprawę do Senegalu. Nie posunął się na tej rzece dalej jak po obwód zwany Ziemią-Czerwoną. Znaczniejszymi naczelnikami w owych stronach są podług niego: «Damel król Libijski, Brak król Foeliów, Kamalingo naczelnik Maurów Barbaryjskich, i wielki Samba Lamma, rządzący Maurami i Berberesami, na granicy Timbuktoo. Geografia głębi kraju opiera się raczej na fantastycznych teoriach, niż na prawdziwych objaśnieniach, otrzymanych

od krajowców." «Wszystkie wyżej wspomniane państwa, mówi on: zlewa Niger, który, przepłynąwszy przez królestwo Timbuktoo, na trzy dzieli się gałęzie. Pierwsza przechodzi do Barbary pod zwrotnikiem Raka, (co, niełatwą jest rzeczą do zrozumienia); druga wpada do morza, pomiędzy królestwami Barbary i Senegalu; trzecia, której bieg dłuższym jest od dwóch poprzednich, ma swoje ujście nad samym brzegiem morskim." Mniemanie, że Niger i Senegal, są jedną i tą samą rzeką, za czasów Jannequina było powszechnem, i przetrwało aż do początku ostatniego wieku.

Pomiędzy latami 1697 i 1715, wiele objaśnień, dotyczących się kraju przyległego Senegalowi, winniśmy czynności Bruego, należącego w tym przeciagu czasu do administracyi kompanij francuzkich zwiedzających Afrykę. W jedne z licznych swoich podróży, popłynął w Senegal aż do Gallam, i założył twierdzę, lub raczej faktoryę w Dramanet, miejsce ludnem i handlowem. Mieszkańcy posuwali swój handel aż do Timbuktoo, które, jak mówili, leży 250 mil w głębi. Przywozili ztamąd kość słoniową i złoto, a niewolników z Bambara, podług ich zdania niezmiernie rozległego kraju i nader ludnego, położonego pomiędzy Timbuktoo i Kassin. Mówili, że królestwo Kassin jest wyspą, lub raczej półwyspem, utworzonym przez jedną z odnóg Senegalu; złoto tak ma być tam obfite, że się napotyka nieraz na powierzchni ziemi. Z tych wszystkich szczegółów wniesć można, że pod pewnym względem, mieżali królestwo Kassin i z państwem Bambuku, które z sobą graniczą od południa. Długo Francuzi mieli nadzieję, iż sobie utworzą drogę do złotej ziemi; lecz zazdrość krajowych kupców była dla nich zawsze zaporą trudną do pokonania. Nareszcie młodzieniec, zechcany przez Bruego nazwiskiem Compagnion, naraził się ua wszelkie niebezpieczeństwa owej podróży, i dostał się do Bambuku, wsparty opieką władcy afrykańskiego, którego umiał pozyskać sobie przychyłość. Zjawienie się

Jego w tym kraju wznieciło podziwienie i przestрах. Pokazał jednak swoim rozsądnym postępowaniem, iż pozyskał łaskę i ufność tamtejszych naczelników; przez półtora roku przebiegał bez żadnej przeszkody najważniejsze okolice Bambuku. Z trudnością jednak dostał próbek *ghinganu*, czyli ziemi złotój, o którą prosił dla zrobienia z niej sobie kilku fajek. Szczegóły udzielone przez pana Compagnona, wzbudziły we Francuzach chęć rozciągnięcia panowania nad krainą Bambuku; lecz podobny krok wymagał większych sił niżeli mogli poświęcić; twierdza świętego Józefa pozostała

ostatecznym krańcem osad francuzkich w Senegalu.

Portugalczyki ustalili wkrótce swoje panowanie na południowo-wschodnich brzegach Afryki; lecz ponieważ prawie żadnych nie czynili usiłowań, dla dostania się w głąb kraju; ziemio-pisarstwo przeto bardzo mało zyskało na rozwinięciu ich osad; nie umieli przewidzieć jak położenie przylądka Dobrej Nadziei mogło się stać nader ważnym, i dozwolili Hollendrom na początku XVII wieku założyć tam ową osadę, która w rękę Anglii stała się ogniskiem oświaty, dla dzikich mieszkańców Afryki południowej.



ROZDZIAŁ XIX.

PODRÓŻE PO MORZU POŁUDNIOWYM.

Podróż Alkazawy. — Rozkazuje zwiedzić wnętrza Patagonii. — Bunt jego osady okrętowej. — Wyprawa nie udaje się. — Podróż Kamarga. — Wyrwalność Ladrillera. — Odkrycia Willalobosa. — Usiłuje zafundować osadę na wyspach Filipińskich. — Nowa Gwinea. — Legaspi wysłany do wysp Filipińskich. — Podróż Urdaneta. — Odkrycia Żuana Fernandez. — Nowa Zelandya. — Pierwsza podróż Mendany. — Odkrywa wyspy Salomona. — Powtórna podróż. — Odkrycie Markuzów i wysp królowej Karoliny. — Sir Franciszek Drake. — Śmiałe usiłowanie Jana Oznam. — Jego optakany koniec. — Wyprawa Drakego. — Pataganowie. — Wykonanie wyroku wydanego na Doughiego. — Podróż przez cieśninę Magellańską. — Drake uniesiony jest na południe. — Jego powodzenie na brzegach Peru. — Bierze w niewolę statek obładowany skarbami. — Szuka przejścia północnego. — Dostaje się do najodleglejszej szerokości. — Nowy Albion. — Drake kupuje kraj. — Płynięcie ku wyspom Motuckim. — Dobrze przyjęcie jakiego doznaje od króla Ternatu. — Krab-Island. — Położenie niebezpieczne. — Drake powraca zdrow i cały. — Jak jest przyjęty. — Przygody Piotra Karwera.

Zapał odkryć, który skłonił dwórhiszpański do wysłania pięknych wypraw Magellana i Lyosa, nadzwyczajnie ostygł, przez mierne onych powodzenie. Zamieszki polityczne Europy i wypróżnienie jej skarbów, nie dozwoliły cesarzowi zająć się z gorliwością rozszerzaniem swoich państw zaatlantyckich; rząd przeto przedsiębrał mało znaczące usiłowania dla otworzenia morskiej komunikacji przez cieśninę, którą odkrył Magellan.

Roku 1534, Alkazawa z dwoma okrętami usiłował dostać się tamtędy do Peru. Gdy wpłynął w cieśninę, od zachodniego jej krańca postrzegł krzyż, który jak mniemano wzniesiony był w owym miejscu przez samego Magellana, i szczątki rozbitego okrętu, który wedle wszelkiego podobieństwa, należał do floty Loyasa. Niepogoda i brak wody zniechęciły osady; Alkazawa, z łagodnością uległ natręctwu swoich oficerów, i wrócił do portu *Leones y*

Lobos, (Lwów i Wilków morskich), na brzegach Patagonii. Dla zajęcia swych ludzi ułożył plan wyprawy wewnątrz kraju; lecz dla słabości zdrowia niemożąc sam stanąć na czele, powierzył jej dowództwo Roderykowi de la Isla. Nasi podróżnicy przeszędłszy 13 mil drogi, przebyli piękną rzekę, którą nazwali Gwadalkwiwir. Zaledwie uszli 50 mil, i trzy tygodnie upłynęło jak opuścili swoje okręta, a szczupłe ich zapasy całkiem się wyczerpały. Przewodnicy indiańscy starali się ożywić odwagę tych nieszczęśliwych, mówiąc im o kraju, do którego mieli dostać się już wkrótce, że jego mieszkańcy nosili ogromne złote bransoletki; lecz Hiszpanie naglącą potrzebą zmuszeni do odwrotu; doznali najsroźszych męczarni głodu, połączonych z trudami przykrego pochodu. Wielu z tych nieszczęśliwych padło na drodze, reszta przybywszy zgłodniała na brzeg morski, jakąż ogarnioną została rozpaczą, gdy pozostali na okrętach, nie chcieli w nich poznać swych towarzyszków. Istotnie, ci ostatni zbuntowawszy się i zabijwszy swego dowódcę, oczekiwali tylko pomysłnego wiatru dla oddalenia się i zostania morskiemi rozbójnikami. Przez trzy tygodnie spędzone na brzegu nieopodal od okrętów, Roderyk Isl i jego nieszczęśliwi towarzysze, wycierpieć musieli najokropniejsze męczarnie głodu i opuszczenia. Niektórzy z buntowników wzruszeni widokiem tylu cierpień; przejrżeli ogrom swęj zbrodni i niebezpieczeństwo położenia; pochwycili przywódców powstania i wydali ich de Islowi, który ukarawszy ich śmiercią, objął dowództwo nad okrętami i wrócił do Hiszpanii. Po tej nieszczęśliwej wyprawie, nastąpiła podróż Kamarga, w r. 1539, który przybywszy z trzema okrętami z rzeki La Plata, chciał przedrzeć się na Ocean Spokojny przez cieśninę. Dopłynął aż do Peru okrętem, na którym się sam znajdował; drugi z jego statków zabłąkał się w cieśninie, a trzeci, opóźnwszy się odkrywaniem kilku wysp, przystani i morskich odnóg, był zmuszony wrócić do punktu, z którego wypłynął. Ostatnia

to była próba, na którą Hiszpanie pokusili się, dla zbadania i rozwinięcia żeglugi pomiędzy Oceanem Atlantyckim i morzem Południowem. Jednak roku 1557, Ladrillero wypłynął z Chili z dwoma okrętami, dla przepatrzenia cieśniny od jej wschodniego krańca, a pomimo że bunt wybuchnął pomiędzy jego okrętowemi osadami, że burza odłączyła jeden z jego statków, który wrócił do Chili; on jednak wytrwale płynął dalej, przepatrzył starannie wszystkie wklęsłości cieśniny i wrócił, mając jedynie za majtków do kierowania swym statkiem, Hiszpana i niewolnika murzyna.

Prawa Hiszpanii do wysp Moluckich, stanowczo odstąpione zostały przez cesarza r. 1529, za pewną kwotę pieniężną, lecz nie chciał zrzec się swoich roszczeń do licznych wysp, odkrytych przez żeglarzy hiszpańskich na wschód linii demarkacyjnej. Ruy-Lopez Willalobos został wysłany r. 1542 z sześciu okrętami, dla założenia osady na jednej z wysp odkrytych przez Magellana. Podróż ta nader przyczyniła się do poznania wielkiego oceanu; lecz dzisiaj trudno jest iść śladem owego wielkiego żeglarza hiszpańskiego. Willalobos odkrył grupę wysp, które nazwał wyspami Koralowemi, jak niektórzy utrzymują; tworzą one teraz część wysp *Nowo-Filipińskich*. Nieco dalej na zachód trafił na wyspy *Ogrodowe*; potem *Mataloty* i *Arrecifes*, które zapewne są wyspami *Pelew* na naszych mappach tegoczesnych. Przybywszy do Mindanao, objął ją w posiadłość w imieniu cesarza i nazwał *Caesarea Caroli*; lecz potem nazwał całą grupę, do której i ona należy wyspami *Filipińskimi*, na cześć księcia Filipa; ziemio-pisarstwo dochoowało ostatnią tę nazwę, zaś grupa wysp na południe *Ladronów* początkowo zwana *Karolinami* na cześć Karola II, w r. 1705 otrzymała miano *Nowych-Filipin*, nadane jej z powodu Filipa V króla hiszpańskiego, przez Lazeana, który pierwotnie odkrył część owej grupy. Wyprawa Willabosa chybiła swego głównego celu: mieszkańcy wysp

Filipińskich przeczuwając charakter i zamiary nowo-przybyłych, opierali się uporczywie wejść z nimi w stosunki. Hiszpanie, którym zbywało na żywności, ciągle dręczeni przeciwnościami, zmuszeni byli zdać się na łaskę Portugalczyków. Willalobosa umarł w Amboiue; towarzysze jego po niestychanych trudach, dostali się do Goa, skąd wrócili do Europy. Najmniejszy statek tej floty, zwany święty Jan, usiłował po dwakroć dostać się do Nowej-Hispanii, lecz zawsze odepchnięty silnymi wiatrami wschodnimi, zawinął do kilku nowych wysp, i okrążył na kilka mil brzegi niskiego i urodzajnego kraju, któremu Hiszpanie, nie wiedząc, że pierwój już był odkryty, nadali nazwę *Nowej-Gwinei*: miano to dotąd utrzymało się.

Niepowodzenia Willalobosa przypisywane jego błędom nie odstręczyły jednak Hiszpanów od zamiaru założenia osady na wyspach Filipińskich. Miguel Lopez Legaspi wypłynął r. 1564, z portu *Navidad* w Nowej-Hispanii, z czterema okrętami dla dokonania tego planu. Andrzej Urdanet z woli królewskiej był przyłączonym do tej wyprawy; w młodości swojej podróżował pod rozkazami Loyasa, i posiadał wielką wziętość jako żeglarz i biegły kosmograf. Pragnął on założyć osadę w Nowej-Gwinei, którą sądził być częścią wielkiego stałego lądu południowego, ciągnącego się bez przerwy od mórz indyjskich do ziemi Ognistej, leżącej na południe cieśniny Magellańskiej. Jępnakże gubernator Hiszpański, wyraźnie wymienił Filipiny. Legaspi szczęśliwie odbył podróż i odkrył kilka wysp, które nazwał *Los Barbados*, z powodu długich bród, które zapuszczali ich mieszkańcy. Zdaje się także, iż zawinął do jednej z wysp Maryańskich, lecz trudno nadzwyczaj iść śladem owych pierwszych żeglarzy, a wyprawa Legaspiego nadewszystko przedstawia uderzający przykład niedbalstwa, z jakim oznaczano jeograficznie położenie miejsc; czterech sterników jego floty różniło się pomiędzy sobą o 200 mil blisko. Legaspi dopiął tego, iż zało-

żył osadę w Zebu, nielitościwie się pomścił za gwałty, których Magellan doznał tam przed czterdziesto laty. W kilka lat później, opanował Manilę, która od tej chwili, stała się stolicą posiadłości hiszpańskich na wyspach Filipińskich. Po założeniu osady Urdaneta stosownie do instrukcyi, wypłynął na ocean Spokojny, dla dostania się do Nowej-Hispanii. Zamiar ten nie powiódł się wszystkim jego poprzednikom. Lecz on był tak rozsądnym, iż kierował ku północy, dla korzystania z wiatrów zachodnich, i dostał się tym sposobem do 43° szerokości północnej. Mądrym tym obrotem osiągnął cel zamierzony. Następnego roku, okręt udał się z Nowej-Hispanii do wysp Filipińskich, a roku 1567 dwa inne pocięły się drogą wskazaną przez Urdaneta. Od tej chwili przebywano corocznie Ocean Spokojny drogami coraz lepiej znanymi.

W téjże samej epoce, dokonano podobnego odkrycia w południowej stronie wielkiego Oceanu. Żeglarze utrzymywali dotąd, że równie trudno jest opłynąć z północy na południe brzegi Peru, jak żeglować pomiędzy zwrotnikami z zachodu na wschód Oceanu Spokojnego. Lecz Zuan Fernandez odkrył, że w znacznym oddaleniu od lądu na zachód, panują wiatry południowe, które ciągnąc się aż do granicy wiatrów zmiennych czyli zachodnich, ułatwiają żeglarzom dostanie się do lądu południowego, czego skuteczniej by nie można trzymając się brzegu. W czasie jednej z swych podróży, przedsięwzięty ten żeglarz odkrył, o 55 mil od brzegu Chili małą wyspkę, teraz noszącą jego nazwę, otrzymała ona literacką wziętość z powodu rozbiecia i cztero-letniego na niej pobytu Aleksandra Selkirk, którego proste opowiadanie podało Defoemu przedmiot do zajmującego dziełka Robinsona Kruzoa. Zuan Fernandez uważany jest przez wielu iż odkrył *Nową-Zelandę*; lecz wielki ląd, czyli *Tierra Firma*, który on przepatrzył, nie leżała jak się zdaje, tak daleko na zachód Chili; z drugiej strony morze Południowe nie było

jeszcze tak dobrze przejrane, abysmy mieli prawo zaprzeczyć jego opowiadaniu.

Po osiedleniu się Hiszpanów na wyspach Filipińskich, i w skutku tego rozprzeżnienia żeglugi na oceanie Spokojnym, trzeba się było naturalnie spodziewać, że dokonane zostaną liczne odkrycia jeograficzne, na morzu tak gęsto wyspami obsianém. Bydź może, że Hiszpanie przedsiębrali podobne odkrycia, nie ogłaszając ich skutków; mamy powody do sądenia, że nazwa wysp Salomona nadana została pewnym wyspom na morzu Południowém, przed odkryciem grupy wysp, które dzisiaj tak są nazywane. Roku 1567 Alvaro Mendana wypłynął z Kallao, dla przejrzenia niektórych wysp poprzednio wskazanych. W ciągu swojej podróży odkrył wyspy *Salomona*, *Santa-Cruz*, grupę *San-Francisco* i wiele innych. Hakluyt nadmieniał: „że wyspy Salomona dla tego tak nazwane zostały przez tego, który je odkrył, iżby Hiszpanie mniemając, że one były owemi wyspami, z których Salomon czerpał swoje skarby, większej nabrali chęci do zamieszkania na nich. Jednakże odkrycia dokonane przez Mendana w podróży, o której tylko cosmy mówili, nie wzbudziły początkowo wielkiego zajęcia, i wielkich nadziei w Hiszpanach zamieszkałych w Peru. To pewna, że wbrew romansowym wyobrażeniom, które powzięto o ich niezmiernych bogactwach; wyspy Salomona na nowo zostały zwiedzone przez Europejczyków, dopiero we dwa wieki po ustalonej pewności ich istnienia; dzisiaj jeszcze nawet nader niedokładnie znanych. Uplynęło prawie lat trzydzięści nim Mendana powtórnie wyruszył z Peru, w postanowieniu czynienia dalszych zajmujących swych odkryć. W tej podróży odkrył wyspy *Markiza*, grupę *San-Bernardo*, i te, którą Karteret nazwał później *wyspami królowej Karoliny*.

Chciał znaleźć znowu wyspy Salomona, lecz pomyliwszy się w rachunku nie dokazał tego, i rzucił dalsze poszukiwania w chwili, gdy o 20 mil tylko

się znajdował od wyspy *San-Christoval*. do której się pragnął najbardziej dostać. Usiłowania jego w celu założenia osady w *Santa-Cruz*, nie powiodły się z powodu oporu jaki wzbudziła w krajowcach srogość Hiszpanów. Mandana więcćj wslawionu z swych odkryć, jak talentów żeglarskich, umarł na tej ostatniej wyspie.

Przed powtórną podróżą Mendana, uwaga Hiszpanów mieszkających w Peru, została odwróconą od wszelkich odkryć i zakładania nowych osad, przez niebezpieczeństwa na jakie byli narażeni. Zostali bowiem napadnięci niespodzianie i nagle im wydarto wszelkie skarby. Sir Franciszek Drake przebrał się przez cieśninę Magellana, na morze Południowe, które mniemali że zupełnie do nich należy, a to jego niespodziane zjawienie się przejęło ich podziwieniem i trwogą. Nadzwyczajny ten człowiek urodził się z rodziców niskiego stanu, w Tawistok, w Demonsbir. Od najpierwszej młodości poświęcił się morzu, a właściciel statku, na którym służył, darowawszy mu takowy, położył węgielny kamień jego przyszłego majątku. Młody Drake należał do wyprawy Sir Jana Hawkins, wysłanej w r. 1567 do zatoki Meksykańskiej. Utracił tam wszystko co posiadał, i wrócił do kraju z bogactwami tylko doświadczeniem i niezblaganą zawziętością przeciw Hiszpanom. Roku 1573 objął dowództwo nad dwoma statkami, wysłanemi dla złowienia skarbów, które jak mówiono miały być przewiezione do Panamy przez przemyk Dariena. Nie osiągnął wprawdzie wprost celu owęj wyprawy, lecz nabył ogromne bogactwa, których użył ze wspaniałomyślnością.

Lecz nim opowiemy czyny Drakego na morzu Południowém, należy pierwój skreślić pokrótce dzieje awanturników co go poprzedzili. Pomiedzy towarzyszami Drakego znajdował się Jan Oxnam, czyli Oxenham, który jak się zdaje był jego ulubieńcem. Roku 1575 Oxnam przybył do zatoki Meksykańskiej, na małym statku 120 bezkowym, mającym 70 ludzi osady. Do-

wiedziawszy się, że od czasu napadu Drakego, skarby Hiszpanów tak były strzeżone, że najśmielszych mogły zniechęcić od pokuszenia się na nie, ułożył plan wojny, równie dziwny jak zuchwały. Wciągnawszy swój statek na ląd, pokrył go kurzeniami drzew, całą artylerję zakopał w ziemię, prócz dwóch małych armat, dla straży których zostawiwszy jednego człowieka, z innymi zapuścił się w głąb ziemi. Przybył wkrótce do rzeki, która płynęła ku południowi, zbudowawszy tam pinasę na 45 stóp długą, ośmielił się puścić na tak wąłym statku na Ocean Spokojny. Skierowawszy natychmiast bieg swój ku *Wyspom Perto-wym*, zabrał czoła niosący 50,000 *pesos* złota, równie jak i drugi przybywający z Lima, z 100,000 *pesos* srebra. Obladowany tą zdobyczą, powrócił do rzeki, o której jużesmy wspomnieli, tam powstała walka pomiędzy jego ludźmi, gdy zabranemi łupami dzielić się mieli; tymczasem Hiszpanie puściwszy się z czterema okrętami w pogoń za Oxnamem, przybyli do miejsca gdzie skarby były zakopane i porwali one. Anglicy bójkę z sobą ukończywszy wrócili w to miejsce, i nieznalazszy swych bogactw, puścili się w pogoń za Hiszpanami, niebacząc, że nierównymi im byli w liczbie, wpadli też w zasadzkę, i na głowę zostali pokonani. Wkrótce też oddział Hiszpanów odkrył i okręt Oxmana, z żywnościami i artylleryą tak starannie ukrywaną. Anglicy uszli przed rzezią, żyli czas jakiś w lasach pomiędzy Indyanami, trudniąc się budowaniem czółen, na których ująć chcieli, lecz wkrótce pochwyteni zaprowadzeni zostali do Panama, gdzie Oxnam i wszyscy jego towarzysze, prócz trzech chłopców okrętowych, śmierć ponieśli. Tak nieszczęśliwie zakończył żywot ów śmiały awanturnik, pierwszy z Anglików, który się puścił na Ocean Spokojny.

Teraz powróćmy do Drakego. Przyjaciele przygotowali dla niego eskadrę, z którą miał skutecznie swe zaborcze zamiary na morzu Południowém. Flotta oddana pod jego rozkazy, składała

się z pięciu okrętów, z tych największy *Pelikan* był tylko o stu beczkach. Połączone osady wszystkich statków, nie wynosiły 160 ludzi. Rozsiano pogłoskę, że ta wyprawa przygotowana była do Aleksandryi. Dnia 13 Grudnia r. 1577, Drake wypłynął z Plimuth dla dokonania pamiętnej swej podróży. Pomiędzy *Mogadorem* i przykładem *Białym*, na Afrykańskich brzegach, pojął w niewolę kilka małych statków, które puścił, zabrawszy z nich jednak wszystko, co mogło być przydatnem jego flocie. Dnia 14 Kwietnia, przybył na rzekę *La Plata*; i zarzucając kotwicę o 9 mil od jej ujścia, wystął swych ludzi na połów morskich ciałat. Korsarze nasi znaleźli w chatach krajowców wielkie mnóstwo uszonych ptaków, przeznaczonych na pożywienie, pomiędzy innymi było pięciu strusiów, których nogi tak były duże jak łopatki baranie. *Łabedź*, okręt o 50 beczkach, nie mogąc w dalsze puścić się podróży, dla wielkiego zepsucia został porąbany i użyty na opał. Opisy nie są zgodne wcale względem mieszkańców tych brzegów. Niektórzy podróżujący wystawiają ich jako ludzi średniego wzrostu, lecz kształtnych, gdy podług zdania innych są to olbrzymi: «obok których najwyżsi Anglicy wydają się istotnemi pigmejczykami.» Zdawali się mieć szczególniejsze upodobanie w słuchaniu trąb, i dopóki zostawali w przyjacielskich stosunkach z żeglarzami angielskimi, chętnie tańczyli z niemi. Dnia 20 Czerwca, wyprawa wpłynęła do portu Świętego-Juliana, tego samego, w którym niegdyś zimowała flotta Magellana. Wznosiła się jeszcze na brzegu szubienica, dawny pomnik surowości owego hiszpańskiego wodza. W tymże samym miejscu, zdarzył się wypadek, który nie zatartą plamę zostawił na sławie Drakego. Oskarżono z błahego powodu, Tomasz Doughthie, żeglarza nader zdolnego, drugiego dowódcę floty, że żywił nienawiść przeciw Drakemu, który go na śmierć skazał. Niedokładne objaśnienia udzielone o tej sprawie przez dziennopisarzy podróży, dają powód do mnie-

mania, że admirał ukarał w zdatnym koledze talent, którego lękał się współzawodnictwa. Flotta zmniejszoną teraz została tylko do trzech okrętów, i 17 sierpnia 1578, wypłynęła z portu świętego Juliana, po dwumiesięcznym tam pobycie. Drake dostał się bez trudności do cieśniny Magellana i przebył ją w nader krótkim czasie, bo w dniach siedemnastu. Znalazł tam liczne i wysmienite przystanie, równie jak podobnie świeżej wody, lecz morze tak głębokie, iż trudno było znaleźć wygodnego miejsca do zarzucenia kotwicy. Po obu stronach brzegi były wyniosłe i dokuczliwe panowało tam zimno; jednak mnóstwo drzew ciągle zielonych świadczyło, że klimat nie stawiał żadnej przeszkody roślinnemu życiu. Drake napotkał w cieśninie Indyan małego wzrostu; pływali oni w czótnach sztucznie wyrobionych z kory, i spojonych rzemieniami ze skóry morskich cięłat. Mieszkania ich zbudowane były z pali, a pokryte skórami zwierząt. Indyanie ci mieli groźne noże, wyrobione z muszli morskich, na dwadzieścia cali długie, temi krajali nie tylko najtrwadsze drzewo, lecz nawet i kości. Drake sprawdził, że zachodnie ujście cieśniny, nie było utworzone i zamknięte dwoma stałymi ładami, lecz archipelagiem wysp niezmiernie ścieśnionych; żegluga pomiędzy nimi trudną mu się wydała, nie tylko dla mnogości i zawiłości kanałów, lecz z powodu burzliwej temperatury powietrza, zdającą się być wyłącznym udziałem, owęj części kuli ziemskiej. Huragan, któremu oprzeć się nie mógł, uniosł jego flotę o 100 mil ku zachodowi, i jeśli można dać wiarę niektórym opowiadaniom, ku tak dalekiej szerokości, że noc trwała tam tylko dwie godziny. *Kłopot*, statek trzydziesto-beczkowy, został w tém miejscu odłączony od floty i nigdy już o nim niepowzięto żadnej wiadomości. Drake i Winter, kapitanowie dwóch pozostałych okrętów znaleźli wreszcie przyzutek przy zachodnim wejściu do cieśniny, w zatoce, która z powodu zaszłych później wypadków, nazwaną została: zatoką *Roz-*

łączenia Przyjaciół. Tam zerwała się lina admirałskiego okrętu, który znowu uniesiony na rozległe morze, zagnany został jeszcze dalej na południe; tym to sposobem przybił «aż do ostatniego krańca ziemi przy biegunie południowym, który się znajduje, mniej więcej, pod 56°, a po za którym nie widać dalej na południe żadnego stałego lądu, ani wyspy, lecz tylko ocean Atlantycki i morze Południowe, mieszające z sobą swe wody.» Winter wpłynął do cieśniny, gdzie ludzie jego odzyskali zdrowie, poczem wrócił szczęśliwie do swojego kraju. Szalupa, z ośmiu ludźmi, których los później opowiemy, wysłaną została do Anglii z doniesieniem, iż flota przebyła cieśninę.

Drake, wyspy, na których znalazł przyzutek nazwał *Elizabetydami*; widział tam wielkie mnóstwo krajowców pływających w czótnach z wiosłami; kobiety nosiły swe dzieci w skórzanych workach, przypasanych do bioder. Burza, przez którą był tam zagnany, trwała bez przerwy pięćdziesiąt jeden dni; mógł się wreszcie oddalić i przy końcu Listopada, i zarzucił kotwicę przy wyspie Mocha; na wybrzeżu chilijskiem. Pod przewodnictwem sternika indyjskiego, wpłynął do portu Walparaiso i zabrał wielki okręt, na którym znalazł; prócz wielkiej obfitości chilijskiego wina, 60,000 pesos złota; potem zabrał miasto i uprowadził ku Lima Jana Griego, doświadczonego sternika. W Tarapaka, kilku Anglików wysiadłszy na ląd, znalazło Hiszpana uśpionego przy sztabach srebra, których wartość wynosiła około 4000 dukatów; nieco dalej, pojмали Hiszpana i Indyanina, którzy prowadzili sześć łanów obładowanych, każda 100 funtami srebra.

Nasi awanturnicy obrachowali bogactwo kraju, i podług ich rachunku, każde sto funtów ziemi powinno było wydać 7½ rubli (50 zł.) czystego srebra, a korzyści otrzymane z łupieztwa, przewyższyły ich szalone marzenia. Przy Aryka, podobnymże sposobem opanowali dwa okręta, naładowane drogiemi kruszcami. Wystano wprawdzie gońców z Walparaiso, do

Peru z wiadomością o wszystkim, co zaszło w tém mieście; lecz komunikacye lądowe tak były źle urządzone, że Drake ich wyprzedził. Dnia 15 Lutego, dostał się do portu Kallao, gdzie znalazł 17 okrętów, z których kilka nalożonych było srebrem, tamże się dowiedział, że *Cacafuego* wielki statek, z ogromnemi skarbami odpłynął do Panamy, przed piętnastu dniami. Dozwoliwszy rozpuścić się okrętom znajdującym się w porcie, z obawą, aby go nie ścigały, rozwinął wszystkie żagle, i puścił się ku północy. Hiszpanie wprawdzie uzbroili dwa okręta, i puścili się za nim; lecz przygotowany się naprędce, zmuszeni byli cofnąć się dla braku dostatecznych zapasów. W Payta, Drake dowiedział się że *Cacafuego* o dwa dni tylko był od niego oddalony, a 1 Marca doszedł go, i bez żadnej trudności pojmał.

Drake natychmiast zwrócił się ku zachodowi, i przez dwa dni oddalał się od lądu nim przystąpił do przepatrzenia swojej zdobyczy. Wówczas nasi awanturnicy, wydobyli z *Cacafuego* trzynaście skrzyń napełnionych srebrnemi realami, osmdziesiąt pudów złota i dwadzieścia sześć beczek srebra w sztabach, co wszystko razem wynosiło blisko 360,000 *pesos* srebrnych, czyli 600,000 rubli (6,000,000 zł.). Po dokonaniu tego łupieztwa pragnęli już tylko prędko i bezpiecznie wrócić do kraju. Wówczas Drake przedsięwziął zamiar okazujący moc jego woli, i nieulekłą odwagę. Postanowił spróbować, czy stroną północno-wschodnią nie zdoła wrócić do Anglii. Wiadomości ziemopisarskie lubo bardzo niedokładne jeszcze w owym czasie, dozwalały mu jednak powziąć nadzieję, że znajdzie w tym kierunku przejście lub cieśninę komunikującą z oceanem Atlantyckim. Przy wyspie Kanno, pod 10° szerokości północnej, zatrzymał się dla naprawienia szkód swego okrętu i odświeżenia zapasów zabranych z małego statku hiszpańskiego, który przed niedawnym czasem pojmano, prócz żywności, znaleziono także list króla hiszpańskiego do gubernatora wysp Fili-

pińskich, a co ważniejsza, kilka mapp wskazujących drogi po oceanie Spokojnym. Po naprawieniu okrętu, Drake natychmiast puścił się na morze i żeglował 700 mil ku północo-zachodowi, niepostrzegłszy ziemi. Dostawszy się pod 42° szerokości północnej, zimno było tak wielkie, że wszelkie płyny pomarzły i w miarę jak się zbliżał do brzegu, coraz stawało się nieznośniejsze, musiał się przeto wyrzec rozwiązania najbardziej zajmującego problemu, ówczesnego ziemio-pisarstwa, to jest przekonania się czy istniała komunikacya północna pomiędzy oceanem Atlantyckim a morzem południowym; zmuszony był bowiem napowrót się cofnąć.

Pomiędzy 48° a 38°, postrzegł wysokie góry pokryte obficie śniegami, ciągnące się prostopadle ku brzegom. Odkryto dogodną przesań, a że okręt nabierał wody, zarzucono przeto kotwicę, wyładowano na brzeg żywność i osadę, i natychmiast wzięto się do naprawy. Anglicy zaledwie od kilku godzin przebywali na lądzie, gdy ujrzeli tłumnie śpieszących ku brzegowi krajowców i okazujących nadzwyczajne podziwienie na widok cudzoziemców. Jeden z nich odważył się nawet zbliżyć w czółnie do okrętu angielskiego; miał długą przemowę, której towarzyszyły poruszenia mieszczno uroczyste. Podwakroć powtarzał tę ceremonię, i podwakroć na ląd wysiadał; za trzecim razem za pomocą długiej żerdzi, ofiarował okrętowej osadzie bukiet z piór czarnych, i koszyk napełniony ziemią, które zwał *tabak*. Tym sposobem zawarte zostało przymierze, pomiędzy Anglikami i krajowcami. Indyjanie nie zdawali się być nieczułymi na srogość swego klimatu; lubo owinięci w ciepłe futra, drżeli jednak od zimna, i ilekroć zdarzyła się sposobność wdziewali wełniane ubrania podawane im od Anglików. Mięszkania mieli wykopane w ziemi, a dachy uplecione z gałęzi były także pokryte ziemią; otwór zostawiony u samego wierzchołka, służył zarazem za drzwi i komin. Zdawali się mieć podobostatkim żywności; byli czynni, kształ-

tni, szczerzy i przyjacielscy. Drake, obszedł się z nimi uprzejmie. Niezadługo potem *Hioch* czyli władca krajowy, przybył odwiedzić Anglików. Po długich przemowach miałych przez kilku krajowców, i wśród których obecny tłum za każdym peryodem wykrzykiwał, z zapalem *Oh! Oh!* jakby potwierdzając to co wyrzeczono; *Hioch* zbliżył się do Drakego, i kładąc mu na głowę pewien rodzaj czapki, ozdobionej wieńcami z jaj, i zupełnie podobnej do tej, którą sam nosił na głowie, powitał go nawzajem jako *Hiocha*. Anglicy, pocztyli tę grzeczność za zupełne ustąpienie władzy najwyższej przez starego ich naczelnika na rzecz Admirała. Drake odbył małą wycieczkę w głąb kraju, widział liczne stada tłustych danieli, i szczególniejszy gatunek królików, lub raczej świszczów, nieznanych jeszcze naturalistom. Gdy okręt zbuchtowano, Drake po miesięcznym blisko pobycie przy tych brzegach, podniósł kotwicę 17 Lipca, przed odpłynieniem wzniosł kolumnę z tablicą miedzianną, na której wyryto herb Anglii i imie królowej. Nazwał on ten kraj *Nowym - Albionem*. Ponieważ od niejakiego czasu wiatr dął od północozachodu, awanturnicy nasi postanowili skierować ku wyspom Moluckim. Obawa spotkania Hiszpanów i trudna przeprawa po owych burzliwych morzach, były powodem, iż z powrotem obrano tę drogę, a nie przez cieśninę Magellańską. Przez sześćdziesiąt ośm dni żadnego niepostrzeżono lądu; nakoniec 30 Września, okręt przybił do wysp, które towarzysze Drakego nazwali *Złodzijskimi*, z powodu nadzwyczajnego pociągu do kradzieży, który dostrzegli w krajowcach. Wyspy owe były zapewne częścią tych, które dzisiaj nazywają się *wyspami Pelew*. Drake jak najlepiej był przyjęty do króla Ternatu, który ofiarował się nadać wyłączone prawo Anglikom prowadzenia handlu z tą wyspą, zwiedził następnie południowe brzegi *Celebes*, i znalazłszy na drodze małą niezamieszkaną wyspę, zaopatrzoną wyborem portem, pozostał w nim przez miesiąc dla napra-

wy okrętu. Cała ta wyspa była wielkim lasem, którego drzewa nadzwyczajnie wysokie i proste, nie miały gałęzi, tylko u samego szczytu, mnóstwo ogromnych nietoperzy, przesiadywało na nich, widzieć tam także można było niezliczone gromady raków ziemnych, których nam pozostał następny opis; „Jestto gatunek raków, tak ogromnych, że jednym nasyciłoby się czterech ludzi, z dobrym apetytem, wsmienieniem prócz tego są jadłem; zdają się zupełnie być obce morzu, i całkiem żyją na brzegu; kopią głębokie jamy pod korzeniami najogromniejszych drzew, i przesiadują tam w licznych gromadach.”

Zaledwie nasi awanturnicy opuścili tę wyspę, gdy statek ich zahaczył o skałę wystającą po nad wodą. Zrzuciono z pomostu w morze trzy beczki korzennych goździków i ośm armat, lecz nie niepomogło; już stracono wszelką nadzieję ocalenia, gdy nagle wiatr statek przewalił na drugi bok, który zamiast zanurzyć się w wodzie jak się tego lekano, powstał i popłynął dalej bez żadnej przeszkody. Żaden przypadek nie zakłócił już reszty podróży; i 26 Września r. 1580, Drake zarzucił kotwicę w *Plimuth*, po dwu latach i dziesięciu miesiącach oddalenia. Większa część skarbów, które przywoził do kraju, została na żądanie ambassadorahiszpańskiego zabrana przez rząd i oddana prawym właścicielom; jednak jeszcze tyle pozostało, że oczekiwania właścicieli wyprawy zniszczone zostały, Królowa okazała szczęśliwemu korsarzowi nie jeden dowód swojej łaski; ozdobiła go orderem, jadła obiad w *Deptford* na pomoście jego okrętu, który przez wiele lat był przechowywany w tym mieście, a gdy nareście trudno już było ochronić dłużej ten szkielet przed potęgą czasu, zrobiono z desek jego kazałnicę, i takowa z największą uroczystością podarowana została uniwersytetowi *Oxfordskiemu*.

W urozmaiconym obrazie życia, rzadko jest znaleźć powodzenie, którego by jakkolwiek świetnego, nie pokrywał choć lekki cień cierpienia. Nie będzie może

rzeczą zbyteczną umieścić po tryumfie Drakego, historię niepowodzeń, doznanych przez niektórych jego towarzyszy. Jakiśmy wyżej wspomnieli, szalupa na której znajdowało się osmiu ludzi, mających żywność tylko na dzień jeden, odłączoną została od jego okrętu, w stronie południowo-wschodniej Ziemi Ognistej. Ci nieszczęśliwi tak wystawieni na głód i burzę w odkrytym statku, szukali ochrony w cieśninie, a potem z trudnością żeglowali wzdłuż brzegu aż się dostali na północ do ujścia rzeki La Plata. Tam nierozważnie wysiedli na ląd; czterech z nich padło pod strzałami dzikich, a czterech innych, mniej więcej, niebezpiecznie ranionych, dostało się do wyspy, blisko o półtory mili od brzegu oddalonej, wkrótce tam dwóch jeszcze z ran odniesionych umarło. Dwaj pozostali przy życiu, Piotr Karwer i Wilchem Pichler, przez dwa miesiące prze-

bywali na tej wyspie, mającej tylko pół mili rozległości. Żywili się przez ten czas rakami morskimi, węgorzami i owocami, lecz nie śmiemy powieścić do jakiej ostateczności byli przywiedzeni dla braku słodkiej wody. Znaleźli nakoniec deskę na dziesięć stóp długą, i puścili się na niej ku stałemu lądowi, używając zamiast wiosel korzeni drzew niezgrabnie ociosanych. Strawili dwa dni i trzy noce w owej trymilowej podróży. Przybywszy do brzegu, odkryli mały strumyk, Pichler, trawiony pragnieniem, pił z taką chęcią, że umarł w pół godziny. Karwer zaledwie miał siły pogrzebać swego towarzysza w piasku. Nazajutrz spotkał kilku krajowców, którzy mu nie złego nie uczynili, przebywając z nimi czas jakiś, przeszedł kraj aż do osad Portugalskich w Brezylji, zkąd, po dziesięcioletnim oddaleniu, powrócił do rodzinnego kraju.



ROZDZIAŁ XX.

PODRÓŻE PO MORZU POŁUDNIOWYM.

Uwagi nad podróżami Drakego na około świata. — Szybkość z jaką zostały dokonane. — Odkrycia. — Sarmiento przepatruje cieśninę Magellańską. — Podaje projekt obwarowania jej. — Wyprawa w tym celu przedsięwzięta. — Jej cierpienia. — Zakończenie San-Felipe. — Nagły jego upadek. — Wyprawa Sir Tomasza Candish. — Przebywa cieśninę. — Jego powodzenia. — Zabiera statek Święta-Anna. — Powrót. — Jego postrzeżenia. — Jego śmierć. — Hollendrzy zaczynają prowadzić handel z Indyami. — Wyprawa Van-Noorta. — Szczegóły względem ludów magellańskich. — Wyspy Złotdziejskie czyli Ladrony. — Powrót Van Noorta. — Podróż floty Verhagena. — Cierpienia Weerta. — Pamiętna podróż Quirosa. — Odkrywa wiele wysp. — Sagittaria czyli Otahita. — Wyspa Piękności. — Taumako. — Szczegóły otrzymane od krajowców. — Quiros odkrywa Australię del Espíritu-Santo. — Jego tryumf. — Uduje się z prośbą do króla. — Śmierć jego. — Odkrycie Torresa. — Optywa Nowa-Gwinea. — Widat Nowa-Hollandyę. — Wyprawa Spilbergena. — Szczegóły o Patagonach. — Jego powodzenie. — Podróż Schoutena i Le Maira. — Jego pochodzenie. — Odkrycie przyładka Horn. — Postępowanie Kompanii Hollenderskiej, ustanowionej dla Indyj Wschodnich. — Nodalsowie przepatrują Ziemię-Ognistą i dokonywają optynięta na około Ameryki-Południowej.

Drake najpierwszy ze wszystkich Anglików, przebył cieśninę Magiellańską i pod flagą angielską żeglował po morzu Południowym. Lecz, prócz okoliczności, które mu zjednały prawo do sta-

wy, jest jeszcze wiele innych, zasługujących na szczególniejszą uwagę dziejopisarza. Nadzwyczajną jest rzeczą, naprzykład, że z flotą tak słabą dokonał tak korzystnie żegluga, której tru-

dności i niebezpieczeństwa odstraszyły Hiszpanów. Przybył w zimie do burzliwych okolic cieśniny Magellańskiej, a jednak w dniach siedemnastu dokonał owego przejścia, którego tak bardzo się obawiano.

Należy także uważać iż jego postępy ku południowi, daleko większe były, niż któregokolwiek z Hiszpanów. Niepodobna zaprzeczać mu pierwszego odkrycia kończyny, zwanęj później *przylądkiem Horna*. Przypuszczał, że ląd na południe cieśniny Magellańskiej, był lądem rozerwanym, czyli grupą wysp, i postrzeżenie to podzieliali następni podróżnicy, a terazniejsze poszukiwania prawie zupełnie sprawdziły. Zastługę odkrycia przylądka Horn, przypisują niektórzy pisarze jednemu z kapitanów, floty Loyasa, który nawałnicą odwrócony od swojej drogi, postrzegł na zachodzie to, co nazwał «końcem świata;» lecz zdaje mi się bardziej podobnym do prawdy, że ową ziemią był tylko przylądek południowo-wschodni *Staten-Island*. Drake dotarł także do brzegów północno-zachodnich Ameryki dalej, niż który z jego poprzedników; dostał się do 48° szerokości północnej, a ląd zajęty przez niego w posiadłość dla korony angielskiej, niedaleko portu, w którym przepędził zimę, znajduje się pod 37° tejże samej szerokości. Wedle wszelkiego podobieństwa, nie wiedział, że Cabrillo zjął mapę r. 1542 tego całego wybrzeża aż do 43°. Lecz na linii wybrzeży, leżących pomiędzy 43° i 48°, żaden z hiszpańskich żeglarzy nie poprzedził Drakego. W kilka lat później r. 1582, Franciszek Gali, po szczegółowem zwiedzeniu wysp Japońskich, powracając do rodzinnego kraju, pierwszy przybił do brzegów amerykańskich, leżących pod 57° 30' szerokości północnej. Od tego punktu aż do Akapulko, przejrzał on najdalsze części lądu stałego.

Zamiar powzięty przez Drakego, powrócenia do Anglii okrążając Amerykę północną, jest drugim znakiem świadectwem śmiałości jego umysłu. Nowość drogi nie zdawała się mu przedstawiać niepokonanych trudności. Skoń-

czony żeglarz, ufny w własne siły, obdarzony wzniosłą odwagą, nieprzypuszczającą nawet cienia obawy, był na Oceanie, we wszystkich porach roku i pod każdym stopniem, jakby udzielonym panem. Pewność z jaką kierował bieg swój po morzach nieznanym; nadaje mu uderzające podobieństwo ze sławnym jego współrodakiem, kapitanem Kook.

Drake okrążył kulę ziemską, w krótszym daleko czasie niż którykolwiek z żeglarzy. Podróż Magellana trwała 3 lata i 37 dni; Drake odbył swoją w 2 latach i 10 miesiącach.

Wpływ, który wywiera na umysły okrętowej osady jej dowódzca, jest najlepszym dowodem jego zdolności. W tym względzie Drake nie ma współzawodnika; najmniejsze szemranie, najmniejsze nieukontentowanie, nie zaktuciło jednności, która panowała pomiędzy nim, a jego towarzyszymi. Stałość i wspańiałomyślność jego charakteru, żywym jaśnieją blaskiem w jego stosunkach z prostodusznymi mieszkańcami *Nowego Albionu*. Postępowanie Drakego z bezbronny i słabym ludem, uderzającą przedstawia sprzeczność z okrucieństwami, jakimi współcześni mu Hiszpanie i Hollendrzy ich następcy, obarczali mieszkańców wysp morza Południowego.

Franciszek Drake pierwszy zaktucił spokojność Hiszpanów na oceanie Spokojnym. Nie spodziewali się oni wcale spotkać floty nieprzyjacielskich na owych samotnych morzach, które za własność swoją uważali; nie pojmowali nadewszystko, że ich przeciwnicy mogli na nie wpłynąć przez cieśninę Magellańską, tak nieprzystępną własnym ich żeglarzom. Wyprawa Franciszka Drakea otworzyła nową i świetną erę w dziejach żeglugi. Anglia przebudziła się niejako wówczas ze swego uspienia, zaczęła czuć własną siłę, i szybko się wznosiła do owęj wyższości morskiej, którą potem tak szlachetnie utrzymywała. Żądza sławy i upodobanie w czynach rycerskich, zgadzały się z dworskimi obyczajami pod panowaniem Elżbiety. Ludzie bogaci i odznaczają-

cy się wykształceniem umysłu, rzucali się z zapałem do wszelkich przedsięwzięć, obiecujących im sławę i zaszczyty. Wielu puściło się w ślady Sir Franciszka Drake'a, i takowy zapał obudziło powodzenie jego podróży, że w szesnastu latach porty angielskie wysłały na morze Południowe aż sześć wypraw. Za ukazaniem się Anglików na brzegach Peru, zażrżeli Hiszpanie o skarby swoje, i zaczęli myśleć nad środkami zapobieżenia podobnej zniewadze. W Październiku r. 1579, Pedro Sarmiento wypłynął z Limy z dwoma wielkimi okrętami, dla starannego przejrzenia cieśniny Magellańskiej. Na południe Chili, na zachodnim brzegu Patagonów, zawikłał się w labiryncie odnóg morskich, przystani i wązkich kanałów, wydobyszy się ztamtąd z wielkim trudem zdjął plan cieśniny Magellańskiej, i wrócił do Hiszpanii, z owocem swoich postrzeżeń. Powiadają, że podczas tej podróży, wyrachował stopnie długości za pomocą zaćmień i odległości gwiazd stałych. W Hiszpanii, wystawił w najświetniejszym kolorycie klimat i płody krajów magellańskich, rozprawił z pewnością o warowniach, które tamże możnaby powznosić dla zamknięcia przystępu na ocean Spokojny, do którego jedynym wejściem od zachodu sądził, że jest ta cieśnina. Król rozkazał urządzić flotę dla dokonania tego planu osiedlenia. Dwadzieściatrzy okręta, z 3500 ludźmi, wypłynęły z Kadyksu 1581, pod rozkazami Diega Florez Waldes: Sarmiento mianowany został gubernatorem osady. Lecz nieprzeliczone przygody czekały ową wyprawę, urządzoną z równą ciemnotą jak i rozrzutnością. Wiatr rozpedził niektóre okręta nim się dostały do cieśniny; inne, przedarłszy się na nią, przymuszone były dla nawątnie napowrót się zwrócić. Florez, zniechęcony zawadami, zaniechał tego przedsięwzięcia i wrócił do Hiszpanii; lecz Sarmiento, lubo zmuszony trzykrotnie chronić się do Brezylji, wytrwał jednak w swoim postanowieniu, i nakoniec założył miasto, które, na cześć króla hiszpańskiego zostało nazwane: San-Fe-

lipie. Nowa osada doznała srogości wszelkiego rodzaju, niedostatku i chorób, dotykających zwykle wszystkie zakłady powstałe w klimacie ostrym i no wym. Sarmiento utracił łaskę króla hiszpańskiego przez błąd, którego sam był powodem, przedstawiając cieśninę, jako mogącą być w węższych miejscach, obronioną odosobnionemi twierdzami. Powracając do Hiszpanii, gdzie spodziewał się pozyskać pomoc dla swej powstającej osady, nieszcześliwy gubernator został pojmany przez Anglików; gdy został uwolniony, osada San Felipe już nie istniała, głód i choroby zdziesiątkowały jej mieszkańców, a miorowa zaraza zmusiła trzydziestu trzech pozostałych przy życiu, do tułactwa; żyli oni z łowów i rybołówstwa; lecz nienazwyczażeni do znoszenia niewygód i niedostatku dzikiego życia, po większej części wyginęli marnie.

Hiszpanie usiłowali obwarować cieśninę, lecz to nie wstrzymało śmiałych awanturników angielskich. Jednym z najznakomitszych pomiędzy nimi był Tomasz Candish, albo Cavendish, właściciel bogatej posiadłości przy Ipswich, w hrabstwie Suffolku. Uzbroidł on okręt o stu dwudziestu beczkach, i towarzyszył Sir Ryszardowi Greenwill w jego wyprawie przeciw Wirginii, r. 1585. Obznajmienie się z morzem, było jedynym rezultatem tej wyprawy, zwiększyła ona jego zapał, i wkrótce urządził małą flotę, złożoną z trzech statków, na których było 126 ludzi osady. Na ich czele chciał się puścić śladem Drakego, i przywłaszczyć sobie posiadłości hiszpańskie na morzu Południowem. Zaopatrzony w mapy i wszystkie narzędzia, jakie ówczasowy stan nauki ziemio-pisarskiej mógł mu dostarczyć, otrzymawszy do tego przez swe wpływy u dworu, zlecenie królowej ścigania okrętów hiszpańskich: wyruszył pod żagle w Lipcu 1586. Candish przybywszy do cieśniny Magellańskiej, widział zwaliska osady założonej przez Sarmienta, kilka domów jeszcze się wznosiło; napotkany Hiszpan, opowiedział Anglikom szczerogłowo wszelkie przygody, przez które

osada niszczała. Hiszpanie przewidując swój nieszczęsny koniec przez ostrożność zagrzebali armaty w piasku, poprzednio zaciągnięte na wałach. Candish wszystkie znalazł. Co do krajowców, potwierdza on wszystko, co poprzedni żeglarze mówili o ich olbrzymim wzroście, biorąc miarę ze śladu stopy znalezionej na piasku, która miała najmniej ośmnaście cali długości. Na jednej z wysp w owej cieśninie zwaney wyspą *Pingoin*, znalazł niezmiernie mnóstwo ptaków, którym winna jest swą nazwę.

Po niejakiem czasie Candish opuścił cieśninę i wypłynął na ocean Spokojny, nienatrafwszy na owe gwałtowne uragany, i zmienne wiatry, które tak często przed jego wyprawą i po niej, niweczyły talenta żeglarzy hiszpańskich. Zaledwie zaczynał płynąć wzdłuż brzegu północnego, rozpoczął dzieło wojny i grabieży. Spalił miasta Payta i Puna, w porcie tego ostatniego zatopił wielki okręt, zabrawszy pierwej bogaty jego ładunek. Zbliżając się do Nowej-Hiszpanii, pochwycił statek, na którym znajdował się Sanchez sternik gruntownie obznajomiony z morzem Południowem; od niego to otrzymał objaśnienia o okręcie bogato naładowanym, którego przybycia oczekiwano z wysp Filipińskich. Zaczaił się natychmiast za przyładkiem *świętego Łukasza* w Kalifornii, czyhając na zdobycz swoją, która się też niebawnie ukazała, był to statek admirałski *święta Anna*, ładunek jego ceniono 122,000 *pesos*.

Podział tak wielkiego łupu wzniecił zamieszki, które byłyby ściągnęły najopłakaniejsze skutki, lecz wspaniałość Candisha uspokoiła burzę. Zaczęto wówczas czynić przygotowania do powrotu do Anglii. Wyszadzono jeńców na brzeg, zaopatrzwszy ich w odzież i żywność dostateczną dla dostania się łądem do Nowej-Hiszpanii; zatrzymano tylko żeglarzy, których wiadomości mogły być użytecznymi w zamierzonej żegludze. Candish wprost popłynął z Kalifornii do wysp *Złodziejskich* i przebył w ciągu 44 dni przestrzeń 900

mil. Zwróciwszy się wówczas około wysp Filipińskich; Borneo, i Moluk, przybył nakoniec do cieśniny *Sondzkiej* (*Ołowianki*). Złamał, naprawiwszy swój okręt, i zaopatrzwszy go w żywność, puścił się znowu na morze, i po dziewięćtygodniowej przeprawie zawiązał do przyładka Dobrej-Nadziei.

W tej podróży, miał sposobność czynić postrzeżenia względem wiatrów, prądów, opadania i przybierania morza, które znacznie rozprzestrzeniły ówczesne żeglarskie wiadomości. Opuściwszy Przyładek Dobrej-Nadziei przybił do wyspy świętej Heleny; on pierwszy z żeglarzy angielskich, należycie ocenił korzyści położenia tej wyspy, dotąd wyłaczane tylko zwiedzanej przez floty Portugalskie. Pierwotne lasy, o których wspomina, zostały później zniszczone przez kozy i króliki przywiezione do wyspy. Candish przybył do Plimth 9 Września 1588 roku.

Uzbroił nową flotę, i powtórnie wyruszył do cieśniny Magellańskiej; lecz ta podróż jego doznała wszelkich kłesk, jakie tylko mogą dotknąć morską wyprawę. Nadzwyczajne burze nie dozwoliły dostać się mu na ocean Spokojny. Bunt wybuchnął pomiędzy jego okrętowemi osadami; nakoniec dręczony cierpieniami fizycznymi i moralnymi, umarł na brzegach Brezylji. Nieszczęśliwa ta wyprawa ostudziła na czas jakiś zapał panujący w Anglii do przedsięwzięć odkryciowych, a doświadczeni majtkowie floty Candisha, których wielu służyło pod Sir Franciszkiem Drake, zmuszeni byli szukać gdzieindziej zatrudnienia, którego im kraj odmawiał.

Połączenie koron, Hiszpańskiej i Portugalskiej, na głowie Filipa II. wstrzymało nagle zaborezego ducha, z jakim mianowicie ostatni ten naród rozciągał swoje nabycia na wschodzie. Utrata niepodległości i wpływ rządu, zarazem gnuśnego i zazdrośnego, sparaliżowały ową energię, którą Portugalczycy rozwinięli niegdyś w swoich spekulacjach handlowych i zdobyczych. Gdy to państwo traciło na Wschodzie ową ożywczą siłę, która je dotąd

podsycała i utrzymywała, zewnątrz zaczęzione zostało przez nieprzyjaciół, których zniecił przeciw niemu duch chciwej polityki. Filip, naruszywszy prawa Hollendrów, zmusił ich do wzięcia oręża, dopóki uznawali się za jego poddanych; wstrzymywali się z prowadzeniem handlu ze Wschodem, i przyjmowali wszystkie plody indyjskie, przez nader kosztowne pośrednictwo kupców hiszpańskich i portugalskich. Lecz, gdy się ujrzeli wplątani w nierówną walkę, w której pomimo wszelkich wysiłków, odwaga zastąpić nie mogła zasobów pieniężnych, zniewoleni zostali do napadnięcia na osady hiszpańskie w Indyach i na morzach Południowych. Nie udało im się dostać do Indyj od strony północno-wschodniej; za przykładem dopiero Anglików puścili się śmiało drogami wiodącymi do przylądka Dobrej-Nadziei i cieśniny Magellańskiej.

Na początku roku 1598 kilku zamożnych kupców hollenderskich postanowiło wysłać wyprawę, ku brzegom Nowej-Hispanii i Peru, naśladując owe wycieczki tak szczęśliwie dokonane przez Anglików. Przygotowano cztery okręta, na które zabrano 140 osób. Olivier Van Noort otrzymał dowództwo tej małej floty. Wszyscy jego officerowie byli doświadczonymi ludźmi, a sternik Mellish, towarzyszył już Candishowi w jego podróży na około świata. Hollendrzy tak się spóźnili z powodu niepogód i rozmaitych przygod, chorób i niezgód, że piętnaście miesięcy upłynęło nim wplynęli do cieśniny Magellańskiej. Zarzucając w niej kotwicę, ujrzeli na małej wysepce kilku ludzi, którzy potrząsali bronią, i zdawali się ich wyzywać do walki. Hollendrzy wysiedli na ląd, i ścigali dzikich aż do jaskini, gdzie się ci bronili uporczywie i do ostatniego wszyscy polegli na miejscu. Kobiety i dzieci pozostały ukryte w głębinach jaskini; Hollendrzy nasyceni rzezią, uprowadzili tylko z tamąd sześcioro dzieci.

Jedno z nich, nauczywszy się po hollendersku, udzieliło następnych objaśnień: «Większa z owych dwóch wysp

nazywała się *Kastemma*, a mieszkające na niej pokolenie *Enoo*, mniejsza *Talke*; na obu znajdując się obfitość *pigwinów*, mięsem ich żywią się mieszkańcy, a skórami okrywają. Przemieszkują w jaskiniach. Przyległy ląd stały obfituje w strusie, zwierzynę użyteczną i nader szacowaną. Krajowcy dzielili się na pokolenia, stosownie do dzielnic w jakich przebywali: *Kemenetesowie* mieszkali w *Keesay*, *Kennekinowie* w *Karamay*, a *Kariaksowie* w *Morina*. Wszyscy mężczyźni należący do owych pokoleń średniego wzrostu, piersi mieli szerokie i pomalowani byli od stóp do głowy. Lecz istniało czwarte jeszcze pokolenie *Tirimemensów*, mieszkających w *Kuan*; ci byli olbrzymami wysokietni na dziesięć i dwanaście stóp, i ciągle walczyli z resztą swych współrodaków.» To proste objaśnienie dostateczne było do pogodzenia rozmaitych wiadomości dotyczących Patagonów. Chociaż Hollendrzy przepłynęli przez cieśninę w lecie, znaleźli jednak lód tak gruby, że przebiwszy go na dziesięć sążni głębokości jeszcze się do bieżącej nie dostali wody. Ziemia zdawała się być nagromadzeniem wysp rozkruszonych, i tylko wysokość gór nadawała jej pozór lądu stałego. Nakoniec, po trzy miesięcznych trudach, przedarli się na morze Południowe. Przy brzegach Peru pojмали kilka okrętów hiszpańskich, nieznalazłszy jednak na nich łąpu znacznej wartości, dowiedzieli się dopiero później, że kapitan jednego z owych statków; widząc że jest ściganym, wrzucił w morze cały ładunek składający się z 12,000 funtów złota, co wynosiło blisko wartość 2,000,000 *pesos*.

Hollendrzy skierowali potem na zachód, i zawinęli w pierwszych dniach Września do wysp *Złodziejskich*. Krajowcy przyplętnęli w czólnach i otoczyli ich natychmiast, krzyżując przeraźliwie *hiero! hiero!* co miało znaczyć: *żelaza! żelaza!* gdyż nauczyli się już portugalskiego nazwania owego kruszcza. Tak wielką mieli chęć prowadzenia handlu, że jeden czóln, drugi niemal przewracał zbliżając się ku okrę-

towi, obecność ich nie była tam bardzo pożądaną, gdyż okazywali nadzwyczajną biegłość w kradzieży, a gdy pochwycili jakowy przedmiot, natychmiast rzucali się w wodę. Płynąc do Manili, Hollendrzy opanowali okręt Jawański, którego kształt nadzwyczajny wzbudził ich podziwienie. Prząd jego wznosił się w kształcie komina, żagle były ze trzciny, kotwice z drzewa, a liny ze słomy. Flotta hollenderska zatrzymawszy się czas niejaki w Borneo, przybyła do Jawy w końcu Stycznia, a w Sierpniu tegoż roku, zarzuciła kotwicę przy Roterdamie, spędziwszy trzy lat prawie na opłynieniu kuli ziemskiej. Ponieważ Van Noort był pierwszym żeglarzem hollenderskim, który uskutecznił podobne przedsięwzięcie, współziomkowie za powrotem wystawiali jego odwagę i zręczność; jednak pod względem handlowym, podróż ta nie dopięła zamierzonego celu. W trzy miesiące po wypłynieniu wyprawy pod rozkazami Van Noorta, flota złożona z pięciu wielkich okrętów, wyruszyła z Rotterdamu na odkryciową podróż, kosztem zamożnego kupca, nazwiskiem Verhagen. Admiralem jej był Jakób Mahu. Najmniejszym statkiem dowodził Sebald Weert; a głównym sternikiem był William Adams, człowiek wielce doświadczony, ten sam którego przygody jużesmy opowiedzieli (*). Flotta zbyt długo przebywała przy brzegach afrykańskich, i osada jej uległa zaraźliwym chorobom. Admirał umarł wkrótce, a współzawodnictwo zgonem jego spowodowane w korpusie oficerów, ogólne wzbudziło nieukontentowanie. W Kwietniu, Hollendrzy wpłynęli do cieśniny Magellańskiej, gdzie wiatry przeciwne zatrzymały ich przez pięć miesięcy. W tym przeciągu czasu nader ucierpieli z powodu braku żywności i dotkliwego klimatu. Ostrość powietrza nadawała im nadzwyczajny apetyt, a nie mając go czem zaspokoić, jedli surowe rośliny i ślimaki; pożywienie to pogor-

szalo ich nędzę albowiem pomnażało choroby. Nareszcie trzy z owych statków przedarły się na morze Południowe; gdzie rozpedzone zostały przez uragany, jakieśmi to widzieli powyżej w historii Wiliama Adams. Weert, którego statek nie bardzo był chybkim w biegu, a osada zniechęconą, pozostał wtyle, i nie otrzymał żadnej pomocy od Van Noorta, który przebywając cieśninę, znalazł go w najzupełniejszym zniszczeniu. Ów okręt po dziewięćmiesięcznym pasowaniu się z wszelkimi przeszkodami, i na morzach ciągłymi burzami niepokojonych; po nadzwyczajnych wysileniach wydostał się na ocean Atlantycki, i po sześciomiesięcznej żegludze wpłynął do Maes, zaledwie z 36 ludźmi pozostałymi. Po wyruszeniu z cieśniny Magellańskiej, odkrył w stronie południowo-wschodniej trzy małe wyspy, które nazwał *wyspami Sebaldińskimi*; są to wyspy *Falkland* na mappach angielskich.

Gdy Hollendrzy i Anglicy zagrażali zniszczeniem zakładów hiszpańskich w Indjach i Peru, ostatni ten naród, powodując się bardziej żądzą złota, aniżeli przezornością, zamierzał jeszcze rozciągnąć na południe panowanie swych osad. Mendana już w r. 1593, usiłował założyć osadę w *Santa-Cruz*, Pedro Fernandez de Quiros, towarzyszył pierwszy sternik jego, wysłany został z trzema dobrymi okrętami i jednym z małym statkiem, który zwano w ówczas *zabra*, dla przejrzenia znowu tej wyspy i dokonania obszerniejszych odkryć; a ponieważ był biegłym żeglarzem, podróż jego bardziej zwiększyła zakres wiadomości jeograficznych, niż którakolwiek inna, przedsiębrana przez Hiszpanów od czasów Magellana. Wypłynął on z Kalao 21 Grudnia 1605 r. w początku zaraz podróży odkrył kilka wysp, lecz nie wróciły one jego uwagi, gdyż sądził, że są niezamieszkałe. Jednak po sześciu tygodniach, gdy zaczynało brakować zapasów, przejrzał jedną z owych wysp, a liczne ogniska, które na niej postrzegł, przekonały go, że nie była pustą. Leżała ona pod 18° 10', szerokości połu-

(*) Rozdział XVI, str. 121.

dniowej, i Quiros nadał jej miano *Sagittaria*. Nie mógł znaleźć przy brzegach miejsca stosownego do zarzucenia kotwicy, a gwałtowność batwanów, przeszkadzała wylądowaniu za pomocą szalup. Krajowcy tymczasem uzbrojeni w kije i włócznie, tłumnie stali zebrani na skałach. Młody hiszpan Franciszek Ponce, oburzony bezskutecznością wszelkich środków, zrzucił ze siebie odzienie i zaczął ku nim płynąć. Krajowcy zdziwieni jego ufnością i odwagą, skoczyli mu na pomoc, i najprzyjaźniej uściskali w swoich objęciach, całując go po kilkakrotnie w czoło. Quiros nie długo pozostał pomiędzy nimi; uwiadomili go oni, że po drodze znajdzie wielki ląd. Sagittaria Quirosa, podług powszechnego zdania, nie była czém inném, tylko wyspą Otahitą.

Hiszpanie opuściwszy tę wyspę, przybyli nie za długo do innej, którą nazwali *wyspą Piękności*, z powodu odznaczającej się postaci jej mieszkańców. Odwaga i śmiałość owych dzikich odpowiada ich sile fizycznej. Mężczyźni zbliżyli się w czółnach do statków hiszpańskich, i potrząsając włóczniami, zdawali się wzywać Hiszpanów do walki. Zaczepiwszy sznur do najmniejszego z okrętów, usiłowali płynąć po wodzie, przyciągnąć go do lądu, huk ognistej broni wcale ich nie przestraszał. Kobiety były piękne i nader powabne i jak twierdzą nasi żeglarze, bardziej ujmujące niżeli hiszpanki. Quiros okazywał zawsze stronność w ogóle dla wszystkich krajowców morza Południowego, a szczególnie dla tego pięknego pokolenia, nadwyzczaj on był ostrym i niezręcznym w swoich z nimi stosunkach; i z tego powodu nadał tej wyspie złowrogie miano *Matanza* (wyspa rzezi). Przybył wkrótce do wyspy Taumako, pod 10 stopniem szerokości południowej; otrzymał tam od Tumaya naczelnika owej wyspy, ważne nader objaśnienia, wylczył on mu przeszło szesćdziesiąt innych, których zarazem wskazał i położenie jeograficzne, nadmienił także o wielkim kraju, który nazywał *Mani-*

kolo; a chcąc dać wyobrażenie o jego rozległości, rozścięł ręce i nie zamykał ich potem, na znak, że nie miał prawie granic. To opowiadanie ożywiło zapal Quirosa, a że osądził za niepodobieństwo utrzymać dłużej przyjacielskie stosunki z krajowcami, z którymi się obchodził nieludzko, oddalił się z pośpiechem ku południowi dla odkrycia wielkiego kraju.

Nakoniec 1 Maja zbliżył się do jego brzegów, a we dwa dni później zarzucił kotwicę w porcie *Vera-Cruz*. Sądząc, że ziemia, do której zawinała była częścią stałego południowego lądu, tak długo szukanego, nazwał ją *Australia del Espiritu-Santo*. Urojona owa kraina długi czas była przyodziewaną najświetniejszemi fikcyami wyobraźni. «Wszyscy ludzie okrętowi, używamy własnego wyrażenia Turkwemady: do obłąkania prawie uniesieni byli radością, że osiągnęli cel swych życzeń, i że posiadli najzamożniejszy a zarazem najpotężniejszy kraj, jaki Hiszpania kiedykolwiek dzierżyła, Lecz gwałty zdobywców, wzbudzając przeciw nim nienawiść krajowców, przeszkodziły ich zaborczym zamiarom. Quiros objął kraj w posiadłość w imieniu Filipa III i założył osadę i nazwał ją Nową-Jerozolimą.

Gdy Quiros tracił nadaremnie czas w porcie *Vera-Cruz*, mając jeszcze nadzieję zniewolenia ku sobie krajowców, których swém postępowaniem na wsze oburzył, gwałtowna nawałnica wyparła jego okręt z portu, i oddzieliła go od reszty floty. Powrócił natychmiast do Meksyku, z kąd się udał do Hiszpanii, dla otrzymania pozwolenia: «dołączenia Australii del Espiritu-Santo do innych posiadłości monarchii hiszpańskiej.» Tak czynnie nie popierał prośbę, że podał jak twierdzą królowi przeszło pięćdziesiąt proźb w tym przedmiocie; w nich opisywał ziemię nowo-odkrytą jako raj prawdziwy, obfitujący w kosztowne kruszcze. Jego gorliwość i czynność otrzymały požądany skutek, i wystany został do vice-króla Peru, któremu polecono, aby mu dostarczył potrzebnych okrętów do

powtórnej wyprawy; lecz umarł w drodze, nim przybył do Limy. Mniemają powszechnie, że jego Australia nie jest czem inném, tylko *Wielkimi Cykladami* Bougainville, i *Nowemi Hebrydami* Kooka.

Po rozłączeniu się Quirosa z jego flotą, Ludwik Vaz Torres, drugi dowódca udał się dalej ku południo-zachodowi. O tyle przepatrzył Australią, że się przekonał, iż nie była stałym lądem; postanowił ją w około opłynąć, jeśli mu pora dozwoli to uskutecznić. Gdy się dostał do 21° nieznalazszy lądu, popłynął znowu w górę ku północy, i dotarł do wschodniego krańca Nowej-Gwinei; płynąc około południowego brzegu tej wielkiej wyspy, dostał się do Moluk. On pierwszy zwiędził to morze, i odkrył, że było archipelągiem składającym się z mnóstwa niezliczonych wysp. Również jest rzeczą godną uwagi, że pod 11° szerokości południowej, postrzegł w tymże kierunku ląd, będący zapewne częścią wielkiej Australii, który dziś mylnie jest zwany Nową-Hollandyą. Torres kilkakrotnie wysiadał na ląd na brzegach Nowej Gwinei, i objął z wszelkimi formalnościami kraj ten w posiadłość, w imieniu króla Hiszpanii.

Gdy tak Portugalia uporeczywie zaprzeczała Hollandyi posiadania wysp Moluckich i handlu z Japonią. kompania holenderska Indyj Wschodnich postanowiła koniecznie dostać się do wysp Moluckich przez cieśninę Magellańską. Sześć wielkich okrętów w tym celu urządzonych, wypłynęło z Texel, w Sierpniu 1614 pod dowództwem Jerzego Spilbergena. Droga, której się miał trzymać była tajemniczą, lecz gdy przebywszy znaczną przestrzeń oceanu Atlantyckiego, okrętowi ludzie z wielkimi krzykami zaczęli się domagać, aby im dano poznać ich przeznaczenie, oświadczył natenczas: że dane mu rozkazy ograniczały się na przebyciu cieśniny Magellańskiej, i że z tém większą dopelnili ich akuratnością, gdyż nie zna żadnego innego przejścia. W trzydzieści cztery dni przebył cieśninę. Świadectwo Spilbergena, stwierdziło ist-

nienie olbrzymiego pokolenia pomiędzy Patagonami. Sam początkowo nie chciał wierzyć w zeznaniu poprzednich podróżników. Dzieci których napotykał, byli niższemi od pospolitego wzrostu, lecz pewnego dnia człowiek olbrzymiej postaci ukazał się na pagórku, z którego chciał się przypatrzeć flocie, zbliżył się potem do brzegu, i był wyraźnie widzianym od wszystkich ludzi okrętowych. Ogólnie uznano, że wzrost jego przewyższał, wzrost jaki Magellan naznacza Patagonom. Flotta wypłynęła w Maju na morze Południowe, wytrzymawszy jednak jedną z owych gwałtownych burz, które się zdają bronić do niego przystępu. Reszta podróży była ciągłym tryumfem. Hollendrzy wprawdzie nie uczynili żadnego jeograficznego odkrycia; lecz Spilbergen, dokonał celu swojej wyprawy. Pokonał zupełnie flotę hiszpańską przy brzegach Peru. Jego obecność ułatwiła poddanie się wysp Moluckich; słowem znacznie się przyczynił do ustalenia panowania hollenderskiego w Indjach Wschodnich. W Lipcu 1617 roku wrócił do Hollandyi, w dwóch latach i jedenastu miesiącach, opłynawszy kulę ziemską. Wziętość jego podwyższyła sprzeczność, jaką przedstawiła jego podróż z podróżami Van-Noorta i Mahu, gdyż powrócił z taką flotą, jaką otrzymał odplywając, gdy tymczasem z dziewięciu okrętów powierzonych jego poprzednikom, jeden tylko dostał się do kraju.

W następnym roku po odplynieniu Spilbergena, dwa okręta, urządzone przez pojedynczych awanturników, wypłynęły z Teksel; wyprawa ta lubo miała najopłakaniejsze skutki dla tych, co ją przedsięwzięli, uważaną jest jednak za ważniejszą, w dziejach ziemio-pisarstwa, niżeli wyprawa Spilbergena. Oto są okoliczności jej początku. Na mocy przywileju, kompania hollenderska Indyj Wschodnich, rościła sobie wyłączne prawo do handlu prowadzonego z Indjami przez przylądek Dobrej Nadziei i cieśninę Magellańską; lecz kupcy, których krępował ów monopol, mieli nadzieję zniszczyć go za pomocą ścisłego

wyłomaczenia warunku, na którym się opierał. Stany Jeneralne, w celu zachęcenia żeglugi, a nadewszystko znalezienia sławnego przejścia północno-zachodniego, wydały wyrok, że ci współziomkowie, którzy odkryją nowe przejście do Indyj, otrzymają w nagrodę zysk ze czterech pierwszych podróży, przedsięwziętych nowo odkrytymi drogami. Wniesiono ztąd naturalnie, że gdyby zdołano okrążyć Amerykę Południową nieprzebywając cieśniny Magellańskiej, unikniono by ztąd zu pełnie uciążliwych przywilei kompanii Indyj Wschodnich. Zamożny kupiec amsterdamski, Izaak Le Maire, uczony jeograf, skłonny był do uwierzenia w istnienie podobnego przejścia; radząc się Williama Kornelisona Schouten i Horna, doświadczonych żeglarzy, został przez nich w zdaniu swoim utwierdzony. Utrzymywali oni, że podobna droga koniecznie znajdować się musi; że krainy południowe, do których doprowadzi, obfitują w bogactwa; że nareszcie kompania Wschodnio-Indyjska wcale nie będzie miała prawa mięszać się do handlu przedsięwziętego z Indjami oddzielną drogą od oznaczonych kartą jęj przywilei. Postanowiono więc wysłać wyprawę w celu czynienia odkryć. Izaak Le Maire zaorzurował większą część pieniędzy, a zupełny zarząd wyprawy oddano Schoutenowi, Jakób Le Maire, starszy syn Izaaka miał mu towarzyszyć.

Dwa okręta, *Jedność* i *Horn*, wypłynęły z Texel, w Czerwcu 1615, zaopatrzone w kanoniera i cieślę angielskiego. Schouten puścił się śmiało przez Atlantyk, postanowiwszy unikać zaraz z początku wszelkich zwiok, tak zgubnych dla wypraw poprzednich. Miejsce do którego dopłynąć miały oba statki, było jeszcze tajemnicą; lecz gdy przebywały równik, dowiedzieli się ludzie okrętowi, że dążą do ziemi australnej, (*Australia del Espiritu-Santo*, odkryta przez Quirosa). W połowie Grudnia przybyli do Portu zwanego *Pożądaną*, leżącego przy wschodniem wejściu do cieśniny; tam gdy naprawiano statek *Horn*, przez zajęcie się

pożaru spłonął. Posuwając się dalej na południe, Hollendrzy odkryli *Staten-Land*; i przebywszy cieśninę oddzielającą ich od *Ziemi Ognistej*, ujrzeni się na rozległym morzu, w którym wielorybów i innych potwornych ryb takie znajdowało się mnóstwo, że utrudniały podróż okrętowi. Mewy, większe od łabędzi, mające sążeń, gdy skrzydła rozpostarły, z wrzaskiem latały na około okrętu. Nasi zmuszeni byli dla wiatru przeciwnego, długi czas krążyć wężykowato, nareszcie ujrzeni kończynę *Ziemi Ognistej*, i Schouten na pamiątkę rodzinnego kraju, nazwał ją *przylądkiem Horna*; przebyta cieśnina otrzymała miano *Le Maira*, który pierwszy powziął pomysł tej podróży. Dnia 5 Lutego, po walce z przeciwnymi wiatrami, Hollendrzy dostali się do 59° 25, szerokości, a jednak nie postrzęgli przed sobą ziemi; 12, nieco w bok skierowawszy, znaleźli się w zachodniej stronie cieśniny Magellańskiej. Radości wznieconej przez to odkrycie, nie wyrównać nie zdola; jednak, tak byli wyniszczeni trudami, iż skierowali natychmiast ku wyspie Zuan-Fernandez, dla wypocznienia tam przez dni kilka; znaleźli ją, lecz nieobeznani z jęj brzegami, nie mogli się do niej zbliżyć z przyczyny prądów, musieli przeto w dalszą puścić się drogę. Napotkali kilka małych wysepek, które jak się zdawało, świeżo z łona wód powstały. Większa ich część zaledwie po nad morze wystawała, a w środku obsiane była głębokimi lagunami, i otoczone kanałami mulastym. Inne zdawały się być już dawniej utworzonymi, gdyż zaczynały na nich wyrastać drzewa; na jednej z nich, którą dla tego nazwano *wyspą Much*, że owady te tak były liczne, iż stały się dla naszych Hollendrów prawdziwą kłeską; majtkowie byli niemni od stóp do głowy odkryci, jak gdyby szatą jaką, i kilka dni upłynęło, nim się zdołano pozbyć tych natrętnych gości. Nakoniec Schouten dostał się do Jawy, tam kompania Indyj-Wschodnich zabrała mu statek, i zamiast bydz zaszczytnie przyjętym, jak na to zasługiwały jego zdolności i odwaga, doznał

obejścia jak kontrabandzista schwytanym na gorącym uczynku. Rzecz godna uwagi, że Schouten nie rozpatrywał dłużej, jak sobie zamierzył, południowej części Wielkiego Oceanu; strata okrętu Horn, i przypadki jakich doznał, przebywając cieśninę *Le Maire*, odwiodły go od tej myśli, i zmusiły do szukania łatwiejszej żeglugi wzdłuż brzegów, gdzie jak wiadomo nie pozostawało mu żadne odkrycie do uczynienia. Podróż ta po raz pierwszy wykazała, iż cieśnina Magellańska nie była wschodnią bramą do morza Spokojnego; jest to niepoślednią jej zalecą, że owo odkrycie, nieprzypadkowo była winną.

Hiszpanie przekonali się tym sposobem jak zarozumiałość ich była szalo-

ną, gdy 34 lata temu, chcieli wzbrownić innym narodom wstępu do morza Południowego, obwarowaniem cieśniny Magellańskiej. Na wieść podróży Schoutena i skutków z niej osiągniętych, wysłali roku 1618 Bartłomieja i Gonzalwa Nodal, dla szczegółowego przejścia południowych brzegów, świeżo przez Hollendrów odkrytych; rzecz szczególna, że użyli do tej podróży sterników hollenderskich, gdyż przyznali przez to, że zostali zwyciężeni w nauce żeglarskiej przez tenże sam lud, którego chcieli przytłumić ducha przedsiębiorczego. Nodalowie zrecznie dokonali swego polecenia; okrążyli *Ziemię Ognistą*, i uzupełnili mapę brzegów Ameryki Południowej,



ROZDZIAŁ XXI.

PODRÓŻE PO MORZU SPOKOJNEM I ODKRYCIE AUSTRALJI.

Cieśnina Anian. — Odkrycia przypisywane Urdanecie. — Świadectwa Ladrillera i Marcina Chack. — Bajeczna podróż Maldonada. — Wyprawa Zuana Fuco. — Pochwała jego podróży. — Podróż de Fonta. — Odkrywa Archipelag świętego Łazarza. — Wpływa na jezioro Welasko. — Posuwa się do jeziora Belle. — Pływie z biegiem jakiejś rzeki. — Dostaje się do oceanu Atlantyckiego. — Bernardo zwiedza morze Tatarskie. — Wiskajno. — Przebiega Kalifornię. — Aguilar przybywa do rzeki Quiwira. — Tajemnica ukrywana przez Hiszpanów. — Pierwsze odkrycie Nowej-Hollandyi. — Podróż Hertoga. — Edels, Nuytz i Karpenter. — Nowa Hollandya wcześniej znana od Portugalczyków. — Wyprawa Abla Tasman. — Odkrywa ziemię Wan-Diemen. — Przybywa do Nowej-Zelandyi. — Wygnany jest przez krajowców. — Odkrycie wysp Przyjacielskich. — Wyspa Amsterdam. — Rotterdam. — Jak najlepiej jest przyjęty przez krajowców. — Niebezpieczne mielizny. — Tasman wraca przez Nową-Gwineę.

Gdy tak ziemio-pisarstwo Ameryki Południowej stopniami się wyjaśniało, północna część owego wielkiego stałego stałego-łądu pozostawała otoczona chmurą bajek i niepewności. Kortereal powróciwszy z wybrzeża Labradoru, gdzie, wedle wszelkiego podobieństwa, przedarł się aż do zatoki Świę-

tego-Wawrzeńca, oznajmił, iż odkrył cieśninę Anian, przez którą w owej epoce i długo potem mniemano, że się można dostać na ocean Spokojny. Początek jej nazwania jest niepewny; lecz mniemane istnienie cieśniny Anian; spowodowało nie jedną bajkę i nadało barwę bajeczności nawet podróżom isto-

tnie odbytym. Widzimy też często, że człowiek chętniej wierzy działaniu swęj wyobraźni, niżeli temu, że jest jęj igrzyskiem; niepowątpiewano przeto o bajecznęm istnieniu przejścia, którego nikt nie widział, a prawdziwemi chociaż nadzwyczajnemi opowiadaniem, w ogóle gardzono, jako skalanemi kłamstwami.

Sławny podróżnik, Andrzej Urdaneta, współtowarzysz Legaspiego w wyprawie do wysp Filipińskich, i który powrócił do Nowej-Hispanii północną stroną morza Spokojnego, odkrył, jak mówiono, cieśninę północną, wiodącą z Wielkiego oceanu na Atlantyk. Wielką wziętość Urdanety jako żeglarza i jeografa, przedstawiając go jako pisarza jedynie zdolnego rozwiązać zagadnienie tak zajmujące ziemio-pisarstwo, łącznie z niektórymi notatkami, znalezionemi po śmierci w jego papierach musieli spowodować tę pogłoskę. Roku 1574, sternik z Nowej-Hispanii, nazwiskiem Jan Ferdynand Ladrillero, oświadczył publicznie, że odkrył o 400 mil, na północ Kompostelli, w Nowej-Hispanii, kanał komunikacyjny, wpadający do morza, gdzie Anglicy udawali się na połów. Drugie również ważne zeznanie w tej samej okoliczności, złożył r. 1579, Marcin Chack, żeglarz portugalski, który upewniał, że znalazł przejście do powrócenia z Indyj Wschodnich przez zatokę Nowej-Ziemi; mieścił takową pod 59° szerokości północnej. Odkrycie z jakiego się chęłpił Lorenzo Ferrere Maldonado, który podróżując z Lizbony ku brzegom Labradoru, r. 1598 znalazł, jak twierdził cieśninę, przez którą można się było dostać z Hispanii do Chin w trzech miesiącach, bez żadnej wątpliwości było zmyślone jak wszystkie poprzednie. Pomiedzy podróżami, długo za kłamliwe uważanemi i które do dziś dnia ustalonej wziętości nie posiadają, jedną z pierwszych, tak z porządku chronologicznego jak i swęj ważności, jest wyprawa Juana de Fuka. Sternik ów, który rzeczywiście nazywał się Apostolos Valerianos, urodził się na wyspie Cefalonii, i zostawał

w służbie Hiszpańskiej przeszło lat czterdzieści. Znajdując się, za powrotem z podróży w Lemnos, w ciągu r. 1596, opowiedział szczegóły ostatniej swojej wyprawy Michałowi Lock Anglikowi, który znowu ich udzielił Purcharsowi. Fuka, wedle tego opowiadania, wysłany został r. 1592 przez vice-króla Meksyku, z małą karawellą i pinassą, w celu odkrycia komunikacji między oceanem Spokojnym i oceanem Atlantyckim, od północy stałego lądu Ameryki. Wyruszywszy z Akapulko, postrzegł, pomiedzy 47° i 48°, że ziemia pochyliła się ku północo-wschodowi, i przedstawiała szeroki otwór, który łatwo mógł być uważany za cieśninę, wpłynął tam, i przez 20 dni żeglował po owym gatunku zatoki. Ląd w niektórych miejscach, ciągnął się ku północo-wschodowi; a w innych ku północo-zachodowi; w miarę im dalej się posuwał, przejście rozszerzało się i obejmowało w sobie wiele wysp. Fuka często na ląd wysiadał, i widział wielką liczbę mieszkańców, okrytych skórami zwierząt, kraj mu się zdał urodzajny, i obfitujący w złoto, srebro i perły. Nasz sternik ciągle płynął dopóki się nie dostał na ocean Atlantycki. Znalazł tę cieśninę w całej jęj długości, dość szeroką do żeglugi; ujście przez które na nią wpłynął, zdawało mu się mieć od 15 do 20 mil szerokości.

Postanowił w ówczas wrócić przez to samo przejście, gdyż uważał, iż dopełnił otrzymanego zlecenia i odkrył komunikację pomiedzy dwoma morzami, przez środek stałego lądu amerykańskiego. Zresztą, nie śmiał posuwać dalej swoich odkryć, dla braku dostatecznych sił oparcia się dzikim, w razie napadu. Wrócił do Akapulko, i napróżno przez dwa lata dopominał się nagrody, do której sądził, że ma prawo, odkrywszy Hiszpanii nowe źródło bogactw i pomyślności.

Podróż Fuka długo uważaną była za zmyśloną; odkrycia Anglików w zatoce Hudsonskiej, jasno wykazały, że nieistniała z oceanem Zachodnim żadna komunikacja podobna tej, którą on opisywał. Lecz to opowiadanie należy

sądzić z całym pobłażaniem na jakie zasługują pisma tak oddalonej epoki. Tegoczesne poszukiwania dowiodły, że nieopodal wskazanej przez niego szerokości; istnieje morska odnoga, wiodąca wprawdzie nie na ocean Atlantycki, lecz do szerokiego jeziora, lub wewnętrznego morza, oddzielającego wielki archipelag od lądu stałego. Bardzo podobna do prawdy, że Fuka, posunąwszy się o 75 lub 80 mil w tędnogę, nabył przekonania, że można się tamtędy dostać do oceanu Atlantyckiego, i zajęty tą myślą, przyspieszył swój powrót właśnie w tej samej epoce, w której, skutkiem podobnej omyłki, Kortereal ogłaszał odkrycie cieśniny Anian, a Kornelisson, podróżnik hollenderski, powracając z mórz północnych z mocnym przekonaniem, że znalazł przejście do Tatarji i Chin. Lecz Fuka, zmieniając prosty pomysł wprawdę niezawodną, na to się wystawił, iż opowiadaniem jego zupełnie pogardzono.

Na początku przeszłego wieku, rozgłoszono w Europie opowiadanie wypraw odbytej 1640, przez admirała Bartłomieja de Fuente, czyli Fonte, wyszło ono po raz pierwszy w Londynie, r. 1708, w piśmie periodycznym pod tytułem: *Pamiętniki dla ciekawych*. Uwaga jeografów angielskich, niemieckich i francuzkich, obudzona i długo zajęta była owym opisem, dzisiaj słusznie za romans uważanym. Nazwiska jednak Delisla, Buache i Fleurieu, którzy byli jego chwalcami i obrońcami, nadają mu prawo do krótkiego przeglądu.

W opowiadaniu tém dowiadujemy się, że król Hiszpański zatwożony postępnami dokonanemi przez Hudsona, Jamesa i innych żeglarzy w kierunku północno-zachodnim, postanowił raz położyć tamę, by z tej strony nikt nie mógł się dostać na ocean Szpokojny; w tym celu, Fonte otrzymał rozkaz wyruszenia pod żagle z czterema statkami uzbrojonymi. Wypłynął z Kallao 5 Kwietnia roku 1640. W porcie Świętej Heleny, o 100 mil na północ od zatoki Gwajakil, zabrał wielką ilość

smoły ziemnej, którą wówczas uważano za najlepsze lekarstwo, przeciw szkorbutowi. Kapitan okrętu, na którym znajdował się de Fonte, uwiadomił swego admirała, że o 100 mil na północ od przylądka Świętego Łukasza, przypływ morza północny, napotyka przypływ południowy, z czego wynika, iż Kalifornia niezawodnie jest wyspą. W skutku tego objaśnienia, Don Diego Penelosa, człowiek młody, bardzo biegły w kosmografii, przedsięwziął przekonać się, czy Kalifornia jest wyspą, czy pół wyspem; i w tym celu odłączył się od floty, z jednym okrętem i czterema małemi czółtami. De Fonte, płynąc dalej ku północy, żeglował blisko 180 mil, po krętych kanałach, otaczających grupę wysp, które nazwał archipelagem Świętego-Lazarza; czółna, tworzyły zawsze straż przednią, i nieustannie zapuszczały otowiankę, dla uniknienia skał i mieliżn. Pedro Bernardo, którego admirał wysłał na przejrzenie wielkiej rzeki, płynącej z północy, dopłynął nią aż do wielkiego jeziora, zapełnionego wyspami, zamieszkałemi przez lud gościnnie. Nazwał to jezioro *Welasko*. Płynął potem jeziorze naprzód 70 mil ku zachodowi, później 218 ku północno-wschodowi dopóki nie przybył pod 77° szerokości. Fonte wystawszy swego kapitana na odkrycie części północno-wschodniej morza Tatarskiego, sam puścił się osobiście w górę wielkiej splawniej rzeki, którą nazwał *Rio Los Reyes*. Odebrał list od Bernarda, datowany 7go Czerwca r. 1640, w którym ten donosił, że zostawił swój okręt na jeziorze Welasko, pomiędzy wyspą *Bernardo* i półwyspem *Conihasset*; że potem, wypłynąwszy z jeziora, udał się w górę rzeki na 40 mil; przebył szczęśliwie trzy wodospady, i dostał się na morze Tatarskie pod 61° szerokości. Znalazł ziemię zniżającą się ku północno-wschodowi; kraina obfitowała w zwierzynę; a morze, równie jak i rzeki zapełnione było rybami najwysmienitszemi. W tymże czasie, sam De Fonte przybył do miasta Indyjskiego, zwanego *Conosset*, leżącego na południowym brzegu jeziora *Belle*. Dnia 1go Lipca, ro-

ku 1640, wypłynął z tego jeziora przez rzekę, którą nazwał *Parmantier*, na cześć swego przyjaciela, inspektora floty, i dostał się 6go Lipca do wielkiego jeziora, któremu nadał nazwę *de Fonte*; napelnione one było stokfiszami i zielonemi dorszami, co jednak podpada wielkiej wątpliwości, gdyż obie te ryby, a szczególnież ostatnia, należą wyłącznie do mórz otwartych i głębokich. Posuwając się potem ku północo-wschodowi, wpłynął na inne jezioro, które nazwał *Estrecho de Ronquillo*. Nakoniec 17go Lipca, admirał de Fonte przybył do Indyjskiego miasta i dowiedział się, że niedaleko znajdował się wielki okręt, pierwszy, który w tych stronach się zjawił. Kapitan Shapley dowódcą owego statku, przybywał z *Bostonu*, miasta Nowej-Anglii; był najuprzejmiej przyjęty; de Fonte uwiadomił go, że lubo miał zlecenie zabierać w niewolę wszystkich napotkanych przez siebie, szukających przejścia zachodniego lub północo-zachodniego, lecz jego uważa jako kupca, przybyłego dla nabycia futer od krajowców. De Fonte wracając, popłynął w górę rzeki *Parmantier*, i w pięć dni znajdował się na swoim okręcie, przed pięknym miastem *Konosset*.

Zaraz po swoim przybyciu, odebrał przesyłany list od Bernarda, w którym mu donosił, że wrócił ze swojej północnej wyprawy, i przekonał się, że nie masz żadnej komunikacji z oceanem Zachodnim przez cieśninę Dawisa; istotnie krajowcy zawieźli jednego z jego majtków w głąb owej cieśniny, która się kończyła jeziorem słodkiej wody, położonem pod 80° szerokości północnej, miało ono blisko 40 mil obwodu. Na północ wznosiły się góry nadzwyczajnie wysokie, a ogromna zapora lodu, broniła przystępu do brzegu. Na tém zakończył swe odkrycia de Fonte i jego oficerowie; opis tej wyprawy w którym autor pomieszał niepewne dokumenta dotyczące wnętrza Ameryki Północnej z opowiadaniem istotnie dokonanej podróży, powszechnie był uważany za niepewny. Jednak się nie omylimy, przypuszczając, że admirał hi-

szpański odkrył istotnie, r. 1640 rozległy archipelag, pod 53° szerokości, a na tym archipelagu szeroką odnogę morską, czyli rzekę splawną, którą zwieździł bezkorzystnie; ztąd wniósł, że nie ma przejścia północo-zachodniego.

Franciszek Drake, który powtórnie wskazał cieśninę Magellańską żegludze europejskiej, zwrócił także i uwagę Hiszpanów na północo-zachodnią stronę Ameryki, i zagnał ich do wznowienia tak długo zapomnianych poszukiwań, a to w celu obrony galionów hiszpańskich wysyłanych z Manilli do Akapulko, przeciw napadom korsarzy angielskich i hollenderskich. Postanowiono zwieździć zewnętrzną stronę Kalifornii, dla wynalezienia bezpiecznej przystani, którąby można łatwo obwarować. Sebastyan Wiskayno otrzymał to zlecenie i wyruszył z Akapulko 6 Maja r. 1602, z dwoma okrętami, fregatą i czólnem mającym pomost. Zwiedzając kolejno mnóstwo wysp i przystani ciągle walczył z wiatrami północo-zachodnimi, które panują na owych brzegach. Nakoniec odkrył pod 36° 40' szerokości, port, który na pamiątkę vice-króla, nazwał *Puerto del Monterey*, stał się on później głównym punktem osad, zakładanych przez Hiszpanów w stronie północo-zachodniej Ameryki. Tegocześni żeglarze nie osadzili jednak tego portu za tak dogodny. Przedstawiają go jako obszerną i otwartą zatokę, w której nader mała liczba okrętów może zarzucać kotwice i znaleźć bezpieczną ochronę. Wiskayno posunął się potem aż do wysokości przylądka *Mendocino*, który postrzegł pod 41° 30'; lecz choroby zaczynające się szerzyć na jego okrętach, zmusiły go do zaniechania poszukiwań, i przyspieszenia powrotu do Akapulko. Z zapamiętaniem upraszał dworu hiszpańskiego, aby mu dozwolono przedsięwziąć nowe odkrycia na północo-zachodzie, i założyć osadę w porcie Monterey; lecz rząd, wierny swemu systematowi miękkości i niewdzięczności, głuchym pozostał na nalegania tego żeglarza. Twierdzą, iż jeden z kapitanów towarzyszących mu w tej wyprawie, nazwiskiem Marcin Aguilar, od-

dzielony gwałtownymi wiatrami od eskadry, opłynął przylądek Mendocino, dotąd z daleka tylko widziany. O 15 mil dalej ku północy, odkrył drugi przylądek lub raczej przygórek, który nazwał *Przylądkiem Białym*. Dalej odkrył obszerną spławną odnogę, którą poczytał za ujście wielkiej rzeki, wiodącej do sławnego miasta Quirira. Dla gwałtowności prądu niemogąc się dalej posunąć i zważając na instrukcyą daną Wiskaynowi, w której zalecono jedynie odkrycie znacznej przystani, osądził za rzecz najrozsądniejszą bez zwłoki wrócić do Akapulko.

Mieliśmy już sposobność uczynić postrzeżenie, że najnowsze poszukiwania nie wykryły nawet śladu szczątków miasta Quivira, a jeźli Aguilar twierdzi, że je widział, to należy przypisać urojeniu, upowszechnionemu w owęj epoce. Zresztą tajemnica, którą naród hiszpański starannie otaczał swoje odkrycia, pozbawiła wiary żeglarzy tego narodu. Tajemnica rodzi zwykle niedowierzanie; ludzie łatwi są do zaprzeczania autentyczności wszelkiemu odkryciu, gdy to nie jest poparte objaśnieniami. Podróże Quirosa, Torresa, i innych, uważane były za płonne urojenia, a na wyprawę Wiskayno, tak mało zwracano uwagi, i tak mało jej ufano, że jeszcze przy końcu XVIII wieku wątpiono: czy Kalifornia była wyspą, czy półwyspem.

Hollandrzy za to nie ukrywali przed światem rezultatów wypraw, zaszczycających ich naród, i dla tego téż ich żeglarze świetnie zajmują miejsce w rządzie morskich odkrywaczy, już w pierwszej połowie XVII wieku. Tegoż roku (1606), w którym Torres zeglował na południu Nowej-Gwinei, i wskazał na południe ziemię, która bez żadnej wątpliwości była częścią Australii, statek hollenderski także dokonał tegoż odkrycia. Yacht, zwany Duyfhen, odkrył brzegi południowe i zachodnie Nowej-Gwinei, w przestworze 1000 mil prawie, od 5° do 13° $\frac{3}{4}$ szerokości. Rozległy ten kraj był zupełnie prawie pusty; w niektórych tylko miejscach mieszkali ludy czarne, dzikie i srogie,

które zamordowały kilku żeglarzy i nie dozwoliły Hollandrom kraj przepatrzeć. Zmuszeni dla braku zapasów wrócić do Hollandyi, nazwali oni najodleglejszą kończynę ziemi, którą dojrzyć mogli przylądkiem *Keer Weer* czyli *Powrotu*. Ponieważ Torres mniemał, że ziemia leżąca na południe jego drogi, była częścią wielkiego archipelagu, wśród którego zeglował, nie przywiązywał przeto wielkiej ceny do jęj odkrycia; wypadek jego podróży pozostał nie bardzo znany, i nie zdarzyła się nigdy sposobność sprostowania błędu, w który popadł mimowolnie. Hollandrzy ze swojej znów strony wyobrazili sobie, że ziemia, którą okrążyli, była południową częścią Nowej-Gwinei; przez tę pomyłkę nie dokonali odkrycia największe wzbudzającego zajęcie. Zaszczyt pierwszego przejrzenia Nowej-Hollandyi powszechnie jest przypisywany Teodorowi Hertoge, który płynął z Hollandyi do Indyj Wschodnich, na małym okręcie zwanym *Zgoda* (*Eendracht*), trafił na zachodnie brzegi owego wielkiego stałego lądu, pod 25° szerok. południowej i nadał tej ziemi miano *Eendracht*, zamieszczone na kartach tegoczesnych wraz z nazwami przylądka i drogi Dirka Hertoge. Odkrycie to żarliwie pomnażali Hollandrzy z Indyj Wschodnich. Roku 1618, Zeachen rozpoznał brzegi północne Australii w stronach, które nazywają się ziemiami *Arnhem* i *Diemen*. Jan Edels przebiegł jęj zachodnią stronę w r. 1619, i przekazał swą nazwę swoim odkryciom. Roku 1622 postrzeżono część wybrzeża, które nazwano wybrzeżem *Leuwin*. Nuytz rozpatrzył r. 1627 wybrzeże południowe, które przybrało jego nazwę, w następnym roku Wiit dalsze czynił poszukiwania. W teje epoce, dowódca hollenderski, nazwiskiem Karpenter, rozpoznał brzegi, które nazwał *Karpentaryą*. A tak w krótkim czasie Hollandrzy zwiędzili zupełnie wszystkie zachodnie i północne wybrzeża owęj obszernęj krainy, pozostawiając swoje nazwiska tym rozmaitym prowincjom, jako świadectwo swych usiłowań i powodzeń jakie ich uwieńczyły.

Lecz żeglarze hollenderscy Indji Wschodnich, mają pierwszeństwo nad Portugalczykami, którzy ich poprzedzili, więcej z światła, które rzucili na kraje dotąd nieznanne, niż ze śmiałości swych przedsięwzięć. Mamy ważne powody do mniemania, że Portugalczycy posiadali wiadomości dotyczące Australii, prawie wiek cały pierwej, nim została zwiedzona przez Hollendrów. Biblioteka muzeum brytańskiego posiada dwie mapy, popierające to zdanie. Na jednej z nich, pisanéj po francuzku, a która, jak wnoszą, rysowaną była około roku 1550, umieszczono na południe Azji wielką wyspę, której położenie zupełnie odpowiada położeniu Australii. Wązkie przejście oddziela ją od Jawy. Timor umieszczoną jest na północo-wschodzie. Ową stałą ląd nazwany jest Wielką Jawą. Pomiedzy nazwami nadawanemi tym wybrzeżom, znajduje się także (*Wybrzeże ziół*), po angielsku *Botany-coast*, nieco na północ tegoczesnego *Botany-Bay*. Na południe natrafiamy na inne nazwy w dość znacznych odległościach, jak np. wybrzeże *Grakal*, i wielki przylógórek, zwany przylądkiem *Fromoz*, nakoniec dalej jeszcze ku południowi, oznaczono *Otchlań*, co może znaczy wielką zatokę lub odnogę morską. Brzeg mapy przedziela ową wielką wyspę, i zostawia dowolne oznaczenie jej rozległości. Nazwy *Grakal* i *Fromoza*, któreśmy przytoczyli, zdają się być portugalskimi, i naprowadzają na myśl, że mapa może być tłumaczoną z tego języka. Podejrzanie to stwierdza hydrografia Jana Rotz, datowana r. 1542, którą także dochoowano w Muzeum Wielkiej-Brytanii. Ciekawy ów rękopism pisany jest po angielsku; lecz wnoszą, że autorem jego był jeden z owych Flamandczyków, którzy przybyli do Anglii z Anną z Klivii. Australia w niej zwaną także ziemią Jawańską, i jest skreśloną całkiem tak, jak ją rysowano w XVII wieku, przed podróżą Abła Tasmana. Porównując tę mapę z poprzednią, nasuwa się wniosek, że mapy Rotza oryginalnemi są dokumentami; gdyż znajdujemy w nich wiele nazw portugal-

skich, które w innych tłumaczone są na język francuzki. Na jednych jak i na drugich, Borneo dość akuratnie znajduje się umieszczona; co zbija wnioszek, że brano za Borneo wielką wyspę, zwaną Wielką Jawą, przez Marka Pola. To samo wskazują nam inne karty ówczesne. Gdy się zastanowimy, że podług twierdzenia Portugalczyków, Nowa-Gwinea odkryta została przez Menezesa, roku 1527, a podług Hiszpanów w rok później przez Saawedra, i gdy rozważemy wyżej wzmiankowane skazówki, wypadła przyznać stanowczo, że Hiszpanie i Portugalczycy zwiedzili brzegi północne, a nawet i wschodnie Nowej-Hollandyi, na cały wiek przed Hollendrami. W roku 1642 z woli gubernatora hollenderskiego w Batawii, uzbrojono dwa okręta, dla uzupełnienia odkryć Ziemi Południowej, jak ją w ówczas jeszcze nazywano, a głównie w celu oznaczenia dokładnego jej rozciągłości. Dowództwo nad tą wyprawą powierzono Ablowi Tasman, skutek usprawiedliwił ten wybór, gdyż mało podróży począwszy od Magiellana, tak znamienicie zwiększyło wiadomości jeograficzne jak ta. Tasman udał się najpierwej do wyspy Maurycygo, a 8 Października, skierował z niepewnością ku południow-schodowi. Dnia 27, postrzeżono wielkie mnóstwo dzikiej soczewicy, i postanowiono, aby jeden z ludzi ciągle siedział na wierzchołku wielkiego masztu, dla postrzeżenia lądu; lecz ten dopiero ujrzano 24 Listopada o czwartej po południu. Tasman znajdował się w ówczas pod 42° 30' szerokości a 163° 50' długości. Zważał także, iż nieopodal od brzegu, zmiany kompasu nagle się zmniejszały, i igła magnesowa sam punkt północny wskazywała. Na cześć jenerałego gubernatora, który wysłał wyprawę, nadał tym brzegom nazwę *Antonięgo Van Diemen*. Kilku z jego ludzi na ląd wysiadło, lecz nie napotkali mieszkańców; dostrzegli jednak w pniach drzew wyrobione schodki jakby dla ułatwienia na nie wstępu szukającym gniazd ptasich. Kraj był we wszystkich kierunkach obsadzony drzewami. Z wierzchołka statków po-

strzeżono wówczas tu i owdzie kilku krajowców, i płomień wzaoszący się po nad lasami. Dnia 2 Grudnia, podróżni nasi dostali się aż do południowej kończyny owego niby ładu stałego, i posuwali się przez czas jakiś do północy, lecz d. 5 zaczęli płynąć ku wschodowi, i niezadługo stracili go z oczu.

Tasman opłynął wówczas południową Australię, i miał dowód, że ziemia Południowa nie ciągnęła się ku biegunowi o tyle jak wnoszono. Dnia 14 pod 189° 3' długości, znowu postarżono ziemię na wschodzie. Góry jej ukrywały swe wierzchołki w chmurach, a okręta tak zbliżyły się, że mogły widzieć wały rozbijające się o brzegi. Nie postrzeżono ani ludzi, ani ognia, a kraj przedstawiał obraz najsmutniejszej niepłodności. Okręta skierowały ku północy, i 18 zarzuciły kotwicę, w bezpiecznej zatoce; po zachodzie słońca, ujrano światła na brzegu, i przybywające cztery czółna z wyspiarzami, którzy przywoływali Hollendrów z krzykami przy towarzyszeniu instrumentów, do trąb podobnych. Hollendrzy odpowiedzieli im wzajemną muzyką i ów rodzaj powitania kilkakrotnie wznawiano; lecz dżicy zostawali zawsze w oddaleniu od okrętu, a z nadejściem nocy na brzeg powrócili. Nazajutrz powtórzono te odwiedziny. «Ci ludzie, mówi Tasman: byli wzrostu pospolitego, silnie zbudowani, i obdarzeni od natury głosem nadzwyczaj chrapliwym. Cera ich jest ciemno-brunatno-żółtawa, wiążą na wierzchołku głowy, jak Japończykowie czarne swoje włosy, i przytwierdzają do owego niby warkocza ogromne białe pióra. Czółna ich składają się z dwóch długich łódek połączonych, na których przytwierdzają deski; służące za ławy. Wiosła ich są długie na sążeń, i zaostrome na końcach. Odzież ich zdawała się być zrobioną z łyka lub bawełny, lecz wielu chodziło z rozwartemi piersiami.

Ponieważ krajowcy zdawali się być przychylni, Hollendrzy już chcieli zarzucić kotwicę bliżej brzegu, lecz wkrótce postrzegli omyłkę! Siedem łodzi

krajowców otoczyły okręty, a gdy ci spostrzegli czółno z majtkami, przewożącemi rozkazy z okrętu do okrętu, puścili się za nimi i zaczęli się bić maczugami i wiosłami: trzech Hollendrów poległo, jeden został śmiertelnie raniony; reszta wpraw uszła. Krajowcy powrócili na ład uniosłszy z sobą jednego z trupów, resztę zaś równie jak i szalupę zostawili na morzu. Gdy tak wszelka nadzieja zawarcia przyjacielskich stosunków z krajowcami zniszczona została, Hollendrzy podnieśli kotwicę, i już mieli odpłynąć, gdy 22 łodzi, z których jedenaście napełnionych było ludźmi, szybko się ku okrętom zbliżyło. Hollendrzy użyli artylleryi, i zmusili nieprzyjaciół do śpiesznego odwrotu. Zatoka, w której się to wydarzyło nazwaną została przez Tasmana *zatoką Morderców*. Czyni on uwagę względem tej ziemi niegościnniej: «jestto druga podobna przez nas odkryta; nazwalimy ją *Staten-Land*, na część Stanów Jeneralnych. Możeby można do niej przyłączyć *Staten-Land* (Schoutena i Le Maira, na południe Ziemi Ognistej), ale nie jesteśmy tego pewni: jestto kraj bardzo piękny, i sądzimy, że tworzy część stałego ładu południowego, nieznanego dotąd.» Staten Land Tasmana otrzymał później nazwę *Nowej-Zelandyi*.

Okręta hollenderskie przez kilka dni ciągle płynęły wzdłuż brzegów ku północy, i 5 Stycznia ujrano małą wysepkę, na którą chciano wysiąść, dla nabrania słodkiej wody; lecz gwałtowność odbijających się o brzeg bałwanów, nie dozwoliła im wylądować. Postrzegli na tej wyspie kilku krajowców uzbrojonych w kije i maczugi, podobnych zupełnie do innych mieszkańców Nowej-Zelandyi z grubym i chrapowatym głosem: zdawali się oni być nadzwyczajnie wysokiego wzrostu, i posuwiste stawiali kroki. Wyspa ta nazwaną została *wyspą Trzech-Króli*, dla tego, że w dzień tego święta odkryta została.

Podróżnicy nasi postanowili płynąć ku wschodowi aż do 220° długości; a potem skierować ku północy. Staten-

Land, czyli *Nowa-Zelandya* wkrótce im z oczu zniknęła. Żeglowali przez dni dwanaście nienapotkawszy ziemi; po upływie tego czasu, dostrzeżono wyspę osłonią wysokimi skałami, która nie miała więcej jak trzy mile obwodu, nazwano ją *wyspą Pylstaart*, z powodu mnóstwa ptaków zwrotnikowych, tak zwanych przez Hollendrów, które jak się zdaje założyły w niej swoją siedzibę. We dwa dni później, pod 21° 20' szerokości południowej, a 205° 29' długości wschodniej, Tassman odkrył dwie wyspy, odległe najwięcej o półtora mili od siebie. Hollendrzy, leżącą bardziej ku północy, nazwali *Amsterdam*. Jestto główna wyspa grupy, której kapitan Kook nadał nazwę *wysp Przyjacielskich*, a krajowcy zowią *Tonga Tabu*. Druga więcej ku południu leżąca *Eooa* krajowców, otrzymała od Hollendrów mianem *Middleburgh*. Wkrótce trzech krajowców przybyło w łodzi ku okrętowi; byli niezmiernie śniadzi i prawie całkiem nadzy; wzrost ich zdawał się być daleko wyższym od Europejczyków. Hollendrzy rzucili im kawałek białego płótna; wpadło ono w wodę, i gdy nasiąknąwszy zaczynało tonąć, jeden z dzikich wyskoczył z czółna i dał za niemię nurka. Długo zostawał pod wodą, lecz ukazał się nakoniec z płótnem, i po kilkakrotnie kładł je na swojej głowie, jak gdyby dla okazania wdzięczności. Ofiarowano im wówczas dwa wielkie gwoździe, naszyjnik z paciorem i małą lorynetkę chińską, w zamian czego dali oni Hollendrom wędkę i jeden ze swoich haków do zarzucania na wielkie ryby; hak ten był zrobiony z żółtówiwej skorupy. Położyli sobie perspektywę i naszyjnik na głowie. Hollendrzy pokazali im natenczas stary orzech kokosowy i sztukę drobiu, żądając od nich prosiat, i słodkiej wody, w wyrazach na jakie tylko słownik ich mógł się zdobyć. Lecz dzicy nie zdawali się tego rozumieć. Stosunki handlowe w ten sposób zawiązane, bardzo szybko wzrosły. Po obiedzie, postrzeżono wzdłuż brzegu przybyszące wielkie mnóstwo krajowców, po-

wiewających białymi chorągiewkami. Hollendrzy wnosząc, że to było godło pokoju, wywiesili nawzajem białą flagę, zaledwie wiatr nią powiał, czterech ludzi pięknych i młodych, przybyło i weszło na okręt Tassmana. Przynieśli oni z sobą pewien rodzaj materji utkanej z kory; a sądząc z tego daru jak i czółen, na których przyплыnęli, woiensiono, że to byli wystancy naczelnika tej wyspy. Hollendrzy napełnili szklankę winem, i wypili ją dla okazania, że ten napój nie jest szkodliwym; potem, napełniwszy takową powtórnie, podali dzikim; lecz ci wylali wino, a szklankę zabrali ze sobą. Wówczas ze wszelkich stron przybyły czółna napełnione orzechami kokosowymi, które Hollendrzy jak najtaniej zakupili. Starzec, który jak sądzono, był naczelnikiem, przybył także na okręt, a gdy mu pokazano kubek napełniony wodą, wytłomaczył znakami, że wysiadłszy na ląd, można się zaopatrzyć w wodę słodką. Nad zachodem słońca, przeszło 20 czółen otoczyło okręta. Znajdujący się na nich dzicy kilkakrotnie wydali okrzyk: *Woo! Woo!*; na który wszyscy będący na statkach pousiadali, a jedna z łodzi zbliżywszy się do statku hollenderskiego, przyniosła od króla bardzo pięknego wieprza, znaczną ilość orzechów kokosowych i ignamów. Poślaniec dar ten wręczający, otrzymał w zamian talerz metalowy i pęk mosiężnego drutu. Hollendrzy cieszyli się, że ten handel korzystny widocznie zaczynał zakwitać. Nazajutrz znów podплыnęły do okrętu łodzie z kokosami, ignamami, bananasami, wieprzami i drobiem, które chętnie wymieniano na gwoździe, paciorki i płótno. Kilka kobiet młodych i starych przybyło do okrętu: najstarsze miały u obu rąk małe palce poobcinane. Wystrzelono z wielkiej armaty: zrazu dzicy niezmiernie przelekli się huku; lecz nie widząc złych skutków, wkrótce odzyskali dawną śmiałość. Chciano zaopatrzyć się w świeżą wodę, lecz nie można było tego dopełnić, gdyż nie wiele znajdowało się rzódół, i te skąpo dostarczały wody. Ludzie wystani dla jej szukania

zaprowadzeni zostali przez krajowców do rozkosznej doliny; tam ich usadowiono na rogozach, i podawano słodką wodę w łupinach orzechów kokosowych. Gdy uwiadomiono naczelnika miejscowego o potrzebach przybylców, rozkazał aby rozkopano źródła, i ofiarował swym gościom owoce, świeże ryby i orzechy kokosowe. «Obszedł się z nami, mówi Tasman: z jak największą uprzejmością, pytając z zajęciem skąd przybывamy i gdzie zamysłamy się udać. Gdyśmy mu odpowiedzieli, że przeszło od stu dni zostajemy na morzu, nadzwyczajnie się zdumiał, równie jak i wszyscy krajowcy, obecni naszej rozmowie. Przetoczyliśmy im, że przybывamy do nich, dla zaopatrzenia się w wodę i żywność, na co oni odpowiedzieli, że dostaniemy ile tylko sami zechcemy. Nie mieli najmniejszego wyobrażenia o tytaniu i nie palili fajek. Nie postrzegliśmy wcale, aby broń jakąś nosili, tak pokój i przyjaźń zdawały im się być wrodzonymi.»

Obficie dostarczano świeżych zapasów; spodziewano się większych jeszcze przyjemności w skutku tak blizkiej połufatości z krajowcami, gdy jeden ze statków hollenderskich zerwany z kotwicy i siłą wiatru został uniesiony na pełne morze. Nazajutrz inny statek wypłynął dla połączenia się z tym, a że gwałtowność wiatru niepodobnym czyniła powrót do wyspy, postanowiono przeto dalej odplynąć. Miło jest pomyśleć, że pierwsze stosunki Europejczyków z mieszkańcami *wysp Przyjacielskich* nie zostały skalane żadnym z owych czynów gwałtownych, które w innych stronach morza Południowego zjednały ku nim niechęć i odrazę krajowców. Posuwając się ku północy-wschodowi, okręta Tasmana przybyły w kilku godzinach do grupy wysp, z których największa miała wyborne miejsce do zarzucenia kotwicy. Hollendrzy wysiedli na ląd dla szukania słodkiej wody, i znaleźli równie przyjacielskie przyjęcie u krajowców jak na wyspie Amsterdam. Widzieli tam pola uprawne i ogrody, których plan-

tacy podzielone na kwadraty i otoczono alejami bananasowemi, regularnie zasadzonymi, miłą woń z siebie wydając, nader piękny przedstawiała widok. Ow pozór szczęścia i przemysłu, następczył Tasmanowi następne uwagi: «To więc nawet i u tych ludów, które z kształtu należą do rodzaju ludzkiego, lecz których obyczaje wykazują uposledzoną naturę, znajdujemy jeszcze ślady rozumu i pojęcia. Ludzie ci nie mają żadnej religii, żadnych obrzędów; nie mają ani bóstw, ani kapłanów, a jednakże ulegają władzy rozmaitych przesądów. I tak widziałem u nich człowieka; który pochwycił wodnego węźła, pływającego obok czołna, i złożył go z największym uszanowaniem na swojej głowie, a potem puścił na powrót do morza. Wcale nie zabijają much, chociaż te owady znajdują się obficie na wyspie i niezmiernie im dokuczają. Nasz sternik zabił przypadkiem muchę w obecności znakomitszych krajowców, którzy nie mogli się powściągnąć od okazania nadzwyczajnego gniewu.» Tasman nadał tej wyspie miano *Rotterdam*, a krajowcy ją nazywają *Anamoka*.

Okręta hollenderskie popłynęły dalej ku zachodowi, i w sześciu dniach przybyły do wysp otoczonych mieliznami i niebezpiecznymi skałami, jedne z nich nazwał *wyspami księcia Wilhelma*, a inne *mieliznami Heemkirks*. Grupa ta rzadko kiedy zwiedzana była od czasu pierwszego swego odkrycia; żeglarze bowiem unikali starannie skał podwodnych, które które podług twierdzenia Tasmana mają się w pobliżu jej znajdować. Wyspy, którym Le Maire nadał nazwę *Onthona*, *Juwa* i *Marken*, następnie zwiedzono. Czółn napelniony krajowcami należącymi do ostatniej z tych wysp, przyplłynął do okrętu; byli oni daleko ciemniejszej cery, niżeli mieszkańcy wyspy Amsterdam, i nie tak uprzejmymi w obejściu. Niektórzy byli podobni do mieszkańców Nowej-Zelandyi, a jeden z nich miał obrączki przez nozdrze przeciągnięte. We czterech dni później, nasi żeglarze dostali się

do wysp Zielonych, jeszcze bardziej ku zachodowi położonych, mieszkańcy tamtejsi zupełnie są czarni, lubo mają włosy kręte, jednak nie zupełnie kędzierzawe jak u innych murzynów, ani nosy tak płaskie. Ci dziecy chodzili zupełnie nago, nosili tylko naramienniki i pierścienie, niektórzy z nich mieli twarz dziwacznie pomalowaną. Hollendrzy użyli do rozmawiania z niemi słownika Nowo-Zelandzkiego; lecz oni jeden tylko rozumieli wyraz, *lamas*, to jest orzech kokosowy. Na wyspie *Rybaków*, jeszcze bliżej Nowej-Gwinei, wielkie mnóstwo czółen otoczyło okręt; mieszkańcy dostarczyli małą ilość sago, jedynej żywności, którą posiadali. Hollendrzy wykrzyknęli do nich: *Aniewu, oufi, pouacka*, co w języku wysp Salomona znaczy: kokosy, ignamy i wieprze; zdaje się, że krajowcy to rozumieli, gdyż natychmiast wskazali na ziemię i odплыli. Owi dziecy byli równie czarni jak Hottentoci; twarze mieli pomalowane czerwono, a włosy osypane gipsem i okrą; kości, grube jak mały palec, przeciągali przez nozdrza.

W kilku dniach Tasman dostał się do wschodniej kończyny Nowej Gwinei, i płynął wzdłuż północnego brzegu tego wielkiego kraju, prawie tą samą drogą, której niegdyś trzymał się Le Maire. Kupił na małych wyspach Garana i Moa 6000 sztuk kokosowych orzechów, i bananów. Dla ułatwienia handlu z krajowcami, Hollendrzy brali kółka żelazne, które rozłamywali w kształcie noży, dorabiali do nich trzonki, i pítowali dopóty, dopóki nie nadali im połysku i ostrza. Tasman uwiadamia nas, że zachodnia kończyna

Nowej-Gwinei, jest ziemią niezmiernie urozmaiconą dolinami i pagórkami. Wybrzeże, otoczone wyspami, ma wklęsłości i zatoki bez końca. Oba okręta przybyły do Batawii, po szczęśliwej dziewięcio-miesięcznej i kilkodniowej podróży.

Tasman był żeglarzem biegłym i szczęśliwym. Opłynawszy Nową-Hollandyą, znacznie zmniejszył granice oznaczone Nowej Australii, i przez co oczyścił Ziemiopisarstwo z ważnych błędów. Sądził wprawdzie, że jego Staten-Land czyli *Nowa-Zelandya*, może się łączy z Staten-Land Le Maira w krańcu Ameryki, i że wielka ziemia Australna, dotąd nieznaną, graniczyła na południe z oceanem Spokojnym; lecz wcale nie obstawał przy tém mniemaniu, które z trudnością przypuszczali żeglarze, którzy opłynęli przylądek Horn. Około roku 1662, nowy *Statthouse* żbudowano w Amsterdamie, gdyż pożar schłonął gmach dawniejszy. Największą ozdobą tego nowego pałacu, była mappa całej kuli ziemskiej, wypukło wyzlębiona na kamieniu, na niej były oznaczone odkrycia Tasmania. We trzy lata później, nazwa *Nowej-Hollandyi* nadaną została zachodniej części ziemi australnej, postanowieniem Stanów Jeneralnych.

Na kilka lat pierwiej, Hollendrzy wystali znaczną flotę, złożoną z jedenastu wojennych okrętów, pod rozkazami Jakóba L'hermit, dla niepokojenia posiadłości hiszpańskich na morzu Południowym. Wyprawa ta, lubo najgroźniejsza i najlepiej zaopatrzona ze wszystkich, które wyplłynęły na wielki Ocean, wcale się nie powiodła.



ROZDZIAŁ XXII.

WYPRAWY BUKANIERÓW NA MORZU POŁUDNIOWYM.

Początek Bukanierów. — Uciemniająca rządy Karaibski sposób przyrządzania mięsa. — Nazwisko Bukanierów. — Ich zwyczaj. — Osada Świętego Krzysztofa. — Bukanierowie na wyspie Żółtej. — Wybór wodza. — Czyny Henryka Morgan. — Bierzże Porto-Bello. — Posuwa się ku Panamie. — Bukanierowie udają się na morze Południowe. — Ich przygody. — Utracają przez niewiadomość łup bogaty. — Pozostawiają Williama Indyjczyka na wyspie Zuan-Fernandez. — Powracają okrążywszy przylądek Horn. — Bukanierowie pod Dawisem. — Dampier wraca do swego kraju. — Latające prosy. — Przyjście Bukanierów w Mindanao. — Pięć wysp. — Opis krajowców Nowej-Hollandyi. — Rozbicie okrętu Cygnet. — Dampier jest wysłany na odkrycie. — Optywa Nowa-Hollandyę. — Wyspa Rozmarnowa. — Posuwa się aż do Nowej-Gwinei. — Odkrywa cieśninę. — Nowa Bretania. — Przeprawa w powrocie. — Roebuck rozbija się przy wyspie Wniebowzięcia. — Powrót Dampiera.

Gdy osadom hiszpańskim na oceanie Spokojnym, zagrażały liczne wyprawy, wysyłane przez współzawodnicze narody, napadali one zarazem innego rządu nieprzyjaciele daleko groźniejsi, którzy winni byli swój byt błędom polityki, przykrój aż do uciemżenia. Stowarzyszenie i przedsięwzięcia Bukanierów, jeśli początkowo nie wielką korzyść przyniosły ziemio-pisarstwu, o swoiły przynajmniej marynarzy europejskich z żeglugą po oceanie Spokojnym, przedstawiając za nader łatwe przedsięwzięcia, dotąd uważane za niepodobne.

Zarząd osad hiszpańskich w Indyach Zachodnich, zrodził nieszczęścia których właśnie starano się uniknąć. Sami nawet Hiszpanie uczyli, jak były uciążliwemi liczne ścieśnienia tamujące ich handel; zaczęli więc ukradkowo zabierać przemycaczy cudzoziemskich, dostarczających po zmniejszonej cenie przedmiotów, których prawe nabycie ulegało cłom niezmiernym. Kupey angielscy zjawili się wkrótce na owych morzach; a że władze hiszpańskie obchodziły się z nimi jako z nieprzyjaciółmi, nawet jak z morskimi rozbójnikami, nauczyli się więc być przezornymi i zawsze gotowami do bronienia się siłą oręża.

Okrucieństwa wywierane przez Hiszpanów na krajowcach Kuby, zakoń-

czyły się wyludnieniem owęj wspaniałej wyspy. W skutku tego rozmnożyła się zwierzyna, w zachodnich obwodach, opuszczonych. Miejsca te stały się punktem zaopatrzenia dla okrętów cudzoziemskich, prześladojących handel hiszpański. Przystosowanie mięsowa, zamiennio w przemysł. Strzelcy hiszpańscy, zwani *matadorami*, zabijali bydło, z którego mięso suszono i przyrządzano na sposób Karaibski, na rusztowaniu z żerdzi, wzniesionem na kilka stóp po nad ogniskiem. Indyjanie zwali ten sposób przyprawy *bookan*, ludzie, trudniący się dostarczaniem żywności korsarzom, przejmując mowę i zwyczaj krajowców, sami siebie nazwali *Bukanierami*. Większa część awauturników rozproszonych po owych morzach była Anglikami, a że ten przemysłowy ich handel niezadługo zmienił się w rozbój, przyjęli więc zaszczytniejszą nazwę *Flibustierów*. Bukanierowie i Flibustyerowie, polegali jedni na drugich, i rzadko kiedy przeszkadzali sobie; pierwsi zajmowali się na morzu, drudzy na lądzie. Bardzo podobna do prawdy, iż w wielu zdarzeniach korsarze sami w żywność się zaopatrywali, a tem samem połączali oba rzemiosła. Lecz w ogólności łowcy różnili się od żeglarzy, i później francuzi byli po większej części Bukanierami, gdy tymczasem korsarze głównie z Anglii pocho-

dzili; jednak awanturnicy obu tych narodów, powzięli dziwną myśl przybrania nazwy swego rzemiosła z mowy kraju, do którego nie należeli; Anglicy przezwali się *Bukanierami*, a Francuzi *freebooters* czyli *Flibustierami*. Zresztą wspólność interesu łączyła ich z sobą. Tworzyli oni towarzystwo, znane pod nazwą *Braci nadbrzeżnych*. Bukanierowie oddzielne mieli obyczaje, które zwolna nabyły mocy obowiązującej. Kodeks ich moralny był tém naturalnie, czém mógł być u ludzi, oddzielonych od reszty społeczeństwa, i jedynie rachujących na wzajemną wierność. Każdy Bukanier miał towarzysza, który w okoliczności odziedziczał wszystkie jego pieniądze; przez całe życie miewał on z nim wspólną kasę. Zaniedbanie w ubiorze, niechlujstwo nawet, były u nich w modzie, jako właściwe ich rzemiosłu. Zresztą, gdy wojna pomiędzy ich krajem a Hiszpanią wybuchała, przybierali natenczas miano korsarzy i wywieszali ich flagę.

Zwiększenie się liczby Bukanierów w zachodnich posiadłościach hiszpańskich, z ukontentowaniem widziane było przez inne narody europejskie. Handel, utworzony przez tych awanturników, stał się dość ważnym, i zwrócił uwagę Francji i Anglii, które porozumiewawszy się wspólnie, założyły jednegoż dnia osady związkowe obu tych narodów na wyspie *Świętego Krysztofa*. Wkrótce wybuchła niezgoda pomiędzy osadnikami angielskimi i francuzkimi, a że pierwsi nie odbierali żadnej pomocy ze swego kraju, naówczas zaburzonego wojnami domowemi, wpływ przeto francuzki miał górę w osadzie, i Anglicy byli zmuszeni wydalic się. Rozmaite osady utworzone później zostały przez awanturników na wyspach Wschodnio-Indyjskich. Każdy naród tworzył w nich oddzielne towarzystwa, i w miarę jak nabywały ważności, ten rząd przywłaszczał sobie one, do którego należała większa ludność nowych osadników.

Wyspa Świętego-Krysztofa, uważana jako osada, winną była swój początek powodenia Bukanierów. Uważani oni byli przez nowych mieszkańców, za przy-

jaciół i potężnych sprzymierzeńców; łączyła ich z sobą wspólna nienawiść ku Hiszpanom. Bukanierowie znajdując pewien rodzaj sympatyj potajemnej u prawych rządów, ufni w własnych siłach, opanowali małą wysepkę zwaną *Zółwią*, leżącą naprzeciw południowej kończyny wyspy Kuby, w położeniu zarówno dogodnym dla ich morskich wycieczek i zaopatrywania okrętów. Było pierwszy krok z ich strony ku zawiązaniu niepodległego towarzystwa; lecz Hiszpania, przez niepolityczną swoją surowość, zmusiła ich do kroku jeszcze bardziej stanowczego. Oddział wojsk hiszpańskich wyładował na wyspie *Zółwii*, w chwili, gdy większa część Bukanierów zajmowała się polowaniem na stałym lądzie, lub odbywała wycieczki na swych okrętach; a jeńcy, którzy zostali pochwyćeni, wszyscy bez różnicy jako rozbójnicy morscy wywiezieni byli. Wypadek ten zmusił Bukanierów do wybrania sobie po raz pierwszy dowódcy. Roku 1650, Bukanierowie w znacznej liczbie, wsiadłszy na czołna, dostali się na rzekę przy brzegach Moskitów, a po całomiesięcznym pasowaniu się z gwałtownością prądów i wodospadów, stawiających zapory ich żegludze, przedarli się aż do Nowej Segowii, którą zrabowali, i popłynęli dalej z biegiem rzeki zdrowo i cało. Wszyscy ich wodzowie odznaczali się osobistém mężstwem; lecz ludzkość nie miała przystępu do ich serc, i dla tego bezkorzystne okrucieństwa skalały ich powodenia.

Pomiędzy najznakomitszemi i najszcześliwszemi, liczą Gallijczyka, Henryka Morgana, pod którego naczelnictwem Bukanierowie dosięgli szczytu pomysłności. Pierwszy jego czyn odznaczył się niezwykłą śmiałością. Na czele 700 ludzi, zdobył i zrabował miasto Puerto-del-Principe, na wyspie Kuba. Następnie zwrócił się ku Porto-Bello, jednemu z najglówniejszych i najlepiej obwarowanych portów w Indyach-Zachodnich. Zdobywszy miasto, zamknął załogę pokonaną w twierdzy i podłożywszy ogień pod składy prochu, wysadził w powietrze razem ludzi i mu-

ry, które śmiały stawiać mu opór. Zburzył potem Marakaibo i sąsiednie miasto Gibraltar. Morgan osmielony temi powodzeniami mając pod rozkazami 37 okrętów, i przeszło 2000 ludzi puścił się przeciw Panamie. Po rozlicznych trudach, dziewiątego dnia podróży, bukanierowie ujrzeli morze Południowe, i dzwonnice Panamy. Hiszpanie, chociaż daleko w przewyższającej liczbie, pokonani jednak zostali i bukanierowie opanowali miasto. Rozżarci nie przepuścili ani płci, ani wiekowi. Wielu mieszkańców uszło morzem z majątkami, i szukało schronienia na wyspach zatoki Panama. Lecz Morgan uzbrojwszy wielkie czółno znacznym oddziałem żołnierzy, wysłał w pogoń za nimi. Oddział ten zabrał kilka okrętów. Okoliczność ta, o mało nie stała się zgubną dla bukanierów; część ich bowiem zaczęła rozmyślać, jakby się odłączyć od Morgana, postanówiwszy szukać szczęścia na morzu Południowym, zkąd mogliby łatwiej, gdy się z bogactw dostać się do Hiszpanii przez Indyje Wschodnie. Morgan zapobiegł temu szczęśliwie i wrócił do Panamy, wiodąc ze sobą 600 jeńców i 175 mułów, łupem obfadowanych. W kilka lat później otrzymał zarząd Jamajki, piastując tę władzę, nadzwyczajnie okazał się surowym dla swoich dawnych towarzyszy.

Powaga Morgana odwlekła zamiary bukanierów. Dnia 5 Kwietnia 1680 r., trzystu trzydziestu jeden z pomiędzy nich; powiększłej części Anglików, zaczęli swą wyprawę od przebycia przemyku Dariena; każdy był zaopatrzony w cztery ogromne razowe chleby, zwane *dough-boye*, oraz strzelbę, pistolet i pałasz. Pomiedzy innymi już się odznaczali Wilhelm Dampier, i Lionel Wafer, tak znany później z swego dokładnego opisu Darienu. Wsiadli w Santa-Maria na czółno i mały okręt, który stał na kotwicy w porcie, poczem rozpoczęli wycieczki po morzu Południowym. Wkrótce zabrawszy kilka ładownych okrętów, przesiedli się na nie. Przepłynawszy wzdłuż sąsiedniego brzegu Panamy, skierowali na południe ku Peru. Zawinęli do wyspy

Gorgona, później do wyspy *Juan Fernandez*, brzegi tej ostatniej znaleźli okryte lwami i cieleciami morskimi, mnogie stada nadmorskich ptaków i raków gnieździły się w skałach, wewnątrz zaś wyspy trzody kóz nader były liczne. Jeszcze bawili na wyspie, gdy ujrzano trzy statki wojenne hiszpańskie: natychmiast wszyscy udali się na okręt i puścili na morze. Lecz w zbytniem pośpiechu, William, Indyjanin Mąskitanński, towarzyszący bukanierom, polując w lesie na kozy, nie dosłyszawszy odgłosu, zostawiony został na wyspie. Bukanierowie udali się ku południowi, wzięli okręt *San-Rosario*, płynący z Kallao, z ładunkiem wina, wódki, oliwy, i owoców. Oprócz tego znajdowało się na tym statku 700 brył srebra, na które bukanierowie nie zważali mniemając, że to jest ołów; zabrali tylko jedną sztabę, dla odlania z niej kul, resztę pozostałą wraz z okrętem puszczono na igrzysko fal morskich; przybywszy do *Antigoa*, gdy okazali ową próbkę złotnikowi, ten im dopiero oświadczył, że to było najczystsze srebro; tak utracili łup kosztowny, przez swą niewiedomość.

Posuwając się na południe brzegów chilijskich, znaleźli znowu wyspy Archipelagu, już dawniej odkrytego przez Sarmienta, i nadali im nazwę wysp *Księcia Jork*. Zabrali tam młodego Indyjanina, który otwierał palcami muszle, czego Hiszpanie nawet swemi pignatami dokazać nie mogli. Młody ów jeniec, niezmiernie dziki, któremu zdawały się być obec wszelkie ludzkie uczucia, został od nich nazwany Orson. Oplynieł przyładek Horn, w znacznej odległości od lądu, i wpadli pomiędzy pływające lody. Gdy przybyli do Indyj Zachodnich, dowódca ich Sharpe i kilku jego towarzyszy, sądeni byli jako rozbójnicy na żądanie ambasadora hiszpańskiego, lecz zostali uniewinnieni dla braku dostatecznych dowodów. Tak dokonana została nadzwyczajna wyprawa, rozpoczęta na złych czółnach, a skończona na wspaniałych okrętach.

Następna wyprawa bukanierów wy-

płynęła w Sierpniu r. 1683 z Chesapeake na morze Południowe, na okręcie ośm-nasto dzielnym, poprzednio nieco poj-manym, składała się ona z 70 awan-turników, w liczbie których znajdowali się Wilhelm Dampier, Edward Dawis, Lionel Wafer i Ambroży Kowley, do-wódcą zaś wszystkich był Jan Cook. Skierowali najprzód ku wybrzeżu Gwi-nei. W Sierra-Leone opanowali pod-stępem okręt Duński, o trzydziestu sze-ściu armatach, zaopatrzone w żywność i amunicję. Przesiedli wszysej na ów nowy statek, który nazwali *Rozkosze Młodzieńca* (*Bachelors Delight*) wysa-dziwszy na ląd jeńców, dawny swój okręt spalili. W podróży ku cieśninie Magellańskiej, postrzegli wyspę, którą Kowlej nazwał *wyspą Peppys*. Opływając przy-lądek Horn, Bukanierowie wytrzyma-wszy nadzwyczajną burzę, wkrótce się połączyli ze statkiem zwanym *Mikołaj*, z Londynu, dowodzonym przez Jana Eaton, następnie zaś w cieśninie Magellańskiej, napotkali okręt kupiecki *Cygniet* pod dowództwem kapitana Swan, lecz później nawałnica ich rozłączyła. Pomiędzy Bukanierami, którzy się prze-siedli na *Bachelor's Delight*, wielu na-leżało do pierwszej wyprawy w roku 1680, w czasie której, William Moskit pozostawiony został na wyspie Żuan Fernandez. Wracając około tej wyspy, spuszczone czółno na morze i India-nin Robin, wraz z Anglikiem Dampie-rem puścili się ku niej dla odkrycia ja-kowego śladu dawnego towarzysza. Przybywszy do brzegu z radością ujrzeli William; który już czekał na nich; biedak nie posiadał się z radości, ścisnął dawnych towarzyszy, padał przed nie-m na ziemię i płakał jak dziecię z u-kontentowania, że przybyli po niego, po tak długim oddaleniu; William spe-dził przeszło trzy lata sam jeden na wyspie Żuan-Fernandez. Suknie, w któ-rych pozostał, całkiem były zużyte, a jedynym jego okryciem była skóra ko-źła, w około bioder obwiązana; na pół mili od brzegu, wystawił sobie małą chatkę, którą obit wewnątrz takimiż skórami. Zostawiony na wyspie, miał strzelbę, nóż, mały róg z prochem i

kilka kul; lecz gdy ładunki spotrzebo-wał, poszczerbił nóż i takowym z wiel-kimi trudami przepiłował łufę strzel-by, a z kawałów porobił wędki; włó-cznie, baki i długi nóż, rozgrzewając naj-przód żelazo, a potem kując je pomię-dzy kamieniami. Na wyspach *Galopagos*, Bukanierowie znaleźli nadzwy-czajną mnogość wielkich zielonych żół-wi, z powodu których one przybrały swą nazwę. Wystawili tam magazyny, w nich złożyli wielkie zapasy mąki, zabranéj Hiszpanom. Mappa archipela-gu Galopagów, zdjęta przez Kowleja dotąd jeszcze bardzo jest cenioną przez żeglarzy. Wkrótce umarł Jan Cook, a Edward Dawis obiał po nim dowódz-two. Statek *Cygniet* połączył się zno-wu z Bukanierami przy brzegach Peru, kapitan Swan dowódca onego nie mógł się pozbyć swoich towarów, z przy-czyny podejrzeń Hiszpanów, a że miał na swoim okręcie wielką liczbę Bu-kanierów, którzy w owym czasie tłumnie zapełniali morza Południowe, prze-to bez trudności naklonił się wspierać ich przedsięwzięcia.

W tymże czasie Eaton dowódca statku *Mikołaj* zostawiwszy Bukanierów pod rozkazami Dawisa, z znacznym oddzia-łem odplynął do Indyi Wschodnich. Przybywszy do *wysp Złodziejskich*, roz-poczęli natychmiast otwartą walkę z kra-jowcami. „Każdego dnia, mówi Piotr Kowlej, dziejopis tej wyprawy: wysia-daliśmy na ląd, dla zabierania żywno-ści i mordowania wszystkich, do któ-rych tylko przybliżyliśmy się; lecz wię-ksza ich część wkrótce opuściła wy-spę.” Statek *Mikołaj* wrócił później do Anglii bez żadnego przypadku.

Tymczasem Bukanierowie pod do-wództwem Dawisa, przebiegali morze Południowe, zabierając znaczne zdobycze. Było ich przeszło tysiąc ludzi i mieścili się na dziesięciu statkach. Zo-stali jednak pokonani przez flotę hiszpańską, przeciw nim wysłaną. Bukanierowie widząc, że korzyści przez nich odniesione daleko są mniejsze od nie-bezpieczeństwa na jakie się musieli narażać, postanowili po trzechletniej włóczędze po morzu Południowym,

wrócić do kraju. Porzucili więc swoje kryjówki na wyspach Galopagos, i eskadra ich skierowała ku południowi; pod 27° 20' szerokości. odkryli niską wyspę, która podług powszechnego zdania musiała być *wyspą Wielkanocną*. Znajdując się o 75 mil od brzegów, doświadczyli strasznego wstrząśnienia, z początku mniemali, że wpadli na skały, lecz później się przekonano, że to było skutkiem trzęsienia ziemi, któremu uległo miasto Lima. Dawis i jego towarzysze przybywszy do wysp Indyjsko-Zachodnich, r. 1688, gdy się dowiedzieli, o wydaniu nowej amnestyi dla wszystkich bukanierów, którzyby porzucili to niebezpieczne powołanie i zdali się na łaskę królewską, postanowili korzystać z tej sposobności. Dawis wrócił do Anglii, i był zawsze szanowanym od dawnych towarzyszy, dla wspaniałomyślności swego charakteru i żeglarskich talentów.

Kapitan Swan, dowódzca statku *Cygnet* wraz z Dampierem i innymi odłączył się od Dawisa r. 1685 i popłynął ku północno-zachodowi wzdłuż brzegów Nowej-Hispanii, w nadziei pojmiania jakiego statku płynącego z Manilli, lub dokonania korzystnej łodowej wyprawy. W *Saint-Pekag* w chwili, gdy bukanierowie uchodzili z zabraną w tym mieście żywnością, oddział Hiszpanów wpadł na nich niespodzianie i okropną klęskę im zadał.

Dnia 31 Marca 1686, oddalili się ku zachodnim brzegom Ameryki, i zaczęli żeglować po oceanie Spokojnym, z nader szczupłymi zapasami żywności. Wsiedli na ląd na *wyspach Złodziejskich*, zarzuciwszy kotwicę w zachodniej stronie Guahan, o pół mili od brzegu. Dampier nader wychwala zręczność mieszkańców owych wysp, i szczegółowo opisuje szybkość ich czółna, które nazywa *latającymi proasami*. «Może zbyt się rozszerzyłem, mówi on: z opisem owych czółen, lecz to jedynie dla tego, że sądzę, iż są najlepszymi w świecie. Sprobowałem szybkości jednego z nich; mieliśmy dwanaście węzłów na naszym kłębku, a w pół minuty już je przeminął. Sądzę, iż mógł-

by upłynąć 24 mil na godzinę. Powiadano mi, że jeden z owych proasów, wysłany umyślnie z Guahan do Manilli, (odległej prawie o 240 mil) w czterech dniach odbył podróż.” W Mindanao Bukanierowie byli dobrze przyjęci. Otwartość w postępowaniu i rozrzutność z jaką rozsiewali złoto, zjednały im powszechną przychylność. Każdy z nich miał towarzysza wybranego pomiędzy krajowcami, z nim stósownie do zwyczajów miejscowych, zamieniał się na imię; dozwolono im także mieć *Pagallie*, to jest przyjaciółki; lecz była to niebezpieczna poufałość, zwłaszcza z ludem, u którego uczucie zemsty jest śmiertelne. W czasie pobytu w Mindanao, umarło szesnastu Bukanierów, jak mniemano z otrucia; wielu innych wniosło ze sobą zarody strasliwych chorób też przyczynie przypisywanych.

Ponieważ Bukanierowie pragnęli znaleźć bezpieczną kryjówkę dla naprawy swoich statków, skierowali zatem ku pięciu małym wysepkom, oznaczonym na mappie pomiędzy Lukonią i Formozą, które mieli nadzieję znaleźć niezamieszkanymi. Lecz jak tylko zarzucili kotwicę przy jednej z nich, natychmiast zostali otoczeni od czółen. Krajowcy wstąpili na okręt, i ciesząc się z szczęśliwego przybycia nieznanomych, poczęstowali ich napojem zwanym *basche*, odstąpili im prócz tego tłustą świnie, za starą obręcz żelazną. Każda z owych pięciu wysp oddzielnie nazwaną została, *Grafton, Monmouth, Orange, Goat i Bashe*. «Ostatnia najbardziej na wschód leżąca, mówi Dampier; ta, gdzieśmy nasz okręt naprawili, dla tego tak nazwaną została, z powodu napoju, który tam piliśmy codziennie. Krajowcy robią go z trzciny cukrowej, z dodaniem nieco jagód cierniowych; gotują tę mieszaninę i wylewają na wielkie misy, na których przez trzy lub cztery dni fermentuje. Płyn oczyszcza się w ówczas zupełnie, i staje się zdatnym do picia. Jest to wyborny napój, kolor i smak ma bardzo podobny do naszego angielskiego piwa. Nasi ludzie pili go z przyjemnością przez kilka tygodni, jednak nie chorowali.” Krajowcy tych wysp ska-

listych, są łagodni, porządni i przemysłni. Z twarzy podobni do Chińczyków, lecz cera ich jest ciemniejsza i piękniejsza mają oczy. Anglicy nie postrzegli u nich żadnego śladu zabobonów, i wszyscy zdawali być sobie równymi.

Cygnet, opuściwszy owe pięć wysp, płynął ciągle ku południowi około Celebes i Timor, aż przybył do brzegów północno-zachodnich Nowej-Hollandyi, pod 16° 50' szerokości. Oddział majtków udał się na ląd, dla wyszukania wody, i napotkał kilku krajowców. Wiele musiano użyć trudności, nim zdołano uspokoić ich obawę, skłoniono nareszcie, iż dopomogli majtkom napełnić beczki wodą i zanieść do szalupy. Opis mieszkańców Nowej-Hollandyi przez Dampiera jest dobrze i sprawiedliwie skreslony. «Mieszkańcy tego kraju, mówi: tworzą najędźniejszy lud na całym świecie; Hottentoci są w porównaniu prawdziwemi *gentlemenami*. Ci nie mają ani domów, ani trzód, ani nawet drobiu; wzrost ich jest wysoki, prosty, szczupły; członki ich są długie, głowa wielka, czoło zaokrąglone, brwi gęste; powieki zaś mają zawsze do połowy przymknięte, dla ochronienia oczu od ukąszenia much, (nadzwyczajnie tutaj natrętnych), i tak, od dzieciństwa nawykliwie otwierać śmiało oczu jak inni ludzie, że nie mogą rozróżnić przedmiotów, chyba głowę w tył rzucając, jak gdyby patrzyli na coś wzniesionego. Mają ogromne nosy, w kształcie gruszki, usta grube i szeroko rozcięte; każdemu prawie brakuje dwóch przednich zębów w górnej szczęce, broda u nich niezarasta, włosy mają krótkie, czarne i kędzierzawe; skóra ich czarna jak węgiel, podobną jest do skóry murzynów gwinejskich. Jedynem ich pożywieniem są ryby, które w płytkich wodach łowią; robią na ten koniec małe tamy z kamieni wzdłuż nadbrzeżnych dołów morskich. Pewnego dnia gdyśmy polowali w czółnach, pomiędzy temi wyspami, widzieliśmy gromadę krajowców, przepływających się w parze z jednej na drugą, gdyż nie mają ani

czółen, ani łódek, ani promów z kory.

Dampier opuścił statek *Cygnet* przy wyspach Nikobar, i wrócił do Anglii r. 1691. Kapitan i większa część osady okrętowej nie przestała trudnić się rozwojem: na morzach indyjskich, dopóki po mnogich przygodach, nie przybyli do Madagaskaru, do zatoki Świętego Augustyna, tam zużyty ich okręt zatonął, stojąc na kotwicy. Niektórzy z rozbójników przesiedli się na okręta europejskie, inni pozostali w usługach małych naczelników tej wyspy.

Stowarzyszenie Bukanierów spowodowało znaczniejsze wyprawy, niżeli te które dotąd przedsiębrały wszystkie państwa Europejskie. Podróż na około świata nie była już uważana jako cud jakowy. Żeglarze stali się śmielszemi, i przestali z myślą podróży łączyć wyobrażeń oddalenia i niebezpieczeństwa. Począwszy od Franciszka Drake, żegluga angielska szybko doszła do wielkiej potęgi, rozsyłając na wszystkie strony najśmielszych i najbieglejszych marynarzy. To jeszcze zwiększa jego sławę, że pierwsza wyprawa dokonana przez niego jedynie w celu czynienia odkryć jeograficznych, nie była połączoną z żadnemi interessami politycznemi i handlowemi, i ta wypłynęła z portu Wielkiej Brytanii.

W roku 1699, Anglia zostawała w pokoju z innemi morskimi państwami Europy, Wilhelm III, rozkazał uzbudzić wyprawę dla szukania nowych krain, i bliższego przejrzenia niektórych już odkrytych, a szczególnie Nowej-Hollandyi i Nowej-Gwinei. Dampier zwróciwszy na siebie uwagę publiczną, przyjemnym opisem swych bukanierskich podróży, został od hrabiego Pembroke wybrany na jej dowódcę i w tym celu oddano mu *Roebuck* okręt marynarki królewskiej, zaopatrzony w żywność na długą podróż. Dampier skierował najprzód ku Nowej-Hollandyi. Gdy się do niej zbliżał, znalazł morze okryte roślinami w wielkiej odległości od brzegu i nadzwyczajne mnóstwo wielorybów. Dampier zawiął tam po sze-

ścio-miesięcznej podróży, pod 26° szerokości południowej, i zarzucił kotwicę w zatoce, której Dirk Hertoge nadał swą nazwę jako pierwszy odkrywca tej krainy. Zobaczył tam kangurossy, których dziwny opis przez niego skreślony, tutaj przytaczamy: — „Jedynie ziemne zwierzęta, któreśmy tam widzieli, należą do rodzaju Szczurów, lecz różnią się szczególnie od Indyjsko-Zachodnich nogami; gdyż te mają przednie nadzwyczaj krótkie, nie chodzą, lecz skaczą, mięso ich nader jest smaczne.” Płynąc ku północy, trafił na archipelag, rozciągający się na mil dziesięć, który świeżo przepatrzył kapitan King. Dampier, mając nadzieję utowrania sobie przejścia aż do lądu stałego, płynął czas jakiś pomiędzy powikłanym tych wysp łańcuchem. Jedną z nich, na którą wysiadł dla zaopatrzenia się w wodę, nazwał *wyspą Rozmarynową*. Skierował napowrót i płynął dalej na północ. Okrążywszy potem archipelag zbliżył się znowu do lądu stałego, gdzie usiłował lecz nadaremnie, zaopatrzyć się w wodę, napotkał krajowców, i dla odstraszenia ich był zmuszony wystrzelić z fuzyi. Ci jednak widząc że żadne nieszczęście nienastąpiło po wystrzale, zbliżyli się tym śmiało, z wniesionemi pałkami i dzidami krzyżąc *Pooh! Pooh!* jak gdyby chcieli szydzić z huku palnej broni; wtedy się dopiero cofnęli, gdy jednego z nich ubito. «Jeden z owych krajowców powiada Dampier, który zdawał się być ich wodzem, miał odmalowany okrąg biały naokoło oczu, a inny pod nosem, co nader zwiększało jego wrodzoną brzydotę, są to istotnie najnieprzyjemniejsi i najbrzydsi ludzie z całego archipelagu jakich kiedykolwiek widziałem.»

Opuścił brzegi Nowej-Hollandyi, i zaopatrzywszy się w świeże zapasy w Timor, skierował ku Nowej-Gwinei, którą postrzegł 1 Stycznia r. 1700. Okrążył przylądek Mabo, na zachodniej końcu owego kraju, 9 Lutego; potem płynąc dalej ku wschodowi, w dość znacznej odległości od stałego lądu, zobaczył znowu 27 ziemię, którą osą-

dził, że jest wschodnią częścią Nowej-Gwinei. Zbliżając się do brzegu, postrzegł wyraźnie kilka plantacyi i gruntów wykarczowanych. Krajowcy przybliżyli się z przyjacielskimi oznakami, lecz odkryto ich zdradzieckie zamiary i zniweczono one. Wyspę *Gerrit Denijs*, jak ją Hollendrzy nazywają, znalazł nadzwyczajnie zaludnioną, a pochylności pagórków pokryte gęstemi plantacyami. «Dzicy, mówi Dampier, są niezmiernie czarni; malują rozmaitemi kolorami, czerwonym, białym i żółtym, swoje krótkie i kędzierzawe włosy, Mają szerokie okrągłe twarze; grube splecione nosy; nie byłiby jednak zupełnie szpetnymi, gdyby nie smarowali sobie twarzy, i nie przeciągali przez nozdrza kijków grubych jak mały palec i na cztery cale długich. Przekłuwali także uszy, i przewłóczyli przez nie podobne ozdoby. Wymawiają czysto i dobitnie; najczęściej do nas przemawiali wyrazy: *Wakuze allame*, wskazując przytém na wybrzeże.» Zachęcali przez to zapewne do kupowania od nich kokosowych orzechów, zwanych *lamas* w mowie Nowo-Gwinejskiej. Dampier płynął około brzegów w kierunku południowo-zachodnim i zachodnim, nadając miana głównym przystaniom i przylądkom, aż opuściwszy port Montagne, odkrył na północy otwarte morze, gdy tymczasem, coś nakształt ziemi pokazało się mu na południowozachodzie; tym sposobem postrzegł, że zupełnie do kola opłynął ziemię, którą sądził zrazu być Nową-Gwineą, i że teraz płynął cieśniną oddzielającą dwie te krainy. «Ziemia leżąca na zachód mówi: miała pozór nader przyjemny; postrzegliśmy wznoszące się kłęby dymu, lecz nie chcieliśmy tam zarzucić kotwicy, wołąc przybić do jednej z wysp, na której sądziłem, że bardzo mało albo wcale nie znajduję mieszkańców. Przepatrzyliśmy z uwagą północną stronę i nie widząc żadnego lądu w tym kierunku, jestem przekonany, że ziemia zachodnia wcale się nie łączy z Nową-Gwineą. Nazwałem ją więc *Nową-Brytanią*.

Powrotna przeprawa Dampiera dość

było szczęśliwą, dopóki nie dostał się do wyspy *Wniebowzięcia*, tam okręt jego tak dalece zaczął przepuszczać wodę, że niepodobniestwem już było ocalić go. Znaczną część zapasów żywności wcześniej na brzeg przeniesiono, a z żagli porobiono namioty. Wybrze-

że obfitowało w słodką wodę i żelwie, tak, że nie należało lękać się niedostaku. W dziesięć tygodni później trzy angielskie wojenne okręta zarzuciły kotwicę przy tejże wyspie, Dampier z towarzyszami korzystając z tej sposobności zabrali się na nie, i wrócili do kraju-

ROZDZIAŁ XXIII.

PODRÓŻE KORSARZY I INNYCH PO MORZU POŁUDNIOWYM.

Korsarze pod Dampierem. — Niezгоды w czasie wyprawy. — Stradling i Dampier rozłączają się. — Aleksander Selkirk opuszczony na wyspie Zuan Fernandez. — Los Stradlinga. — Klipperton opuszcza Dampiera. — Przebywa ocean Spokojny w małym czółnie. — Dampier opuszczony przez Funela i innych. — Jego przygody. — Kupcy przygotowują dla niego inną wyprawę. — Podróż Woodesa Rogersa. — Przybycie do wyspy Zuan Fernandez. — Przygody Aleksandra Selkirk na tej wyspie. — Powodzenia Rogersa. — Niezszczęśliwe podróże Schelwoka i Klippertona. — Korsarze francuzcy. — Ich szybki wzrost. — Hollendrzy. — Wyprawa Roggeweina. — Belgia Australna. — Wyspa Wielkonocna. — Niebezpieczne mielizny. — Wyspa Verquikkung. — Niezгоды pomiędzy Anglią i Hiszpanią. — Wyprawa Ansona. — Eskadra jego osadzona invalidami. — Oplakane skutki podobnego kroku. — Podróż około przylądka Horn. — Niebezpieczeństwo w jakim się znajdują okręta. — Zabranie galionu Akapulko. — Powrót Ansona.

Przy końcu ogólnej wojny, która odznaczyła pierwsze lata ostatniego wieku kilku kupców zachęconych powodzeniem Bukanierów, postanowiło wysłać wyprawę na też same morza, na których tamci tyle dokazywali. Przygotowali więc dwa okręta, *święty Jerzy* o 26 armatach, i *Pięć Portów* o 16 armatach. Dampier, otrzymał dowództwo pierwszego; lecz wybór ten nader szkodliwie miał skutki; Dampier był biegłym żeglarzem, lecz jak się zdaje złym dowódcą. Zbyt długo żył z Bukanierami, aby umiał zachować powagę zdolną mu zjednać szacunek podwładnych; zbytnia poufałość spowodowała pomiędzy nim a okrętową osadą, równość nader szkodliwą dla służby.

Gdy okręta przybyły do wyspy Zuan Fernandez, na morzu Południowym, powstało nieporozumienie pomiędzy kapitanem Stradling, dowódcą statku *Pięć-Portów*, a jego majtkami, którzy nie chcieli przyjąć swego dowódcy na pokład okrętu. Dampier zaledwie z wielką trudnością przywrócił niekarnych do posłuszeństwa, w tym obcy okręt ukazał się w dali, a nasi korsarze puscili się za nim z takim pośpiechem, że Stradling zostawił na wyspie pięciu ludzi, i wielką część zapasów. Ow statek był to okręt francuzki nader mocny i szybki, i dla tego zaprzestano go ścigać. W kilka dni później, na brzegach Peru, Angliacy złowili zdobycz, która spowodowała nowe nieporozumienia a nastę-

pnie zupełne rozłączenie Dampiera z Stradlingiem. Ostatni wrócił do wyspy Żuan Fernandez, na której znalazł dwóch z swoich ludzi, których zostawił. Lecz w czasie swego tam pobytu, poróżnił się z swoim porucznikiem Aleksandrem Selkirk, który w zapale sprzeczki postanowił nie płynąć dalej i zostać na wyspie. Stradling wypakowawszy na ląd jego garderobę, pościel, prócz tego zostawiwszy mu strzelbę, furt prochu, siekiere, kilka sprzętów kuchennych, trochę tytoniu i książki, odplynął. Stradling zaczął potem krążyć po brzegach peruwiańskich; lecz statek jego zatonął przy wyspie Gorgonie, a on z siedmiu pozostałymi ludźmi poddał się Hiszpanom. I okrętowi *święty-Jerzy* nielepiej się powodziło. Dampier pokłucił się z pierwszym porucznikiem Klipperton; przeciągnawszy na swoją stronę 21 ludzi okrętowej osady, opanował statek niedawno zdobyty zaopatrzony zapasami żywności i broni. Klipperton obiegłszy z powodzeniem brzegi Nowej-Hiszpanii, przebył morze Spokojne aż do Makao, i dokonał tym sposobem, na wątłym statku, jednej z najosobliwszych dotąd znanych podróży.

Po odplynieniu Klippertona, Dampier napadł na gallion z Manillii, lecz go nie mógł opanować, klęska ta, jeszcze bardziej zniechęciła jego ludzi, już i tak strwożonych złym stanem okrętu. Dampier chciał jeszcze krążyć po morzu Południowym lecz większa część osady nie chciała na to przystać. Przygotowano więc statek 70 beczkowy i 37 majtków, pomiędzy którymi znajdował się William Funnel, co później podróż tę opisał, zabrało się na ów mały statek i popłynęli do Indyi. Gdy przybyli do Amboiny zostali pojmani w niewolę przez Hollendrów, którzy zrazu obeszlą się z nimi nieco za ostro, lecz później pozwolili im wrócić do Anglii. Dampier pozostawszy na statku *święty Jerzy*, tylko z 29 ludźmi osady, zrabował miasto Puna, i krążył wzdłuż brzegów Peru, dopóki statek jego był w stanie utrzymać się na morzu. Przesiadł się potem na brygantynę zabraną Hiszpanom. Przybywszy do Indyi Wschodnich z całym ła-

dunkiem został zabrany przez Hollendrów, i przepędził kilka miesięcy w więzieniu.

Nędzny koniec tej wyprawy powinien być zniechęcić wszystkich do spekulacyi, polegających na użyciu korsarzy, lecz niestrudzony Dampier, nie znając innego przemysłu, prócz łupienia Hiszpanów na morzu Południowym, udał się do kupców Brytolskich, i z takim zapalem odmalował im osady hiszpańskie i ich bogate łupy, że wymógł na nich przyrzeczenie, iż przygotowują nową wyprawę. Urządzono więc dwa mocne okręta, jeden o 30, drugi o 26 armatach, na które zabrano 321 ludzi okrętowej osady. Kapitan Woodes Rogers otrzymał główne dowództwo, a Dampier przyjął pod nim urząd sternika. Podróż aż do morza Południowego odbyła się pomyślnie, wyprawa udała się wprost do zwyczajnego siedliska korsarzy, do wyspy Żuan Fernandez. Zbliżając się niej, kapitan Rogers widząc w nocy porożpalane ogniska, wyprawiał czółno dla rozpoznania czy Hiszpanie tam nie goszczą. Statek zawijając do brzegu, ujrzał człowieka powiewającego szmatą, który przemówił po angielsku, wskazując żeglarzom dogodne miejsce do wylądowania. Gdy czółno nie wracało przedko, wysłano pinasę okrętową dla szukania go. Przyczynę tego spóźnienia tak opisuje Woodes Rogers: «Pinassa wróciła natychmiast od lądu, przywoząc mnóstwo raków i człowieka okrytego kozią skórą. Przebywał on na wyspie od czterech lat i czterech miesięcy; nazywał się Aleksander Selkirk. Był Szkotem, i właścicielem galery *Pięć-Portów*, zawinął on w tamte strony z kapitanem Dampier, który mi powiedział: że był jednym z najlepszych jego żeglarzy, przyjąłem go natychmiast na okręt, i mianowałem moim zastępcą. On to, poznawszy, że nasze statki były angielskie, zapalił ognie, które postrzegliśmy poprzedniej nocy.»

Przez pierwsze osm miesięcy swego pobytu na wyspie, Selkirk z trudnością zdołał przezwyciężyć tęsknotę i nudy samotnego życia; wybudował sobie dwie chaty z pieprzowego drzewa, po-

krył je długimi liściami, a wewnątrz wybił skórami koziami, które dopóty zabijał, dopóki mu starczyło prochu. Wynałazł sposób rozpalenia ognia, trąc o siebie dwa kawałki drzewa pieprzowego. Przepędzał czas na modlitwie i śpiewaniu psalmów; zrazu wcale nie miał apetytu, a na spoczynek wtedy kładł się, gdy już nie miał siły oprzeć się bezsenności. Drzewo pieprzowe służyło mu zarazem za ogień i światło. Drzewo to rzuca niezmierną światłość i dość miłą woń wydaje. Gdy proch zupełnie spotrzebował, był zmuszony chwycić kozy w biegu, w czym nabył tak wielkiej biegłości, że prześcignąłby najlepszego psa. Pewnego razu szybkości tej o mało życiem nie przypłacił. Ścigając kozę wpadł za nią w przepaść z dość znacznej wysokości, i przez dwadzieścia cztery godzin zostawał w największem niebezpieczeństwie; odzyskawszy dopiero cokolwiek sił zawlókł się do swojej chaty, o milę ztamtąd oddalonej; i kilka dni upłynęło, nim zupełnie przyszedł do zdrowia. Kozy i koty sprowadzone na wyspę, pierwsze przez hiszpanów, drugie przez Bukanicerów i korsarzy, niezmiernie się tam rozmnożyły. Aleksander Selkirk, w czasie swego pobytu zabił więcej niż pięćset kóz, a podobną ilość puścił nacechowawszy one na uszach. Oswoił mnóstwo kozłat, i dla rozrywki śpiewywał i tańczył wraz z nimi. Ciągłem chodzeniem tek stwardził u nóg podeszwy, że później bez żadnej przykrości mógł chodzić po najtwardszym gruncie i z wielką trudnością przyzwyczał się do obuwia. Gdy suknie jego zaczęły opadać, zrobił sobie kaftan i czapkę ze skór kozich, które pospajał rzemykami. Igłą jego był gwóźdź, a noż zrobił sobie z obręczy żelaznej, zostawionej na brzegu. Ponieważ miał kilka sztuk płótna między swemi rzeczami, zrobił z niego kilka koszul i uszył je niemi wyprutemi ze starych pończoch.

W lecie miał podostatkem wybornęj rzepy, którą zasiał na wyspie majtkowie Dampiera, tak się ona rozmnożyła, że okryła kilka morgów gruntu. Palmy dostarczały mu także zdrowego pokar-

mu. Gotował wyborny rosół z koziny i przyprawił go ziarnkami rośliny, zupełnie podobnej do pieprzu Jamajskiego. Przygody Aleksandra Selkirk, podały autorowi Robinsona Kruzo pomysł do napisania tego sławnego romansu.

Podróż Woodesa Rogers zupełnie się powiodła. Zdobył galion Akapulko i wrócił do Anglii, przez Indyę-Zachodnie, okrążywszy kulę ziemską w trzech latach i trzech miesiącach. Kupcy angielscy zachęceni tém powodzeniem wysłali w r. 1718, znowu dwa okręta na morze Południowe; Dowództwo nad nimi otrzymali Schelwock i Klipperon, lecz wyprawa ta dla ich niezgód była niepomyślną. Klipperon został pozbawiony dowództwa w Indyach-Zachodnich, przez swoją okrętową osadę i wkrótce umarł ze zmartwienia powróciwszy do Anglii. Schelwock pojmał kilka okrętów, lecz postępowanie jego z podwładnymi, spowodowało sprawiedliwe oburzenie. Oba dowódcy ogłosili opisy swoich podróży, a jeśli nie mogą się szczyścić żadnem ważnem odkryciem, pomnożyli przynajmniej wielu szczegółami godnymi uwagi, opisy krain niedokładnie jeszcze znanych.

W przeciągu 36 lat (od r. 1586 do 1722), Anglia wysłała sześć wypraw, na okrażenie kuli ziemskiej; a opłynienie oceanu Spokojnego, wiekiem pierwszej uważane za czyn bajeczny; szczęśliwie dokonał Klipperon, w wążym statku 10 beczkowym.

Francuzi nabrali także ochoty do podobnych wycieczek. Pierwszy okręt tego narodu, który się zjawił na morzu Południowem, (roku 1667), zostawał pod dowództwem Jana Chrzyciela Lafenillade; lecz już r. 1712 ośmiu czy dziewięciu korsarzy jego współrodaków, krzyżowali po wybrzeżach Chili i Peru. Gdy wojna w r. 1719 pomiędzy Anglią i Hiszpanią, była bliską wybuchnięcia, Hiszpanie morza Południowego dawali zachętę żeglarzom francuzkim. Roku 1720 okręt z Saint-Malo zwany *Salomon*, otrzymał pozwolenie sprzedania swego ładunku w Yol-

Powodzenie tego okrętu tak zachęciło kupców z Saint-Malo, że natychmiast uzbroili czternaście innych, i te razem wypłynęły na morze Południowe na początku r. 1721; były to po większej części wielkie statki, a jeden z nich, zwany *Kwiat Liliowy*, miał otwory na 70 armat. Tegoż roku okręt francuzki, wypłynął z Chin do Nowej-Hispanii, i ciągle dążąc ku północy, zawinął do zatoki *Vanderas* w 50 dniach, w daleko krótszym czasie, niżeli wymagała dotąd przeprawa przez ocean Spokojny, z zachodu na wschód.

Hollandrzy przyłączyli się do napadów na posiadłości hiszpańskie; i w Indyach-Zachodnich usiłowania ich świetne miały powodzenie. Flotyła hiszpańska zabrana została pod Hawanę, a zdobycz na niej znaleziona, ogromnie summy wyniosła. Lecz pomimo wszystkich tryumfów, interessa kompanii hollenderskiej Indyi-Zachodnich, do nędznego stanu przywiedzione zostały. Proponowała ona połączenie się z kompanią Wschodnio-Indyjską, lub odstąpienie téjże swoich przywilejów, za pieniężną kwotę, lub udział w korzyściach. Lecz wszystkie te propozycje odrzucono i kupcy Indyjsko-Zachodni musieli użyć innego sposobu do podniesienia swego kredytu. Roku 1721 Jakób Roggewein, zebrawszy znaczny majątek w usługach kompanii Indyjsko-Wschodniej, podał jej plan odkryć w ziemiach Południowych. Jeszcze przed 52 laty, ojciec jego przedstawiał podobny projekt téjże samej kompanii, i umierając napominał syna, aby o nim nie zapominał. Stałość Roggeweina odniosła nakoniec zwycięstwo i kompania przygotowała trzy okręta, dla szukania krajów nieznanych, oddawszy one pod jego rozkazy. Wypłynęły one z Teksel 21 Sierpnia 1721 r. Zbliżając się Hollandrzy do cieśniny Magellańskiej, szukali wyspy *Hawkins Maiden-Land*, lecz nie mogli jej znaleźć; ostrzegli jednak inną, mającą 100 mil obwodu, i tę nazwali *Belgia Australna*. Była to grupa wysp już zwiedzonych przez Francuzów, którzy nadali im miano *wysp Maluińskich*. Ka-

pitan Strong, dowódca angielskiego korsarskiego okrętu, odkrył pomiędzy temi wyspami r. 1690, szerokie przejście, które nazwał cieśniną *Falkland*, z tego więc powodu, owe wyspy na mappach angielskich, oznaczone są jako *wyspy Falklandzkie*. Naprzód zostały nazwane od imienia tego który je odkrył, *Południową ziemią Dawisa*; Ryszard Hawkins nazwał je później bo w r. 1593 *Ziemią dziewięcią Hawkinsa*. Następnie otrzymały miano *Sebaldyn* czyli wysp Sebaldy Weert. *Maluin*, lub *wysp Sgo Ludwika*; *wysp Falkland* i *Belgii Australnej*. Z tego jednego przykłądu tytułu różnorodnych nazw, wnieść można jak trudną jest rzeczą iść śladem pierwszych żeglarzy, w ich podróżach po oceanie Spokojnym.

Opuściwszy wyspę *Żuan-Fernandez*, Hollandrzy skierowali ku zachodo-północo-zachodowi, chcąc znaleźć wyspę Edwarda Dawis. Mniemali że się zbłąkali, przybyli jednak do niej i uważając takową za nowe odkrycie, nazwali ją *wyspą Wielkonocną*. Krajowiec przybył do ich okrętu i ofiarowali mu szklanek wina, lecz zamiast takową wypić, wychlusnął ją sobie w oczy. Hollandrzy zaopatrzywszy się tam w świeże zapasy, popłynęli dalej ku zachodowi. Po cało-miesięcznej żegludze, jeden z okrętów rozbił się na mieliznach, wśród grupy niskich wysp, które z tego powodu nazwano *Niebezpiecznymi*: są to najpewniej *wyspy Palisera* na mappach angielskich. O trzydzieści mil na zachód, odkryto *wyspy Irrigen* czyli *wyspy Labiryntu*, niezmiernie liczne i nader piękne. Wkrótce Hollandrzy przybyli do *wysp Odpoczynku*, zapewne należących do grupy *wysp Towarzyskich*, gdzie najgłośniej przyjeźcami zostali przez krajowców. Roggewein zawinawszy do Batawii, doznał najsurowszego obejścia się od kompanii hollenderskiej Indyi-Zachodnich; jego statki wraz z ładunkiem, skonfiskowano i sprzedano przez publiczną licytacją na rachunek téjże kompanii. Ziemiopisarstwo mało zyskało na téj wyprawie, która w porównaniu z hojua-

ścią z jaką została urządzoną, za pomyslną uważaną być nie może.

Zniknienie Bukanierów, nie położyło tamy przemycanemu handlowi, który istniał w Indjach Zachodnich, a Hiszpanie którzy wprawdzie najwięcej przez to ucierpieli, udali się do sposobów, którym inne rządy nie mogły pobrażać. Przywłaszczyli sobie prawo przetrząsania kupieckich okrętów, należących do Anglii, które mogły się znaleźć w sąsiedztwie ich osad, i zlecono strażom nadbrzeżnym, aby zatrzymywały wszelkie statki cudzoziemskie, a szczególnie angielskie. To postępowanie dumne i obelżliwe, spowodowało rząd angielski, do wymagania od Hiszpanii, iżby stanowczo wyrzekła się prawa przetrząsania jego okrętów we wszystkich innych miejscach, prócz portów hiszpańskich. Lecz gdy ta przystać nie chciała na to żądanie, nieporozumienia doszły do tego stopnia, że wojna wypowiedziana została.

Rząd angielski w Listopadzie r. 1739, postanowił wysłać eskadrę pod rozkazami Jerzego Anson, dla niepokojenia handlu i osad hiszpańskich na morzu Południowym, lecz ta dla rozmaitych zwłok i braku ludzi, przez dziewięć miesięcy pozostawała bezczynną w portach. Nakoniec wydano rozkaz powołujący 500 inwalidów do służby czynnej, dla skompletowania ekwipażów okrętowych; nadzwyczajny ten środek, najopłakaniejsze miał skutki.

Eskadra nakoniec wyruszyła na początku Września 1740 r. Składa się z 6 wojennych okrętów, opatrzonych 286 armatami i 2 statków z żywnością. Okręt *Centurion* na którym Kommodor wywiesił swoją banderę, był pięknym statkiem o 60 działach, zaś *Gloucester* i *Severn* każdy miał po 50 armat.

Flota Angielska zaledwie przebyła cieśninę Le Maira, powstała burza, z tak pomnożonym następstwem uraganów i nawaloic, że strwożyła najstarszych i najdoświadczeńszych żeglarzy,

morze wznoszone do niezwyklej wysokości, utrzymywało ich w ciągłym przerażeniu: «*Centurion* był niczem na rozlukanych falach, które go pędziły i kofysały jakby maleńkiem czółenkiem.» Wszyscy ludzie pochorowali się od nadzwyczajnego bujania, prócz tego osady zostały dotknięte skorbutem, to też dzieje owę eskadry, gdy okrążając przylądek Horn, walczyła z żywiołami, przedstawiają długą i przerażającą scenę utrapień i ostatecznego niebezpieczeństwa. Starcy nagle pomarli, u niektórych rany otrzymane przed czterdziestu lub pięćdziesięciu laty porozwierały się w skutku skorbutu, jak gdyby nigdy nie były zamknięte. Dwa okręta tej eskadry, niezdolne wpłynąć na morze Południowe, inne rozłączyła burza i zaledwie się zebrały przy wyspie Żuan-Fernandez. *Gloucester* z wielką trudnością zarzucił kotwicę przy tej wyspie 23 Lipca, zostając przez 146 dni pod żaglem, na oceanie miotanym nawalnica, okoliczność ta może nie ma równej w dziejach żeglugi. Wszyscy weterani na tym okręcie wymarli w czasie tak straszliwej przeprawy; a gdy przewożono chorych z *Centuriona* na wyspę Żuan-Fernandez, 10 z nich skonało w szalupach. Pomimo tych wszelkich przygód, eskadra krzyżowała jednak przeciw Hiszpanom z powodzeniem. Miasto Payta zostało zdobyte, zabrano znaczne łupy, nakoniec Anson znajdując się blisko Manilli, pojął galion Akapulko, wiozący skarby niezmiernie w towarach i srebrnej monecie. *Centurion* długo stał na kotwicy w *Tinian*, jednej z wysp *Złodziejskich*, która w opisie tej podróży jest odmalowaną, jako prawdziwy raj ziemski.

Nakoniec po trzech latach i dziewięciu miesiącach oddalenia, po długich i nadzwyczajnych wysileniach, *Centurion* wrócił nareszcie do ziemi rodzinnej, opłynawszy świat cały.

ROZDZIAŁ XXIV.

ODKRYCIA ROSSYAN.

Pierwsze stosunki Rosyji z Syberją. — Handel utworzony przez Strogonowa. — Przygoda Jermaka. — Gromi Kuczum-Khana. — Stał się panem Syberji. — Oddaje swoje państwo Carowi. — Dobrze przyjęcie tej ofiary. — Jermak pokonany tonie w nurtach Irtyżu. — Utrata Syberji. — Rosyjsanie znów ją opanowują. — Zbliżają się do Amuru. — Wyprawa Pojarkowa. — Pierwsze stosunki z Chińczykami. — Nieprzyjacielskie kroki pomiędzy obu państwami. — Traktat w Nercyńsku. Zerwanie wszelkich stosunków. — Traktat w Kiachcie. — Objasnienia otrzymane od Michała Staduchina. — Odkrycie narodu Czudzków. — Znamienita podróż Siemiona Deszniewa. — Przebywa morze Lodowate przez cieśninę Behrynga. — Rozbicie jego okrętu. — Zakłada handel na wybrzeżu. — Los jego towarzyszy. — Podbicie Kamozathi. — Taras Staduchin. — Wyprawa Popowa przeciw Czudzkom. — Objasnienia jakie otrzymuje względem Ameryki.

Na początku XVI wieku, Rosyja była mocarstwem prawie zamkniętym pomiędzy ziemiami; mała ilość morskich wybrzeży, które posiadała ku północy, nie przedstawiała jej w owej epoce sposobności do stosunków z obcymi narodami. Przybycie Ryszarda Chancelor do Archangelu, uważane było za wielki wypadek. Car udarował przywilejami żeglarzy angielskich, w nagrodę odkrycia przez nich dokonanego, istniejącej komunikacji, morza północnego z oceanem Atlantyckim. Rozstrzygnięcie zadania przejścia w stronę północno-wschodniej, miałoby wielką ważność dla Rosyji, gdyby to państwo było mogło utworzyć natychmiast handel zagraniczny; lecz Rosyja, obecnie tak potężna, nie miała sił dostatecznych, przed dwoma wiekami, do wysyłania wypraw morskich. Jeszcze na początku XVII wieku, nieznano północnych brzegów Syberji, po za rzeką Jeniseją. Wiedziano tylko, że kraj przebywany był przez łowców i oddzielnych awanturników.

Zdaje się, iż Rosyjsanie mieli nad ludami mieszkającymi na wschód ich kraju, tęż samą wyższość, jaką Hiszpanie nad Amerykanami. Roku 1558, Car przybrał tytuł pana Syberji. Pierwsi zdobywcy byli to strzeżcy lub kupcy, któ-

rzy podbili dzikie pokolenia, prowadzące z nimi futrzany handel.

W połowie XVI wieku, kupiec archangielski, Anika Strogonów, utworzył handel zamianowy z mieszkańcami odległych okolic Syberji, którzy corocznie, przywozili do tego miasta znaczną ilość wyborowych futer; gdy ci powracali posyłano za nimi agentów rosyjskich, którzy znów prowadzili wymianę z krajowcami. Trwało to lat kilka i Strogonów znaczny zebrał majątek. Car oceniając korzyści mogące spłynąć dla kraju, z rozprzestrzenienia tego handlu, postanowił pomnożyć i zabezpieczyć komunikacyjne drogi z Syberją. Posłał więc tam wojska, które jednak nie posunęły się dalej, jak po zachodnią gałąź rzeki Oby; głównym skutkiem wyprawy było otrzymanie od kilku pokoleń tatarskich rocznego haracz w skórach sobolich. Strogonów dostał od cesarza w darze grunta, na których pozakładał osady; a jedna z nich wkrótce stała się schronieniem sławnego człowieka, który zehodłował Syberją pod panowanie rosyjskie.

Car Iwan Bazylewicz rozciągnął państwo swoje aż do morza Kaspijskiego, i położył fundamenta handlu dość czynnego z Persją i Bucharyą. Kupcy ci, jednak musieli często składać haracz

wydzierczym pokoleniom, mieszkającym nad brzegami Donu i Wołgi. Wystąpiło wojsko przeciw owym rozbójnikom, uderzyło na nich i rozproszyło, wielka ich liczba legła trupem, inni w ucieczce szukali ocalenia. W liczbie tych ostatnich był 6000 korpus Kozaków, pod wodzą Jermaka Timofiejew. Śmiały ten awanturnik, wypłoszony z swoich kryjówek, schronił się z towarzyszami do Uralu, jednej z osad rossyjskich, niedawno założonych przez Strogonowa; gdzie gościnnie został przyjęty od kupców owego miasta.

Niespokojny umysł jego, oraz potrzeba zatrudnienia ludzi którym przywozili, kazaly mu szukać jakiego przedmiotu zaczepki; postanowił nareszcie spotkać się z Kuczum-Khanem, jednym z najpotężniejszych książąt tatarskich, którego stolicą była w Sybirze, mała twierdza, gdzie teraz wznosi się Tobolsk. Pierwsze jego usiłowania nie powiodły się szczęśliwie; w r. 1579, powtórna przygotował wyprawę: składającą się z 5000 zatwardziałyh w obozowem życiu awanturników, których żadne niebezpieczeństwa nie zastraszały. Rossyjanie dostarczyli im prochu i ognistej broni; lecz nim Jermak doścignął nieprzyjaciół, w utrudzającym osmnastomiesięcznym pochodzie, wojsko jego zmniejszyło się do 1500 ludzi zdatnych do dzwigania broni. Z tą garstką nie wahał się uderzyć na Kuczum-Khana, którego wojsko kilkakrotnie pokonał, Tatarzy zdziwieni męstwem i świetnymi czynami kozackiego wodza, bez wahania poddali się jego władzy i zobowiązali się płacić mu haracz. Jermak wkrótce poznał niebezpieczeństwo swego położenia, liczba jego wojowników bardzo się zmniejszyła, a niespokojni Tatarzy ciągle się buntowali, w takim stanie rzeczy, poddał swe nowe nabycia pod władzę Cara Rossyi, pod warunkiem, że otrzyma natychmiast pomoc. Poseł jego przyjęty został w Moskwie z zadowoleniem. Car przebaczył Jermakowi wszelkie przeszłe wykroczenia, wysłał mu przytém znaczne posiłki. Z nadejściem ich Jermak z nową gorliwością wzięwszy się do roz-

przestrzenienia swych zdobyczy, odniósł kilka zwycięstw nad pogranicznymi książętami. Jednakże Kuczum-Khan w pewnej ciemnej nocy, gdy Rossyjanie strudzeni długim pochodem, spoczywali bespieczni, napadł na nich zdradziecko i wymordował bez żadnego oporu. Jermak uchodząc zginął w nurtach Irtyżu. Po jego śmierci Rossyjanie wprawdzie opuścili Syberyę, lecz on uważanym być powinien za istotnego przyłaczyciela jęj do posiadłości tego obszernego państwa. On odkrył istotnie nowe drogi wiodące do tych dzikich krain, wskazał, że Tatarzy łatwo mogli być pokonanemi, i że mała ilość dobrze uzbrojonego wojska, zdoła pokroczyć owe ludy rozproszone i nieuorganizowane. Trzystu Rossyan wkrótce posłanych zostało do Syberyi; wzniesli tam twierdze, Tobolsk, Sungur, Tारा, i odzyskali na nowo cały kraj który już dawniej uznał władzę Jermaka. Powodzenia te były tylko wstępem, daleko większych nabyć. Rossyjanie wszędzie gdzie się tylko zjawiali, pokonywali Tatarów; wznosili nowe miasta i zakładali osady we wszystkich kierunkach. Nim wiek upłynął, obszerna owa przestrzeń zwana teraz Syberyę, rozciągająca się od granic Europy do oceanu Wschodniego, od morza Lodowatego do ostatnich krańców Chin, policzona została pomiędzy rossyjskie prowincye. O istnieniu wielkiej rzeki Amur mającej swe źródło w środku Tartaryi, przebiegającej ku wschodowi więcej niż 30 stopni długości, wpada do morza, blisko pod 53^o szerokości północnej, Rossyjanie pierwszy raz powzięli o niej wiadomość r. 1639. W owymto czasie, kozak zwany Kupilów, dostał się aż do wschodniego jęj brzegu. W 4 lata później, Rossyjanie usiłowali schłodbować narody tatarskie, zaludniające oba brzegi Amur. Wasili Pojarków dowodzący tą wyprawą, wyruszył z Jakucka, miasta nowo zbudowanego nad brzegami Leny, w miesiącu Lipcu 1643, z oddziałem niewynoszącym więcej jak 132 ludzi. Tatarzy przyjęli ich z gościnnością, lecz później przestali dostarczać żywności i wielka liczba Rossyan wy-

ginęła z niedostatku. Pojarków jednakże wytrwał w swoim zamiarze, i szedł za biegiem Amuru, aż do miejsca gdzie wpada do morza Ochockiego. Ztamąd płynął pod górę brzegiem tegoż morza; i roku 1646 wrócił do Jakucka, drogą zupełnie odmienną. W opisie swojej wyprawy, twierdzi, iż wszystkie kraje przyległe rzece Amur mogą być zajęte pod panowanie rossyjskie. Stosownie do rad Pojarkowa, rząd wysłał r. 1651, 300 ludzi, którzy opanowali miasto Albasin, leżące nad brzegami Amuru, wsiedli na czółna i płynąc z biegiem téj rzeki po kilku dniach żeglugi, stanęli przed twierdzą należącą do Daurów, pokolenia tatarskiego; zdobyli ją bez wielkiej straty i po raz pierwszy zawiązali stosunki z Chińczykami. Kilku kupców tego narodu znajdowało się w twierdzy, nazajutrz więc po jéj wzięciu, officer chiński przybrany w jedwabne szaty, przybył z złożeniem hołdu dowódcy rossyjskiemu, a w długiej przemowie dał do zrozumienia, że Chińczycy pragną żyć w pokoju i przyjaźni z Rossyjanami. Chińczycy mieli jednak widoki względem pokoleń mieszkających wzdłuż rzeki Amur, i nieprzejacielskie kroki wybuchły niezadługo pomiędzy obu współubiegającemi się państwami. Nawet w pierwszych potyczkach Chińczycy zostali pokonani, lecz Rossyjanie widząc jakie mogą odnieść korzyści z handlu z Chinami, gdzie futra nadzwyczaj płaćcą, a prócz tego zważywszy trudność prowadzenia wojny w prowincjach tak oddalonych od środka państwa, postanowili w przyjacielski sposób zakończyć swe nieporozumienia z Chińczykami. Konferencye odbywały się pod namiotami na nieuprzednio płaszczynie, w pobliskiej miastu *Nerczyńsk*. Pierwszym i drugim artykułem traktatu naznaczono za granicę państwa Rossyjskiego Jańcuch gór, ciągnący się na północ od Amuru, zaczawszy od morza *Ochockiego*, aż do źródeł małej rzeczki zwanéj *Gorbitza*, całą tą rzeką, aż do miejsca gdzie wpada w Amur, a nakoniec od połączenia *Argunu z Szylką*, aż do jego źródła.

Piątym artykułem zastrzeżono wspólność handlu dla poddanych obu państw, którzy będą zaopatrzeni w stosowne paszporta, wydane od właściwej władzy.

Traktat ten, podpisany został 27 Sierpnia 1689 r. Handel Rossyan z Chińczykami zaczął szybko wzrastać. Piotr Wielki, w celu większego jego rozszerzenia; posłał do Pekinu r. 1692. Isbranda Ides, Hollendra w jego służbie zostającego. Posel ten otrzymał rozciągnięcie pozwolenia prowadzenia handlu z Chinami, do całych karawan, dawnego dotąd oddzielnym osobom na mocy ostatniego traktatu. Wystawiono karawanseraj w Pekinie dla Rossyan i w czasie swego pobytu w téj stolicy byli podejmowani kosztem dworu chińskiego. Dozwolono zarazem oddzielnym kupcom udawać się, nie tylko do Pekinu, lecz nawet do ostatnich krańców Mongolii, Targi coroczne dla kupców rossyjskich i chińskich odbywały się w obozie tatarskim. Lecz ta schadzka spowodowała wkrótce kłótnie i rozpusty, a powtarzane skargi do cesarza Chińskiego ściągnęły jego nieukontentowanie i zerwanie wszelkich stosunków. Rzeczy pozostały w tym stanie aż do r. 1727, w którym Raguziński wysłany do Pekinu, załagodził nieporozumienia istniejące i zawarł nader korzystny traktat, którego głównemi zasadami byłoby dozwole nie przybywania do Pekinu co trzy lata karawanie, jednak nieskładającej się więcej jak z 200 osób. Orszak ten w czasie swego pobytu w stolicy chińskiej, miał się utrzymywać z własnych funduszów, nadto wyraźnie zastrzegli Chińczycy, iżby zawsze uwiadomieni bywali o przybyciu poselstwa do granicy, dla wystania urzędnika, któryby mu towarzyszył aż do Pekinu. Rossyjanie otrzymali pozwolenie wybudowania cerkwi w tém mieście, i utrzymywania pewnej liczby uczniów, którzyby tam mieszkali dla nauczania się języka chińskiego. Traktat ten, zwany traktatem Kiachty, zawarty został 14 Czerwca 1728 i potwierdzony przez hrabiego Raguzińskiego i trzech pełnomocników chińskich, w tém samym

miejscu, gdzie później wzniesiono Kiahchtë.

Pierwszy zakład Rosyan w północnej Syberji, utworzony był nad Leną 1636 r. Rzeki: Jena, Indigir, Ałaseja i Kołyma, następnie zostały odkryte. Roku 1644, kozak nazwiskiem Michał Staduchin, zbudował twierdzę nad brzegami tej ostatniej rzeki. Za powrotem do Jakucka, uwiadomił, że na morzu Lodowatém była wielka wyspa, rozciągająca się na widnokręgu, od rzeki Jeny aż do Kołymy; że wielką jej część można było widzieć ze stałego lądu w pogodnym czasie; dodawał: w zimie zaś, gdy wyspa połączona jest z lądem stałym, przez lody okrywające morze, mieszkańcy nadbrzeżni w jednym dniu, dostać się do niej mogą sankami. Mówił także, iż słyszał o wielkiej rzece, zwanéj *Pogitska*, o 3 lub 4 dni drogi na wschód od Kołymy. Pierwszą podróż w tym kierunku odbyto 1646 r. i odkryto splawny kanał, pomiędzy ziemią a lądem, mocno oparty o spadziść brzegu. Po dwudniowej żegludze, zarzucono kotwicę w zatoce i znaleziono w tém miejscu naród, zwany *Czudzki*, z którym zaczęto handel prowadzić, jednak można było się rozumieć tylko przez znaki i obustronnie miano się na baczności. Rosyjanie rozkładali swoje towary na wybrzeżu i odchodzili; *Czudz-kowie* brali wówczas to, co im było przydatne i zostawiali w zamian zęby koni morskich, w całości lub kawałach snycersko wyrobionych. Rosyjanie powracali ztamtąd do swego kraju. Zęby koni morskich tym sposobem otrzymane, były dostateczną przynętą do zwabienia ku północo-wschodowi ubiegających się za odkryciami. W ciągu roku 1648, siedem okrętów wypłynęło z Kołymy pod rozkazami kozaka, Siemiona Deszniewa. Głównym celem tej wyprawy było odkrycie rzeki Anadyr, która wedle objaśnień udzielonych Rosyjanom, przechodziła przez kraj ludny. Z siedmiu okrętów o których wspomnieliśmy, cztery wkrótce się rozbiły. Podróże odbyte przez trzy pozostałe, należą do najznakomitszych w

dziejach ziemio-pisarstwa. Zdaje się, iż z Kołymy dopłynęły do ujścia rzeki Anadyr przebywszy cieśninę Behrynga; lecz dziennik tej wyprawy był spisany bardzo niedokładnie, nie wyjaśnia on czy rzeczywiście Rosyjanie opłynęli przylądek północny i okrążyli północo-wschodnią część Syberji; czy też dostali się do owego wielkiego przylądka, dotąd niedokładnie jeszcze oznaczonego w nowszych mappach. Tak więc najbardziej zajmująca część podróży pozostaje otoczona głęboką tajemnicą. Opowiadanie Deszniewa zaczyna się od wielkiego przylądka Czudzki, który zapewne jest przylądkiem wschodnim w cieśninie Behrynga. Leży mówi on: pomiędzy północą, a północo-wschodem; dalej znajdują się dwie wyspy na których widzieliśmy kilku ludzi z narodu Czudzków, mieli oni usta przedziurawione i przez nie przewlekane obłamki zębów koni morskich. Wiadomo teraz, że ludzie przystrojeni w podobne ozdoby byli Amerykanami. Okręt Deszniewa sam tylko przybył do zatoki Anadyr, lecz rzucony o brzegi, rozbił się w południowej stronie tej rzeki; osada statku z 25 osób złożona, błądziła przez 6 tygodni po kraju, nie mającym ani lasów, ani mieszkańców, nim przybyła nad brzegi jakiejś rzeki. Rozbitki płynąc nią pod górę, natrafili na pokolenie zwane *Anauli*. Tymczasem Staduchin przekonał się, że rzeka *Pogitska* zwała się także *Anadir*, i że opuściwszy Kołymę, najprędzej i najpewniej lądem dostać się do niej można było. Zatem na wiosnę r. 1650, przedsięwziętą podróż i w Kwietniu przybył nad brzegi Anadyru, gdzie z wielkim zadziwieniem i nadzwyczajną wszystkich radością, spotkał Deszniewa i swoich współtowarzyszy. Odkrycie tej drogi lądowej, położyło koniec wszystkim usiłowaniom okrążenia morzem krajny Czudzkiej.

Deszniew najczynniej się zajął wykazaniem korzyści swych odkryć. Przepłynął w czółnie cały Anadyr i rozpoznał *Korgę* czyli haki piaszczyste, ciągnące się do morza, naprzeciw ujścia tej

rzeki. W tém miejscu zgromadziło się mnóstwo koni morskich, których zębami nader korzystny handel zaczął prowadzić. Zbudował okręt dla przeprowadzenia do Jakucka kości słoniowej, którą nagromadził; okoliczność ta daje powód do mniemania, że istotnie przebył morzem, całą przestrzeń Kołymy aż do Anadyru. W wyprawach swoich do Korgi, wcisnął się pomiędzy pokolenia Korjaków, mieszkających na południu owej rzeki; znalazł pomiędzy niemi kobietę z Jakucka, która dawniej należała do jednego z jego dawnych towarzyszy. Dowiedział się od niej, że wszyscy jego koledzy padli ofiarą szkorbutu lub niezgód, powstałych pomiędzy niemi a krajowcami.

Najpodobniej do prawdy Rosssyanie otrzymali szczegóły dotyczące Kamczatki, jak tylko osiedli nad Anadyrem. Lecz dopiero około r. 1696, oddział 16 kozaków dotarł do rzeki, która później przybrała tę nazwę. Ci spłądrowali okoliczne wioski, a pod pozorem ściągnięcia haraczu, pomiędzy innymi przedmiotami które zabrali Kamczadalom, były pisma, w języku nieznanym, który, jak się później przekonano był japońskim. Następnego roku, oficer kozacki, nazwiskiem Włodzimierz Atlasów, przedsięwziął zdobyć Kamczatkę. Z Jakucka podróżował łądem aż do Anadyru. Zdaje się, iż nietrzywał się prostej drogi, gdyż uważa, że pomiędzy Kołymą a Anadyrem, znajdują się dwa wielkie przylądki; pierwszy z nich bardziej ku zachodowi leżący, nigdy nie może być okrążonym z powodu ogromnych lodów, które, w każdej porze roku, zawalają jego brzegi. Kamczadale są nader niskiego wzrostu, małe ich twarze nikną przy ogromnej brodzie którą zapuszczają. Zimą przepędzają pod ziemią, lato zaś w chatach, lub raczej budach wzniesionych na palach, do których wchodzą za pomocą drabin. Wszelkie mięsiwo owinawszy liściami zakopują w ziemi i trzymają tak długo, dopóki zupełnie nie zgniję. Gotują jadło w naczyniach glinianych lub drewnianych, ogrzewając wodę wrzu-

caniem kamieni rozpalonych do czerwoności.

Kamczadale udzielili Rosssyanom niektórych objaśnień, dotyczących *wysp Kurylskich*, leżących na południe Kamczatki. Dowiedziano się tym sposobem, że za wyspami, widzieć się dającymi ze stałego ładu, znajdują się inne, których mieszkańcy przesiadują w murowanych miastach, że ztamtąd przybływały okręta, na których będący ludzie ubierali się w jedwab i bawełnę i mieli z sobą naczynia porcellanowe. Rosssyanie znaleźli także, przebywającego pomiędzy Kamczadalami, człowieka zrodzonego w kraju południowym, którego statek rozbił się, przed dwoma latami na brzegach Kamczatki. Miał on małe wąsiki, włosy czarne. Gdy spostrzegł obrazki w ręku Rosssyan, zaczął krzyczeć i płakać, gdyż mu przypominały jego kraj rodzinny. Z tych wszystkich okoliczności wniesiono, że był Indyaninem lub Japończykiem.

W kilka lat po wyprawie Deszniewa, kupiec nazwiskiem Taras-Staduchin, trzymał się tej samej drogi na około brzegu północnego. Wypłynął on z rzeki Kołymy na małym statku, dla czynienia odkryć w około wielkiego przylądka Czudzkiego; nie mogąc tego dokazać, przebył go łądem i dostał się do przeciwnego brzegu, gdzie zbudował okręta. Wystawia on przesmyk przez siebie przebyły za nadzwyczajnie wązki. Ze wszystkich żeglarzy którzy utrzymują, iż zwiedzili strony północno-wschodnie Syberyi, bez wątpienia jeden tylko Staduchin daje najjaśniejsze i najzupełniejsze wyobrażenie drogi, której się trzymał; lecz widoczna jest rzeczą, że nie przepatrzył kanału ziemi zachodzącego ku północy i którego nie oznacza granicy.

Nakoniec Rosssyanie otwarcie wystąpili przeciw Czudzkom, kraju ich dotąd nie zdołano jeszcze morzem okrążyć, a łądem przebyć nie można było dla dzikości jego mieszkańców. Ludy składające haracz Carowi, wezwały jego pomocy przeciw temu narodowi. Czudzkowie zrazu śmiało się stawili, zostali jednak pokonani.

Pierwsze walki z temi odważnemi dziećmi odbyły się r. 1701. W dziesięć lat później, kozak Piotr Sinpopów, z dwoma tylko towarzyszami wystany został do kraju Czudzków, dla nakłonienia ich do uległości i jeżeli podobna zniewolenia, do dania zakładników. Nie dokonał wprawdzie pierwszego celu swego poselstwa; lecz za powrotem udzielił następnych szczegółów o kraju i jego mieszkańcach.

«Kraj Nos-Czudzki całkiem jest z drzew ogołocony. Nad brzegami Nosu znajduje się znaczna ilość koni morskich. Czudzkowie gdy zawierają jakie uroczyste zobowiązanie, biorą słońce za świadka, że go wiernie dopełnią. Niektórzy z nich posiadają stada oswojonych renów, z tego powodu muszą często zmieniać siedliska; lecz ci dla których fortuna nie była tak przychylną, mieszkają po obu brzegach Nosu, w pobliżu piasków, na które konie morskie zwykle wychodzą; te zwierzęta i ryby, stanowią główne ich pożywienie. Czudzkowie mają mieszkania wykopane w ziemi. Naprzeciw Nosu jest wyspa, którą, jak oni twierdzą, widać w znacznej odległości, tę nazywają *Wielkim Krajem*, (bez wątpienia stosuje się to do Ameryki). Mieszkańcy owej ziemi przekatają sobie policzki, przez takowe otwory przeciągają kawałki wyrobionych zębów koni morskich. Mówią zupełnie różnym językiem od Czudzków, z któremi od niepamiętnych czasów prowadzą wojnę. Równie jak ostatni, używają strzał i łuków.» Popów widział dziesięciu mieszkańców tego kraju, będących jeńcami u Czudzków, ci wszyscy mieli policzki przekłute

W czasie lata, w jednym dniu przybyć można do owej wyspy, w czółnach czyli *bajdarach* zbudowanych z ości wielorybich i okrytych skórami foków. W zimie równie nie trzeba więcej czasu dla dobrych sanek; zaprzężonych renami. Podróżnik rossyjski nie widział na Nosie innych zwierząt dzikich prócz lisów czerwonych i wilków; i te nie były liczne z powodu rzadkości lasów. Lecz w drugiej ziemi (Wielkim Kraju), powiedziano mu: «ma się znajdować wielka mnogość wszelkiego rodzaju zwierząt: jakoto: kun, soboli, lisów, niedźwiedzi, wydr morskich i t. p. Mieszkańcy także utrzymują wielkie stada oswojonych danieli.» Według rachuby Popowa, liczba Czudzków zamieszkujących brzegi Nosu licząc w to i tych którzy mają reny, wynosi najmniej 2000 ludzi. Twierdzili oni, iż lud Wielkiego Kraju trzy razy był liczniejszym. «Czudzkowie mniemają, że podróż od Anadyru do Nosu z renami obładowanemi, a zatem odbywana powoli, powinna trwać 6 tygodni; ma się rozumieć z warunkiem jednakże, że takowej nie wstrzymają burze.» W kilka lat po podróży Popowa (roku 1718), wielu Czudzków z Nosu przybyło złożyć hołd uległości do twierdzy Anadyr, pomnożyli oni wielu szczegółami objaśnienia już zebrane przez naszego podróżnego. Naprzeciw Nosu, mówili, znajduje się wyspa średniej wielkości ogołocona z drzew, półdniowa podróż bajdarem jest dostateczną dla dostania się do niej; — dalej jest wielki ład stały, który dojrzeć można z wyspy w czasie pogodnym. Ostatni ten kraj, zawiera w sobie niezmiernie lasy, obfitujące w zwierzynę.



ROZDZIAŁ XXV.

DALSZE ODKRYCIA ROSSYAN.

Rossya pragnie mieć stosunki z Ameryką. — Wyprawa zamierzona przez Cara Piotra Wielkiego. — Instrukcyę. — Pierwsza podróż Behringa. — Jej skutek. — Ameryka oznaczona na mapach rossyjskich. — Wyprawa Szestakowa. — Jego los. — Pochód nadzwyczajny Pawluckiego. — Podróż Krupiszewa. — Odkrywa Amerykę. — Skutki tego odkrycia. — Próbuje żeglugi na morzu Lodowatym. Okręt Japoński rozbity na brzegach Kamczatki. — Spangberg zwiedza ziemię Jedso. — Postępowanie Japończyków względem Waltona. — Powtórna podróż Behringa i Czyrikowa. — Są rozłączeni. — Behring przybywa do Ameryki. — Stosunki z dzikimi. — Smutne położenie Rosyjan. — Okręt zagnany przez nawałnicę. — Przechimowanie na pustej wyspie. — Śmierć Behringa. — Szczątki jego okrętowej osady uchodzą. — Podróż Czyrykowa. — Odkrycie wysp Aleutkich. — Osady Rosyjan.

Rossya rozszerzając bez przerwy ku wschodowi państwo i tak już rozległe, posunęła w tamtej stronie swoje odkryciowe podróże aż do ostatnich krańców Azji, nie wyrzekła się nigdy nadziei przyłączenia kiedyś do swych niezmiernych posiadłości w dawnym świecie, części nowego stałego lądu. Słuszne były jej widoki w tym względzie.

Kozacy, jej wystąnczy, musieli koniecznie raz dostać się do Ameryki. Wiastocie, bądź czy oba lądy stałe były połączone z sobą na północy, i jeden tylko twoczyły; bądź czy one przeciwnie rozdzielita cieśnina, nie przypuszczano zawady zdolnej, stanowczo wstrzymać postępy owych śmiałych ludzi.

Z drugiejż znów strony, niepodobieństwem się zdawało, aby strzelec zupełnie obcy żegludze, którzy jeśli się narażali kiedy niekiedy na niebezpieczeństwo morza, to jedynie tylko dla ścigania zwierzyny na wyspach sąsiednich wybrzeżom Kamczatki, niepodobieństwem się zdawało, mówimy, aby mogli powziąć niezawodne dowody względem położenia Azji i Ameryki. Strzelec nieświadomy, mógł bardzo łatwo dostać się do tego ostatniego stałego lądu, a nieznalazłszy tam innych zwierząt i innych ziemnych płodów, jak te, które się znajdują na brzegach

Azji, lub wyspach pośrednich, powrócić nie wiedząc nawet o swoim odkryciu. Pewne objaśnienia mogła tylko powziąć wyłącznie w tym celu wysłana wyprawa, pod dowództwem biegłego żeglarza, Piotr Wielki, który z skwapliwością chciał mieć udział w każdym wielkim pomysle, skreślił własną ręką, na kilka dni przed zgonem swoim, instrukcyę do podróży, której celem było przekonanie się, czy Azja była lub nie, oddzielona od Ameryki cieśniną. Instrukcyę te nakazywały: 1. Zbudować jeden lub dwa okręta w Kamczatce, lub w jakiegokolwiek innej krainie oceanu Wschodniego. 2. Użyć ich do rozpoznania brzegów północnych i wschodnich, a ponieważ onych granice nie były znane, zobaczyć czy nie stykają się z Ameryką. 3. Zapewnić się czy nie ma w owych stronach jakiego portu należącego do Europejczyków. Nadewszystko prowadzić dokładny dziennik wszystkich odkryć i takowy złożyć w Petersburgu.

Car pragnął nasamprzód, aby oznaczono ogół żeglugi wzdłuż północnego brzegu Azji: w tym celu dwa okręta odebrały rozkaz udania się z Archan-gelu na morze Lodowate. Lecz próba ta niepowiodła się. Jeden z okrętów otoczony przez lody, nie mógł się dalej posunąć, drugi zniknął i nigdy się o losie jego nie dowiedziono. Officera-

mi wybranemi do przewodniczenia, w wyprawie na wschodzie byli: kapitan Witus Behring rodem Duńczyk i Alexy Czyryków oficer rosyjski. Behring był kapitanem dowodzącym czyli kommodorem, w marynarce rosyjskiej i dał liczne dowody swęj gorliwości i biegłości.

Wyruszył z Petersburga natychmiast po odebraniu rozkazów. Oficerowie i żeglarze, cieśle i inni rzemieślnicy mający mu towarzyszyć, mieli także natychmiast udać się z Petersburga ku najodleglejszym krańcom Syberii. Zamierzono zbudować okręt w Oehocku, na którymby przewieziono ludzi i wszelkie zapasy wyprawy aż do Kamczatki, gdzie drugi okręt stał na warsztacie, aby ta podróż odkryciowa odbyta została przez dwa okręta. Podobne przygotowania wymagały długiego czasu i zachodu, trzy lata też upłynęły nim zostały ukończone.

Dnia 14 Lipca r. 1728 wyprawa wyruszyła z rzeki Kamczatki. Po trzech tygodniach przybyła pod $64^{\circ} 30'$ szerokości; tam, 8 ludzi na czółnach skórzanych przypłynęto do okrętu dla spytania Rosyan zkąd przybywali i w jakim celu puscili się w tę podróż. Jeden z nich nawet przybył aż do okrętu, płynąc na workach ze skóry cieląt morskich. Powiedzieli, iż należą do narodu Czudzkiego, porozumiano się z niemi za pośrednictwem tłumacza Korrjackiego. Wskazali Rosyanom na północ wyspę, którą ci później nazwali wyspą *świętego Wawrzeńca*. Behring nie posunął się dalej jak za $67^{\circ} 18'$ szerokości, niepostrzegłszy bowiem lądu ani na północ ani na południe, mniemał, że pozyskał dowód, iż Ameryka i Azya są oddzielone, i że tym sposobem dopełnił celu swego postannictwa. W istocie posunął się tylko o stopień i ćwierć po za wschodni punkt Azyi i nie wiedząc o tém, przebył cieśninę oddzielającą dawny świat od nowego. Potomność jednak nadała téj cieśninie nazwę Behringa. Ciż sami żeglarze przedsięwzięli znowu w następnym roku téż samą podróż, nie nabyli jednak żadnej nowej pewności. Rzecz godna uwagi,

że w podróżach swoich Behring, nie rozpoznawał ani razu brzegu Amerykańskiego; zdaje się nawet, iż nie kierował ku wschodowi w swojej odkryciowej podróży. A jednak istnienie ziemi w tym kierunku było już dowiedzione; znajdowała się nawet oznaczona na wielu mappach nakreślonych według poprzednich wiadomości, Pułkownik kozacki nazwiskiem Szestaków ogłosił w Petersburgu r. 1726 mappę, na której znajdowała się oznaczona wyspa, leżąca na morzu Lodowatém o dwa dni drogi od ujścia rzeki Kołymy; a za tą wyspą w równiejsze prawie odległości ku północy, umieszczone było wybrzeże pod nazwą *Wielkiego Kraju*. Druga mappa skreślona przez mieszkańca Jakuckiego, przedstawiała dwie wyspy położone na wschód kraju Czudzkiego; dalsza z nich odległa była blisko o dwa dni od lądu stałego; po za temi wyspami był oznaczony wielki kraj zarosły lasami i obfitujący w zwierzyne, którego mieszkańcy zwani byli przez Czudzków Kitchin-Eljoet.

Gdy Behring dokonywał swojej podróży na północy, pułkownik Szestaków przedstawił rządowi: «zawojowanie Czudzków, przekonanie się o rozległości ich krajów i przejrzenie szczegółowe wysp *Szantariehskich*.» Widoki jego zgadzały się z widokami rządu i r. 1727 mianowany został dowódcą siły zbrojnej przeznaczonej do wykonania tych planów. Dymitr Pawlucki kapitan dragonów był mu w pomoc dodany z władzą nie zależną. Oddano pod ich rozkazy 400 kozaków, prócz garnizonów przebywających w okręgu Jakuckim.

Szestaków udał się w głąb zatoki *Peschina*, gdzie się znajdowały wszystkie wojenne siły Czudzków. Nieliczne jego wojsko wynosiło zaledwie 150 ludzi, postanowił jednak stoczyć bitwę. Ugodzony strzałą przy samém rozpoczęciu boju został pokonany. Tym czasem Pawlucki zgromadziwszy 215 Rosyan i 220 ochotników Sybirskich na wyprawę do kraju Czudzków; wyruszył 12 Marca 1731 roku z twierdzy zbudowanej nad Anadyrem, i posuwając

się ku północo-wschodowi, potem ku wschodowi, a nakoniec wprost ku północy, po dwu-miesięcznej przeprawie przybył nad brzegi morza Lodowatego do ujścia wielkiej rzeki. Dalej szedł przez dni 15 wzdłuż brzegu najczęściej po lodzie a niekiedy w tak wielkiej odległości od ładu, że już nie postrzegał ujścia rzeki. Naręście 7 Czerwca napotkawszy wojsko Czudzków, wezwał, aby się poddali pod panowanie rossyjskie, a gdy odmówną otrzymał odpowiedź, stoczył bitwę i pokonał ich. Rossyianie wypocząwszy, po ośmiu dniach ruszyli dalej ku wschodowi. Przebyli dwie rzeki wpadające do morza Lodowatego i stoczyli z Czudzkami dwie bitwy, równie szczęśliwe jak pierwsza. Ostatnia utarczka zaszła 14 Lipca. Po między poległemi na pobojowisku, znalaziono męzczyznę mającego górną waręgę przekutą dla przewlekania przez nią ozdób wyłobionych z zębów konia morskiego. Pawlucki i ludzie jego przeszli łądem od morza lodowatego do brzegów oceanu Wschodniego, nie po wązkim przesmyku, lecz w znacznej odległości od morza i pozostawiając na lewo łąd stały, którego nie znali rozciągłości. Gdy przybyli do przylądka, który mniemano, że był najdalszym krańcem stałego ładu widzianego przez Behringa, zwrócili się i przybyli 21 Października do twierdzy z której wyszli. Nadzwyczajny ten pochód w około najdalszej kończyny Syberyi, odbyty w części po morzu Lodowatem, a w części na gruncie odważnego i na wszystkie narażającego się wroga, uskuteczony został w ciągu 6 miesięcy. Odwaga i wytrwałość Rossyan mogły tylko dokonać tak wielkiego przedsięwzięcia.

W tymczasem rozkazano kozakowi zwanemu Krupiszew, przysposobić okręt dla opłynienia Kamczatki aż do kraju Czudzków, dla wspólnego działania z łądowemi siłami, zostającemi pod rozkazami Szestakowa i Pawluckiego. Krupiszew wyruszył i pozostawał czas niejaki na wybrzeżu Czudzków nie odbierając żadnej wiadomości od dwóch wodzów rossyjskich. Huragan wygnął go

z krańca ziemi, na którym Behring zakończył swą podróż: » ztamtąd popłynął ku wschodowi i znalazł najprzód wyspę, a później kraj niezmiernie rozległy. Jak tylko byli postrzeżeni z owego ładu, przybył ku nim człowiek w czółnie podobnym do czółten grenlandzkich. Tyle tylko mogli z mowy jego zrozumieć, że mieszkał w obszernym kraju, w którym było wiele lasów i dzikich zwierząt. Rossyianie płynęli przez 2 dni wzdłuż brzegów nie mogąc do nich zawinąć, później napadnięci od burzy, powrócili do Kamczatki.

Owa podróż Krupiszewa dokonała odkrycia cieśniny Behringa i dowiodła bliskość sąsiedztwa stałego ładu Azji z Ameryką. Rząd rossyjski z gorliwością jął się do czynienia dalszych poszukiwań. Behring i jego podwładni oficerowie otrzymali zaszczytne znaki, ułożono mnóstwo planów do wypraw morskich. Pierwszym zamiarem było przedsięwzięcie utworzenie, jeżeli można, zupełnego systemu żeglugi pomiędzy Archangelem i Kamczatką; drugim, którego wykonanie zlecono samemu Behringowi, było sprawdzenie istotnej odległości Kamczatki od brzegu amerykańskiego. Pierwszy nigdy nie został dopiętym; wiele wypraw wyruszyło na przejrzenie północnego wybrzeża Syberyi, lecz wszystkie niepomyślnie się zakończyły. Żegluga od Jenisei do Leny, nigdy dokonana być nie mogła, i wielu odważnych ludzi utraciło życie, usiłując przywieźć ją do skutku; przylądek Taimura, który się rozciąga aż do 77° szerokości, zawsze okolony niezmiernymi lodami, wznosi nieprzezwyciężoną zaporę wszelkim usiłowaniom żeglarzy.

Około czasu, w którym zamierzano owe rozmaite plany, nadzwyczajny wypadek nadał nowy popęd zapałowi rzędu rossyjskiego, do odkryć geograficznych. Okręt japoński naładowany jedwabiem, bawełną, ryżem i pieprzem, zagnany nawałnicą dość daleko od ładu stałego, przez kilka miesięcy miotany po morzu, rozbił się na wschodnich brzegach Kamczatki. Z osady która się wyratowała, starzec i jedenastoletnie

dzieci, później dostali się do Petersburga roku 1732. To zwróciło uwagę rządu na Japonią, z którą Rosya oddawna pragnęła zawiązać stosunki, lecz osądzono za rzecz przywoitszą oznaczyć położenie jeograficzne obu krajów.

Roku 1739 kapitan Marcin Spangberg, który towarzyszył Behringowi w jego wyprawie ku północy i porucznik William Walton, wyruszyli w podróż, której głównym celem było punktualne oznaczenie położenia Japonii względem Syberyi. Gdy opuszczali wyspy Kurylskie, rozdzieleni zostali przez nawalnicę. Spangberg dostał się do brzegów Japonii pod 38° 41' szerokości północnej. Postrzegł wielką liczbę okrętów japońskich, krzyżujących wzdłuż brzegów, kraj zdawał się być dobrze uprawny, okryty wioskami. Rossyanie nie ufając krajowcom nie wysiadali na ląd; w jednym dniu narachowano przy okręcie Spangberga przeszło siedemdziesiąt dziewięć czółen rybackich; uważano, iż Japończykowie zamiast żelaza używali brązu i miedzi do budowy swych statków. Przybyło nakoniec do okrętu rossyjskiego wielkie czółno, w którym prócz wiosłarzy znajdowało się 4ch ludzi w haftowanych sukniach; powierczochność ich znamionowała znakomite osoby. Zaproszeni na okręt wchodząc skłonili się aż do ziemi, trzymając ręce po nad głową i pozostawali w tej postawie, aż kapitan poprosił ich, aby się podnieśli. Podano im glob i mapę morską, na której natychmiast wskazali swój kraj, któryzwali *Nifon*. Spangberg sądził, że dopełnił celu swojej podróży i wyruszył pod żagle z powrotem do Rosyi. Pod 43° 50' szerokości znalazł wielką wyspę przy której zarzucił kotwicę. Mieszkańcy nosili skórzane buty, podobne do butów Kamczadali i Kuryllów; mówili językiem tych ostatnich, lecz się od nich różnili, iż mieli całe ciała pokryte długim włosiem. Postrzegłszy zegar na okręcie, padli na kolana, jakby chcieli cześć mu złożyć.

Walton dostał się do brzegów Japońskich pod 38° 17' szerokości. Pły-

nac za czółnami rybackimi dotarł do portu leżącego naprzeciw wielkiego miasta. Okręt Japoński podpłynął do okrętu Waltona i najgrzeczniejszemi jestami komendant onego, zaprosił Rosyan aby wysiedli. Ci wystali szalupę z dwoma próżnemi barytkami od wody i kilku przedmiotami, jako dar ofiarowanemi. Pobrzeże było okryte Japończykami, którzy się tłumem zbiegli dla przypatrzenia się cudzoziemcom; w chwili gdy czółno zawiął do lądu, ofiarowali najuprzejmiej swoją pomoc w napełnieniu barytek słodką wodą. Miasto zdawało się mieć najmniej 1500 domów zbudowanych z kamienia i drzewa, rozciągało się ono najmniej na 2 mile po nad brzegiem morza. Jeden z mieszkańców zaprosił uprzejmie Ksimerowa dowódcę szalupy, aby przyjął posilek w jego domu. Podano mu w naczyniach porcelanowych, wino, owoce, i konfitury. Liczne składy zboża, bogate ulice, a pola okryte były bogatemi zasiewami zboża i grochu. Później Japończykowie zwiedzili okręt i weszli w mały handel z Rossyanami; lecz przybył wyższy urzędnik i wyraźnie zabronił zwiedzać okręt. Walton wrócił do Kamczatki. Podróż Spangberga i Waltona była pierwszą, w której Rossyanie płynęli na morzu Południowym, drogą już otworzoną przez inne narody europejskie. 4 Czerwca roku 1741 Behring i Czyryków po raz trzeci wypłynęli z Kamczatki w zamiarze, gdy dopłyną do 50° stopnia szerokości, skierowania swego biegu na wschód, dopóki nie dostaną się do samego lądu amerykańskiego. Dnia 20 tegoż samego miesiąca, burza a następnie mgła tak rozłączyła okręta, że się nie mogły już połączyć z sobą.

Dnia 18 Lipca 1751 r. Behring odkrył stały ląd amerykański pod 58° 28' a podług jego rachunku pod 50° na wschód południka Petro-Pawłowska. Ziemia ukazała się mu z pozorem posępną wielkości. Góry niezmiernie wyniosłe, okryte śniegiem zdawały się daleko w głąb ciągnąć, a jednej wierzchołek znacznie po nad inne wybiegał. Heller naturalista i doktor niemiecki,

należący do wyprawy, oświadczył: że nigdy nie widział tak wysokiej góry w Syberyi, nazwał ją górą *świętego Eliaszsa*. Dwa najbliższe przylątki nazwane zostały przylądkami *świętego Eliaszsa i Hermogenesa*. Dnia 20 Behring zarzucił kotwicę przy małej wysepce przyległej stałemu lądowi. Znalaziono kilka chat, lecz mieszkańcy puciekali; Rosssyanie zabrali nieco ryb ruszonych i innych żywności, zostawiwszy w zamian noże, tytuń i inne drobnostki. Wypłynawszy na morze gdy chciał Behring żeglować ku północy, postrzegł, że brzeg stałego lądu pochylał się ku południo-zachodowi. Utorował sobie drogę z trudnością przez łańcuch wysp okalających wielki półwysp *Alaska*. Jedna z tych wysp albo może mała gruppa, otrzymała nazwę *Szumagina*; na pamiątkę rossyjskiego żeglarszą, którego tam pochowano.

Postrzeżono na jednej z owych wysp kilku ludzi zajętych rybołówstwem, Rosssyanie zbliżyli się do nich w czółnie, w towarzystwie Koryaka, którego chcieli użyć jako tłumacza. Na brzegu znajdowało się 9 Amerykanów i tyleż czółen, lecz nie dostrzeżono ani kobiet, ani żadnych mieszkań. Ci dziecy nie mogli zrozumieć Koryaka, lecz natychmiast dostrzegli, że się różnił od Rosssyan i bardziej był podobny do ich współrodaków. Trzech Rosssyan przybiło do brzegu z Koryakiem i przywiązali szalupę do skały. W zamian tej ufności, Amerykanin, najstarszy z całej gromady, wszedł do czółna. Podano mu kieliszek wódki, lecz gdy go poniosł do ust, tegość napoju zdziwiła go i przestraszyła tak dalece, że sądził iż jest zdradzonym i dla uspokojenia jego obawy musiano go na ląd wysadzić. Rosssyanie powrócili wówczas do swojej szalupy, lecz Amerykanie zatrzymali Koryaka. Wydawał on płacziwe krzyki, błagając Rosssyan, aby go nie opuszczali; ci namyślili się wręście dwa razy na wiatr z fuzyi wystrzelić, a wystrzały te sprawiły pożądany skutek; huk powtarzany przez okoliczne wyspy i wysokie góry stałego lądu, zdawał się razem ze wszystkich stron pocho-

dzić; czém nadzwyczajnie Amerykanie przelekli, rzucili się twarzami na ziemię, pozwalając uciec Koryakowi. Nazajutrz okrążyli okręt w czółnach i przynieśli laseczkę ozdobioną piórami, mającą służyć za kalumet, czyli zakład pokoju. Złożyli dary i zdawali się chcieć zabrać bliższą znajomość z cudzoziemcami; lecz okręt podniósł kotwicę, chłodny wiatr powstał, musieli przeto przedźnąć na ląd powrócić. W chwili, gdy się Rosssyanie oddalali, żegnali ich kilkokrotnymi okrzykami.

Przy końcu Września, gdy okręt opuścił wyspy *Szumagina*, wiatr dał ciągle od zachodu, czas był mglisty i dżdżysty. Większa część okretowej osady uległa skorbutowi, i niezdatną była do pełnienia służby, a tak, w porze burzliwej, na morzach nieznanych, okręt na igrzysko sal był wystawiony. Sam Behring, od niejakiego czasu, tak był osłabiony i cierpiący, że nie mógł czuwać nad obrotami swego okrętu. Dnia 4 Listopada, pod 50° szerokości północnej, ziemia znowu ukazała się podróżnym i dnia następnego postanowiono ku niej skierować, okręt bowiem potrzebował naprawy, a skorbut straszliwie niszczył osadę. Morze było wzburzone, gdy okręt zbliżał się do brzegu i uderzył o skałę. Na szczęście, wielki bałwan przesadził go przez rafę; lecz stan okrętu, jego osady, oraz pora, wyraźnie wskazywały konieczną potrzebę przeczimowania na tej wyspie. Mogący jeszcze pracować, wysiedli na ląd dla przygotowania pomieszczeń dla chorych; wykonali to, pokopawszy jamy w piaszczystych wzgórzach, przy leśnych strumieniowi, wpadającym do morza; żagły zaś użyli na zrobienie dachu. Kilku ludzi ndało się dla zwiedzenia wyspy; lecz nie znaleźli ani drzew, ani mieszkań, tylko pełno błękitnych i białych lisów, których futra nie były tak piękne jak lisów Sibirskich. Znajdowała się także mnogość wydr morskich na wybrzeżu; mięso ich tak było twarde, że zaledwie można je było ugryść zębami; lecz doktor Heller uważał je za lekarstwo przeciw skorbutowi. Wnętrznosci zachowane zostały dla chorych

Zabijano te zwierzęta nie tylko na pokarm, lecz także dla dostania ich futer, którym wielki handel jest prowadzony pomiędzy Rosssyą a Chinami. Nazbierano ich około 900 sztuk na tej wyspie, a Heller z tej liczby trzecią część dla siebie otrzymał, którą mu żeglarze ofiarowali w dowódzie swojej wdzięczności, za starania jego i pieczołowitość około chorych. Wieloryb, przez bawiany na brzeg wyrzucony, był dla nich zapasem, w chwilach gdy nie lepszego nie mieli. Trzydziestu ludzi umarło na wyspie; nieszczęśliwy Behring także tam skonał 8 Grudnia. Można powiedzieć, że go prawie żywcem pogrzebiono; gdyż piasek osypując się w około dziury w której leżał, przykrył mu już nogi, a nie chciał pozwolić aby go odrzucono, mniemając że go to rozgrzeje: usypywanie ciągle trwało do tego stopnia, iż całkiem został zakryty; gdy skonał, musiano go odkopać, dla pochowania w przyzwoitszej mogile.

Dnia 6 Maja czterdzieści pięć osób pozostałych z okrętowej osady, wzięło się do budowania tratwy z resztek drzewa ich rozbitego okrętu, dla powrócenia do Kamczatki. Wszyscy cieśle wymarli; lecz kozak nazwiskiem Starodubzów, który czas niejakiś pracował przy warsztatach morskich w Ochotsku, przedsięwziął kierować robotą. Nowy statek spuszczone na wodę 10 Sierpnia i rozbiteki odplynęły 16; lecz pędzeni wiatrami przeciwnymi, dopiero 25 przybyli do brzegów Kamczatki. Dnia 27 zarzucili kotwicę w zatoce świętego Piotra i Pawła. Statek ich pomyślnie odhył przeprawę, a Starodubzów w nagrodę tak wielkiej przysługi, wyniesiony został na stopień syna bojarskiego. Wyspa na której admirał życie zakończył, nazwana została na cześć jego, *wyspą Behringa*. Czas wrócić się do Czyrykowa, którego podróz, lubo nie tak nieszczęśliwa jak jego dowódcy, jednakże doznała trudów i przeciwności. Odłączony od Behringa, 20 Czerwca popłynął ku stałemu lądowi amerykańskiemu, gdzie przybył pod 55° 36' szerokości. Brzeg był nieurodzajny i chropawy, nie-

jako strzeżony skałami, nie widział najmniejszej wysepki w którejby mógł znaleźć schronienie. Zarzucił jednak kotwicę i wysłał największą z swoich szalup, z rozkazem aby przybiła do lądu, gdzie tylko będzie mogła. Kilka dni upłynęło lecz nie powracała. Postął więc drugą dla dowiedzenia się o powodach tego spóźnienia, lecz i ta zapewne doznała tego samego losu co i pierwsza: niewiadomo bowiem co się z niemi stało. Kilka czółen, napełnionych Amerykanami, przybyło od brzegu, w kilka dni później, dla przypatrzenia się okrętowi; lecz ci lękali się zbliżyć do niego. Czyrików, straciwszy nadzieję zobaczenia swoich ludzi, postanowił opuścić te brzegi i przybył do Kamczatki na początku Października.

Wkrótce po przybyciu szczątków okrętowej osady Behringa, kilku Kamczadali puściło się dla przejrzania wyspy, na której umarł sławny ów żeglarz, i do której wydry morskie w wielkim mnóstwie przebywały. Z tego to powodu, odkryto, bez wielkiej trudności *wyspę Miedzianną*, która przybrała swą nazwę, od kup surowej miedzi, nagromadzonych na jej brzegach; leży ona naprzeciw wyspy Behring. Dwie owe małe i niezamieszkałe ziemie, były przez czas jakiś jedynemi znanemi wyspami, dopóki strzeży rossyjscy nie wyniszczyli prawie zupełnie, małej liczby zwierząt morskich, znajdujących się w ich obrębie; wówczas pokuszono się na inne wyprawy. Wiele okrętów wypłynęło w tym celu, zagnane nawalnicą ku południo-wschodowi, odkryły wyspy *Aeutskie*, nie bardzo ludne, lecz obfitujące w zwierzęta z pięknymi futrami. Od roku 1745, w którym wyspy te pierwszy raz były zwiedzone, aż do roku 1750, w którym pierwszy haracz futrzany przywieziony został do Ochotska, zdaje się, iż rząd rossyjski nie był zupełnie uwiadomiony o ich odkryciu. Roku 1760 gubernator Tobolska, zwrócił na nie swoją uwagę i aż do tej epoki, wszystkie odkrycia później dokonane po Behringu, odbyły się bez wpływu dworu, przez oddzielnych kupców, na okrętach prywatnym kosztem

przygotowanych. Na owych to wyspach Aleutskich i przeszło na 150 mil wybrzeży po za kołem biegunowym, niestrudzony przemysł Rossyan, pozakładał liczne osady i faktorie, za pośle-

dnictwem których odbywa się dzisiaj wielki i korzystny handel futrami, pomiędzy państwem Rossyjskiemi a Chinami.



ROZDZIAŁ XXVI.

PODRÓŻE BYRONA. WALLISA, KARTERETA I BOUGAINWILLA.

Powody, które skłoniły Francuzów do czynienia jeograficznych odkryć. — Wyspy Falkland. — Mniemane lasy. — Zwierzyna oswojona. — Osada założona przez Bougainwilla. — Podróż Komodora Byron. — Szukanie wysp Pepsy. — Stosunki z Patagonami. — Port Egmont. — Wyspy Zawodu. — Wyspy Króla Jerzego. — Tinian. — Wallis i Karteret. — Ich rozłączenie. — Wallis przybywa do Otahity. — Postępowanie krajowców. — Karteret odkrywa wyspę Pitkairn. — Wyspy Salomona. — Nowa Irlandya. — Wyspy Falkland zwrócone Hiszpanii. — Podróż Bougainwilla na około świata. — Nowe Cyklady. — Luizanna.

Jerzy III wstąpiwszy na tron, pragnął wstawić swe panowanie jakimś znacznym odkryciem, i znalazł wszelką ku temu zachętę w swoich ministrach. Francuzi wycierpiawszy wiele z powodu przewagi Anglii na morzu, zupełnie prawie wyrugowani z swych osad w Kanadzie; zaczęli szukać środków powetowania tych strat i zastłonienia, na przypadek wojny, swych handlowych interesów. Zamyślali czas jakiś, o założeniu na wyspach Falkland osady, któraby niejako była wypoczynkiem dla okrętów przebywających ocean Spokojny. Korsarze z Saint-Malo, nadając tym wyspom nazwę *Maluin*, pochodzącą od ich rodzinnego miasta, pozyskali przez to do nich niepewne prawo.

Roku 1763, Bougainwille, officer, który zaszczytnie odznaczył się w walkach w Kanadzie, postanowił założyć, własnym kosztem, osadę na tych wyspach. Rząd francuzki przyjął jego propozycją: w skutku tego wypłynął on 15

Września t. r., z Saint-Malo, zabrawszy ze sobą jako osadników, wielu nieszczęśliwych, których oręż angielski wylał z ich posiadłości w Nowej-Szkocyi, lub, jak nazywają Francuzi, w Akadyi. Dnia 3 Lutego 1764, przybywszy do wschodniej kończyny wysp Falkland, wpłynął do wielkiej zatoki, którą nazwał *Zatoką Francuzów*. Odkrył że Ryszard Hawkins i Woodes-Rogers, wspominając o istnieniu na jej brzegach wielkich lasów, byli złudzeni zwodniczym pozorem. Bukiety wysokich trzcin, rozdzielone wązkimi przedziałami, pokrywały niskie grunta. Łodygi owych trzcin, mające kolor zeschłych liści, wznosiły się blisko na sześć stóp rozwijały się w zielonych odnogach; tak, że widziane w niewielkiej odległości, miały podobieństwo przerzadzonego lasu. Miejsce to nadzwyczajnie obfitowało w zwierzynę i ryby; których nieętkliwość świadczyła, że spokojność ich żakłóconą nigdy nie była pobytom czło-

wieka. Ptaki dawały się brać ręką; zające i lisy nieokazywały najmniejszej o-hawy. Dnia 17 Marca, założono osadę, a we trzy tygodnie później, Bougainville odpłynął do Francji, zostawwszy w nowym swoim zakładzie, dwudziestu siedmiu ludzi, pomiędzy którymi było pięć kobiet. W następnym roku, powróciwszy do osady, znalazł wszystko w dobrym stanie, i popłynął do cieśniny Magellańskiej, dla zaopatrzenia osady w drzewo, na którym zupełnie jej zbrzytało; rozpoczął tym sposobem z owymi południowemi krainami, stosunki handlowe, które było przeznaczeniem nowej osady, dalej prowadzić. Przy końcu roku, osadnicy, których już liczba dochodziła do 150, wysłali do Francji ładunek oleju i skór foków, jako oznakę korzyści, które mogli dobrem swoim powodzeniem zjednać dla rodzinnego kraju.

Wyprawy Francji wzbudziły naturalnie zazdrość rządu angielskiego i chęć dokonania czegoś podobnego, objawiła się w zachętach, jakie dwór udzielał rozmaitym planom odkryciowym. Roku 1764 kommodor Byron, odebrał polecenie odbycia podobnej podróży, z dwoma statkami, tojest sloopem *Tamar* o 16, i *Delfnem* małym wojennym okrętem o 24 armatach. Statki te przybyły do Rio-Janeiro w połowie Września, i po miesięcznym tam pobycie, puściły się znowu na morze. Aż do tej chwili, miejsce do którego były przeznaczone okrywała tajemnica, dopiero opuszczając brzegi brazylijskie, kommodor uwiadomił ludzi okrętowych, iż zamiast do Indyj Wschodnich, płyną w celu podróży odkryciowej, a jeśli postępowanie ich będzie dobre, pozyskują prawo do podwójnej płacy. Wiadomość ta przyjętą została od wszystkich z okrzykami radości; wkrótce jednak doznali zawał które ich oczekiwaty. W Rio-Janeiro, żeglarze dręczeni upałem, sądząc, że cała ich podróż będzie się odbywać w podobnym klimacie, posprzedawali swoje wełniane suknie; lecz, żeglując ku południowi, przez tydzień zaledwie, musieli wytrzymać daleko dotkliwsze mrozy, niż

wśród najostrzejszych zim w Anglii. A jednak nie przebyli jeszcze 36° szerokości południowej, i pora letnia się nie skończyła w owych klimatach. Pierwsze schronienie znaleźli w porcie *Desir* (*Pożądany*), który Sir John Narborough niedokładnie opisał. Złapano kilku zających, mięso ich było jak śnieg białe.

Opuszczając port *Desir*, Byron popłynął dla szukania *wyspy Pepys*, oznaczonej przez Kowleja pod 47° szerokości południowej; lecz żeglując przez cztery dni bezskutecznie, z mocnym przekonaniem, że wyspa owa nieistnieje, wrócił na ląd stały, dla zaopatrzenia się w drzewo i wodę. Okręta wpłynęły potem w cieśninę Magellańską, i zaledwie zarzuciły kotwicę, gdy postrzeżono na brzegu tłum ludzi, powiewających białą szmatą, jakby zapraszali do siebie dla pomówienia. Byron udał się natychmiast na ląd, w towarzystwie dobrze uzbrojonego oddziału, który zostawwszy na brzegu, dla działania stosownie do okoliczności, zbliżył się sam ku krajowcom, którzy chociaż w liczbie przeszło pięciuset, złęknięni byli jego obecnością. Nakoniec, znakami nakłonił jednego z nich, iż ku niemu przystąpił. «Człowiek ten, mówi komodor: był olbrzymiej postaci, miał na ramionach zarzuconą skórę jakiegoś zwierzęcia, a przez dziwaczne pomalowanie, nadał sobie najbrzydszą twarz, jaką kiedykolwiek widziałem. Jedno oko miał otoczone szerokiemi białemi kołem, drugie czarnem, reszta zaś twarzy była pomazana różno-kolorowemi malowidłami. Niezmierzyłem jego wzrostu, lecz porównując go z sobą, musiał mieć najmniej siedm stóp.» Chociaż tak groźna była powierzchowność Patagonów, jednak znalezione ich niezmierznie łagodnymi i pełnymi uszanowania. Przyjmowali z wdzięcznością ofiarowane sobie dary; gdy Byron opuszczał ich, oświadczał mu na migi życzenie, iżby wkrótce do nich powrócił.

Okręta posunęły się potem w cieśninę, aż do portu *Głodu*, gdzie nasi podróżni znaleźli kraj daleko zamożniejszy, niż się można było spodziewać po

ostrości klimatu. Ziemia była okryta kwiatami, nie ustępującemi ani w woni, ani w piękności kwiatom pielegnowanym w ogrodach europejskich. Byron zaopatrzwszy w drzewo i wodę oba okręta, zwrócił się i wypłynął z cieśniny dla szukania wysp Falkland.

Wkrótce po swoim tam przybyciu, odkrył na zachodniem ich brzegu port, który nazwał portem *Egmonta*, objął kraj w posiadłość, nadawszy mu uroczyscie miano *wysp Falkland*.

Spełniwszy swoje postanowienie, płynął dalej ku morzu Południowemu, do którego zamierzał się dostać przez cieśninę Magellańską. Byron był towarzyszem lorda Anson w jego podróży na około świata, za nader więc niebezpieczne uważał przejście około przylądka Horn. W cieśninie jednak nie wielkie miał do zwalczania trudności: siedem tygodni potrzebował dla jej przepłynienia, osady jego okrętów w tej przeprawie mało nżyły spoczynku, zostając w ciągłej obawie, spowodowanej niepewnością klimatu. Jego stonunki z tamtejszemi nędznymi krajowcami nie przyniosły żadnych ważnych skutków. Lubią oni nadzwyczajnie muzykę, a gdy jeden z żeglarzy zagrał im, okazali za to swoje wdzięczność, umalowawszy mu twarz podług zwyczaju krajowego. Nakoniec 9 kwietnia, okręta wypłynęły z cieśniny, i dostały się na morze Południowe.

Ponieważ osady obu okrętów zupełnie były wyniszczone trudami jakich doznały w cieśninie, postanowiono więc zawinąć do wyspy *Zuan-Fernandez*, najbliższego miejsca odpoczynku, i odłożenia dalszej odkryciowej podróży; dopóki żeglarze zdrowia nieodzyskają. Lecz ta wyspa, zakryta gęstą mgłą, zostawioną została na stronie, i musiano płynąć ku *Masafuero* o kilka stopni dalej na zachód. Strudzeni żeglarze i tam jeszcze nie znaleźli spoczynku. Morze wzburzone tak groźne fale obijało o brzegi, że niepodobieństwem było na ląd się wydostać. Wystarano się tylko o trochę wody, i puszczono się w dalszą drogę. Byron usiłował także, lecz bezskutecznie, znaleźć wy-

spę *Dawisa* czyli *Wielkonocną*. Do tego szkorbut zjawił się pomiędzy osadą, i zwiększył niecierpliwość, powstała z powodu podróży nad zakres przedłużonej. Nakoniec odkryto małą wyspę, zacięniały ją wzniosłe drzewa, a na brzegu znajdowało się mnóstwo żółwich skorup. Mieszkańcy tłumnie zebrani wzdłuż wybrzeża dla przypatrzenia się okrętom, porozpalali ognie. Lecz to wszystko zwiększało tylko niedolę naszych żeglarzy, drażniąc srodze zawiedzioną ich wyobraźnię, nie znaleziono bowiem miejsca dogodnego do zarzucenia kotwicy dla skał koralowych otaczających tę wyspę, puszczono się więc dalej, i dnia następnego odkryto inną, na której było podobieństwem kokosów, lecz i tu niepodobieństwem było gdziekolwiek przybić do brzegu. Opuszczono więc te wyspy i z tej przyczyny nadano im nazwę *wysp Zawodu*.

Nazajutrz odkryto jednak inne, na których szalupy zebrały kilkakrotnie ładunek orzechów kokosowych, i znaczną ilość ziół przeciw szkorbutowi. Krajowcy lubo początkowo uważali obcych za nieprzyjaciół, niezupełnie jednak byli wyzuci z uczuć szlachetnych; midshipman, okazał swą ufność, puściwszy się w pław ku nim do brzegu w całym ubraniu; Indyanie, których ciekawość do najwyższego stopnia była wznieconą, zabrali wprawdzie niektóre przedmioty jego ubioru, lecz nie dopuścili się najmniejszej gwałtowności. Znalezione w jednej ich chacie szczątki szalupy hollenderskiej, okute bronzem i żelazem. Byron nazwał tę małą grupę *wyspami Króla Jerzego*. Na początku Sierpnia przybył do *Timian* i zarzucił kotwicę w tym samym porcie, który niegdyś służył za schronienie lordowi Anson. Wyspa ta w oczach Byrona i ludzi jego niezastępuje na te pochwały, jakie jej oddawali ich poprzednicy. Po dziewięciu tygodniach, gdy chorzy odzyskali zdrowie, zaopatrzwszy okręta w 2000 orzechów kokosowych, puścił się znowu na morze i w sześć tygodni zawinął do Batawii. Tam znowu odświeżył swoje zapasy, i odply-

nał do Anglii, gdzie przybył na początku Maja, spędziwszy na morzu blisko dwadzieścia-dwa miesiące.

W Sierpniu tegoż roku, (1766), statki, *Delfin* pod rozkazami kapitana Wallis, i *Jaskółka* dowodzona przez kapitana Karteret, znowu odplynęły dla czynienia nowych odkryć na półkuli południowej. Przybywszy do cieśniny Magellańskiej, kapitan Wallis wysłał statek ładunkowy, który mu dotąd towarzyszył, z kilku tysiącami młodych drzewek, dla zasadzenia ich na wyspach Falklandzkich, gdzie założono osadę angielską; ta wyprawa zdaje się być więcej od poprzedniej przeznaczoną do zakładania osad w tamtej stronie. Chociaż kapitan Wallis przybył do cieśniny w porze roku, którą Byron sądzi za najdogodniejszą do przeprawy, jednak potrzebował czterech miesięcy nim ją przepłynął, tak mało bowiem zawierzyć można stałości pór roku, w tym klimacie burzliwym. Wyostał się nakoniec na morze Południowe, 11 Kwietnia 1767. *Jaskółka* nie tak chybka, z powodu źle urządzonych żagli, nie mogła przebyć cieśniny, i wróciła do Europy, drogą zupełnie inną, o której poniżej wspomniemy. Kapitan Wallis, żeglując po morzu Spokojnem, zwiedził archipelag *wysp Georgjańskich* (Georgian islands), nadał nazwy niektórym z nich, np. *Królowej Karoliny*, *Egmonta*, *Gloucester*, i *Osnaburgh*, mniemając że pierwszy je odkrył. Dostał się nakoniec do obszerniej wyspy, którą nazwał wyspą *Jerzego III*, teraz znaną jest ona bardziej pod nazwą *Otahity*. Ponieważ ludzie okrętowi byli chorzy, Wallis przeto postanowił zatrzymać się czas jakiś przy niej, dla zaopatrzenia się w świeżą wodę i żywność; chociaż ci krajowcy okazywali się gościnnymi i łagodnymi, nie można jednak było zawiązać z nimi bliższych stosunków. Stoczono kilka bitw, w których poznali straszliwe skutki broni ognistej i niebezpieczną wyższość swych europejskich gości. Kapitan Wallis, uniesiony żądzą okazania swój niszczącej potęgi, skierował kilka wystrzałów ku lasowi, do którego schroniły się kobie-

ty i starcy niezdolni dźwigać broni; chcąc nareszcie krajowcom odjąć wszelkie środki dalszego zakłócania spokojności, zniszczył przeszło pięćdziesiąt ich wojennych czófen. Z powodu tych zamieszek nie utracił jednak zupełnie przychylności krajowców. W czasie zawieszenia broni, obchodzili się oni z cudzoziemcami uprzejmie.

Z Otahity kapitan Wallis odplynął do Tinian, tam naprawił swój okręt, a zabawiwszy czas niejaki w Batawii i na przylądku Dobrych-Nadziei, przybył do Hastings 19 Maja 1768; podróż jego trwała blisko rok i dziewięć miesięcy.

Tymczasem, kapitan Karteret dowodzący *Jaskółką*, straciwszy z oczu *Delfina* przy wschodniem wejściu do cieśniny Magellańskiej, musiał zwalczyc nieprzeliczone niebezpieczeństwa i kłeski, na które zwykle narażony bywa okręt źle zaopatrzony do podobnych wypraw. Karteret przebył cieśninę w cztery dni później po kapitanie Wallis, i przepłynął morze Spokojne drogą bardziej południową. Opuściwszy *Masafuero*, pod 25° 2' szerokości południowej, postrzegł wyspę, tej nadał nazwę swego młodego oficera Pitkairn, który pierwszy ją odkrył. Karteret miał nadzieję iż trafi na *wyspy Salomona*, i istotnie musiał się do nich bardzo przybliżyć; lecz ponieważ nie mógł sprawdzić odkryć żeglarzy hiszpańskich, nierozważnie zwątpił o rzetelności ich opisów, dzisiaj powszechnie przyznanej. Wyspa którą nazwał *wyspą Egmonta*, była to zapewne *Santa-Cruz* Hiszpanów; jego wyspa *Gower* leży w niewielkiej odległości od najznaczniejszej z grupy *Salomona*. Przybywszy do *Nowej-Brytanii*, w odnodze morskiej której Dampier nadał nazwę *cieśniny Świętego-Jerzego*, mniemał, że ta cieśnina prowadzi do otwartego morza, i odkrył że *Nowa-Brytania* oddzieloną jest od *Nowej-Gwinei*, (jako o tém Dampier już przekonał), sama zaś jest przerżniętą na dwie połowy, kanałem któremu nadał nazwę kanału *Świętego Jerzego*. Karteret nazwał wyspę najwięcej ku północy posunioną *Nowo-Irlandyą*.

Na południe zaś leżąca zatrzymała miano, pod którym niegdyś cała grupa niedokładnie była przedstawiana. Opuszczając kanał świętego Jerzego, Karteret oznaczył położenie wysp rozsianych na owych morzach. Oplakany stan jego osady, zmusił go do pozostania czas jakiś w Makassar, *Jaskółka* była pierwszym wojennym okrętem angielskim, który przybył do wyspy Celebes.

Wszystkich tych wypraw, o których wspomnieliśmy, mniej więcej było zamiarem utworzyć osady na wyspach Falklandzkich, wkrótce jednak postrzeżono, że nie były warte tyle kłopotów i wydatków. Anglicy, jakiesmy już wyżej wspomnieli, założyli osadę r. 1766, osadę w porcie Egmont. Lecz takowa jak się zdaje nie otrzymawszy żadnej pomocy, wkrótce niszczała. Kapitan Macbride dowódca fregaty *Jazon*, krążąc tegoż roku w owych okolicach, zagroził istnieniu osady francuskiej założonej w zatoce Francuzów, na wschodniem wybrzeżu. Lecz Hiszpania wdała się w tę sprawę, i dopomniła się o wyspy Falklandzkie, na mocy dawnego ustąpienia papieżkiego. Francya, jednak wołała opuścić posiadłość żadnej nie mającą ceny, niżeli wdać się w wojnę dla zatrzymania jej. Król hiszpański przystał na zapłacenie 500,000 koron, jako wynagrodzenie za wydatki karczunku ziemi. Część owej kwoty należała Bougainwillowi, jako twórcy projektu kolonizacji, i głównemu właścicielowi ziem ustąpionych. Został więc wysłany r. 1766 z fregatą *la Boudeuse*, o 26 armatach, i okrętem *Gwiazda*, dla uroczystego zwrócenia owych wysp rządowi hiszpańskiemu. Stosownie do danych sobie instrukcyi, miał on powrócić przez ocean Spokojny, dla uczynienia jakowego geograficznego odkrycia. Francuzi bowiem wyzuci od niedawnego czasu z swych osad w Ameryce Północnej, pragnęli znaleźć jako nową drogę, na której by przedsiębiorczy ich zapał mógł pożytecznie działać.

W Listopadzie 1767, oddawszy wyspy Falkland i naprawiwszy swoje okręta na rzece la Plata, Bougainwill rozpoczął swą podróż ku morzu Spokoj-

nemu. Tak ogólne zajęcie wzbudzała jego podróż, iż towarzyszymi jego byli książę Nassau i Kommerson, sławny naturalista. Bougainwill przejście swoje przez cieśninę Magellana uskutecznił w pięćdziesięciu dwóch dniach. Podobnie jak Byron i Karteret nie mógł znaleźć wyspy Wielkonocnej; lecz dostał się do grupy, której ci żeglarze niepostrzegli, nazwał ją *archipelagiem Niebezpiecznym*. Są to *Pomotu* czyli *wyspy Perłowe*, na mappach angielskich. Pierwszy raz zatrzymał się przy wyspie której Wallis nadał miano *wyspy króla Jerzego III*, a krajowcy nazywają *Otahiti*. Gdy osada jego wypoczęła po doznanych trudach, puścił się w dalszą podróż, zabrawszy na swój okręt jednego z krajowców, nazwiskiem Aootooroo.

Bougainwill wkrótce przybył do grupy wysp, którą nazwał *Wielkimi Cykladami*, wedle wszelkiego podobieństwa była to ziemia Australna Quirosa. Lecz Francuzi nie mogli zawrzeć żadnych stosunków z krajowcami, gdyż ci byli równie kłótliwymi jak i odróżającej powierzchowności. Żeglując dalej ku zachodowi, a potem ku północy, Bougainwill odkrył archipelag, który nazwał *Luizjadą*. Jeszcze dalej posunawszy się ku północy, opłynął wschodni brzeg wyspy, której swe własne nadał nazwisko. Nie zadługo potem zarzucił kotwicę przy południowym krańcu *Nowej-Irlandyi*, w porcie *króla Jerzego*; lecz zamiast przebyć ową odnogę morską, którą Karteret pocztywał za cieśninę, płynął wzdłuż lądu na wschód i północ i po żegludze blisko jedenasto miesięcznej, przybył do Batawji 28 Września. Stanawszy u przyładka *Dobrej-Nadziei*, powziął wiadomość że Karteret tylko o jedenastu dni go wyprzedził; lecz statek *Jaskółka* zupełnie zniszczony, wkrótce dościgniętym został; oba żeglarze z nadzwyczajną ostrożnością i zazdrością względem siebie postępowali, jeden przed drugim ukrywali, że świat opłynęli. Bougainwill wysiadł na ląd w Saint-Malo, 16 Marca 1769 r. po dwóch latach i czterech miesiącach żeglugi.

ROZDZIAŁ XXVII.

PIERWSZA PODRÓŻ KOOKA.

Młodość Kooka. — *Pierwszy jego awans w marynarce.* — *Zwiedza zatokę Świętego Wawrzyńca.* — *Przeznaczony do zwiedzenia Nowej-Ziemi.* — *Jego postępy w matematyce.* — *Przejście Wenerry.* — *Niezgodny charakter Dalrympla.* — *Kook wybrany na jego zastępcę.* — *Niewiadomość Portugalczyków.* — *Usiłują zwiedzić Ziemię Ognistą.* — *Przybycie do Otahuty.* — *Przejście uważane.* — *Charakter mieszkańców.* — *Tupia wsiada na okręt z Kookem.* — *Wyspy Towarzystwa.* — *Podania dotyczące okrętów europejskich.* — *Ziemiopisarstwo krajowców.* — *Oheteroa.* — *Odkrycie wschodnich brzegów Nowej-Zelandyi.* — *Kilku krajowców pojmanyh w niewolę.* — *Uznani za ludożerców.* — *Ich sztuki.* — *Zwiedzenie wielkiej rzeki.* — *Cieśnina królowej Karoliny.* — *Odkrycie cieśniny Kooka.* — *Okrażenie Nowej-Zelandyi.* — *Wschodnie brzegi Nowej-Hollandyi.* — *Botany-Bay.* — *Wielkie rozbiecie.* — *Odkrycie cieśniny Entreprise.* — *Zajęcie w posiadłość Nowej-Gallii południowej.* — *Śmierć Tupii.* — *Powrót Kooka.*

Interes nauki znakomite zajmował miejsce w ostatnich żeglugach, któreśmy opisali. Lecz najważniejszą sprawą była ta, którą dowodził sławny kapitan Jakób Kook. Wielki ów żeglarz pochodził z niskiego rodu; ojciec jego był tylko rolnikiem, miał dziewięcioro-dzieci, i szczupły majątek, nie mógł więc im zapewnić losu. Jakób mając lat trzynastcie, umieszczony został jako chłopiec u niezamożnego kupca w Straiths, rybackim miasteczku, niedaleko Whitby; lecz upodobanie małego Kooka do stanu żeglarskiego, wkrótce się się objawiło z ową siłą zawsze odznaczającą powołanie i zdolność. Zobowiązał się służyć przez lat siedm u jednego z posiadających czołna, używauć do handlu węglami; po skończeniu których, otrzymał od swoich panów stopień porucznika, na jednym z ich okrętów. Ponieważ handel węglami odbywa się w Anglii na wybrzeżu niezmiernie niebezpiecznym, i wymaga po żeglarzach nieustannej czujności, jest zatem wyborań praktyczną szkołą marynarki. Kook wszedłszy w ten zawód, korzystał ze wszystkich wydarzonych sposobności, do nabycia owego stałego

doświadczenia, najpewniejszego przymiotu w żeglarzu. Roku 1755, służył na wojennym statku zwanym *Orzeł*, i wkrótce za staraniem pana Osbaldiston, członka parlamentu i kapitana Palissera, dowódcy *Orta*, otrzymał dowództwo *Merkurego*, małego statku, który połączył się z flotą sir Karola Saunders, w zatoce świętego Wawrzyńca. Tam wkrótce świetnie się wykazały talenta i odwaga Kooka.

Postanowiono aby flotta dla działania wspólnego z armią jenerała Wolfa, zajęła miejsce wzdłuż brzegu, naprzeciw obozu francuzkiego; przed wykonaniem jednak owego obrotu, trzeba było zgłębić łożysko rzeki. Trudna ta czynność wymagała nadzwyczajnej śmiałości; polecono jej dokonanie Kookowi. Przez kilka nocy, pełnił swą czynność; lecz nakoniec nieprzyjaciel postrzegłszy jego obrotu, wysłał w nocy wielkie mnóstwo czołen, dla otoczenia go. Kook schronił się ku wyspie Orleańskiej, i o mało nie został pojmany, albowiem, gdy z czołna wyskakiwał na ląd, Indianie wysłani za nim w pogoni, wdrapywali się już na tył pinassy którą już zabrali. Kook jednak dopełnił danego polecenia, i złożył admirałowi floty plan

rzeki, najdokładniej skreślony. Po wzięciu Kwebeku, został wysłany dla przejrzenia najniebezpieczniejszych miejsc rzeki świętego Wawrzyńca, na której żegluga niedokładnie znaną była Anglikom. Dla swych talentów był mianowany dowódcą okrętu *Northumberland*, stojącego w Halifax. Wkrótce (r. 1764), Hugo Palisser, gubernator niedawno zajętej w posiadłość Anglików, wyspy zwanéj *Nowa-Ziemia*, wykazał ministerstwu potrzebę dokładnego skreślenia mapy jej brzegów, jako nader ważnej stacyi rybackiej, i przedstawił Kooka za najzdolniejszego to dokonać; tak zalecony, otrzymał stopień inspektora morskiego *Nowej-Ziemi i Labradoru*, a schooner *Greenville* przeznaczony do tej wyprawy, pod jego rozkazy został oddany. Sposób w jaki Kook wykonał to dzieło, stwierdził wysokie wyobrażenie jakie powzięto o jego zdolnościach. Lecz wyższe daleko zaszczyty czekały go. Przejście planety *Wenus* przez tarczę słoneczną, mające nastąpić roku 1769, z silném zajęciem było oczekiwane przez świat uczony. Towarzystwo królewskie podało monarsze plan, z wykazaniem korzyści jakie można osiągnąć, badając tak rzadkie zjawisko w przeciwnéj półkuli, i w tym celu upraszało monarchy, aby raczył wysłać statek na morze Południowe. Uczyniono zadość tej proźbie, i wyprawa została najprzód oddaną pod rozkazy Dalrympla, naczelnego hydrografa Admiralicji, równie wstawionego przez wiadomości ziemio-pisarskie, jak i uporeczywe twierdzenie że istnieje mniemany ląd australny. Lecz ponieważ tenże nie posiadał żadnego stopnia okrętowego, a przykład doktora *Halleya* dowiódł, że w podobnym razie trudno zjednać sobie posłuszeństwo osad okrętowych; przeto Kook został mianowany jej naczelnikiem.

Mozna uważać za dowód mocy rozsądku, jaki Kooka odznaczał, że zdanie jego nigdy nie ulegało jarzmu naśladownictwa, zawsze on używał nowych sposobów, gdy sądził że je dyktuje zdrowy rozsądek i doświadczenie.

Zamiast wybrać do swojej podróży fregatę, lub inny okręt, wsiadł na statek przeznaczony do przewozu węgla ziemnych. Dowiódł że takowy sposobniejszym jest do przewiezienia zapasów potrzebnych w tak długiej podróży, że nie jest wystawiony na takie niebezpieczeństwo, żeglując wzdłuż brzegów, główne przymioty w podróży odkrywając, że prądy mniej na niego wywierają działania, i że nakoniec, w razie przypadku, bez trudności i niebezpieczeństwa, może być na ląd wyciągnięty i naprawiony. Statek który wybrał, niósł 360 beczek, i nazywał się *Endeavour*). Admiralicja nic nieszczęśliwa w jego urzędzeniu; a że ulepszenia naukowe były jedynym przedmiotem tej podróży, przeto osadzono go osobami najzdolniejszymi osiągnąć ów cel pożądany. Green został dodany przez Towarzystwo Królewskie jako astronom; doktor *Solander*, Szwed, światły uczeń *Lineusza*, jako naturalista; *Banks* jeszcze wówczas młody, który później poświęcił długie życie i ogromne bogactwa postępowi nauki, rozpoczął swój zaszczytny zawód; tą podróżą naokoło świata, i gdy żądano aby wymienił punkt na morzu Południowém najstosowniejszy do wzniesienia obserwatorium astronomicznego, bez wahania się wskazał *Port-Royal* na wyspie *Króla Jerzego III*.

Porucznik Kook wyruszył z *Plymouth* 26 Sierpnia 1768. Przybił do *Rio-Janeiro*: gubernator portugalski, nieświadomy i podejrzliwy, był w nader wielkim kłopotcie, nie mogąc pojąć celu wyprawy; *Banks*, ukradkiem mógł tylko wysiąść na ląd, chociaż natura nader obfitowała na owém wybrzeżu w ulubione przedmioty jego poszukiwań, i świetne motyle unosiły się wokoło masztów okrętowych. Opuściwszy *Rio*, Kook za przykładem *Byrona*, płynął

ku miejscu, w którym Kowley mieścił swoją wyspę Pepys; lecz gdy wszelkie usiłowania okazały się bezskutecznymi w tym względzie, wyprawa skierowała ku cieśninie Lemaira, dla okrążenia przylądka Horn. Naturaliści towarzyszący Kookowi wysiedli na ląd *Ziemi-Ognistej*, a przebywszy bagnisko i kilka wyrebów lasu, wdarli się na najwyższy pagórek w pobliżu. Był to ówczas srodek lata, w owej krainie, i w czasie dnia, powietrze było ciepawe, lecz, za zbliżeniem się nocy, śnieg zaczął obficie padać i zimno stało się dokuczliwe. Nierozważni badacze zbyt daleko się zapuściwszy, niezdolali powrócić do brzegu przed zachodem słońca, musieli noc przepędzić będąc wystawionymi na całą srogość powietrza, w kraju ogołocionym z wszelkiego schronienia. Doktor Solander, w swoich podróżach w północnej Europie oswojony z zgubnymi skutkami zimna, po kilkakrotnie zalecał swoim towarzyszom, aby się opierali pociągowi do snu, który w tym razie jest najgubniejszym; lecz sam pierwszy go uczuł, i błagał swych towarzyszy aby mu pozwolili rozciągnąć się na ziemi; lecz ci ostrzeżeni, zmusili go iść dalej i tym sposobem ocalili mu życie. Przybywszy do lasu, rozpalili ogień i obśiedli go do koła, tak noc przepędzili, a gdy zaświtało, powrócili na okręt. Dwóch tylko służących pana Banks, którzy pomimo przestrogi zasnęli na śniegu, znaleziono bez życia.

Podróż na około przylądka Horn i wejście na morze Spokojne zajęły blisko trzydzieści cztery dni. Kook w czasie swojej przeprawy przez ocean, postrzegł kilka małych wysepek, należących do grupy, już zwiedzonej przez Wallisa i Bougainvillę. Z resztą dążył wprost do przeznaczonego sobie miejsca, nie zwracając w bok, dla czynienia mało-ważnych odkryć. Na koniec przybył do *wyspy Króla Jerzego Illgo*, zwanęj przez krajowców *Otahity*, i zarzucił kotwicę w zatoce *Port-Royal*, według nich *Mataakai*. Mieszkańcy jak najprzyjaźniej go przyjęli, korzystając z błędów poprzedników, ustanowił dla

swych ludzi przepisy postępowania z krajowcami, czynią one wielki zaszczyt jego rozsądkowi i ludzkości. Zamienił się na imię z naczelnikiem wyspy, dając mu tym sposobem uroczysty dowód przyjaźni, zwykle używany od mieszkańców wysp, morza Południowego. Otrzymano bez trudności pozwolenie rozbicia na brzegu namiotów dla chorych; mała twierdza i obserwatoryum zostały wzniesione. Wysłano oddział do *Cimeo* małej wyspy, odległej blisko na 10 mil, a inny do saméjże *Otahity*, niezmiernie na zachód od zatoki *Matawai*, aby zwiększeniem liczby obserwatoryów, usunąć wszelką obawę niepowodzenia postrzeżeń. Nadszedł nakoniec ów wielki dzień: był to 3ci Czerwea, i słońce weszło na bezchmurném niebie. Postrzeżenia odbyły się szczęśliwie na wszystkich trzech punktach, i podróżni nasi osiągnęli główny cel swego posłannictwa.

Łagodność i rozsądne postępowanie Kooka zjednały mu zupełną ufność Otahitczyków: Jestto lud zalecający się pięknnością kształtu i otwartą żywością swéj fizyonomii. Odznaczają się oni szczególniej wyrabianiem pewnego gatunku sukna, lub raczéj papieru, z wewnętrznej kory niektórych drzew. Ubrania, zrobione z téj materyi, nader są piękne, noszone przez kobiety przypominają klasyczne draperye starożytności. Mieszkania ich są nakształt szop, pod któremi przez dzień leżą i jedzą. W głębi kraju wznoszą się wysokie góry, a liczne strumienie spadają z ich pochyłości do morza. Krajowid ten widziany w pewnej odległości, jest uroczy.

Bougainwill utrzymuje, że mieszkańcy Otahity dzielą się na dwa pokolenia, z których jedno żyje na stanie niewolnictwa. Kook również to potwierdza, nadmienia o odznaczających się twarzach i ubiorach naczelników, lecz nie wspomina źródła téj wyższości, z resztą mało czuć się dającej. Nie dostrzegł aby władza wywierana przez wodzów nad ich poddanymi była zupełnie nieograniczoną, jak to utrzymywał żeglarz francuzki. Za to, widoczną było rze-

czą, że monarcha tamtejszy, lubo wszyscy najgłębsze okazywali mu uszanowanie, posiadał najwyższą władzę tylko z dobrowolnego przywiązania naczelników, których musiał zasięgać rady w każdym powziętym zamiarze. Prawa dziedzictwa u tych dzikich jest nader dziwaczne: jak się tylko syn urodzi, natychmiast obejmuje władzę po ojcu; jeśli na przykład był on królem, staje się tylko rejentem. Łatwo pojąć, że podobne prawo, musi być powodem do nader częstego usuwania syna, który swém urodzeniem staje na przeszkodzie dumie ojca.

W czasie gdy Kook zwiedzał ową wyspę, władza monarchiczna dostała się siedmioletniemu dziecięciu, synowi Homaja i Oberei, która żyła w rozłączeniu z swoim małżonkiem, a lubo okazywano jęj należne względy, nieposiadała jednak już owego poważania, które czyniło jęj przyjaźń tak szacowną kapitanowi Wallis. Jako dowód postępu Otahitczyków w cywilizacji, zasługuje na uwagę, że kobiety ich nie są skazane na pracę, jak zwykle u narodów zupełnie dzikich. Wykonywają one wprawdzie wszelkie zatrudnienia domowe, muszą robić suknie, farbować, gotować pożywienie, i lubo nie mogą jeść w towarzystwie mężczyzn, doznają jednak względnego obejścia się z sobą i uszanowania.

Gdy Bougainwill wylądował w Otahicie, krajowcy już byli oswojeni z użyciem żelaza, które zwali *aouri*; toż samo kapitan Wallis uważał, lubo nie wiedział jak go nazywają; w istocie, skoro dostali gwoździe żelazne, ostrzyli takowe natychmiast, przeciwnie nie czynili tego z kawałkami brązu i miedzi. Kook opłynął Otahitę, i zjął dokładną mapę jęj brzegów, których obwód, według jego zdania wynosi 15 mil; po trzymiesięcznym pobycie, gotował się do odjazdu. Rozstając się z dobremi swemi przyjaciółmi, wyspiarzami, czyni uwagę, że, «co do kradzieży, niepotrzebują się lękać porównania z żadnym narodem całego świata.» Tupia, były minister królowej Obe-

rei, dokładnie posiadający wszelkie wiadomości o swoim kraju, wynurzył chęć popłynienia z Anglikami, ci natychmiast na to zezwolili. Zdaje się, że Otahitczykowie puszczali się niekiedy o 200 i 300 mil na morze, w swoich czółnach bez pomostów, i Tupia znał niedokładnie blisko ośmdziesiąt wysp, których położenie usiłował oznaczyć. Przypatrywał się także gwiazdom, i przez cały ciąg swojej podróży, mógł dokładnie wymienić położenie swego kraju rodzinnego. Opuszcwszy *Otahitę*, kapitan Kook zwiedził wyspy sąsiednie, *Ulietę*, *Boraborę*, *Otahah*, *Huaheinę*, i *Rajataja*. Tupia opowiadał, że za czasów jego dziada, okręt przyjacielski przybył do tęg ostatniej, a inny rozbił się przy niskiej wyspie zwaney *Oanna*. Owe okręta należyć musiały do eskadry admirała Roggewein, a *Oanna* zapewne jest wyspą *Schadelyk*, czyli *Niebezpieczną*, owego żeglarza. W *Huaheinie* Kook zawarł przyjaźń z Oreem, naczelnikiem wyspy, oddalając się, dał owemu starcowi pomiędzy innymi kosztownymi darami, mały woreczek, z pieniędzmi i medalami; prócz tego półmisk cynowy, z swoim napisem, aby mu przypominał jego pobyt w tęg części świata. Stary wódz przyrzekł zachować na zawsze owe dary. Mieszkańcy *Borabora* przywłaszczyli sobie niektóre z wysp sąsiednich, i byli uważani za niezwalczonych, dobrodusznich krajowcy, bardzo się ich obawiali. Tupia błagał aby Anglicy upokorzyli zarozumiałość tych zdobywców, i okazali swą wyższość ogniem armatnim. Uczyniono zadość temu żądaniu i wystrzelono ku tęg wyspie, gdy okręt był od niej oddalonym przeszło o 3 mile. Kapitan Kook nazwał archipelag który opuścił *wyspami Towarzyskimi*. Po cztero-dniowej żegludze ku zachodowi, i południo-zachowi, dostali się do wyspy po raz pierwszy zwiedzoney, którą Tupia nazwał *Oheteroa*. Krajowcy, tłumnie zebrani na brzegu, zdawali się chcieć stawiać opór wylądowaniu cudzoziemców. Byli to piękni i silni ludzie, przewyższali zbytkownym ubio-

rem, nawet mieszkańców wysp Towarzyskich. Mieli materye malowane w kilku-kolorowych deseniach, pomiędzy którymi żółty przemagał. Ich szaty, obciśnięte pasem z czerwonej materyi, nadawały im powierzchowność lekką i wojenną. Niektórzy z nich mieli czapki zrobione z piór ptaka zwrotnikowego, gdy tymczasem inni nosili małe kształtne zawoje; lecz że nie można było znaleźć miejsca dogodnego do zarzucenia kotwicy, i prócz tego krajowcy okazywali się nieprzyjazni, przeto nasi żeglarze puścili się w dalszą podróż.

Odплыnęli 15 Sierpnia z Oheteroi, i od początku Września sądząc po kolorze morza, po roślinach które je pokrywało, po wielkiem mnóstwie ptaków otaczających okręta, wnieśli że ziemia musi być bliska. W istocie, 6go tegoż miesiąca, postrzegli ją rozciągającą się bardzo daleko na widnokręgu; rozróżnili kilka rzędów pagórków, wznoszących się jedne nad drugimi; a łańcuch gór nadzwyczajnie wysokich, służył za tło temu obrazowi. Początkowo powszechnie mniemano, że odkryto *Terra Australis incognita*; lecz postrzegli wkrótce, że to była część Nowej-Zelandyi, czyli Staten-Land, odkrytej przez Abła Tasmana, r. 1642. Oddział, który wysiadł na ląd, dla zawiązania stosunków z krajowcami, żadnej nie osiągnął korzyści. Byli albowiem srodzy, i ciągle nieprzyjaźni, postanowiono przeto użyć siły. Ujrzano dwa ich statki wpływające w zatokę, szalupy okrętowe natychmiast się udały dla przecięcia im drogi. Wyspiarze, znajdujący się w pierwszym czólnie uszli, robiąc silnie wiosłami; lecz drudzy, widząc niepodobienstwo ucieczki, śmiało przygotowali się do walki. Z siedmiu znajdujących się, czterech poległo od pierwszego wystrzału muszkietowego, trzej inni, wszyscy młodzi, wyskoczyli z czólna, i szukali ocalania wpływ się puściwszy; lecz szalupa lubo z wielką trudnością jednak ich dognała. Oczekiwali oni niezwłocznej śmierci; lecz gdy przerażenie ich przeszło, śmiało rozmawiali z Tupią, i przepędzwszy

dzień cały na okręcie, na ląd odesłani zostali.

Gdy młodzi ci ludzie opowiedzieli jak ich przyjęto pomiędzy Anglikami, nastąpiło niejakię zbliżenie się; jednak uznano za rzecz pożyteczną dla bezpieczeństwa nie wdawać się z niemi. Porwali Fayeto syna Tupii, lecz wystrzał armatny, skierowany ku wydziercom w chwili gdy się oddalali robiąc z całą mocą wiosłami, tak ich przestraszył, że puścili swego jeńca, który natychmiast rzucił się w wodę. Nowo-Zelandczykowie usiłowali na nowo go dognać, lecz dostał się do szalup angielskich; młodzieniec ten przejęty był ku nim jeszcze większą zgrozą gdyż się przekonał, że byli ludożercami, i uważali nawet ciało ludzkie za łakocie.

Owa zatoka, w której niezdolano zaopatrzyć się w żywność, nazwaną została *zatoką Ubóstwa*. Opuściwszy ją nasi podróżni, płynęli wzdłuż północnego brzegu. Nazwano *zatoką Merskurego* odnogę w której zarzucili kotwicę, dla uważania przejścia owej planety przez słońce. Z wielkiem podziwieniem postrzegli, że krajowcy pomimo dzikości swych obyczajów, znali sztukę uprawiania ziemi; mieli ogrody w których chodowali dynie i rozmaitego gatunku owoce. Znaleziono także na owym brzegu szczątki czelna z pomostem, które dowodziły wielkiego postępu krajowców w budownictwie żeglarskiem. *Heppahs* czyli wioski tamtejsze, były to małe warownie zręcznie wystawione na miejscach górzystych, zabezpieczone rowami i wałami, do których tylko przystęp był przez wąską i przykrą, pod górę idącą drożynę. Wcale nie znali żelaza gdy nasi podróżni pierwszy raz do nich przybyli, chociaż żużlisty piasek znajdował się na dnie wielu ich strumieni, Kobiety pokryte były grubą warsztwą oleju i czerwonej okry; mężczyźni zaś tatuowani, stosownie do ogólnego zwyczaju na morzach południowych. Byli silni i czynni, okazywali pojętność i pociąg do uczuć wspaniałych, pomimo skłonności do okrucieństwa, do którego nawykli przez nieustanne prowadzenie wojny.

Kook płynąc wzdłuż północnego brzegu i ciągle go przepatrując, dostał się do odnogi morskiej, zakończonej szeroką rzeką, którą zwiedził w przestworze mil czternastu. Widok ogólny kraju, i rozciągłość saméjże rzeki, zjednały téj ostatniej nazwę Tamizy. Lasy, wznoszące się wzdłuż jéj brzegów, były nadzwyczajnie wysokie; widziano w nich drzewa mogące mieć dwadzieścia stóp obwodu o trzy łokcie od ziemi, a przeszło ośmdziesiąt stóp wysokie do początku gałęzi. Kook przejrawszy północno-zachodnie wybrzeże Nowéj-Zelandyi, chociaż tam trwała jeszcze pora letnia, był jednak wystawiony na tak gwałtowne burze, że w pięciu tygodniach zaledwie się posunął na pięćdziesiąt mil wzdłuż brzegu zachodniego. Dostał się nakoniec do obszernego i bezpiecznego portu, który nazwał *cieśniną królowéj Karoliny*, Objął kraj w posiadanie, i starannie przejrzał cieśninę. Drzewa, słodkiej wody i ryb, było tam w obfitości; krajowcy okazywali się przystępnymi, na brzegach znaleziono rośliny anty-skorbutyczne, przy użyciu których, ludzie okrętowi wkrótce odzyskali zdrowie. Nasi żeglarze zachwykali się tam rokosznym śpiewem ptaków, które nader podobne do naszych słowików, w nocy tylko śpiewały.

Kook wszedłszy na wzgórek przyległy cieśninie, zdziwił się ujrawszy morze w stronie południowo-wschodniej, tym sposobem odkrył, że owa ziemia, której podziału nawet się nie domyślał, przerzniętą była na dwie części przez odnogę morską. Przebywając cieśninę, której jeografowie jednogłośnie nadali jego nazwę, zawsze żeglował ku północy, tak iż przybył do tego samego punktu, z którego zaczął przepatrywać ów kraj. Udał się potem w dalszą drogę na południo-wschód, i płynął wzdłuż brzegu ku najbardziej południowej z dwóch wysp, jeszcze objętej pod imieniem Nowéj-Zelandyi, a z południa, do portu Królowéj Karoliny. Wyspa południowa, czyli jak ją krajowcy zowią, *Tawai-Poenamoo*, jest krajem nieplodnym, przerzniętym gó-

rami nadzwyczajnej wysokości, które śnieg przez większą część roku okrywa. Mieszkańcy lubo niedziki, jednak są zawsze gburowatsi niż ich północni sąsiedzi. Dialekt ich także się różni od mowy mieszkańców *Eahemomauwe* (jest to nazwa wyspy północnej). Ta ostatnia, nie tylko że ma klimat łagodniejszy i grunt urodzajniejszy, lecz i bardziej jest zaludnioną, a sztuki i ustawy towarzyskie, więcéj są wykształcone.

Kook miał pochlebne wyobrażenie o mieszkańcach Nowéj-Zelandyi, pomimo ich ludożerczych obyczajów, o których powziął dowody również liczne jak i niezaprzeczone. Nie mógł otrzywać od nich żadnych szczegółów, ściągających się do przybycia Tasmana w tamte strony, wiedzieli oni tylko ze słyszenia o kraju zwanym *Ulimarea*, leżącym w stronie północno-zachodniej, którego mieszkańcy jadali wieprzowinę, z kąd jak się zdaje kilka czóten musiało przypadkiem do nich zawinąć. Żegluga na około Nowéj-Zelandyi, była pierwszym wielkiem odkryciem Kooka. Gdy Tasman kraj ten zwiedzając, wyobrażał sobie że to jest część Wielkiej-ziemi Australnej, lub stałego lądu, który sądził że się musi ciągnąć aż do południowego bieguna. Nasz żeglarz zważył ten domysł; spóźniona pora niedozwoliła mu posunąć dalej odkrycia, postanowił przeto skierować swą podróż ku wschodniemu brzegowi Nowéj-Hollandyi, w ówczes zupełnie nieznanéj jeszcze uczoneму światu. Dnia 31 Marca 1770 r. opuścił Nową-Zelandyę, i we dwadzieścia dni później, niedaleko od punktu, na którym zakończył swe postrzeżenia Tasman, odkrył wybrzeże Nowéj-Hollandyi. Posuwając się ku północy, wpłynął w odnogę morską, po której żeglował przez kilka dni najbezpieczniej. Postrzegano tu i owdzie kilku krajowców, lecz tak tchórzliwych, że nie można było ich nakłonić aby się zbliżyli do cudzoziemców. Z powodu mnostwa roślin które naturalieci wyprawy zebrali, nadano temu miejscu nazwę *Zatoki-Botanicznej* (*Botany-Bay*). Kook nie odkrył żadnej

rzeki wzdłuż tego wybrzeża, na którym jednakże, jakto później sprawdzono, kilka się ich znajduje, i to bardzo pięknych. Krajowcy za każdym razem gdy ich postrzeżono, zawsze okazywali jednakowy wstręt ku cudzoziemcom, i obojętność na wszelkie drobnostki, które im dawano. Ku północy, kraj stawał się coraz górzystszym; żegluga zaś przy brzegu trudniejszą i niebezpieczniejszą.

Do téj chwili żaden wypadek niezakłócił podróży dwu-tysięczno-milowej około brzegów dotąd jeszcze niezbadanych; gdy pod 16° szerokości południowej, niedaleko wysokiego przylądka, nazwanego później *przylądkiem Kłopotów*, okręt uderzył w nocy, z taką siłą o szkopuł koralowy, że już sądzono iż się roztrzaskał na części. Deski, tworzące jego obicie fale poroznosiły, a woda z taką gwałtownością zaczęła się przedzierać do okrętu, że wszyscy pracując przy pompach, zaledwie zdołali jęj pęd nieco pohamować. Przy słońcu dnia, zwiastowano ziemię, oddaloną o cztery mile, niewidziano jednak żadnej wyspy, na którą by można w szalupach przewieść ludzi okrętowych, gdyby okręt miał zatonać. Armaty i wszystkie zapasy, które niechciano nadal przechowywać, rzucono w morze, tymczasem usiłowano okręt z po nad skal unieść, chociaż obawiano się iż zatonie, gdy go wszyscy opuszczą. Następnej jednak nocy, znowu spokojnie pruł wały, i z nadzwyczajnym wszystkich podziwieniem, woda już bardziej nie przesiąkała. Ciągłemi usiłowaniami i wytrwałością dokazano, iż doprowadzono statek do małej przystani. Przeglądając poniesioną szkodę, odkryto, iż wielki odłam koralowej skały, przebiwszy się przez wiązanie, uwiązał w otworze, gdyby nie ten szczęśliwy wypadek, okręt byłby nieochybnie zatonał, oddzieliwszy się od skały. Miejsce, w którym nasi żeglarze znaleźli schronienie, było położone przy małym ujściu wody, które otrzymało nazwę *Endeavour-River*. Tam krajowcy byli przystępniejszymi; lecz prócz żywności, mało

cenili, wszystko co im dawano. Widząc że im odmówiono kawałek żółwia o który prosili, zemścili się za to podłożwszy ogień pod długie zioła, rosnące przy ich namiotach, pożar zład wzniecony, o mało nie miał szkodliwych skutków. Pan Banks, i doktor Solander znaleźli w tém miejscu obfite materiały do swych postrzeżeń, gdyż prawie wszystkie twory zwierzęce i roślinne, były dla nich zupełnie nowemi. Ci naturaliści nadzwyczajnie uszczęśliwionemi zostali, odkryciem zwierzęcia, zwanego od krajowców *Kangaroo*.

Jak tylko okręt został naprawiony, nasi żeglarze port opuścili, i po nadzwyczajnych trudach, walcząc przez trzy miesiące, z rafami i podwodnemi hakami, dostali się nareszcie na pełne morze. Puścili się ku północy, pochlebając sobie że uszli przed niebezpieczeństwem, gdy nagle wiatr ustał, i prąd uniósł statki ku skałom, wznoszącym się nad owém wybrzeżem w całej prawie jego rozciągłości, a o które, wielkie fale oceanu Południowego, obijały się z przerażającym szumem. Zguba jego zdawała się nieuchronną, gdy oznajmiono w pobliżu wąską łachę w skałach, pomimo wielkich niebezpieczeństw, okręt dobrze kierowany, powtórnie rozciągnięto pomiędzy sterzcami opokami. Kook postanowił wbrew wszelkim trudnościom, płynąć wzdłuż wybrzeża, aby niepozostawił na boku cieśniny oddzielającej Nową-Hollandyę od Nowej-Gwinei. Dostał się nakoniec do kończyny lądu, z kąd mógł rozróżnić rozległe morze w stronie południowo-zachodniej, w ówczas dopiero przekonał się iż odkrył pomienioną cieśninę. Wyśiadłszy na ląd, objął w posiadłość w imieniu swego monarchy, obszerną przestrzeń wybrzeży, którą nazwał *Nową Południową Gallią*. Mała zaś wyspa, na której tę ceremonią odbyto, nazwana została *wyspą Posiadłości*.

Osada okrętu *Przedsięwzięcie* doznała tyle trudów i cierpień, iż postanowiono nie przeciągać podróży rozpatrywaniem wybrzeży Nowej-Gwinei. Kook odplynął ku Batawii, mając nadzieję naprawienia tam swego okrętu;

lecz niebezpieczny klimat owego miejsca, był zgubniejszym dla tych żeglarzy, niżeli wszystkie przeszłe klęski, dziesięciu zaledwie pozostało zdolnych do odbywania służby. Tupia i Tayeto nieszczęśliwy jego syn, który chorował na szkorbut przez cały ciąg podróży, pierwsi padli ofiarą niezdrowych wiatrów Batawii. Zaród choroby w korzenił się niejako do okrętu i długo dawał się uczuwać jeszcze po opuszczeniu Jawy; nim zawiął do przyład-

ka, stracił już blisko trzydzieści osób, a pomiędzy nimi pana Green, astronoma, doktora Solander i chirurga; przez niejaki czas lękano się także o życie pana Banks. Dnia 10 Czerwca, tenże sam chłopiec okrętowy, który pierwszy postrzegł Nową-Zelandyę, ujrzał także rodzinną ziemię; a 12, Kook zarzucił kotwicę, spędziwszy dwa lata i jedenaście miesięcy na opłynieniu ziemi.



ROZDZIAŁ XXVIII.

DRUGA PODRÓŻ KOOKA.

Wątpliwość o istnieniu stałego lądu południowego. — Druga wyprawa Kooka. — Przyładek Odrzeżania. — Łódź postrzeżony na południu. — Zorze południowe. — Przybycie do Nowej-Zelandyi. — Podróż okrętu Awantura. — Ziemia Van-Diemen. — Zwierzęta pożyteczne zostawione w Nowej-Zelandyi. — Przeprawa na południe morza Spokojnego. — Przedstawienia dramatyczne w Otahiwie. — Omaj i Odydea wsiadają na okręta. — Wyspy Amsterdam i Middleburg. — Rolnictwo tamtejsze. — Dowód ludożerczych obyczajów w Nowej-Zelandyi. — Podróż po morzach podbiegunowych. — Ziemia Juan-Fernandez. — Wyspa Wielkonocna. — Opisanie posagów. — Wyspy Markuzy. — Piękność mieszkańców. — Otahita. — Handel czerwonymi piórami. — Wielki przegląd morski. — Nowe odwiedzenie wysp Przyjacielskich. — Rozległość grupy. — Przegląd Nowych-Hebryd. — Odkrycie Nowej-Kaledonii. — Wyspy Norfolk. — Podróż z Nowej-Zelandyi do przyładka Horn. — Tula południowa, albo ziemia Sandwich. — Przybycie Kooka do Anglii. — Smutne wypadki w ciesznie Królowej Karoliny.

Pierwsze ważne odkrycie które winni jesteśmy staraniom Kooka, było skutkiem jego podróży na około Nowej-Zelandyi. Tasmań kraj ten opisując, uważał go za część *Wielkiej nieznaney Ziemi-Australnej*, rozciągającej się wedle wszelkiego podobieństwa, na południe oceanu Spokojnego; lecz Kook zwalił od razu takową teorię. Znalazło się jednak wielu ludzi, którzy upórco wierzili w istnienie południowego stałego lądu. To spowodowało powtórnią wyprawę, coby roz-

strzygnęła stanowczo ową walkę zdań; rząd angielski, ciągle wspierając naukę zasobami krajowemi, postanowił dalej posuwać owe chwalebne poszukiwania. Król był przychylnym temu zamiarowi, i hrabia Sandwich, stojący w ówczas na czele Admiralicji, skutecznie popierał życzenia swego władcy.

Kapitana Kook zaraz na wstępie uznano za officera najzdolniejszego kierować nową wyprawę. Przygotowano do podróży dwa okręta, *Postanowienie* i *Awantura*, pierwszy o 462, drugi

o 336 beczkach, aby żadna okoliczność nie była straconą dla nauki, z powodu braku osób zdolnych badać przyrodę pod wszelkimi jej względami, przeto uczeni odznaczających zdolności, zaproszeni zostali do towarzyszenia tej wyprawie. Panowie Wales i Balley udali się jako astronomowie, a Rajnold Forster i jego syn, jako naturaliści. Okręta obficie były zaopatrzone we wszelkie zapasy potrzebne w tak długiej i przykrzej przeprawie.

Kook wypłynął z Plimuth 15 Lipca 1772 r. Za przybyciem do przylądka Dobrzej-Nadziei, ustępując naleganiom pana Forster, przyłączył do swojej wyprawy sławnego naturalistę Sparmann. Wyruszył potem ku południowi, dla szukania ziemi, odkrytej jak utrzymywano przez Francuza Bouvet; lecz gwałtowne wiatry uniosły go daleko na wschód, w którym to kierunku miała być położona owa ziemia. Długo walcząc z przeciwnymi wiatrami, przybył nareszcie do wskazanego południka, o kilka mil na południe szerokości przyznawanej przylądkowi *Obrzezania*. Tym sposobem dowiódłszy, że ziemia postrzeżona, jak twierdzono przez Bouweta, jeśli rzeczywiście istniała, nie była częścią stałego lądu południowego, puścił się w dalszą drogę na południe i wschód.

Dnia 10 Grudnia, nasi żeglarze pierwszy raz napotkali wyspy lodowe, a dni następnych ujrano takowe jeszcze większe i w znaczniejszej daleko liczbie. Niektóre z nich miały blisko dwie mile obwodu, i wznosiły się do 60 stóp wysokości. Taka jednak była siła morskich bałwanów, że się aż na ich szczytach rozbijały. Na pierwszy rzut oka, widok ten wzbudzał podziwienie; lecz to uczucie radości, jakim zrazu przejmował, wkrótce zacierало się przerażeniem wyobraźni, na tak wielkie niebezpieczeństwo. W istocie okręt który by się zbliżył do tych wysp podczas nawałnicy, w kilku minutach w kawały byłby zdruzgotany. Przeszkody, jakie wyspy lodowe następujące po sobie bez przerwy, stawiały naszym żeglarzom, wynagrodzone tém zostały,

że mieli podostatkami słodkiej wody. Ogromne bryły lodu powciągano na pomost i przynocowano; woda jaką one wydawały topniejąc, była czystą i pozbawioną wszelkiego nieprzyjemnego smaku.

Dnia 17 Sierpnia 1773 r. nasi żeglarze dostali się pod 67° 15' południowej szerokości, i widzieli lody ciągnące się ze wschodu na zachód — południo-zachód, bez najmniejszego pozoru przerwy. Niepotrzebowali już teraz żeglować dłużej ku południowi, a że im zagrażało niebezpieczeństwo, iż mogą być otoczeni lodami, przeto roztropność nakazywała im skierować ku północy. Dnia 8 Lutego, podczas gęstej mgły, dostrzeżono, że *Awantura* nie dążyła już w równi z drugim okrętem. Wypadek ten już pierwój przewidziano, naznaczono więc sobie za miejsce zebrania cieśninę Królowej Karoliny, w Nowej-Zelandyi: Kook ruszył tam natychmiast. Pod 62° szerokości południowej, 17 tegoż miesiąca, pomiędzy północą a trzecią z rana, postrzeżono na niebie podobną jasność, jaka się zjawia na półkuli północnej, a którą nazywają zorzą północną. Kapitan Kook nigdy nie słyszał, aby kto przed nim postrzegł zorzę południową; w ciągu tej podróży, zjawisko to powtarzało się kilkakrotnie. Podczas swój żeglugi ku wschodowi, pod tak posuniętą szerokością, stwierdził stanowczo, przy pomocy dowodów więcej niż dostatecznych, że żaden ląd nie istnieje na południu, chyba że jest położony nadzwyczajnie daleko. Nakoniec, przepędziwszy 117 dni na morzu, i przebiegłszy 1830 mil nie postrzegając ani razu ziemi, ujrzał 25 Marca brzegi Nowej-Zelandyi, a dnia następnego zarzucił kotwicę w zatoce *Pomurój* (*Dusky-Bay*). Pomimo tak dalekiej podróży i przeszkód doznanych, troskliwość o zdrowie majtków, czystość najstaranniej zachowana, usunięcie wszelkiej wilgoci, przez umiejętne urządzenie otworów do przewietrzania, stosowne używanie lekarstw przeciw skorbutowi, wszystko to ocaliło okręt i jego osadę od wszelkich szkód. Przej-

rzawszy *zatoke Pónura*, udał się do cieśniny Królowej Karoliny, gdzie kapitan Furneaux przed nim już przybył.

Awantura rozłączona z *Postanowieniem* płynęła dalej ku północy, około brzegów Van-Diemen, w kierunku południowym i wschodnim. Kapitan Furneaux twierdzi «że według jego zdania, nie ma cieśniny pomiędzy tym lądem a Nową-Hollandyą, lecz tylko niezmiernie głęboka zatoka.» Kook zamierzał to sprawdzić, lecz uważając zdanie swego kolegi za dostatecznie ugruntowane, postanowił czynić dalsze poszukiwania ku wschodowi, pomiędzy 41° a 46° szerokości. Jednak nim opuścił cieśninę Królowej Karoliny, związał z krajowcami przyjazne stosunki, dla obu stron korzystne. Zostawił im kilka gatunków pożytecznych zwierząt; wysadził na ląd owce i barana, kozę i kozła. Urządził także ogród, w którym zasiał rozmaite jarzyny, które sądził, że się udadzą w tym klimacie.

Chociaż nastąpiła zima, jednak Kook postanowił nie tracić czasu w zupełnej bezczynności. Okręta jego w dobrym były stanie, osady zupełnie zdrowe; osądził więc, że może z wszelkim bezpieczeństwem przejrzeć ocean Południowy, aż do 46° długości, potem zaopatrzwszy się na której z wysp leżących pomiędzy zwrotnikami, wrócić latem, dla czynienia dalszych poszukiwań pod wyższemi stopniami szerokości. Podróż jego z Nowej-Zelandyi ku wschodowi nieprzyniosła żadnego zajmującego odkrycia, i nie była urozmaiconą żadnemi wypadkami zwyczajnemi w czasie żeglugi. Osądził wedle natury prądów dążących z południa, że żaden stały ląd nieco obszarniejszy, nie może się znajdować blisko niego w tym kierunku. Dostawszy się na północ drogi której się trzymał Karteret, nie mógł się dłużej ludzi nadzieją znalezienia podobnej ziemi; a ta okoliczność, równie jak choroby którym uległa osada *Awantury*, skłoniły go iż skierował ku wyspom Towarzystwiskim. W tej podróży, widział wielkie

rzących *Niebezpieczny archipelag Bougainwilla*.

Okręta o mało niezginęły wpadłszy na koralowe raffy, otaczające Otahitę; ocalone jedynie zostały rozporządzeniami wodza i niezmordowanemi usiłowaniami ludzi okrętowych. Dnia 24 Sierpnia, zarzucono kotwicę w dawnym stanowisku, w zatoce Matawai. Majtkowie *Postanowienia* byli w tej chwili zdrowi; lecz za to na *Awanturze* niezmiernie cierpieli na skorbut, chociaż oba okręta jednakowym systematem ostrożności lekarskiej się rządziły; lecz ażeby rozkazy skutkowały, potrzeba wielkiej gorliwości ze strony officerów, gdyż przykład ich jest potrzebnym do zachęcenia żeglarzy, iżby poświęcili swoje stare nawyknięcia dla zachowania własnego zdrowia.

W czasie zwiedzenia Otahity, żeglarze zapoznali się bliżej z krajowcami, i mogli lepiej osądzić ich charakter i zwyczaj. Powzięli nader wzięte wyobrażenia ich zasad religijnych; to jednak pewna że poświęcali ludzi na ołtarzach swych bożyszcz. Towarzysze Kooka obecni także byli tak zwany *Heawas*, czyli przedstawieniem dramatycznym w owym kraju, i uznali że w nich nie zbywa ani na sztuce ani delikatności. Dramat, zwykle improwizowany, opierał się na jakowych nowych wypadkach, w których nasi żeglarze zwykle pierwszą odgrywali rolę. Otoo, który panował wówczas w Otahicie, młodzieniec twarzy powabnej, lecz charakteru nadzwyczaj nieśmiałego, zawarł z kapitanem Kook bardzo ścisłą przyjaźń. Oberea osoba tak znakomita, w ówczas gdy ta wyspa pierwszy raz zwiedzona była przez kapitana Wallis, znajdowała się teraz w nader niskim stanie, pozbawiona wszelkiego znaczenia. Rzecz godna uwagi, że Otahitezykowie zaledwie się spytali o Tupią, który towarzyszył Kookowi w pierwszej jego podróży, i o Aootoorooa, którego Bougainwill zabrał z sobą do Europy; lecz jeśli tak mało dbali o los swoich rodaków, za to, z najwzkieśm zajęciem dopytywali się o wszystko, co się tyczyło pana Banks. Odplynąwszy

z Otahity, Kook zwiedził inne wyspy ją otaczające i znalazł tam najobfitsze zapasy. Ore, naczelnik Huacheiny, okazywał mu najgłębsze uszanowanie. Omai, rodem z Ulietea, pragnął towarzyszyć Anglikom, i przyjęty został przez kapitana Furneaux na *Awanturę*. Nie należał on do najwyższej kasty, a zatem nie można było mieć w jego osobie i ubiorze dostatecznego wyobrażenia o mieszkańcach owych wysp; lecz przez swą uległość i przyzwoite postępowanie usprawiedliwił wybór kapitana Furneaux. Młodzieniec z Borabora, nazwiskiem Hete-Hete, przewany przez kapitana Kook Oedide, otrzymał pozwolenie zabrania się na statek *Postanowienie*.

Opuściwszy wyspy Towarzyskie, Kook skierował ku zachodowi, gdzie podług opowiadania krajowców, miał wiele do przejrzenia. Na wyspie przez Roggeweina nazwanéj Middleburg, dobrze został przyjęty przez naczelnika zwanego Tioony. Również przyjaznego doznał przyjęcia na wyspie Amsterdam. Mowa mieszkańców tych wysp, mało się różni od mowy Otahitezyków; jedni i drudzy widocznie pochodzą z jednego plemienia. Niektórzy z żeglarzy europejskich, znajdowali tych ostatnich daleko piękniejszemi; lecz inni, a pomiędzy temi sam nawet Kook, zupełnie przeciwnego są zdania. Mężczyźni odznaczali się ułożeniem poważném i dumném; kobiety przeciwnie, obdarzone wielką żywością, szczebiotały bezustannie z cudzoziemcami, nie bacząc na to że ich nierozumieją. W ogólności ostatnie te ludy różniły się nadzwyczajnie od krajowców wysp Towarzyskich, niezwykłą zręcznością. Wyspa Amsterdam, bardziej niż którakolwiek inna, wzbudziła podziwienie kapitana Kook i jego towarzyszków. Piękność krajobrazów, i zamożność uprawy roli, zdawały im się być godnemi najurodzajniejszych płaszczyzn Europy: ani jeden cal gruntu nie był stracony; drogi, ścieżki nawet zajmowały tylko przestwór nieodzownie potrzebny, płoty nawet nie miały nigdy więcej nad cztery stopy grubo-

ści, i to jeszcze grunt na którym były wytknięte niezupełnie był bezużyteczny, gdyż były utworzone z drzew lub roślin pożytecznych. Na wszystkich punktach obraz był tenże sam, a natura przy pomocy nieco sztuki, nigdzie nie była zdobną tak zamożnym widokiem.

Kook, po owych odwiedzinach, skierował znowu ku Nowéj-Zelandyi; lecz zbliżając się do niej, okręta musiały walczyć z uraganami i burzami, które rozciąły znowu i tym razem na zawsze; *Awanturę* i *Postanowienie*. Dnia 3 Listopada, ten ostatni statek zarzucił kotwicę w cieśninie Królowéj Karoliny. Postanowiono przeczimować dla zaopatrzenia okrętów, pólpszenia zdrowia osad, powzięcia dokładniejszych wiadomości o wyspach pomiędzy zwrotnikowych. Z nadejściem pory letniej, Kook zamierzył odplłynąć z Nowéj-Zelandyi, gdzie można było obficie zaopatrzyć się w drzewo i wodę, dla zaopatrzenia z zachodu na wschód, stron leżących pod dalekimi stópniami szerokości południowéj, mógł być pewny, że w tym kierunku, wiatry i prądy będą mu przyjazne. Gdy okręt *Postanowienie* stał na kotwicy w cieśninie Królowéj Karoliny, żeglarze nabyli niezbyt dowód, iż krajowcy są ludożercami: jednemu z nich, który wiozł na swoim czólnie kilka kawałów ciała ludzkiego, pozwolono upiec i zjeść takowe na okręcie *Postanowienie*, dla pokonania niedowierzania niektórych z officerów. Oedide, świadek tego widoku, nadzwyczajną zgrozą był przejęty: stanął naprzód nieruchomy jak posąg, później z gniewem wybuchnął nie tylko przeciw Nowo-Zelandczykowi, lecz także i przeciw officerom którzy go do tego zachęcili. Żadnym sposobem nie można go było nakłonić aby się dotknął noża, którym ludożerca odbywał swą ucztę. Dnia 26 Listopada, Kook wyruszył pod żagle, dla dalszego przepatrzenia mórz biegunowych. Po kilku dniach dostał się do antypodów Londynu, leżących na punkcie kuli ziemskiej najodleglejszym od ich kraju. Pierwszą wyspę lodową postrzeżono

12 Grudnia, a 30 tegoż samego miesiąca, nasi żeglarze dotarli do 31^o szerokości południowej. Lecz w tém miejscu, łód tak był ścisły, iż niepodobnięstwem było posunąć się dalej; pozostało rzeczą dowiedzoną, że jeśli istnieje stały ląd w tym kierunku, to zupełnie jest niedostępnym. Kook zamierzył przezimować jeszcze pomiędzy zwrotnikami; jednak powracając tam, chciał zaspokoić swoją ciekawość co do ziemi południowej, którą jak twierdzono, odkrył Żuan Fernandez. Droga, której się trzymał, dopłynął tak blisko do położenia jeograficznego naznaczonego temu statemu lądowi, że się przekonał, iż to jest tylko wyspa średniej wielkości. Potem zaczął szukać ziemi Dawisa, czyli wyspy Wielkonocnej, którą Byron, Karteret i Bouganwill, napróżno usiłowali wynaleźć. Kook jednak był szczęśliwszym i wylądował na tę wyspę 11 Marca 1774. Krajowcy mówili językiem zupełnie podobnym do dialektu Otahitezyków, który wszędzie jest używany na oceanie Spokojnym, począwszy od Nowej-Zelandyi aż do wysp samotnych na wschodzie. Wyspa Wielkonocna była nieplodną, pozbawioną wody i zupełnie ogolowaną z lasów. Lecz uwagę Anglików szczególniej zwróciły wielkie posagi, już przez Roggeweina tamże widziane. Nie mogli sobie wytłómaczyć, jakim sposobem, bez narzędzi, prócz odłamków kości i skorup żółwiowych, wypiarze mogli wykuć podobne posagi i wnieść je na ogromnych podstawach; w wschodniej stronie wyspy, znajdowały się one w tak znacznej liczbie, że można było wnosić, iż musiała nad niemi pracować przez wiele wieków, cała ludność męzka. Snycerska sztuka tych dzikich, wydaje się jeszcze lepiej w ozdobach ich czółen, i w małych posążkach drewnianych, których kilka przywieziono do Anglii.

Z wyspy Wielkonocnej, Kook skierował ku Markizom, odkrytym roku 1595 przez Mendaną; 6 Kwietnia, postrzegł wyspę należącą do tej grupy; ta jednakże pierwszy raz dopiero była odkrytą i nazwaną została na cześć officera, który ją pierwszy ujrzał, *wyspą Hoodsa*.

Później odkryto z kolei inne wyspy widziane od Mendany, jako to: *Santo-Pedro, Dominikà i Santa-Christiana*. Przybywszy do tej ostatniej, zarzucono kotwicę z wielką trudnością w porcie Mendana. Magdalena, piąta wyspa tej grupy, z daleka tylko postrzeżoną została. Kapitan Kook uważa w ogóle, że krajowcy, są najpiękniejszym pokoleniem morza Południowego; kształtnością kibici i regularnością rysów, przewyższają może wszystkie inne ludy. Jednak podobieństwo ich mowy z djaiektem jakim mówią na wyspach Towarzyskich i na Otahicie, dowodzi wspólność ich rodu. Ich sztuki i obyczaje, podobne były do tych, które uważano na Otahicie, lecz wykrywały mniejszy stopień biegłości. Jakies niby twierdze dawały się postrzegać na szczytach najwyższych pagórków; jednakże Anglicy zbyt mało zuali krajowe zwyczaje, aby mogli odważyć się one zwiedzić.

Znalazłszy Markizy Mendany, Kook wrócił do Otahity; a napotkawszy pod drodze grupę wysp, którym nadał nazwę wysp *Pallisera*, i kilka innych, już widzianych przez Byrona; zarzucił kotwicę 22 Kwietnia w zatoce Matawai. Lubo obecnie nie miał chorych na okręcie; lecz że wyspa nadzwyczajnie w żywność obfitowała, żeglarz nasz przeto przedłużył na niej swój pobyt. Postrzegł że mieszkańcy Otahity bardzo się ubiegali za piórami papug czerwonych, których znaczny zapas zebrał na wyspach Amsterdam i Middleburg.

Pomiędzy innemi zabawami, których nieszczędzono dla naszych podróżnych w Otahicie, przedstawiono im widowisko wielkiej potyczki morskiej. Marynarka wojenna składała się ze 160 wielkich czółen, długich od 50 do 80 stóp. Ozdobione one były sztandarami i chorągiewkami, a dowódcy i wszyscy męcznicy, siedzący na ławach bojowych, ubrani byli w swych ubiorach wojennych. Ogół tej floty miał pozór wielkości, której nasi podróżni nigdy niespodziewali się znaleźć w owej części świata. Prócz statków wojennych, było jeszcze 170 małych czółen podwojnych, przeznaczonych jak się zdaje do prze-

wozu żywności. Według zdania Kapita-
na Kook, znajdować się mogło na owej
flocie 7063 ludzi; Anglicy nadwyczaj-
nie się zdziwili, ujrzawszy tłumy kra-
jowców zebranych na brzegu, dla przy-
patrzenia się obrotom, a bardziej jesz-
cze gdy się dowiedzieli, że mają przed
oczyma morskie siły tylko jednego ze
dwudziestu obwodów, na które dzieli
się wyspa. Ztąd to powstało owo prze-
sądzone obrachowanie ludności Otahic-
kiej, która według ich zdania najmniej
wynosiła 200,000 dusz; mylili się jednak
w stosunku blisko jak 10 do 1.

Z Otahity nasi podróżni popłynęli dla
zwiedzenia *wysp Towarzyskich*, zaczy-
nając od Huaheiny. Kook był tam przy-
jęty uprzejmie przez starego naczelnika
Oréé. Starannie on przechowywał jesz-
cze medale, pieniądze i cyñowy pół-
misek, który otrzymał od Kooka w cza-
sie pierwszych odwiedzin. Oedide przez
siedem miesięcy nie opuścił Anglików,
opłynął z nimi ocean Spokojny; wysa-
dzony na ląd w Ulietea, rozstał się z nie-
mi z oznakami najżywszego żalu. — Był
to piękny młodzieniec, postuszny, lito-
ściwy.

Kook skierował znowu ku zachodo-
wi, i raz jeszcze zwiedził *wyspy Przy-
jacielskie*. Nadał to miano gruppie,
rozciągającej się na trzy stopnie szer-
okości a dwa długości; zawierała ona
w sobie *Anamookę*, którą Tasman, po
raz pierwszy odkrywca, nazwał Roter-
dam, *Tonga-Taboo* czyli Amsterdam,
Eaooee czyli Middleburg, i wyspy *Pyls-
tart*. Zresztą nadaną nazwę wspomnio-
nym wyspom, z powodu harmonii panu-
jącej pomiędzy krajowcami, jak i dla
uprzejmości, którą ciż okazywali cudzo-
ziemcom, możnaby może jeszcze bar-
dziej rozciągnąć tak, iżby objęła wy-
spy *Boskawen* i *Keppel*, odkryte przez
Kapitana Wallis, i zamieszkałe przez
lud dość łagodnych obyczajów.

Trzymając się dalej drogi na zachód,
żeglarze nasi odkryli, 16 Lipca ziemię,
która odgadli że była *Terra Australis*
del. Espirito-Santo Quriósa.

Po kilkunowem przepatrzeniu brze-
gów; Kook zarzucił kotwicę w porcie

wyspy *Malikolo*. Mieszkańcy byli poko-
leniem najbrzydszém i najniekształtniej-
szém, które żeglarze nasi dotąd napo-
tkali i różnili się we wszystkiém od
innych wyspiarzy morza Południowe-
go. Mieli skórę czarną, ciało zgurbione
głowę długą, twarz płaską i fizioonomię
zupełnie małpią. Mowa ich także się
różniła od mowy innych wyspiarzy zna-
nych Anglikom. Gdy nasi żeglarze wy-
ruszyli z *Mallikolo*, dążąc ku południo-
wi, przebyli grupę, której Kook nadał
nazwę *wysp Pasterza*. Jeszcze bardziej
ku południowi, odkryto wielką wyspę,
ta poprzerynana trawnikami i lasami
w całej swojej powierzchni, przedsta-
wiała najroskoszniejszy widok. Kapi-
tan nazwał ją *wyspą Sandwich*, dla u-
świetnienia pamięci hrabiego Sandwich,
swego protektora i przyjaciela. Jeszcze
dalej ku południowi, ujrzał inną wiel-
ką wyspę, znaną od krajowców *Erro-
mango*, okrążał ją przez trzy dni, na-
reszcie zarzucił kotwicę dla zaopatrze-
nia się w drzewo i wodę. Jednak nie
mógł tego dokonać bez gwałtownej kłó-
tni z krajowcami, zarazem zdrajcami i
okrutnemi. Uważano iż się różnili od
mieszkańców *Mallikolo* fizycznym ukła-
dem i mową; byli kształtni, mieli rysy
dosyć regularne; lecz płęć sńiadą i wło-
sy kędzierzawe. Z owego miejsca, Koo-
k popłynął ku wyspie, którą mu nieco
pierwój wskazano. Krajowcy zwali ją
Tanna, wymienili także kapitanowi na-
zwy trzech wysp sąsiednich *Immer*, *Er-
ronan* i *Anaton*. Mówiono dwoma je-
zykami w *Tanna*, jeden z nich, który
jak twierdzono pochodził z *Erronan*,
był z małą różnicą tym samym, którego
używano na wyspach *Przyjacielskich*;
drugi, który nasi żeglarze uważali za
właściwy dialekt *Tanny*, *Erromangu* i
Anatonu, zupełnie się różnił od wszy-
stkich, które dotąd słyszeli. Mieszkań-
cy *Tanny* byli kształtni, lecz nie bar-
dzo silni. Mieli ładne rysy i przyjemny
wyraz twarzy. Chociaż czynni i namie-
tnie lubiący ćwiczenia wojenne, niezda-
tnemi jednak byli do ciągłej pracy. Zda-
je się, iż wykonywali obrządek obrze-
zania i że się karmili ciałem ludzkim,
lubo niepotrzebowali tego, gdyż ich

wyspa obfitowała w wieprze, drób i owoce wszelkiego gatunku.

Kapitan Kook strawił przeszło miesiąc na zwiedzaniu archipelagu, od dawniejszych żeglarzy bardzo mało znanego. Wyspy północne były odkryte 1606, przez Quirosa, który one począł za cząstki wielkiego stałego lądu południowego; Bougainwill 1768, odrzucił tę myśl, lecz nie przejrzał z bliska wysp, około których żeglował; pierwszy dopiero Kook, oznaczywszy rozległość i położenie wysp już znanych, przepatrzył całą ich grupę, i objął pod zbiorową nazwą *Nowych-Hebryd*, którą im nadał.

Nadeszła pora, w której miał na nowo rozpocząć swoje poszukiwania na południu; z pośpiechem więc powrócił do Nowej-Zelandyi, gdzie spodziewał się wzmocnić swoich ludzi i przygotować do długiej żeglugi. Dnia 1 Września, wypłynął z Nowych-Hebryd, a 4 odkrył ziemię, przy której okręt *Postanowienie* zarzucił nazajutrz kotwicę. Mieszkańcy byli piękni, silni i zwinni; podobni z wielu względów do ludu Tanny i mieszkańców wysp Przyjacielskich; taż sama mieszanina znajdowała się w ich mowie; nigdy nie widzieli Europejczyków, lecz ich obejście było ciągle uprzejme i towarzyskie; rzecz godna uwagi, że oni jedni ze wszystkich mieszkańców wysp morza Południowego, okazali się najpoczoizwsemi w ścisłym dotrzymaniu wszystkich swoich umów. Kook nazwał tę wyspę *Nową-Kaledonią*, i lubo nie zupełnie ją przejrzał, jednak twierdzi, że ona, wyjąwszy Nową-Zelandyą, jest największą w południowej stronie oceanu Spokojnego. Po odpłynieniu z Nowej-Kaledonii, odkryto wyspę dosyć wzniosłą i mającą blisko półtrzeci mili obwodu. Była pusta i wędług wszelkiego podobieństwa, żeglarze angielscy pierwsi do niej zawinęli. Roślinne jej płody były podobne do Nowo-Zelandzkich; ziele lniane (*phormium tenax*) owego ostatniego kraju, szczególnie pięknie tu się krzewiło; lecz głównym płodem tej wyspy był pewien gatunek sosny, tak grubych, że dwóch ludzi zaledwie mogło pień ich

objąć. Mały ów zakątek ziemi nazwany został *wyspą Norfolk*. Piękne lasy i płodność jej gruntu, zwały tam w kilka lat później, małą gromadkę osadników angielskich; lecz się wkrótce oddalili, gdyż jej brzegi były prawie niedostępne.

Dnia 18 Października, zarzucono kotwicę w cieśninie Królowej Karoliny. Trzeci to raz w ciągu tej podróży, przybijano do Nowej Zelandyi. Gdy szukano butelki, którą Kook tam zostawił, podczas ostatnich swoich odwiedzin, z opisem całej wyprawy, przekonano się że ją ktoś porwał; inne ślady także wskazały, że okręt *Awantura* przypłynął do tego portu, już po oddaleniu się Kooka. Podczas ostatniego tam pobytu, jego stosunki z krajowcami coraz były poufalsze; ciągle usiłował rozmnożyć zwierzęta użyteczne, i w tym celu kazał zostawić na lądzie kiernoza i maciorę.

Dnia 10 Listopada, opuścił Nową-Zelandyę, i udał się dalej ku wschodowi. Przy końcu tego miesiąca, osiągnął już 55° 48' szerokości południowej, lecz osądziwszy, za rzecz niepotrzebną dłuższe szukanie stałego lądu w tym kierunku, puścił się do przylądka Horn, i 17 Grudnia postrzegł *Ziemię-Ognistą*. Jestto pierwszy przykład przeprawy odbytej przez całe morze Południowe; tylko pozostało teraz naszym żeglarzom przebyć ocean Atlantycki południowy, i wrócić tym sposobem do punktu, z którego rozpoczęli swe poszukiwania. Kook ukończywszy przegląd *Ziemi-Ognistej* i *Staaten-Land*, z kierował ku wschodowi, i po dziesięcio-dniowej podróży, ujrzał nieopodal ziemię, prawie całkiem pod śniegiem zagrzebaną. Zbliżając się do brzegu, postrzeżono iż takowy w wielu miejscach kończył się lodowemi prostopadłemi skałami, znacznie wysokimi. Wielkie odłamy, odrywały się co chwila, z łukiem podobnym do armatniego wystrzału, i nikły uniesione falami morskimi. Ogólny widok kraju był dziki i opustoszały. Skały wznosiły dumne swe szczyty aż pod same obłoki, a u stóp ich rozciągały się doliny wiecznym śniegiem okryte, mićjsce

to nazwano *Nowo-Georgija*. Pod 59^o szerokości i blisko 8^o na wschód od tej ostatniej, postrzeżono ziemię, której śnieżne brzegi nikły w obfokach. Kook ów ląd zimny nazwał *Tulą Południową*, gdyż był ze wszystkich dotąd odkrytych, najwięcej na południe posunięty; oddalając się jednak od tych brzegów, nadał całemu krajowi ogólne miano *Ziemi Sandwich*, w mniemaniu, że to była grupa wysp, lub kończyła stałego południowego lądu. Zresztą, niezmiernie lody które napotkał, kazały mu wierzyć w istnienie obszernego przestworu ziemi, graniczącego z biegunem południowym. Płynął potem ku miejscom, które Bouvet oznaczył w swoich mniemianych odkryciach, lecz nienapotkał żadnego wskazania ziemi, teraz niepodobna nawet było przypuszczać, że istnieje *przylądek Obrzeżania*.

Kook okrążył tym sposobem ocean Południowy w całej jego rozciągłości, dla przekonania się że nie istnieje żaden stały ląd południowy, chyba że takowy musi się znajdować blisko biegunu, i jest zupełnie niedostępnym dla żeglugi. Okrążywszy tak świat do koła, od czasu jak opuścił przylądek Dobrzej-Nadziei, aż do chwili kiedy do niego powrócił, przepłynął więcej niż 10,000 mil morzem. Dnia 13 Lipca 1775, wysiadł w Portsmouth po 3 latach i 18 dniach niebytności w Anglii.

Nadmieniliśmy wyżej, że Kook płyną powtórnie ku Nowej-Zelandyi rozłączony z okrętem *Awantura*, już go nie ujrzał. Kapitan Furneaux dowódca onego, z powodu przeciwnych wiatrów nie mógł wpłynąć do cieśniny Królowej Karoliny, schadzki umówionej dla obu okrętów, w razie gdyby zostały rozdzielone. Później nie znalazłszy tam Kooka, Furneaux i jego towarzysze, zaczęli się obawiać aby ten z swoim okrętem nie zaginął, lecz wysiadłszy na ląd, postrzegli na odziumku starego drzewa, wyrazi nożem wyrze: „Spójrzj pod spód.” Zaczęli więc kopać ziemię, i znaleźli wkrótce butelkę zakorkowaną i opieczętowaną, zawierającą w sobie list kapitana Kooka, uwiadamiający o jego tam przyby-

ciu 3 Listopada, i odpłynieniu 24 tegoż miesiąca. Gdy Furneaux ukończył przygotowania do podróży, wysłał pana Bowe, jednego z swoich midshipmanów, w kutrze wraz z 9 ludźmi, dla wyszukania ziół dzikich do użytku żeglarzy. Ponieważ ów statek nie powrócił ani tego wieczora, ani nazajutrz rano, a okręt bliskim był odpłynięcia, pan Burney, drugi porucznik, wypłynął z 10 żeglarzami w drugiej szalupie na szukanie go; strzelano z ręcznej broni we wszystkich zatokach, dla dania znaku, lecz nie znaleziono żadnego śladu, dopiero gdy się zbliżono do *zatoki Trawnikowey*, postrzeżono mnogość koszów zamkniętych i zostawionych na piaszczystym brzegu; otworzywszy one, znaleziono niektóre napełnione ciałem ludzkim pieczoném, w innych zaś były zielska których krajowcy zamiast chleba używają. W dalszém szukaniu odkryto kilka trzewików i rękę, którą natychmiast uznano za rękę Tomasza Hill, jednego z majtków, nakłótą piérwzemi literami jego nazwiska, narzędziem używaném przez Otahiteczków. Krajowcy w znacznej liczbie zgromadzeni, krzyczeli zachęcając Anglików aby się zbliżyli, lecz widocznie nie bardzo w przyjacielskich chęciach. Porucznik Burney z ostrożności nie zapuścił się zbyt blisko ku nim, lecz dość długo dopytywał się dla powzięcia wiadomości o losie swoich nieszczęśliwych towarzyszy. »Na brzegu, mówi on: były dwa pęki seilerów, złamane wiosło tkwiło w ziemi krajowcy przywiązali do niego swe czółna, co dowodzi, że napad nastąpił w tém miejscu. Szukałem wzdłuż wybrzeża, czy się kutter jeszcze nieznajduje. Niepostrzeżliśmy go, lecz na jego miejscu, ujrzelśmy widok rzezi i srogości, o których niepodobna wspomnieć bez zgrozy: głowy, wnętrzości i płuca naszych towarzyszy, leżały rozrzucone na piasku, i tuż blisko, psy pożerały takowe.” Ofiarami tego okrucieństwa krajowców, padli najzdrowsi i najlepsi majtkowie.

Okręt *Awantura* zatrzymał się jeszcze w tej cieśninie przez cztery dni po tym smutnym wypadku; przez cały ten

czas, niepostrzeżono dzikich. Dnia 23 Grudnia, ruszył znowu na morze, a w miesiąc i dni kilka, zawinął do przylądka Horn; szybkiej téj żegludze dopomógł mocny wiatr zachodni, i wiatry przez całe lato ciągle wiejące od wschodu na

Wielkim oceanie. Kapitan Furneaux przybył do Przylądka Dobrzej-Nadziei, tam naprawiwszy okręt i zasiliwszy swych ludzi, puścił się do Anglii, i zarzucił kotwicę w Spithead, 14 Lipca 1774 r.



ROZDZIAŁ XXIX.

TRZECIA PODRÓŻ KOOKA.

Podróż Surwilla. — Odkrywa ziemię Arzacydów. — Zwiedza Nową Zelandyę. — Odkrycia porucznika Shortland. — Podróż Mariona Dufresne. — Przybywa do Nowej-Zelandyi. — Jego zgon oplakany. — Kerguelen odkrywa ziemię na południu oceanu Atlantyckiego. — Jego przyjęcie u dworu. — Wyrusza powtórnie pod żagle. — Popada w niełaskę. — Honory czynione Kookowi za jego powrotem. — Nowe nadzieje znalezienia przejścia północo-zachodniego. — Wyprawa Phippsa do bieguna północnego. — Kook po trzeci raz przeznaczony na dowódcę wyprawy. — Instrukcje jakie odbiera. — Żal Omaja, przy opuszczeniu Anglii. — Ziemia Utrapienia. — Ziemia Van-Diemen. — Pomylki kapitana Furneaux. — Zapasy żywności zostawione w cieśninie Królowej Karoliny. — Odkrycie Manget. — Wateco. — Przesada Omaja. — Wyspiarze ulegają rozbiciu. — Zwiedzenie wysp Przyjacielskich. — Wspaniałomyślność Króla. — Rozległość jego państwa. — Szczegóły dotyczące wypraw sąsiednich. — Konie wprowadzone do wyspy Otahity. — Podziwienie krajowców. — Omai osiada w Huaheinie.

Roku 1769, dokonał kilka ważnych odkryć na morzu Południowym, awanturnik francuzki, którego tam sprawdziły interessa handlowe. Dwa okręta wysłane z Bengalii przez panów Law i Chevalier, w celu handlowania z Peruwianami, oddane zostały pod rozkazy pana de Surwill. W chwili gdy wsiadał na okręt, rozgłoszono w Indyach wiadomość, że Anglicy odkryli na morzu Południowym, o siedemset mil od Peru, pod 27° szerokości południowej, wyspę niezmiernie bogatą, zamieszkałą przez żydów. Dziwaczna ta wieść, lecz pochwlebiająca chciwemu instynktowi ludzi, wzbudziła w krótkim czasie największe zajęcie; ci nawet, którzy niedowierzali okoliczności dotyczącej się żydów, na ślepo jednak uwierzyli, że kraj nowo odkryty, nadzwyczajnie był zamożny. Surwill przybiwszy do wysp *Basche*, zabrał trzech krajowców dla uzupełnienia swój okrętowej osady; dawszy przykład owęj niepochamowanej gwałtowności, przez którą powszechnie zniewalano na-

rody słabe i nieucywilizowane, do uważania Europejczyków za swych wrodzonych nieprzyjaciół. Na południo-wschodzie Nowej-Gwinei odkrył ziemię, i tę nazwał *krajem Arzacydów*; należała ona do owego długiego łańcucha wysp, już odkrytych przez Bougainwilla, który części przejrzaney przez siebie, nadał nazwę Luzyady. Surwill, w stosunkach swoich z krajowcami, znalazł ich zdraździeckimi, nietowarzystkiemi i okrutnymi, a chcąc ich godnie jednem oznaczyć wyrazem, nazwał *Arzacydami*, gdyż tę nazwę osądził za odpowiednią wyrazowi zabójca. Zwiedził następnie Nową-Zelandyę, i zarzucił kotwicę w zatoce, nazwanej przez siebie *Lauriston*. Kook który téjże nadał miano *Podwójnej zatoki*, w tymże czasie zajmował się zdej-mowaniem planu tychże samych wybrzeży; jednak ci oba żeglarze nie napotkali się, i nawet nie wiedzieli o sobie. Dowódca francuzki, utracił szalupę, stojąc na kotwicy w owych stronach, wsiadł na ląd z oddziałem żołnierzy, dla

ukarania krajowców, których posadzał o jej uprowadzenie. W krótkim przeciągu czasu spalił kilka wiosek, i pojmał w niewolę jednego z naczelników krajowych. Krzywdę tę, wyrządzoną przez pierwszych Europejczyków, których dotąd widzieli, później srodze odwetowali mieszkańcy Nowej-Zelandyi. Pojmany naczelnik, umarł w Żuan-Fernandez, a Surwill utopił się przy wylądowaniu w Walparaiso. Kraj Arzacydów, którego brzegi północno-wschodnie opłynął, znów został odkryty r. 1789, przez porucznika marynarki angielskiej Shortland, w czasie jego żeglugi z portu Jackson do Indyi wschodnich. Officer ten trzymał się brzegów południowych, które nazwał *Nową-Georgią*, i przepłynął cieśninę Bougainwilla, nadawszy swą własną nazwę temu przejściu, gdyż zapewne nie wiedział o odkryciach, pierwej już dokonanych przez żeglarzy francuzkich. Tak przejrzący kolejno łańcuch wielkich wysp, a szczegółowo przez Bougainwilla, Surwilla i Shortlanda, łańcuch ciągnący się z północo-zachodu ku południo-wschodowi, pomiędzy Nową-Gwinieją a Nowemi-Hebrydami, jest bez żadnej wątpliwości wyspami *Salomona*, pierwszych żeglarzy hiszpańskich. Wyspa Egmont, odkryta przez Kartereta, który szukając wysp Salomona, zbliżył się do nich, niewiedząc nawet o tém, może być uważaną za należącą do tego archipelagu. Już wspomnieliśmy, że Bougainwill przywiózł do swego kraju dzikiego z Otahity, nazwiskiem Aootooroo. Gdy odgłos odkryć Kooka zaczynał wzbudzać w Europie powszechne zajęcie, kapitan Marion Dufresne, pragnąc współubiegać się z żeglarzem angielskim, ofiarował się odwieść własnym kosztem Otahitczyka, z *wyspy Francuzkiej* do jego rodzinnego kraju. Przyjęto tę ofiarę, i Kerguelen, dość sławiony żeglarz, otrzymał zarazem zlecenie, odwiezienia na powrót Aootooroo do wyspy Francuzkiej, a potem starannejszego niż dotąd przejrzenia, południowej części oceanu Atlantyckiego. Otahitczyk umarł w Madagaskar; lecz Marion nie zaniechał dla tego swoich zamiarów, i owszem z żarliwością onemi

się zajmował, w nadziei dokonania jakowych ważnych odkryć. Przybył bez przypadku do Nowej-Zelandyi, i zarzucił kotwicę w *zatoce wysp*, na pozór ludzie jego żyli tam w największej zgodzie i przyjaźni z krajowcami; lecz czémciś obrazili owych kapryśnych dzikich. Marion poległ z szesnastu officerami i majtkami, którzy z nim na ląd wysiedli. Drugi oddział, składający się z jedenastu ludzi, zajmując się ścinaniem drzew w innej stronie, został także ukradkiem napadnięty i wymordowany, tak iż zaledwie jeden z nich tylko wrócił do okrętu, dla opowiedzenia okropnego losu swoich towarzyszy. Gdy Francuzi przybili do brzegu, chcąc zabrać zwłoki swego nieszczęśliwego dowódcy, krajowcy zaczęli na nich krzyzczyć z urąganiem z po za swoich okop: »Takowry, (tak się nazywał naczelnik owej krainy) zabił i zjadł Marioua.» Po tym smutnym wypadku, okręta wróciły do wyspy Francuzkiej, pod dowództwem pana Duclesmeur, zaniechawszy wszelkich dalszych odkryć.

Tymczasem Kerguelen wypłynął z wyspy Francuzkiej w Styczniu, 1772 i 12 Lutego, odkrył pod 50° 5' szerokości południowej, wyniosłą ziemię przy brzegach której pozostał przez dni sześć; w tym czasie rozłączył się z korwetą mu towarzyszącą. Nadał swą nazwę zimnym i niepłodnym wybrzeżom, które odkrył; i objął one uroczyscie w posiadłość, w imieniu swego monarchy; powróciwszy do Francyi, opisał te okolice w tak świetnych kolorach, że Ludwik XV, zamiony jego opowiadaniem, osobiście go ozdobił orderem Śgo Ludwika. Jednak nieprzyjaciele Kerguelena utrzymywali, że tylko widział lód z daleka i takowy poczytał za ziemię; wezwali go przeto, aby na dowód swego odkrycia, okazał jakie plody tych nowych krain; nadto utrzymywali, że naumyślnie pozbył się towarzysza, aby miał wolne pole do tworzenia kłamstw najdziwaczniejszych. Król podał mu jednak sposobność odparcia tych zarzutów, Kerguelen znów wyruszył na południe Atlantyku, i w Grudniu 1773, odkrył ziemię. Dnia 6

Stycznia, zdjął plan przeszło 40 mil wybrzeży; lecz był to kraj niepłodny, niegościnny i w ogóle niedostępny, nie takiego nie wydający, coby podobne odkrycie uczyniło szacownem dla narodu francuzkiego. Kerguelen za powrotem był oskarżony o występny obojętność dla swoich podwładnych i officerów; utrzymywano nawet; że nieraz narażał na oczywiste niebezpieczeństwa tych, których nie lubił. Nie mogąc się u-niewinnić, pozbawiony stopnia, wtrącony został do więzienia.

Nigdy jeszcze wyprawa wysłana w celu czynienia odkryć, nie wyrównała tej, z którą kapitan Kook powrócił, tak dla wielkości swego celu, jak i przeciwności przez nią pokonanych; żadna też nieodpowiedziała tak zupełnie spodziewanym nadziejom i niedokonała swego posłannictwa z tak małą szkodą. Powodzenie wyprawy Kooka, szczególnież pochlebnem było dla tych, którzy się przyczynili do tego przedsięwzięcia. Hrabia Sandwich był jeszcze naczelnikiem admiralicyi, i czuł, że należy się wspaniałe wynagrodzenie człowiekowi, który przez swoją odwagę i zręczność tak dobrze odpowiedział jego zaufaniu. Kook został natychmiast wyniesiony na stopień kapitana szpitala w Greenwich, przez który pozyskał prawo do znacznej placy i wypoczynku po tylu trudach. W Lutym 1776, został członkiem towarzystwa królewskiego; tegóż samego wieczora, czytano jego pamiętnik o sposobach jakich używał dla ocalenia zdrowia swych ludzi, w czasie swojej wyprawy na około świata. Czujność jego, którą tak korzystnie zwrócił na ową część swoich obowiązków, wynagrodzono wkrótce medalem Kopleja i roczną nagrodą, którą towarzystwo królewskie udzielało autorowi najlepszej rozprawy, napisanej w ciągu roku, Z mowy, którą miał z tego powodu John Pringle, prezes akademii, przytoczemy następujące ustępy:

» Jakież poszukiwania mogą być pożyteczniejsze nad te, których przedmiotem jest ocalenie życia ludzkiego? i gdzież znaleźlibyśmy szczęśliwsze, jak te o których wspominałem? nie są to pró-

żne fanfaronady zapaleńca, ni dowcipne i kłamliwe teorye czczonej nauki; lecz opowiadanie zwieźle i bez żadnej sztuki, niewątpliwe, środków za pomocą których kapitan Kook dokonał z powodzeniem trzech-letniej i osmnastodniowej podróży, na czele 118 ludzi, we wszystkich klimatach od 52° szerokości północnej, aż do 71° szerokości południowej, utraciwszy tylko jednego człowieka z choroby. Pytam się teraz każdego, obznajomionego z tabelą śmiertelności, jeśli w klimatach najzdrowszych, przy najlepszych wygodach, znalazł kiedy w równym przeciągu czasu, tak małą liczbę zmarłych? Jakże wielkimi powinny być nasza radość i podziwienie, gdy, przebiegłszy dzieje pierwszych długich żeglug, gdzie tylu ludzi pada ofiarami morskich chorób, dowiadujemy się, że powietrze morskie nie ma żadnej właściwej zarażliwości; i że nakoniec, podróż na około świata, może być dokonana z mniejszem niebezpieczeństwem dla zdrowia, niżeli prosta wycieczka po Europie! »

Wielkie pytanie, dotyczące istnienia stałego lądu południowego, zostało rozstrzygnięte skutkiem tej ostatniej podróży. Wprawdzie nie w tym względzie, iżby w sąsiedztwie bieguna południowego nie znajdowała się wielka masa nagromadzonych ziemi, lecz że poszukiwania Kooka, mieściły ląd południowy, jeśli tylko takowy istnieje pod stopniami tak wysoko posuniętymi, że nie zostawała już żadną z nadziei spowodowanych jego bogactwem i urojoną pięknoscą. Wielkie to zagadnie dzieliło jeszcze jeografów teoretycznych i zawiadło wszelkie usiłowania przedsiębrane do rozstrzygnięcia go. Szczególniejszym zawsze było interessem dla ludu angielskiego, dowiedzieć się, czy istnieje lub nie, przejście na północ-zachodzie. Pierwsze kroki i najwytrwalsze jego usiłowania w zawodzie odkryć, skierowane były ku zatokom Hudsonskiej i Baffińskiej, dla znalezienia komunikacyi z oceanem Spokojnym, któraby skróciła przeprawę do Chin i Japonii. Spory powstałe pomiędzy panem Dobbs i kapitanem Middle-

ton na nowo zwróciły publiczną uwagę ku temu przedmiotowi; rząd podzielając widoki pierwszego z nich, ogłosił nagrodę 20,000 funtów szterlingów dla tego, kto odkryje tak pożądane przejście.

Bład Wielkiej-Brytanii omamiony chwałą, jakiej mógł nabyć przez wyprawy przedsiębrane dla postępu nauk, postanowił skierować ku północno-zachodowi nowe swoje usiłowania; kapitan Phipps, (później lord Mulgrave), wysłany został ku biegunowi północnemu, dla sprawdzenia do jakiego punktu można było żeglować w tym kierunku. Walcząc uporczywie z nieprzeliczonemi trudnościami i niebezpieczeństwami, stawianemi mu od niezmiernych mass lodu, któremi był otoczony, zmuszony wrócić, dotarłszy aż do 80° 30' szerok., o 90 i $\frac{1}{2}$, od bieguna ziemskiego. Niewyrzeczono się jednak nadziei znalezienia przejścia pomiędzy obu oceanami i odbyły się narady, pomiędzy lordem Sandwich, sir Hugonem Palliser, i innemi doświadczonemi officerami, co do planu wyprawy, i wyboru człowieka zdolnego nią kierować. Kapitan Kook pozyskał, dla znakomitych swych zasług, zaszczytny spoczynek, i nikt nawet nie myślał narażać go po raz trzeci na niebezpieczeństwa odkryciowej podróży na około świata; lecz pewnego dnia, zaproszony na obiad do lorda Sandwich, dla objaśnienia swém doświadczeniem niektórych wątpliwości, tak się zapalił słysząc przedstawienie korzyści, jakie mogą wyniknąć z tej nowej wyprawy dla nauk i stosunku ludów, że sam się ofiarował, objąć jej naczelnictwo. Ofiara ta zgadzała się z tajemnymi życzeniami lorda Sandwich. Kapitan Kook tedy mianowany został dowódcą wyprawy, w Lutym 1776 roku. Ogłoszono akt parlamentu jeszcze w r. 1745 wydany, zapewniający nagrodę 20,000 funtów szterlingów, okrętom prywatnym które dokonają pomienionego odkrycia, z zastosowaniem go teraz zarazem i do okrętów rządowych. Dawne postanowienie ściągało się jedynie do okrętów, któreby znalazły przejście, przebywając cieśninę Hudsonską, obecnie tak je zmieniono, że mogło być zastosowane

do wszelkiego innego kierunku. Ostatni ten punkt, tém był ważniejszy, że instruceye dane Kookowi nakazywały mu przebieść morze Spokojne, i rozpocząć poszukiwania od północno-zachodnich wybrzeży Ameryki, pod 65° szerokości, nie tracąc czasu na przepatrywanie rzek i odnóg morskich, nim przybędzie do tego miejsca.

Oddano pod jego rozkazy okręta *Postanowienie* i *Odkrycie*, tym ostatnim dowodził kapitan Edward Klarke. Pannowie Bayley i Anderson, którzy już towarzyszyli Kookowi w ostatniej jego podróży, znowu się z nim zabrali na okręt, pierwszy jako astronom, drugi jako naturalista. Omay, doznający w czasie swego pobytu w Anglii, największych względów, obsypany darami, zabrał się także z powrotem do swego rodzinnego kraju.

12 Lipca 1776, Kook wyruszył pod żagle z cieśniny Plimuth. *W zatoce Stotu*, blisko przylądka *Dobrej-Nadziei*, połączył się z nim kapitan Klarke, którego odplynienie, opóźniły okoliczności. W tém miejscu oba okręta zabrały ładunek żywych krów, koni, baranów i kóz, dla pozostawienia takowych na wyspach morza Południowego. Dnia 30 Listopada, żeglarze nasi opuścili przylądek *Dobrej-Nadziei*, a 12 Grudnia, dwie małe wyspy postrzeżone zostały, Marion i Crozet już one pierwiej odkryli; lecz ponieważ im nazw nienadali Kook je nazwał *wyspami księcia Edwarda*. Zdawało się, iż są nieplodne i opustoszałe, oraz otoczone stromemi skałami, za niemi wznosiły się góry, których boki i szczyty skłiniły się śniegiem. Chociaż w ówczas był środek lata na półkuli południowej, jednak zimno tak wielkie dokuczalo jakby w Anglii wśród najtęższej zimy.

Dnia 24, znowu postrzeżono wysokie lądy: były to właśnie te same, którą niedawno odkrył żeglarz francuzki Kerguelen. Znaleziono na brzegu butelkę, w której znajdujący się kawałek pergaminu z kilku wyrazami, przez niego napisanemi, uwiadamił, że on zwiedził ten kraj 1772 i 1773 r. Kook napisał na drugiej stronie tegoż pergami-

nu nazwy obu okrętów, datę swój podróży, i włożył go napowrót w butelkę. Jak tylko oko mogło dosięgnąć, kraj okoliczny zdawał się być tylko prostem nagromadzeniem skał nagich; gdzie niegdzie dostrzegano ziola, lecz ani jednego krzaka, a tém bardziej drzewa. Zieloność tu i owdzie widziana z morza, wabiła ku sobie oczy, gdy się jej bliżej przyjrzano, była małą roślinką, podobną do saksifragi, a która z kilku gatunkami mechów i porostów, stanowiła jedyne roślinne płody owego niegospinnego wybrzeża. Woda słodka jednako znajdowała się obficie, a skały odkryte były gęsimi dzikimi i fokami. Kook odkrył że ziemia Kerguelen nie jest stałym lądem, lecz wyspą, ciągnącą się z północy na południe, przeszło na 100 mil rozległą. Nazwał ją *wyspą Zniszczenia*. Wkrótce po oddaleniu się od tych brzegów, żeglarze nasi trafili na wiatry północne, które tak ich pędziły wśród gęstej mgły, że okręta ubiegły blisko 300 mil, wśród zupełnej ciemności, musiano ustawicznie strzelać z armat, dla uniknienia niebezpiecznego rozłączenia. Nakoniec 26 Stycznia 1777 r, okręta zarzuciły kotwicę w *zatoce Przygody*, na południowych brzegach ziemi Van - Diemen. Pierwszem staraniem było, zebranie paszy dla bydła, które wiele ucierpiało z powodu srogości klimatu i niedostatku, spowodowanego tak długą żegluga.

Anglicy w czasie swego pobytu, byli odwiedzani przez kilku krajowców, którzy dla swój ohydnej nędzy, nieprzewycięzonego lenistwa, i nadzwyczajnej głupowatości, stoją na równi z nieszczęśliwymi mieszkańcami Ziemi-Ognistej. Najwygodniejsze ich mieszkania są w wielkich pniach drzew, wydrążonych za pomocą ognia. Zdaje się, iż nie znają rybołówstwa, albowiem nie postrzeżono ani jednego czołna na brzegu. Głównem ich pożywieniem są małże ptaszyny i muszle które zbierają. Kook zaopatrzwszy się w paszę dla bydła, opuścił ziemię Van-Diemen, a 12 Lutego oba okręta zarzuciły kotwicę, w dawnym swoim stanowisku w cieśninie Królowej-Karoliny. Za przyby-

ciem do Nowej-Zelandyi, Kook nadzwyczajnie był zdziwiony niesmiałością i niedowierzaniem, jakie mu okazywali krajowcy, których znał po większej części; lecz wkrótce odkrył powód ich obawy: Omay znajdował się na okręcie *Awantura*, w czasie pierwszej swojej podróży odbytej pod rozkazami kapitana Furneaux, przypomniał sobie, że dziesięciu ludzi z osady tego okrętu, padło ofiarą okrucieństwa dzikich, gdy więc krajowcy ujrzeli Omaja na statku *Postanowienie*, zaczęli się lękać zemsty Kooka, lecz on dowiedziawszy się o tém, zapewnił ich, że bynajmniej nie chce się mścić za ów napad, że dopóki doznawać będzie dobrego obejścia, to go mogą uważać za swego przyjaciela. Naczelnik zwany Kahooraa, wyznał szczerze, iż był pierwszym w zamordowaniu ludzi kapitana Furneaux, że własną ręką zabił pana Rowe, ich dowódcę. Napad ów, jak się zdaje nie był dokonany z namysłem; powodem do niego była kradzież popełniona przez dzikich, którą majtkowie angielscy z zbyt gwałtownym pospiechem ukarali. Po oświadczeniu Kooka, ufność dzikich natychmiast przywróconą została. Darował kozła i kozę jednemu z naczelników, a drugiemu zaś dwa wieprze. Krajowcy uwiadomili Kooka, że drób, zostawiony przez niego na wyspie, znacznie się rozmnożył; warzywa lubo zaniedbane, także się udały, a niektóre z nich (naprzykład kartofle), bardzo się ulepszyły na zyznym gruncie. Na prozbę Omaja Kapitan zabrał ze sobą dwóch młodych Nowo-Zelandczyków.

Dnia 25 Lutego, okręta opuściły cieśninę Królowej-Karoliny, 29 Marca odkryto wyspę, zwaną od krajowców *Mangea*. Fale morskie czyniły niepodobnym przystęp do niej. Mieszkańcy mówili językiem mało się różniącym od dialektu wysp Towarzyskich. Tworzyli piękne i silne pokolenie, którego cera bardzo była podobną do cery Hiszpanów. Nosili zawoje białe z téjże samej materyi jak Otahitezykowie; obówie ich składało się z pewnego gatunku sandałów, uplecionych z sitowia.

O kilka mil na północ od Mangei, odkryto inną wyspę, zwaną od krajowców *Wateo*; wysiadłszy na nią nasi żeglarze, zaprowadzeni zostali przez tłum zdziwiony aż do naczelnika, który przyjął ich gościnnie. Zdaje się iż dzieci zamysłali przeciąć Anglikom odwrót do okrętów, lecz od wykonania tego przedsięwzięcia wstrzymani zostali przesadzonemi opisaniami Omaya, który, opowiadając cuda Anglii, opisał armaty jako narzędzia wojenne tak obszerne, że kilku ludzi mogło tisać w ich wnętrzu, że jeden wystrzał owych groźnych machin, mógłby łatwo pogrążyć wyspę w głębiach oceanu i zniszczyć w okamgnieniu całą jej ludność, chociaż okręta dość daleko stały od brzegu. Niewierzono zrazu podobnym opisom; Omay więc połączył kilka ładunków, które miał w kieszeni, rzucił na nie gorący węgiel, a wybuch zład powstał tak nadzwyczajnie przeraził dzikich, że lękając się obrazić Anglików, dozwolili im tegoż jeszcze wieczora powrócić do okrętów.

Od chwili wyruszenia z Nowej-Zelandyi, nasi żeglarze z powodu braku dogodnego miejsca do zarzucenia kotwicy i innych okoliczności, zawiedzeni zostali w nadziei zaopatrzenia się w wodę i żywności na wszystkich wyspach które odkryli. Lecz ponieważ pora była już zbyt spóźnioną, i nagliła potrzeba odświeżenia wszelkich zapasów, przed zapuszczeniem się w wyższe północne strony; musiano więc odłożyć do następnego roku odkrycia dokonać się miane w tym kierunku, przeto Kook postanowił użyć tej zwłoki, dla bardziej szczegółowego przepatrzenia morza po za zwrotnikowych.

W tym celu, popłynął ku wyspom Przyjacielskim, i zawinął 1 Maja do wysp *Anomooka*. Został tam jak najlepiej przyjęty przez naczelnika zwanego Fenou, z jego namowy skierował do *Hepacei*, wielkiej wyspie, lub raczej grupie wysp, połączonych ze sobą rafami, które w bród przejść można w czasie upływu morza; leżą one napółnocno owego archipelagu. Obfite żywności, w które zaopatrzono się w *Hepacei*, u-

sprawiedliwiły ufność położoną w objaśnieniach otrzymanych od naczelnika Fenou. Kook spotkał także tam Poulaho, władcę wysp Przyjacielskich, który obszedł się z naszymi żeglarzami prawdziwie po monarchicznemu. *Tonga-Taboo*, czyli wyspa *Amsterdam*, jest środkowym punktem jego wyspiarskich posiadłości, rozciągających się podług opowiadania krajowców, na 150 wspanach. Wiele z pomiędzy nich wprawdzie, są tylko skałami, wystającemi nad wodą, wcale niezamieszkanemi. Największych jest 35, te daleko są rozleglejsze niżeli *Anomooka*, która leży pomiędzy najmniejszymi. Bardzo się wielkiem podobieństwem, że *wyspy księcia Wilhelma*, odkryte przez Tasmana, oraz wyspy *Boshawen* i *Keppel*, kapitana Wallis, objęte są owym spisem wysp należących do *Tonga-Taboo*.

Gdyspytano Poulaho, jakim sposobem mieszkańcy tej ostatniej poznali żelazo, odpowiedział, że takowe otrzymali z sąsiedniej wyspy zwanéj *Neeootabootaboo*. Okręt zawinął do niej przed kilku laty, i kupił od jednego z krajowców maczugę, za którą otrzymał w zamian pięć gwoździ, które później posłano do *Tonga-Taboo*; było to pierwsze żelazo u nich widziane; nie ma wątpliwości, że wspomniany okręt był *Delfinem*. Bo jeśli porównamy opis tej wyspy przez Poulaho, z opisem kapitana Wallis, widoczną jest rzeczą, że *Neeootabootaboo* jest wyspą *Keppel*. Wyspy najznaczniejsze znane tym ludom są: *Kamoa*, *Wawao* i *Feegee*. Te dwie ostatnie są największemi, z zależących od *Tonga-Taboo*. Według objaśnień powziętych przez Kooka, mieszkańcy *Kamoa* uchodzą pomiędzy temi wyspiarzami za najprzemysłliwszych. *Feegejczyków* zaś wojujących z *Tonga-Taboo*, krajowcy wszystkich innych wysp lękali się dla ich odwagi i ludożerstwa. Pomimo jednak wszelkich okrucieństw w tym względzie, dzieci z *Feegee*, nie są ani mniej zręczniemi, ani mniej przemysłniemi od swych sąsiadów. Nimi opuścił wyspy Przyjacielskie, Kook odwdziaczył Poulahowi dobre przyjęcie, darami nieocenionéj wartości, składały

się one z bydła, koni, krów, baranów i kóz. Wyspiarze oceniając taką ofiarę, przyrzekli niezabijać żadnego z tych zwierząt, dopóki się znacznie nie rozmnożą. Przybywszy do Eooa, żeglarze nasi zaopatrzyli się w rzepę, która wyrosła z nasienia zostawionego tam przez nich w pierwszej podróży.

Przebywając na wyspach Przyjacielskich przez dwa lub trzy miesiące, i nabywszy w tym przeciągu czasu gruntownej znajomości charakteru ich mieszkańców, kapitan Kook pożegnał się nareszcie z nimi, i 12 Sierpnia dostał się do Otahity. Dowiedział się, że w jego nieobecności okręt hiszpański zawinął tam i wysadził na ląd nieco bydła. We dwa dni po przybyciu, Kook i Klarke objechali konno płaszczynę Matawaj, z wielkiem zadziwieniem dzikich, tłumnie zebranych dla przypatrzenia się temu widowisku. Ze wszystkich nowości, z którymi europejczycy ich zapoznali, konie dały im najsilniejsze wyobrażenie o potędze owych oddalonych narodów. Władca Otahity Otoo, nader wdzięcznym się okazał za odebrane dobrodziejstwa; ofiarował dla króla Jerzego małe podwójne czółno, doskonale wykonane; oświadczył swoje życzenie aby Anglecy założyli stałą osadę na jego wyspie. W czasie bytności swojej w Otahicie, Kook miał

sposobność naocznie się przekonać o zabobonnych obrzędach owych nieszczęśliwych wyspiarzy, jak ofiarami z ludzi okupywali błachą opiekę swych bożyszczy, w razie wojny lub wszelkiej innej klęski powszechnej. Pozostało już tylko osadzić Omay na wyspie *Huaheinie*, którą sobie wybrał na pobyt.

Naczelnicy wyspy ustąpili mu kilka kawałów gruntu, cieśle okrętowi wystawili dom wygodny. Wszystkie skarby które przywiózł z sobą zostały na ląd wysadzone, zestawiono z nim także dwóch młodych Nowo-Zelandczyków. Kook chcąc zmusić krajowców aby się z nim obchodzono przyzwoicie, oświadczył że wkrótce powróci. Omay z licznych przedmiotów europejskich które posiadał, utworzył w swym domu przepyszne muzeum ciekawości dla wyspiarzy morza Południowego. Postępował nader przezornie, i pozyskał szacunek wyspiarzy, opowiadając im z przyjemnością swoje podróże i przygody. W półtrzecia roku po oddaleniu się Kooka, umarł naturalną śmiercią; Nowo-Zelandczycywie niedługo przeżyli go, nie mogli więc zdać sprawy szczegółowej żeglarzom europejskim o wpływie, jaki jego doświadczenie i postrzeżenia za granicą powzięte, wywarły na jego współrodakach.



ROZDZIAŁ XXX.

DAJSZY CIĄG TRZECIEJ PODRÓŻY KOOKA.

Kook odkrywa wyspy Sandwich. — Jego przybycie do cieśniny Nootka. — Obyczaje mieszkańców. — Przejrzenie brzegów Amerykańskich. — Rzeka Kooka. — Oznacza odległość pomiędzy Azją i Ameryką. — Łód zatrzymuje okręty na morzu Biegunowym. — Rosyjscy kupcy futer. — Przedsięwzięcie Ledyarda. — Powrót do wysp Sandwich. — Wdzięczność Owhyhej. — Łagodność dzikich. — Okręta opuszczają wyspę, lecz są zmuszone do niej powrócić. — Krajowcy zmieniają swoje postępowanie. — Czółno skradzione. — Napad szkodliwy. — Zgon Kooka. — Powtórna próba żeglugi po morzu Biegunowym. — Śmierć Kapitana Klarke i Andersona. — Przybycie do Mahao. — Wspaniałomyślne postępowanie rządu francuzkiego. — Targ na futra w Kantonie. — Powrót wypraw.

Nasi podróżni opuścili *Borabore* 8 Grudnia, i stracili wkrótce z oczu wyspy Towarzystwa; 18 Stycznia, dopłynęli do 21° szerokości północnej i odkryli ląd, który był wyspą dość rozległą, a za nią znajdowały się dwie inne. Gdy okręta zbliżyły się do drugiej, mnóstwo czółen napęcznionych krajowcami odbiło od brzegów, Anglicy niezmiernie się ucieszyli i zdziwili, usłyszawszy ich przemawiających dialektem Otahickim. Gdy niektórzy z nich weszli na pokład okrętu, na widok mnóstwa nowych przedmiotów, które ujrzeli, okazali żywsze daleko zdziwienie niż inni dzicy, jak to uważał Kook, z czego z pewnością wniesć można było, iż po raz pierwszy widzą Europejczyków. Gdy Kook wyszedł na ląd, cała ludność na twarz przed nim upadła, jakby przez ten hołd uznawali w nim istotę wyższą od siebie. Wyspa obfitowała we wszelkie potrzeby do życia; można tam było nader tanio nabyć wieprzów, drobiu i owoców; Kook zbożycił wyspę wysadzeniem na ląd kilku sztuk zwierząt domowych. Pomiedzy innymi przedmiotami, krajowcy sprzedawali płaszczki i czapki sztucznie zrobione z piór czerwonych i żółtych. Ci wyspiarze nie ustępowali co do przemysłu innym mieszkańcom wysp bardziej południowych: Kookowi zdawali się być mniej lekkomyślnymi i rozpustniami niż dzicy z Otahity, mniej ponuremi i milczącymi od mieszkańców *Tonga-Taboo*; lecz przychylność jego dla nich znacznie się zmniejszyła, gdy ujrzął że niekiedy na uroczystych swoich biesiadach, jedli ciało ludzkie. Kook na pamiątkę swego protektora, nadał tej grupie nazwę *wysp Sandwich*.

Już tylko pozostało spełnić główny cel podróży, to jest przejść stronę północno-zachodnią Ameryki i utworzyć sobie przejście przez ocean Atlantycki, opłynieniem północnej kończyny stałego lądu. 7 Marca, nasi żeglarze przybyli do brzegów Nowego-Albionu pod 44° 33' szerokości. Mieszkańcy tego kraju nosili skórzaną odzież i takową sprzedawali; obchodzili się najgrzeczniej z Anglikami, lecz okazali się

nadzwyczajnie ceniącemi prawo własności, zmuszając cudzoziemców aby wszystko co od nich brali, natychmiast płacili, a nawet drzewo i wodę. Okazali dowody zępczości, znali użytek żelaza, lecz nad nie przekładali miedź; żeglarze angielscy kupując ich futra, musieli im oddać wszystkie swoje guziki. Pomiedzy innymi artykułami nabytemi od owych Indian, znajdowały się tyżki srebrne, które zdaniem Kooka, musiały im być dostarczone, równie jak i żelazo, przez Hiszpanów z Meksyku, lub faktorye angielskie zatoki Hudsonskiej. Niewiedziat że Hiszpanie zdjęli już przed czterema laty plany tych brzegów, którym Kook nadał miano *cieśniny Króla Jerzego*; jednakowoż krajowa ich nazwa *Nootka* dotąd się ciągle utrzymała.

Oddalwszy się z cieśniny *Nootka*, nasi żeglarze z powodu gwałtowności wiatrów musieli żeglować w oddaleniu od lądu, i Kook nie mógł jak to zamierzał, zdiąć plaau brzegów; pod 59° szerokości, dostał się do obszernej morskiej odnogi, którą nazwał *cieśniną księcia Wilhelma*; nadzwyczajnie się zdziwił, że krajowcy nosili ten sam ubiór i mówili językiem Eskimosów w zatoce Hudsonskiej. Otrzymano od nich za nader lichą cenę w wielkiej obfitości najpiękniejsze futra. Jeszcze bardziej ku północo-zachodowi, odkryto obszerną odnogę morską, która według zdania niektórych officerów, mogła być cieśniną, mającą komunikację z oceanem Północnym. Postanowiono więc przejść ją; lecz gdy szalupy dostały się blisko o 35 mil od ujścia, to jest pod 61° 34' szerokości, okazała się cieśnina zdawała się kończyć małą rzeczką. Okręta skierowały w ówczas ku zachodowi, i okrążywszy wielki przygórek *Alaska*, dostały się 9go Sierpnia do najdalszej zachodniej kończyny stałego lądu amerykańskiego, o sześć mil tylko od przeciwnego brzegu Azji. Kook nazwał *przyłądkiem księcia Walii* ów kraniec lądu. Kook przebywszy potem cieśninę aż do jej brzegów zachodnich, zarzucił kotwicę przy wybrzeżu Czudzków, ciągnącemu się ku wschodowi na kilka stopni po

za położeniem, jakie miał natenczas wskazane na mappach. Oznaczył tym sposobem z pewnością szerokość cieśniny, oddzielającej Azję od Ameryki; wprawdzie Bechring pierwiej ją przebył, lecz niepostrzegł brzegów owego ostatniego stałego lądu, a zatem niepoznał całej ważności swego odkrycia. Nasi żeglarze płynęli następnie po oceanie Północnym, lecz wkrótce trafili na lody, w ówczas zaczęli przewidywać że nie będą mogli dalej posunąć swojej podróży. Nakoniec, 18 Sierpnia, gdy przy podwojonych usiłowaniach, dostali się do 70° 41' szerokości, ujrzeli przed sobą, jak tylko spojrzenie ich w około dosięgnąć mogło, mur spojonego lodu, wznoszący się prawie na 6 stóp, okryty mnóstwem koni morskich, których mięso majtkowie przekładali nad swoje solone zapasy.

W ówczas uznano za widoczne niepodobieństwo posunąć się dalej i Kook postanowił spędzić zimę na przepatrzeniu wysp Sandwich, a w lecie znów ponowić swoje usiłowania na oceanie Północnym. Za przybyciem do *Onolaski*, otrzymał przez dzikich pasztet z łososia i pismo, którego nie zrozumiał, później dopiero zostało one uznane za rosyjskie. Ledyard kapral marynarki, który później przedsięwziął tak śmiałe wyprawy, ofiarował się udać dla szukania gościnnych Rossyan: zwinęty w kółko pomiędzy nogami dwóch Eskimów, został umieszczony w *Kajaku*, czyli krytym czółnie, w tak niedogodnym położeniu płynął mil czternaście; na trzeci dzień wrócił z trzema Rossyanami, sprzedającemi futra; wkrótce przybył inny kupiec tegoż narodu, nazwiskiem Ismitów; ten okazał Kookowi dwie mapy owych brzegów północno-zachodnich Ameryki.

23 Listopada pod 20° 53' szerokości, nasi żeglarze odkryli *Mowe*, jedną z wysp Sandwich, której dotąd nie wiedzieli, a ostatniego tegoż miesiąca inną wielką, zwaną *Owhyche*. Kook siedem tygodni spędził na jej okrążeniu i przerysowaniu brzegów. Nakoniec, okręta zarzuciły kotwicę w zatocę *Karakakooa*, na wybrzeżu południowym. Kra-

joycy przybyli czółnami w tak znacznej liczbie z obfitemi zapasami żywności do naszych statków, że Kook, jak sam powiada, nie widział jeszcze nigdy tylu ludzi, razem zebranych w jednym miejscu. Stami pływali w okolo okrętów, jak gdyby gromady ryb. Nowość tego obrazu, wygładziła z pamięci naszych żeglarzy niepowodzenie ich północnej wyprawy. »Temu zawodowi winniśmy, powiada Kook: szczęście powtórnego zwiedzenia wysp Sandwich, i pomnożenia podróży naszej odkryciem z wielu względów najważniejszym ze wszystkich dokonanych przez Europejczyków na całej przestrzeni oceanu Spokojnego.» Na tém się kończy dziennik sławnego żeglarka.

Stosunki Anglików z wyspiarzami, były obustronnie nieprzerwanym ciągiem łagodnego postępowania, tylko skłonność krajowców do kradzieży, zakłócała niekiedy i to chwilowo, harmonię pomiędzy nimi panującą. Zaopatrzono się obficie w zapasy żywności; Kook kazał nasolić tak wielką mnogość wieprzowiny, że jeszcze za powrotem okrętów do Europy, większa część tego mięsa najdoskonalej się dochowała. Kasta kapłanów, należąca do rządu wyspy, okazała się szczególniej skórą w usłużeniu Anglikom. Terecobo, król *Owhyhei*, podzielał przyjaźne uczucia swoich poddanych; w stosunkach z kapitanem Kook, dał dowód szczerego przywiązania i hojności prawdziwie monarchicznój. Wyspiarze szczególniej się przywiązali do porucznika King, błagali go aby z nimi pozostał. Gdy nadszedł dzień odjazdu byli niepokieszeni, obsypali cudzoziemców darami, których tylko wyspa mogła dostarczyć. Tak było przychylnie usposobienie, gdy okręta wypłynęły 4 Września, z zatoki *Karakakooa*. Zamiarem Kooka było przejrzeć zupełnie wyspy Sandwich; lecz nim się oddalił, straszliwy wichur strząsał maszt środkowy na okręcie *Postanowienie*, musiał więc dla naprawy onego, wrócić do zatoki *Karakakooa*. Gdy statki przybyły do miejsca dawnego swego pobytu, zatoka była prawie zupełnie bezludną. Tłum znęcony otwar-

tym handlem z Anglikami, wrócił wewnątrz wyspy; może z powodu nieobecności naczelników, krajowcy wpuszczeni na okręt, zaczęli dopuszczać się kradzieży śmielszych niż pierwój. Ukaranie przestępczych, spowodowało nieporozumienia, i stosunki z wyspiarzami, ciągle były zakłócone zobopólnymi użalaniem. Wystano czołno w pogon za dzikim, który porwał obcęg; lecz majtkowie i officer, znajdujący się na nim, rozbrojeni przez wyspiarzy, mocno zostali skrzywdzeni. Wkrótce krajowcy, uprowadzili w nocy wielki kutter, przymocowany do jednej z kotwic okrętu *Odkrycie*. Niepodobniestwem było pominąć podobnej kradzieży, i Kook więc postanowił stanowczych użyć środków dla odzyskania swojego statku. Uzbrojone szalupy, umieszczone zostały po obu końcach zatoki, dla przecięcia przejścia wszystkim czołnom, któreby wypłynąć z niej usiłowały; sam zaś Kook wysiadł na ląd z oddziałem morskich żołnierzy i majtków zaopatrzonych w broń palną i ładunki. Gdy stanął na lądzie, krajowcy wybiegli naprzeciw niemu jak zwykle i padając na twarze okazywali największe uszanowanie. Tak szedł aż do mieszkania królewskiego, król po krótkim wachaniu, postanowił udać się na okręt. Krajowcy niechętnym okiem spoglądali na tę uległość dla cudzoziemców; niepopelnili jednak żadnego gwałtu, w chwili przechodu Kooka z królem i dwoma jego synami, wśród tłumy, ku wybrzeżu, gdzie żołnierze stali ustawieni, na przypadek zaczepki. Stary król przybywszy nad brzeg, błagany od żon swoich i krewnych aby niewchodził do szalupy; nie chciał iść dalej i siadł na ziemi, Kook musiał przeto zaniechać zamiaru uprowadzenia go. Panowało wówczas wielkie wzburzenie pomiędzy krajowcami, zgromadzonymi w znacznej liczbie na pobrzeżu. Postrach wzniecony targnięciem się na osobę ich władcy, zwiększony jeszcze został przez nieszczęsny wypadek: żołnierze w szalupie stojącej na wschodniej kończynie zatoki, widząc wielkie czołno chcące koniecznie wypłynąć, wy-

strzelili z armaty, aby je w biegu zatrzymać, i kula przypadkiem ugodziła znakomitego naczelnika zwanego Kareemo. Gdy wiadomość o tem rozeszła się pomiędzy tłumami zgromadzonymi na brzegu, zaślepiona wściekłość ogarnęła je. Przywdziewali swoje maty wojenne, wywijali nożami, słowem, okazywali ze wszech stron najgroźniejsze usposobienie. Pomimo ogromu naglącego niebezpieczeństwa, kapitan Kook nie chciał jednak pozwolić żołnierzom aby strzelali, mając jeszcze nadzieję wszystko zakończyć bez rozlewu krwi. Jednak gdy jeden z naczelników przystąpił z zaczepnemi jestami, wystrzelił do niego, lecz tylko szrótem; gruba mata którą dziki był okryty, uchroniła go od zranienia. W tej chwili żołnierze skierowali na tłum gęsty ogień, wyspiarze dla swej mnogości nie mogąc ująć przed kulami, rzucili się nagle na żołnierzy, odepchnęli ich aż do morza i czterech zabili. Pinassa zapchana majtkami i ludźmi coraz liczniej przybywającymi do niej wpływ z wybrzeża, nie mogła ciągłego utrzymać ognia. Wśród tego zamieszania, Kook sam pozostał na skale. »Widziano jak dążył ku pinasie, trzymając się lewą ręką za głowę, i uciekając co siły. Zdało się iż wystrzał go ogłuszył, chwiał się jeszcze przez kilka kroków, nareszcie padł na jedno kolano i rękę, upuściwszy fuzyę. Gdy się podnosił, jakiś Indyjanie zadał mu z tyłu karku cios sztyltem żelaznym. Padając wówczas w wodę, rzucił spojrzenie ku pinassie, jak by błagał o pomoc. Czołno było tylko oddalony o pięć lub sześć prętów, lecz osada okrętowa tak się tłoczyła w nieładzie, iż nic niemożna było przedsięwziąć dla ocalenia kapitana. Indyjanie powalili go powtórnie w wodę daleko głębszą; powstał jednakże jeszcze raz i całkiem utraciwszy siły w tém passowaniu, zawlekł się ku skale, stał o nią oparty, gdy jeden z dzikich uderzył go maczugą. Indyjanie wciągnawszy trupa na skały, okropną robili sobie z nim igraszkę, szarpali, wydzielali sztylety jedni drugim, dla zaspokojenia dzikiego ukontentowania za-

daniem więcej ran swojej ofierze." Porucznik dowodzący szalupą, znajdował się niedaleko i przez cały ciąg tej okropnej walki, był obojętnym widzem. Nieszczęsne wypadki owego dnia mogą być w wielkiej części przypisane jego tchórzostwu. Jeszcze więcej zasługuje to na uwagę, że gdy ogień z szalup rozproszył Indyan, zwłoki nieszczęśliwego Kooka, pozostały rozciągnięte na piasku, porucznik wrócił na okręt nie podejmując dla ich zabrania. Po wielu dopiero trudach, układach i groźbach, kapitan Klarke odzyskał narreszcie większą część kości kapitana Kook, szacowne te szczątki, powierzono morzu z wszelkimi żeglarskimi honorami, wśród najszczęśliwszych oznak żalu, straconych osad okrętowych.

Jak tylko *Postanowienie* naprawiono, okręta opuściły miejsca, przypominające im tak wielkie nieszczęścia. Kapitan Klarke zajął miejsce swego nieodzwołanego wodza, a porucznika Gore mianował dowódcą okrętu *Odkrycie*. Kapitan Klarke usiłował przywieść do skutku zamiary swego nieszczęśliwego dowódcy, i znaleźć przejście na ocean Północny. Wpłynął do zatoki *Awaska* i zawinął do portów Świętego Piotra i Świętego Pawła, gdzie był przyjętym od Rosyan z nadzwyczajną gościnnością; następnie przebywając powtórnie cieśninę Behringa, dotarł aż do 70° 33' szerokości północnej, lecz też same przeszkody, które wstrzymały okręta przeszłego roku, i tym razem nie dozwoliły dalej się im posunąć; postanowiono przeto powrócić do Anglii, dopiawszy tym sposobem głównego celu podróży. Odtąd uważano za rzecz dostatecznie dowiedzioną niepodobieństwo znalezienia przejścia na północy.

Zaledwie okręta przybyły do Kamczatki, kapitan Klarke umarł z wyniszczenia sił. Anderson, biegły lekarz i naturalista wyprawy, umarł roku zeszłego na podobną chorobę w Onolascie. Kapitan Gore objął naczelnictwo wyprawy, a dowództwo okrętu *Odkrycie* powierzył porucznikowi King. Podróż ich do Chin nie przyniosła żadnego ważnego rezultatu jeograficznego.

Płynąc po owych morzach burzliwych, byli zmuszeni trzymać się w oddaleniu od ładu, a że niepogoda nieustawała, nie mogli przeto przejrzeć brzegów Japonii.

3 Grudnia, żeglarze nasi przybyli do Makao, tam się dowiedzieli o wojnie wybuchłej pomiędzy Anglią i Francją, oraz o szlachetnym postępowaniu rządu francuzkiego. W Marcu 1779 r., minister marynarki wysłał cyrkularz do wszystkich dowódców okrętów francuzkich, z zaleceniem aby wszędzie gdziekolwiek kapitana Kook napotkają, uważali za officera narodu neutralnego i związkowego. Zaszczynny ten postępek był dziełem sławnego Turgota.

W czasie przebywania okrętów na rzece Kanton, majtkowie rozpoczęli z Chińczykami, handel skórami wyder, które przywieźli z północno-zachodniego wybrzeża Ameryki, a wartość ich z każdym dniem się podwyższała. »Jeden z naszych majtków, powiada porucznik King: sprzedał własny swój zapas za 800 dollarów, a kilka sztuk wyborowych, dobrze zachowanych, odstąpił po 120 dollarów. Gdy sobie przypomniemy, że owe futra były przez nas nabyte bez znajomości rzeczywistej ich ceny; że większa część już była noszoną przez Indyan, od których je kupowaliśmy, że my sami ich używaliśmy do przykrywania łóżek i innych potrzeb, że najpodobniej do prawdy, nie wzięli jeszcze za nie istotnej wartości jaką mają w Chinach, można sobie wyobrazić, jak ogromne korzyści przedstawiałyby podróż wprost handlowa, przedstawiona ku owym brzegom amerykańskim.« Światny handel na morzu Spokojnym, dotąd nieznanym narodom, odkryty został nagle i przypadkiem. Osady obu okrętów omamione cenami za które Chinczykowie nabywali od nich futra, usilnie domagały się wrócić do rzeki Kooka, dla nabycia nowego pakunku skór. Niektórym z majtków udało się ujść, byli to pierwsi awanturnicy, którzy przebyli ocean Spokojny, dla zajęcia się handlem nowo odkrytym. Żeglarze zubożeni zostali niespodzianym sposobem, przybyli bowiem do Ma-

kao w łachmanach, a wypłynęli ztamtąd ubrani od stóp do głów w jedwabie różno-kolorowe, z całym przepychem chińskim. Z resztą żaden ważny wypadek nie wydarzył się w tej powrotnej przeprawie, i 4 Października, okręta przybyły do Nore, po 4 latach, 2 miesiącach

i 22 dniach nieobecności w kraju. W całym ciągu tej długiej podróży, na okęcie *Postanowienie* tylko 5 ludzi umarło, z których trzech już przy wyjeździe było słabowitych; *Odkrycie* zaś nie utracił ani jednego człowieka.

ROZDZIAŁ XXXI.

PODRÓŻE LAPERUSA I INNYCH.

Współzawodnictwo Francuzów. — Laperus otrzymuje dowództwo wyprawy. — Jego instrukcje. — Odwiedzenie wyspy Wielkonocnej. — Szczegóły o posagach. — Przemysł mieszkańców. — Wyspy Sandwich. — Wybrzeże amerykańskie. — Port Francuzów. — Francuzi kupują wyspę. — Niezszczęśliwy wypadek. — Podróż do Makao. — Morza Japońskie. — Wybrzeże Tartary. — Zatożka Ternay. — Sakhalian. — Objaśnienia udzielone przez mieszkańców. — Cieśnina Laperusa. — Przybycie do Kamczatki. — Pomnik wzniesiony kapitanowi Klarke. — Lesseps wysłany ładem do Europy. — Wyspy Żeglarzy. — Rzeź Francuzów. — Podróż do Botany. — List Laperusa. — Tajemnica okrywająca los jego. — Jego talenta. — Postanowienie Zgromadzenia narodowego. — Dentrecasteaux wysłany dla szukania go. — Los jego wyprawy. — Przygoda na wyspach Witi. — Objaśnienia otrzymane w Tukopii przez kapitana Dillon. — Wraca dla szukania Francuzów. — Zwiędza Malukolo. — Opis rozbitcia któremu uległ krajowcy. — Zebrane szczatki. — Skutki.

Anglii nabyła niezaprzeczonej wyższości, i zasłużyła na wdzięczność wszystkich narodów ucywilizowanych, przez śmiałość i z pomysłnym skutkiem dokonane wyprawy, poświęcone odkryciom geograficznym. Gdy wojna wybuchła w r. 1778, ukończoną została 1783, Francya zazdroszcząc tej sławy swój współzawodnicze, z pośpiechem wysłała eskadrę, dla rozwiązania zadania naukowego, którego Kook nie mógł zgłębić. Dowództwo tej wyprawy powierzono Franciszkowi Galaup de Laperus, utalentowanemu żeglarzowi. Instrukcje dane mu, odznaczały się czystością i głębokością pomysłów; lecz plan przez takowe rozwinięty zbyt był obszernym, aby go jedna wyprawa mogła dokładnie wykonać: zamierzono bowiem uzupełnić wszystkie przerwy i usunąć wszelkie wątpliwości, mogące jeszcze istnieć w ziemio-pisarstwie morskim. Polecono Laperusowi, aby opłynawszy przylądek Horn, przepatrzył południowe strony *wysp Sandwich* i *Nowej-Georgii*, dla uzupełnienia planu o-

wych pustych krain, rozpoczętego przez Kooka. Następnie miał popłynąć na zachód i szukać *ziemi Drakego*. Zbliżając się do zwrotników, zalecono mu oznaczyć poprawnie położenie wyspy *Pitkern*, tak aby droga, której się trzymał Karteret na oceanie Spokojnym, i odkrycia owego żeglarza mogły być dokładnie znanymi. Zwiędziwszy *wyspę Pięknego Narodu*, odkrytą przez Quirosa, *Santa-Cruz Mendany* i *wyspy Salomona*, których Bougainwill część tylko widział, uzupełniwszy mapę *Nowej-Kaledonii*, której Kook część tylko wschodnią opisał, miał przejrzeć Laperus wielką *zatożę Karpentary*, na północ *Nowej-Hollandyi* i następnie wrócić do *wysp Markizów*, dla wypoczęcia po tej pierwszej wyprawie. Okręta francuzkie miały następnie zwiędzić północno-zachodnią stronę stałego ładu amerykańskiego, dla wykrycia czyli istotnie tam się nie znajduje jakowa komunikacya ze wschodem. Po przepatrzeniu *wysp Aleutskich*, okręta miały się udać do *Kamczatki*, żkąd przez *wyspy Kuryl-*

skie i Japonię, polecono im dostać się do *Manilii* i *Chin*. Tam miały wypocząć i przygotować się do najważniejszych i najtrudniejszych przedsięwzięć; szło bowiem o przejrzenie wschodniej części *Tartaryi*, przez jeografów europejskich nader jeszcze niedokładnie znanej. Dokonawszy opisanja *wyspy Jesso*, wyprawa miała powtórnie przybyć do *Kameczatki*, i wrócić do Francji około *wysp Złodziejskich*, *Nowych Karolin*, i *Moluckich*, poprzednio zdjawszy dokładne plany takowych i oznaczywszy starannie ich położenie. Prócz tego zlecono Laperusowi, by wracając z tej przeprawy nie przepominał szukać *przyładka Obrzeżania Bouweta*, lubo daremne usiłowania Kooka w odkryciu owego mniemanego ładu, powinny być być uważane za dostateczny dowód, że takowy nigdy nie istniał.

Przygotowania do tej wyprawy, były równie dokładne, jak jej plan obszernym. Laperus objął dowództwo dwóch pięknych fregat *Bussola* i *Astrolab*, wielu ludzi celujących w rozmaitych gałęziach nauk, postanowiło towarzyszyć mu. W ich liczbie znajdował się Monge, który później należał do triumwiratu matematyków francuzkich. Lecz zdrowie jego tak nadwężone zostało przez morską słabość, że rozstał się z wyprawą w Teneryffie, przez co ocalał życie tak drogie dla przyszłości nauki. Smiałość zamiaru i rozciągłość wiadomości jeograficznych, wykrytych w planie tej nowej wyprawy, dokładność z jaką ją urządzono, niezaprzeczona biegłość wszystkich członków ją składających, zdawały się zapewniać jej powodzenie i wzbudzały największe i najślusniejsze nadzieje; przedsięwzięto jednak ją wśród ciągłych i najstraszliwszych niepowodzeń, a zakończyła się oplakana katastrofą, jedyną, że tak powiem w dziejach żegluga.

Początek podróży był szczęśliwy. Okręta zaopatrzywszy się w świeże zapasy na *wyspie Świętej Katarzyny*, blisko wybrzeża Brazylii, okrążyły przylądek Horn, z mniejszą trudnością jak się obawiano; mimo to jednak nie mogły się puścić natychmiast na ocean Spokojny,

dla szukania ziem nowych. Laperus popłynął ku *wyspie Wielkonocnej*, której mieszkańcom naturalisci wyprawy mogli lepiej się przypatrzeć, niż to uczynili współtowarzysze Kooka. Poznano że kolosalne posagi, ściągające uwagę podróżnych na tej dziwnej wyspie, a których materyał Anglicy uważali za kompozycyę, zrobione były z lekkiej materyi wulkanicznej, zwaney tam lapillo. W niektórych miejscach grunt uprawiany był starannie i zrecznie; towarzysze Laperusa, podobnie jak Anglicy, osądzili, że wyspiarze są dowcipnemi lecz uważali ich za nędzniejszych i liczniejszych. Chaty ich tworzyły wioski, a niekiedy mieszkańcy całego obwodu, przesiadywali pod jednym dachem. Takowe wielkie domy, tak wspólnie zajmowane, miewały więcej niż 300 stóp długości, najstaranniej były zbudowane i miały zupełne podobieństwo do przewróconego czółna. Jeśli porównamy sztuki i postępy towarzyskie owych wyspiarzy, jakkolwiek takowe były proste, ze słabymi środkami w jakie zaopatrzyła ich natura, mogą prawdziwie być uważani za lud najosobliwszy na całym świecie. Z *wysp Wielkonocnych*, Francuzi udali się do *wysp Sandwich*, dla zaopatrzenia się w świeże zapasy, przebywali czas jakiś na wyspie *Mowe*, której Kook nie widział.

Laperus od tej chwili rozpoczął trudną część prac swoich, przejrzeniem północno-zachodniego brzegu Ameryki, do której przybył w Czerwcu 1786, pod 59^o szerokości. Pozostawało mu na to dwa lub trzy miesiące tylko, gdyż stosownie do instrukcyi, musiał w Lutym udać się do Chin, aby z następną wiosną zacząć zdejmowanie planu brzegów Tartaryi. Zawinął do brzegów Ameryki niedaleko góry Świętego - Eliasza; od tego punktu, dalej ku północy, brzegi starannie odrysowanemi zostały przez Kooka, dla którego Laperus zawsze okazywał nadzwyczajne uszanowanie; osądził więc, iż zamiast poprawiania błędów owego wielkiego żeglarza, uczyni większą przysługę, uzupełniając próżnią którą tamten zostawił, postanowił przeto popłynąć wzdłuż wybrzeża ku polu-

dniowi od góry Świętego-Eliasa, aż do osady hiszpańskiej *Monterey*.

Gdy się Francuzi zbliżyli do brzegu, odkryli ciasny port, znajdująca się wewnątrz woda, tak się zdawała być spokojną, że po jakimś wahaniu, odważyli się weń w płynąć, prąd jednak był tak gwałtowny na samym wstępie, że o mało okręta nie zostały rzucone o skały. »Od lat trzydziestu jak żegluję, mówi Laperus: nigdy jeszcze nie widziałem aby dwa okręta były tak bliskimi żguby.» Francuzi przepatrzyli tę zatokę, zdała się ona im być jednym z najobłidszych miejsc na całym świecie. Aby mieć o niej wyobrażenie, trzeba sobie wystawić sadzawkę niezgłębioną, okoloną stromemi górami, które śnieg ciągle okrywa; nigdzie najmniejszej smugi trawy, coby zdradzała wieczystą niepłodność, na którą przyroda zdaje się, iż wskazała te miejsca. Powiew wiatru zaledwie niekiedy muśnie tam wodę. Nic niezakłóca ciszy, chyba ogromny odłam lodu, który czasami oderwawszy się od jednej z pięciu lodowni, hukliwym swym spadkiem budzi dalekich gór echa; powietrze tak jest spokojne, milczenie tak głębokie panuje w tych miejscach, że głos ludzki, lub wrzask morskiego ptaka gnieżdżącego się w skałach, o pół mili mogą być słyszane.

Francuzi wzniesli obserwatorium na małej wyspie, którą kupiwszy od dzikich, uroczyście objęli w posiadłość. Uważali ów port za wyborowy punkt dla handlu futrzanego; albowiem dość był oddalonym od faktoryi rossyjskich, angielskich i hiszpańskich, aby te narody mogły kiedyś rościć jakowe pretensye do niego. Osady obu okrętów najlepszego używały zdrowia, i wyprawa aż dotąd zdawała się być uwieńczoną pomyslnym powodzeniem, gdy nagle nieprzewidziany wypadek zasmucił naszych żeglarzy i w części zniszczył nadzieje przez nich powzięte. Kazano trzem czołnom zmierzyć głębokość wejścia do portu, do którego przystęp tak był utrudnionym przez gwałtowność odpływu. Laperus zalecił panu Eskures dowódcy tego oddziału, największą przeczność.

Lecz ten biorąc za dowód odwagi narażenie się na niebezpieczeństwo, którego ogromu niepojmował, za nadto zbliżył się do skał, przy których dwa jego czołna pochłonięte zostały, trzecie z największą zaledwie trudnością uszło przed zupełną zagładą. Smutny ten wypadek, pozbawił życia 21 osób. *Port Francuzów*, (tak nazwaną została owa przystań), leży pomiędzy 58° 37' szerokości, a 139° 50' długości zachodniej. Okręta posunęły się później ku południowi, aż do samej osady hiszpańskiej *Monterey*. Podczas tej części swojej podróży, Laperus zwrócił uwagę na poszarpany pozór tego wybrzeża, i odgadł istnienie archipelagu, który później otrzymał nazwę *wysp Królowej-Karoliny*. Wyprawa naprawiwszy okręta w *Monterey*, gdzie zawiąnęła w połowie Września, przebyła ocean Spokojny, niedokonawszy żadnego ważnego odkrycia, oznaczyła tylko położenie *wysp Złodziejskich* (*Ladronów*), *wysp Bashe* i zarzuciła kotwicę w *Ma-kao*, 2 Sycznia 1787. Gdy ukończono potrzebne przygotowania do podróży roku następnego, Laperus udał się do *Manilli*, z kąd wyruszył na początku Kwietnia, w wyłącznym celu zdjecia planów wschodniego wybrzeża *Tataryi*. Po drodze zawiąnął do *wysp Rybaka* i *Loochoo*, nie wchodził jednak w żadne stosunki z krajowcami. Przepatrzył potem *wyspę Quelpaert* i opłynął brzegi *Korei*. Przylądek *Nota*, na wschodnim brzegu *Japonii*, wkrótce potem został odkryty. Ponieważ Laperus przebiegał owe morza mało znane od żeglarzy europejskich, wzbogacony postępem astronomii i ulepszeniem narzędzi; mając przed sobą przykład niezmordowanego *Kooka*, któremu zawsze oddawał zupełną sprawiedliwość, przeto postrzeżenia czynione przez niego, powinny być zasadą do wszelkiego dokładnego i zupełnego jeograficznego wskazania drogi.

Nakoniec, w połowie Czerwca, Francuzi ujrzeli wybrzeża *Tataryi* pod 42° szerokości, i opłynęli takowe w niewielkiej odległości od brzegu nie postrzegłszy nigdzie najmniejszego śladu

mieszkań. Odkryli pod 45° 13' szerokości port, w którym zarzucili kotwice i takowy nazwali przystanią *Ternay*. Francuzi zdziwili się wysiadłszy na ląd, że kraj pozornie tak płodny, tak hojnie obdarzony darami przyrody, dotąd jeszcze był niezamieszkałym. Roślinność tamtejsza była silniejsza i obfitsza od francuzkiej. Wszelkie gatunki róż i lilij, zaścierały ziemię. Szczyty gór okrywały wzniosłe sosny; poniżej ciągnęły się dębowe lasy, stopniowo coraz to niżej, aż do morskiego brzegu. Klony, brzozy, i mnóstwo innych drzew, ocieniało brzegi rzek i strumieni. Chciano bliżej przejrzeć piękny ten kraj, niemożna było jednak dalej postąpić tak rośliny były wysokie; a widok kilku ogromnych wężów i łak niezmiernych do przebycia niepodobnych, wstrzymał Francuzów. Postrzegli oni na brzegu ślady ludzkie, lecz te niewykryły żadnego stałego mieszkania. Tu i owdzie postrzegano drzewa ścięte ostremi narzędziami, i groby zawierające rozmaite szczątki.

Puściwszy się znowu na morze, Laperus odkrył na wschodzie nowy ląd, i postrzegł, że płynie po kanale, lub głębokiej zatoce. Zarzucili kotwice w przystani na wschodnim brzegu, który poznano, że był właśnie ziemią *Sagalen* (*Sakhalian*). Mieszkańcy, pokolenie pojętne, spokojne i gościnnie, dostarczyli żeglarzom naszym szacownych objaśnień dotyczących brzegów które właśnie zamierzali zwiedzić. Stosownie do życzenia Francuzów, jeden z krajowców narysował mapę owych krain, które znał dokładnie. Zaczął od nakreślenia na zachodzie linii, wyobrażającej wybrzeże Tatarskie czyli kraj *Mantschou*, którą nazwę wymawiał tak zupełnie jak Francuzi. Bardziej jeszcze na zachód, wskazał wyspę znacznej długości, którą nazwał *Tchoka*, ta była jego krajem, gdyż wskazał na siebie wymieniając ją. Zostawił wązki kanał pomiędzy tą wyspą a wybrzeżem tatarskim, potem w miejscu gdzie oba te lądy najbardziej były zbliżone do siebie, przy północnym krańcu cieśniny, umieścił ujście rzeki *Sagalen*, jeśli można mu wierzyć,

oddalone ono być miało od tej wioski o 7 dni żeglugi. Francuzi byliby chętnie sprawdzili dokładność jego objaśnień, lecz dla nadzwyczajnych wiatrów południowych i gęstej mgły, wstrzymali swoje śledztwo. Po krótkiej żegludze ku południowi, okręta ich przybyły do cieśniny oddzielającej ziemię *Sagalen* czyli *Tchoka* od ziemi *Yesso* (1). Jeografowie nadali tej cieśninie nazwę *Laperusa*. Stosunki naszych żeglarzy z krajowcami, stwierdziły objaśnienia otrzymane o kanale po którym żeglowali. *Sagalen* oddzieloną jest od stałego lądu Azji kanałem znacznie zwężonym, przy ujściu rzeki tegoż nazwiska, z resztą niedostatecznie głębokim, aby wielkie okręta mogły po nim żeglować. Opuściwszy cieśninę, której zostawił swoją nazwę, Laperus przejechał następnie wybrzeża opisane niegdyś w podróży pana *Kastrikum*, lubo dotąd opowiadania dawnego żeglarza hollenderskiego, nieposiadały żadnej wziętości.

Odkrycia dokonane przez Laperusa w tej części podróży, są najważniejszymi. Wyspa *Sagalen* (jeśli istotnie ziemia ta jest wyspą, a nie półwyspem), jest jedną z największych wysp na kuli ziemskiej, a jednak Europejczycy tak ją znali niedokładnie, że Rosyianie, wiedzący najlepiej o wszystkim co się dotyczyło owych stron, zaprzeczali nawet jej istnienie. Ziemia *Yesso* czyli *Yedzo*, którą wyobrażano sobie jako ziemię bajeczną, zaczęła naówczas także przybierać pozór rzeczywistości.

Laperus doznał w *Kamezatce* tejże uprzejmiej gościnności, z jaką przyjęto angielskich żeglarzy, tam miał sposobność uczcić pamięć jednego z nich. Brat sławnego jeografa *Delisla*, należał jako astronom do wyprawy *Behringa*; lecz choroba, która porwała tyle ofiar pomiędzy jego towarzyszami i jego nieoszczędziła, zakończył on życie wraz z wyprawą. Kapitan *Klarke*, przybywszy

(1) Na mappach francuzkich, wyspa *Tchoka* nazywa się zarówno ziemią *Yesso* lub *Jeso*; inna wielka wyspa leżąca na południe téjże i oddzielona od niej cieśniną którą odkrył Laperus, zowie się *Chicha*.

do Kameczatki, szukał i odkrył grób tego cudzoziemca, którego zamilowanie nauki powiodło aż ku wschodniej kończynie Azji, rozkazał wyrycić zaszczytny napis na grobowcu Delisla de Lacroyer. Szczególnym trafem tenże kapitan Klärke, w powtórnej swojej podróży do Kameczatki, zakończył tam pracowity swój zawód i został na wybrzeżu pochowany. Lecz czas i klimat zatarty napis na jego grobowcu: Laperus zajął się odnowieniem onego i by go trwałszym uczynić kazał napis wyrycić na miedzianej tablicy. Jest coś tkliwego w owych wzajemnych względach obcych sobie żeglarzy, połączonych tylko wspólnością niebezpieczeństw i oddaleniem od ojczyzny, w której żyjąc, przez zawziętość krajową, możeby byli zmuszeni uważać się za nieubłaganych wrogów.

Laperus otrzymał od gubernatora Kameczatki pozwolenie odesłania łądem do Europy pana Lesseps, towarzyszącego wyprawie w stopniu łómacza narzeczy rosyjskich. Powierzono mu dzienniki i mapy tej podróży, aby one przewiózł do Francji. Lesseps odbył szczęśliwie podróż i dostarczył Europie mnóstwo szacownych objaśnień, o krajach dotąd nieznanach. On pierwszy ze wszystkich podróżników przebył dawny ład stały w całej jego rozciągłości.

Laperus znówu puścił się na morze i płynął przez czas jakiś równolegle od 37°, nadaremnie szukając łądów wskazanych na mappach hiszpańskich. Przepłynął tym sposobem po raz trzeci równik i przybył do *wysp Żeglarskich*. Zarzucił kotwicę przy *Mauna*, jednej z nich, w chęci zawiązania przyjacielskich stosunków z krajowcami i zaopatrzenia się w słodką wodę i świeże zapasy na których już mu zbywało. Dla wielkiej mnogości czołen i morskich swoich nawyknien, jak twierdzi Laperus, ci wyspiarze mieli prawo mienić się żeglarzami. Dzicy z *Mauny*, o których przyjaźń na nieszczęście starali się Francuzi, należeli do pięknego i silnego plemienia, byli kształtni i rośli; wzrost mężczyzn zwykle dochodził sześć stóp, a niekiedy i dwa cale jeszcze, byli przytem obdarzeni nądwyczajną siłą. Uwa-

żali oni Francuzów za pigmejczyków, a to uczucie fizycznej wyższości, wzbudziło w nich opryskliwą dumę i śmiałość, która później tak zgubne zrządziła skutki.

Francuzi przez swe ustąpienia i jak najlepsze obejście, dokazali, iż otrzymali od mieszkańców tej wyspy, żywność i wodę na których im zbywało. Laperus przeczuwając niebezpieczeństwo, chciał się oddalić; lecz pan Delangl, dowódca statku *Astrolab* odkrył, jak mniemał w głębi małej, bezpiecznej przystani, źródło słodkiej wody, chcąc przeto dopełnić swoich zapasów, po mocnych naleganiach, otrzymał pozwolenie z szalupami obu okrętów, i sześćdziesięciu-trzema ludźmi dobrze uzbrojonymi, udać się na ład. Lecz do owej przystani, napelnionej koralowemi pokładami przystąpić nie można było, tylko przez wązki kanał tak płytki, że czołna zaledwie posuwać się mogły. Pomimo jednak tych trudności, Francuzi zaczęli już wptywać.

Krajowcy, zrazu nieliczni, zdawali się chcieć im pomagać; lecz gdy się zbiegli tłumnie, zhardteli; nakoniec kobiety i dzieci, oddalając się, okazywały znakami, że gotowano się po nieprzyjacielsku przyjąć cudzoziemców. Ci schronili się do małych czołen, w których zbliżyli się do brzegu, w nich natłoczeni, nie mogli skutecznie używać palnej broni. Krajowcy rozpoczęli napad, rzucając silnie i trafnie kamieniami, ważącemi po dwa i trzy funty. Małe czołna wkrótce zostały zniszczone, i wszyscy co się nie rzucili wptaw dla powrócenia do szalup, okrutnie wymordowani zostali; krajowcy wyciągali trupy na ład, i rozszarpywali je z wściekłym zapętem. Kapitan Delangl padł pierwszy. Pau Lamanon, naturalista wyprawy i dziewiętnastu ludzi, legło w owej smutnej potyczce. Gdy ocaleni opowiedzieli szczegóły owej katastrofy, boleść i oburzenie ludzi okrętowych nie miały granic; każdy chciał się mścić na wyspiarzach śmierci zamordowanych współbraci; Laperus z trudnością zaledwie zdołał ich uspokoić i odwieść od klęsk które by niezawodnie nastąpiły, z do-

konania tej niepotrzebnej, a może i niesłusznej zemsty.

Powtórne to nieszczęście, uczyniło Francuzów podejrzliwsiemi w ich stosunkach z dzikimi. Może to był powód, że Laperus przepływając około *Wawaoo* i kilku innych wysp, najprzychylniej opisanych przez Kooka, nie chciał mieć najmniejszych stosunków z krajowcami. Krótko bawił na tym zajmującym archipelagu i płynął dalej ku południowi aż do *wyspy Norfolk*. Naturaliści tej wyprawy mniej szczęśliwi od towarzyszy Kooka, nie mogli wysiąść na ląd dla zbadania przyrody owego odległego zakątku ziemi.

Francuzi przybywszy do zatoki *Botany* w zamiarze naprawienia szkód swoich przed puszczeniem się na trzecią wyprawę, z radością postrzegli, że kilka okrętów angielskich zarzuciło tam kotwicę. Europejczycy, napotykając się w owych odległych krainach, wtajemnic jak dawni przyjaciele, jako członkowie jednej rodziny. Laperus dowiedział się że Anglicy przybyli w te miejsca dla założenia osady i zamierzali rozszerzyć swoje zakłady aż do *Port-Zakson*, przepysznnej przystani, położonej o kilka mil dalej ku północy. Wspomina iż z największemi względami przyjęty został przez osadników i ich gubernatora, z którymi w codziennych prawie zostawał stosunkach. Korzystając z odpłynienia okrętów angielskich przesłał do Europy dopełnienie dziennika i mapy które odrysował po swoim oddaleniu z *Kamczatki*. W liście pisany z *Botany-Bay*, i datowanym 7 Lutego 1787, rozwinął plan, którego się miał trzymać w dalszym ciągu swojej podróży. To była ostatnia nowina jaką otrzymano o tym nieszczęśliwym żeglarzu. W kilka dni wypłynął z *Botany-Bay*.

Dwa lata już upłynęły jak Laperus miał powrócić do ojczyzny, a nieotrzymano żadnej wiadomości o jego wyprawie; niewątpiono więc, że okręt jego się rozbił, a on albo zatonął na oceanie lub dręczony z niektórymi swojemi towarzyszami przebywa na jakiejś dalekiej wyspie morza Południowego. Zgromadzenie narodowe, wydało po-

stanowienie w Lutym 1791 r, w którym błagało króla Francuzkiego, o przesłanie do innych monarchów Europejskich uwiadomienia, z prośbą, aby w imieniu ludzkości, zalecili swoim poddanym, żeglującym po wszystkich częściach świata, a szczególnie na morzu Południowem, aby zbierali wszelkie jakie można objaśnienia, o losie nieszczęśliwej wyprawy którą dowodził Laperus, a jeśli znajdą gdzie jeszcze przy życiu jakich ludzi należących do niej, by im udzielano wszelkiej pomocy. Błagano zarazem monarchę aby wysłał 2 okręta, już to dla wywiedzenia się o losie Laperusa, i uzupełnienia odkryć geograficznych których on niedokończył. Dowództwo tej wyprawy, powierzono admirałowi *Dentrecasteaux*. Przybywszy on do przylądka *Dobrej-Nadziei*, powziął przez wysłańca z *Indyi* uwiadomienie, że na wyspach *Admiralskich*, na zachód *Nowej-Brytanii*, kapitan statku *hollenderskiego* widział krajowców w znacznej liczbie, w mundurach marynarki francuzkiej, z czego wnosił, że okręta tego narodu musiały zginąć w tamtych okolicach.

Dentrecasteaux popłynął do wysp *Admiralskich*, lecz nie takiego nieodkrył, z czego by dorozumieć się można było, że okręta francuzkie kiedykolwiek w tej stronie zniknęły. Chwycił się więc pierwszego swojego planu działania, opłynął *Nową-Hollandyę* od zachodu i południa i wyruszył następnie z *Botany-Bay*, dla przepatrzenia drogi, którą Laperus miał zamiar się udać, jak to przynajmniej w ostatnim swoim liście wynurzył. Dla lepszego odkrycia śladów swoich współrodaków, płynął zawsze tak blisko brzegu, jak to mógł uczynić bez niebezpieczeństwa; okoliczność ta, drobnostkowe szczegóły planów i akuratność postrzeżeń, uczyniły podróż jego bardzo pożyteczną dla nauki ziemio-pisarskiej. Postrzeżenia naturalisty *Labillardiere*, towarzyszącego wyprawie, wiele się także przyłożyły do pomnożenia znajomości rozmaitych płodów kuli ziemskiej. *Dentrecasteaux* nie odkrył najmniejszego śladu, ani powziął żadnej wiadomości o Laperusie.

Sprawdził tylko, wybadując krajowców, że nieszczęśliwy ów żeglarz nigdy nie-zwiedził *wysp Przyjacielskich*. W swoim powrocie do Francji, postrzegł zdaleka jedną z *wysp Królowej Karoliny* i tę nazwał *wyspą Poszukiwaną*, lecz jej nieprzejrzał z zwykłą sobie uwagą. Umarł wkrótce potem, podobnie i jego następcą. Choroby tak srodze grasowały, że trzecia część majątków wymarła nim się wyprawa dostała do Jawy; na dopełnienie nieszczęść, okręta zostały tam pojmane w niewolę przez Hollendrów. Tak się skończyła wyprawa pana Dentrecasteaux, równie nieszczęśliwa jak ta, której ślady na próżno usiłował znaleźć. Stan interesów politycznych we Francji, przeszkodził szukaniu Laperusa, i prawie czterdzieści lat upłynęło, nim jeden promyk światła przebił tajemnicze chmury, los jego osłaniające.

W miesiącu Wrześniu 1813 r. statek Hunter z Bengalii, pod dowództwem kapitana Robson, przybył do wysp Witi, dla zebrania ładunku drzewa sandałowego. Krajowcy teraz już nawykli do handlu z Europejczykami, i chętnie im dopomagają ładować okręta; otrzymując za to wynagrodzenie w broni palnej i nabojach. Kupcy Europejscy którymi żadne inne niepowoduje uczucie prócz żądzy zarobku, dopomagają częstokroć dzikim w wojnach wewnętrznych, a jeśli nie pozerają wraz z nimi wrogów pokonanych, to przyczyniają się jednak do owych ucięt ludożerczych. Ztąd powstała śmiertelna zawziętość pomiędzy Europejczykami a niektórymi pokoleniami krajowców. Podczas gdy Hunter stał na kotwicy przy jednej z owych wysp, wszyscy Europejczycy przebywający na lądzie, których większa część zwerbowana była pomiędzy dezertkami marynarki kupieckiej, ludzie zręśli bez czci i moralności, zostali wymordowani i pożarci przez Indyan, z wyjątkiem trzech tylko osób, które schroniły się na okręt Hunter, błagając aby je wysadzono na pierwszej mieszkalnej wyspie, którą napotkają. Stosownie do tego życzenia zostawiono ich na wyspie *Tukopii* czyli *Bar-*

well pod 12° 15' szerokości południowej i 169° długości, w południo-wschodnim krańcu wysp *Królowej Karoliny*, gdzie najuprzejmiej przyjęci zostali przez krajowców.

W Maju 1826 r. kapitan Dillon, który znajdował się na okręcie Hunter, gdy ten odbywał żeglugę do wysp Witi, i był jednym z owych trzech Europejczyków, którzy uszli przed wściekłością wyspiarzy, powracając na statku *Święty Patryk* z Walparaiso do Ponediszery, około wysp *Tukopia*, zapragnął dowiedzieć się o losie dawnych swoich towarzyszy, zostawionych w ówczas na owej wyspie. Zawijając do lądu, postrzegł zbliżające się ku sobie czółna z krajowcami, pomiędzy którymi poznał dwóch dawnych swoich znajomych, to jest Laskara i Marcina Bushart. Jeden z kanonierów okrętowych kupił od pierwszego rękojeść od pałasza srebrną, i gdy wypytywano się jakim sposobem dostała się do dzikich, Marcin Bushart opowiedział, że przybywszy na wyspę, znalazł tam kilka zasuwek żelaznych, topory, noże, filizanki od herbaty, łyżkę srebrną i kilka innych przedmiotów, a wszystkie pochodzące z fabryk francuzkich. Gdy po dwóch latach nauczył się mowy krajowców, powziął wiadomość, że żaden inny okręt prócz *Huntera* nigdy nie był widziany przy wyspie; a owe wszystkie narzędzia przywiezione były z *Manikolo*, grupy wysp leżących na zachodzie: we dwa dni można było dostać się do nich w czółnie. Kapitanowi Dillon zdało się iż postrzegł na rękojeści pałasza, o której wyżej wspomnieliśmy, pierwsze litery nazwiska Laperusa, badając przeto ciągle krajowców, z których wielu zwiędziło pomienione wyspy, powziął wiadomość, że przed wielu już laty, dwa okręta rzucone zostały na brzegi *Manikoli*, i że osada jednego z nich całkiem zatopiła się, znajdujący się zaś na drugim na ląd wysiedli, w czasie swego pobytu zbudowali z sześcioro okrętu mały statek na którym odplynęli, zostawiwszy jednak kilku z pomiędzy siebie, których usługi wojskowe

były bardzo przydatne pokoleniom, z którymi zawarli przymierze. Laskar, zwiedzając Malikolo, widział dwóch z owych Europejczyków, lecz nie można go było nakłonić by wrócił na tę wyspę. Marcin Buschart przeciwnie, strudzony życiem pędzonym w śród dzicy, chętnie zezwolił na towarzyszenie kapitanowi Dillon i dopomożenie mu w jego poszukiwaniach; lecz gdy okręt znajdował się na widoku *Manikolo* (wyspa Poszukiwania), widzianej i wskazanej przez Dentrecasteaux, nagle powstała zupełna cisza; zaczynało już zbywać na zapasach; przeto kapitan był zmuszony nateraz zaniechać poszukiwań i najspieszniej wrócić do Pondiszery. Załedwie zawiął do portu, podał rządowi przedstawienie, w którym wymienił ślady jakie sądził, że powziął o losie Laperusa i sposoby, jakie jego zdolności i długie stosunki z wyspiarzami morza Południowego, nastęrczały mu dokonania rozpoczętych przez niego poszukiwań, które nietylko obchodziły ludzkosc w ogóle, lecz mogły uświetnić rząd wspaniałomyślny chcący je przedsięwziąć. — Przedstawienie to zwróciło uwagę, na którą zasługiwało. Okręt zwany *Poszukiwanie*, pod rozkazami kapitana Dillon, wypłynął w Styczeniu 1827 r. dla rozpoczęcia śledztwa. Przybił najprzód do Tukopii, gdzie zaopatrzył się w sternika i tłómacza krajowca. Ztamąd Dillon udał się do *Malikolo*, którą pilnie przejrzawszy, znalazł ze wszęch stron otoczoną raffami koralowemi, pomiędzy którymi załedwie było kilka wązkich przystępów. Dillon zdołał zawjazać przyjacielskie stosunki z krajowcami, uwiadomili go oni, że jeden z okrętów Europejskich, przybił do miejsca zwanego *Whanow*, i zatonął w morzu; inny rozbił się o skały sąsiednie *Pajn*, a cudzoziemcy którzy się wyratowali na ląd, zostawali na wyspie przez pięć miesięcy, i zajmowali się zbudowaniem małego statku. Dnicy zaprzeczali iż napadli i wymordowali osadę jednego z owych okrętów. Kapitan Dillon nie mógł wyjaśnić tego czynu, ani sprawdzić pogłoski, puszczonej w Tukopia, że czaszki cudzoziemców, którzy się rozbili,

przechowywane były przez wyspiarzy Manikolo, w budynku publicznym zwanym *domem duchów*. Kapitan sądził z resztą, że nieprzyjacielskie kroki wyspiarzy przeciw Francuzom, którzy w czasie swego pohytu na wyspie, jak się zdaje byli zmuszeni chronić się po za drewnianemi wałami, nie pochodziły jedynie z domyślnego i wrodzonego okrucieństwa, lecz z mniemania, że owi cudzoziemcy byli istotami nadprzyrodzonymi, duchami morza. Zresztą, można istotnie sądzić, że zwykłe ich okrucieństwo, zostało wzbudzone przez zabobonność, gdy wspomniemy na szczególności, których udzielali o Francuzach. Opisywali ich jako rozmawiających zwykle z księżycem i gwiazdami za pomocą długiego kija; stosuje się to wprost do teleskopu astronomicznego. Trójgraniaste kapelusze, które w ówczas nosili Francuzi, dały powód dzikom do mniemania, że nos ich był na stopę długą. Nie mniej komicznie opisywali wartę, gdyż wystawiali ich jako lndzi stojących na jednej nodze i trzymających sztabę żelaza w rękę.

Kapitan Dillon zajmował się pilnie i szczęśliwie zebraniem wszystkiego co Francuzi pozostawili. Przypatrując się koralowej skałe o którą okręt uderzył, odkrył i wyciągnął z morza kilka spiżowych armat. Odkupił od krajowców deskę oderwaną od tyłu okrętu, na której był wyryty kwiat lilii; nabył także dzwon morski, z napisem *Bazin mnie robit*; mnóstwo sztab żelaznych; kilka szczątków porcellany, rurki od barometrów i innych przedmiotów. Pówrócił w Kwietniu do Kalkuty.

Gdy w Lutym 1828 roku, Kapitan Dillon przybił do Paryża ze szczątkami wyprawy francuzkiej, łaskawie przyjęty przez Karola X, otrzymał od niego pensyę 4,000 franków, w nagrodę swych usług. Hrabia Lesseps, który opuścił wyprawę Laperusa w Kamezatee, poznał że przywiezione armaty, były takie jakich używano na fregatach francuzkich; utrzymywał iż tył okrętu, ozdobiony snycerską robotą, należał do statku *Busola*. W tymże czasie sir William Betham, uczony genealogista, po-

znał, że herb wyryty na srebrnym lichtarzu, znajdującym się pomiędzy znalezionemi przedmiotami, był herbem Colignona botanika, który na tejże pły-

nał fregacie. Zdaje się więc, że *Bussola*, na której żeglował Laperus, rozbiła się o rafy koralowe, *Astrolab* zaś wraz z całą osadą zatonął.



ROZDZIAŁ XXXII.

EUROPEJCZYKOWIE NA MORZU POŁUDNIOWEM.

Przybycie Pernhynu do Otahity. — Kapitan Watts utrzymuje że Kook żyje jeszcze. — Podróż kapitana Bligh. — Jego pobyt w Otahicji — Zbuntowani majtkowie zabierają statek Dobroć. — Zdziwiająca podróż Bligha w czółnie odkrytem. — Zbuntowani płyną do Otahity. — Uprawdzają część zwierząt znajdujących się na wyspie. — Płyną ku Toobooai. — Przymuszenu są powrócić do Otahity. — Okręt Dobroć oddala się z tej wyspy w nocy. — Nie wiadomo co się z nim stało. — Pojmanie w niewolę zbuntowanych majtków. — Rozbicie Pandory. — Druga podróż Bligha. — Hete-Hete towarzyszy mu do Indyi Zachodnich. — Potomkowie zbuntowanych znaleźieni na wyspie Pitkern. — Opis mieszkańców. — Dzieje ich osady. — Okręt Antylopa rozbija się na wyspach Pelew. — Książę Lee-Boo zwiedza Anglię. — Zmiany w sztuce na wyspach morza Południowego. — Żelazo w cenie podwyższone. — Zapomnienie sztuk starodawnych. — Wpływ handlu europejskiego. — Rewolucya na wyspach Sandwich. — Misjonarze. — Drukarnia wprowadzona do Otahity. — Przemysł Nowo-Zelandczyków. — Wiara chrześcijańska przyjęta na wyspach Przyjacielskich.

Nie pierwszy Kook zwiedził morze Południowe; jednak jego odkrycia i sztuka zachowania zdrowia żeglarzom w długich podróżach, upoważniają nas do wyrzeczenia, iż pierwszy wytknął regularną drogę po Wielkim-Oceanie, który utworzył zupełnie przedsięwzięciom Europejczyków. Handel futrami, na północno-zachodniem brzegu Ameryki, przez niego wskazany smiałym spekulacyom kupców angielskich; osada *Nowej-Południowej-Galii*, która także winna mu swój początek; powodzenie z jakim przezimował i zaopatrzył swoje okręta na wyspach Wielkiego-Oceanu, te były przyczyny, które spowodowały Europejczyków do utworzenia z wyspiarzami morza Południowego czestych i czynnych stosunków. Handel futrami rozwinął się natychmiast po powrocie ostatniej wyprawy; lecz pierwszy popęd uniosł go na północ, tak, że objął tylko wyspy Sandwich. Jedenaście lat upłynęło od ostatniej bytności Kooka w Otahicji, gdy okręt europejski ukazał się niedaleko od tej wyspy. Roku 1788 *Pernhyn*, dowodzony przez porucznika

Watts, płynąc z Port-Zakson do Chin dla braku wody i żywności, zkręcił na wschód i dostał się aż do Otahity. Krajowcy tak skwapliwie dopytywali się o kapitana Kook, że porucznik Watts nie chcąc stracić wpływu jaki na nich wywierał, upewnił ich że Kook żyje jeszcze, i wkrótce przybędzie odwiedzić swoich przyjaciół Indyan. Obwiniano często o płochość wyspiarzy morza Południowego, a nadewszystko mieszkańców Otahity; jednak oni okazywali się ciągle przywiązani do tych, którzy pierwsi odkryli im sztuki cywilizacji.

Zaledwie *Pernhyn* opuścił Otahitę, gdy kapitan Bligh przybył tam na okręcie *Dobroć*. Wysłany on był na morze Południowe, dla zebrania szczepów drzewa chlebowego i innych płodów roślinnych, które chciano aklimatować w osadach angielskich Indyi Zachodnich. I on także usiłował wmówić w krajowców, że Kook żyje jeszcze. Władca wyspy Pomare i jego żona Iddea, błagali go aby ich wzięt ze sobą do Anglii. Po ośmio-miesięcznym pobycie w zatoce Mataway, zabrawszy na swój

okręt przeszło tysiąc szczepów drzewa chlebowego, kapitan Bligh opuścił wyspę; lecz majtkowie zepsu ci tak długą bezczynnością, omamieni hołdami oddawanemi im przez wyspiarzy, powzięli o życiu dzikich najpoważniejsze wyobrażenie. Podnieśli rokosz gdy okręt opuszczał wyspy Przyjacielskie; kapitana Bligh wraz z innemi oficerami i kilku wiernemi majtkami w liczbie szesnastu osób, przesadziwszy w czółno, dawszy im kompas żeglarski i nieco żywności, puscili na igrzysko wiatrów.

Buntownicy pod rozkazami Krystyana Fletchera, wydawszy trzy okrzyki puscili się ku Otahicie. To działo się przy *Toofooa*, na której Bligh wysiadł dla zaopatrzenia się w słodką wodę; lecz wyspiarze, odgadłszy stałość sił europejczyków, już gotowali się do zabrania ich, lecz Bligh z towarzyszymi lubo z wielką trudnością jednak uszedł. Po żegludze cudem prawie dokonanej, Bligh przybył do osady Hollenderskiej w *Timor*, przepłynąwszy cieśninę Torres innym kanałem, a nie tym który zwiedził Kook, i pomimo braku narzędzi, zebrał szacowne postrzeżenia. Buntownicy lękając się iż zostaną wkrótce odkryci i ukarani, pozostając na Otahicie, puscili się ku *Toobooai*, wyspie którą Kook odkrył w drugiej swojej podróży, prawie o 50 mil na południe od Otahity; jednak dla braku bydła nie obrabli jej na swe mieszkanie. Krystyan ze swojemi wrócił do Otahity, i oświadczył krajowcom, że spotkał kapitana Kooka, który mu rozkazał zabrać ile będzie mógł bydła, dla założenia osady na sąsiedniej wyspie, ku zachodowi. Wyspiarze pragnąc okazać dowód swej gorliwości dla wielkiego człowieka, którego przybycia zawsze oczekiwali, ubiegali się na wścigi w dopełnieniu woli Krystyana; po kilku dniach odpłynął do *Toobooaj*, mając 460 wieprzy i 50 kóz, nie licząc w to znacznego mnóstwa psów, kotów i drobiu. Zabrano także byka i krowę, lecz byk zdechł wkrótce z powodu niedozoru. Kilka kobiet Otahickich, a więcej jeszcze mężczyzn, odpłynęło z buntownikami. Po

między temi wychodcami znajdował się ów Oedydeusz, lub raczej Hete-Hete, rodem z Bora-Bora, który towarzyszył Kookowi w jego drugiej podróży. Lecz w *Toobooai* buntownicy angielscy nie mogli się zgodzić z krajowcami, których ciągle nieprzyjacielskie postępowanie tak im dokuczyło, że roku 1789, opuścili tę wyspę, po trzeci i ostatni raz. Zaledwie zarzucili kotwicę w zatoce *Matawai*, kilku z dzikich wychodców i szesnastu majtków angielskich wysiadło na ląd. Pozostali na okręcie, oberznąli liny w nocy i puscili się na morze; przez wiele lat niewiedziano co się z niemi stało: trzydziestu pięciu wyspiarzy, mężczyzn, kobiet i dzieci, popłynęło z niemi.

Anglicy pozostali w Otahicie, których nadzieja życia spokojnego i szczęśliwego przywiodła do zbrodni, musieli pracować dla uniknienia przykrego położenia. Zbudowali schooner. Ten przykład śmiałości, wytrwałości i siły, wywarł wielki wpływ na prostodusznych wyspiarzach. Churchill, został obrany władcą w *Waheadoo*, mniejszego z dwóch półwyspów; krajowcy chępli się swoim cudzoziemskim naczelnikiem; bo gdy został zamordowany przez jednego z swoich kolegów, zazdroszącego mu jego wywyższenia, pomścili się jego zgonu, ukamienowaniem mordercy.

Roku 1791, fregata *Pandora*, pod dowództwem kapitana Edwards, zawinęła do Otahity, wysłaną ona była przez rząd angielski dla pochwylenia buntowników. Wszystkich pozostałych na wyspie w liczbie czterestu, sprowadzono na okręt z wielkim żalem wyspiarzy. Fregata powracając rozbiła się i czterech z więźniów zginęło w tém zdarzeniu. Z dzieściami przybyłych do Anglii, trzech tylko śmiercio ukarano.

O Krystyanie zaś i siedmiu występnych którzy z nim odpłynęli na okręcie *Dobroc*, niemożna było powziąć żadnej wiadomości. Nakoniec roku 1808, kapitan Folgar, dowodzący kupieckiem statkiem amerykańskim, przybył do wyspy *Pitkern*, dla uzupełnienia ładunku skór foków. Sądził że wyspa jest niezamieszkaną; lecz z wielkiem zadziwieniem 300 młodzieńców mówiących doskonale po

angielsku, przyplącało członem do okrętu i podarowali mu wieprza. Opowiedzieli że ich ojciec był Anglikiem, i służył pod rozkazami kapitana Bligh; Folgar, wysiadłszy na ląd, ujrzał w istocie Anglika nazwiskiem Aleksander Smith, który niegdyś należał do osady statku *Dobroć*. On tylko jeden pozostał ze wszystkich przy życiu, gdyż innych wymordowali Otahitezykowie, których wkrótce nawzajem poświęciły swęj zemście wdowy poległych. Smith widząc lekął się skutków swęj ucieczki, gdyż we wszystkich następnych stosunkach, co raz to inne przybierał nazwisko. Roku 1814, kapitan Staines przybivszy do wyspy Pitkern, z wielkiem zadziwieniem usłyszał, że jęj mieszkańcy, w liczbie czterdziestu sześciu, jak najczęściej mówili po angielsku. Szanowny starzec, przybrał naówczas nazwę Johna Adams, był patriarchą owęj małej rzeczypospolitej, lub raczej rodziny niezakłóconęj jeszcze niezgodą lub występkiem. Najstarszy z mieszkańców zrodzonych na wyspie był synem Krystyana i ochrzczoney został pod imieniem Czwartek Październik Krystyan. Stary Smith, czy Adams, najprzód lekął się bardzo aby Anglicy niepochwycili go; lecz gdy go zapewniono w tym względzie, okazał wraz z swym ludem najżywszą radość na widok tych, których z upodobaniem nazywał swemi współrodakami.

Młodzi krajowcy wyspy *Pitkern* czyli wyspy *Krystyana*, obdarzeni są wielką pięknoscią, łączą siłę tak pospolitą u wyspiarzy morza Południowego z rykami zupełnie angielskiemi; kobiety nade wszystko odznaczają się swojem ułożeniem i kształtem; są zarazem skromne, niewinne i wesole. Domy na wyspie są dobrze zbudowane i zaopatrzone w łóżka, wszystkie narzędzia, jako to siekiery, łopaty i t. p., ukuto z żelaza zabranego ze statku *Dobroć*, który w tym celu zniszczono. Obie płci zarówno uprawiały ziemię; pierwsi osadnicy używali zarazem nasion europejskich i naturalnych płodów morza Południowego. Stary Adams utrzymywał dziennik, w którym szczegółowo za-

pisywał robotę przez każdego dokonaną. Prócz własności prywatnej, mieszkańcy jak się zdaje, mieli wspólną kasę.

Wiele innych szczegółów, dotyczących tęj zajmującej osady, wykrytych zostało przez kobietę otahitską, która zwiedziła Nową-południową-Galię. Była ona najprzód żoną Izaaka Maddena, jednego ze zbuntowanych, lecz później dostała się Smithowi, który wykłut na jęj lewęj ręce datę ich związku i pierwsze litery swego nazwiska: „A. S. 1789.” Według jęj opowiadania, Nedy-Young, jeden ze zbuntowanych, odkrył sztukę dystalowania likworu z korzenia herbatowęgo; ztąd powstały nienawiści i niezgody, które się zakończyły śmiercią wszystkich europejczyków, wyjąwszy Smitha, mocno on raniony, ocalał swe życie, ukrywając się w lesie. Następnej noey po owęj rzezi, wdowy Otahitskie pomściły zabójstwo swych mężów Anglików, wymordowaniem wszystkich współrodaków. Tym to sposobem Smith został jedynym mężczyzną na wyspie, wyjąwszy kilkoro małych dzieci. Zresztą, żadne z tych dzieci nie pochodziło z czystego Otahitskiego plemienia. Alembik i trunki, przyczyny wszystkich owych nieszczęść, oddane zostały pierwszemu amerykańskiemu okrętowi przybytemu do wyspy, w zamian za szalupę która w ówczas była kosztownem nabyciem. Okręt wystany na połów wielorybów, roku 1822, przepływając około wyspy Pitkern znalazł, że ludność jęj składała się z siedmiu rodzin liczących w ogóle pięćdziesiąt trzy osoby. Sam Adams i sześć kobiet Otahitskich, pozostało tylko z pierwotnych osadników. Było już jedenastu młodzieńców czynnych i silnych, zawsze gotowych dopomagać okrętowi, chcącym się zaopatrzyć w wodę i drzewo. Uważano że ów lud nader pilnie pełnił obowiązki religijne, i zawsze poszczono w piątek. Wszystkie dzieci miały wyryty krzyż na karku; zresztą lubo podobni z prostoty swego życia do innych wyspiarzy morza Południowego, mieszkańcy wyspy Pitkern, wcale nie mają wad stanu dzikiego,

i może kiedyś wywrą znaczny wpływ moralny na rozproszonych mieszkańców Polinezyi.

Bligh powrócił na morze Południowe roku 1792, i wykonał powierzone sobie zlecenie. Przywiózł do Indyi Zachodnich obfity zapas szcepów drzewa chlebowego, i skłonił Hete-Hete, dawnego towarzysza Kooka, że z nim tam przybył, dla doglądania pierwszej uprawy owych drzew zamorskich.

Wyspy Pelew, leżące pomiędzy *Karolinami* i *Filipinami*, były od dawna znane żeglarzom hiszpańskim, którzy w swoich przeprawach z Manillii do Ameryki, często je wskazywali w dalekości, lecz długo nie można było powziąć o nich dokładnych szczegółów. Dopiero w r. 1783, gdy okręt *Antylopa* z Indyi Wschodnich, dowodzony przez kapitana Wilson, rozbił się o koralową skałę, leżącą na zachodzie grupy; żeglarze z rozbitego okrętu z największą łaskawością przyjęci zostali przez Abba-Tulle władcę wyspy, zbudowali mały statek i na nim powrócili do Anglii w towarzystwie księcia Lee-Boo, starszego syna swego gospodarza. Książę ten umarł w pięć miesięcy po przybyciu do Londynu, gdzie sobie zjednał powszechną przychylność przez łagodność i szlachetność postępowania. Roku 1790, Kompania Indyi Wschodnich wysłała z Bombay dwa okręta, zawiadomieniem Abba-Tulla o śmierci jego syna. Anglicy byli przyjęci z uprzejmością przez ów dobry lud i jego monarchę.

Owe stosunki osad angielskich z krajowcami wyspy Pelew, stały się niezmiernie korzystnymi dla tych ostatnich. W epoce o której mówimy, Kompania Indyi Wschodnich przysłała tam jako podarek, krowy, barany, drób rozmaitego gatunku, zboże i nasiona rozmaitych warzyw; roku 1788, gdy te wyspy zwiedził inny okręt angielski, bydlę oswojone już nadzwyczajnie się tam rozmnożyło, i rośliny wprowadzone obfity plon wydawały.

Od czasu Kooka, nieuczyniono żadnego znacniejszego odkrycia na morzu Południowym: wprawdzie kilka wysp

dotąd nieznanych zwiedzono, lecz to są mało ważne dodatki do wielkiej rodziny polinezyjskiej, którąśmy już poznali. Bez wątpienia znajduje się jeszcze na Wielkim Oceanie, znaczna liczba wysp, które dotąd uszły przed naszym poszukiwaniem, lecz mnogość już przejranych, odejmuje wiele uroku odkryciom, które odtąd będą dokonane. Stan towarzyski, moralny i polityczny wysp morza Południowego, znacznie się zmienił w upłynionym półwieku. Chwilowy pobyt Europejczyków, zrzucił w obyczajach tych dzieci natury większą daleko zmianę, niżeli się można było spodziewać w tak krótkim czasie. Gdy Wankuwer zwiedzał Otahitę r. 1791, żelazo było tam nadzwyczajnie drogie, pomimo to, że przybywające angielskie okręta, dostarczyły go nadzwyczajną mnogość; płody zaś zamieniane za ów pożyteczny kruszec, były o dwieście razy tańsze niżeli w czasie podróży Kooka. Nader słusznie to przypisywał zwiększeniu wartości otrzymanej z żelaza, a nie zbyt wielkiej obfitości zapasów potrzebnych do życia. Narzędzia z kości i koralu, z których wyspiarze także budowali niegdyś swoje czółna i robili rzeźby, świadczące o ich cierpliwości i zręczności, tak zupełnie wyszły z użycia, że gdyby handel żelaza nagle ustał, wyspiarze koniecznie w steczbę się cofnęli w swych sztukach i cywilizacji. Liczba ich czółen także się zmniejszyła, gdyż krajowcy poznali niedoskonałość budowanych przez siebie, a niebyli w stanie lepszych wystawić. Bydło zostawione przez Kooka i jego następców, nierozmnożyło się tak jak się tego spodziewano. Mieszkańcy przekładali mleko kokosowe nad krowie, zatem użyteczne te zwierzęta zupełnie zaniedbano. Tak potrzeby wyspiarzy znacznie się zwiększyły, a mało otworzono im źródeł do ich zaspokojenia; dawało się prócz tego spostrzegać smutne wyrodzenie fizyczne, jako skutek chorób wprowadzonych przez Europejczyków, które corocznie ludność téj wyspy zmniejszały. Jednak wyznać należy, że smutny ten obraz skreślony był podczas jednego z owych peryodów

zmian i zaburzeń, przez które obwieszczały się w towarzystwach ludzkich szybkie i trwałe postępy. Potrzeba i strapienia; poprzedzają zwykle u ludów epokę usiłowań i ulepszeń. W latach następnych zaraz po zwiedzeniu oceanu Spokojnego przez Kooka, wyspy *Towarzystwie* i *Przyjacielskie* zwiedzane były corocznie przez Europejczyków, których rzadko sprowadzały tam inne powody, jak zamięłowanie zysku. Jeśli okręta do wysp tych przybywające, potrzebowały majtków, kapitanowie bez żadnego skrupułu porywali i uprowadzali tylu krajowców ilu ich potrzebowali do robót okrętowych. To postępowanie dawało powód do odwetu. Kilkakrotnie udało się krajowcom opanować małe statki i zabrać działa okrętowe. Nader oni szacowali Europejczyków, bo chociaż ci żeglarze, którzy przez zamięłowanie życia dzikiego chętnie pozostawali na wyspach morza Południowego, byli najeżyciej ludźmi bez czci i wiary, krajowcy jednak uważali ich z łaskawością i pobłażaniem, ustępowali wszelkich przywilei należnych ich wyższości.

Pierwszym przedmiotem żeglarstwa europejskiego na morzu Południowym jest połów wielorybów, handel futrami, drzewem sandałowym i innymi zwrótkowemi płodami. Wieloryby ścigane w około kuli ziemskiej, nieznajdowały w najdalszych kończynach oceanu schronienia przed wytrwałością i chciwością człowieka. Okręta wypływające na połów ich, dążą po większej części ku wyspom morza Południowego. Handel drzewem sandałowym prowadzony z wyspami *Witi* i *Przyjacielskimi*, jest może przez sam rodzaj okrętów do skutecznienia go używanych, najgubniejszym ze wszystkich. Małe statki osadnicze, kierowane przez ubogich awanturników, mająnym względem niewstrzymanych, mają niejako monopolium tego handlu.

Handel futrami, odbywający się na północno-zachodnich brzegach Ameryki, spowodował nadzwyczajną zmianę na wyspach Sandwich, które przez swe położenie przedstawiają nader korzy-

stne schronienie statkom nim się trudniącym. Kupcy zwykle zimowali, naprawiali okręta i opatrywali one w zapasy na tych wyspach; z nadejściem lata, wracali ku brzegom amerykańskim i skupowali swój ładunek. Narzędzia żelazne, a nadewszystko strzelby, poszukiwane były od wyspiarzy w zamian za żywność; chciwi kupcy niepomi na skutki, ubiegali się z zaspokojeniem tego żądania. Wyspiarze stali się też niezadługo groźnemi dla swych gości i opanowali kilka małych okrętów. W owej epoce, jeden z nadzwyczajnych ludzi dokonał zmiany, zaczętej przez Europejczyków. *Tame-Tame-Hah*, który się odznaczył na tych wyspach, podczas ostatnich i nieszczęśliwych odwiedzin Kooka, przywłaszczył sobie władzę królewską, na czele 16,000 ludzi podbił wyspy sąsiednie. Znał on wyższość Europejczyków, całą przeto dumę swoją zakładał w ich naśladowaniu. Już roku 1795, gdy kapitan Broughton zwiedzał te wyspy, przystał z zapytaniem, czy powinien na jego powitanie z dział strzelać? Miał zawsze przy sobie Anglików za ministrów i doradców. Od roku 1817 utrzymywano iż miał armią złożoną z 7000 ludzi, uzbrojonych strzelbami, pomiędzy temi znajdowało się najmniej 50 Europejczyków. *Tame-Tame-Hah*, pomimo że rozpoczął swój zarząd mordem i przywłaszczeniem, umiał jednak zasłużyć na szczerą miłość swoich poddanych.

Wpływ Anglików może być uważany za przeważający na wyspach *Sandwich* i *Towarzystwie*; lecz nie rości ona sobie żadnego prawa do panowania nad niemi. Władza monarchiczna w *Sandwich* na rzecz Wankuwaera ustąpiona, przez władcę Wielkiej-Brytanii, jest tylko uważaną za tytuł honorowy który żadnych korzyści za sobą nie pociąga.

Większe jeszcze zmiany nastąpią z rozszerzeniem wiary Chrześcijańskiej na wyspach morza Południowego. Roku 1799 misjonarze zaczęli osiadać w *Otabicie*; spędzili jednak lat dziesięć nienawróciwszy nikogo, i niejednawszy sobie poważania pomiędzy ludem. Podczas politycznych zaburzeń które miały wy-

spą, byli oni zmuszeni szukać schronienia w *Eimeo* i na innych *wyspach Towarzyskich*, gdzie usiłowania ich znalazły lepsze powodzenie. Nakoniec, roku 1817, Pomare, król Otahity, chcąc przyjąć wiarę chrześcijańską, zaprosił misjonarzy aby powrócili na tę wyspę i odstąpiono im na własność małą posiadłość w zatoce Matawai. Misjonarze przywieźli ze sobą prasę drukarską i zaraz po swoim przybyciu, przygotowali do druku Ewangelię Świętego Łukasza, w języku dzikich, pierwsze arkusze tego dzieła odbite zostały ręką samego króla, 3 Czerwca 1817. Pojętność Otahitezyków i ich chęć do nauki, każą rokować, że sztuka drukarska do nich wprowadzona, zdziała najpomyślniejsze skutki. Nauczyciele utworzeni z krajowców, rozpraszają się już po wszystkich wyspach morza Południowego, szczytna ich wymowa, głoszona w rodowitym języku, osiągnie bardziej stanowcze korzyści, niżeli otrzymać je mogli misjonarze Europejscy. Roku 1814, misja założoną została w *Wangeroa* w *Nowej-Zelandyi*. Niezgody jednak naczelników miejscowych, gwałtowność i okrucieństwo ludów, któremi rządzą, stawiają nieprzebyte zapory, rozszerzeniu u nich nauki Chrystusa. Misjonarze musieli być uoczonymi świadkami oburzających okropności, nawet opuścili wyspę na niej-

ki czas, lecz później wrócili w większej liczbie, usiłowania ich, zaczynają już uwieńczać pożądane skutki. Nowo-Zelandczykowie, obdarzeni wrodzoną mocą duszy i wspaniałością, wiodą swoje pierwsze kroki do ulepszeń towarzyskich, przez czynne zatrudnienia, które ich zbliżą do ludów ucywilizowanych. Utrzymują oni ciągle stosunki z osadami angielskimi w *Nowej-Galii-Południowej*, a majtkowie w osadach pomiędzy nimi najwięcej się werbują. Osadnicy udają się do *Nowej-Zelandyi*, dla zaopatrywania się w drzewo potrzebne do ciesielki żeglarskiej, a szerególniej w jej sławne konopie; budowano już na tej wyspie okręta 300 beczkowe.

Chryścianizmowi wprowadzonemu od dawna na *wyspach Sandwich*, winną jest ta grupa szybki swój postęp w cywilizacji. Wiara ta przyjęta także została r. 1830, przez króla *wyspy Hewae*, najznaczniejszej z *wysp Przyjacielskich*; towarzystwo misjonarzy osiadło na niej pod opieką tego monarchy; można więc z pewnością twierdzić, że rozszerzenie czystej wiary stłumi płonne i okrutne przesady, utrzymujące dotąd w barbarzyństwie wyspiarzy morza Południowego; i że nowa religia, połączy ich siłami węzłami z najczynnniejszą i najświetlejszą częścią rodu ludzkiego.



ROZDZIAŁ XXXIII.

POBRZEŻA AUSTRALII.

Pobrzeża nieznanie Nowej-Hollandyi. — Założenie osady w Port-Zakson. — Znalazienie węgla na wybrzeżu. — Podróż Bassa i Flindersa w małym czółnie. — Bass płynie ku południowi. — Odkrywa Port-Western. — Flinders zwiedza wyspy Furneaux. — Flinders i Bass odkrywają port Darrymple. — Okrażają ziemię Kan-Diemen. — Ciesmina Bassa. — Flinders odbiera polecenie przepatrzenia wybrzeży Nowej-Hollandyi. — Zwiedza stronę południową. — Zatoka Spencera. — Port Filipa. — Przejrzane strony wschodniej. — Flinders przebywa, cieśninę Torres. — Opisuje zatokę Karpentaria. — Spotyka flotę malajską. — Zatrzymuje się w Timor. — Wraca do Port-Zakson. — Wsiada na statek Marsuin. — Katon i Marsuin rozbijają się. — Ludzie okrętowi ocaleni. — Flinders płynie do Port-Zakson w czółnie odkrytym. — Wraca i zabiera majtków. — Płynie do Anglii małym szonerem. — Przybywa do wyspy Maurycygo i zostaje zatrzymany jako więzień. — Wyprawa Baudena. — Francuzi spotykają Flindersa. — Przegląd rzeki Labędziej. — Zatoka Rekinów. — Pochwały oddawane przez Francuzów, osadzie w Port-Zakson.

Kook w pierwszej swojej podróży u zupełnił ogólny przegląd całego lądu Australii i oznaczył granice jego wschodniej rozległości, lecz pozostawało jeszcze przejrzeć starannie wybrzeża, które w wielu częściach były zupełnie nieznanne. Według podania żeglarz hiszpański Torres, żeglował na południe *Nowej-Gwinei*; lecz podróż jego nie zwracała uwagi i ufności publicznej przed rokiem 1762. W ówczas po wzięciu *Manili*, odkryto w rękopiśmie dziennik tej podróży i okoliczność ta przywróciła nieco autentyczności wspomnieniom jego odkryć. Sam nawet Kook powatpiewał o istnieniu cieśniny pomiędzy *Nową-Gwineją* a ziemią Australną; i gdy przepłynął pomiędzy temi dwoma krajami 1770 r., podróż jego zajaśniała całym blaskiem nowego odkrycia.

Żeglarze Hollenderscy opłynęli północne wybrzeża *Nowej-Hollandyi* bardzo już dawno i jak się zdaje, Tasman dokonał zdjęcia planu tej części całego lądu. Lecz zazdrośna polityka rządu Hollenderskiego wstrzymała ogłoszenie jego podróży, przeto inne narody wątpiły o odkryciach, które przed niemi skrywano. Zresztą Hollendrzy jak się zdaje, nierozwiązali nigdy z własnym nawet zadowoleniem najważniejszych zapytań dotyczących *Wielkiej ziemi Australnej*, i ciągle nie znali powiększej części wschodnich i zachodnich jej brzegów. Sądziłi że ziemie odkryte na północy i południu, rozdzielone były z sobą szeroką cieśniną, idącą ze wschodu na zachód. Pierwsza podróż Kooka dowiodłszy ciągłość wybrzeża wschodniego, zwała to przypuszczenie. Jednakże niedokładność i niepełność dawnych planów zatoki Karpentary, zupełna nieznanomość południowego wybrzeża, otwierały rozległe pole śmiałości teoretyków. Utrzymywali oni że ziemia australna przedzieloną jest na dwie wielkie wyspy, przez cieśninę ciągnącą się z północy na południe. Zresztą zbliżał się czas, w którym czynność Europejczyków, miała się zwrócić ku owem dalekim wybrzeżom, a

świat ucywilizowany, poznać dokładnie piątą część kuli ziemskiej.

Pochlebne objaśnienia, których kapitan Kook udzielił o porcie *Botany-Bay* i kraju go otaczającym, jak i o korzyściach handlowych, osiągnąć się mogących z sąsiedztwa *Nowej-Zelandyi*, zdziałyły wrażenie na rządzie angielskim; roku 1788, kapitan Filip wyruszył z licznym orszakiem, w celu założenia osady w *Botany-Bay*. Postrzeżono wkrótce że *Port-Zakson*, o kilka mil dalej ku północy, przedstawiał położenie daleko korzystniejsze dla nowej osady, która tam została przeniesioną. Lubo się takowa składała po większej części z ludzi skazanych na wygnanie, jednak się rozwinęła od razu pomyślnie; poznanie obszernego kraju w którym ją założono, stopniowo się zwiększało przez wypadki będące zawsze skutkiem przedsiębiorzeń handlowych.

W siedm lat po założeniu osady, kapitan Hunter został mianowany jej gubernatorem. Na jednym z okrętów wysłanych z nim do *Nowej-Galii-Południowej*, znajdowało się dwóch młodych ludzi, Flinders i Bass, pierwszy był midshipmanem, drugi chirurgiem okrętowym. Pragnęli oni zwiedzić nieznanne kraje, lecz zostawieni własnym zasobom, musieli przestać na małym ośmiostopowym czólnie *Tom-Thumb*. Śmieli ci awanturnicy wsiedli weń z jednym tylko chłopcem, którego przyjęli za majtkę. Żeglując najprzód ku południowi, zwiedzili szczegółowo wszystkie małe zatoki wzdłuż brzegu i przejrzeni rzekę Świętego-Jerzego, blisko o 20 mil dalej leżącą po za częścią znaną ich rządowi. Objasnienia przez nich udzielone o tym kraju, spowodowały założenie osady nieopodal od brzegów tej rzeki. W roku następnym 1796, wsiedli znowu na *Tom-Thumb*; i pokonawszy niezliczone trudności i niebezpieczeństwa, z powodu braku żywności i wążności ich statku, wrócili z przekonaniem i dowodami, iż istnieje długi niezmiernie ciąg brzegów. Przez ten oczywisty dowód okazanej zręczności i wytrwałości, odznaczyli się jako nieod-

bicie potrzebni do najważniejszych wypraw.

Powróciwszy z tej powtórnej wycieczki, znaleźli w osadzie, pana Klark który płynąc na okręcie wschodnio-indyjskim, wyrzucony został na wyspy *Furneaux*. Klarke i kilku majtków, puścili się na morze w wielkiej szalupie, dla dostania się do osady angielskiej, i tam błagać o ratunek dla swych rozbitych towarzyszy; lecz i ten statek rozbił się o brzeg, niedaleko przylądka *Howe*, o trzysta mil od *Port-Zakson*. Klarke i jego towarzysze, zostali tym sposobem zmuszeni podróżować lądem wzdłuż wybrzeża. W czasie tego niebezpiecznego i trudzącego pochodu kilku z nich wymarło z głodu, inni zostali porwani przez dzikich i trzech tylko z nich przybyło do *Port-Zakson*. Oświadczyli oni iż w tej podróży przebywali mnóstwo małych rzeczek, a z tych niektóre były spławne przy swém ujściu. Pewnego dnia, rozpalając ogień na brzegu, odkryli przypadkiem, że czarne kamienie, które się w okolo nich znajdowały były okruchami węgla. W tymże prawie czasie porucznik *Shortland*, ścigając na północy kilku więźniów, którzy uszli, odkrył pod 33° szerokości, przystań i tę nazwał *Port-Hunter*, skały ją otaczające, zawierały w sobie pokłady pięknego węgla, tak bliskie wody, że bez trudności można go było na okręta ładować. Osada zwana *Newcastle* zaraz została w tém miejscu założoną. Tegoż roku, *Flinders* odbył wycieczkę do wysp *Furneaux*, i tak zachęcające udziałł szczegóły o mnóstwie ciałł morskich, których grupa ta była schronieniem, iż natychmiast wszelkie spekulacye handlowe zwrócono ku niej. W miarę, jak przyszłość osady zdawała się coraz więcej wróżyć pomyślności, rząd z większym zapalem zajmował się dalszemi poszukiwaniami. W Grudniu 1797 gdy *Flinders* zajęty był żegluga do wyspy *Norfolk*, pana *Bass* wysłano z sześciu ludźmi w szalupie dla przejrzenia nieznanych południowych krain. Posunąwszy się on do jednej z małych wysp na południowo-wschodnim krańcu Nowej-Galii Południowej, zdziwił się ujrawszy

ze jest zamieszkaną przez siedmiu zbrodniarzy na śmierć skazanych, którzy niedłys uciekli z *Port-Zakson* czółtnem; wyrzuceni na te brzegi, wiedli żywot opłakany, kariniąc się tylko mięsem fok, ślimakami i petrelami. Tak zaledwie Europejcykowie dostali się na morza Południowe, a już czynny ich jenuusz i śmiałość przedarły się do najodleglejszych jego punktów. Głównym celem podróży *Bassa* było stanowcze oznaczenie czy nie istnieje otwarta cieśnina pomiędzy Nową-Hollandyą a ziemią *Van-Diemen*. *Kook* i inni żeglarze Niemali, że oba te kraje były połączone, zdanie to podzielał ogół. Zagadnienie jednak nie zostało w zupełności rozwiązane; *Bass* z niemafą radością postzegł że wybrzeża Nowej - Hollandyi, zniżają się ku północy i zachodowi i takową powierzchnością świadczą, że są wystawione na fale Wielkiego-Oceanu. Żeglował dalej w tymże samym kierunku, aż się dostał do obszerniej przystani, którą nazwał, przez zastosowanie do jej względnej położenia *portem Zachodnim*. Z powodu braku żywności, pomimo żarliwej chęci zdjęcia dokładnego planu swych nowych odkryć, był jednak zmuszony wrócić: zabrał bowiem zapasy tylko na sześć tygodni, a a jednak łowiąc ryby i ptaki morskie, w wielkiej napotykanie obfitości, przeciągnął swą podróż o pięć tygodni, chociaż zabrał do tego na okręt dwóch wygnańców, których znalazł. Owa 600 milowa podróż w czółnie bez pomostu, jest jedną z znajznakomitszych dotąd znanych. Zbogaciła ona zemio-pisarstwo, odkryciem 300 mil pobraży, i rozpoznaniem że brzegi Nowej-Hollandyi, zamiast pochylać się ku ziemi *Van-Diemen*, w przeciwnym owszem ciągną się kierunku i przedstawiają widok lądu położonego na otwartém morzu. Osadnicy nagradzając zasługę odkryć *Bassa*, czóln w którym odbył swojaf podróż, długo zachowywali jako osobliwość. Później tabakierki i inne bagatelle, wyrobione z jego drzewa, szczególniej były cenione.

Aby dowieść że ziemia *Van-Demen*, oddzieloną była od stałego lądu austral-

nego cieśniną, pozostało tylko ją optynać, gdyż wszelkie domysły sprzyjały tej hipotezie. Bass wrócił w Lutym r. 1798 i w Październiku tegoż roku wypłynął znowu z Flindersem na małym schone-rze dwudziesto-pięcio-beczkowym, dla dokonania tego ważnego odkrycia. Gdy żeglowali wzdłuż północnego wybrzeża ziemi Van-Diemen, odkryli obszerną odnogę morską, do której wpadało kilka wielkich rzek, jedną z nich zwiedzili w znacznej przestrzeni i znaleźli, że jest tylko ciągiem jezior, utworzonych zspływających strumieni z gór odległych: brzegi jej są urzędzajne i obfitujące w drzewa, a czarne łabędzie, nader liczne w owych stronach, dostarczyły obfitę żywności naszym śmiałym podróżnikom. Otwór ten nazwany został *portem Dalrymplea*, w pięć lat później, gdy pułkownik Patterson założył tam osadę, wielka zachodnia część, przybrała miano *Tamar*; zaś dwa inne główne nurty nazwane zostały: *prześciem Północnym* i *Południowym*.

Po kilku dniach puścili się znowu ku wschodowi, i okrążywszy przylądek północno-zachodni ziemi Van-Diemen, ujrzeli że brzegi znowu przybierają południowy kierunek. Pyszniłi się, iż rozwiąza-li tak ważne zagadnienie jeograficzne, lecz zarazem doznawali przestrachu pomysławszy, że małe ich czółno miało być nagle wystawione na silne fale oceanu Południowego. Szczęśliwie jednak uniknęli niebezpieczeństw, ciągle im zagrażających w tej żegludze. Przepływając wzdłuż brzegu południowo-wschodniego, dostali się w górę rzeki *Derwent*, niegdyś odkrytej przez *Dentrecasteaux*, który ją nazwał *rzeką Północną*. Kraj ją otaczający, znaleźli w ogóle płodnym i obfitującym w drzewo budowlane. Opis który Bass wydał powróciwszy, tak był pociągający, iż tam założono osadę r. 1803. Wkrótce podróżnicy nasi wrócili w tryumfie do *Port-Jakson*, dowiodłszy że ziemia Van-Diemen jest wyspą i dokonawszy co do jej przystań i rzek, najważniejszą pracę pod względem planów przyszłego jej osiedlenia. Cieśnina którą przebyli, otrzymała miano

tego, który pierwszy ośmielił się w nią zapuścić; nazwano ją *cieśniną Bassa*.

W następnym roku polecono Flindersowi przepatrzeć zatoki *Harwey* i *Glass-House* na północ *Port-Jakson*; powróciwszy on do Anglii, w nagrodę swych zasług i zdolności, został porucznikiem i dowódcą *Investigatora*, okrętu który przygotowano do czynienia nowych odkryć na wybrzeżach Australii. Polecono Flindersowi przejrzeć południowe jej brzegi, które po większej części nie były jeszcze widziane przez żadnego żeglarza europejskiego; potem miał skierować ku północno-zachodniemu wybrzeżu, gdzie, według opisów *Dampiera*, wielka wysokość przyboru morza, ułatwić mogła znalezienie głębokich zatok i wybornych przystani. Następnie miał zwiedzić *port Karpentaryja* i nader ważne a dotąd niedostępne odnogi *cieśniny Torres*.

Flinders przybył do *Point-Leuwin* południowo-zachodniej kończyny Australii, na początku Grudnia r. 1801, przez kilka dni wypoczął w *porcie Króla Jerzego III*, zwiedzonym przez *Wankuwer*a. Plan cieśniny zdjęty przez tego biegłego żeglarza, uznany został za nader dokładny. Flinders i jego towarzysze chcieli zwiedzić ten kraj wewnątrz, lecz wstrzymani zostali bagnami ciągnącymi się od wschodu ku zachodowi. W czasie ich podróży ku zachodowi wzdłuż lądu, kraj zwany ziemią *Nuyts* czyli *Nuitz*, mało zajmujących przedmiotów przedstawił ich oczom. Plan tego pobrzeża już był zdjętym przez admirała *Dentrecasteaux*, i tylko pozostało w nim zapełnić kilka nieznaczających próżni. Z cieśniny króla Jerzego III do przylądka *Pasley*, odległego blisko o mil 300, brzeg jest niski, piaszczysty i jednostajny; lecz po za przylądkiem *Pasley*, okalające go skały wznoszą się do 400 i 600 stóp i rozciągają się bez zmiany przez 450 mil. Ta przeszkoda jednostajna i tak nadzwyczajnie długa, spowodowała kilka dowiecpanych teoryi naszych żeglarzy. Wnieśli oni że ta rafa koralowa jakimś nadzwyczajnym wzburzeniem przyrody wzniesioną została do swęj teraźniejszej wysokości. Nie mogli wpraw-

dzie zbliżyć się do owéj skały, aby ją stanowczo rozpoznać, lecz zdawała się być wapienną. Kraj leżący po za temi górami, zupełnie pozostał im nieznanym.

Nakoniec Flinders, zawsze żeglując ku wschodowi, przybył do wybrzeża dotąd nieznanego, i opłynął wysoki przylądek, po za którym wybrzeże nagle się pochylało ku północy. Odkrycie to wielkie wzbudziło zajęcie i czas jakiś żeglarze nasi sądzili, że znaleźli wielką cieśninę łączącą się z zatoką Karpentary. Przygórek o którym wspomnieliśmy, nazwany został *przylądkiem Przygody* z powodu smutnego wypadku: czółno przewróciło się pomiędzy prądami i pan Thistle sternik onego, zatonął wraz z kilku majtkami. Okręt ciągle dążył ku północy i żeglarze nasi niezadługo spostrzegli, że wpłynął w głęboką zatokę, której granice widzieli jak ku północy tworzyły wysokie góry. Jedna z najwyższych otrzymała nazwę *góry Browna*, od naturalisty wyprawy, który pokonawszy wszelkie trudności, wdrapał się na jej szczyt blisko na 300 stóp wysokości; widok z wierzchołka téj góry, rozciągał się nadzwyczajnie daleko, lecz nieopatrzano ku południo-wschodowi ani rzeki, ani jeziora, słowem nic, coby zwiastowało bliskość morza. We wszystkich kierunkach, widziano tylko płaszczyznę okrytą lasami, łańcuch gór, ciągnący się ku północy, i wody zatoki na południo-zachodzie. Wielka owa odnoga morska, która na pamiętkę pierwszego lorda admiralicyi nazwaną została *zatoką Spencera*, ma blisko 48 mil szerokości przy swém ujściu, a blisko 183 długości rachując od *wyspy Gambier*, leżącej przy wstępie do niej. Nasi żeglarze puściwszy się z jej biegiem ku południo-wschodowi, żeglowali pomiędzy stałym lądem i wielką wyspą, której nadali nazwę *wyspy Kangurosów*, z powodu wielkiego mnóstwa tych zwierząt, które widzieli jak igrały. Grunt zdawał się obfitować we wszelkie płody i przedstawiał najpowabniejszy widok. Naprzeciw téj wyspy znajdowała się inna zatoka, długa prawie na 93 mil, którą nazwano *zatoką Świętego - Wicentego*. Niezadługo po dokonaniu tych wa-

żnych odkryć, Flinders napotkał okręt francuzki *Jeograf*, dowodzony przez kapitana Baudin, któremu także zlecono przejrzeć wybrzeża Australii. Oba okręta powitały się w *zatoce-Bitwy*, pod 138° 58' wschodniej długości, a 35° 40' szerokości południowej: tu jest kraniec odkryć dokonanych przez obu dowódców na tych wybrzeżach. Uwagę pana Flinders zwróciła szczególnie piękna przystań, którą odkrył przy zachodniem wejściu do cieśniny Bassa; tak obszerna że największe floty mogły w niej znaleźć wygodne schronienie i kraj ją otaczający nadzwyczajnie zdawał się być urodzajnym. Mniemał z razu że to był *port Western*, odkryty przez Bassa; lecz poznawszy swój błąd, albowiem tamten można było dojrzeć na południo-wschodzie z wysokich pagórków, otaczających wybrzeże, nazwał ten *portem Filipa*. Usiłowano założyć w tém miejscu osadę r. 1803; lecz z powodu braku słodkiej wody i innych przyczyn, zaniechano tego zamiaru, osadnicy zaś przenieśli się do ziemi Van-Diemen. Z portu Filipa Flinders popłynął do *Port-Zakson* dla zasilenia swych ludzi i przygotowania ich do powtórnej podróży. W Lipcu r. 1802, niemordowany ten żeglarz, puścił się znowu i skierował ku północy; uszedłszy przed raffami na wschodnim brzegu, przebył w trzech dniach cieśninę Torres. Bligh i Portlock, przepatrując tę cieśninę r. 1792, dokonali owego przejścia w dniach dziewiętnastu; okręt *Chesterfield* i drugi statek, r. 1798, potrzebowały dziesięciu tygodni do odbycia téjże drogi. Lubo Flinders spieszył się umyślnie i pominął wszelkie badania mogące żeglugę jego opóźnić, jednak pewną jest rzeczą, iż odkrył kanał, znacznie mogący skrócić przeprawę w téj zdradnej cieśninie. Podróż jego wzdłuż wschodnich brzegów wielkiej zatoki Karpentary przedstawia mało zajmujących wypadków. W przestworze 95 mil, grunt tak jest niski, że najwyższy ze wzgórków zaledwie przewyższał wielki maszt okrętowy. Pomiędzy *wyspami Wellesley*, w głębi zatoki znajduje się wygodna przystań dla okrę-

tów i obfitość żywności. Brzegi zachodnie przedstawiały większą rozinaitość krajowidów i zamożniejszą roślinność. Paliny rosną tam w wielkiej obfitości; znajduje się także drzewo, podobne do drzewa sandałowego, i orzechy muszkatołowe, lecz nienajlepsze. Ślady mieszkań w najwyższym stopniu ściągnęły uwagę naszych żeglarzy; były to szałatki domów, z ogrodzeniami bambusowymi kilka kawałków bawelnianej błękitnej tkaniny i t. p. rzeczy; prócz tego, wiele drzew rosnących niegdyś nad brzegiem, leżało ściętych siekierami widocznie. Z tych wszystkich okoliczności wniesiono, że owa część stałego lądu Australii, odwiedzana była przez mieszkańców Azji. Domyśl ten stwierdzony został zawziętością krajowców, którzy dzielnie napadli na naszych żeglarzy i zdawali się być nazwyczajonemi do walki z cudzoziemcami, których więcej nienawidzili niż się obawiali.

Spędzono 105 dni na przejrzeniu zatoki Karpentaryja, której obwód licząc w to zakręty brzegów, najmniej 400 mil wynosi. Kształt nadawany jej na dawnych mappach jest dosyć dokładnym i musiał być owocem pilnego przeglądu; lecz ponieważ autentyczność podróży Hollendrów nie opierała się na dokumentach za ich czasów ogłoszonych, mało przeto ufano ich czczym objaśnieniom, i zatokę Karpentaryja uważano za krainę wieszczek i utwor wyobraźni dziwacznej.

Inwestygator zaledwie wypłynął z zatoki *Melville* leżącej na północno-zachodniej kończyźnie przylądka; postrzeżono Azyjan, których ślady od dawna już tropiono. Byli to Malajczykowie, w liczbie 200 którzy na sześciu proasach przybyli tu z Makassaru; statki te należały do floty z 60 okrętów złożonej, używanej na owych wybrzeżach do połowu trapanów czyli morskich ślimaków, uważanych w Chinach za przysmak zbytkowny, a które tam po nader wysokich kupują cenach.

W tej podróży zdjęto mappę blisko 600 mil wybrzeży; lecz gdy osada okrętu *Inwestygator* zaczęła ulegać cho-

robom, sam zaś statek w nader opłakanym znajdował się stanie, Flinders ograniczył swoje poszukiwania na *wy-spach Okrętowych*, i zaopatrzwszy się w Timor w zapasy, powrócił do *Port-Zakson* w Czerwcu 1803. Gdy przeglądano okręt, znaleziono go tak zupełnie zniszczonym, że nie był wart naprawy. Przesiadłszy się więc na *Marsuina*, mały bryg należący do osady, popłynął wspólnie z dwoma wielkimi okrętami *Katon* i *Brydgewater* służąc im za sternika w cieśninie Torres. Zamiarem jego było dokonać na brygę *Marsuin* przeglądu wybrzeża północnego, przed swem oddaleniem się do Anglii; lecz go większe jeszcze spotkały nieszczęścia niż strata poprzedniego okrętu. Jakaśmy powiedzieli całe wschodnie wybrzeże Nowej-Hollandyi, ogrodzone jest zaporą skał koralowych o które morze rozbija rozłukane swe wały okropnym sposobem; po za ową zaporą, woda jest najspokojniejszą; lecz żegluga zagrożoną jest mnóstwem przeszkód, z powodu licznych wysp i mieelizn, których położenie nie jest jeszcze oznaczone; żeglarze przekładają też widoczne niebezpieczeństwo na pełnym morzu, nad ukryte które ich oczekują wzdłuż lądu. Flinders płynął przed skałami, nieprzewidując żadnego niebezpieczeństwa, gdy nagle przy schyłku dnia, *Marsuin* uderzył o podwodną skałę. Dano natychmiast okrętom *Katon* i *Brydgewater* potrzebne znaki, by uniknęły niebezpieczeństwa; jakoż ostatni uszedł przed nim; lecz *Katon* wpędzony na skały, natychmiast zatonął. Tymczasem woda zaczynała się wciskać do *Marsuina*, obawiano się żegwałtownością fal porwany na skały, natychmiast zatonie. Flinders przygotował szalupę dla dostania się do *Brydgewatera* z dowódcą którego, umówił się względem ocalenia szczątków rozbicia; lecz noc była ciemna, a morze tak wzburzone, że nie mógł tego dokonać i z nadzwyczajnym trudem wrócił do swego statku, gdzie go każdy uważał już za zginionego. Nareszcie dzień zaświtał i rozbitekowie w całym ogromie ujrzeli niebezpieczeństwo swego położenia. Przd

tylko *Katona* wznosił się po nad wodą; reszta całkiem była zatopiona. *Marsuin* mocno był zagrożony pomiędzy korallowemi skałami, z pośród których niepodobniństwem było chcieć go wywikłać. *Brydgewater* zaś zniknął. Na szczęście, postrzeżono blisko o pół mili znaczne piaski, na których mogły się pomieścić osady obu okrętów, wraz z zapasami szczęśliwie ocalonemi. Rozpięto natychmiast namioty, na których pozatykano sztandary; cieśle zajęli się robotą tratw; i ów mały zakątek ziemi, nie nie znaczący na przestrzeni oceanu, stał się siedzibą ucywilizowanej osady. Uradzono w ówczas że Flinders popłynie kuttrem do *Port-Zakson*, aby otrzymać pomoc dla rozbitków, a jeśli niepowróci w trzy miesiące po swoim odaleniu, pozostali wsiądą na szalupy zdobowane ze szczątków okrętowych. Flinders puścił się w tę niebezpieczną żeglugę, można bowiem tak nazwać podróż 250 mil wynoszącą, w czółnie bez pomostu, i wzdłuż brzegów zamieszkałych przez dzikich nadzwyczajnie okrutnych. Po trzynastu dniach przybył do *Port-Zakson*, gdzie zaledwie był poznany przez gubernatora King, tak dalece trudy i niepokoje zmieniły go. Nie tracąc czasu, przygotował wszystko do wydobycia nieszczęśliwych swoich towarzyszy z przykrego ich położenia. W kilka dni później odplynął z okrętem *Rolla* i dwoma szonerami, na jednym z nich postanowił udać się z cieśniny Torres do Anglii; gdyż wolał się narazić na nowe niebezpieczeństwa niżeli widzieć nieukończoną pracę, której całe poświęcił życie. Niepodobna opisać radości nieszczęśliwych rozbitków od tak dawna opuszczonych, gdy ujrzeli na widokregu dążące z pomocą statki.

Flinders trwając ciągle w zamiarze powrócenia do Anglii, puścił się na morze w szonerze *Kumberland* z dziesięciu ludźmi. Przepłynąwszy cieśninę Torres, przybył w 48 dniach do Koepang, w kraju Timor. Lecz szoner jego w nader był złym stanie, woda przedzierająca się w niego ze wszech stron, pompy zepsute nie mogły być użytemi; niepodobniństwem więc było aby się

w takim statku mógł dostać choć do przylądka Dobrej-Nadziei. Postanowił więc zawinąć do wyspy *Świętego Maurycyego*. Konieczność ta stała się powodem największego nieszczęścia. Wojna się rozpoczęła gdy opuścił Anglię; lecz otrzymał od rządu francuzkiego paszport z opisem okrętu *Inwestygator*, na którym płynął poprzednio, z wyłuszczeniem przedmiotu podróży; lecz teraz przybywał do osady francuzkiej na innym statku, co więcej, nieszczęsnym trafem znaleziono w jego papierach in-skrucke gubernatora King, w których ten zalecał, aby z wszelkiemi szczegółami poznać przybieranie i ubywanie morza, wiatry, płody, słowem zupełny stan wyspy Maurycyego. Do tego Flinders broniąc swęj sprawy przed jenerałem Caen, gubernatorem wyspy, przybrał postawę zbyt dumną jak na człowieka którego postępowanie potrzebowało przychylnego tłómaczenia. Jenerał człowiek okrutny, obchodził się z kapitanem angielskim z surowością. Flinders został zatrzymany jako jeńiec wojenny od r. 1803 i dopiero w 1810 otrzymał pozwolenie oddalenia się. Rozkaz ten jednak przybył do osady dopiero ku końcowi r. 1806; pod rozmaitemi pozorami, Caen zwlekał jeszcze jego wykonanie.

Aż dotąd, żaden inny żeglarz nie dał nam poznać więcej krain australnych prócz kapitana Flinders; nie tylko że okrążył ziemię Van-Diemen, której wybrzeża szczegółowo przepatrzył, lecz jeszcze winni mu jesteśmy przejrzanie całej południowej strony Nowej-Hollandyi, po większej części wschodnich brzegów cieśniny Torres i wielkiej zatoki Karpentaryja. Postrzeżenia jego były szybkie i dokładne. Rzadko kiedy nie udało się mu zawiązanie stosunków z podejrzliwemi i nieśmiałemi mieszkańcami Australii. Co do postrzeżeń hydrograficznych, te nie były tylko owocem jego pracy, albowiem na okręcie *Inwestygator* towarzyszył mu Robert Brown, znamienity botanik, którego dzieło o Nowej-Hollandyi ważne zajmuje miejsce pomiędzy dokumentami nauki jeografii fizycznej.

Kapitan Flinders uwięziony na wyspie Maurycego, nie mógł wydać historii swojej wyprawy, Francuzi korzystając z tego, wyprzedzili go z ogłoszeniem odkryć australnych. Dwa okręta *Jeograf* i *Naturalista*, dowodzone przez kapitanów Baudin i Hamelin, otrzymali 1801 r. polecenie Pierwszego Konsula, rozpoznania ziemi australnej. Nic niezniedbano co by mogło zapewnić pomyślne powodzenie tej wyprawy. Przydano jej uczonych we wszelkich oddziałach nauk, lecz w skutku nie odpowiedziała ona staraniom łozouém; mimo wyższości swych okrętów, officerowie francuzcy pozostali daleko niższymi od Flindersa. Zwiedzili i to bardzo niedokładnie kilka kawałków gruntu. Okręta ich często się rozłączały, i traciły czas na szukaniu umówionego miejsca schadzki, na walczeniu z przeciwnymi prądami, pomiędzy które nierozważnie się zapuszczały. Trudności te i niepowodzenia przypisano uporowi kapitana Baudin, który zakończywszy życie przed dokonaniem podróży, nie mógł bronić swjej sprawy. Naturalista Peron opisując tę podróż, ani razu nie wymienia nazwiska kapitana. »Nigdy żeglarz, mówi on: wyjąwszy tylko Wankuwersa, śmielszej nie dowodził wyprawie. W istocie, podróże po obszernym oceanie, jakkolwiek długie, rzadko jednak pociągają za sobą podobne nieszcześnie i tak częste rozbitcia; ulegają tylko takowém ograniczając się na nieznanym i dzikich wybrzeżach." Uwagi te, większy jeszcze czynią zaszczyt Flindersowi, który z tak słabymi zasobami, dokonał tak trudnego przedsięwzięcia. Peron mówiąc o kapitanie Flindersa, który jakiesmy widzieli od r. 1795 ciągle przeglądał Australią, czyni fałszywą wzmiankę »że wysłany został od rządu angielskiego, dla współubiegania się z naszym przedsięwzięciem." Okręt francuzki *Jeograf*, przepływając na zachodzie cieśniny Bassa, napotkał Flindersa, jakiesmy to już nadmienili, w zatoce *Bitwy*; odtąd żeglując przy południowym brzegu, zmieniał tylko nazwy. Nadał imie *Ziemi Napoleona* rozległym brzegom, ciągnącym się od ziemi *Nuyts* aż

do cieśniny *Bassa*. Zatoki Spencera i Świętego - Wincentego, przeważano zatokami *Bonapartego* i *Josofiny*. Wszystkie wyspy i przylądki otrzymały podobnie francuzkie nazwy.

Peron przejrzał na wybrzeżu zachodniém rzekę *Łabędzia*, która została odkryta r. 1697, przez Wlaminga, i była od niego tak nazwaną z powodu mnóstwa czarnych łabędzi, które tam widział. Nie bez trudów officerowie francuzcy przebyli zaporę skalistą, zawalającą ujście owjej rzeki; wewnątrz głębokość prądu zwiększała się z każdą pół milą. Gdy w górę jej dość daleko popłynęli, ujrzeli jak tworzyła wielką sadzawkę, szeroką blisko pół mili i wszędzie nie bardzo głęboką. Wdarłszy się na wzgórek niedaleko z tamtąd się wznoszący, zachwyceni zostali pięknoscją krajobrazu; z jednej strony widzieli wyższy bieg rzeki, która spadając z łańcucha gór niskich, później nazwanego *Łańcuchem Faworyta*; a z drugiej powabne jej zakręty aż do morza: Oba brzegi wszędzie odkryte były wspaniałemi lasami, ciągnącemi się bez końca w głąb kraju; grunt był wapnisty, składający się z piasku i łusk obficie pomieszanych z szczątkami martwej roślinności.

Officerowie francuzcy przebywszy kilka milizn, dopłynęli w górę rzeki, blisko na 60 mil i postrzegli, że szybko zmniejszała swą szerokość, lecz ciągle zachowywała głębokość ośmiu-stóp bez widocznej zmiany. Dla braku żywności byli zmuszeni powrócić.

Zatoka Rekinów i wyspy sąsiednie, starannie zostały przejrane przez Francuzów; oznaczyli oni także na Archipelagu północnym wiele położzeń z wielką dokładnością; lecz w ogóle, zbyt daleko zawsze trzymali się od lądu, aby zupełnie mogli opisać miejsca które zwiedzali. Z powodu wybuchłych pomiędzy osadami okrętowemi chorób, statki francuzkie odplynęły nic ważnego niedokonawszy. Z dwudziestu-trzech uczonych którzy zabrali się z tą wyprawą, trzech tylko powróciło całą odbywszy podróż. O uprzejmém i gościnném przyjęciu żeglarzy francuzkich

w *Port-Zakson*, wzmiankuje z wdzięcznością pan Peron, prócz tego wyraża on nadzwyczajne podziwienie, jakie w nim wzbudził widok pomyślności tego

nowego zakładu. »Ludność osady, mówi: była dla nas przedmiotem podziwu i niemogliśmy się jej dość napałtrzcć.«

ROZDZIAŁ XXXIV.

WNĘTRZE NOWEJ-HOLLANDYI.

Prace kapitana King. — Odkrycie portu Essington. — Malajczykowie. — Rzeka Alligatorów. — Wyspy Melville i Bathurst. — Przejrzenie cieśniny Apsley. — Wybrzeże północno-zachodnie. — Cieśnina York. — Rzeka Regenta. — Zatoka Kuniingham. — Zatoka Ernouth. — Archipeląg. — Półka niezwykła. — Pierwsze uśiłowania do przebycia gór Błękitnych. — Daremne uśiłowania Basa i innych. — Odkrycie dróg wewnątrz kraju. — Wyprawa Osleya na rzecę Lachlan. — Przybywa do wielkiego bagniska. — Powtórna podróż na przejrzenie Makwaryi. — Kraj woda zalany. — Osley powraca przez piękny kraj dotąd niezwykły. — Odkrycie kapitana Stuart. — Sprawdzają że rzeka Murray wpada do morza. — Odkrycia Howella i Huma. — Postępy kolonizacyi. — Osada na wyspie Melwill. — Osada na rzece Łabędziej. — Cieśnina króla Jerzego. — Port-Western. — Ziemia Van-Diemen.

Odkrycia dokonane w tój epoce wzdłuż brzegów Australii, zwiększyły tylko tajemnicze zajęcie rozlane na wewnątrz tego rozległego kraju; niezaleziono wprawdzie jeszcze żadnej rzeki znaczniejszej. Ciągłe trwająca wojna niedozwoliła dokończyć przedsięwzięcia, którego Flinders niezdolał uzupełnić; lecz skoro pokój został podpisany, liczne wyprawy wyruszyły z Wielkiej Brytanii dla czynienia odkryć jeograficznych, jedna z nich wysłana została na brzegi Australii. W czterech podróżach dokonanych od r. 1817 do 1822, kapitan Philip Parker King pomnożył ważnymi postrzeżeniami znajomość pobrażę między-zwrotnikowych Australii.

Jeśli przepatrzymy rezultat owych wypraw, uważanych za dalszy ciąg odkryć Flindersa, pierwszym przedmiotem który zwróci naszą uwagę, będzie znaczna rzeka, postrzeżona na wybrzeżu północnem, a którą nazwano rzeką *Liverpol*. Odkrycie portu Essington, na pół-wyspie na północ zatoki Van-Diemen, daleko większe jeszcze rokuje korzyści. »Jako przystań, port Essington wyrównywa, jeśli nieprzewyższa, wszystkie inne które kiedykolwiek

widziałem, mówi kapitan King; a przez bliskość od wysp Moluckich i Nowej-Gwinei przez swoje położenie na prostej linii komunikacyjnej pomiędzy *Port-Zakson* i *Ladyami*; jak również przez tę okoliczność, że panuje nad przejściem cieśniny Torres, powinien w krótkim przeciągu czasu stać się stolicą wielkiego handlu, i nader ważnym punktem.«

Na wybrzeżach zatoki Van-Diemen, kapitan King odkrył kilka rzek, nadał wszystkim zbiorową nazwę *Alligatorów*, z powodu tych zwierząt któremi były zapełnione. Jedną z nich przepatrzyły szalupy przeszło na 36 mil od jej ujścia, gdzie woda miała jeszcze więcej niż na półtrzecia sążnia głębokości. Brzegi jej były niskie i gęsto zarosłe; kraj okoliczny przedstawiał płaszczyznę, tu i owdzie narzuconą pagórkami na których palmy wznosiły swoje pnie proste i lekkie. Układ fizyczny tych rzek, których źródła muszą być oddalone ponieważ przepływają płaszczyznę według wszelkiego podobieństwa bardzo rozległą, zdaje się dowodzić że są ujściami wielkiej rzeki, dzielącej się na kilka odnóg i wpadających do morza.

Zatoka *Van-Diemen* odkryta została przez trzy wielkie okręta hollenderskie, które wyruszyły z Timor roku 1703. Wpłynęły one na nią, lecz jej nieprzetrwały i aż do r. 1818 brzegi jej pozostały nieznane. Gdy kapitan King z niej wypłynął, przesunął się wzdłuż strony wschodniej brzegów północnych ziemi *Van-Diemen*, którą dotąd uważano za półwysep. Przepatrzył drobnostrkowo jej północne pobrzeża i opłynawszy przylądek *Van-Diemen*, ostatni jej kraniec w tej stronie, zdziwił się i zachwyił odkrywając morską odnogę, rozciągającą się ku południowi, a która zdawała się być ujściem wielkiej rzeki. Nasi podróżnicy wpłynęli na nią wraz z przybraniem morza, i przebywszy 16 lub 17 mil, zarzucili kotwicę na jedenaście sążni głębokości. Brzegi zarosłe zielskiem i krzewami, były prawie niedostępne; po obu stronach kraj był niski i gęstymi odkrytymi lasami; różne gatunki palm, odznaczały się pomiędzy pospolitemi drzewami lasów australnych. Kapitan King i jego towarzysze, niewątpili że się im udało odkryć to, czego szukali z takim zapalem, to jest znaczną rzekę, gdy posunawszy się o kilka mil dalej, nagle ukazało się im pełne morze i zniweczyło wszystkie ich nadzieje, że to co poczytywali za rzekę było tylko cieśniną. Po ściśłym przejrzaniu takowej dowiedziano się, że ziemia *Van-Diemen* na dawnych mappach, składa się istotnie z dwóch wysp, przedzielonych wązkim kanałem, który tak srodcze zawiódł naszych żeglarzy, kapitan King nadał mu nazwę *cieśniny Apsleya*. Ma ona 40 mil długości, a od 1 do 3 mil szerokości; głęboka jest w ogóle od 10 do 13 sążni; lecz na południowej kończyni onej znajdują się mieliżny przystęp utrudniające. Z dwóch wysp, większa położona na wschodzie cieśniny, i mogąca mieć około 200 mil obwodu, nazwana została *wyspą Melvillea*; druga zaś na zachodzie i prawie o połowę mniejsza, *wyspą Bathursta*.

Posuwając się ku południo-wschodowi, wyszedłszy z cieśniny *Klarency*, (tak nazwano szeroki kanał oddzielający wyspę *Melville* od lądu stałego), po-

brzeże jest w ogóle niezmiernie niskie i nie zajmującego nie ma w sobie. Pod 13° szerokości, kapitan King przejrzał głęboką odnogę morską, którą nazwał zatoką *Kambridż*. Lubo owa zatoka miała zrazu podobieństwo wielkiej rzeki, sprawdzono że się kończy o 70 mil od swego ujścia, kilku małemi nie nie znaczącymi prawie strumieniami.

Przejrzanie północnej części ziemi *Witta*, więcej zajmujące przyniosło skutki. Kraj przybierał charakter ważniejszy i gorzywszy; brzeg podzielony był licznymi zatokami i głębokimi odnogami; w niektórych z nich jak naprzykład w *zatoce Admiralicji*, *cieśninie York* i *przystani Brunswik*, które starannie przejrano i wyborne znaleziono porty. Zatoka *Brunswik* jest obszerną cieśniną, zachodzącą w ląd na mil 20 i w całej swojej rozciągłości przedstawia dogodne miejsca do zarzucania kotwicy. Na krańcu owej cieśniny odkryto rzekę *księcia-Regenta*, która, używając wyrażenia kapitana King: »jest niewątpliwie najważniejszą szczególnością pobrzeża północno-zachodniego. W ogólności dodaje, odnogi tego pobrzeża tworzą przy swym wstępie obszerne porty; a gdy zaczynają przybierać charakterystyczne rysy rzeki, bieg ich staje się nieregularnym i krętym. Lecz rzeka księcia-Regenta bieży wewnątrz w kierunku południowo-wschodnim przez 54 mil, a nie niezajmuje oka w przestworze 13 mil." O piętnaście mil od ujścia, ciąg skał przerzynając tę rzekę, tworzy wodospad, po nad którym przypływu morza już się uczuwać nie daje. Od tego punktu, jestto piękna rzeka słodkiej i przezroczystej wody, mająca trzysta prętów szerokości." Na milę poniżej wodo-spadu, wpada do niej mniejszy strumień, z wysokości 140 stóp i chociaż nasi podróżnicy zwiedzali to wybrzeże w porze upałów, kaskada ta przedstawiała widok jeszcze wspanialszy. Ślady wysokiego przypływu morza oznaczone były na brzegach odnogi morskiej, a ogromne puie drzew rzucone leżały o 12 stóp wyżej niż ostatnie ślady najwyższego przyboru. Ponieważ kraj okoliczny miał powierzch-

wność dziką, drzewa te jednak dowodziły płodności jego gruntów wewnętrznych.

Długa żegluga mająca być skuteczną w oznaczonym czasie, niedozwoliła w zadowalający sposób zwiedzić i przejrzeć głębokie odnogi morskie, a zatem zdjąć dokładny plan wybrzeża i rzucić jakowe światło na wewnętrzną geografiją kraju; kapitan King, pomimo gorliwości i odwagi, nierozpoczął próżnej walki z trudnościami rozsianymi na swój drodze; pozbawiony wszystkich kotwic, uniknął niebezpiecznej żeglugi koło nadbrzeża północno-zachodniego. Nieusiłował jednak zmniejszyć ważności tych próżni, które spostrzegać się dają na jego mappie, dowodzeniem że części wybrzeża, których nie mógł przejrzeć, żadnego nie przedstawiają zajęcia. Przeciwnie, wynurzając żal, że niemógł przepatrzeć ważnej odnogi morskiej przy cyplu Kuningham, czyni postrzeżenie, że wszystko, co tylko jest dotąd znanem w tej znakomitej odnodze, wzbudza najwzruszającą ciekawość; w istocie, obszerność jej wstępu, szybkość prądu, mocne jej przybieranie, wszystko to dowodzi że musi być zatoką niezmiernie obszerną i zupełnie się różniącą od tych które przed nią przejrano." Bliżko o 100 mil dalej na południe, przy kończynie Gantheaume, znajduje się znów inna szeroka zatoka, która jak wnoszą, łączy się z pierwszą, tak, iż tworzy wielką wyspę. Co do reszty północno-zachodniego wybrzeża, nie można nawet wątpić że stały ląd rzadko kiedy był widzianym, i że ciąg wybrzeży oznaczonych dotąd na mappach, jest tylko niedokładnym szkicem zewnętrznej granicy ścieśnionego archipelagu. Zatoka Exmouth, inna głęboka morska odnoga, ograniczona na zachód wielkim półwyspem, którego przyładek Północno-Zachodni tworzy kończynę, także niedokładnie została przejrana, a więc mappy kapitana King, lubo zawierające w sobie wiele objaśnień stanowczych i kosztownych, nie są jednak tak już dokładnymi, aby zupełnie powątpiewać należało o istnieniu wielkiej rzeki australnej, wpadającej do oceanu. Wydatne

części stałego lądu australnego, mnóstwo głębokich zatok i odnóg morskich, które później może uznane zostaną za ujścia wielkich rzek, lecz na których okręt może uleść zatonięciu, pozostają jeszcze do przejrzania.

Przez długi czas badania czynione co do wnętrza tego rozległego kraju, jeszcze wolniejszy miał postęp, niżeli te, których wybrzeża były przedmiotem. Pasma gór rozciągających się równoległe z brzegiem wschodnim, oddalonych od morza, średnio licząc na 40 mil prawie, a które osadnicy powszechnie zowią *Górami-Błękitnemi*, tworzyło przez wiele lat nieprzebytą zapórę dla podróżnych. Na zachód od Sydney, szczyty owego pasma nieprzechożą 3000 stóp wysokości, lecz dalej na północ, dochodzą w wielu miejscach jeszcze raz tej wysokości. Zresztą cały jej łańcuch tak jest stromy od strony wschodniej, i tak rzadko przerzynany poprzecznymi dolinami, że długo po założeniu osady mniemano, że niepodobna go przebyć.

W Grudniu 1789, następnego roku po założeniu osady w *Port-Zakson*, porucznik Daws wyruszył dla rozpoznania gór, z mocnym oddziałem wojska i zapasami na dni sześć; lecz wytrzymawszy trudy dziewięciodniowego pochodu, powrócił do *Port-Zakson*, zaledwie zapuściwszy się na dziewięć mil w pierwszy łańcuch. W ośm miesięcy później kapitan Tench powtórzył toż usiłowanie i tegoż doznał zawodu. Oba te niepomyślne usiłowania były przyczyną, że przez trzy lata nieprzedsiewzięto wdrzeć się na góry Błękitne. W tej epoce, sławny pułkownik Pater-son, który zahartowany w pustyniach Afryki do trudów podróży, przedsięwziął nową wyprawę z największą nadzieją pomyślnego skutku. Plan jego zasadał się na popłynieniu w górę rzeki Hawkesbury, tak daleko jak tylko będzie spławną, a tym sposobem dostania się do podnóża gór które zamierzył przebyć. Obrat sobie za towarzyszy kilku dzielnych Szkotów, podobnie jak on nawyczajonych z dzieciństwa do wdzierania się na urwiska najspadziście, za-

brał także ze sobą kilku dzikich z *Port-Zakson*, którzy mieli mu służyć za przewodników i tłumaczy. Lecz wszystkie te przygotowania stały się niepotrzebnymi; albowiem chcąc przebyć wodospady rzeki; jedno z czołen zatoneło, drugie tak zostało uszkodzone, że już niepodobienstwem było naprawić go. Nadaremnie podróżnicy usiłovali przedrzeć się w głąb gór; trudności zwiększały się niemal z każdym krokiem. Jeden z szczytów miał najmniej 400 stóp wysokości prostopadłej; przerażające przepaści rozkwierały się ze wszęch stron pod ich krokami; zaledwie na jeden szczyt się wdarli, już zjawiały się inne, bardziej jeszcze nagie i stronne, tak, że byli zmuszeni cofnąć się napowrót.

W rok później, pan Hacking, kwatermistrz okrętu *Syrjusz*, człowiek odważny i przedsiębiorczy, niezrażony niepowodzeniem półkownika Pattersona, wyruszył z kilku śmiałymi towarzyszami na przebycie owych zapór dotąd niedostępnych. Usiłowania jego nie były zupełnie daremnymi; przedarł się o 20 mil dalej niż jego poprzednik; lecz wdartszy się na kilka najwznioślejszych szczytów, musiał się zwrócić. Po za szczytami na które się przedarł, góry przedstawiały bezustannie nowe łańcuchy jeszcze nieprzystępniejsze.

Pomiędzy żeglarzami, którzy najpierwsi odkryli Australię, zrećność i wytrwałość zjednały panu Bass naczelne miejsce. W Czerwcu 1796, śmiały ów żeglarz usiłował przedrzeć się w góry Błękitne. Żaden podróżnik nierozwinał tyle odwagi: uzbrowwszy obie ręce w żelazne haki, wdart się na kilka najniebezpieczniejszych urwisk, i kazał spuszczać się na sznurach w przepaści tamujące mu drogę. Lecz to wszystko na nic się nieprzydało, i po piętnastu dniach niesłychanych trudów i niebezpieczeństw wrócił do Sidnej, stwierdziwszy własnym niepowodzeniem, wszystko co powiedziało o niepodobienstwie przebycia owych nadzwyczajnych zapór. Ze szczytu niezmiernie wysokiego, Bass widział w odległości 40 mil, powtórny łańcuch gór, daleko wyższych niżeli wszystkie na które dotąd się wdzierał, a przestwór

pośredni, przedstawiał zawady częstsze i groźniejsze.

Następnie usiłował przejść góry, emigrant francuzki pan Bareillier, inżynier osady. Prócz ostrożności przedsięwziętych w poprzednich wyprawach, urządzono linią stanowisk, w niewielkich odległościach, aby można było utrzymać czynną komunikację pomiędzy podróżnymi i sąsiednimi osadami angielskimi; lecz pomimo tak dowcipnego planu tej wyprawy, pan Bareillier nie był szczęśliwszym od swych poprzedników i niedoszedł nawet punktu, do którego już przed nim przedarł się Bass i inni.

Prócz tych licznych niepowodzeń, wiele innych okoliczności było powodem, że osadnicy Góry Błękitne zupełnie uważali za nieprzebyte. Krajowcy równie one znali niedokładnie jak Europejczycy. Patrzali na nie z religijnym przestachem, jako na siedlisko nieprzyjaznych duchów, z kąd pioruny, zalewy i palające wiatry wypadały dla niszczenia okolicznych krajin. Twierdzili prócz tego, iż za temi górami znajduje się ogromne jezioro, nad brzegami którego żyją ludzie biali, podobni do Anglików, tak ubrani jak oni i mieszkający w wielkich miastach i domach kamiennych.

Owe strony pozostały zupełnie nieznanne do 1813 r. w ówczas odkryto przejście wodące na zachód Sydnej przez góry, z płaszczyzn Emu do kraju otwartego, płodnego i dostatecznie wodami zlanego. Natychmiast regularna droga została utworzoną i 25 Kwietnia 1815 r. gubernator Makwary z żoną i licznym orszakiem przeszedł góry Błękitne tak długo uważane za nieprzebyte. Najwznioślejszy punkt owęj drogi, idzie przez płaski pagórek dość rozległy, z kąd oko ogarnia ze wszęch stron najobszerniejsze i najrozmaitsze obrazy. Miasto Windsor, rzeka Hawkesbury i tysiąc innych punktów osady uwagi godnych, wyraźnie się postrzega. Odtąd droga się zniża stopniowo przez kilka milku wschodowi, gdzie się kończy nagle przepaścią prawie prostopadłą na 670 stóp głęboką. Kręta droga, którą zrobiono dla zejścia w tę groźną przepaść, otrzymała nazwę inżyniera kierującego robotą jej

poręczy i zowie się teraz *przejsciem Koksą*.

Gubernator, dostawszy się do płaskiego kraju położonego na zachodzie gór Błękitnych, wskazał natychmiast miejsce, gdzie później miało powstać miasto, któremu nadał nazwę *Bathurst*. Wybrał na to wzgórek położony na południowym brzegu pięknej rzeki, płynącej ku północo-zachodowi, która przybrała od niego nazwę *rzeki Makwaryi*. Na około w odległości mil 10 oceniono, iż się znajduje 50,000 morgów ziemi ogołoconej z lasów i najprzystatniejszej do uprawy i chowu bydła. Okolica obfitowała prócz tego w zwierzynę, a rzeka w wyborne ryby. Uważano iż położenie Bathurst było pod 33° 24' 30" szerokości południowej i 149° 29' 30" długości wschodniej. Droga wiodąca z tamtąd do Sydney ma 140 mil. Pan Trosby odkrył w r. 1819 w górach Błękitnych inne przejście, więcej na południu; a że ludność osady co raz bardziej dąży do zbliżenia się ku góróm, jest więc podobieństwem, że wkrótce zostaną przeprowadzone nowe drogi komunikacyjne.

Odkrycie urodzajnej i prawie granic niemającej krainy, nader ważnem było dla osady i nastąpiło w bardzo pomyslniej chwili, bo wtenczas gdy zwiększenie się ludności, w ciasnym obrębie niepłodnego gruntu, przewyższało zbiory rolnictwa. Z pewnością więc było można wnosić, że droga wiodąca ku krainom zachodnim, największy spowoduje zapał do dalszego ciągnięcia tego zajmującego odkrycia. Panu Oxley intendentowi osady, polecono zwiedzić kraj, znajdujący się pomiędzy Bathurst i Lahlanem znaczną rzeką o mil 80 na zachodzie, a której źródła przed niedawnym czasem dopiero odkryto. Na początku swój podróżny Oxley znalazł kraj przerznięty dolinami i pagórkami, okryty pięknymi pastwiskami, lecz wydający mało drzew i to wszystkie karłowatego gatunku; strumienie wity się w znacznej liczbie, a wapienny kamień, najlepszego gatunku, bardzo był tam obfity. Przywiązano nadzwyczajną ważność do tego ostatniego od-

krycia, gdyż pierwszy raz znajdowano podobny kamień w Nowej-południowej-Galii.

Dnia 24 Kwietnia, Oxley i jrgo orszak, przybyli do składu założonego poprzednio nad rzeką Lachlan dla wygody wyprawy. Przy pomocy barometrów wymierzono, że kraj niewznosił się w tém miejscu więcej jak na 600 stóp nad poziom morza; gdy tym czasem płaszczyzny Bathurst podobnie obrachowane, znaleziono o 1970 stóp wyniesione nad tą samą powierzchnią. To nagłe zniżenie kraju, złą było wróżbą co do długości rzeki. Od 27 Kwietnia do 12 Maja, Oxley puścił się w czółnie z biegiem tej rzeki, lecz znalazłszy płaszczyzny zalane na zachodzie i na północo-zachodzie, i samą rzekę, od niejakiego czasu przybierającą pozor kanału stojącego, jak nikła w bagniskach, osadził za rzecz niepotrzebną dłużej bieg jęj śledzić. Posuwał się więc następnie przez dni kilka ku południo-zachodowi; lecz z utrudzenia i braku wody utraciwszy kilka koni, ujrzał się zmuszonym skierować ku północy i dostać się na kilka niskich wzgórzów, wznoszących się w owej stronie. Niedługo trzymał się i tej nowej drogi, gdyż napotkał bieg wody; poznał w ówczas Lablan, która w tém miejscu z bagnisk wypływa. Szedł znowu jęj brzegiem, aż do 8 Lipca, wtedy uznał za niepodobieństwo posunąć się bardziej ku zachodowi. Niespływały do niej żadne holdownicze strumienie, owszem ona nikła w licznych lagunach. Kraj okoliczny był płaszczyzną jednostajną okrażoną tylko widnokragiem, ogołoconą z lasów, a zatem widocznie uległy zalewom rzeki gdy ta występowała ze swego łożyska. Miejsce, w którym rzeka Lachlan tak dziwnym niknie sposobem, leży o 500 mil na zachód od Sydney i prawie pod tymże samym stopniem co to miasto. W sześciu tygodniach po trudnych i niepodobnych do wiary wysileniach przedarł się on tak daleko. Bieg rzeki, licząc w to jęj zakręty, ciągnie się więcej niż na 1200 mil: przez większą część owego biegu, nieprzyjmuje ona w siebie żadnego in-

nego strumienia, i wsiąka nakoniec w pustą płaszczyznę. Ponieważ zapasy naszych podróżników były już prawie wyczerpane, skierowali więc co prędzej ku Makwaryi, dla oznaczenia kierunku owej rzeki, która widocznie z Lahlanem się niełączyła. Przechodzili z razu kraj nieplodny i pusty; lecz gdy się dostali na wysokości, krajobraz nagle się zmienił, i po piętnastu milach pochodu, rozłożyli obóz nad brzegiem znacznej rzeki, płynącej z południa na północ i skrapiającej przepyszną dolinę, ta otrzymała nazwę *doliny Wellingtona*. Sądono z razu iż znaleziono Makwaryę, lecz pan Oxley, niecierpliwy przejrzed kraj na północy, płynął czas jakiś z nowym prądem; postrzegł w ówczas z radością i podziwieniem, że ten spław łączył się z piękną rzeką, toczącą swe wody ze wschodu-południowoschodu i przerzynającą niski łańcuch pagórków trawistych, które okalały od wschodu dolinę. Była to widocznie Makwarya tak długo szukana, a na której widok nasi podróżni zapomnieli o wszystkich wycierpianych trudach. Krótka ich wycieczka w dół rzeki, stwierdziła wyobrażenie, które już poprzednio powzięli o płodności kraju. Powracając do Bathurst znaleźli grunt górzysty, lecz zamożny i piękny powierzchniowo; tylko drzewa wyradzały się, im bardziej się zbliżano ku płaszczyznom nowo-odkrytym. Cechą najbardziej odznaczającą tę stronę, jest mnóstwo potoków je przerzynających. Oxley tak o nich mówi: „przypuszczając, że widok kraju otaczającego Makwaryę, w miejscu, w którym po raz pierwszy przedarliśmy się do niego, niedostatecznie tłómaczy wielkość tej rzeki, droga którą się udaliśmy później, wyjaśniła nam przyczynę tego. Kraina ta jest poprzerynana wodami bieżącymi: na każdym pagórku znajdowaliśmy źródło, w każdej dolinie mały strumyk, jedne płynęły wprost ku północo-wschodowi rzeki, inne łączyły się z nią na zachodzie, w dolinie Wellingtona. Ogólny pozór kraju wskazuje, że wody napływające z północo-wschodu, również są liczne, jak i te które toczą swe wody z przeciwnej strony.” Od owej e-

poki utworzono nową osadę w dolinie Wellingtona, przy połączeniu rzeki Bell z Makwaryą; miejsce to oddalone o 200 mil na zachód od Sydney przez swą urodzajność i piękność otaczającej go okolicy, zdaje się być przeznaczonem zostać jedną z najbardziej kwitnących osad w krainie zachodniej.

Świetny opis, przez Oxleya i jego towarzyszy udzieleny o Makwaryi, jej rozkosznych krajobrodów, jej nieprzeliczonych strumieni, jej ogromnych wapiennych kamieni i wspaniałych lasów, wzniecił zapał osadników i obudził w nich nadzieję, że szlachetna ta rzeka wpada do oceanu. Właśnie tylko tej komunikacji morza z krainą zachodnią, brakowało do uzupełnienia nowych odkryć i musiało więc ono nadać im nieocenioną wartość. Postanowiono natychmiast zbadać, jeśli podobna, rzekę aż do jej ujścia, i natychmiast ustanowiono stacyą dla podróżnych w dolinie Wellingtona.

W Maju 1818 r. Oxley opuścił Sydney dla dokonania powtórnej wycieczki wewnątrz kraju. Nasi podróżni wysiedli poniżej doliny Wellingtona, przez kilka dni następnych, rzeka wody swe toczyła przez kraj daleko piękniejszy niżeli ten który dotąd opisano. Znaczna rzeka zwana *Erskine*, która do niej wpadała od wschodu, była przepowiednią pomyślnego skutku, świadcząc że Makwarya jest największym zbiorem wód wewnętrznych. O 125 mil po za doliną Wellingtona, pagórki zniknęły i ujrzano kraj zupełnie równy; jednak pomimo to grunt był wyborny i nie należało się obawiać żadnego wylewu. Z tego miejsca wysłano dwóch ludzi do gubernatora, z uwiadomieniem go o skutkach wyprawy. Gdy się oddalili, spodziewano się stanowczego powodzenia.

»Dnia 28 Czerwca, mówi Oxley: przymaliliśmy się z biegiem rzeki, niepostrzeższy znacznego ubywania ani przybywania przez mil 70 ku północo-zachodowi. Tam, przy zadęciu silnego wiatru tak wylała, że chociaż byliśmy od niej o trzy mile oddaleni, jednak jej wody zakryły łąd na którym się znajdowaliśmy; na szczęście, podróżowaliśmy od

niejakiego czasu na płaszczyźnie tak niskiej, że majtkowie naszych czółen, widząc kraj zalany, bieg swój zwolnili. Okoliczność ta dozwoliła mi przestać im rozkaz powrócenia do stacyi z której dziś zrana wyruszyliśmy i gdzie położenie było wzniolejsze. Miejsce to jednak nieprzedstawiało zupełnego bezpieczeństwa, uradzono więc że konie wraz z zapasami, powrócą do ostatnich wzgórz któreśmy opuścili, o 16 mil odległości, gdy ja wsiadłszy na największą szalupę, będę usiłował odkryć punkt, w którym wody się potaczają.

»Dnia 2 Lipca, puściłem się z biegiem rzeki i w tym dniu upłynęłam blisko 30 mil ku północo-północo-zachodowi, niewidząc ziemi, tak kraj zalany przybrał podobieństwo morza. Brzegi rzeki zarosłe były gęstemi drzewami, i kilka kawałów gruntu tu i owdzie któreśmy postrzegali, także otoczone były lasami. Dnia 3go, znaleźliśmy łóżysko rzeki zwężone, lecz bardzo głębokie, brzegi jej ciągle od 1 stopy do 18 cali wystawały po nad wodę. W przestworze 20 mil, pozostała taka, jaką wczoraj ją widzieliśmy; następnie straciliśmy całkiem z oczu ziemię i drzewa; potok zaczął krążyć pomiędzy trzezinami, niezmienniejąc kierunku i zachowując 3 stopowią swoją głębokość. Tak płynął ciągle przez mil cztery i w ówczas, bez żadnej poprzedniej zmiany swojej szerokości, głębokości lub bystrości prądu, w chwili gdy m sądził, że wpłynę na jezioro tak długo szukane, rzeka jakby czyniąc sobie z nas igraszkę, rozlewając się ze wszech stron z północo-zachodu na północo-wschód, na płaszczyznę trzezinami zarosłą otaczającą nas; z 20 stóp głębokości zmniejszyła się do 5 i zaczęła płynąć po błękitnym mule, zachowując zawsze swą szybkość jak w ówczas gdy wody jej ścieśnione były pomiędzy wyniosłościami brzegami. Ow punkt połączenia z wodami wewnętrznymi, w którym Makwarya przestaje mieć pozór rzeki, znajduje się pod 147° 10' długości wschodniej.»

Oxley niemogąc posunąć dalej swych poszukiwań ku północo-zachodowi,

zmienił drogę i chciał się wprost dostać na brzeg wschodni. W czasie swego pochodu ku góróm Błękitnym, przebył aż dwanaście pięknych rzeczek, płynących w ogólności w zachodnim i północnym kierunku, prawie równoległe z Makwaryą. Jedną z nich, zwaną *Kastlereagh*, w niewielkiej odległości od tej ostatniej rzeki, uważano za najobszerniejszą, inna zwana rzeką *Peel* była prawie równą Makwaryi i zlewała piękną krainę. Nasi podróżni opuściwszy płaszczyznę wiodącą do bagnisk, gdy się wdrapali na pagórki, przedstawił się ich oczom obraz ze wszech stron urozmaicony i niewypowiedzianie wspaniały. Przeszli płaszczyznę na kilka mil rozległą, których grunt zupełnie suchy i płodny, okryty był drzewami rozstawionemi w jak najpiękniejszym parku. Długie pasma niskich pagórków, okryte lasami cyprysów, akacjami kwiecistemi, wznosiły się tu i owdzie na płaszczyźnie, jak gdyby wyspy, urozmaicając ów malowniczy krajobraz. Wdrapano się na dwie z owych wyniosłości, jedna nazwaną została *górką Tetley*, druga *pagórkami Loadstone*; obie dość znaczny wpływ wywarły na igłę magnesową, gdyż bieguny zmieniły swe położenie gdy kompas postawiono na skale. Oxley z orszakiem swoim dostawszy się na szczyt gór Błękitnych, kłopotał się jak zejść z pochyłości wschodniej. Grunt pasma na którym się znajdował, wcale się mu niezdawał być urodzajnym; lecz okoliczność ta mało wpływała na lasy które mi był okryty; znajdowały się tam drzewa nadzwyczajnej grubości, a lasy tych gór wyrównywały co do wysokości i gatunku drzew, najpiękniejszym lasom w osadzie wschodniej. Nasi podróżni wstrzymani zostali w swojej dalszej wycieczce ku wschodowi przez pasma skał prostopadłych, rozciągających się z północy ku południowi, a które przedzielały w całej swjej długości głębokie wąwozy na pozór nie przebyte. Chcieli gwałtem przejść one, lecz pochód ich nagle przerwała przepaść która swą głębokością przewyższała wszystkie dotąd widziane. »Przerażająca ta

wyrwa, mówi Oxley: ciągnie się z północy na południe; w głębi szerokość jej nieprzechodzi od 100 do 200 stóp, lecz krawędzie jej zwierzchnie są od siebie oddalone na 2 lub 3 mile. Ma ona niezawodnie przeszło 300 stóp prostopadłej głębokości." Nasi podróżni szli przez kilka dni ku południowi, mając na lewo dziką i nieprzebytą krainę której daliśmy wyobrazenie. Natrafili na kilka wodospadów niezrównanej wspaniałości, i nareszcie szczęściem odkryli dolinę do której zejść było podobna. Obchodzili czas jakiś brzegi bystrego potoku, który spada z gór i wpada w Hastings, która znowu sama rzuca się w morze przy porcie Makwaryi. Podróż swą z gór Błękitnych ku morzu, uskutecznił z trudnościami pośród szczytów dzikich i wybiegłych, z których nie raz niepodobna byłoby im zejść, gdyby nie mnóstwo winogradów i innych pnących się roślin, które im były podporą. Nareszcie 23 Wrzesnia, Oxley i jego orszak ujrzeli pierwszy raz ocean z wierzchołka skały, którą nazwali *Skałą Morskiego Widoku*. Zeszli ku brzegowi wzdłuż Hastingsu, którego opis, może zachęcić kolonistów do osiadania nad jego brzegami. Tak Oxley przeszedł kraj w linii prostej więcej niż na 3000 mil, a większa część owej podróży odbyta została przez płaszczyny dostatecznie zwilżone i urodzajne. Wprawdzie, nie znalazł żadnej komunikacji pomiędzy wodami wewnętrznymi a morzem, lecz jakby to wynagradzając wskazał w sąsiedztwie pobraża, niezmiernie obszary wybornych gruntów, zarówno zdalnych do uprawy jak i pastwiska.

Tymczasem zapał odkryć w inną skierowaną stronę. Dwaj znakomici osadnicy Howel i Hume, zwiedzili z powodzeniem stronę południowo-wschodnią. Rozpoczynając swój przegląd od *Zatoki Podwójnej*, zwrócili się ku południowo-wschodowi i przebyli kraj otwarty, suchy, odkryty piękną roślinnością, pełen gęstych lasów, dopóki nie dostali się po nad brzeg ważnej rzeki; szli za jej biegiem i z radością postrzegli że wpadała w port Western, na około

którego okolica miała zachwycający poziom. Pomimo iż można naszym podróżnym zarzucić cokolwiek przesady, jako ludziom których wyobraźnią podniecała nadzieja i zamiętowanie odkryć, jednak rzecz to dowiedziona, że Nowa Gallia Południowa nie jest dziką i niepłodną pustynią, jak nam ją opisywali niektórzy zwiedzający. Mieści ona w sobie liczne rzeki, jeśli nie zawsze spławne, to przynajmniej dość wody mające, i wielkie obszary płodnej ziemi, które jednak niewyrównują w możliwości łąkom Ameryki.

W r. 1829 na nowo usiłowano rozpoznać kierunek wód wewnętrznych. Kapitan Sturt wyruszył z oddziałem dla przejścia ujść Makwaryi i Kastle-reaghu; przebywszy wielkie bagnisko, do którego wpadają obie te rzeki, ujrzał się wśród pustej płaszczyny, zupełnie оголоcoonej z wszelkiej roślinności, nareszcie odkrył pod 145° długości i 30° szerokości, znaczną rzekę, płynącą z południo-zachodu. Szedł czas jakiś z jej biegiem, lecz był zmuszony porzucić swoje poszukiwania i wrócić do Sydney; od którego był oddalonym o 600 mil w kierunku północno-zachodnim; nowa rzeka otrzymała nazwę *Darling*, na cześć gubernatora osady.

Odkrycia ważniejszego, gdyż zupełnym powodzeniem uwieńczone zostało, tenże sam officer dokonał. 7 Sierpnia r. 1830, kapitan Sturt pożegłował z biegiem rzeki Morrumbidge, płynącej o 200 mil na południo-zachodzie od Sydney, a która jak sądzono, łączyła się z Lahlanem. Stacya przygotowana poprzednio dla naszych podróżnych, i z kąd wyruszyli, znajdowała się pod 143° 57' długości a 34° 15' szerokości. Blisko o 12 mil poniżej, napływ pochodzący z północo-wschodu wpadał w Morrumbidge i przypuszczano że tworzy komunikacją pomiędzy tą rzeką a Lahlanem. Siódmego dnia podróży, brzegi zbliżyły się ku sobie, a gwałtowność prądu przejęła ich twogą; zwątpili już zupełnie czy będą mogli w dalszą puścić się drogę, gdyż łacha rozszerzyła się nagle a oni ujrzeli się rzuceni na szeroką i wspaniałą rzekę, płynącą ze

wschodu na zachód, której brzegi odległe były od siebie o 300 lub 400 stóp. Dnia 23 około 100 krajowców, ukazało się na prawym brzegu, z widocznym zamiarem napaści na czółno; wypadek ów tem bardziej był przykrym, że podróżni nasi wstrzymanii zostali przez zawady piasku. Już niektórzy z krajowców weszli w wodę, dla pochwylenia czółna; jednak przez dzwactwo wrodzone dzikim, zaniechalitego zamiaru i dozwolili spokojnie przepłynąć cudzoziemcom. Za ledwie szalupa wydobyła się z piasków, postreżono wielką rzekę, płynącą od wschodu, a która łączyła się z Morrumbidge, tworząc kąt ostry. Indyjanie ukazałi się na wązkim języku ziemi, dzielącym obie rzeki. Nowy prąd, utworzony z połączenia Morrumbidge i drugiej rzeki, którą jak sądzono że była *Darling*, otrzymał nazwę rzeki *Murray*. Brzegi jęj okryte zielonością i drzewami, zachwycający przedstawiały widok; bieg jęj tak się pochylał ku zachodowi, iż dochodził pod 149° 40' długości, nie dochodząc niżej jak pod 34° szerokości. Skały utworzone tam były szczególniej z kamienia wapiennego. Łożyisko rzeki miało długo pozor jaru głębokiego, lecz nareszcie zmieniła kierunek ku południo-wschodowi, tocząc swe wały szerokimi pasami, blisko na 400 stóp długimi i miała 20 stóp głębokości przy brzegu. Nowy ten widok ożywił nadzieję naszych podróżnych, wkrótce bardziej się jeszcze ucieszyli, gdy się dostali na obszerne jezioro, mogące mieć od 30 do 60 mil przestworu we wszystkich kierunkach. Okolica niezdawała się nieplodną, lecz mniej obfitowała w drzewo, niż grunta w górze rzeki leżące. O siedem mil od ujścia *Murray*, woda jeziora była spleśniała-zielonawa, a o czternaście mil dalej zamieniła się w zupełnie stoną. Wnoszono naturalnie z tej okoliczności, że łączyła się z morzem, co też niezadługo sprawdzono. Ponieważ mielizny przeskadzały szalupie płynąć ku południowi jeziora, kapitan Sturt wysiadł na ląd nad brzegiem morza przy zatoce Bitwy, z którą jezioro łączyło się

napływem blisko nadwie mile szerokim i splawnym dla czółen. Wniesiono iż muszą bydź jeszcze inne komunikacye, lecz z powodu zbyt wielkiego zmuczenia, nasi żeglarze nie mogli zdjąć zupełnego planu swych odkryć. *Jezioro Aleksandryna* (tak nazwał ową przestrzeń wody kapitan Sturt), leży wprost na wschód zatoki Świętego-Wincentego, ujście jego ścieśniają nieco piaski. Zapasy Anglików zupełnie prawie już się wyczerpały, a oni sami z takim wysileniem pracować musieli dla dostania się w górę rzeki, że napół umarli przybyli do zakładu z którego wyszli przed 80 dniami; w tym przeciągu czasu przebyli przeszło 2000 mil. Rzeka zwana *Lindsay*, płynąca ze wschodu ku południowi, była jedyną, która wpada do *Murraju*. Jeśli kapitan Sturt nie myli się przypuszczając, że *Morrumbidge* komunikuje z *Lahlanem* i że wielka rzeka napływająca od wschodu i z nim się łącząca jest istotnie *Darlingiem*, odkrytym w pierwszjej jego wyprawie, wynika ztąd że ogromny przestwór komunikacyi wodnych istnieje wewnątrz kraju, i że *Murray* jest najpodobniej kanałem, przez który łączą się z morzem wszystkie rzeki znane dotąd, a płynące na zachód gór Błękitnych.

Odkąd odwaga i wytrwałość *Oxleya*, *Sturta* i wielu innych, otworzyły niezmierne pole spekulacyom rolnictwa osadniczego, rząd nie pozostał obojętnym na korzyści handlowe, następujące się z licznych zakładów, umieszczonych pod rozmaitemi klimatami i w wielkiej odległości jedne od drugich. Kolonizacya rozciągnęła się na wschodniem wybrzeżu aż do zatoki *Moreton*, o 450 mil od *Sydney*; w równj-że odległości na południo-zachodzie, utworzyła się niedawno osada w porcie *Western*, pragnąc ciągnąć korzyści z pięknych okolic, zwiedzonych przez *Howella* i *Humego*.

Lecz ze wszystkich pobrzeży owego wielkiego stałego lądu, pobrzeże północne najbardziej zasługuje na uwagę tego narodu handlowego. Wielki połów ryb urządzony tam przez *Małajczyków*, stał się gałęzią korzystnego han-

dlu z Chinami, z resztą płodność tej części wybrzeża, gorącość klimatu dozwalającego wydawać ziemi mnóstwo płodów, które nie znajdują się w osadach południowych; bliskość archipelagu Indyjskiego, zamieszkanego przez lud nawykły do spekulacji handlowych, i szybko postępujący w oświacie; wszystkie te okoliczności wróżą wielkie i świetne nadzieje pomyślności dla osady założonej na północnych wybrzeżach Nowej-Hollandyi. Postrzeżenia dokonane przez kapitana King były pierwszym krokiem ku temu celowi i na początku r. 1824, *Tamar* statek pod dowództwem kapitana Brewer, wysłany został dla objęcia w posiadłość *ziemię Arnheim*; i utworzenia zakładu w miejscu które osadzi za najstosowniejsze dla składu towarów. *Tamar* opuścił Sydney w Sierpniu i przebywszy cieśninę Torres, zarzucił kotwicę w porcie Essington. Tam zaknięto chorągiew narodową i formalnie objęto w posiadłość całe wybrzeże północne. Lecz ponieważ nieznaleziono w tém miejscu słodkiej wody, okręt przeto udał się do cieśniny Apsley, gdzie odkryto na wyspie Melwil małą rzeczkę, wpadającą do cieśniny przy wyspie Harris: wyspę tę natychmiast wybrano jako miejsce najstosowniejsze do założenia osady. Dnia 2 Października, rozpoczęto tam budowę twierdzy Dundas. Mały przygórek, na którym się wznosi, otrzymał miano *wzgórza Barlow*, a miejsce gdzie zarzucono kotwicę w cieśninie nazwane zostało *portem Kokburn*. Grunt przyległy nowej osadzie był nadzwyczajnie urodzajny, lecz lasy zajmowały większą jego przestrzeń. Aż do Listopada nie widziano dzikich; lecz później, częste ich kradzieże spowodowały nieprzyjacielskie kroki, które utrzymywały nowo-powstałą osadę w ciągłej czujności.

Osada założona nad *rzeką Łabędzią*, na początku 1829 r. nabrała już nieco siły i pozornej trwałości. Rzeka ta przejrzaną została w odległości przeszło 80 mil od swego ujścia. Wnętrze kraju jest jak najprzydatniejsze do chowu bydła i uprawy; od strony morza tyl-

ko jest piaszczyste. Rzeka Kanning z południa wpadająca do rzeki Łabędziej dotąd w części tylko była przejrzaną. Jeden ważny zarzut walczy przeciw tej osadzie, to jest że w bliskości jej nie ma żadnego ważnego portu, który by przedstawiał jakieś bezpieczeństwo. Ujście rzeki Łabędziej zaparte jest skałą, nad którą zaledwie znajduje się 6 stóp wody; a *droga Gage*, pomiędzy rzeką a wyspą Rottnest, narażoną jest na nawalne południowe i południowo-zachodnie; lecz przy końcu r. 1829 piękna rzeka, mająca przy swém ujściu port obszerny, odkrytą została nieco ku południowi; wpada ona do morza niedaleko przylądka Buward.

Taz sama niestrudzona gorliwość dla kolonizacyi, spowodowała założenie w r. 1826, kantoru w cieśninie króla Jerzego III. W owém to miejscu, jak wiadomo znajduje się pierwszy port nieco pewniejszy, do którego zawijać mogą okręta przybywające z Europy do Nowej-Gallii-Południowej, według wszelkiego podobieństwa, tam utworzony zostanie targ bydła i miejsce wycieczki dla okrętów, by zmniejszyć niebezpieczeństwa długiej żeglugi na około południowego pobrzeża. W ziemi Van-Diemen kolonizacya rozciąga się, przez środek wyspy od Derwentu wpadającego na południu, aż do Tamaru i portu Dalrympl, który się wznosi od strony północnej- Port Makwarya umieszczony na zachodnim wybrzeżu, gdzie się znajdują w obfitości piękne sosny, jest bardzo uczęszczany od żeglarki osadniczej. Wedle wszelkiego podobieństwa, wkrótce się on stanie znacznym zakładem. Jeden więc tylko jeszcze port ważniejszy na wybrzeżach Nowej-Australii, dotąd nie jest zajęty przez Anglików. *Zatoka Rekinów* położona o 400 mil na północ od rzeki Łabędziej. Sądono iż Francuzi mają zamiar utworzyć osadę na tém pobrzeżu, lecz jeśli zaniedbają to uczynić, rząd kolonialny pozna korzyści posiadania jedynego pewnego miejsca do zarzucenia kotwicy, które dotąd znaleziono na zachodnich brzegach Nowej-Hollandyi.

ROZDZIAŁ XXXV.

PODRÓŻE WANKUWERA.

Początek handlu futrami. — Podróż Mearesa. — Podróż Portloka i Diksona. — Grey. — Ich odkrycia. — Cieśnina Fuka. — Zazdrość Hiszpanów przeciw Rossyanom. — Zakład utworzony w Monterey. — Wyprawa na północ. — Odkrycie portu Bukarelli. — Powtórna wyprawa. — Jej skutki. — Podróż Hara i Martineza. — Hiszpanie zajmują w posiadłość wyspę Nootka. — Zabierają statek Angielski. — Kłótnia zagazona. — Wankuwer odzyskuje Nootkę. — Odbiera rozkaz odrysowania północno-zachodniego Ameryki. — Podróż wzdłuż Nowej-Hollandyi. — Odkrycie wyspy Chatham. — Wankuwer dostaje się do cieśniny Fuka. — Dostaje się tym sposobem od północy aż do morza. — Napotyka inspektorów hiszpańskich. — Przybycie do Nootki. — Przejrzanie rzeki Kolumbia. — Charakter krajowców. — Ich architektura. — Przewinowame okrętów na wyspach Sandwich. — Owychęja dobrowolnie ustąpiona królowi Angielskiemu. — Wankuwer wraca na północ Amerykańskie. — Uzupełna swoją pracę. — Jego talenta. — Jego śmierć. — Posiadłości Angielskie na północno-zachodnim. — Podróż Kotzebuego. — Jego odnoga morska.

Wrażenie jakie sprawiły w Europie jeograficzne odkrycia Kooka, przewyższone zostały skutkami natychmiast wynikłymi z zapału z jakim się rzucano do korzystnego handlu, który można było prowadzić z Chinami i północno-zachodniem wybrzeżem Ameryki. Futra zgromadzone przez Rossyan na wyspach Foxa, przesyłane przez nich do Kamczatki, a z tamąd do Kiachty, przybywały do Chin, przeszedłszy przez kilka rąk i odbywszy niepotrzebnie kilka tysięcy mil: tam, dochodziły niezmierniej ceny, skutkiem owego zagmatowanego przewozu. Hiszpanie pogrążeni w bezczynności, niewiedzieli o korzyściach jakie osiągnąć było można z handlu futrałmi wprost urządzonego pomiędzy północnym wybrzeżem Ameryki i Chinami. Anglikom pozostawionem było opłynąć kulę ziemską i oddać się temu handlowi. Ostatni tom podróży Kooka, w którym kapitan King wykłada korzyści następczające się z handlu futrami, ogłoszony został r. 1784, w następnym roku, kapitan Hanna ruszył z Kantonu na małym brygu 60-beczkowym, przebył morza Japońskie i w Kwietniu przybył do Nootki, którą Kook wskazał jako najkorzystniejszy punkt w Ameryce do prowadzenia handlu futrami. Posuwając się ku północy, odkrył kilka wyborych przystani, i wrócił do Chin przy końcu ro-

ku z bogatym ładunkiem futer. Taki to był początek zamiennego handlu, który później stał się tak ważnym i spowodował więcej postępów w żegludze niżeli którykolwiek inny, wyjąwszy może tylko połów wielorybów. W następnym roku kapitan Hanna, przybył znów na wybrzeże amerykańskie i zgromadził kosztowny ładunek. Współzawodniczy okręt, wysłany z Makao w tymże czasie, popłynął do Kamczatki, i zatonął przy wyspie Miedziannój. Początkowo do tego handlu należały tylko okręta znajdujące się na rzece Kanton, które przez takową bliską odległość widoczne miały korzyści; lecz r. 1786, dwa okręta pod dowództwem kapitanów Lowrie i Guise, ruszyły z Bombay do cieśniny Nootka, powiadają iż ci posuwając się ku północy, odkryli archipelag, któremu później Dixon nadał nazwę *Wysp Królowej Karoliny*. Wyprawy, które wyruszyły z Bengalu, nastąpiły niezadługo po tych, które przybywały z północnego wybrzeża Malabar. Kapitan Tipping zginął z okrętem *Wydra*, lecz kapitan Meares na *Nootce*, przedarł się do cieśniny księcia Wilhelma i był zmuszony tam zimować. Dwudziestu-trzech z jego ludzi padło ofiarą klimatu i braku żywności; lecz następnego roku Meares wrócił do Makao. Przewinowanie to na wybrzeżu amerykańskim lubo by-

ło dziełem potrzeby; stało się jednak wielkim krokiem do zawarcia bliższych stosunków z mieszkańcami kraju.

Jeśli kupcy angielscy osiadli w Makao i Indyach, pierwsi zawiązali czynny handel futrami, to swemu położeniu winni byli ową krótko - chwilową korzyść: bo żeglarze Tamizy lubo mieli opłynąć przylądek Horn i odbyć podróż prawie około połowy okręgu kuli ziemskiej, nim staną w szrankach handlowych, a jednak swą śmiałością i duchem przedsiębiorczym posunęli się do tego współzawodnictwa i użyli wszystkich środków żeglugi przez zamierzanie zysku. Roku 1785, wielu kupców zawiązało towarzystwo pod nazwą *Kompanii cieśniny Króla Jerzego*; przez umowy z kompaniami morza Południowego i Indyi Wschodnich, okupili zawieszenie zgubnego przywileju, którego tarczą niedoleżne monopolium bro ni się przeciw czynnemu współzawodnictwu. Tego samego roku, nowa kompania wyprawiła dwa okręta, pod dowództwem kapitanów Portlok i Dixon, obu wychowañców Kooka; przybyli oni r. 1786 do północno-zachodniego wybrzeża stałego lądu Ameryki, żąd udali się do wysp Sandwich, słusznie pragnąc przeziomować swoich żeglarzy w umiarkowanym klimacie, niżeli narażać ich na choroby i niedostatki w północnej Ameryce. Na wiosnę roku 1787 wrócili znowu na pobrzeża amerykańskie, tak się rozdzielwszy aby sobie nawzajem nieszkodzili w handlu z krajowcami. Portlok przejrzał wzdłuż wybrzeża wielkie mnóstwo odnóg morskich i przystani, którym nadał nazwy dotąd jeszcze przechowujące się. Dixon także żeglując ku południowi, odkrył pod 54° 24' szerokości, początek łańcucha wysp i płynąc wzdłuż wybrzeża zachodniego aż do jego południowej kończyny, okrążył go z południa i wrócił ku północy, opłynawszy jego wschodnią granicę, aż do 53° 10'. W tej szerokości postrzegł na wschodzie w oddaleniu, kończynę stałego lądu, której nadał nazwę *przylądka Dalrymple*, zaś grupę wysp, którą prawie całkiem opłynął, nazwał *wyspami Kró-*

lowej Karoliny. Francuzi przeczą temu odkryciu, twierdząc iż pomienione wyspy zwiedzone zostały przez Laperusa, który już w r. 1786, przejrzał ich granice zachodnie. Dixon zwiedził następnie cieśninę Nootka, gdzie znalazł kilka okrętów angielskich, a powziąwszy wiadomość, że tegoroczny handel już był wyczerpany w tej stronie, skierował ku wyspom Sandwich, gdzie się połączył z kapitanem Portlok.

Okręta dotąd używane do handlu futrami, ograniczały się zwykle na zwiedzeniu Nootki, cieśniny księcia Wilhelma i innych punktów wskazanych przez Kooka; lecz Portlock i Dixon znaleźli wybrzeża, gdzie szukany towar w większej znajdował się obfitości, a krajowcy nienazwyczejeni do handlu z cudzoziemcami, przedawali go po umiarkowanej cenie.

Okręta napotkane przez kapitana Dixon po wypłynieniu jego z cieśniny Nootka były *Księżę Gali* i *Księżniczka Królowiska*, dowodzone przez kapitanów Kolnett i Dunkan. Opuścili oni Anglię we Wrześniu 1786 r, i zaczęli swój handel od założenia na wyspach *Staaten-land*, przy *Ziemi-Ognistej*, faktoryi w celu zbierania skór cieląt morskich i tranu z tych zwierząt. Udali się potem do Nootki; a przezimowawszy na wyspach Sandwich, wrócili na brzeg amerykański r. 1788. Kapitan Dunkan zarzucił kotwicę i prowadził handel w rozmaitych przystaniach na wschodniem wybrzeżu Królowej Karoliny; przebył potem kanał oddzielający wyspy od lądu stałego, i udał się ku wschodowi, do innej grupy, którą nazwał wyspami *Księżniczki Królewskiej*, a które zajmują przestwór zawarty pomiędzy 54° i 50° Archipelag ten przedstawia pomiędzy licznymi wyspami z których się składa, mnóstwo zatok, przystań i odnóg morskich, które kapitan Dunkan w części przejrzał. Zarzucił tam kotwicę po dziewiętnascie razy z narażeniem się częstokroć na niebezpieczeństwo; jednak korzystny handel wynagradzając mu wszystko hojnie, kazał puszczać w niepamięć minione trudy. Posunął aż do 47° swój przegląd wy-

brzeża, a nawet wskazał pod 48° 30' opuszczoną ziemię, którą nazwał *cieśniną Fuka*, potem zwrócił się znowu ku wyspom Sandwich.

W r. 1788, Meares przedsięwziął na statku *Felicya*, powtórna podróż do wybrzeża północno-zachodniego Ameryki; towarzyszył mu kapitan Duglas, dowodzący *Ifigenią*. Przez swoją czynność i wytrwałość zbudował mały okręt w cieśninie Nootka; potem posunął się na południe dla przejścia cieśniny Fuka, do której budowa jego statku dozwoliła mu wpłynąć aż o mil 6½; w tej odległości od morza, cieśnina miała blisko 8 mil szerokości; Meares zdawał się zawsze wątpić czy ziemia, na której leży cieśnina Nootka, należy do stałego lądu Ameryki; sprawiedliwą czyni uwagę, że pobrzeże to jest okolone licznymi wyspami, i że pozostaje jeszcze oznaczyć czy którakolwiek z owych krain, uczęszczanych przez kupców, rzeczywiście należy do stałego lądu. Towarzysz jego kapitan Duglas, który rozpoczął swoją podróż wzdłuż wybrzeża przy rzece Kooka, pod 61° szerokości, posunął się ku południowi, i pierwszy przebył w całej długości kanał oddzielający wyspy królowej Karoliny od wysp Księżniczki królewskiej i *Ziemi-Statéf* (*Terre-Ferme*). Korzystny handel prowadzony przez Anglików na wybrzeżach północno-zachodnich Ameryki, zwrócił uwagę i podwoił energię narodów posiadających marynarkę handlową. Stany Zjednoczone Ameryki po odzyskaniu swęj niepodległości szczególny miały interes zapewnić sobie częśćkę tego nowo-odkrytego handlu. Zbyt jeszcze były ubogie do zawiązania stosunków z Chinami, aby się mogły ukazać na targach owego narodu choć z futrami, jedynym przedmiotem zamiany, do której Chińczykowie przystępowali. Roku 1783, kapitan Grey, z dwoma małemi okrętami, *Washingtonem* i *Kolumbią*, przybył na północno-zachodnie wybrzeże Ameryki, poroczną podróż rozpoczął od Bostonu a zakończoną na opłynieniu przylądka Horn. Dowiedział się od Mearesa o istnieniu cieśniny Fuka, i popłynąwszy dla

przejścia jej, znalazł się na morzu, rozciągającym się więcej jak od 8° do 4° szerokości nad wschód Nootki. Przesadzone to opowiadanie, wielkie sprawiło wrażenie pomiędzy wierzącymi odkryciem sternika Greya; lecz takowe niebyły ani dość jasne, ani dość autentyczne, aby mogły być upoważniać do czynienia zmian w mappach. Zdaje się że około r. 1789, statki Angielskie przejrzały całe wybrzeże północno-zachodnie Ameryki od 47° do 60°, a mapy handlujących żeglarzy, porównane i połączone jedne z drugimi, uzupełniły dokładny obraz owych pobrzeży tak nadzwyczajnie powikłanych. Okręta wielu innych narodów wmięszaly się do handlu futrami, lecz Anglicy zawsze mieli pierwszeństwo, swoją liczbą i powodzeniem. Ładunek zebrany przez Portloka i Dixona, był ceniony na 55,000 dollarów. Anglicy przez swą odwagę i energią, wiele mieli korzyści w swych stosunkach z ludem prostych obyczaj. Meares zimował na pobrzeżu, i nawet zbudował tam okręt; od r. 1786, dwa statki wyruszywszy z Bengalu, wysadziły w cieśninie Nootka, szlachcica zwanego John M'kay, który przyjął obyczaje tamtejszych ludów, nauczył się ich mowy i nabył wiele nader pożytecznych wiadomości.

Rząd hiszpański przebudzony został z swęj głębokiej nieczynności, dopiero w r. 1769, obawą posunienia się Rosyan ku Ameryce hiszpańskiej, gabiret Madrycki przypomniał sobie w ówczas że już temu 160 lat przeszło (bo w r. 1602), Viscaino odkrył wyborny port pod 36° 40' szerokości północnej. Miejsce to znajdowało się pomiędzy twierdzami Meksyku i granicami odkryw Rosyan, Hiszpanie osadzili za rzecz korzystną zając je jako punkt środkowy, nim posuną dalej ku północy swoje wycieczki i zdjęcie planów. Postanowiono więc utworzyć osadę w Monterey. Wysłano tam okręta z portu Świętego Błażeja, pod rozkazami Wincentego Vila; lecz wyprawa ta dopiero po długich i trudzących poszukiwaniach, znalazła przystań Monterey; tam i w San-Diego założyła osady i powróciła. Wznawiane

podróże Anglików po Wielkim oceanie, wznieciły nowe obawy w rządzie hiszpańskim. Postanowiono nie tracić czasu na czynieniu nowych odkryć na północ Kalifornii, i zakładaniu tam osad, lecz w całości ją objąć w posiadłość. Roku 1775 dwa okręta, wypłynęły z San-Blas, pod rozkazami Don Zuana de Ayala i Antoniego Maurelle, którzy się przyczynili do postępu jeograficznego, przejrzeniem pobraży, pomiędzy 47° a 57°. Szeroka przystań czyli cieśnina pod 57° 18' szerokości, nazwana została *Puerto-Bucarelli*, na cześć wice-króla Meksyku. Tam, Don Zuan de Ayala, w imieniu swego monarchy objął kraj w posiadłość, nieoznaczysz jego granic.

Rezultat owéj podróży zdaje się iż zadowolił wice-króla, gdyż 1779 wysłał powtórna wyprawę dla przejrzenia pobraży od 58° do 70°. Ponieważ niewiadomość Hiszpanów wyrównywała w owym czasie ich bezczynności, byż może że wice-król nie wiedział o kapitanie angielskim Kook, który już rzeszłego przepatrzył owe pobrażę. Nowa ta wyprawa pod rozkazami Ignacego Arteaga, któremu towarzyszył sternik Maurelle, w niczém niepomnożyła wiadomości ziemio-pisarskich. Zamiast dotrzeć od 58° do 70°, Arteaga nieposunął swego przeglądu wybrzeża północno-zachodniego jak do 59°.

Owe bezskuteczne usiłowania Hiszpanów w rozpoznaniu pobraży, które wkrótce miały zwiedzać najmniejsze statki innych narodów europejskich, dostatecznie dowodzi, jak szybkim było chylenie się do upadku ich żeglugi. Dwa narody umieszczone na kończynach Europy i Azji, zagroziły Hiszpanii wydarciem jéj skarbów Nowego-Swiata i starały się uprzętać wszelkie wątpliwości jeograficzne; Hiszpania tylko w tym względzie zostawała pogrążoną w zupełnej niewiadomości aby nieściagnąć współubiegaczy, którzy nabywali stopniowo prawa do posiadłości na rozległej linii pobraży, stykających się z krajami uległemi panowaniu hiszpańskiemu. Don Esteban Martinez dokonał r. 1788 podróży wzdłuż wybrzeża północno-zacho-

dniego i odkrył aż 8 osad rossyjskich; powziął wiadomość że gubernator Kamczatki wydał rozkazy zajęcia cieśniny Nootka, lub jak mówią Hiszpanie Portu San-Lorenza. Wice-król meksykański postanowił przeszkodzić temu zamiarowi i 1789 tenże Don Martinez wysłany został z dwoma fregatami, dla urozystego objęcia w posiadłość cieśniny Nootka. Gdy do niéj przybył, cztery okręta stały na kotwicy w porcie, dwa były Amerykańskie, jeden Portugalski, czwarty Angielski. Zabrano w niewolę tylko ten ostatni, trzy inne puszczono. Po tym pierwszym dowodzie swéj władzy, Don Martinez zajął się niezwłocznie wykonaniem swego poselstwa, wystawił domy, magazyny i usypał baterię przy wejściu do portu. Gdy tak Hiszpanie zajmowali się założeniem fundamentów nowéj osady, statek ukazał się w przystani do którój dozwolono mu wplynąć; lecz zaledwie zarzucił kotwice, Hiszpanie otoczyli go i zabrali; był to *Argonaut* okręt kupiecki, płynący z Londynu pod rozkazami kapitana Kolnet, którego należycie upoważniono do założenia osady w Nootce. Tak gwałwny postępek ze strony Hiszpanii wzniecił żywe spory pomiędzy gabinetami Londyńskim i Madryckim; dwa narody europejskie dumne swą cywilizacją, gotowe były wypowiedzieć sobie wojnę zawziętą, o małą cząstkę niepłodnego wybrzeża, oddalonego 3000 mil od każdego z nich. Krótka ta historia handlu futrami i nieporozumień politycznych, które on spowodował, wyjaśnia jakim sposobem Europejczycy nabyli tak prędko znajomości owych wybrzeży niebezpiecznych, których nawet istnienia niedomyślano się na pół wieku pierwej.

Rząd angielski, sowiec wynagrodzony za wsparcia udzielane odkryciom jeograficznym, czynnością przedsięwzięć handlowych, zamierzał r. 1790, wysłać wyprawę dla dokonania przeglądu oceanu w stronach południowych, gdy się dowiedziano w Anglii o pojmaniu *Argonauta*. Natychmiast wszelkie przygotowania wstrzymano, a zajęto się uzbrojeniami wojeunemi, aby w razie potrzeby poprzeć siłą przedstawienia które za-

mierzono poczynić. Nagłe zjawienie się silnej floty, wywarło wpływ pożądany na dworze hiszpańskim. Natychmiast przyrzeczono zwrot pojmanego statku i bez oporu przyznano Wielkiej-Brytanii prawo posiadłości cieśniny Nootka. Kapitanowi Wankuwer, którego wyznaczono do kierowania zamierzoną wyprawą ku morzom podbiegunowóm, rozkazano udać się do Nootki; gdy zaś otrzyma od rządu hiszpańskiego zwrot tego terytorjum, aby zdjąć plan całego pobrażca północno-zachodniego, od 30° szerokości aż do rzeki Kooka pod 61°. Wyłynął r. 1791 na statku *Odkrycie*, w towarzystwie kapitana Broughton dowodzącego małym okrętem 135-beczkowym *Chatham*.

Instrukcye dane Wankuwerowi ściały się głównie do dwóch przedmiotów: — 1^o Aby przepatrzył komunikacye, mogące ułatwić handel pomiędzy pobrażcami północno-zachodniemi a północno-wschodniemi Ameryki; — 2^o Aby oznaczył liczbę osad założonych przez Europejczyków na pierwszém z pomienionych pobrażczy, oraz datę ich założenia. Miał także przepatrzyć szczegółowo wszystkie odnogi morskie, jednak nieposuwając przeglądu rzek poza punkt w którym przestawały być spławne dla okrętów. Zalecono mu aby szczególniej zwrócił swoją uwagę na cieśninę Fuka i zatokę zwiedzoną r. 1789 przez okręt *Washington*, gdzie odkrycie komunikacyi pobliskiej pomiędzy tym morzem lub tą cieśniną i jaką bądź rzeką, pochodzącą z jeziora *Lesnego*, lub wpadającą do niego, byłoby szczególniej użyteczne. Polecono Wankuwerowi aby z nadwyzczajną grzecznością obchodził się z handlującymi cudzoziemcami, których napotka na wybrzeżu północno-wschodniem, a szczególniej z Hiszpanami; których jeśli napotka zajętych poszukiwaniami, miał im dozwolić korzystać z mapp swoich i odkryć. Nadto miał on za powrotem, zrobić plan wybrzeża zachodniego Ameryki Południowej, od 44° aż do przylądka Horn. W pierwszój swojej przeprawie Wankuwer przejrzał znaczną część wybrzeża południowego No-

wój-Hollandyi, gdzie odkrył cieśninę Króla Jerzego III; płynąc do Nowej-Zelandyi, uzupełnił plany przez Kooka niedokonane. Oddalwszy się z tego ostatniego kraju, okręta *Chatham* i *Odkrycie* rozłączone zostały przez nawałnicę. Wankuwer płynąc na tym ostatnim, odkrył kilka wysp skalistych, które nazwał *Zasadzkami*; potem zwiedził inną, bardzo znaczną, której nadał miano *Opara*; jak się później dowiedziano istotnie nazywa się ona *Rapa*. W zatoce Matawai połączył się ze swoim towarzyszem kapitanem Broughton, który odkrył wyspę *Chatham*, dość blisko na wschód Nowej-Zelandyi.

W Kwietniu r. 1792, Wankuwer przybył do wybrzeża Nowego-Albionu. Zbliżając się do cieśniny Nootka, spotkał statek pod rozkazami kapitana Grey, który jak twierdzono miał się dostać w roku 1789, przez cieśninę Fuka aż na rozległe morze; lecz kapitan amerykański zaprzeczył wszystkiemu. Posunął się tylko jak powiadał, o 50 mil ku wschodopółudnio-wschodowi, i w tém miejscu cieśnina miała jeszcze 2½ mili szerokości; krajowcy powiedzieli mu aby następnie skierował ku północy. Wankuwer płynął wkrótce do tej odnogi morskiej, i zaraz pierwszej nocy zarzucił kotwicę znacznie dalej niżeli kapitan Grey, lub którykolwiek Europejczyk. W tej długiej podróży przejrzał 108 mil pobrażczy. Wysiadłszy na wyspie którą znalazł w pośrodku cieśniny, był zachwycony ję widokiem malowniczym, widział tam dzikie lasy złożone z drzew ogromnych, pomiędzy którymi najbardziej odznaczały się dęby. Kupiono od krajowców daniela za kawałek miedzi, kruszec ten więcej oni cenią niż żelazo. Owi dzicy jak największą okazali zgrozę na widok pasztetu; zaledwie można ich było przekonać że nie był zrobiony z ciała ludzkiego. Wstręt ten dowodzi, że sami nie byli ludożercami, lecz wiedzieli iż sąsiednie pokolenia pożerają ludzi. Żeglując ku północy w owej odnodze morskiej, której przejrzał wszystkie zakąty, napotkał Wankuwer dwa małe hiszpańskie statki, podobnie jak on szczegółowo przepatrzące wybrzeża. Oba

dowódcy połączyli natychmiast swe prace, a nawet i nazwiska, w tej części swych poszukiwań. Wyspa tworząca granicę zachodnią odnogi morskiej, na której leży Nootka, nazywa się dotąd jeszcze wyspą *Wankuvera* i *Quadra*. Jednak żeglarz angielski objął cały archipelag pod ogólną nazwą *Nowej-Georgii*, miano zaś *zatoki Georgii* nadał głównej odnodze morskiej, która się rozdziela na wielką liczbę pośrednich przystani.

Wankuwer za przybyciem do cieśniny Nootka, doznał od kommandanta hiszpańskiego trudności co do umówionego zwrotu; wysłał więc kapitana Broughton zawiadomieniem rządu angielskiego o wykrętnym postępowaniu Hiszpanów, sam zaś popłynął dla uzupełnienia prac swoich na południowoschodzie. Zwiedził rzekę Kolombią we wszystkich kierunkach jak tylko mógł przepłynąć jego mały okręt. Uznano, że krajowcy w ogóle byli podobni do mieszkańców Nootki ubiorem, obyczajami, lecz nie mową: mają jakieś wyobrażenie cywilizacji i w wielu miejscach okazują wyraźne upodobanie do budownictwa. Domy ich są zgrabnie wystawione z drzewa, pokryte deskami równymi, na 20 stóp długimi, a na 2 szerokimi. Porównując te budowle z niedokładnością narzędzi używanych do ich wystawienia, wydają się one jak cudowne pomniki zręczności i pracy. Na wystawach tych domów, krajowcy zwykle malują twarz ludzką, której rysy są szpetne, a kształty niezmiernie; usta onej tworzą owal wysoki na 3 stopy a szeroki na 2, który służy za drzwi do tego mieszkania. W ciągu Stycznia 1793, Wankuwer udał się dla przeziemowania do wysp Sandwich, zabrawszy znaczną ilość bydła żywego, zakupionego w osadach hiszpańskich. Z wiosną tegoż roku, rozpoczął przegląd wybrzeży amerykańskich, i wrócił znowu ku wyspom Sandwich na zimę r. 1794. Mieszkańcy tych wysp znali już cztery narody Europejskie; wiedzieli że istniało jeszcze wiele innych, przeczuwali więc może, że prędzej czy później podbici zostaną przez którykolwiek z nich; woleli przeto poddać się pod opiekę

Wielkiej-Brytanii. W tym celu, zgromadzono radę złożoną z wodzów i dnia 25 Lutego r. 1794, uroczyste ustąpiło Owhyhei królowi Angielskiemu.

Wraz z początkiem wiosny tegoż roku, Wankuwer udał się znowu ku wybrzeżom amerykańskiem, w zamiarze ukończenia swych planów, zaczętych w najodleglejszym punkcie. Przedarł się na rzekę Kooka, i przekonał się że mylnie nadano jej tę nazwę, gdyż to jest tylko odnoga morska, do której żaden potok nie wpada. Usiłując przepłynąć na południe, napotkał flotę złożoną z czółen skórzanych. Wątlących tych statków było około 200, a na każdym znajdowało się dwóch ludzi. Dzicy, sprzedawszy co do jednego swoje ciepłe i wygodne płaszcze futrzane, pozostali okryci skórą ptasiemi i inną niedostateczną odzieżą. Nakoniec 22 Sierpnia r. 1794, Wankuwer zdjął w zupełności plan wybrzeży północno-zachodnich Ameryki, i w Październiku następnego roku, okręta przybyły na Tamizę, gdyż dla slot i innych niedogodności nie mogły zwiedzić zachodnich pobrzeży Patagonii. W ciągu czterech lat tak pracowitych usług, obie osady 2 tylko straciły ludzi. Okoliczność ta, jeśli się zastanowimy nad śmiertelnością, zwykle towarzyszącą długim podróżom, w ówczas, gdy sztuka żeglarska była jeszcze w kolébce, czyni wielki zaszczyt staraniom i zręczności dowódcy. Olbrzymia praca w zdjęciu planu 9000 mil wybrzeży nieznanych i nieprzystępnych, praca której po większej części dokonał w czółnach bez pomostów, nadwreżyła zdrowie Wankuvera; stając też coraz bardziej, umarł w Maju 1798 roku.

Niepowzięto nowych objaśnień co do północno-zachodniego wybrzeża Ameryki, przed rokiem 1816. W owój epoce hrabia Romańców Rossyanin, wysłał mały okręt 180-beczkowy zwany *Ruryk*, w podróż odkryciową, pod dowództwem porucznika Kotzebue, syna sławnego pisarza niemieckiego. Osada tego statku składała się z 20 ludzi, nie licząc w to officerów i naturalistów. Kotzebue wyruszył z Plymouth w Paź-

dzienniku r. 1815, a w Marcu zawinął do wyspy Wielkonocnej, lecz krajowcy niedozwolili mu wylądować. I Sierpnia r. 1816, odkrył na wybrzeżu amerykańskim, na północ cieśniny Behringa, znaczną zatokę pod 66° 42' 30" szerokości, a 164° 14' 50" długości. Wpłynął do tej odnogi i w ciągu dni piętnastu zjął plan jej brzegów, lecz niedostateczny. Domyślił się istnienia przejścia otwartego na południo-wschodzie komunikującego z cieśniną Norton. Inny kanał prowadził na zachód. Towarzyszący mu naturaliści zdziwieni zostali znalazłszy w tém miejscu na północnym brzegu skałę lodową, wysoką blisko na 100 stóp i pokrytą na szczycie pokładem ziemi, na której wznosiła się wspaniała roślinność; w oddaleniu skała ta miała podobieństwo krydowego pagórka; a spód jej tworzyły nagromadzone kości i zęby mamutów. Mieszkańcy zdawali się być liczni; byli ciepło odziani futrami i skórami; tytuń z powodu ich stosunków z Czudzkami, był im znany. Kotzebue opuścił 15 Sierpnia przejście, któremu nadał swą nazwę i udał się ku zachodowi dla przejrzenia północnego brzegu Azyi; przez to nierozważne zбочenie niedokonał żadnego ważnego odkrycia na północnym wybrzeżu Ameryki.

W całej jego podróży, morze było zupełnie wolne od lodów, prąd dość mocny zdawał się go pędzić ku wschodowi. Kotzebue przezimował na archipelagu morza Spokojnego, obejmującym wyspy *Nautilus*, *Chatham* i *Kalwert*. Nadał wszystkim nowe nazwy, gdyż się zdaje, iż one uważał za nowe odkrycia. W następnym roku, skierował znowu ku północy, dla wrócenia na drogę, którą tak nierozważnie opuścił w pierwszej wyprawie. W tej podróży napadnięty okropnym pędem wiatru, rzucony został na piaski, bujaniem okrętu rozguchotał sobie piersi; odtąd zdrowie jego nadwężone uczyniło go niezdolnym

do znoszenia nagłych zmian temperatury północnej. Powrócił do Europy; ponieważ nieznaleziono poprzednio na północnym brzegu cieśniny Behringa innego portu, w którymby okręta mogły się zatrzymać, odkrycie przeto *cieśniny Kotzebuego* było nader ważne i poświęcający wieloryby niezaniebali z niego korzystać.

Niezmierna linia północna przebiega przez Wankuwerę, a którą Hiszpania tak mocno pragnęła sobie przywłaszczyć, jest dzisiaj po większej części rozdzieloną pomiędzy Rosyją, Anglią i Stanami-Zjednoczonymi. Część angielska jest oddzieloną od posiadłości amerykańskich rzeką *Kaledonia*, która spada z *górn Skalnych* w *przejściu Admiralicji*, pod 48° szerokości.

O dziewięć stopni dalej ku północy, zaczyna się terytorium rosyjskie w Ameryce. Żadna osada niebyła jeszcze założoną na tych północnych brzegach, a kupcy przybywający z Kanady i zatoki Hudsonskiej, pokonawszy wszelkie trudy i niedostatki nieodłączne od podróży na lądzie, spuszczają się corocznie z *górn Skalnych* i wchodzą w ten kraj otwarty ich cheiwości. Krajowcy tamtejsi są weseli, czynni i przychylni białym, którzy im dostarczają wszelkich potrzeb do życia. Zachęcili kupców do osiadania pomiędzy niemi. Ci ostatni nadali posiadłościom angielskim na owym wybrzeżu nazwę *Nowej-Kaledonii*. Opisują ją jako kraj urodzajny, zwilżony potokami z *górn spływającymi* i tak napełnionymi jeziorami, że przeszło szóstą część całej jego powierzchni, znajduje się pod wodą. Krajowcy sami nadają sobie nazwę *Ja'kullis*, czyli wodni podróżni, przez nawyknięcie przepławiania się czółnami od wioski do wioski. Kupcy angielscy założyli tam regularną linię stacji ufortyfikowanych, dla zabezpieczenia swego handlu.



ROZDZIAŁ XXXVI.

WNETRZE AMERYKI PÓŁNOCNÉJ.

Zapał Amerykanów do przedsięwzięcia handlu futrzanego. — Emigracya ku wschodowi. — Daniel Boon. — Luzyjanna kupiona przez Stany-Zjednoczone. — Wyprawa Lewisa i Klarkego. — Płyną w górę Missury. — Indianie Siouksy. — Wodospady Missury. — Jój źródła w górach Skalnych. — Żegluga po Kolumbii. — Niebezpieczeństwa podróży. — Lewis i Klarke przybywają do morza. — Zima na pobrażu. — Podróż Pika do źródeł Missisipi. — Pik zwiedza źródła Arkansas i rzeki Czerwonéj. — Obszłość zwierzyny. — Pik przybywa do gór Skalnych. — Cierpienia jego ludzi. — Wstępuje przez pomyłkę na terytorium Hiszpańskie. — Pojmany w niewolę. — Jego uwolnienie i powrót. — Wyprawa Majora Long. — Przegląda dolinę La Platta. — Pustynie piaszczyste. — James Peak. — Powraca rzeką Arkansas i rzeką Kanadyjską. — Indianie Kaskaja. — Podróż Kassa i Schoolkrafsta. — Longa i Kaatinga. — Podróż Hearna do rzeki kopalni Miedzianych. — Jego nieszcześnie usiłowania. — Przybywa nakoniec do morza. — Postępy kupców futrzanych wewnątrz kraju. — Podróż Makenziego. — Płynię aż do ujścia rzeki swego imienia. — Jego wyprawa przez góry Skalne. — Przybywa do oceanu Spokojnego.

Wkrótce gdy osady angielskie w Ameryce, pozyskały po krwawych walkach, swą niepodległość polityczną, baczność ich zwróconą została na czynny handel futrami, prowadzony na drugim krańcu ich ładu stałego. Widzieliśmy że okręta, wyruszywszy z Bostonu, przybyły do cieśniny Nootka, po roku niebezpiecznej podróży, dla zaopatrzenia się w ładunek futer. Rzeczpospolita zrazu zbyt zajęta była organizacją i rozwinięciem swego bytu politycznego, jój ludność w porównaniu do rozległości gruntów, zbyt była małą, aby mogła myśleć o rozszerzeniu swéj władzy aż do oceanu Spokojnego; lecz wypadki zrodziły i zwiększyły tę próżność. Obszerna i płodna kraina Luzyanny, leżąca na zachodnim brzegu Missisipi, była ustąpioną przez Hiszpanię koronie Francuzkiej r. 1763, lecz bezwątpienia uważana przez Napoleona za niepotrzebną posiadłość, odprzedaną została r. 1804 Stanom-Zjednoczonym za 6,000,000 franków. Amerykanie z pospiechem rzucili się do przejrzenia pól, granic i korzyści jakie im to nowe nabycie mogło przedstawić.

Od dawna potok emigracyi zdążył ku zachodowi. Zamiłowanie do błędnego życia łowieckiego i samotności lasów, przywiódło kilku rudowników, osiadłych w najodleglejszych stronach Ame-

ryki do usunięcia się przed cywilizacją. Sławny Daniel Boon, który założył pierwszą osadę w Kentucky i pojmany przez Indian, przepędził z nimi lat kilka, należał do owych odszczepieńców cywilizacyi; widząc on osadników posuwających się ku zachodowi, zmieniał ciągle miejsce swego zamieszkania, tak, aby zawsze znajdował się o sto mil naprzód przed białą ludnością. Chata, w której znaleziono go nieżywego, przed kilku laty istniała jeszcze niedaleko ostatnich osad nad Missurą.

Pierwsza wielka wyprawa przedsięwzięta przez Stany-Zjednoczone, zaprojektowaną została przez porucznika Jeffersona, gorliwego popieracza odkryć wewnętrznych. Kapitan Merywether Lewis i porucznik William Clarke mianowani zostali dowódcami oddziału przeglądowego, który w ogóle wynosił 30 osób. Instrukcyje dane im nakazywały puścić się aż do źródeł Missury; następnie szukając przejścia przez góry zachodnie, udać się Kolumbią aż do oceanu Spokojnego. 14 Maja r. 1804, popłynęli rzeką Wood, małym potokiem wpadającym w Missisipi, prawie naprzeciw ujścia Missury, i rozpoczęli najdłuższą podróż, jaką kiedykolwiek odbyto po rzece od czasów Orellana. Uplłynawszy około 100 mil w górę Missury, pozostawili za sobą małą wioskę Cha-

rette, najdalszą z osad białych, wznoszących się nad jej brzegami. Prawie pomiędzy wszystkimi Indyjskimi pokoleniami tego kraju, Osagów, Sijusów i Mahasów, postrzegali niewątpliwe ślady upadku i nędzy, coraz bardziej się zwiększające. Jedno z pokoleń tego ostatniego narodu przywiezione zostało do takiego stanu wściekłości, klęskami rządzonego przez ospę, iż popaliło swe wioski, pomordowało żony i dzieci i poszło szukać w dalekich krainach ochrony przed tą straszliwą chorobą.

Pokazywano naszym podróżnikom, nad brzegami Missury skałę, na którą dziecy zapatrują się z zabobonnem uszanowaniem. Wydobywają z jej wnętrza kamień czerwony z którego robią swoje fajki, a grunt wśród którego ta skała się wznosi, jest neutralnym i świętym i w najzażartszych nawet wojnach, każdy może tam spokojnie przebywać i szukać materiału do swego kalumetu. Nasi podróżni zapuściwszy się o 100 mil dalej jeszcze ku źródłom Missury, z powodu ostrych wiatrów północno-zachodnich i nagle zamarzlęj rzeki, postanowili jak najspieszniej wyszukać zimowe stanowisko; wnieśli więc twierdzą, którą nazwali *Mandan*, od imienia ludu Indyjskiego, pomiędzy którym w ówczas się znajdowali. Owi dziecy nadzwyczajnie wielbią sztukę leczenia; wierzą w istnienie wielkiego ducha, którego nazywają wielkim doktorem i je-niuszem; aniół-stróż każdej osoby jest także przedstawiany jako wyłączenie czuwający nad stanem jej zdrowia. Podanie dochowane o pochodzeniu tego pokolenia, dla szczególności zasługuje tu na wzmiankę. Mniemają oni, że cały naród przebywał pierwotkowo w wielkiej wiosce pod ziemią, nad brzegiem podziemnego jeziora; korzenie winnej macicy, przeszły przez ziemię aż do owej wioski i przepuściły promień zewnętrznego światła. Kilku awanturników wdrapawszy się po tych korzeniach na wierzch ziemi, powrócili opisując tak powabnie bawoły, owoce i rokosznego smaku winogrona, że cały naród postanowił przenieść się do owej

wyższej krainy, w której pobyt tak zachwalano. Mężczyźni, kobiety, dzieci, zaczęli się już wydobywać; lecz połowa tylko wyszła na powierzchnię, bo winna macica załamała się pod ciężarem ogromnej kobiety, która z resztą ludu pozostała pod ziemią. Spodziewają się oni po zgonie wrócić do tego podziemnego pobytu. Lecz utrzymują iż nim dojdą do wioski swych przodków, muszą przebywać wielkie jezioro, a występnym obciążeni ciężarem zbrodni, niezdolają się nigdy przez nie przeprawić. Mandasowie zwiedzają corocznie skałę, którą zowią *Kamieniem Lekarskim*, i takową uważają za wyrocznię. Naczelnicy ich pałą tytuń u spodu tego kamienia, w jak najgłębszém zamyśleniu, potem udają się na spoczynek do sąsiedniego lasu; a za swém przebudzeniem, znajdują wyroki przeznaczenia, wyrte na skałę tajemniczemi białemi literami.

7 Kwietnia, podróżnicy nasi opuściliśmy twierdzą *Mandan*, ciągle płynęli w górę Missury. Wkrótce przepłynęli przed ujściem rzeki *Żółtych-Kamieni*, która mało co ustępuje co do szerokości wielkiej rzece w którą wpada. W miejscu tém bawoły błędą w stadach mających od 3ch do 6ciu-tysięcy sztuk. Następnie oddział wyruszył na szukanie owych wielkich wodospadów, które jak wiadomo, odznaczają główny bieg Missury. Sam nawet kapitan Lewis, popłynawszy w górę, południową odnogą rzeki, postrzegł w dalekości góry *Skalne*, zupełnie śniegiem okryte; a wiedziony straszliwym łoskotem przybył do miejsca w którym *Missura* spadając szeroką płachtą ze skraju skały, tworzy przez mil kilka nieprzerwany ciąg wodospadów pienistych. Cały więc oddział udał się wzdłuż owej odnogi rzecznej, i wsiadłszy do swoich czółen po nad wielką kataraktą, żeglował dalej ku góróm *Skalnym*. Tam *Missura* krąży wzdłuż wąwozu przez 3 lub 4 mile, a skały wznoszą się prostopadle po nad jej brzegami. Nasi Amerykanie udali się za potokiem w góry, a przebywszy 3000 mil, dostali się do pierwotnego źródła rzeki, składającego się z trzech potoków, którym nadali nazwy swoich najslawniejszych ludzi: *Jeffer-*

son, Madison i Gallatin. Dwa zaś inne hołdownicze potoki nazwali *Filozofia* i *Filantropia*.

Wyprawa posuwała się dalej ku zachodowi, i wkrótce zaczęła zstępować ku oceanowi Spokojnemu. Amerykanie wiedli z sobą jako tłumacza kobietę Soshoneską, która uprowadzona była z tego kraju przez bandę wschodnich Indyan: napotkali orszak wojowników konnych i zbrojnych, którzy powzięli zrazu podejrzenie przeciwi białym; lecz gdy pomieniona kobieta poznała w wodzu Indyjskim brata swojego, podróżni nasi pozyskali ufność i przyjaźń Indyan; wiele jednak ucierpieli z braku żywności. Zmuszeni byli zabijać swe konie, a nawet i psy; krajowcy z tego powodu nadali tym cudzoziemcom wstydną przydomek *Zjadaczy psów*.

Amerykanie popłynęli w ówczas Oregonem, czyli Wielką Rzeką Zachodnią, której nie bez powodu nadano nazwę Kolumbii. W miarę im więcej posuwali się ku morzu, mieszkańcy zdawali się być co raz łagodniejszymi i przemyślniejszymi. Sokulksowie mieszkają w chatkach zrobionych z plecionych rogoży, posiadają narzędzia rybolowskie, za pomocą których zaopatrują się w dostateczne pożywienie. Żegluga na Kolumbii przedstawiała wiele niebezpieczeństw, które jednak podróżni nasi pokonali sztuką i odwagą. Ich śmiałość wzbudzała podziwienie i uwielbienie w krajowcach. Rzeką tą w pobliżności morza, ma dwie mile szerokości, i tworzy tu i owdzie rozległe jeziora, na powierzchni których liezne się znajdują wyspy. 7 Listopada, nasi podróżni postrzelili z radością ocean przed sobą; lecz znajdowali się w najokropniejszym położeniu, czołno ich zniszczone, niezdatne do morskiej żeglugi, czas jakiś było igrzyskiem bałwanów, oni sami wśród najdotkliwszego zimna, źle okryci, pozbawieni wszelkich żywności, zaledwie się dostali do pobrzeża, gdzie obrali stosowne miejsce do przezimowania. Zawarli w ówczas przyjaźielskie stosunki z Klatso-psami, Killamuksami i innemi pokoleniami Indyjskimi. Powrócili nareszcie

do twierdzy Ludwika, nad rzeką Missisipi, w Maju 1806 r.

Lewis i Klarke pierwsi przeszli stały ląd Ameryki Północnej, od Stanów-Zjednoczonych do oceanu Spokojnego; lecz na wiele już lat pierwój zamierzał to dokonać Jonatan Karwer, który podróżował aż do źródeł Missisipi, i szukał Oregonu, po którym byłby doptynął aż do oceanu Spokojnego. Gdy Lewis i Klarke ziszczali widoki Karwera, młody porucznik Zebulon Montgomery Pike, wysłany został od rządu amerykańskiego dla przejrzenia źródeł Missisipi, i zawiązania stosunków przyjaznych z narodami indyjskimi, przemieszkującymi w pobliżu. Gościnnie został przyjęty od Indyan Siuksów, otrzymał od ich naczelnika poświęconą fajkę, która będąc dla niego niejako kartą wolnego przejścia, nadawała mu zarazem prawo do protekcyi przyjaznych pokoleń. Posuwając się dalej był zachwycony romantyczną pięknoscia kraju okalającego brzegi górnej Missisipi; przepłynął przed ujściem Sypewaju, wspaniałej rzeki, która od wschodu wpada do Missisipi, i przed ujściem rzeki Świętego - Piotra, jeszcze większego potoku, toczącego swe wody z zachodu. Po za ujściem tej ostatniej rzeki, żegluga Missisipi jest zatamowaną ciągiem wodospadów, kończących się przy wielkich kataraktach Świętego-Antoniego. Pike z towarzyszami doptynąwszy o 230 mil wyżej tego miejsca, zmuszony był pod 45° szerokości porzucić czołna i odbywać dalszą podróż sankami. Był to sam środek zimny, a podróżni zarówno ucierpieli z braku żywności jak i srogości zimna. Ciągłe jednak dążyli z biegiem Missisipi, której koryto miało teraz zaledwie 300 prętów szerokości, i płynęło przez płaską krainę. W ciągu Lutego, przybyli do jeziora *Pijawek*, które im się zdało być prawdziwem źródłem rzeki; w tém miejscu dano im gospodę na stacyi futrzanych kupców angielskich z Montrealu. Następnie Pike zwiedził jezioro *Cedrów Czerwonych*, hołdujące także Missisipi i wrócił do twierdzy Ludwika w Kwietniu, po utrudzającej dziewięć - miesięcznej podróży. Za ledwie

przybył, wyniesiony na stopień majora, otrzymał znowu dowództwo wyprawy, przeznaczonej dla przejścia rozległego kraju, położonego między rzeką Missisipi i górami zachodnimi, i odkrycia źródeł Arkansasu, i rzeki Czerwonej. Oddział jego składał się z 23 osób. Kraj otaczający Arkansas wydał się naszym podróżnym prawdziwym rajem łowieckim. Rzeka Arkansas jest spławną dla czółen w całej swojej rozciągłości, począwszy od Missisipi aż do gór, to jest prawie przez 2000 mil, z wyjątkiem tylko kilku miesięcy w porze suchej, w czasie których zawałona jest piaszczystymi pokładami. Pomimo że nadeszła zima i major Pike przez dni kilka był pozbawionym z swemi towarzyszami wszelkiej żywności, dotrwał jednakże w swych usiłowaniach i dostał się do kończyńy Arkansasu, o 190 mil po za punktem, gdzie ta rzeka z gór wypływa. Zwrócił następnie pochód swój ku południowi i po kilku dniach przybył nad brzeg wielkiej rzeki, i sądził że to jest rzeka Czerwona, wzdłuż której zamierzał powrócić. Lecz była to rzeka *Rio del Norte*, płynąca po terytoryum hiszpańskiem. Oddział Hiszpanów pojmał Amerykanów i zaprowadził ich do Santa-Fe. Tam z powodu podartej swjej odzieży, nędżnej powierzchności i włośów w nieładzie, byli uważani powszechnie za dzikich. Gdy podejrzenia komendanta hiszpańskiego zwołna przeminęły, nasi podróżni otrzymali pozwolenie oddalenia się, i przybyli 1 Lipca do Nachitoches.

Rząd amerykański zdawał się przez kilka lat ograniczać na tém, poszukiwania przedsięwzięte z jego rozkazu. Pan Hunt zamierzył roku 1811 wyprawę do ujścia Kolumbii; kilku jego towarzyszy, powracając do oceanu Spokojnego przez góry Skaliste, przybyło do jednego ze źródeł La Platty, którą się puścili aż do Missury, przebyli tym sposobem kraj, dotąd od nikogo jeszcze niezwiędzony. W następnym roku, Robert Stewart i czterech innych kupców, wypłynęło z oceanu Spokojnego do Nowego-Yorku. Przebywając góry Skalne, zatrzymani zostali przez In-

dyan Korneillesów, którzy im skradli wszystkie ich konie. Tak pozbawieni zostali wszelkich środków przewozu, mając przed sobą góry Skalne i podróż 2000 mil, po większej części w kraju zupełnie nieznanym, droga ich więcj była na południe, niż ta którą przechodzili Lewis i Klarke. Przebywszy z trudem góry, podróżowali dalej ku wschodowi-południo-wschodowi, dostali się do źródeł wielkiej rzeki Platta i dotarłszy aż do jej ujścia, przepędzili zimę nad jej brzegami, o 600 mil powyżej Missury.

Nakoniec r. 1819, rząd amerykański wysłał nową wyprawę, zarazem wojсковą i naukową, dla przejścia starannego, pod względem osadnictwa i obrony, rozległe posiadłości Stanów Zjednoczonych na wschód gór Skalistych. Kierował nią major Long, a opisał doktor James, sławny botanik. Major Long i jego towarzysze, wsiadli 5 Maja r. 1819 w Pittsburgu na statek parowy i 30 t. m. przybyli do Missisipi. W połowie Września znajdowali się przy zbiegu la Platty z Missurą; tam wystawili obóz zimowy, któremu nadali nazwę *Stanowiska Inżynierskiego*, nad brzegami tej ostatniej rzeki. W czasie zimy okropnie ucierpieli ze szkorbutu, w skutku którego $\frac{2}{3}$ część ludzi tej wyprawy padła. 6 Czerwca, pionierowie amerykańscy opuścili swoje zimowe leże i wrócili na dolinę la Platty; tam ujrzeli cały nurt rzeki i niezmierną przestrzeń łąk naturalnych, bez żadnego pagórka, zaledwie zarosłych gdzie niedziedzie drzewem i krzakami. Wielkie stada żubrów i danieli, ścigane przez gromady wilków, ciągle tropiących ich ślady, bujają po owych obszernych płaszczynach. Zwinnosc tych zwierząt i piękność niektórych rzadkich roślin, zmniejszają jedynie jednorodność tego krajobrazu. Po łąkach okalających brzegi la Platty, następuje wielka pustynia piaszczysta, ciągnąca się na pochyłości, schodzącej blisko na 400 mil aż do samego podnóża gór Skalnych; ma ona najmniej 500 mil z północy na południe; powierzchnia jej jest poprzerzynana głębokimi wyrwami, niektóre z nich mają po kilkaset stóp głębo-

kości pod ziemią. Rzadkie liście kilku drzew karłowatych, ocieniają strumyki płynące w głębi owych rozpadlin; lecz na powierzchni tej wielkiej pustyni, niepodobna odkryć ani jednej krzewiny. Kaktus najeżony straszniemi kolcami, sam jeden tylko się tam ukazuje, nieprzystępny ani ludziom ani zwierzętom.

Wyprawa nareszcie dotarła do spodu gór Śkalistych, major Long wystąpił oddział na szczyt najwyższy całego łańcucha doktora James, którego nazwę przybrała, ta góra po zmierzeniu okazała się wysoką prawie na 3000 stóp nad poziom morza. Major Long z swemi towarzyszami, posunęli się potem ku południowi, aż do Arkansasu, którego źródła zwiedzili. Oddział, wysłany na południe, puścił się za biegiem rzeki Kanadyjskiej, którą przez pomyłkę poczytano za rzekę Czerwoną, dostał się tym sposobem na powrót do Arkansasu, gdzie się połączył z resztą wyprawy. Oba oddziały wiele ucierpiały z powodu burz i niedostatku zapasów; szczególniej dawał się uczuwać brak wody, gdyż rzeczna zwykle była albo błotnista albo spleśniała. Zasy piasku, zupełnie roślinności pozbawione, pokrywają większą część krainy, otaczającej góry Arkansasu, nie raz same znowu przyodziewają się warstwą solną, podobną do cienkiego lodu. W owych pustyniach i termometr w Sierpniu, w cieniu okazywał od 95° do 100°. Chmury szaracuchy zapelniały powietrze; węże grzechotniki rozmaitych gatunków i ogromne stonogi, wydobywały się z rozpadlin zeschniętego gruntu. Mustyki niedokuczwały naszym podróżnym, lecz za to kraj ten wydaje owe straszliwe kleszcze wciśkające się po za skórę i sprawiające drażliwość, pociągającą za sobą częstokroć najnieprzyjemniejsze skutki. Oddział, który się puścił rzeką Kanadyjską, zawiązał stosunki z pokoleniem Indian Kaskaja, przemieszkującym przy źródłach La Platty, Arkansasu i Rio del Norte. Wydali się oni naszym podróżnym najniebezpieczniejszymi z pomiędzy dzikich którzy się tułają na wschodnich pochyłościach gór Skalnych. Życie błędne i niegościnna przyroda kraju, skazują ich

nazawsze na największe barbarzyństwo. Są to wyborni jeźdźcy, nadzwyczajnie biegli w chwytaniu dzikich koni na arkany.

Tymczasem inna wyprawa wyruszyła dla zbadania kraju będącego granicą posiadłości angielskich położonych naokoło źródeł Missisipi; generał Cass był jej naczelnikiem, Schoolkraft dziejopisem. Szli oni drogą którą Pike już zwiedził, lecz takową lepiej przepatrzyli pod względem naukowym. Dla uzupełnienia przeglądu granic, polecono majorowi Long i panu Keating popłynąć w górę rzeki Świętego-Piotra, wpadającej od zachodu do Missisipi pod 45° szerokości. Rzekę tę zwiedzał niegdyś Karwer, a później baron Lahontan; lecz pokolenia Indian przebywające nad jej brzegami, prawie zupełnie były nieznanne mieszkańcom Stanów Zjednoczonych. Long i Keating dostali się aż do źródła tej rzeki, oddalonego blisko na 375 mil i posunawszy się nieco ku północy, przybyli do rzeki Czerwonej, która z angielskiego terytorium, płynie na północ do jeziora Winnipeg. Prace owej wyprawy dokonały ogólnego przeglądu obszernych posiadłości Stanów-Zjednoczonych. Niezmierna przestrzeń kraju, rozciągającego się na północ jeziora Wyższego i źródeł Missisipi, niedokładnie jeszcze jest znaną. Jednakże owe łańcuchy jezior i rzek spławnych zostały wkrótce odkryte przez angielskich kupców co raz bardziej przedsiębiorczych. W r. 1715, towarzystwo zatoki Hudsonskiej, powzięło od Indian dość dokładne objaśnienia co do rzeki wpadającej na północy do morza, nad brzegami której znajdowały się kopalnie miedzi. Kompania wynurzyła r. 1768, chęć przejścia tej rzeki i bogactw kopalnych; właśnie w tej epoce kupcy indyjscy przywieźli kosztowne próbki miedzi do portu księcia Gallii. Kompania wybrała dla dokonania tego trudnego przedsięwzięcia, żeglarza Samuet Hearne, który wyruszył z twierdzy 6 Listopada roku 1769, w towarzystwie dwóch białych i kilku Indian. Grunt był chropawy, chociaż śniegiem okryty. Niezadługo zabrakło żywności. Uszedłszy blisko

200 mil, opuścili go przewodnicy indyjscy i musiał się wrócić. Nie stracił jednak odwagi i na początku Lutego r. 1770, znowu wyruszył, zabrawszy ze sobą pięciu Indian a żadnego Europejczyka, uważał bowiem iż są niezdatni do znoszenia trudów podróży, co ściągało na nich wzgardę krajowców. Przedarłszy się na 500 mil w głąb kraju, postanowił czekać dopóki niezwolniejsze srogość zimy; jednak z powodu braku żywności był przywiedzionym do największej nędzy. Przy końcu Kwietnia puścił się znowu w drogę, i w Sierpniu, gdy się gotował przepędzić zimę wśród pokolenia Indian, którzy go po przyjacielsku przyjęli, pod $63^{\circ} 10'$ szerokości północnej, i blisko $10^{\circ} 40'$ długości zachodniej, poczawszy od rzeki Churchil, wiatr wyrócił mu kompas, który się potłukł i to go zmusiło do puszczenia się dalej. Nie zniechęcony tylu trudami i niepowodzeniami, Hearn wyruszył znowu 7 Grudnia, dla szukania rzeki Miedziannej, w towarzystwie bardzo pojętnego Indianina, zwanego Motanabi. Udał się tym razem bardziej ku zachodowi i pod 60° szerokości, o 600 mil blisko od twierdzy, zbudowawszy czółna, posunął się ku północy, żeglując po rozmaitych jeziorach i rzekach. 13 Lipca r. 1771, orszak jego zwiększony kilku gromadami Indian wędrownych, przybył nakoniec do rzeki Miedziannej. Indianie przemyśleli od kilku tygodni napisać na Eskimosów, z którymi żyli w ciągłej wojnie. Walka rozpoczęła się 17 około pierwszej godziny z rana; małe pokolenie składające się około z 20 osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, srodze zostało wymordowane. Tegoż dnia Hearn zaczął zdejmować plan ujścia rzeki. Przyptyw morza w tej chwili był jeszcze niskim, lecz pozostałe na brzegu ślady, wskazywały że zwykle wysokość jego dochodzi od 12 do 14 stóp. Woda rzeczna była słodką; lecz z mnóstwa fok widzianych na lodzie, i wielkiej ilości szczęk wielorybich, znalezionych w namiotach Eskimosów, Hearn wniósł, że przestrzeń wody znajdująca się przed nim, musi być morzem. Jak daleko tylko mógł dosięgnąć przedmioty za po-

mością dobrej lunety, zdawało się mu, że widzi takowe zapełnione wyspami i mieliznami. Przybył do portu księcia Gallii ostatniego Czerwca r. 1772, po 17 miesięcznym oddaleniu. W trzy lata później, został mianowany gubernatorem tej osady. Nakoniec, r. 1782, twierdza księcia Gallii zajęta została przez eskadrę francuzką pod dowództwem Laperusa. Wódz ten, również wspinały jak światły, oddał Hearnowi rękopism jego dziennika, pod warunkiem że takowy wyda natychmiast za swoim przybyciem do Anglii. To się działo r. 1787; jednak niewiadomo z jakiego powodu, ogłoszenie Hearna odłożone zostało aż do r. 1795. Może tę długą zwłokę przypisać należy opuszczeniu kilku ważnych szczegółów w jego opisie. Nie wspomina o stopniach pod którymi znajduje się ujście rzeki, która na mappie dołączonej do jego dzieła, jest umieszczona pod $73^{\circ} 30'$, to jest o 6 stopni za daleko ku północy. Tak wielka niedokładność jego geograficzna i kilka innych podobnych błędów, ostawiło na długi czas całość jego opowiadania i spowodowało powszechną wątpliwość czy istotnie dostał się aż do morza.

Przed rokiem 1778, wielki łańcuch jezior, który od jeziora Górnego, ciągnie się ku północo-zachodowi do morza Biegunowego, służący za zbiór wód spadających z gór Skalistych, dotąd jeszcze był zupełnie nieznanym. Dopiero Józef Frobisher, trudniący się handlem futer, dostał się daleko w górę Misisipi, czyli rzeki Churchill, gdziej naładował tyle futer, ile ich mógł zabrać na swoje czółna. W tej niebezpiecznej wyprawie, musiał znieść wszelkie trudy i niedostatki nieodłączne od podróży w krajach nieuprzecznych i pustych. Pomimo to jednak wrócił tam w następnym roku. W tymże czasie brat jego przedarł się do jeziora Krzyża, położonego jeszcze dalej ku zachodowi. Roku 1778, Pond poszedłszy w ślady Frobishera, przybył do Atabaska, krainy dotąd tylko znaney z opowiadania Indian. Tym sposobem kupcy dostawszy się do owego łańcucha wód wewnętrznych, ułatwiających żeglugę od jezior Kanady

aż do morza, zaczęli szybko posuwać się w swoich odkryciach, i w krótkim czasie powzięli wiadomość o istnieniu wielkiej rzeki na północy.

Dla przejrzenia tej rzeki której nadał swą nazwę, Aleksander Makenzie wyruszył 3 Czerwca r. 1789, z twierdzy Chepeweyan, na południowym brzegu jeziora Pagórków, w towarzystwie oddziału Kanadyjczyków i kilku Indian, z których jeden podróżował z Hearnem. Płynąc w dół rzeki i zaajdując się pod 67° 45' szerokości, dowiedział się od pokolenia Indian zwanych *Deguthee-Dinees* czyli *Kłótniki*, że do wschodniego brzegu morza nie bardzo było daleko, a do zachodniego jeszcze bliżej. 12 Lipca, Makenzie z swojemi towarzyszami dostał się na jezioro, lub przynajmniej przestwór wody, który z powodu małej głębokości i lodów go okrywających, nie sądzili być morzem, chociaż nie widziano żadnej ziemi na widnokręgu. Lecz wkrótce Makenzie postarzał podwyższenie wód, które przypisywał przybieraniu morza, według obrachowania jego dochodzącemu na ówczas do 18 cali. Z powodu słodyczy wód, powątpiewał jeszcze zrazu czy to jest morze, lecz gdy ujrzał kilku wielorybów igrających po lodzie, uwierzył nareszcie, że się znajduje na oceanie. Zapewnia, że wyspa na którą wysiadł i takową nazwał *wyspą Wielorybów*, leży pod 69° 14' szerokości. Wyprawa jego wróciła bez żadnego wypadku do twierdzy Chepeweyan, 12 Września 1789 r. Opowiadaniom Makenziego, podobnie jak i Hearnia, długi czas nieufano, a wnioski pierwszego o dostaniu się jego na morze, zupełnie odrzucano; dopiero nowo dokonane wy-

prawy, przywróciły należyta im wziętość i dowiodły niezmiernej akurratności tego świątego żeglarka.

Roku 1792, Makenzie znów się puścił dla czynienia dalszych odkryć na zachodzie. Popłynął w górę rzeki *Pokoju*, spadającej z gór Skalistych, i z wiosną r. 1796 z wielką trudnością utworowawszy sobie drogę przez ich chropawy łańcuch, popłynął rzeką zwaną *Tacoutche-tesse*, bieżącą ku południowozachodowi. Prócz cierpień nieodstępnych w podróży po dzikim, górzystym i nieznanym kraju, ciągle jeszcze musiał znosić przeciwnstwa swych ciemnych, uporczywych i lękliwych przewodników. Nakoniec, w Czerwcu, przybył do pokolenia Indian, od których się dowiedział, że ta rzeka płynie ku południu a przy jej ujściu, ludzie biali zajmują się budowaniem domostw. Dzieci, którzy mu udzielili tych objaśnień, przedstawili swych sąsiadów jako plemię niezmiernie złośliwe, żyjące w podziemnych jamach i posiadające narzędzia żelazne, nabyte przez zamianę od ludzi białych, którzy przywozili takowe w wielkich czołnach. Pokonawszy swoją wytrwałością wszelkie przeszkody, Makenzie dostał się do ujścia rzeki, której położenie najdokładniej oznaczył. *Tacoutche-tesse* wpada do morza, zaraz na południu wysp księcia Gallii. Na pochyłości skały, napisał następne wyrazy wielkimi literami, używając do ich skreślenia mieszaniny tustości i lubryki: »Aleksander Makenzie, przybył tu łądem z Kanady, dnia 22 Lipca 1793.« Nasz wędrownik tą samą drogą puścił się na powrót i dostał się 24 Sierpnia do twierdzy Chepeweyan.



ROZDZIAŁ XXXVII.

ROSS I PARRY.

Podróż Kapitana Ross do zatoki Baffińskiej. — Góry lodowe. — Pomyłki postrzeżone na mapach. — Eskimosowie północni. — Posiadają żelazo. — Śnieg czerwony. — Brzegi północne zatoki Baffińskiej. — Morze wolne na zachodzie od lodów. — Cieśnina Jakóba Lankastra. — Ross jej nieprzegląda. — Wraca do Anglii. — Zawód powszechny spowodowany skutkami jego podróży. — Wyprawa kapitana Parry. — Posuwa się w cieśninę Lankastra. — Odnoga morska księcia Regenta. — Szczególnie zjawisko na igle magnesowej. — Okręta posuwają się na zachód w cieśninie Barrowa. — Dostają się do 110° południka. — Przezimowanie na wyspie Melvill. — Nadzwyczajne mrozy. — Zjawiska będące ich skutkiem. — Rozrywki zimowe. — Gazeta Georgii północnej. — Wycieczka na wyspę Melvill. — Rozkruszenie lodu. — Nadaremne usiłowania aby się posunąć dalej ku zachodowi. — Zorza północna. — Wnioski względem położenia biegunu magnetycznego. — Powrót wyprawy.

Odkrycie przejścia północno-zachodniego zawsze było ulubionym przedmiotem poszukiwań narodu angielskiego; i podróże odbyte w tym celu Frobisher'a, Dawisa, Baffina, Hudsona i innych, nieodwołalnie stwierdzając wytrwałość tych ludzi, ich odwagę i talenta żeglarskie, więcej może przyczyniły im sławy, niżeli inne przedsięwzięcia, świetniejszym uwieńczone powodzeniem. Gdy ostatnia wojna zbliżała się do końca, i rząd angielski miał czas użyć do wypraw spokojnych, część swojej marynarki, postanowiono wysłać kogoś do zatoki Baffińskiej, w nadziei iż przeglądając brzegi tego wielkiego morza, może odkrytym zostanie przejście północno-zachodnie, ów przedmiot tak upragniony. W tym celu przygotowano statki *Izabella* i *Aleksander*, i oddano pod dowództwo kapitana Ross, oficera nawykłego do żeglugi po morzach północnych; porucznik Parry, jeszcze bardzo młody naówczas, lecz którego nazwisko tak zaszczytnie później łączy się z najświetniejszymi odkryciami na północno-zachodzie, dowodził *Aleksandrem*.

Okręta wypłynęły na morze 18 Kwietnia 1818 r. Żeglarze nasi przybywszy do zachodnich brzegów Grenlandyi, znaleźli wielkie mnóstwo lodów i dowiedzieli się od gubernatora tamtejszej osady Duńskiej, że od kilku lat zimy coraz były sroższymi.

Pod 75° 54' szerokości, okręta pominąwszy miejsca, które dotąd sądzono

bydź zamieszkałą częścią Grenlandyi, postrzeżono oddział Eskimosów, przybywających przez lody aż do okrętu, z trudnością zawiązano z nimi rozmowę. Lubo oddaleni od Grenlandyi tylko o dwa stopnie, nie wiedzieli jednak że prócz nich istnieją jeszcze na ziemi inne ludy. Zaledwie ich nakłoniono aby się dotknęli Anglików, których uważali za istoty nadprzyrodzone. Lud ten, który można sądzić niższym od innych pokoleń Eskimosów co do sztuk i dobrego bytu materyalnego, miał jednak nad nimi jedną niezmiernie wielką przewagę, to jest znał użytek żelaza, z którego wyrabiał noże. Podłóg ich zeznania, wykopywali oni ten szacowny kruszec z góry, całkiem z niego się składającej, następnie krusząc go na drobne odłamki, kuli takowe kamieniami. Kapitan Ross nazwał to plemię, najniekształtniejsze ze wszystkich pokoleń Ameryki północnej, *Hinglandersami* *biegunowemi*. Cokolwiek dalej, nasi podróżni ujrżeli skały okryte ciemno-czerwonym śniegiem, który topniejąc przybierał pozór mętnego wina. Już pierwsi biegli naturalisci uważali takowy w Alpach i Pireneach, lecz nigdy niewytlómaczono dostatecznie przyczyn tej barwy. Czerwony śnieg z zatoki Baffińskiej przywieziony do Anglii, był rozbierny przez chemików i naturalistów. Jedni utrzymywali, że materya nadająca mu tę barwę, należy do królestwa zwierzęcego, drudzy zaś przeciwnie, przyoi-

sywali takową zarodowi roślinnemu; lecz to pytanie obecnie zdaje się przeważać na stronę ostatniego zdania, albowiem utrzymują uczeni, że mech nadzwyczajnie drobny może rosnąć na śniegu.

Kapitan Ross, lubo był naczelnikiem doświadczonym, zdaje się jednak iż nie posiadał ufności w samym sobie i zapału, owych przymiotów, które powinny być głównymi zaletami ludzi powołanych do kierowania odkrywami podróżami; a lekce ważenie zagadnień geograficznych i obojętność jego w tym względzie, bardzo zaszkodziła wyprawie, której takowe głównym był celem. Przebył *cieśninę Wolstenholm* i *cieśninę Wielorybów*, nieprzejrzawszy takowych; przepłynął przed znaczną odnogą morską, na północno-zachodnim wybrzeżu zatoki Baffińskiej, (którą Baffin nazywał *cieśniną Tomasza Smith*), w tak wielkiem oddaleniu, iż zaledwie ją postrzegł. Lecz niedbałość z jaką przeglądał te zajmujące wybrzeża, nie jest jedynym błędem popełnionym przez Rossa; narzucając on wyłączenie swoje zdanie w kwestjach, które powinny być bydy rozstrzygnięte drogą rozprawy, oświadczył iż wszystkie te zatoki są odnogami morskimi, utrzymując wbrew wszystkim, że granice ich były widoczne.

Mijając zachodnią stronę zatoki Baffińskiej ku południowi, postrzeżono wielką zmianę: morze było wolne od lodów i nadzwyczajnie głębokie; temperatura wznosiła się, a góry w ogólności śnieg niepokrywał. Przedstawiła się naówczas żeglarzom naszym wspaniała odnoga morska, szeroka blisko na 50 mil. Okręta dostały się na nią 29 Sierpnia; lecz zaledwie upłynęły mil 30, Ross z wielkiem podziwieniem officerów, wydał rozkaz do odwrotu. Tłumacząc się z tego, utrzymywał iż postrzegł ziemię rozciągającą się w poprzek odnogi morskiej, w odległości mil czterech. Nadał nazwę *gór Krokera*, owemu mniemanemu łańcuchowi, który według jego zdania, przeszkadzał mu posunąć się na zachód; wielka ta odnoga morska, uznana jest dzisiaj za cie-

śninę tak nazwaną przez Baffina, *cieśniną Jakóba Lankastra*. Płynąc na południu wzdłuż brzegu, którego niektóre tylko części były znane, kapitan ciągle okazywał tę samą obojętność pod względem zebrania objaśnień geograficznych. Okręta utrzymywane były w takiej odległości od lądu, że brzeg nigdy nie mógł być dojrzanym. Dnia 1 Października, zwiedzacze nasi dostali się do wejścia cieśniny Kumberland, gdzie dowódcy mającemu upodobanie w odkryciach wiele pozostawało do czynienia; lecz Ross nagle skierował ku Anglii, gdzie przybył bez żadnego przy-padku.

Niepowodzenie Rossa, zamiast odjąć odwagę wierzącym w istnienie przejścia północno-zachodniego, dostarczyło im nowych argumentów. Poświadczyło autentyczność trzeciej podróży Baffina; gdyż dawne mapy zatoki Baffińskiej, które wiuni jesteśmy temu żeglarzowi, dość punktualnie oznaczały położenie miejsc, aby mogły być dziełem wyobraźni. Kapitan Ross potwierdził także istnienie, ku zachodowi, licznych zatok morskich, które Baffinowi podobają się nazwać cieśninami. Głębokość morza w owych zatokach przekonała, że to nie były tylko proste przystanie.

Rząd, pojąwszy całą ważność tych dowodzeń, przygotował bombardę *Hekla* i brygantynę *Griper*, dla wznowienia tym sposobem chybionego przeglądu. Porucznik Parry, zostający pod rozkazami Rossa, lecz wbrew zdaniu jego, popierający podobieństwo istnienia przejścia północno-zachodniego, mianowany został dowódcą wyprawy. Okręta wypłynęły z Tamizy 5 Maja r. 1815, a 15 Czerwca zwiastowano, w odległości przeszło mil 20 przyładek Farwell, południową kończynę Grenlandyi. Dnia następnego, natrafili na prąd i kilka szczytów lodów. Posuwając się ku północy, powyżej cieśniny Dawisa i zatoki Baffińskiej, lody grodzące od zachodu, stawały ciąglą zaporą, pośród której niepodobna było utworować sobie drogę. Po kilku usiłowaniach zawsze bezużytecznych, okręta przybyły do 73° szerokości, tam kapitan Parry, niechcąc

pominąć cieśniny Jakóba Lankastra, postanowił odważyć się raz jeszcze przebyć lody zawałające jej środek. Dokażał tego nareszcie po siedmiodniowej żegludze.

Gdy się przedarli na zachodnią stronę owej zapory, żeglarze postrzegli kilka pomysłanych znaków. Morze było głębokie: zarzucono ołowiankę na 310 sążni i jeszcze nieznaleziono gruntu. Ruch wzdętych wałów oceanu, zaczynał się także dawać uczuwać; temperatura wody wzniosła się do 6 stopni, niepostrzegano lodu; a prócz tego znajdowali się w stronach zwykle uczęszczanych przez wieloryby: w jednym dniu postrzeżono ich więcej niż 80, a wszystkie były niezmierniej wielkości. 31 Lipca, podróżni nasi zwiedzili w zatoce *Posiadłości*, miejsce do którego zawinęli w przeszłym roku. Znaleźli jeszcze tkwiący kij od chorągwi którą tam zostawili. Ślady ich kroków tak jeszcze mocno wyryte były na gruncie, że widocznie wskazywały iż po ich oddaleniu spadła zbyt mała ilość śniegu lub szronu. Mieli w ówczas przedrzeć się do wielkiej odnogi morskiej czyli cieśniny, do której instrukcyje nadewszystko kierować im polecały. Nadzieja odkrycia przejścia północno-zachodniego, zasadzała się głównie na powodzeniu jakie mogli otrzymać w owej części swego posłannictwa. Rozpuszcili wszystkie żagle i pędzeni świeżym wiatrem wschodnim, sunęli się szybko ku zachodowi. »Łatwiej, mówi Parry: wyobrazić sobie niżeli opisać, przestrach wyryty na wszystkich twarzach, w chwili gdyśmy się posuwali w cieśninę z coraz większą szybkością, dzięki co raz mocniejszemu wietrzykowi. Maszty odkryte były oficerami i majtkami przez całe poobiedzie, a bezinteresownie postrzegacz, jeśli mógłby się taki znajdować w podobnej scenie, byłby się ubawił zapalem, z jakim przyjmowano wszelkie wiadomości udzielane przez strażę: dotąd wszystkie były pomyslane dla naszych zuchwałych nadziei.» Nim noc zapadła, nasi podróżni przebyli granicę przejrzaną w czasie ostatniej podróży, a jednak niepostrzegli żadnej

ziemi w tym kierunku. Pod 83° 12' długości, oba brzegi przejścia jeszcze szły w równoległym kierunku, jak tylko około ścigać je mogło, to jest przeszło na mil 50. Posuwano się ciągle ku zachodowi; morze głębokie, ubarwione jak ocean, toczyło swe wały ze wschodu ku południowi, nieunosząc ze sobą ani kawałka lodu. Nasi żeglarze zaczęli już sobie pochlebiać, że się dostali do morza Biegunowego; lecz radość ich zmniejszyła się nieco, gdy postrzegli ziemię. Wprawdzie była to mała tylko wysepka; jednak lody nagromadzone pomiędzy nią, a brzegiem północnym, odjęły im nadzieję, czy będą się mogli dalej puścić drogą zachodnią. Ku południowi, ujrzeli odnogę morską, mającą szerokości blisko mil 5; wpłynęli w nią, spodziewając się znaleźć wolniejszą komunikacją z zachodem. Uważali aż dotąd, od chwili gdy się przedarli w cieśninę Jakóba Lankastra, że powolność ruchów igły magnesowej i ich nieregularność, będąca skutkiem przyciągania okuć okrętowych, również wzrastały gdy się posuwali ku zachodowi, teraz gdy płynęli tą odnogą morską, busola utraciła wszelkie działanie i pierwszy raz postrzegli »ciekawe zjawisko osłabiania się potęgi igły magnesowej, tak dalece, iż niemogła się oprzeć przyciąganiu każdego okrętu, tak dalece że okazywała biegun północny *Hekli i Gryperu*.»

Odnoga morska, po której płynęli, rozszerzała się w miarę jak się dostawali ku zachodowi; a że brzeg zachodni pochylał się bez przerwy ku południo-zachodowi, przeto nadzieja ich, dostania się w tym kierunku na pełne morze, znacznie się zwiększyła; lecz tam właśnie gdzie ziemia zdawała się już kończyć, ujrzeli zapórę lodową wzniesioną jakby przez czary przed obu okrętami, która nie dozwoliła im dalej się posunąć. Prócz tej przeszkody, nasi żeglarze niewidzieli żadnej innej ziemi, mogącej wstrzymać ich dalsze posunięcie się ku południo-zachodowi. Uplynęli około 120 mil od ujścia tej odnogi. Gdy powrócili do cieśniny Barrow, (tak nazwali odnogę morską, do której cie-

śnina Lankstra jest niejako wstępem), morze przed kilku dniami jeszcze lodami pokryte, ujrzeli teraz zupełnie wolnem. Ciągłe płynęli ku zachodowi, lecz dla braku wiatru dość powolnie. Dnia 22, pod 92° i $\frac{1}{4}$ długości, postrzegli na północy urywek ziemi, szeroki blisko na 4 mil. Patrząc z wierzchołka masztów na tę odnogę morską, zwaną *kanalem Wellingtona*, niewidziano ani ziemi ani lodów. Jęj widok, przekonywając naszych żeglarzy, że się znajdują pomiędzy wyspami, przedzielonemi licznymi kanałami, ośmielał tę myśl, że się dostają nakoniec do morza Biegunowego.

Lecz dalej, co raz bardziej zwiększyły się trudności. Przejście było zawalone małemi wyspami; mielizny napotymano co raz częstsze, lody bardziej zawadzające i mgły gęstsze. Nasi podróżni ciągle jednak posuwali się ku zachodowi, wzdłuż wybrzeża wielkiej wyspy, nazwanej przez nich wyspą *Bathurst*. Jeden oddział tam wylądował, i znalazł kilka mieszkań Eskimosów; postrzeżono w kilku miejscach ślady renów i kóz piżmowych. Postrzeżenia magnetyczne czynione w tém miejscu, porównane z wykonanemi w *cieśninie księcia Regenta*, spowodowały podług kapitana Sabine: »stanowczy wniosek, że przebywając morzem przestwór znajdujący się pomiędzy temi dwoma południkami, przedarliśmy się bezpośrednio ku północnemu biegunowowi magnetycznemu, i do jednego z owych punktów kuli ziemskiej, gdzie igła magnesowa przedstawiła różnicę o 180°, to jest w innych wyrazach, gdzie jej biegun północny, oznaczał wyraźnie południe. Według wszelkiego podobieństwa, miejsce to było w tej porze, blisko południka 100° na zachód Greenwichu.»

W miarę jak nasi podróżni posuwali się na zachód, ku północnej kończynie innej wielkiej wyspy, którą nazwano *wyspą Melvill*, trudności stawiane im od lodów co raz się zwiększały, lecz 4go Września, przebyli 110° długości zachodniej, i tym sposobem otrzymali prawo do najjuńiejszej z nagród przyrze-

czonych przez parlament, to jest do 100,000 funtów szterlingów. Przyładek oznaczający to miejsce, otrzymał z tej okoliczności, nazwę *Szczodroły*: dobra przystań odkryta w niewielkiej odległości, nazwana została *zatoką Hekli i Gripera*. Tam zatknięto flagi obu okrętów. »Nie mały to dla nas był powód radości, mówi kapitan Parry: widzieć sztandar Wielkiej-Brytanii powiewający w stronach, które dotąd uważane były jako leżące po za krańcami mieszkalnego świata.»

Zima szybko się zbliżała, i z trudnością okręta zdołały, przebijając lody, dostać się do przystani *Zimowej*, w głębi zatoki Hekli i Gryper. Trzy dni przeszły na zrobieniu kanału przez przepitowanie lodu, którego średnia grubość dochodziła do siedmiu cali; cała długość kanału wykonanego, wynosiła przeszło 2 $\frac{1}{2}$ mili. Jak tylko okręta stanęły na kotwicy w tém stanowisku zimowém, majtkowie wydali trzykrotny okrzyk powitania. Merkuryusz w termometrze spadł 1° niżej zera, a powierzchnia morza, jak tylko daleko okiem można było zasięgnąć, zupełnie była zamarzłą. Poczyniono wszelkie przygotowania dla pokonania ostrości zimy, która miała trwać 8 lub 9 miesięcy, z tych 3 miały upłynąć bez widoku światła słonecznego. Wszystkie grube liny przeniesione zostały na breg, i pomost zupełnie uwolniono. Pokryto okręta grubemi płótnami watanami; śnieg ułożono w stosy na około nich, gdy tymczasem wewnątrz umieszczono piece dla utrzymania ciągle wysokiej temperatury. Lecz pomimo tej przeznaczenia, wyziewy powstające zwykle wewnątrz okrętu, zamiast niknąć same przez się, jak się to zdarza w klimatach umiarkowanych, osiadały wzdłuż belek i ścian, i utrzymywały takowe w ciągłej wilgoci; a że tylko w części zapobieżono tej niedogodności za pomocą ciągu ogrzanego powietrza, dozwolono przeto zupełnie zamarznąć wyziewom po bokach wewnętrznych okrętu, wkrótce też z nich utworzyła się jakby powłoka lodowa. Natychmiast za przybyciem do przystani *Zimowej*, wysłane oddziały na polowanie, znalazły

wielką obfitość renów i cieciewierzy; lecz przed końcem Października wszystkie te zwierzęta oddaliły się z wyspy Melville, pozostały tylko lisy i wilki. Wśród najmroźniejszej zimy, postrzeżono tylko jednego foka, ale żadnego niedźwiedzia niewidziano.

Największém niebezpieczeństwem w położeniu naszych żeglarzy, było zniechęcenie moralne, na które narażeni byli przez brak ruchu, światła i ponurą jednostajność zewnętrznych przedmiotów. Wiadomo że zniechęcenie umysłowe usposabia do napadów szkorbutu, gdy przeciwnie wesołość pokrzepia i zmniejsza cierpienia. Kapitan Parry przeto z swemi officerami, dla zabawy majtków, przedstawił sztukę teatralną, dnia 6 Listopada. Ciż sami officerowie wydawali także pismo tygodniowe, które nazwali: *Gazetą północną Georgii i Kroniką zimową*. Kapitan Sabine był jego wydawcą. Tej gazety wyszło 21 numerów, otrzymała ona zaszczyt iż została wydrukowaną za powrotem wyprawy. Uważano, iż przedstawienia dramatyczne najbardziej rozweselały umysły ludzi okrętowych; podając im także zatrudnienie około przyozdobienia teatru i utrzymania jego wewnętrznego porządku; powtarzano też takowe co dni piętnaście, przez trzy miesiące ciąglej nocy.

Pomimo srogości zimy i ciemności, officerowie przechadzali się codziennie po brzegu; chociaż termometr okazywał zawsze od 30° do 60° poniżej zera. Nareszcie i przechadzka nie miała już żadnego powabu, dla posępnej jednostajności krajobrazu, jego lodowego spoczynku i ciszy grobowej, które przejmowały duszę najgłębszą tęsknotą. Tym sposobem doczekano się najkrótszego dnia, lub raczej środka tej długiej nocy, na którą podroźni nasi byli skazani. W ciągu Stycznia, termometr utrzymywał się powszechnie od 30° do 40° niżej zera. Szkorbut zjawił się w ówczas pomiędzy osadą *Hekli*, lecz gwałtowność jego przemogła, codziennie rozdawanie świeżej musztardy i rzerzuchy, którą kapitan Parry zasiał w pudełkach napełnionych ziemią i postawionych przy

piecu w jego pokoiku. Chociaż brak światła pozbawił te rośliny wszelkiego kolorytu, jednak miały tak mocny smak jak gdyby wyrosły na wolnym powietrzu.

7 Lutego, cała tarcz słońca okazała się nad horyzontem; było to hasłem przygotowań, przynajmniej pozornych, do opuszczenia tego ciemnego pobytu; officerowie dobrze wiedzieli, że kilka jeszcze miesięcy upłynie, nim opuszczą to lodowe więzienie. Miesiąc Luty jest porą najmroźniejszą zimy biegunowej. Dnia 15 termometr opadł na 55° i zostawał przez 15 godzin na 54° niżej zera. »Bawiliśmy się, mówi kapitan Parry: zamrażaniem merkurjuszu, wystawiając go na ciągle zimno, a potem kując na kowadle. Niezdaje się być bardzo giętki w tym stanie i rozkrusza się zwykle po dwóch lub trzech uderzeniach młotem. Dnia 24, wszczął się pożar w obserwatorium wystawioném na brzegu. Każdy wziął się natychmiast do gaszenia płomieni, przyduszając je śniegiem; termometr jednak okazywał 44° niżej zera. Twarze majtków, oświetlone ogniem, przedstawiały nadzwyczajny widok. Prawie wszystkie nosy i policzki były zmarznięte i białe w pięć minut po wystawieniu ich na powietrze, tak dalece, że doktorzy i przydani im pomocnicy, musieli kręcić się ustawicznie w około ludzi zajętych gaszeniem płomieni, dla nacierania śniegiem odmrożonych części, by w nich przywrócić cyrkulację. Służący kapitana Sabine, wybiegł bez rękawiczek; w skutku tej nieostrożności, tak odmroził palce, że gdy zanurzył ręce w wanience zimnej wody, powierzchnia ich okryła się natychmiast lekką warstwą lodu; pomimo to, jednak musiano mu one amputować.»

Z zmniejszeniem się mrozów, lód który wyścielał brzegi okrętu, zaczął topnieć i 8 Marca, trzeba było koniecznie otluc ową powłokę. »Trudno uwierzyć, mówi kapitan Parry: że dnia tego (8 Marca), wynieśliśmy około 100 szalików pełnych lodu, z których każdy mógł obejmować 5 do 6 garncy; ta nadzwyczajna masa lodu nagromadziła się w przeciągu niespełna 4 tygo-

dni, z oddechu ludzkiego i pary potraw. Nadeszła połowa kwietnia, a jeszcze nie znać prawie było topnienia; lecz 30, temperatura atmosfery znacznie się zmieniła; i termometr od 8 miesięcy pierwszy raz widzieliśmy wznoszący się. Majtkowie wzięli ten stan rzeczy za temperaturę letnią. Officerowie musieli użyć władzy, dla wstrzymania ich od zrucania ubrania zimowego. Życie zaczynało się rozlewać po okolicznym krajobrazie." Pierwsza ptarmigana ukazała się 12 Maja, a dnia następnego, postrzeżono ślad renów i kóz pizmowych, które zaczęły przechodzić ku północy, co zwykle się dzieje w pierwszych dniach po powrocie światła. Te oznaki bliskiego oswobodzenia, wielką radością przejęły naszych żeglarzy; lecz deszcz spadł 24 Maja, nadzwyczajnie ich zdziwił. »Tak odwykliśmy, mówi kapitan Parry: widzieć wodę w zwyczajnym jej stanie, a szczególnie spadającą z nieba, że okoliczność ta, tak prosta, była prawdziwym przedmiotem ciekawości. Nie było nikogo na okręcie, tak przynajmniej sądzę, coby niepospieszył na pomysł dla widzenia tego tak zajmującego i nowego zjawiska." 1 Czerwca kapitan Parry, w towarzystwie kilku z pomiędzy officerów, odbył wycieczkę na wyspę Melvill. Dostali się do jej północnej kończyny, niepostrzegłszy żadnej innej ziemi na północy i zachodzie. Po powrocie z tej podróży, która trwała dni piętnaście, postrzegli roślinność wznoszącą się z cudowną siłą w około przystani *Zimowej*. Łódz okryty był niezliczonymi kałużami wody, i czerwone kwiaty z gatunku saksifragi, rozpościerały nieco blasku i wesołości na obraz dotąd nadzwyczajnie okropny. W połowie Lipca, termometr wznosił się od 56° do 60°, a nakoniec 1 Sierpnia, okręta mogły wyjść z przystani, w której zimę przepędziły; lecz nadzwyczajna masa pływających lodów, któremi cieśnina była zawałona, niezmiernie ich żeglugę utrudniała. Sprobowali jeszcze posunąć się ku wschodowi; lecz pomimo wszelkich usiłowań, nie mogli dopłynąć jak po za południowo-wschodnią kończynę wyspy Melvill; i 16 Sier-

pnia zaniechano tego przedsięwzięcia jako niewykonalnego. Najodleglejszym punktem, do którego wyprawa dostała się na morzu Biegunowym, był 74° 26' 25" szerokości i 113° 46' 43" długości. Opuściwszy cieśninę Jakóba Lankastra, okręta skierowały na południe wzdłuż wschodnich brzegów zatoki Bafińskiej, w celu zdjęcia ich planu, do tamtąd źle znanych i przez pierwszą wyprawę niedokładnie przejranych. Znalaziono je wyrzucone w liczne zatoki czyli odnogi morskie; w jednej z nich, pod 70° 22' szerokości, kapitan Parry trafił na pokolenie Eskimosów, o którym mówi: »że w ogóle ludzie ci mogą być uważani za posiadających wszystko do zaspokojenia potrzeb życia, i używających wszelkich wygod, których zaprzagnąć może stan towarzystwa tak mało rozwiniętego." 26 Września, ostatni raz widziano łódz, a w połowie Listopada, okręta przybyły na Tamizę. Prócz ważnych dodatków, jakimi podróż ta pomnożyła naukę jeografii, dostarczyła jeszcze obfitych materyałów do zgłębienia innych wiadomości ludzkich. Postrzeżone zjawiska magnetyczne i mrozów dochodzących do najwyższego stopnia są nader ciekawe i ważne. W czasie miesięcy zimowych, atmosfera w krainach pod biegunowych tak jest suchą, że nie tylko śnieg niepada, lecz nawet dostrzedz niemożna na niebie śladu by jednego obłoku. Cała wilgoć mogąca się znajdować w powietrzu, buja w nim w małych igielkach, niezmiernie cienkich i przybierających rozmaite kształty krystalizacyi. W chwilach najmroźniejszych, oddech człowieka, widziany w odległości, zupełnie ma podobieństwo dymu, po wystrzale karabinowym, a gdy oddział majtków pracował na lodzie, zostawali niezadługo otoczonymi jakby gęstym obłokiem. Dym kominów, zamiast wzbijać się w górę, unosił się poziomo, na kilka mil od okrętów. Rzecz godna uwagi, że zorza północna, aczkolwiek częsta, nie są jednak tak jasne i tak szybko zapalające się jak pod niższymi stopniami szerokości. Pomiedzy równoległościami od 60° i 66°, przedstawiają zwykle przepy-

szne ognisko światła; lecz w krainach podbiegunowych, ognisko to jest niezmiernie słabe, i zwykle się ukazuje prawie na widnokregu południowym. Wedle zmian i pochylania się igły ma-

gnesowej w tej wyprawie, uznano że biegun magnetyczny musi gdzie leżeć w bliskości 72° szerokości, pod 100° długości, lub w sąsiedztwie zatoki Regenta.



ROZDZIAŁ XXXVIII.

PODRÓŻ PARREGO.

Przygotowania do powtórnej podróży. — Jej przedmiot. — Okręta wpływają do cieśniny Złodowacielj. — Odkrywają zatokę księcia York. — Dostają się aż do Szczęśliwego-Przybycia. — Przegląd zatoki Odmówienia. — Odnoga morska przepatrzona. — Okręta uwięzłe w lodzie blisko wyspy Zimowej. — Wioska Eskimosów. — Ich charakter. — Talenta Iligliuki. — Rysuje ona kartę pobrzeża. — Lody się kruszą i okręta się posuwają. — Trudność żeglugi. — Kanał Fozza. — Cieśnina Hekli i Furyi. — Niepodobieństwo przejścia na zachód. — Zimowe leże w Ygloolik. — Domy Eskimosów ze śniegu. — Objasnienia ziemio-pisarskie przez nich udzielone. — Wycieczka lądem. — Długość zimy. — Powrót okrętów. — Trzecia podróż Parrego. — Zimuje w zatoce Regenta. — Usiłuje dalej się posunąć z powrotem wiosny. — Furya uszkodzona przez lody i opuszczona. — Próba Parrego dostania się po lodach aż do bieguna północnego. — Płynię aż do Spitzbergu. — Dwumiesięczna podróż po lodzie. — Zabłakanie się jego ku południowi. — Projekta jego pełzną na niczem.

Jeżeli podróż kapitana Parry niespodowodowała odkrycia przejścia północno-wschodniego, dostarczyła przynajmniej zachęcających objaśnień. Niepodobna było wątpić iż odkrycie cieśniny komunikującej z morzem Biegunowem, i chociaż żegluga jego wstrzymana została nagromadzonemi lodami, należało się jednak spodziewać według wszelkiego podobieństwa, że takowe krusząc się prędzej czy później, dozwolą wolnego przejścia z każdą chwilą. Mniemanie dawnych żeglarzy, że północna część Ameryki jest oderwanym stałym lądem lub raczej grupą wielkich wysp, tym sposobem potwierdzone zostało, a że jeszcze wcale nieznaną północnych brzegów zatoki Hudsonskiej, spodziewano się przeto znaleźć jakie przejście komunikujące z morzem Północnem, po którym z powodu jego położenia południowego, można będzie żeglować przez większą część roku.

Bombardy Hekli i Furya, przygotowane zostały do tej nowej wyprawy. Ulepszono znacznie wewnętrzny układ

tych okrętów; dano bowiem pomiędzy ścianami okrętu, a ich wewnętrznym pobiciem, pokłady korkowe, jako ochronę przeciw zimnu; umieszczono pomiędzy pomostami maszynę prostą lecz dobrze pomyślaną do rozgrzewania. Instrukcyje udzielone kapitanowi Parry, nakazywały mu rozpocząć przegląd wybrzeża, jak tylko się dostanie do jakiego punktu, z pewnością należącego do stałego lądu Ameryki. Z tamąd miał się posunąć ku północy, nie tracąc go jednak z oczu, a zwiedzając starannie wszystkie odnogi morskie i wszystkie zatoki na które trafi, aby oznaczyć z pewnością kończynę północno-wschodnią tego stałego lądu, w około którego miano nadzieję, iż będzie mógł przedrzeć się na pełne morze, okrążając tym sposobem przylądek Lodowy, i przepływając następnie przez cieśninę Behringa na ocean Spokojny.

Okręta wypłynęły z Tamizy 8 Marca 1821, i napotkały pierwszą górę lodową przy wejściu do cieśniny Dawisa, 14 Czerwca. Mnogie przeszkody tamu-

jące żeglugę w cieśninie Hudsonskiej, były przyczyną że wyprawa przybyła 2 Sierpnia do ujścia kanału, utworzonego przez wyspę Southampton i północne wybrzeże stałego lądu. Kapitan Parry przekonany, że ten kanał jest owym, któremu kapitan Middleton nadał nazwę w r. 1742 *cieśniny Złodowaciałej*, postanowił na przekór tej złowieszczą nazwie utorować sobie tamtędy przejście. Zamiar ten jeśliby się powiódł, miał mu oszczędzić okrążania 75-milowego. Po kilku dniach pasowania się, okręta przybyły do wewnętrznej przystani głębokiej blisko na mil 10 a szerokiej na pięć, mającej regularny przypływ i odpływ, i że wszęch stron wyborne miejsca do zarzucania kotwicy, zupełnie wolne od lodów. Tej wspaniałej zatoce, którą kapitan Parry uważa za jedną z najbezpieczniejszych a może i najrozleglejszych przystani na całym świecie, nadał on nazwę *zatoki księżca York*. 21 Sierpnia, batwany toczące się od południa, przekonały naszych żeglarzy, iż się dostali do *Szczęśliwego-Przybycia sir Tomassa Rowe*, oddzielającego na zachód wyspę Southampton od stałego lądu amerykańskiego. Mgły i śnieg padający wielkimi płatami, niedozwalały daleko sięgać wzrokiem; lecz gdy się nagle wyjaśniło, ujrzeli się zupełnie okrążeni ziemią; wpłynęli nie wiedząc sami do *zatoki Odmówienia*, gdzie nieznaleźli ani jednego kawałka lodu, mogącego im przejście zatamować. Postrzeżono że ta zatoka była zewsząd zamknięta ziemią; położenie jej dość się zgadzało z tém które jej Middleton na mappie swojej naznaczał.

Przegląd wybrzeża północno-wschodniego stałego lądu amerykańskiego, który był prawdziwym celem podróży, rozpoczął się 22 Sierpnia, tuż pod samym kołem biegunowym. Trudny i mozolny obowiązek przejrzenia wszystkich odnóg morskich i wszystkich dotąd pominiętych wybrzeży, pomiędzy którymi mogło się znajdować przejście na zachód, dokonany został z gorliwością i talentem, których dotąd nikt nie przewyższył. Okręta były nie raz otoczone lodami i wraz z niemi uniesione

ku południowi; z resztą pora zbyt już spóźniona niedozwalała czynić dalsze poszukiwania. Prawie cały Wrzesień przeminął na zdejmowaniu plauów wybrzeża i sprawdzaniu rozciągłości lądu stałego, na przeglądzie kilku odnóg morskich niezmiernie głębokich, które teraz oznaczone są na mappach pod nazwami odnóg morskich: *Luyońskięj*, *Hoppnera*, oraz zatok *Gorre*, *Rossa* i t. p. Rozległość wybrzeża nowo-odkrytego i przejrzanego, wynosiła przeszło 100 mil.

Mozolna ta praca zaledwie została ukończoną, gdy zjawienie się nowych lodów, oznajmiło zbliżenie się zimy; termometr ustalił się zarazem na zero. »Tworzenie się lodu na powierzchni wody, jest okolicznością ostrzegającą najlepšíj, iż czas wstrzymać żeglugę na owych morzach, gdyż pora działania już niezadługo się skończy. W istocie zaledwie podobna odgadnąć, jak owa przeszkoda tak błacha na pozór, jest ważną gdy się ją napotka. Gdy pokład lodowy dojdzie grubości pół-cala i takowy jest nieco większej rozciągłości, może zatrzymać okręt, jeśli ten nima przodu mocnego i wystającego, którym by go rozbijał, wtedy nawet gdy płynie milę na godzinę, bieg jego nie zawsze zależy od kierunku sternika lecz raczej od najmniejszego powiększenia lub zmniejszenia pokładów lodu, z któremi przód lub tył okrętu może się zetknąć. Statek znajdujący się w tém przykrem położeniu z żaglami rozpostartemi dla pomyślnego wiatru, niemogąc sobie pomódz zwyczajnymi środkami, nagle wstrzymany na żywiole, na którym zwykle bez przeszkody bieg ten odbywa, nie raz mi przypominał, mówi kapitan Parry: Gulliwera skrępowanego słabemi rękami Lilliputów; porównanie to usprawiedliwiają nadzwyczajne usiłowania, jakie czyni okręt dla wydobycia się z pozornie nie nieznanających przeszkód, a których jednak pokonać niemoże.

Blisko kończyny gdzie stały ląd zaczyna chylic się ku północy, znalaziono małą wysepkę, mającą na południowym swoim wybrzeżu wyborne miejsce do zarzucenia kotwicy, została na-

aną wyspą *Zimową*. Temperatura wewnętrzna okrętów, była tym razem grzana lepszymi sposobami niżeli w poprzedniej wyprawie, użyto tychże samych środków do zajęcia i zabawienia majtków. Lecz najbardziej przyczyniły się do zmniejszenia nudów tej długiej i posepnej zimy, odwiedziny oddziału Eskimosów, którzy przybyli 1 Lutego przez lody aż do statków angielskich. Niektórzy z naszych podróżników, towarzyszyli tym biednym ludziom aż do ich chat na wybrzeżu, i zdziwieni zostali widząc, że te mieszkania, chociaż leżące wprost okrętów, uszły jednak przed ich wzrokiem. »Łatwo pojąć, mówi kapitan Parry: podziwienie jakiego doznaliśmy znalazłszy osadę złożoną więcej jak z 60 osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, przemieszkujących w pięciu chatach, zaopatrzonych w czółna, sanki, psy i inne potrzeby. Jeśli widok wioski wzbudził nasz podziw, niemniej byliśmy zajęci wszedłszy do tych mieszkań nadzwyczajnych, do wystawienia których Eskimosowie używają tylko śniegu i lodu. Przeslizgnąwszy się przez dwa nader niskie przejścia, z których każde było opatrzone drzwiami, stanęliśmy w małym okrągłym pokoiku, dach onego tworzył kopułę najregularniejszą. Ztamtąd troje drzwi nieco większych od wchodowych, wiodło do tyłu innych pokoi zamieszkałych, z których jeden był na prawo drugi na lewo, a trzeci wprost nas gdysmy weszli. Wnętrze tych przedziałów przedstawiało obraz równie nowy jak i zajmujący: kobiety siedziały na łózkach, ustawionych przy ścianach i każda z nich miała przy sobie swój mały ogień, lampkę i wszystkie sprzęty gospodarskie. Dzieci ujrawszy nas wślizgnęły się po za matki, a przelekłe psy na wszystkie strony się rozbiegły. Światło przenikało do każdej z tych izb przez otwór okrągły wyrzynięty w lodzie w środku dachu.

Po osmnastu miesiącach stosunków z temi Eskimosami; powzięto o nich najkorzystniejsze wyobrażenie. Zdawali się być niezaczepni, szczególnie poczciwi i co jeszcze rzadziej spozstrzegać

się daje u dzikich, bardzo uprzejmi w domowym pożyciu. Kobiety nie są u nich znękanę pracą i trudami jak w innych towarzystwach nieucywilizowanych: ich obowiązkiem jest robić suknie, zajmować się kuchnią i innymi robotami domowymi. Z niektórych względów Eskimosowie okazali niezmierną słabość pojęcia: w istocie mało z nich mogło liczyć dalej jak do pięciu, i po osmnastu miesiącach codziennych stosunków, ani jeden z nich nieumiał dwunastu angielskich wyrazów. Z reszto, niesyłyhanie umieli zaspakajać swoje potrzeby. Odziewali się materyą ciepłą i wygodną, a szwy u ich butów zrobionych ze skóry foków, najdokładniej były wypracowane.

Jedna z ich kobiet, zwana Illigliuk, zjednała sobie szacunek naszych podróżnych, widoczną wyższością swego pojęcia, z łatwością nadzwyczajną uczyła się wszystkiego, czyniła wielkie przysługi Anglikom, którzy jej często używali za tłumacza. Kapitan Parry, odkrywwszy że Eskimosowie znają cztery kardynalne punkta igły magnesowej, oznaczył je na kawałku papieru, podobnie jak część wybrzeża na których zimował. Poczem, dodaje: »zażądaliśmy od niej aby uzupełniła ten rysunek, z głęboką uwagą i wielkim zajęciem nakreśliła pobrzeże stałego lądu, dalej po za jej krajem ciągnące się i dość blisko leżące na północ wyspy *Zimowej*. Można wyobrazić sobie nasze podziwienie i zadowolenie, gdy nasza rysownicza nakreśliła ląd stały dość bliskoko zachodowi, a następnie ku południopołudnio-zachodowi, tak że go zbliżyła do zatoki *Odmówienia*, która wedle tego rysunku, byłaby tylko od niego oddaloną o 3 a najwięcej 4 dni drogi. Kraj tak położony nad brzegami morza *Zachodniego* czyli *Biegunowego*, zowie się *Akkoole* i jest zamieszkały przez licznych Eskimosów. W połowie drogi pomiędzy tém pobrzeżem a zatoką *Odmówienia*, Illigliuk oznaczyła jezioro dość rozległe, z każdej strony którego wypływały małe strumienie wpadające do morza. Jej rodacy corocznie udają się w czasie lata, na brze-

gi tego jeziora, dla połowu pewnego gatunku łososi; prócz tego znajduje się tam wielkie mnóstwo renów. Na zachód Akkoole, patrząc z wierzchołka wzgórków, które opisała jako nader wysokie, nic niewiadać jak tylko niezmiernie rozległy obszar morza. Chcąc sprawdzić czy rzeka *Zaktadu*, o której istnieniu wiedzieliśmy, nie była obcą dla Illigliuki, prosiłem aby mi dalej narysowała pobrzeże południowe Akkoole; lecz ona natenczas szybko rzuciła ołówek i rzekła że nic więcej niewie.”

Te objaśnienia potwierdzili i inni Eskimosowie, których nasi podróżni wzywali do odrysowania mapy krajów im znanych; wszystkie te rysunki pobrzeży wykonane oddzielnie zgadzały się jednak z sobą do zadziwienia. Parry z swemi officerami przypomniat sobie w ówczas, że z wysokiego pagórka leżącego w głębi odnogi morskiej, widzieli na niebie w stronie zachodniej punkt świetny, podobny do tego co żeglarze nazywają światem horyzontu i że z innej wysokości, obszerny przestwór wody, obsiany wyspami i przylądkami postrzeżony został na wschodo-północno-zachodzie. Z zatoki Odmówienia do morza Północnego, Eskimosowie utrzymywali że jest tylko 3 *senicks* czyli sny odległości; lecz ich sny czyli dni podróży, są w ogóle nader krótkie. Odział który odprawił ku północy podróż 40 snów, dognany został przez okręta jednym dniem żeglugi.

Wiosna zjawiła się na wyspie Zimowej jeszcze później niż na wyspie Melvill w ostatniej wyprawie. A jednak pierwsza z tych wysp była o 8° bardziej zbliżoną do równika. Całe dziewięć miesięcy upłynęło wśród lodów, z pomiędzy których nakoniec 2 Lipca, po wielkich usiłowaniach, okręta wyszły, lecz gnane prądem na południe ku kanałowi Foksa, który Anglicy właśnie zamierzali przejrzeć, narażone były ciągle na niebezpieczeństwo z powodu mass lodów unoszących się na jego powierzchni. Okręta przepływały w ówczas bardzo blisko skał lodu, zagrożających im zgruchotaniem, i takichże pokładów, które wsunawszy się pod

rufy, mogły takowe podnieść i przewrócić. Dzięki niezmordowanej wytrwałości, dostali się 12 Lipca do małej zatoki, położonej pod 67° 18' szerokości, z której wypytywał dość znaczny potok. Ponieważ sądzili, że ta okoliczność ochroni ich od lodów, przeto kapitan Parry zarzucił kotwicę o ile tylko mógł najbliższej tego miejsca, i kazał wysiąść na ląd oddziałowi dla przeirzenia kraju. Niepodobna opisać radości żeglarzy, odzwyczajonych od wdzięków zieloności i malowniczego krajobrazu, gdy po kilku-godzinnem błądzeniu nad brzegami bystrego potoku, przybyli do ciągu wodospadów, rzucających się ze skały na skałę; powyżej znaleźli szeroką rzekę, toczącą spokojne wały po równym łożysku, wśród rokosznych pagórków, pokrytych roślinnością prawie cudowną w podobnym klimacie. Wkrótce statki przybyły do wysp Amitioke i Ooglit, oznaczonych na mappach Eskimosów; nasi żeglarze znaleźli tam mnóstwo koni morskich; leżały w gromadach od 12 do 30 sztuk na ogromnych odłamach lodu. Nasi podróżni zbliżyli się z niespokojnością i trwogą do miejsca gdzie Eskimosowie oznaczyli iż się znajduje cieśnina komunikująca z morzem Zachodniem. Przejście istotnie ujrano, lecz jakże się zmartwili Anglicy, gdy postrzegli ciągłą zapórę lodu, zamykającą zupełnie zachodnie ujście cieśniny od brzegu północnego aż do południowego. Ponieważ się to działo w połowie Lipca, i lód zamiast być świeżo nagromadzonym, po niewątpliwych znakach okazywał, że od dawna jest przykutym do ziemi, przeto już nie pozostała żadna nadzieja pokonania tej zawady przynajmniej w tej porze. Po daremnem passowaniu się przez 65 dni dla utworzenia sobie przejścia na zachód, okręta wróciły do wyspy Yglcolik gdzie znów zamknięte zostały lodami 30 Października. Kanał który musiano wykuc w lodzie za pomocą pił i oskardów, dla ułatwienia okrętom dostania się do leż zimowych, wynosił przeszło 1300 stóp długości; w niektórych miejscach grubość lodu dochodziła do kilku stóp, a wśród tak ciężkiej pracy, mroz cią-

gle był wielki; termometr opadł nawet aż o 9° niżej zera. Przedsięwzięto też same ostrożności co przeszłej zimy dla zachowania zdrowia majątków; jednak nie panowała pomiędzy niemi dawna wesołość. Z porady Eskimosów ubili na około okrętów wysoki mur ze śniegu, przez co uchronili się od śnieżnych zawięci; w środku zaś zostawiono wolne miejsce do ćwiczeń, do którego wiatry przystępu nie miały. Ten wał zwiększył także ciepło w okrętach.

Prócz tego, sąsiedztwo licznego pokolenia Eskimosów, zmniejszyło nudy. Officerowie odbywali wycieczki po obu stronach cieśniny, której kapitan Parry nadał nazwę *cieśniny Furyi i Hekli*. W najwęższym miejscu ma ona 2 mile szerokości, a blisko milę długości. Ziemia na południu, czyli brzeg stałego lądu, jest wielkim półwyspem który kapitan Parry nazwał *pół-wyspem Melwilla*. Jest to kraj dziki i górzysty przetrnięty łańcuchami jezior, do którego zatem przystęp bardzo jest utrudniony. Kapitan Lyon chciał go przebyć lecz musiał się wyrzec tego przedsięwzięcia, uszedłszy tylko 7 mil. Ziemia na północ została nazwaną *wyspą Kokburn*. Eskimosowie uwiadomili naszych podróżnych że jest oblana wodą; lecz nie mogli powiedzieć czy kanał ją otaczający jest spławny lub nie. Niektórzy z officerów odbyli wycieczkę sześćdziesięciu-milową ku zachodnim wybrzeżom wyspy Kokburn, tam ujrzeli morze Biegunowe rozciągające się przed ich oczyma; lecz przy wejściu do cieśniny lód był nagromadzony w tak ogromnych stosach, że z trudnością przypuszczali istnienie przejścia spławnego w tej stronie.

1 Sierpnia r. 1823 nadszedł, a okręta były jeszcze otoczone lodową zaporą; lecz kapitan Parry zniecierpliwiony tą niewolą, postanowił z największym usiłowaniem z niej się wydostać, choć by nawet było potrzeba wykuć kanał na 4 lub 5 mil długi, Już zaczęto tę mozolną pracę, gdy lód krusząc się zupełnie 12 Sierpnia, otworzył okrętom przystęp do pełnego morza. Niepowątpiewano już że cieśnina Furyi i He-

kli miała komunikacją z morzem Północnym, a przeszkoda tamująca przejście do niego, jakkolwiek zdawała się trwać, była jednak przypadkową i mogła zostać zniszczoną przez nadzwyczajny upał lub jaką inną niespodzianą przyczynę. Kapitan Parry, zbliżając się do osiągnięcia skutku swych życzeń, nie chciał wrócić dopóki mu najmniejsza zostawała nadzieja. Powziął zamiar zabrać zapasy z Hekli i odesłać ten okręt do Anglii, sam zaś postanowił zostać w stronach biegunowych, aby w następnym roku znowu zwykłe prace rozpoczął. Śmiały ten plan, który mógł najsmutniejsze mieć skutki i pozbawić wyprawę wszelkiej sławy, nie został wykonanym. Szkorbut zakradł się pomiędzy osady okrętowe, obawa tej groźnej choroby, jak również namowy kapitana Lyon, skłoniły Parrego iż postanowił jak najprędzej wrócić do ziemi rodzinnej. Wyprawa dostała się 10 Października do Lerwik na wyspach Szelelandzkich; po 27 miesiącach oddalenia. Officerowie i podwładni powrócili w doskonałym zdrowiu, utraciwszy tylko 5 ludzi ze 118 w całym ciągu tej przykrzej podróży, w której przepędzili dwie długie zimy na lodzie, wystawieni na średnią temperaturę, daleko niższą od zera. Chociaż ta ostatnia wyprawa kapitana Parry niedopięta głównego celu, to jest nieznała przejścia na morze Biegunowe, niemożna jednak zaprzeczyć, że geografia winna jej wiele ważnych objaśnień. Jeśli rozważemy pokonane trudności, wyprawa ta porównana z pierwszemi podróżami po tych morzach lodowatych, okazała się nadzwyczajnie szczęśliwą. Rzucono odtań wielkie światło na geografię północno-zachodu, aby dowieść najbardziej niedowierzającym, że stały ląd Ameryki wedle wszelkiego podobieństwa nierozciąga się dalej ku północy jak po 70° szerokości; i że ocean Atlantycki ma komunikację z morzem Biegunowym przez liczne kanały mniej lub więcej zawałone lodami, stosownie do kierunku prądów, lub innych podobnych okoliczności. Sprawdzono że nadzwyczajnie silny prąd, przepływając cie-

śninę Fury i Hekli, pędzi przed sobą ogromne odłamy lodu, nagromadzone przy zachodniem ujściu tegoż kanału, które może tamują żeglugę po nim. Drugi także prąd zachodzący w cieśninę Foxa, do której napycha mnóstwo pływających lodów, a zwracając się na wschód utrudnia żeglugę w cieśninie Hudsonskiej, również dąży do morza Biegunowego przez cieśninę Hekli i Gryperu. Lody nie pozwalające Parremu żeglować w pierwszej jego podróży ku południowo-wschodniej kończyźnie wyspy Melvill, zdawają się także być tylko chwilowemi, można się spodziewać że lody widziane w przejściu Regenta, są przypadkowym nagromadzeniem i zładą zmianą wiatru mogą być rozproszone: od-tąd powzięto nadzieję dostania się do morza Biegunowego przez tę cieśninę, która otwarta w kierunku południowo-zachodnim, tworzy przejście dla prądów płynących ku wschodowi, wzdłuż północnych brzegów Ameryki. W skutku tego Hekla i Fura na nowo zostały przygotowane i kapitan Parry wraz z porucznikiem Hoppner otrzymali nad nimi dowództwo.

Podróż ta była jedną z najmniej szczęśliwych ze wszystkich któremi dowodził kapitan Parry. Droga jego przez zatokę Baffińską tak była zapchaną odłami lodów, iż zaledwie z największą trudnością dostał się do portu Bowen, na wschodniem brzegu przejścia Regenta, przed porą w której klimat o-wych stron czyni tam żeglugę zupełnie niepodobną. Gdyby przybył trzy tygodnie lub miesiąc przedź, mógłby był wedle wszelkiego podobieństwa, dostać się tamtędy na pełne morze, a może nawet przezimować na północ-ném brzegu Ameryki.

Zima przepędzona w Port-Bowen, była podobną do zimy na wyspie Melvill i Igloolik. 20 Lipca r. 1825, skruszenie lodów dozwoliło naszym podróżnym rozpocząć dalsze działania. Przed-siewzieli opłynąć wschodnie wybrzeże przejścia Regenta; lecz ogromne masy lodów pływające w pośrodku cieśniny, zbliżyły się do okrętów i popchnęły je ku brzegowi. *Fura* tak została uszko-

dzoną, że pomimo czterech pomp nie-ustannie czynnych, zaledwie można ją było utrzymać na powierzchni wody, wydobyta nareszcie dla naprawy na o-gromny odłam lodu, znów przez uragan pędzący przed sobą niezmierne masy lodu rzuconą została powtórnie na brzeg, o który się rozbiła, officerowie i maj-tkowie z wszelkimi przyborami musie-li się przesiąść na *Hekle* i wyprawa wró-ciła do Anglii.

Zawiedziony w nadziei znalezienia przejścia północno-zachodniego, kapi-tan (teraz sir Edward) Parry, niezanie-chał jednak od razu swych planów odkryciowych na północy. Sądził że będzie można dostać się do bieguna północnego za pomocą lekkich czółen i sanek, których by używano stosownie do potrzeby. Plan ten poparło Towarzystwo swoim zale-ceniem Admiralicji, która znów uzbroiła *Hekle* do tej wyprawy, i oddała ją pod rozkazy kapitana Parry. Dwa czółna, łączące w sobie wszelkie wymagane za-lety mocy i lekkości; powleczone nie-prześciątkiem pokryciem, i wysłano pilś-nią; umieszczono pod spodem każdego płozy, aby w potrzebie mogły służyć za sanki.

Kapitan Parry wypłynął w Kwietniu r. 1827. W Hammerfert w Norwegii, zabrał 8 renów przeznaczonych do za-przegu, jako też wielką ilość mchu do ich karmienia. Stracono wiele czasu nim się przedarto ku północy; lecz lo-dy były tak wzburzone gwałtownością uraganów i ruchem fal morskich iż za niepodobieństwo osądzono zapuścić się pomiędzy nie. Niebezpieczeństwa, na które w podobnym położeniu okręt był narażony i konieczność umieszczenia go w bezpiecznej przystani nim w dalszą puszczą się drogę, spowodowały nowe zwłoki.

Nakoniec 22 Czerwca, zaczęto tę o-sobliwszą wyprawę. Powierzchnia lo-dów które nierozciągały się nigdzie w ścisłej płaszczyźnie, zbyt była chropo-watą, aby można było zaprzadź reny do sanek. Od tej chwili trzeba było zapału zbliżającego się do szaleństwa, aby przedsięwziąć wyprawę tak utru-dzającą. Gdy podróżni przybyli do ka-

fuży wody rozlanej na lodzie, musieli wsiadać w swoje szalupy. Gdy się dostali na brzeg przeciwny, znowu ciągnęli je za sobą, pierwój jednak wypakowawszy one na górach lodowych, stromych i niebezpiecznych. Przy tym utrudzającym sposobie ciągle używanym, odbyli 8 mil drogi w pięciu dniach. Podróżowali tylko w nocy aby im mniej dokuczał odbłask śniegu; lód także był w ówczas twardszy i mocniejszy, mieli jeszcze tę korzyść że mogli spoczywać w najgorętszych godzinach dnia. Zaraz po zachodzie słońca śniadali, potem po kilka-godzinnnej pracy zasiadali do obiadu. Po północy gdy zaczynało świtać, zatrzymywali się jakby dla nocowania; palili fajki i przypatrywali się przestrzeni lodowatej pustyni którą mieli nazajutrz przechodzić; potem owinawszy się w futra, kładli się na spoczynek. 22 Lipca posunęli się 17 mil; była to największa odległość jaką kiedykolwiek w jednym dniu uszli; jednak

doznane zwiłoki dostatecznie im wykazały niepodobiestwo dostania się do bieguna, który jeszcze był od nich oddalony o 500 mil. Dotarli aż pod 80° 40' szerokości; lecz właśnie gdy stan lodów zdawał się sprzyjać ich zamiarowi, wiatr zmienił się ku północy i tak ich obłąkał w przeciwnym kierunku temu którego dotąd się trzymali, że zaledwie z wielkim trudem uszedłszy od 10 do 11 mil po lodzie, postrzegli że byli o 4 mile na południe od miejsca w którym się znajdowali dnia 22. W podobnych okolicznościach trudno już było dłużej się upierać. Nasi podróżni zwrócili się i przybyli do okrętu w zatoce Hekla 21 Sierpnia, spędziwszy dwa miesiące na lodzie. Ich usiłowania w celu dostania się do bieguna zupełnie się niepowiodły, tę tylko mieli pociechę, że dotarli o jeden stopień dalej ku północy, niż którykolwiek z ich poprzedników.



ROZDZIAŁ XXXIX.

PODRÓŻ KAPITANA FRANKLINA.

Wyprawa kapitana Franklina do ujścia rzeki Miedzianniej. — Przybycie do twierdzy York. — Podróż do twierdzy Chepeweyan. — Sposób podróżowania w zimie. — Jego niebezpieczeństwa. — Chylenie się ku upadkowi pokoleń Indyjskich. — Odjazd z twierdzy Chepeweyan. — Pierwsze trudności. — Wielkie usiłowania pana Back. — Pobyt zimowy w twierdzy Przedsięwzięcie. — Srogość zimna. — Drzewa złodowaciale. — Domy Eskimosów ze śniegu. — Piękność Indyjska. — Rozpoczęcie znowu podróży. — Podstęp wilków. — Ujście rzeki Miedzianniej. — Podróżni wsiadają na statki. — Posuwają się na wschód. — Kończyna Powrót. — Zaczynają wracać lądem. — Czółna zgruchotane. — Sposoby wynalazione dla przebycia rzeki Miedzianniej. — Straszliwe trudy. — P. Back wystany przodem. — Doktor Richardson zostaje z choremi; zaś kapitan Franklin odbywa dalszą podróż. — P. Hood zabity przez przewodnika Indyjskiego. — Odważne postępowanie doktora Richardson. — Przybywa do twierdzy Przedsięwzięcie. — Położenie w jakim znajduje kapitana Franklina. — Dalsze ich cierpienia. — Przybycie posilków.

Podczas gdy kapitan Parry szukał przejścia przez zatokę Baffińską na morze Spokojne, wysłano inną wyprawę lądem dla oznaczenia prawdziwego położenia rzeki Miedzianniej i zakrętów pobrzeża na wschodzie tej rzeki. Przegląd ten, na pozór nieprzedstawiający

wielkich trudności, zdawał się rokać niezmiernie korzyści dla nauki geografii i bydy nader użytecznym dla śmiałego żeglarza, któregooby wysłano na północ. Porucznik Franklin (teraz kapitan), wybrany został na naczelnika tej wyprawy, w której towarzyszyli

mu: Doktor Richardson znakomity naturalista, PP. Hood i Back, midshipmani, i dwaj angielscy majtkowie.

Franklin i towarzysze jego wsiadli na okręt w końcu Maja r. 1819, stanęli 30 Sierpnia w faktoryi York, na pobrzeżach zatoki Hudsonskiej. Zajęli się natychmiast przygotowaniem do swej długiej i przykrzej podróży, zbierali wszelkie objaśnienia jakie tylko mogli otrzymać od kupców futer. Wyruszywszy 9 Września z twierdzy York, 22 Października przybyli do Kumberland-House, miejsca o 690 mil odległego. Chociaż się już lato kończyło, kapitan Franklin jednak postanowił dostać się do twierdzy Chepeweyan, leżącej na zachodniej kończyźnie jeziora Atlabaska, aby mógł osobiście czuć nad przygotowaniem do wyprawy, którą miał przedsięwziąć z początkiem przyszłego lata. Wyjechał więc z panem Back 18 Stycznia i przybył do twierdzy 26 Marca, dokonawszy tę 857 milową podróż wśród najcięższej zimy, termometr albowiem okazywał 40° a niekiedy i 50° niżej zera. Gdy rzeki tworzące główne drogi komunikacyjne w tych rozległych krainach zupełnie zamarzną, kupcy używają sanek zaprzężonych psami, na których ujeżdżają po 15 mil na dzień. Spią pod gołym niebem, nawet wtedy gdy termometr wskazuje kilkanaście stopni niżej zera. W podobnych podróżach, mniej się należy lękać srogości mrozu, jak braku żywności; gdy powstają gwałtowne zawieje śnieżne, zbłąkani podróżni bywają nieraz zmuszeni zabijać psy swoje na pożywienie. Ren i Żubr zdają się być zupełnie wygnanymi z wielkich płaszczyzu, rozciągających się pomiędzy zatoką Hudsonską i rzeką Makenzie; nawet zwierzęta dostarczające futer tak są już rzadkością, że lękać się trzeba aby zupełnie nieznikły w zachodniej pochyłości Gór Skalnych. Wpływ Europejczyków zarówno był zgubny dla mieszkańców Indyjskich jak i zwierząt tego rozległego kraju. Pokolenie Kresów czyli Krystenów; rozprzószone na powierzchni 20,000 mil kwadr., liczy zaledwie 500 osób; potężny ten naród jest widocznie ska-

zany na zniknięcie z powierzchni ziemi. Choroby spowodowane i rozwinięte nadużyciem mocnych napojów, są główną przyczyną tego szybkiego wyludnienia.

Z początkiem wiosny, doktor Richardson i pan Hood wyruszyli dla połączenia się z swymi towarzyszami w twierdzy Chepeweyan; w tych klimatach nadejście wiosny ma wdzięki trudne do pojęcia dla tych co nie żyli wśród natury okrytej przez ośm miesięcy grobowym całunem śniegów. Zaledwie lody topnieć zaczynają, a już drzewa okrywają się liściem; roślinność rozwija się nagle z obfitością i siłą równie zadziwiająca jak i miła dla oka. Lecz zarazem chmury mustyków zaciemniają powietrze, a bąki piaskowe tak się naprzykrzają, że dręczony przez nie podróżny, z załem wspomina wycieczki zimowe, mrozy i nocy na śniegu pod gołym niebem spędzone.

Połączona wyprawa wyruszyła z Chepeweyan 18 Lipca r. 1820 w nadziei, że przed końcem pięknej pory dostanie się na wygodniejsze zimowe leże przy ujściu rzeki Koppermin a potem z wiosną rozpocznie przegład pobrażę wschodnich. Lecz trudności nieoddzielne od dalekich podróży w tych opustoszałych krainach, przedstawiły się liczniejsze i straszliwsze niżeli przewidywano. Spadki rzek, melizny jezior i przenoszenie rzeczy, opóźniały z każdym krokiem prawie pochod naszych wędrowników, którym i tak już zaczął dokuczać brak żywności, w skutku tego przewoźnicy Kanadyjscy okazali wielkie nieukontentowanie. Około 20 Sierpnia, małe stawki zaczęły pokrywać się lodem i ujrzano lecące ku wschodowi stada dzikich gęsi, niezawodne zwiastuny bliskiej zimy. Strzelcy kanadyjscy oświadczyli że niepodobniestwem dostać się dalej, kapitan Franklin musiał przeto stanąć z wyprawą na zimowe leże, w miejscu w którym się w ówczas znajdował, to jest o 550 mil blisko Chepeweyanu. Na wzgórzu pobliskiem brzegowi rzeki zwanej *Zimową*, Kanadyjczycy wystawili dom i ten nazwali *Twierdzą Przedsięwzięcie*. Wyniosłe

drzewa a szczególnie jodły, okolały rzekę i pobliskie jezioro. Twierdza Przesiewzięcie leży pod 64° 28' szerokości, a 113° 6' długości.

Skoro tylko nasi podróżni i ich orszak zajęli leże zimowe, wzięli się wszyscy do zgromadzania zapasów i przygotowania siekaniny z mięsa renów, znacznej w Ameryce północnej pod nazwą Pemmikan. Z razu wszystko zdawało się im wróżyć obfitość; reny były liczne; widywano najmniej po 2000 sztuk w jednym dniu; nim powędrowały na południe, przeszło 180 ich pochwycono i uwędzono; lecz te zapasy tak znaczne na pozór, do których przydano jeszcze ryby z jeziora i rzeki pobliskiej, zaledwie wystarczyły na wyżywienie naszych podróżnych i gromad Indian, którzy z nadejściem zimy, zebrali się w okolo twierdzy, aby żyć kosztem europejczyków. Paki z kołdrami, tabaką i innymi przedmiotami potrzebnymi, jeszcze nienadeszły. Przeto pan Back wyruszył 18 Października z eskortą Kanaadyjczyków i Indian, dla przywiezienia ich z Chepeweyau; gdyby nie to nadzwyczajne poświęcenie, wyprawa nie mogłaby była pójść w dalszą drogę z początkiem przyszłego lata. Pan Back odbył tę podróż pieszo wśród zimy. Opisuje on trudy wycierpiane przez siebie w następujących wyrazach:

»Z przyjemnością znalazłem znów moich przyjaciół, po pięciu-miesięcznym oddaleniu; w tym czasie uszedłem 1104 mil w trzewikach umyślnie zrobionych do śniegu, niemając innego przykrycia w nocy, w lesie, prócz kołdry i skóry danielęj; termometr spadał często na 40°, raz nawet na 50° niżej zera; niekiedy żyłem 2 lub 3 dni bez żadnego pokarmu. Aby ocenić odwagę tego człowieka który dobrowolnie przedsięwziął podobną wycieczkę, trzeba nadmienić, że trzewiki zrobione do śniegu, najdolegliwsze sprawiają cierpienia nieprzyzwyczajonym do ich noszenia. Pomyślmy tylko, mówi kapitan Franklin: że trzeba dzwigać ciężar 2 lub 3 funtów, ciągle przywiązany do nóg poobcieranych i opuchniętych w kostce; a to jeszcze słabe tylko da wyobrażenie o

męczarniach podobnego podróźowania. Pozostali w twierdzy niemniej ucierpieli z powodu srogości zimna; rzecz szczególniejsza, że w Grudniu, temperatura raz zniżyła się tam o 3 stopnie niżej od temperatury jakiej doznawał Parry na wyspie Melvill, położonej o 9 stopni bliżej bieguna. W czasie tak srogich mrozów, atmosfera była zwykle bardzo spokojna, a ludzie zajęci ścinaniem drzewa, lub jaką inną pracą, niepotrzebowali nadzwyczajnych przedsiębrać ostrożności. Drzewa wznoszące się na okolo twierdzy Przesiewzięcie, zmarły aż po sam rdzeń i stały się tak twardemi jak kamienie; codziennie o nie łamano siekiery i w końcu Grudnia już tylko jedna była w stanie służyć. Dwóch tłumaczy Eskimosów z zatoki Hudsonskiej, towarzyszyło p. Back do twierdzy Przesiewzięcie. Natychmiast zaczęto stawiać dom ze śniegu. W czasie posępnych miesięcy zimowych, oficerowie zajmowali się rysowaniem i pisaniami swych dzienników; znajdowali także rozstargnienie zgłębiając charakter swych towarzyszy indyjskich. Stary naczelnik Indian miedziannych miał córkę, którą całe pokolenie uważało za największą piękność, zaledwie skończyła lat szesnaście, a już należała do dwóch mężów. P. Hood odmalował jej portret, co wielką nieprzyjemność sprawiło matce. »Lękała się albowiem, jak mówiła, ażeby naczelnik władający Anglią, zniewolony pięknością jej córki, nieprzystał po oryginał jak tylko zobaczy kopię.»

Lody jeszcze niedostatecznie rozprysły na rzece Koppermin, niemożna przeto było żeglować w czółnie przed 14 Czerwca r. 1821. Zapasy całkiem wyczerpano i nasi podróżni w dalszym ciągu wędrówki, mogli się tylko utrzymywać z łowów; gdy strzelcy poznali jak są potrzebnymi, zaczęli okazywać szkodliwsze symptomata nieposłuszeństwa. Skalistę łożysko rzeki Koppermin przedstawiało dla żeglugi najniebezpieczniejsze zawady; lecz płaszczyzny po obu stronach rzeki zarosły trawą, obfitowały szczególnie w woły pizmowe których wielką liczbę ubito. Nasi po-

dróżni nadmieniają o podstępach jakich wilki używają w łowieniu zwierzyny, dowodzą one niepospolitej ich przebiegłości. »Gdy daniële się pasą spokojnie, wilki zebrane w wielkiej liczbie, ustawiwszy się w długą zakrzywioną linię, suwają się zwolna ku trzodzie, tak jednak aby jednocześnie jej niezestrzążyć; lecz gdy ta już zupełnie zostanie okoloną i żadnym sposobem ująć nie może na płaszczyznę, natenczas szybko się zbliżają, straszliwem wyciem straszą łup swój i zmuszają do ucieczki ku przepaściom, w które trzoda strwożona z łatwością wpada z wierchołka skał. Wilki następnie powoli schodzą i pożerają na w pół poszarpane zwłoki.»

Dnia 18 Lipca nasi podróżni przybyli do ujścia rzeki Koppermin; tam Indyjanie przerażeni myślą, że się mogą spotkać z Eskimosami z którymi ciąglą prowadzą wojnę, postanowili wrócić. Pan Wentzel urzędnik kompanii północno-zachodniej, udał się z niemi mając poleconém sobie od kapitana Franklin, zgromadzenie zapasów żywności w twierdzy Przedsięwzięcie i poczynienie wszelkich innych rozporządzeń mogących się okazać potrzebnymi w dalszym ciągu wyprawy. Chociaż zachwyceni pierwszym widokiem morza, Kanadyjczykowie jednak z razu lękali się spuścić na nie swe czołna, i nie dziw, albowiem tylko śmiałość majtków angielskich, mogła się pokusić na tak niebezpieczne przedsięwzięcie, w tak spóźnionej porze. 21 Lipca, 20 ludzi, z których 15 nigdy jeszcze niewidziało wody słonej, puściło się na morze Bieguowe w dwóch wątych łodziach, z zapasem żywności tylko na dni piętnaście. Morze wolne było od lodów; przypływ i odpływ za ledwie się uczuwać dawał; lecz z położenia drzewa pływającego wzdłuż brzegów, kapitan Franklin wniósł że prąd musi się znajdować gdzieś na wschodzie. Najdalszym krańcem do którego dotarł nasz żeglarz, była *kończyna Powrotu*, pod 60° i $\frac{1}{2}$ szerokości. Ten wschodni pagórek i *przyładek Barrów* na zachodzie, tworzą otwór głębokiej zatoki, toczącej swe wały ku południowi aż do koła północnego. Ta zatoka której

kapitan Franklin nadał nazwę *zatoki Koronacyi Jerzego IV*, jest zawałoną mnogimi wyspami, pomiędzy którymi znajdują się wyborne przystanie; wszystkie one są skropione małemi rzeczkami słodkiej wody, w których znajdują się obficie łososie, pstrągi i inne ryby. Kapitan Franklin widząc się zmuszonym wrócić z powodu braku żywności, postanowił popłynąć w górę rzeki Hood, znajdującej się w głębi zatoki Koronacyi, tak daleko, jak tylko ta będzie spławna, a następnie przejść kraj w prostej linii aż do twierdzy Przedsięwzięcie, lecz wodospad wysoki na 250 stóp, który napotkał na rzece Hood, przeszkodził mu posunąć się dalej. Nasi podróżni byli zmuszeni zmniejszyć czołna aby mogli przemieścić takowe, i porzucić część pakunków. Już szli przez pięć dni, gdy w znacznej odległości od rzeki napadnięci zostali przez śnieg obfity, niezawodną przepowiadnię nadchodzącej zimy. Przykre ich położenie z każdym dniem się zwiększało; musieli znosić gwałtowne burze, wśród śniegów nagromadzonych przeszło na dwie stopy w okolicy niepłodnej przedstawiającej za ledwie kilka krzaków na spalenie. Z zniknięciem słońca, puścili się na los przez krainę zupełnie nieznaną. W tej trzytygodniowej podróży, jedynem ich pożywieniem był pewien gatunek mchu rosnącego wśród kamieni, który nazywają *trzewem skalnym*. Siła i odwaga Kanadyjczyków, niezdolały się oprzeć trudom i brakowi żywności. Rozpacz odjęta im wszelką przezorność; w skutku nieuwagi, oba czołna zostały na kawały roztrzaskane, chociaż nasi podróżni dobrze wiedzieli, że mieli jeszcze przebywać rzekę Koppermin. Dnia 26 Września, przybyli nad jej brzegi. Powietrze się nieco ociepliło, zabito kilku danieli, i promień wodniczkiej nadziei zdawał się zabłyskać naszym podróżnym wyniszczonym na siłach; lecz jakże przebyć rzekę oddzielającą ich od kresu podróży. Doktor Richardson, chciał wplaw puścić się, lecz wkrótce skostniał od zimna i wyciągnięty został z wody zupełnie odrętwiały. Zrobiono nareszcie pewien rodzaj kosza, który pokryto szmatami

z płótna żaglowego; w tak wątłym statku po jednej osobie oddzielnie przeprowadzono się przez rzekę, zmarudzwszy 8 dni pogodnych. Koniec podróży był jeszcze niepomyślniejszym, z dniem 4 Października nasi awanturnicy jeszcze mieli do twierdzy Przedsięwzięcie 40 mil drogi, lecz niepozostał im żaden szczałtek żywności, wszyscy byli osłabieni pracą, niespokojnością, zdawało się że niepostąpią już dalej. P. Back i trzech Kanadyjczyków puscili się przodem w nadziei spotkania strzelców indyjskich w sąsiedztwie twierdzy Przedsięwzięcie. W kilka dni później, kapitan Franklin zostawiwszy chorych staraniom doktora Richardsona i Hooda, odłączył się także zabrawszy z sobą siedmiu silniejszych ludzi, lecz czterech zaraz pozostało na drodze nie mogąc dalej postąpić. Jeden z nich tylko, Irokez imieniem Michał, wrócił do doktora Richardson, o trzech innych nie słyszano już więcej. Kapitan Franklin przybył do twierdzy 11 Października, zupełnie wyniszczony przez pięć dni albowiem nie niejadł. Jakaż była jego rozpacz gdy znalazł to miejsce zupełnie pustem, ogołocionem z zapasów, z wszelkiego śladu zwierząt żyjących, a ziemię okrytą grubym śniegiem. Udał się jednak dla wynalezienia Indian, aby ratowali doktora Richardsona i jego towarzyszy, lecz wyniszczony na siłach, musiał wrócić nazajutrz do opuszczonego siedliska. Franklin spędził dni 18 w tak oślapanem położeniu, żywiąc się tylko skórami i kośćmi zwierzyny ubitej przeszłej zimy, z których gotował sobie zupę. Nakoniec 29 Października, Richardson i John Hepburn przybyli, lecz tylko sami. Pierwszy przynosił smutne wiadomości. W ciągu pierwszych dwóch dni, oddział jego nie niejadł; trzeciego Michał powrócił z zającem i kuropatwą, które pomiędzy wszystkich rozdzielono. Dzień następny znów upłynął w zupełnym niedostatku; dnia 11, Michał ofiarował swoim towarzyszom ćwiartkę mięsa, którą jak mówił wyrzwał z wilka; lecz się potem przekonano, że to było ciało jednego z tych nieszczęśliwych, którzy opuściwszy kapitana Franklina,

wracali do doktora Richardson. Michał z każdym dniem stawał się hardszym i obojętniejszym. Powzięto silne podejrzenie, że gdzieś ukrywał żywność, 20 Września Hepburn zajęty ścinaniem drzewa, posłyszał wystrzał, zwróciwszy się w stronę z której takowy pochodził, ujrzał Michała wpadającego do namiotu: wkrótce potem znaleziono p. Hood nieżywego: miał tył głowy kulą ztraskaną, już nie było można wątpić że Michał był jego zabójcą. »Odważyłem się natenczas dla bezpieczeństwa wszystkich, mówi doktor Richardson: wziąć na siebie całą odpowiedzialność, i w chwili gdy Michał ku nam wracał, położyłem go trupem wystrzałem z fuzji.» Doktor i jego towarzysze, potrzebowali sześciu dni, na przebycie odległości 24 mil, a całym ich pożywieniem było nieco mchu i kawałki futrzanego płaszcza p. Hood. Dnia 29 wieczorem niewysłowioną radością z razu zostali przejęci postrzegłszy dym wydobywający się z kominów twierdzy. Na trzeci dzień po przybyciu doktora Richardson, dwóch Indian którzy towarzyszyli kapitanowi Franklin, umarło z głodu. Pozostały ich współziomek i sam kapitan tak byli osłabieni, że za kilka godzin już mieli zakończyć życie. Hepburn i Richardson także uczuli, że nagle słabną na siłach, gdy 7 Listopada Indianie wystąpi przez p. Back, przybyli nareszcie z pomocą tak długo oczekiwaną. Kapitan i jego ludzie odzyskawszy nieco sił, opuścili twierdzę i dostali się do najbliższego stanowiska kompanii, tam znaleźli p. Back, któremu wyprawa winną była pierwsze powodzenia, a ostatnim razem ocalenie. Skutki tej podróży która łącząc w to żeglugę wzdłuż brzegów, wynosiła 5,500 mil, są widocznie najważniejsze dla ziemio-pisarstwa. Ponieważ przejrano północne pobrzeże aż do przylądka *Powrotu* pod 68° i $\frac{1}{2}$ szerokości, widoczną jest więc rzeczą, że jeśli istnieje przejście północno-zachodnie, to się musi znajdować po za tą granicą. Kraj który wyprawa przebyła, przedstawia mało przedmiotów godnych opisu, gdyż wszystkie te północne okolice Nowego-

Świata w ogóle mają jednakową fizyonomję; wszędzie się tam znajdują rzeki i łańcuchy jezior, przerywające kraj we wszystkich kierunkach, podobnie jak długie lasy jodłowe, opasane wierzbam i brzoziami rzadziejacemi stopniowo, a nareszcie niknącemi zupełnie pod 68° szerokości.

Podczas ich pobytu w twierdzy Przed-siewzięcie, officerowie wyprawy mieli częstą sposobność przypatrzania się zjawiskom elektrycznym, magnetycznym i atmosferycznym, towarzyszącym zorzy północnej. Meteor ten jak się zdaje, okazuje się częściej i z większym blaskiem, w sąsiedztwie bieguna północnego, niżeli w innych stronach bardziej posuniętych. Z odbytych doświadczeń twierdzą oni stanowczo, że na igłę magnesową ma wpływ zorza północna w pewnych okolicznościach, a szczególnie gdy snopy światła rozwijają się pomiędzy obłokami i ziemią. Te postrzeżenia naprowadziły także officerów na mniemanie, że zorza zamiast zachodzić po za okrąg atmosferyczny, rzadko się znajduje na wysokości więcej niż 6 lub 7 mil. Widać nie raz jej promienie wystrzeliwujące z pomiędzy obłoków i widocznie ona ulega działaniu wiatru. Jeden z kupców futrzanych powiedział p. Hood, iż raz widział płomień zorzy północnej tak świetny i tak bliski ziemi, że Kanadyjczycy padali na twarz, modlili się i krzyczeli z obawy aby ich niepozabijały; on sam rzucił fuzyję i nóż, lękając się aby nie posłużyły za

konduktora płynowi elektrycznemu. Płomieniste te snopy były tylko o łokieć wzniesione od ziemi i poruszając się równolegle na jej powierzchni, zdawały się bujać z nadzwyczajną szybkością. Tenże kupiec twierdził pod przysięgą, że wydawały szelest tak donośny, jak chora-giew miotana mocnym wiatrem. Łoskot ten, który jak on utrzymywał wydają promienie zorzy północnej, stracił już teraz wiarę. Syberyjczycy twierdzą jednak, iż jest tak mocny że ich psy skoro go tylko posłyszają, kładą się i niechęć ciągnąć sanek. Officerowie wyprawy nieślęzeli go nigdy i nie mogli otrzymać w tym względzie żadnego objaśnienia, któreby większą dla nich mogło mieć pewność niżeli te gminne podania.

Przebywając doliny przerywające góry Miedziane, Doktor Richardson zabrał kilka płatków rodzinnej miedzi. Indyjanie kopią wszędzie, gdzie tylko postrzegą jaki ślad phremitu na powierzchni ziemi, przekonali się bowiem z doświadczenia, że największe kawały miedzi znajdują się w sąsiedztwie tego kamienia. Mówią także iż ten kruszec obficie się znajduje w całym łańcuchu gór który się rozciąga na 30 do 40 mil ku północo-zachodowi, i że Eskimosowie udają się często w te góry dla szukania miedzi. Później znaleziono u Eskimosów kilka nożyc do krajania lodu, długich przeszło na stopę, które były zrobione z czystej miedzi bez żadnej mieszaniny.



ROZDZIAŁ XL.

POWTÓRNA PODRÓŻ FRANKLINA.

Wyprawa odbiera polecenie rozpoznać brzeg zachodni rzeki Kopermin. — Przygotowania i Instrukcyje. — Płyną z biegiem rzeki Makenzie. — Leże zimowe nad brzegami wielkiego jeziora Niedźwiedzi. — Kapitan Franklin udaje się do ujścia rzeki Makenzie. — Pagórki węglane w płomienach. — Indyjanie Zyzowaci. — Widok morza. — Powrót rzeką. — Wielki upał. — Rzeka Niedźwiedzia. — Rozrywki w czasie pobytu zimowego. — Początek topnienia. — Wyprawa znowu się zabiera do pracy. — Kapitan Franklin udaje się na wschód rzeki Makenzie. — Kłótka z Eskimosami. — Wyspy Herszla. — Rzeka Klarencya. — Linia demarkacyjna. — Wiadomości dotyczące Rossyan. — Mgły zmuszają Franklina do powrotu. — Odkrywa rzekę Peel. — Podróż doktora Richardsona na wschód rzeki Makenzie. — Jego stosunki z Eskimosami. — Ich charakter. — Szczegóły o jeziorze Eskimosów. — Wyspy Wolaston. — Przybycie do Koperminu. — Powrót do wielkiego jeziora Niedźwiedzi. — Skutki tej wyprawy

Cierpienia i nieszczęścia ostatniej wyprawy, niewstrzymały śmiałych żeglarzy którzy ją przedsiębrali, od powtórnego pokuszenia się na zwiedzenie brzegów morza Biegunowego. Ku końcowi roku 1823, rząd ogłosił iż zamierza wystąć nową wyprawę, pod rozkazami kapitana Parry, dla szukania przejścia na zachodzie przez cieśninę księcia Regenta. W tymże czasie, kapitan Franklin podał wniosek przerysowania brzegów położonych na zachód rzeki Makenzie. Przyjęto tę ofiarę w nadziei, iż nauczony doświadczeniem uniknie klęsk, jakich doznał w pierwszej wyprawie. Agenci kompanii zatoki Hudsonskiej, otrzymali natychmiast rozkaz przygotowania zapasów, pobudowania na oznaczonych stacyach czółen i wystania takowych naładowanych rzeczami i żywnością, w głąb kraju, poczynając od zatoki Hudsonskiej. Kapitan Franklin, doktor Richardson, panowie Back i Kendal pospieszyli do Nowego-Yorku. Dane im instrukcyje zalecały utworzyć zimowe osady w sąsiedztwie wielkiego jeziora Niedźwiedzi, a potem puścić się z biegiem rzeki Makenzie w lecie r. 1826. Przybywszy do ujścia tej rzeki, rozłączyli się; kapitan Franklin i p. Back, zwrócili się na zachód dla sprobowania czy się niedostaną do cieśniny Kozłebuego, gdzie mieli nadzieję spotkać fregatę *Kwiat*, dowodzoną przez kapitana Beechy; zaś doktor Richardson i p. Kendal udali się przeciwnie na wschód, dla rozpoznania całej linii pobrzeży, pomiędzy rzekami Makenzie i Kopermin.

Wyruszywszy z Nowego-Yorku, dowódcy wyprawy zwiedzili naprzód Niagarę, następnie przebywszy jezioro Wyższe, napotkali czółna na rzece Methye, 29 Czerwca r. 1825. Miejsce to leży pod 56° 10' szerokości i 108° 55' długości, prawie w najwznioslejszym punkcie źródła, którego wody spływają na wschód do zatoki Hudsonskiej. Oni odbyli już 280 mil drogi, a czółna ich 1,200 mil.

Dostawszy się na rzekę Makenzie, nasi podróżni z łatwością żeglowali. Rozmaite punkta kraju który przebyli pomiędzy wyspą *Crosse* a rzeką Maken-

zie, nie raz przedstawiały im tylko niezmiernie kłęby dymu, wznoszące się z zajętych ogniem lasów. Pod 62° szerokości znajduje się twierdza Simpson, przy zbiegu Makenzie i rzeki Gór, która płynie z zachodu; przez spław na tej ostatniej, kupcy amerykańscy zaopatrują się w zapasy, a pomiędzy innymi w kartofle, których uprawa nader korzystnie wprowadzoną została do tej odległej krainy. Rzeka Makenzie, która do tego punktu ma najwięcej milę szerokości, poniżej twierdzy Simpson blisko na dwie mile się rozszerza. Podróżni niebyli w ówczas bardzo oddaleni od wielkiego jeziora Niedźwiedziego, a że piękna pora miała jeszcze trwać 5 lub 6 tygodni, postanowiono przeto, że kapitan Franklin i pan Kendal puszcza się rzeką aż do morza, rozpoznają jej ujście, i tym sposobem znacznie skrócą działania następnego lata. Doktor Richardson miał zdjąć plan pobrzeża wschodniego wielkiego jeziora Niedźwiedziego, a pan Back kierować przygotowaniami zimowemi.

Przy wejściu do wielkiej rzeki jeziora Niedźwiedziego, widać górę której szczyt składa się z mnóstwa oddzielnych wierchołków najnierówniej sterczących; góra ta jest całkiem wapienna, a czarny i smolny płyn sączy się ciągle po jej pochyłościach. Rzeka jeziora Niedźwiedziego jest przezroczysta, gdy tymczasem wody Makenzie są białawe i piaskiste. O kilka mil poniżej rzeki jeziora Niedźwiedziego, blisko jej ujścia, znajdują się nad brzegami rzeki Makenzie, pokłady wyborowego węgla, które już gorzały r. 1825, jak to Makenzie uważał w podróży swojej ku morzu, z czego powstały nadzwyczajnie nieprzyjemne wyziewy. Doświadczenia późniejszego, w czasie zimowania nad wielkim jeziorem Niedźwiedziem, przekonały naszych podróżnych, że ów węgiel nader słabego udzielał ciepła, a całkiem nie był przydatnym dla kowali. Brzegi rzeki Makenzie mają także pokłady pewnego gatunku tłustego błota, którego sąsiedni Indyjanie używają za pokarm w czasie głodu, a zawsze z upodobaniem żują. Błoto to, ma dość

przyjemny smak mleka; nasi podróżni bielili nim ściany w swoich mieszkaniach.

Poniżej rzeki jeziora Niedźwiedziego, rzeka Makenzie przedstawia w niektórych miejscach wielkie i wspaniałe krajobrazy. Tak naprzykład, w miejscu zwaném *Wałami*, pływie 7 mil z szerokością zmieniającą się od 400 do 800 prętów, pośród wawozu którego boczne ściany są niekiedy na 150 stóp wysokie. Małe strumyki spadające z tych skał, zmieniają one w wielkie okrągłe wieże, gdy tymczasem liczne grotty czyli jaskinie, podobne do arkad gotyckich, nadają tu i wzdwie pagórkom pozor starożytnej katedry. Dnia 10 Sierpnia, kapitan Franklin przybył do twierdzy Dobrej-Nadziei, najdalszego ze wszystkich zakładów kompanii. Ostatniego mieszkania ludzi ucywilizowanych, którzy namiętnością zysku powodowani narażają się na srogosć tak ostrego klimatu, leży ona pod 68° 28' 21" szerokości, a 130° 51' 38" długości. Twierdza ta założoną została w celu zawiązania stosunków handlowych z pokoleniem Indian zwanych *Zyzowatemi*; kapitan Franklin twierdzi, że oni podobni są do Eskimosów ułożeniem i całą powierzchownością, tylko że mają oczy wypuklejsze i większe; lecz podobnie jak tamci przekatają sobie nosy i zatykają w tych dziurach kości lub musle.

Posuwając się ku morzu kapitan Franklin niedoznał żadnej przeszkody, z trudnością tylko mógł kierować wśród niezliczonych odnóg rzeki. Brzegi Makenzie, równie jak jej wyspy, zupełnie się składają z gruntów żalanych; wierzyby zarastają ich spody, sosny zaś wieńczą ich szczyty. Po dwudniowej żegludze pomiędzy temi kanałami, nasi podróżni dostali się nakoniec do oceanu. Woda była dotąd jeszcze słodka, dopiero zmieniła się w słoną gdy z kierowawszy ku wyspie leżącej nieopodal, zupełnie stracili z oczu wschodnie pobrzeże. Od strony północnej, Ocean zdawał się być zupełnie wolnym od lodów. Wielka liczba ciał morskich, czarnych i białych wielorybów, pływa-

ła po jego powierzchni. Wyspie na której kapitan Franklin wylądował, nadał nazwę *Garry*, ma ona około pięć mil długości a dwie mile szerokości i zdaje się być tylko nagromadzeniem zmarzłego błota, przedstawiającego pozor ziemi roślinnej w niektórych częściach na działanie słońca wystawionych. Zatknięto na niej sztandar Zjednoczenia, a kapitan Franklin zakopał u spodu jego list z opisem swjej podróży adressowany do kapitana Parry, w razie gdyby ten dołynął do tej wyspy. Drugi list podobny, zamknięty w pudełku nieprzepuszczającym wilgoci, rzucony został na morze. Przybieranie morza wznosiło się tylko na trzy cale, i położenie *wyspy Garry* oznaczone zostało pod 69° 20' szerokości, a 135° 41' długości. Makenzie popełnił więc tylko małe pomyłki w swoich rachunkach co do położenia tej rzeki, a kapitan Franklin dowiódł jego oskarżycielom, że on zasługiwał na wiarę gdy utrzymywał iż dostał się do oceanu niedoświadczwszy aby woda miała być słoną. Rozpoznawszy tak szczęśliwie ujście rzeki Makenzie, nasi podróżni zaczęli myśleć o odwrócie. Rzeka bardzo opadała, coraz więc trudniej było płynąć w górę jej prądów. Należy wspomnieć, że ku końcowi Sierpnia upał był nieznośny; w cieniu termometr okazywał 66°, na słońcu wznosił się do 76°; w téjże samej epoce odbijanie się promieni było niezmiernie mocne. Góry przybierały najosobliwsze kształty i w niewielkiej nawet odległości, brzegi rzeki zdawały się być tak wysokie, że zaledwie rozpoznać je można było.

Dnia 5 Września, kapitan Franklin i jego towarzysze przybyli do stacy zimowej, położonej nad brzegami wielkiej rzeki Niedźwiedziej, a której w jego nieobecności, officerowie nadał nazwę *twierdzy Franklina*. Doktor Richardson także już powrócił; zdjął plan pobrzeża północno-zachodniego jeziora, które w tym punkcie niebardzo jest odległe od rzeki Kopermin, i oznaczył miejsce, do którego wyprawa udać się miała z początkiem wiosny. Twierdza

Franklina składała się z różnych domów bardzo dogodnych, zbudowanych na piaskach o 25 stóp po nad jeziorem. Od północy, łańcuch pagórków średniej wysokości ograniczał krajobraz i chronił od wichrów osadę. Na południe rozpościerała się odnoga południowo-zachodnia jeziora Niedzwiedziego, szeroka w tym miejscu blisko na cztery mile. Drzewa znajdowało się niezmiernie mnóstwo w niewielkiej odległości, z tych niektóre miały 50 stóp wysokości. Liczba osób zebranych w twierdzy dochodziła do 50, licząc w to strzelców Kanadyjskich i Indyjskich, wraz z ich żonami i dziećmi.

Z nadejściem zimy, officerowie bawili się rysowaniem i pisaniem notatek. Gdy przelotne ptaki zupełnie znikły, kraj stał się okropnie pęsnym; 11 Października spadło dużo śniegu, w ówczas zaczęły się zabawy i zatrudnienia zimy północnej. Pierwsza wiadomość iż ziemia tak dostatecznie pokryła się śniegiem, że można podróżować w sanekach psami zaprzężonych, powszechną sprawiła radość.

W Lutym zaczęto obawiać się niedostatku; z powodu wyczerpania zapasów musiano zmniejszyć wszystkim pokarmu. Szczęściem głód ten nie trwał długo; albowiem wkrótce dostarczono obficie żywności z osad Kompanii. W Kwietniu, upał już się dawał czuć, chociaż ziemia ciągle była śniegiem okryta.

Dnia 22 Czerwca, cała wyprawa wsiadła na statki dla osiągnięcia głównego celu wyprawy. Czas był nadzwyczajnie gorący. Termometr w cieniu okazywał 71°. Dnia 4 Lipca, przybyła do *Fourche*, gdzie główne odnogi rzeki Mackenzie rozdzielają się tocząc swe wody w rozmaitych kierunkach. Miejsce to nazwano *Punktem Rozłączenia*, z powodu iż nasi podróżni wsiadłszy w wyborne czółna we wszystko zaopatrzone, podzielili się na dwa oddziały, z tych jeden udał się ku wschodowi, drugi ku zachodowi.

Kapitan Franklin dostawszy się na ocean, wpłynął do szerokiej zatoki, nad brzegami której wkrótce ujrzał groma-

dę Eskimosów. Ci dżicy w nadzwyczajnym mnóstwie krążyli w czółnach na około statków naszych podróżnych, którzy przez tłumacza nazwiskiem Augusta, uwiadomili Eskimosów, że głównym celem przybycia ich na to wybrzeże było zawarcie stosunków handlowych. Na tę wiadomość okazali jak najwyższą radość, lecz ten handel zbyt lichy, podniecił raczej ich chciwość, niżeli zaspokoił żądze; czółna osiadłe na mieliźnie od pobraża otoczyło wkrótce blisko trzechset Eskimosów, którzy zrazu natrętni i hałaśni tak się potem ośmielili, że zaczęli popełniać kradzieże. Gdy to odkryto i odebrano co wzięli, wpadli w okropną wściekłość i zdawali się knuć pomiędzy sobą plan napadu. Wstrząsając w powietrzu nożami, usiłowali opanować czółna. Szczególna ta walka trwała kilka godzin i skończyła się nareszcie bez rozlewu krwi; Anglicy bowiem byli tak cierpliwi że nieużyli broni ognistej, Eskimosowie znów chcieli tylko przywłaszczyć sobie wszystko co posiadali cudzoziemcy, niemając zamiaru uczynić im co złego. Gdy przeszło niebezpieczeństwo, August wysiadł na ląd dla wykazania Eskimosom nieprzyzwoitości ich postępowania, przyjęli go oni ze śpiewami i tańcami, w których z wielkim swoim podziwieniem, znalazł nadzwyczajne podobieństwo do tańców i śpiewów swoich współrodaków.

Czólna puściły się w dalszą drogę wzdłuż pobraża, przy dobrym wietrze, wjeżdżając w kierunku zachodnio-północno-zachodnim; lecz zaledwie kilka mil upłynęły, zostały wstrzymane przez ogromne kry mocno przytwierdzone do ziemi, i rozciągające się tak daleko jak tylko oko mogło dosięgnąć od strony morza. Nasi podróżni poznali że przybyli zawczasie i że będą obecnymi pierwszemu kruszeniu się lodów. Powciągali więc swoje czółna na brzeg, gdyż kilka dni koniecznie czekać musieli. Zaledwie rozłożyli obóz, gromada Eskimosów przybyła ich odwiedzić; byli to ludzie nadzwyczajnie spokojni i wcale niezaczepni; skakali z radości, gdy August przełożył im korzy-

ści, jakie mogą później osiągnąć z zawiązanych stosunkach z cudzoziemcami. Pierwszy raz widzieli ludzi białych. Gdy im dano szydła i wędki, pozawieszali je sobie u nosów zamiast ozdób; mieli także dziury w zwierzchniej wardze po każdej stronie które podobnie jak krajowcy pobrzeża północno-zachodniego Ameryki, zakładali okrągłymi kawałkami kości słonowej, ozdobionemi w środku dużym błękitnym paciorkiem. Mężczyźni byli silniejsi niżeli w innych pokoleniach Eskimosów, których dotąd napotkano na pobrzeżu wschodniem, kości policzkowe mniej u nich wystawały, jednak mieli główne charakterystyczne rysy swego narodu, to jest małeńkie oczki i nosy spłaszczone. Uwiadomili naszych podróżnych, że gdy wiatr mocny powieje od ładu, lody oddalają się od brzegu i zostawia wolne przejście dla czółen i tak pozostaną na morzu, aż do ukazania się na nowo gwiazd. Nieco dalej ku zachodowi, dodawali, lody stoją nie raz przytwierdzone do ziemi przez całe lato, a jeśli niekiedy się odłączą od niej to się oddalają nie zbyt daleko, gdyż wracają jak tylko mocniejszy wiatr powieje od morza. Czółna nie mogą płynąć w tych stronach, gdyż wiatry ciągle lodami miotają. Eskimosowie niezmiernie się dziwili, że ludzie biali nie byli zaopatrzeni podobnie jak oni w sanki i psy do odbywania drogi łądem, ile razy napotkają się podobne przeszkody. Ich domy zbudowane są z drzewa, które wschodnie prądy zawsze w wielkiej obfitości niosą na owo wybrzeże, kapitan Franklin znajdował tam pnie sosnowe, na 36 stóp długie, a 7 stóp obwodu mające.

Z puszczaniem lodów nasi podróżni wsiedli na statki i z trudnością i niebezpieczeństwem, dostali się do wyspy, której kapitan Franklin nadał nazwę uczynionego Herszla. Na niej napotkali jeszcze Eskimosów, zaopatrzonych w noże i inne narzędzia żelazne; pytani jakim sposobem posiadają te przedmioty odpowiedzieli, że głównie one dostają od pokolenia Eskimosów, mieszkających daleko na zachodzie, że tam młodzież

ich udaje się z każdą wiosną dla zbycia futer, skór cieląt morskich i tranu. Niektórzy Indyanie puszczają się także z biegiem rzeki wpadającej do morza Biegunowego, prawie naprzeciw wyspy Herszla i tenże sam prowadzą handel. Ci Eskimosowie utrzymywali, że Indyanie i Eskimosowie z którymi mieli stosunki handlowe, nabywają swoje towary od *Kabloonachtów*, czyli białego ludu, przemieszkującego na wschodniem brzegu bardzo dalekiego kraju. Zdaje się więc, iż płody jakiejś rękodzielni rossyjskiej sprzedawane były Eskimosom na wschodzie rzeki Makenzie.

Mała głębokość wody wzdłuż wybrzeża, wielkie mnóstwo odłamów lodu, którymi morze było okryte i gęste mgły, wstrzymały tak dalece postępy wyprawy, iż ta zaczęła już powątpiewać o dokonaniu celu swego postaunicstwa. Szeroka rzeka, wpadająca do morza przy 141° południka i oddzielająca terytoryum angielskie od rossyjskiego, nazwaną została *rzeką Klarenceyi*. Pudełko z medalem króla złożono w tém miejscu, a trzy okrzyki powitały sztandar Zjednoczenia, który tam zatknęto. Nieco dalej odkryto inną rzekę i tę nazwano *rzeką Kanning*. Morska woda jeszcze była słodką o 3 mil po za ujściem tej rzeki. Mgły były tak gęste, że podróżni musieli wyciągnąć swe czółna na ląd i czekać aż niebo rozjaśnione dozwoli im puścić się w dalszą tak trudną żeglugę pomiędzy lodami; zwłoka ta zniweczyła ostatnie jeszcze pozostałe nadzieje powodzenia. Dnia 16 Sierpnia, znajdowali się tylko na połowie drogi od *przylądka Złodowaciatego*. Zima szybko się zbliżała, w nocy termometr rzadko się wznosił nad 37°. Przeto Franklin postanowił wrócić niezwłocznie i nienarażać życia swych towarzyszy w przedsięwzięciu tak rozpaczniem. Ostatnie postrzeżenia dokonano blisko *skąty Powrotu*, pod 70° 26' szerokości, a 148° 52' długości. 30 Sierpnia, łodzie zawinęły do wyspy Garry i niezadługo potem wpłynęły na piękną rzekę, którą podróżni uważali za jedno z ujść rzeki Makenzie; dopiero

poznali swoją pomyłkę gdy postrzegli góry na wschodzie. Rzeka ta, którą Franklin nazwał rzeką *Peel*, ma szerokości w niektórych miejscach od ćwierci do pół-mili. Brzegi jej, podobnie jak brzegi rzeki Makenzie, ocienione są topolami, brzożami i wierzbami. Dnia 21 Września, wyprawa przybyła do twierdzy Franklina, odbywszy w trzech miesiącach podróż 2048 mil. Zdjęto plan 374 mil pobraży na zachód rzeki Makenzie i przekonano się że w tak wielkiej rozległości nieznajduje się ani jeden port, w którymby okręt mógł znaleźć schronienie.

Wyprawa doktora Richardsona nie doznała takich trudności. Przy pomocy prądu dążącego z zachodu na wschód, płynęła wzdłuż pewniejszego pobraży, po głębszym morzu, a zatem mniej zaważonem lodami. Znaczna liczba i hałaśne obejście się Eskimosów, zagrażały jej także niebezpieczeństwem; lecz doktor Richardson poznał że nie są wcale dzikimi. Gdy się z nimi obchodzono łagodnie lecz i stale zarażem, nieokazywali żadnych nieprzyjaznych chęci. Pewnego razu usiłowali opanować czółna; lecz na widok broni ogniastej, zaniechali tego zamiaru i oddalając się od Anglików, wołali: »Przyjaźń jest dobrem!» Indyanie i Eskimosowie uwiadomili doktora Richardsona, że niedaleko od brzegu, znajduje się wielkie jezioro, mające najmniej 150 mil ze wschodu na zachód, do brzegów którego można się było dostać po cztero-dniowej podróży z twierdzy Dobrzej-Nadziei; jezioro Eskimosów, tak się nazywa to małe morze, jak powiadają jest zapełnione wyspami; ma komunikację z rzeką Makenzie i przyjmuje w swe łono wody dwóch innych wielkich rzek. Doktor Richardson płynął brzegiem dwóch obszernych odnog które nazwał zatokami *Liverpoola* i *Franklina*. Wschodni brzeg zatoki Franklina, ciągnący się daleko ku północy, wprowadził go w niespokojność. Lecz okrążając przylądek Parry, ujrzał pobrażę że zniżając się na południe i wschód tak daleko, jak tylko wzrokiem mógł zasięgnąć.

Zbliżając się do ujścia rzeki Kopermin, odkrył na północy ziemię, lękał się czy ona niełączy się ze stałym lądem Ameryki. Jednakże posunawszy się dalej, poznał że była od niego oddzieloną kanałem od dwunastu do dwudziestu mil szerokim. Wyspie tej której pobrażę na pozór ciągle, przejrział on na 100 mil rozciągłości, nadał nazwę *ziemi Wollastona*. Dnia 7 Sierpnia, czółna dostały się do *zatoki Koronacyi*, aż do miejsca zwiedzonego w pierwszej wyprawie. Przystwór pobrażę przejrzanego pomiędzy rzekami Makenzie i Kopermin, przechodził 200 mil długości. 1 Września wyprawa weszła do twierdzy Franklina, żadnego niedoznanwszy wypadku.

Dla uzupełnienia o ile można rozpoznania północnych pobraży stałego lądu amerykańskiego, rząd wysłał dwie wyprawy, którym polecono wspierać usiłowania kapitana Franklina i doktora Richardsona. 10 Czerwca 1824, kapitan Lyon wsiadł w Anglii na statek *Griper*, mając rozkaz zimowania w zatoce *Odepchnięcia*, z początkiem zaś następnej wiosny udać się ku północnem pobrażem stałego lądu amerykańskiego, które miał przejrzeć od strony zachodniej: praca jego połączona z pracą doktora Richardsona, miała nam dać poznać zupełnie brzegi morza Biegunowego od najprzystępniejszego ich punktu, aż do ujścia rzeki Makenzie. Lecz cała podróż kapitana Lyon była tylko ciągłym passowaniem się z niepogodą; przybył bardzo późno do cieśniny zwaney *Sir Thomas rowe's Welcome*, tam lody i wiatry przeciwnie niedozwoliły mu dalej się posunąć; straciwszy wszystkie kotwice, musiał wyrzec się swego przedsięwzięcia i wrócić do Anglii.

Kapitan Beechey, który wypłynął na fregacie *Blossom*, otrzymał rozkaz przezimowania w zatoce Kotzebuego i wyszukania podczas lata r. 1826, przejścia na wschodzie, okrążając przylądek Złodowaciaty. Panu Elson jego zastępcy zaś polecono puścić się czółnem tak daleko jak tylko będzie mógł dostać się od strony wschodniej. Dnia 22 Sierpnia, dostał

się on do kończyny ziemi niskiej i piaszczystej do której lody były mocno przytwierdzone, a że rozległa przestrzeń spojonego lodu, rozciągała się jak tylko okiem mógł dojrzeć od strony północnej, przeto Elson musiał się wyrzec wszelkiej nadziei przedarcia się dalej. Punkt ten który jest stroną najbardziej północną stałego lądu dzisiaj znanego, leży o 120 mil od przylądka Złodowatego, pod 71° 23' 39" szerokości, a 154° 21' długości. Pobrzeże przejrzane przez pana Elson było płaskie, okryte wielkim mnóstwem jezior i rzek, a nadewszystko nadzwyczajnie zaludnione. Zimowe mieszkania Eskimosów bliższe są pobrzeżom zatoki. Tak więc punkt, w którym się zatrzymał kapitan

Franklin 18 Sierpnia, dla powrócenia do rzeki Makenzie, jest tylko oddalonym o 160 mil od punktu, do którego dotarł pan Elson w cztery dni później.

Gdyby kapitan Franklin był wiedział, że wytrwawszy w swych usiłowaniach tylko przez kilka dni jeszcze, połączy się ze swemi przyjaciółmi, byłby się niewątpliwie naraził na wszelkie niebezpieczeństwa i w dalszą puścił się drogę. Tak więc, z wyjątkiem tej krótkiej przestrzeni 160 mil, Angliki przejrżeli z równą odwagą jak i wytrwałością nieprzerwany ciąg pobrzeży, poczynający się od cieśniny Behringa aż do 108° długości.



ROZDZIAŁ XII.

PODRÓŻE HUMBOLDTA.

Związek jeografii z naukami fizycznymi. — Wychowanie Humboldta. — Ma zamiar zwiedzić Egipt i Wschód. — Udaje się do Hiszpanii. — Radzą mu zwiedzić osady hiszpańskie w Ameryce. — Wstępuje na szczyt Teneryffy. — Przybywa do Kumana. — Trzęsienie ziemi. — Karakas. — Gulusy czyli żartoki morskie. — Wstępuje na szczyt Silli w Karakas. — Zwiedza jezioro Walencya. — Siła roślinności. — Drzewo wydające mleko. — Podróż przez Ilanos. — Gimnotus czyli węgór elektryczny. — Sposób chwytania tych ryb. — Ich siła. — Uwagi o krokodytach. — Pan Humboldt płynie w górę Orenoki. — Koncert dzikich zwierząt. — Karibito. — Podróż przez las zalany. — Delfiny pomiędzy drzewami. — Pan Humboldt oznacza położenie połączenia rzeki Amazonek z Orenoką. — Żegluga po Kasykwirze łączącej one. — Katakomy Atarupo. — Przybywa do Angostury. — Wraca do Kumany. — Udaje się do Hawany. — Jego zatrudnienia w tym ostatnim kraju.

Jakieśmy to okazali w jednym z poprzednich rozdziałów, postępy astronomii od dawna już służyły do poprawiania pomyłek jeograficznych i ułatwiły żeglarzom środki skreślenia dokładnej mapy powierzchni kuli ziemskiej. Lecz stosunki zachodzące pomiędzy jeografią a naukami fizycznymi w ogólności, niebyły jeszcze dobrze zbadane i pojęte; za dni dopiero naszych gorliwość i talenta pewnego podróżnego, uskutečniły tak ważne przedsięwzięcie. Aleksander Humboldt, sławny człowiek o

którym chcemy mówić, urodził się w Berlinie r. 1769; spędził kilka lat swojej młodości w uniwersytetach w Getyndze i Frankfurcie nad Odrą, ukończył następnie nauki mineralogiczne w sławnej szkole w Freibergu. Jak się zdaje, przykładał się z równą gorliwością do wszystkich gałęzi wiadomości ludzkich. Lecz naturalnie przywiązał się szczególnie do nauk, któremi w ówczesnym powszechnie się zajmowano: chemia i zjawiska elektryczności zwierzęcej, zwróciły nadewszystko na siebie

jego uwagę. Ponieważ posiadał wielki i niezależny majątek, mógł więc ukończyć i wydoskonalic podróżami swoje naukowe wychowanie. Przebiegł Anglię i Hollandyę w towarzystwie panów G. Forster i Van Geuns, zwiedził Włochy i Szwajcaryę z panami Van Haffer i Frejsleben. Rozmowa z temi znakomitemi ludźmi skłoniła go iż się poświęcił zupełnie badaniu natury, badaniu do którego zawsze okazywał szczególniejsze upodobanie. Roku 1797 przybył w towarzystwie swojego brata Wilhelma Humboldt, człowieka uczonego i zasłużonego, z Wiednia do Paryża, tu się zapoznał z Bogumiłem Bonplan, młodym bardzo znakomitym botanikiem, z którym ułożył kilka planów podróży. Gdy Baudin zaczął się zajmować swoją pierwszą wyprawą do półkuli południowej, spodziewano się że Humboldt będzie mu towarzyszył. Lecz opóźnienia spowodowane wojnami które Francya w ówczas toczyła, szczęściem przeszkodziły wmięszaniu się jego do tej wyprawy. Umyślił udać się do Egiptu, spodziewając się po przyjacielsku być przyjętym od uczonych towarzyszących armii francuzkiej. Z Egiptu zamierzał dostać się przez Arabię do Persyi, i przybyć tym sposobem do posiadłości angielskich w Indyach. Po dwumiesięcznym czekaniu w Marsylii na odpłynienie fregaty, mającej zawieść konsula Szwedzkiego do Algieru, znudzony zwłoką, udał się do Hiszpanii, z kąd spodziewał się dostać bez trudu do Afryki, a następnie ładem do Egiptu. Lecz przybywszy do Madrytu na początku r. 1799, przyjęcie jakiego doznał u dworu i w towarzystwach naukowych tej stolicy, pomięszalo zupełnie jego zamysły. Ministrowie hiszpańscy udzieli mu pozwolenie podróżowania w osadach hiszpańskich Ameryki, a on umyślił zwiedzić te krainy, których dotąd nieprzejrzał żaden uczony.

6 Czerwca r. 1799, Aleksander Humboldt wsiadł na okręt w Korunnie ze swoim przyjacielem Bonplanem. Zaledwie przybyli do Teneryffy, podróży nasi zaczęli zaraz swoje badania geologiczne i botaniczne. Wdarli się na

szczyt sławnego cypla Teydy, z tego przypatrzyli się w małym przestworze, owemu rozkładowi jeograficznemu roślin, który postanowili rozpoznać na wielką skalę. Góra tworząca wyspę, może być podzieloną na pięć pasów, odróżniających się roślinnością: pierwszy czyli pas winny, rozciągający się do wysokości 1500 stóp nad poziom morza, zawiera w sobie wielkie mnóstwo płodów zwrotnikowych. Znajdują się tam drzewa daktylowe, trzciny cukrowe, figi indyjskie, goździki korzenne, pomięszane z europejskimi drzewami owocowemi. Chlebowe drzewo z Otahity, cynamon Molucki, kawa Arabska, i kokosy amerykańskie z korzyścią tam są uprawiane. Drugi pas, który można nazwać pasem laurowym, zajmuje niższą część wyspy; dęby, kasztany i wielkie mnóstwo drzew ciągle zielonych, wieńczą wzgórze prowadzące do wulkanu. Na wysokości 5,500 stóp nad poziomem morza, zaczyna się trzeci pas, zupełnie zajęty obszernym lasem jodlowym. Czwarty i piąty pas, okryte wrzosami alpejskimi i roślinami trawnemi, położone są w téjże samej wysokości co najniebezpieczniejsze szczyty Pireneów. W ówczas zaczyna się strefa niepłodna i naga cypla, która najniżej ma $4\frac{1}{2}$ mili kwadratowej. Widziane z tej wysokości, dolne dzielnice znacznie się zniżają i spłaszczają tak, że wyspa podobną jest do ogromnego stosu materii zgorzałych, opasanego w około wązkim pasem roślinności.

Cypel czyli głowa cukru, tworząca ten wierzchołek, jest małym ostrokągiem, okrytym popiołami wulkanicznymi i ułamkami pomeksu, tak stromym, iż niepodobienstwem byłoby wedrzeć się na najwyższą jego kończynę, gdyby nie szczątki dawnego potoku lawy, które się oparły zniszczeniu czasu i teraz służą za stopnie podróży. Panowie Humboldt i Bonplan nadwycieczynie się zdziwili znalazłszy szczyt cypla tak wązkim, że zaledwie mogli usiąść na nim wygodnie, zimno było bardzo przenikliwe, i wiatr zachodni dał gwałtownie; lecz bogactwo, rozmaitość i rozległość krajobrazu rozwiniętego przed ich oczy-

ma, sownie im wynagrodziły podjęte trudy. Przejrzystość powietrza czyniła panoramę obszerniejszą i wydawniejszą, niżeli by takową była w zimniejszym klimacie. W czasie pogody, można z wierzchołka cyplu odkryć prawie cały archipelag *wysp Szczęśliwych* i Humboldt wyrachował, że oko ogarnia powierzchnią kuli ziemskiej wyrównyującą $\frac{1}{4}$ części Hiszpanii. Nasi podróżni zesłi bez niebezpieczeństwa w głąb *caldera* czyli krateru; wulkan zagasty zapewne od tysięcy lat, dzisiaj jest tylko siarczarnią blisko na 100 stóp głęboką, buchającą jednak przez rozpadliny swych boków ciepłe wyziewy, wznoszące do 160° termometr w nich umieszczony.

W Lipcu, Humboldt i Bonplan przybyli do portu Kumana w Ameryce południowej i spędzili kilka tygodni w tém mieście na probowaniu swych narzędzi, tworzeniu zbiorów botanicznych i badaniu śladów wielkiego trzęsienia ziemi zdarzonego w Grudniu r. 1797. Humboldt oznaczył przez postrzeżenia astronomiczne długość i szerokość Kumana, mieszczącego po większej części na mappach najmniej o $\frac{3}{2}$ bardziej na południe od rzeczywistego jego położenia. Mieszkańcy Kumana największe mają upodobanie kąpać się w wodach Manzanares, rzeki nadzwyczajnie przezroczystej i czystej, która płynie przez miasto. Spotykający się z rana niepytają: Jaka pogoda? lecz: Czy wody Manzanares świeże są dzisiaj? Tłumy mieszkańców w lekkich sukniach obśiadają krzesła ustawione w około w najchłodniejszego miejsca potoku; tak spędzają wieczory, a murzyni donoszą im limonadę lub podają sigara. Mężczyźni i kobiety zajęci przyjemnością rozmowy, prowadzonej pośród rzeki, nie troszczą się weale o małe krokodyle czyli *bawasy*, które coraz bardziej stają się rzadkimi i nigdy prawie niezaczepiają ludzi, ani o delfiny zatoki, w nocny podpływające w górę rzeki i przestraszające niekiedy kąpiących się, wypuszczaniem przez nozdrza wody.

Z półwyspu Araya i stonych Lagun sąsiednich po brzeży Kumana, podróżni

nasi udali się przez lasy palmowe do missyi Indyjskich, leżących w górach wewnątrz kraju. Lasy co raz bardziej stawały się gęstsze, a roślinność silniejszą, w miarę jak się zbliżano do klasztoru, leżącego w dolinie Karype, która słynną się stała przez nadzwyczajną świeżość swego klimatu, a bardziej jeszcze przez wielką *Kuepę* czyli jaskinię Guacharo. W kraju gdzie lud wszystko lubuje co jest cudowne, jaskinia z której wypływa rzeka, zamieszkała przez tysiące ptaków nocnych, których tłustości używają do zaprawy potraw, jest niewyczerpanym przedmiotem rozmów i sprzeczek bez końca.

Taj jaskinia, przez krajowców zwana *kopalnią tłustości*, nieleży w samej dolinie Karype, lecz o $1\frac{1}{2}$ milki na zachód-południo-zachód. Drzewa olbrzymie zakrywają skałę wznoszącą się nad jej sklepieniem. Rozmaite tłuste rośliny zakorzeniły się w rozpadlinach téj skały, a pnące się krzewy powiewem wiatru kolysane, zwieszają się w festonach przed wejściem do jaskini. Piękna ta roślinność nietylko zdobi wnętrze sklepienia, ale nawet jego przedśionek. *Heligonie* z liśćmi babkowemi na 18 stóp wyniosłe, małe drzewa palmowe i aromata krzewowe, okolają brzegi rzeki na 40 i 50 kroków po za wejściem, jak gdyby ta jeszcze toczyła tam swoje wody wśród świeżego powietrza i widoku słońca. Podróżni zmierzli sznurem przebytą drogę i doszli blisko 430 stóp, niepotrzebując używać pochodni. Gdy zaczęło się zmierzchać, posłyszeli z daleka chrapliwe wraski ptaków nocnych. Guacharo jest tak wielkim jak kurcze europejskie, ma pióra czarnobłękitno-szare, podobny z obyczai do wrony alpejskiej; jedynym jest prawie z ptaków nocnych owoco-żernych dotąd znanych, opuszcza jaskinie z nadejściem nocy, szczególnie gdy księżyc przyświeca. »Niepodobna, mówi Humboldt: wyobrazić sobie straszliwego łoskotu, jaki czynią tysiące ptaków po ciemnych częściach jaskini. Hałas ten może się tylko porównać z krakaniem naszych wron, które w sosnowych lasach północy żyją gromadnie, i budują swe gnia-

zda na szczytach drzew z sobą się stykających. Ostre wrzaski guacharosów, rozlegają się pod sklepieniami skał, a echa powtarzają one w głębinach jaskini. Zwiększały się takowe w miarę jakieśmy się posuwali, a światło naszych pochodni kopalowych, tak przestraszyło wszystkie ptaki, że straszliwy hałas ustał na kilka minut w około nas; lecz szłyszeliśmy w ówczas w oddaleniu jęklliwe krzyki innych guacharosów, przesiadujących w głębi załamów jaskini."

»Indyanie wchodzą do Kuewy guacharo raz na rok, w środku lata, ubrojeni w tyki, za pomocą których niszcza większą część gniazd. Wtenczas tysiące tych ptaków ginie, a stare guacharosy, jak gdyby chcąc bronić swe pisklęta, unoszą się nad głowami Indyan i wydają przeraźliwe krzyki. Pisklęta upadające na ziemię, natychmiast są wywnętrzane. Ich błona odziecka pokryta jest grubym pokładem tłuszczu i tworzy niejako poduszkę pomiędzy nogami ptaka. W czasie zwanym w Karype zbiorem oliwy, Indyanie budują przy wejściu a nawet i pod sklepieniem jaskini, chaty z liści palmowych, potem rozpaliwszy ogień z chrustów, topią w glinianych naczyniach tłuszcz tych młodych ptaszek pozabijanych; tłuszcz ta znana pod imieniem masła lub oliwy guacharosów, jest na pół płynna, przezroczysta, bez żadnej woni, można ją rok cały przechowywać, a nie traci smaku. Indyanie zwani Marokoymasy utrzymują, że jako następcy pierwszych osadników tej doliny są prawemi posiadaczami tej jaskini, a zatem mają wyłączne prawo do tłuszczu guacharosów. Lecz zakonnicy osiadli pomiędzy niemi, mało zważając na te dopominania się, zmuszają ich do dostarczania tej oliwy do lamp kościelnych.

Pan Humboldt wszedł w grotę Karype aż na 1,460 stóp i uważał, że w całym tym długim przestworze, zachowuje ona jednakowy kierunek i rozmiar. W miejscu w którym p. Humboldt zatrzymał się, rzeka tworzy wodospad po za który Indyanie niechcieli dalej po-

stąpić w przekonaniu, że tam znajdą dusze swych przodków.

Zwiedzwszy jaskinię Karype, podróżni nasi powrócili na pobrzeże Kumana przez góry Santa-Marya i missye Kuantaro. 4 Listopada doświadczyli lekkiego trzęsienia ziemi. Następnie 21 Listopada przybyli morzem do Karakas. Nadzwyczajnie się zdziwili, zobaczywszy w porcie Guayara mulatów wolnych, a murzynów używanych do ładowania okrętów, wchodzących w wodę aż do pasa, nietroszcząc się o gulusy czyli morskie żarłoki, któremi ten port jest ciągle napelniony. »Ma to podobieństwo, mówi Humboldt: z tem co nie raz uważałem pod zwrotnikami, co do innych pokoleń zwierząt żyjących gromadnie, jak naprzykład małp i krokodyli w missyach Orenoki i rzeki Amazonek. Indyanie, którzy tak rzadko chwytają małpy z łatwością oswajają przesiadujące na wyspach, gdy tymczasem małpy tegoż samego gatunku schwymane na stałym lądzie, zdychają z przestachu lub wściekłości postrzegwszy, że się dostały w moc ludzi. Krokodyle pewnego stawu w Llanos są nieśmiałe, nawet w wodzie uciekają na widok człowieka. Krokodyle zaś w innym znowu stawie, napadają z nadzwyczajną zuchwałością wszystkich nieszczęśliwych których tylko postrzegą. Żarłoki w porcie Guayara przedstawiają podobny przykład. Są niebezpieczne i krwi ludzkiej cheiwe przy wyspie leżącej naprzeciw pobraża Karakas, tymczasem lękają się zaczepić osoby kąpiące się lub pływające w portach Guayara i Świętej Marty. Gmin który zawsze ucieka się do cudowności w wytlómaczeniu sobie zjawisk naturalnych, twierdzi że w obu tych portach Biskup daje błogosławieństwo rekinom.»

Chociaż oddalone tylko o $1\frac{1}{2}$ mili od portu Guayara, miasto Karakas leży na płaszczynie górzystej. Klimat ma tak zimny, że zboża niemożna tam zasiewać i uprawiają tylko kawę. Humboldt wszedł na górę mającą szczyt podwójny, zwaną *Silla* lub *Selle de Karakas*. W tej wycieczce, zbogacił swój zbiór botaniczny rzadkimi roślinami.

Z Karakas podróżni nasi udali się do Walencyi przez góry Los-Teques i płodne brzegi jeziora Walencyi. Jezioro to, zwane przez Indyan Takarigwa, przechodzi swą obszernością jezioro Neuf-szatełskie w Sz wajcaryi. Rozmaitość i nadzwyczajna bujność roślin, zdobiących jego brzegi, mają powab dla podróźnego który lubi rozważać nieskończoną rozmaitość natury: sprzeczność świetnych barw roślinności i jednolity błękit bezchmurnego nieba, nowego wdzięku dodają temu obrazowi. Lecz nie same tylko malownicze piękności odznaczają to jezioro; największą osobliwością jest stopniowe zmniejszanie się jego wód, które to zjawisko, uczeni rozmaicie tłumaczyli. Humbolt mniema że przyczyną tego jest zniszczenie lasów na sąsiednich dolinach, które osuszyło klimat a rzeki zamieniło w potoki. Z Porto-Cabello nad brzegiem morza, nasi podróżni przebyli wielkie Llanos czyli Stepy Karakas, znajdujące się pomiędzy łańcuchem gór ciągnących się wzdłuż pobrzeża i doliną Orenoki. Przebywając drugi raz doliny Aragua, zatrzymali się w folwarku Barbula dla przekonania się naocznie o prawdziwości opowiadań słyszanych o *palo de vaca* czyli drzewie-krowa, którego mleko murzyni uważają za wyborny pokarm. Poznali istotnie, iż zalety tego nadzwyczajnego drzewa nie były wcale przesadzone. *Palo de vaca* jest pięknym drzewem, podobnym do szeroko-listnej jabłoni. Naciąwszy pień, wypływa z niego obficie klejowate mleko, mające smak przyjemny i balsamiczny. Płyn ten słodki i posilny daleko jest obfitszym o wschodzie słońca niżeli w innej porze dnia. Widzieć można w ówczas murzynów i krajowców wzbiegających się ze wszech stron z wielkimi naczyniami dla zbierania mleka. Humbolt wyznaje, że w całej podróży niewiedział żadnego przedmiotu, któryby sprawił na nim tak mocne wrażenie, jak drzewo-krowa. Nieoceniony ów dar natury, zdaje się być właściwym tylko Kordyllierom nadbrzeżnym.

Przebywszy na tysiąc stóp długą ścieżkę, nasi podróżni z dolin Aragai do-

stali się do wielkiej pustyni, rozciągającej się aż do brzegów Orenoki. »Nie wiem, mówi Humboldt: czy pierwszy widok tych Llanos wzbudza mniejsze podziwienie, niżeli widok łańcucha Andów.« W tych rozległych i smutnych samotniach, wszystkie przedmioty są jakby nieruchome; płaszczyzna zdaje się dotykać niebios i na pierwszy rzut oka widać by ją można za morze okryte porostami. Wszędzie gdzie ziemia była ogolona z roślinności, miała temperaturę 120°. Najmniejszy powiew niedawał się uczuć w powietrzu, chociaż wiry kurzawy wznosiły się bezustannie wśród tej pozorniej eizy. Grunt owych Llanos jest tak równy, że na przestrzeni 20 mil kwadratowych ani jeden nieznajduje się pagórek na stopę wysoki. Niekiedy jednak pokłady kamienne na 4 lub 5 stóp wyższe od płaszczyzny, a na 1½ lub 2 mile długie, przerywają tę smutną jednolitość. Nie bez powodu mniemają niektórzy że przed okryciem Ameryki, Llanos były mniej nieplodne, mniej suche i mniej puste. Odkąd są zamieszkane i bydło na nich się pasie, podkładanym często bywa ogień pod trawę sawany, dla ulepszenia pastwisk. Tym sposobem rozproszone grupy drzew których cień chronił roślinność od pożeranych promieni słońca, bywają wyniszczone.

W Kalabozo, mieście położonem w Llanos, podróżni nasi mieli sposobność przypatrzenia się gimnotowi czyli węgorzowi elektrycznemu, który nadzwyczajnie obficie znajduje się w strumieniach wpadających do Orenoki. Trudno jednak dostać tych ryb, gdyż Indyanie niezmiernie się lekają wstrząśnienia którego doznają łowiąc je. Wierzą wprawdzie że człowiek żujący tytuń może bezkarnie dotknąć się gimnota; niedali się jednak namówić aby tego doświadczyć. Nakoniec postanowiono załowić ryby kołmi. »Indyanie natychmiast napędzili z sawany w bagnisko blisko 30 koni czyli mulów dzikich. Nasz podróżny tak opisuje następną walkę: »Nadzwyczajny łoskot zrządzonej kopytami końskimi, wypląsza gi-

mnoty z mułu i wyzywa je do walki. Te blade-żółtawe węgorze, podobne do wodnych węży, pływają na powierzchni wody i kupią się pod brzuchami zwierząt czworo-nożnych mieszających ich spokojność; walka powstała pomiędzy zwierzętami tak odmienną organizacyi, uderzający przedstawia widok. Indyjanie uzbrojeni hakami i długimi żerdziami, ze wszystkich stron staw otaczają, włączają nawet na drzewa których gałęzie rozciągają się poziomo nad powierzchnią wody. Ich krzyki i długie kije niedozwalają koniom uciekać i wydostać się na brzeg stawu. Węgorze odurzone łoskotem, bronią się powtarzanymi wystrzałami z swych baterii elektrycznych; kilka koni pada i niknie pod wodą ofiarą gwałtowności odbieranych ze wszech stron uderzeń w najważniejsze organa życia. Inne dyszące, z najeżoną grzywą, zbląkanemi i najżywszą boleścią wyrażającemi oczyma, usiłują ująć z miejsca potyczki; lecz Indyjanie odpychają one bez litości na powrót w wodę; mała liczba uszłych przed bacznością rybaków, dostawczy się na brzeg, pada co krok i rozciąga się na piasku, wyniszczona strudzeniem, mając wszystkie członki stężałe od elektrycznych wstrząśnień gimnotów."

W niespełna dwóch minutach utonęło pięć koni. Węgorz mający 5 stóp długości, tuląc się do brzucha koni, wydaje wystrzał w całej rozciągłości swych organów elektrycznych. Konie niebywają zabite, lecz tylko odurzone, a jeśli toną to dla tego, że ciągła walka innych koni z ich nieprzyjaciółmi niedozwala im powstać. Gimnoty wyczerpawszy całą swą siłę elektryczną, zbliżają się nieśmiało do brzegu bagniska i chwytane bywają za pomocą małych wędek przytwierdzonych do długich sznurów; jeśli sznury są suche, rybacy żadnego niedoświadczają wstrząśnienia wyciągając ryby z wody. Tym sposobem złowione gimnoty, starannie obejrzone zostały przez naszych podróżnych. Niektóre miały 5 stóp i 3 cale długości, lecz Indyjanie utrzymywali że widzieli daleko dłuższe. Gimnot jest najszerszą ze wszystkich ryb ele-

ktrycznych; ma taką siłę elektryczną, że Humboldt mówi: »Nieprzypominał sobie abym kiedy doświadczył od wystrzału wielkiej butelki Leydeyskiej tak straszliwego wstrząśnienia jak to którego doznałem, postawiwszy nierozważnie nogę na gimnocie wydobytym z wody.»

Oznaczywszy przy pomocy postrzeżeń astronomicznych, położenie Kalabozo, nasi podróżni puścili się w dół ku Orenoce; w nocy przebyli bród Urytuku, rzekę napełnioną pewnym gatunkiem krokodyli, których zuchwałość i dzikość tém bardziej jest zadziwiająca, że krokodyle w rzece Tisnao odległej tylko o mil 4, są nieśmiałe i nieszkodliwe. W San-Fernando nasi podróżni puścili się Apurą, jedną z rzek wpadających do Orenoki. Gęste lasy, pośród których toczy swe wody, zaludnione są nieprzeleżonym mnóstwem ptaków rozmaitych gatunków, które wlatując nagle na widok naszych podróżnych, jak chmury zaciemniały powietrze. Nad brzegiem wody, zarośle tworzyło pewien rodzaj płotu, prawie na 4 stopy wysokiego, wśród którego dzikie zwierzęta, jak np. tygrysy, jaguary i pekary, wydeptały ścieżki chodząc się poić do rzeki. Przyroda znowu się zmieniła nagle w dziką i dziewiczą; drapieżne zwierzęta rozmaitych gatunków, znajdowały się we wszystkich zaroślach lasu. Wielki tygrys przewyzszający swym ogromem indyjskie tygrysy, widziane w menażeryach europejskich, leżał nie dbałe rozciągnięty pod cieniem pięknej zamany. Nad zachodem słońca małpy zaczęły wydawać przerażające jęki, które się na mil kilka rozlegały. Inne zwierzęta także w ówczas ogarniała trwoga, mieszały one swoje dzikie krzyki. Tygrysy, ptaki i małpy, zdają się tu iść w zawody, które z nich straszliwszego narobi hałasu. Gdy się pytano krajowców, dla czego te zwierzęta robią podobne wrzaski w pewnych godzinach nocy, opowiadali wesoło iż obchodzą uroczystość pełni księżyca.

Apura, podobnie jak Orenoka, napełniona jest krokodylami olbrzymiej wielkości, które nie są ani kaimanami ani

alligatorami, lecz prawdziwemi krokodyłami, podobnemi do znajdujących się w Nilu. Niektóre z nich mają 17 stóp długości. Apura żywi także małą rybę od 4 do 5 cali długą, zwaną w kraju *karib* albo *karibito*, gdyż żadna inna ryba nie jest tak chciwą krwi ludzkiej. Napada na kąpiących się i pływających, którym nie raz wygryza dość duże kawały ciała. Te okrutne i żarłoczne ryby, żyją w głębi rzek, lecz zaledwie kilka kropel krwi zamąci ich wody, natychmiast tysiącami wyplwają na powierzchnię. Ponieważ nikt nie śmie się kąpać w okolicach zamieszkałych przez tę rybę, przeto karibito może być uważaną za jedną z największych plag w tych klimatach, w których ukąszenie mustyków i szwędzenie skóry, używanie kąpieli czynią tak koniecznym.

Nareszcie podróżni nasi dostali się do Orenoki i popłynęli ku ujściu tej majestatycznej rzeki, która w 500 milowej odległości od morza ma w niektórych miejscach 3 mile szerokości. Przybyli do Temi wpadającej w Orenokę od południa i łączącej się z Kano-Pimichiu, jedną z rzek wpadających do Rio-Negro. Lasy nad brzegami Temi, bywają nieraz zalane w znacznej rozległości, dla skrócenia więc przeprawy, Indianie otwierają pomiędzy drzewami tak zwane *sendas*, czyli ścieżki wodne, na 4 lub 5 stóp szerokie i w ten czas część podróży odbywa się wśród lasu drzew wspaniałych, wysokich od 100 do 120 stóp, a stada delfinów przebywających w słodkich wodach, otaczają czołna i pływają pomiędzy drzewami wyrzucając po nad ich szczyty swe wodotryski, które zjednały nadanie im przez żeglarzy nazwy *dmuchaczy*. Potrzeba było czterech dni na przeniesienie łądem czołen z wód Temi do Kano-Pimichin, z której Humboldt i Bonplan wpłynęli potem na Rio-Negro, jedną z hołdowniczek Maranonu i rzeki Amazonek. Celem tej przykrój wycieczki w której tyle ucierpieli z powodu ukąszeń

mustyków, braku spoczynku i długiego uwięzienia w wązkim czołnie, było oznaczenie za pomocą postrzeżeń astronomicznych położenia Kasykujary odosgi Orenoki, wpadającej do Rio-Negro, i połączonej pierwszą z tych rzek z Maranonem. Przekonali się że to połączenie dzieje się na granicach Brezylji i ziem hiszpańskich, o dwa stopnie na północ od równika. Przeprawiwszy się na północ Kasikujary, podróżni nasi wpłynęli znowu na Orenokę, która w tym miejscu bieży ze wschodu; i byłiby szukali jej źródeł, gdyby Indianie Guajarybesowie, naród ludożerczy, miedzianej cery, niebyli czynili tego przedsięwzięcia zbyt niebezpiecznym. Uplłynęli w ówczas Apurą 180 mil w czołnie, od San-Fernando aż do San-Karlos na Rio-Negro i gdy się dostali znowu na wody Orenoki, mieli już tylko 150 mil żeglugi by się dostać do Angostury. W tej wyprawie zwiedzili jaskinię Ataruipo, położoną w miejscu ocienionem i dzikiem, na pochyłości stromej góry. Jaskinia ta, będąca grobowcem dawnego pokolenia, zupełnie dzisiaj wyniszczonego, zawiera 600 kościo-trupów ustawionych najporządniej i najlepiej zachowanych. Niektóre z pomiędzy nich są pomalowane czerwono; inne, podobne do prawdziwych mumii, powerniksowane wonnemi żywicami, są obwinięte w liście helikonii. Podróżni dostali się nakoniec do Angostury, utrudzeni długą podróżą po rzece w klimacie tak gorącym.

Z Orenoki wrócili do Barcelony i Kumaną przez missye Indian Karaimów, pięknego i silnego pokolenia dzikich, których powierzchowność wykazuje ową wyższość fizyczną, która czyniła ich niegdyś tak groźnemi zdobywcami Nowego-Swiata. Zwiedziwszy południowe części Sandomingo i Jamajki, udali się do wyspy Kuby, gdzie się zajmowali ulepszeniem fabrykacji cukru, zdejmowaniem planu jej pobrzeży i czynieniem rozmaitych postrzeżeń astronomicznych.



ROZDZIAŁ XLII.

DALSZY CIĄG PODRÓŻY HUMBOLDTA.

Przybycie Humboldta do Kartagieny. — *Volcanitos Turbako*. — *Santa-Fe de Bogota*. — *Wodospady Tekwendamy*. — *Podania miejscowe*. — *Widok płasko-wzgórza*. — *Most naturalny w Ikononzo*. — *Przejście Quindiu*. — *Podróż odbywana na plecach ludzkich*. — *Zwiedzenie wulkanu Puras*. — *Przybycie do Kwito*. — *Wulkan Pichincha*. — *Humboldt zamierza dostać się na szczyt Czymborazo*. — *Przeprawia się przez Riobamba*. — *Zniszczenia zrządzone trzęsieniem ziemi*. — *Droga z Yegor*. — *Humboldt płynie rzeką Amazonek*. — *Czyni postrzeżenia nad równikiem magnetycznym*. — *Przechodzi Andy*. — *Truxillo*. — *Przybywa do Lima*. — *Czyni postrzeżenia nad przejściem Merkurego*. — *Udaje się do Guyakil*. — *Płynie morzem do Akapulko*. — *Meksyk*. — *Miny Moran i Real de Monte*. — *Guanazuato*. — *Opis Jorullo*. — *Wulkany Puebla*. — *Kufer Perota*. — *Vera-Cruz*. — *Fildelfia*. — *Powrót do Europy*. — *Pan Bonplan udaje się do Buenos-Ayres*. — *Pojmany w niewolę przez władcę Paragwaju*.

Humboldt przyrzekł Baudinowi należeć do wyprawy zamierzonej ku południowej pół-kuli ziemi; zaledwie się też dowiedział że statki jego wyruszyły z Francji, z rozkazem okrzyknięcia przyłodka Horn i przybycia do brzegów Chili i Peru, natychmiast opuścił Kubę, dla dostania się do Ameryki południowej i spotkania żeglarza francuzkiego. W Kwito dopiero dowiedział się, że wyprawa Kapitana Baudin inną udała się drogą i przedsięwzięta opłynienie kuli ziemskiej z zachodu na wschód. W Marcu r. 1801, Humboldt i przyjaciel jego Bonplan przybyli z Kuby do Kartagieny, w zamiarze udania się do *Santa-Fe Bogota*, stolicy Nowej-Grenady, i wstąpienia potem na wzniesłe płaszczyny Kwito. Lecz z powodu przygotowań do tej długiej podróży i dla uniknienia nadzwyczajnych upałów Kartagieny, przebywali przez czas jakiś w pięknej wiosce *Turbako*, wyniesionej o 1200 stóp nad poziomem oceanu. Indyjanie towarzyszący im przy zbieraniu ziół, mówili często o krainie bagnistej, położonej wśród lasu palmowego, zwaną *Matemi Wulkanami*. Według podań istniejących dotąd między niemi, kraj ten niegdyś gorzał, lecz człowiek bardzo pobożny zgasił ów pożar podziemny, skrapiając go wodą święconą, i od tego czasu ognisty wulkan zamienił się w wulkan wodny.

Volcanitos czyli *Małe-Wulkany*, leżą blisko o 2 mile na zachód od *Turbako*, w gęstym lesie obfitującym w balsam drzewa *tolu*. W pośród obszernej płaszczyny, wznosi się 18 lub 20 małych ostrostupów, na 20 lub 25 stóp wysokich, utworzonych z szarawej gliny, i mających na swym szczycie otwór napełniony wodą. Zbliżając się do tych małych kraterów, słychać niekiedy dźwięk bardzo wyraźny jakby w naczyaniu pustem, w kilka sekund później, wydobywa się z nich wielka mnogość powietrza. Indyjanie utrzymują że kształty ostrokregów nieulegają żadnej widocznej zmianie od tylu wieków. Humboldt przekonał się, iż wydobywające się z nich powietrze, jest azotem, daleko czystszejszym, od zwykle otrzymywanego w laboratorjach chemicznych.

W *Santa-Fe de Bogota*, położonej w dolinie daleko wyższej niżeli szczyt góry Świętego - Bernarda, nasi podróżni przez kilka miesięcy poświęcili się przejrzaniu bogactw roślinnych tego kraju, jego budowie mineralogicznej i głównym ciekawościami. Chociaż się wznosi na 8,600 stóp nad poziomem morza, jednak płaszczyna na której zbudowano miasto, otoczona jest wysokimi górami, i zdaje się że niegdyś była łóżykiem wielkiego jeziora. Rzeka *Funzha*, zwana pospolicie *Rio-Bogota*, otrzy-

mująca swe wody z doliny, zdaje się iż utworzyła sobie przejście przez góry na południo-zachodzie Santa-Fe. Przy folwarku Tekwendama, opuszcza ona płaszczyny wązkim kanałem, wpadającym do rzeki Magdaleny, i gdyby zatkano to przejście, cała płaszczyna Bogoty została by natychmiast zalana. Indianie, zawsze przypisujący cudowny początek wszystkim naturalnym zjawiskom, opowiadają, że Bochika, bohater z ich pokolenia, rozszarpał skały tworzące dolinę i tym sposobem osuszył wody jeziora Bogota. Skończywszy to wielkie dzieło, udał się do świętej doliny Eraka, gdzie przeżył 2000 lat w najsurowszej pokucie.

Chociaż wodospad Tekwendama, nie jest jak powszechnie mniemają w Europie, największą kataraktą na kuli ziemskiej, przedstawia jednak szczytny widok dla podróżnego: w niewielkiej odległości od jego spadku, rzeka ma jeszcze 170 stóp szerokości; lecz przy rozpadlinie, utworzonej jak się zdaje przez trzęsienie ziemi, szerokość jej nieprzechodzi 40 stóp. Przez tę rozpadlinę to, cała masa wód zebranych w dolinie Bogota, rzuca się dwoma wodospadami w przepaść głęboką na 600 stóp. Kolumna wyziewów wznosząca się nad tą kotliną widzianą bywa w Santa-Fe, to jest w odległości $2\frac{1}{2}$ mili. Ponieważ rzeka wpada w łożysko Magdaleny, która zlewa kraj cieplejszy, przeto roślinność owej doliny przedstawia widok odmienny od widoku płaszczyny wyższej. Podróżny wszedłszy na wysokość, pozostawia za sobą płaszczynę urodzajną w zboże; a sam jest okolony dębami, wiązami i innymi krzewami przypominającemi mu Europę, widzi ciągnącą się pod swemi stopami rozległą przestrzeń okrytą palmami, bananami i trzezną cukrową. Kilka palm wyrasta nawet u samego spodu wodospadu.

W tej to podróży, w Wrzesniu r. 1801, Humboldt i Bonplan przeszli mosty naturalne Ikononzo. Dolina, w której znajdują się one, jest jedną z najgłębszych i najwęższych rozpadlin znajdujących się w Kordylierach, których wyniosłe i strome pochyłości przyjmują

strachem i podziwieniem duszę podróżnego. Taką mają w niektórych miejscach głębokość owe jary, że gdyby umieszczono Wezuwjuś w głębi ich przepaści, szczyt jego zaledwieby przechodził po za ich otwór. Malenki potok, zwany *Rio de la Suma-Paz*, wpływający z wsechodniego łańcucha Andów, który w królestwie Nowej Grenady, oddziela łożysko Magdaleny od rozległych płaszczyn Mety, Guawiary i Orenoki, tworzy sobie przejście wśród rozpadliny do wnętrza doliny Ikononzo czyli Pandi. Niepodobnieństwem byłoby przebyć go bez największych trudności, gdyby sama natura niebyła zbudowała nad nim dwóch skalnych mostów, słusznie uważanych za najciekawszy cud tej krainy. Jednak, droga wiodąca do owych mostów naturalnych jest jedną z najniebezpieczniejszych i najmniej uczęszczanych w Kordylierach, i tylko do namiętyni posunione zamiatowanie piękności przyrody może skłonić podróżnego do udania się nią.

Utworzywszy dwa znaczne wodospady, potok Suma-Paz wpada do jaru, zapewne utworzonemu przez trzęsienie ziemi. Odłam skały jak się zdaje oparł się wstrząśnieniu które rozdzieliło obie góry; i służy teraz za most, wiodący z jednej strony doliny na drugą. Łęk ten naturalny ma blisko 50 stóp długości a 40 szerokości. W środku, szerokość jego nieprzechodzi 8 stóp; nakoniec wysokość po nad strumieniem wody dochodzi do 400 stóp. Indianie z Pandi, wystawili go dla wygody i bezpieczeństwa podróżnych, rzadko zwiedzających tę pustynię, poręcz trzećcinową, ciągnie się przez całą długość drogi, O 60 stóp poniżej pierwszego, znajduje się drugi most do którego się dochodzi przez wązką ścieżkę, wijącą się po nad brzegiem przepaści. Trzy ogromne odłamy skały upadły w tym miejscu, i jeden z drugim wzajemnie się cisną. W środku tego drugiego mostu, znajduje się szeroki otwór, przez który widzieć można całą głębokość przepaści: potok zdaje się płynąć w ciemnej jaskini, z której ciągle się wydobywa posępny odgłos, zrządzony przez nocne ptaki przebywające

w jarze, których dostrzega się zawsze kilka tysięcy wlatujących nad powierzchnią wody. Głębokość doliny przeszkadza ich chwytaniu, niepodobna nawet dojrzeć ich, chyba wpuszczając w przepaść rakiety dla oświecenia jej. Naturalny most Ikononzo wzniesiony jest o 3,000 stóp nad poziom morza.

Wielkie deszcze nadzwyczajnie utrudziły podróż Humboldta i Bonplana do Kwito. Zamiłowaniem nauki i ciekawością wiedzeni, przybyli do doliny Magdaleny, położonej wśród lasów, okrywających boki Kwindiu, jednej z gór Andów środkowych, przewyższających krańce śniegów odwiecznych.

Góra Kwindiu, uważaną jest za jedno z najtrudniejszych przejść w Andach. Istotnie, w najdogodniejszej porze roku, potrzeba najmniej przez 10 lub 12 dni przechodzić te gęste lasy niezamieszkałe. Najwyższy punkt przejęcia Kwindiu leży o 12,000 stóp nad poziomem morza, i w niektórych miejscach, drożyna wzniesiona nad przepaścią, zaledwie jest na stopę szeroką. Podróżni przebywają tę górę na plecach przewodników, siedząc w krześle przywiązane mocnymi rzemieniami do ramion karguera (*carguero*), czyli nosiciela.

Humboldt i Bonplan odbyli tę podróż bosemi nogami. Nim weszli do lasów Kwindiu, przewodnicy ich zerwali na pobliskich górach kilkadziesiąt wiajao, rośliny z gatunku bananaów. Liście te na 20 cali długie a 14 szerokie, powleczone są szczególnym pokostem, który je czas jakiś czyni nieprzenikłymi. Sto funtów tych liści dostateczne są do pokrycia chaty, mogącej pomieścić od 6 do 8 osób. Wszedłszy w las, wystawiono z gałęzi drzew namiot który pokryto w kilku minutach liśćmi wiajao, pod nim, pomimo gwałtownych i ciągłych deszczów, podróżni nasi znaleźli bezpieczną ochronę i kilka dni przepędzili w dolinie Bokuja. Trudy podróży do Kwindiu sowiec wynagrodzone zostały rozpatrywaniem skarbów, które natura przedstawia swoim wielbicielom w tych górach. Tam znajduje się palma, której pień pokrywa roślina smoła używana do robienia pochodni. Tam

szczyt Toliny wybiega z pośrodku niezmiernych lasów, gdzie kwiaty są tak wielkie jak drzewa, a bambus dochodzi olbrzymiej wysokości.

Z gór tych podróżni nasi zeszli w dolinę Kauka ku zachodowi: następnie wypocząwszy czas jakiś w Kartago, przebiegli prowincję Choko, wstawną obfitością platyny. Zwiedziwszy potem kopalnię złota w Kwilichao, dostali się do Popayan, miasta wzniesionego o 6000 stóp nad poziomem morza, klimat jego jest nader roskoszny, chociaż leży tylko o 2° i $\frac{1}{2}$ od równika.

Mała wioska Purace winna wziętość swoją pięknym wodospadom rzeki, którą dla kwaskowatości jej wód, Hiszpanie przezwali *Rio Vinagre*. Mały ten strumyk, bardzo gorący przy swém źródle, wedle wszelkiego podobieństwa pochodzi ze śniegów, które topi siarka płonąca wewnątrz wulkanu. Tworzy on trzy wodospady, z tych jeden ma przeszło 400 stóp wysokości. W Rio-Kauka nieznajduje się żadna ryba o 4 mile poniżej jej połączenia się z Rio-Vinagre.

Smieli nasi podróżnicy wstąpili na krater Purace, napełniony wrzącą wodą; przebyli potem opustoszałą Kordilierę Almaguar oraz wysoką płaszczynę de los Pastos, i po utrudzającej cztero-miesięcznej podróży, dostali się do Kwito na początku roku 1802; w tém ostatnim miesiącu bawili około dziewięciu miesięcy. Podwakoń wstępowali na szczyt wulkanu Pichinchi w Andach zachodnich, gdzie czynili doświadczenia co do składu powietrza, zjawisk elektrycznych, magnetycznych i własności wrzącej wody, ów krater napełniającej. Zwiedzili następnie wulkany Antisana, Kotopaksi, Tunguragua i Chimborazo; Humboldt, który zmierzył wysokości tych wszystkich gór, twierdzi stanowczo, że większa ich część znacznie się zniżyła, od połowy ostatniego wieku: zdanie to zgadza się z postrzeżeniami mieszkańców. Mniema także że owe rozmaite szczyty, zamiast składać grupę oddzielnych wulkanów, tworzą jedną masę, razem od góry wydętą, lub ogromny mur wulkaniczny, rozciągający się z północy na

południe i obejmujący powierzchnię przeszło 600 mil kwadratowych. Wysokie te góry, tak oddalone od siebie na pierwszy rzut oka, są tylko zapewne ostro-słupowemi otworami wielkiego tego muru.

W Maju r. 1802, Humboldt przedsięwziął dostać się na szczyt Kotopaxi, najwyższego ze wszystkich andejskich wulkanów, co niedawno wyrzuciły ognie. Wysokość jego 18,800 stopowa najmniej o 800 metrów przewyższa wysokość, jakąby miał Wezuwiusz umieszczony na szczycie cypla Teneryfity; wybuchy jego są częste i niszczące. Kotopaxi jest najgroźniejszym wulkanem w Kwito; odłamy skał i masy żużli, które wyrzuca na sąsiednie doliny, jużby same były dostateczne do utworzenia znacznej góry. Roku 1738, płomienie jego wzniosły się przeszło o 900 metrów nad powierzchnię krateru. Roku 1744 odgłos jego wybuchów dochodził aż do Honda, to jest więcej niż o sto mil odległości. Podróźni nasi przebywając w porcie Gwajakwil, oddalonym o 52 mile od krateru, słyszeli ciągle jego podziemne pioruny, podobne do wystrzałów wielkich baterii.

Kotopaxi leżący na południo-wschodzie od Kwito, co do swojej powierzchni, jest najpiękniejszym ze wszystkich kolosalnych szczytów And; jest to doskonały ostro-słup, pokryty ogromnemi pokładami śniegów, które jeszcze wydają oślepiający blask przy zachodzie słońca, gdy Andy zachodnie rozciągają już swe cienie na krainę u spodu ich leżącą: nadzwyczajnie trudno jest dostać się aż do granic dolnych odwiecznych śniegów, i Humboldt po pilnym rozpatrzeniu ostro-słupa oświadcza, że niepodobieństwem jest dostać się nad brzeg kotłiny.

23 Czerwca, nasi podróżnicy, przedsięwzięli wstąpić na Chimborazo i chociaż wiele ucierpieli z powodu ostrości zimna i nadzwyczajnie rozrzedzonego powietrza, dostali się jednak znacznie wyżej niż wszyscy ich poprzednicy, to jest 18,576 stóp nad poziom morza, czyli 3480 stóp dalej od punktu do którego doszedł Kondamin r. 1745. Lecz

najwyższy szczyt Chimborazo, od którego oddzielała ich ogromna śnieżna rozpadlina, wznosił się jeszcze nad nimi o 1350 stóp. Pomimo że krew wydobywała się im oczami i ustami z przyczyny rozrzedzenia powietrza, czynili jednak w tej wysokości doświadczenia co do pochylania się igły magnesowej.

Z Kwito Humboldt i jego towarzysze zskierowali ku rzece Amazonek, przechodzili przez Laktakunga, Hambato i Riobamba, kraje zupełnie zburzone przez trzęsienie ziemi i wybuchy wulkaniczne, zdarzone w Lutym r. 1797. Istotnie, niezmierne potoki błota i wody spadłe z gór, rozlały się po uprawnych dolinach i pochłonęły blisko 40,000 mieszkańców. W Loksa czynili doświadczenia w pobliskim lesie z drzewami dostarczającemi kory peruwiańskiej. Następnie znowu zeszedli z wysokich And i udali się ku rzece Amazonek; w tej przeprawie podziwiali wspaniałe zwaliska gościńca Yega, przechodzącego przez porfirowe łańcuchy And, od Kusko aż do Assonay, wznosi się on od 4 do 6000 stóp nad poziomem morza. W wiosce Chamaya, puścili się rzeką tegoż nazwiska i dopłynęli do Maranonu. Humboldt oznaczył za pomocą rachunków astronomicznych miejsce połączenia się obu rzek, zdjął mapę Maranonu od punktu w którym wpłynął na tę rzekę aż do ujścia Rio-Napo, gdzie Kondamin rozpoczął swe postrzeżenia. Tak spełnioną została owa ważna przerwa w ziemniopisarstwie wnętrza Ameryki. W tej podróży Bonplan ciągle się zajmował powiększaniem swoich botanicznych zbiorów. Wracając do Peru, nasi podróżni przebyli po raz piąty wielki łańcuch Andów, i oznaczyli pod 7^o szerokości południowej położenie równika magnetycznego, to jest linii, pod którą igła magnesowa niema żadnej pochyłości. Zwiedzili także obfite kopalnie srebra w Hualguayok, wzniesione przeszło o 12,000 stóp nad poziomem morza. — Z Kaksamarka, wstawionego swemizwaliskami, udali się do Truxillo, w sąsiedztwie wznoszące się piramidy wskazują miejsce bytu jakiegoś starożytnego peruwiańskiego miasta. Pod jedną z

owych piramid odkryto w ciągu ostatniego wieku, niezmierne mnóstwo pieniędzy złotych. Przebywając następnie pustynie, ciągnące się wzdłuż południowego pobraża Peru, podróżni nasi przybyli do Lima, gdzie Humboldt przypatrzył się z jak największą dokładnością przejściu Merkuriego.

Na początku następnego roku, Humboldt i towarzysze jego udali się do Gwajakwil; z tego portu, po 30 dniach podróży, przybyli do Akapulko w Nowej-Hispanii. Przepatrzył z rozwagą kopalnie w Tasko, Moranie i Real del Monte. Roku 1803 zwrócił się w południową stronę i zwiedził kopalnie Gwanaxuato, przewyższające bogactwem miny Potozu. Po dwóch miesiącach, podróżni zeszedli na płaszczyzny Jorullo, z kąd dostali się na szczyt wulkanu tegoż imienia i przejrżeli jego kotlinę. Utwardzenie tego wulkanu jest może najbardziej zadziwiającą rewolucją fizyczną, której dokładny opis dzieje dochowały nam. W pośrodku łądu stałego, o 18 mil od pobraża morskiego, a przeszło 21 mil od wszelkiego wulkanu wybuchającego, powstała nagle z łona płaszczyzny 29 Września r. 1759, góra popiołowy i żużli, na 1700 stóp wysoka, otoczona tysiącem małych ostro-słupów, które wszystkie buchają płomienie; małe te ostro-słupy różnią się z sobą o 6 lub 9 stóp wysokości, rozciągają się na przestrzeni 80 mil kwadratowych. Podobne są do lejków, a wydobywające się z nich gęste wyciewy, taki sprawiają upał, że niepodobna tam wytrzymać. Sąsiednie też miejsca są nadzwyczajnie niezdrowe.

Z żyznego kraju Mechoakan, podróżni nasi wrócili do Meksyku, przez wysokie płaszczyzny Tolukka, gdzie widzieli osobliwe drzewo *Cheirostemon*, które jak sądzą jest jedynym drzewem tego gatunku, istniejącem na całej powierzchni ziemi. Opuszcili Meksyk w Stycznniu r. 1804 dla przejrzenia wschodniej pochyłości Kordyllierów; wymierzili jeometrycznie wysokość dwóch wulkanów Puebli, Popokatepell i Itzakihuahatl. Pierwszy z nich ciągle jest czynnym, chociaż kotlina jego od wie-

ków wyrzucą sam tylko dym i popioły. Przewyższa on 2000 stóp najwznioślejsze góry Europy, i sam jest najwyższą górą w Nowej-Hispanii. Pomimo nadzwyczajnego śniegu świeżo spadłego, Humboldt wszedł na Kufer, wyższy o 1300 stóp niżeli cypel Teneryfy. Z wierzchołka tej góry, odkrywa się urozmaicony widok na płaszczyznę Puebla i wschodnią pochyłość Kordyllierów Meksykańskich, okrytych gęstymi lasami. Nasi podróżni mogli rozróżnić port Vera-Cruz, zamek Sgo-Jana z Ulloa i brzegi morza. Góra ta winna jest swą nazwę kufra gołej skale wysokości na 400 lub 500 stóp, której szczyt wybiegając z pośrodku lasu jodłowego, widziany w pewnej odległości, nadzwyczajnie malowniczo wygląda. Cypel Orizana zmierzono także z największą dokładnością.

Po przyjemnym pobycie na tych wyniosłych płaszczyznach, nasi podróżni spuścili się do portu Vera-Cruz, i uszedłszy szczęśliwie przed zabójczą gorączką, która tam w owej epoce zrzędziała tak wielkie kłeski, przybyli zdrowi do Hawany, gdzie w roku 1800 złożyli większą część swych zbiorów. Po dwu-miesięcznym pobycie na tej wyspie, popłynęli do Filadelfii, a w Sierpniu r. 1804, wrócili do ojczyzny. Ich zbiory przybyły do Europy bez żadnego przypadku.

Zapowrotem do Francyi, Bonplan został mianowany przez Napoleona jenerałym intendentem ogrodów w Malmaison, lecz r. 1818 udał się do Buenos-Ayres, aby się całkiem poświęcić historii naturalnej. W Październiku r. 1820 podpłynął w górę Parany w głębi Paragwai, przybywszy do Świętej-Anny na wschodnim brzegu rzeki, założył osadę indyjską i urządził plantację herbaty, lecz żołnierze wystąpi przez doktora Francia władcę Paragwaju, wpadli na niego niespodzianie, zniszczyli plantację i jego samego uprowadzili jako jeńca. Został zamknięty w Santa-Maria, a lubo udzielono mu pozwolenie trudnić się nauką lekarską, zabroniono jednak opuszczać twierdzę. Humboldt napróżno pisał do doktora Fran-

cia o uwolnienie swego przyjaciela, za ministerstwa Kaninga, konsul angielski w Buenos-Ayres, użył całego wpływu aby mógł otrzymać to. Późno bardzo Bonplan odzyskał wolność i wrócił do Europy z zupełnym zbiorem Flory Ameryki południowej.

Humboldt w swych podróżach po Ameryce południowej, oznaczył położenie więcej niż trzystu miejsc; lecz dokonał większej przysługi niż prostego poprawienia mapp tego stałego lądu. Postrzeżenia jego obejmują wszystkie gałęzie historii naturalnej i nauk fizycznych; zajmował się prócz tego zgłębianiem charakteru narodów i ich ustawa politycznych. Żaden podróżny nieprzyczynił się tyle do postępów geografii fizycznej, żaden niedokonał tak

wielkiej liczby postrzeżeń, rzucających światło na historią naturalną kuli ziemskiej. Talent jego pisarski wyrównywa nauce i czynności. Jego spekulacye są zarówno dowcipne jak śmiałe; niewymyśla on dla samej tylko przyjemności teoryi urojonych lub opartych na płonnych domysłach; jeśli dotknie problemu trudnego do rozwiązania, niewystępuje z przesadzonym sceptycyzmem, dla popisowania się w oczach gminu, szuka z zapałem i szczerością prawdy. Roku 1818, sławny ten podróżny zamierzał przedsięwziąć wyprawę naukową do Tybetu i Indyi Wschodnich. Król Pruski dostarczył mu z wspaniałą szczodrocią pieniędzy i narzędzi potrzebnych; lecz on wyrzekł się swoich zamiarów i poprzestał na krótkiej wycieczce do gór Uralskich.



ROZDZIAŁ XLIII.

POŁUDNIOWE KRAŃCE AMERYKI.

Paragwaya. — Azara rozpoznaje granice. — Pampasy Buenos-Ayrskie. — Podróż kapitana Heada. — Opis płaszczyzny. — Straszliwy wzrost ostu. — Osada zamierzona przez Hiszpanów. — Opis Patagonii i Pampasów przez Falknera. — Pustynie piaszczyste. — Mieszkańcy miejscowi. — Ich zwyczaje i włościwość. — Ich prawa. — Plany pobrzeży Patagonii, zdjęte przez Hiszpanów. — Podróż kapitana King. — Jej skutki. — Nowa Sztetlandya południowa. — Podróż pana Weddela. — Zwiedza Nowa-Szetlandya południowa. — Dostaje się do wysokiej szerokości. — Nowe-Orkady. — Nowa-Georgia. — Jej widok zewnętrzny. — Polów cietłomorskich.

Chciwość złota, powiodła w ślady Kolumba pierwszych zdobywców Ameryki, a niedorzeczne mniemanie że wszystkie miejsca dalekie i odludne, kryją w swém łonie niezmiernie skarby naturalne, ściągnęły wkrótce ciekawych do wszystkich krain stałego lądu Ameryki południowej. Też same kraje zwiedzone później były kilkakrotnie przez tegożczesnych podróżników, którzy je przepatrzyli z większą bacnością i opisali dokładniej niż wszyscy ich poprzednicy. Dzieła Ulloa, Barriera, Lucocka, Kostera, Mawego, Helma i innych, wszy-

stkie zawierają w sobie szacowne objaśnienia, dotyczące się krain zwrotnikowych Ameryki południowej. Lecz zbiór szczegółowy opowiadań tych pisarzy przechodzi granice dzieła, którego celem jest wskazać pierwsze odkrycia rozmaitych części kuli ziemskiej, a nieśledzić stopniowe postępy historii i geografii.

Prace pana Humboldt i hydrografów hiszpańskich, nadzwyczajnie sprostowały liczne błędy w mappach krain równikowych Ameryki. Rozprawy i spory jakie pomiędzy dworami Lizbońskim

i Madryckim toczyły się o południowe granice Brazylii, spowodowały poszukiwania które konieczne przyczyniły się do postępu geografii. Roku 1781 rząd hiszpański polecił Don Felixowi Azara i kilku innym, ściśle oznaczenie na miejscu, wspólnie z kommissarzami portugalskimi, granicę posiadłości obu tych państw. Wykonanie traktatu, podpisanego przez oba dwory doznało z razu nieco trudności i zwłok spowodowanych wykrętnymi odpowiedziami Portugalczyków; lecz Azara, nader czynny i dobry naturalista, pożytecznie spędził czas swój na zwiedzenie części państwa hiszpańskiego dotąd nader mało znanych. Zdjął dokładne mapy rzeki la Plata i holdowniczych jej strumieni; jego opis Paragwayu, jest wprawdzie niedokładnym pod względem ziemopisarskim, lecz mieści w sobie szacowne objaśnienia co do historyi naturalnej. Kraina ta w owej epoce podlegająca władzy Wice-Króla w Buenos-Ayres, niedoznawała już tej pomysłowości, jak pod zarządem jezuitów misyonarzy; napolity indyjskie opuściły kraj w którym nie znaczyły, bo jezuita obchodzili się z nimi jak z swemi dziećmi, urzędnicy zaś hiszpańscy jak z niewolnikami. Ludność i plody Paragwayu widocznie także się zmniejszać zaczęły, przeto gdy Azara go zwiedzał, krajenie mógł wzbudzać takiej ciekawości jaką dziś wznica gdy nadawycząna zmiana rządu uczyniła go krajem niezależnym. Po zniesieniu władzy hiszpańskiej w Ameryce, Paragway oddzielił się od Buenos-Ayres, i przeszedł pod władzę Don Jozuego Gasparda Rodryga Francia, który przybrał tytuł dyrektora, a lubo wspierany radą 42 reprezentantów przez lud wybranych, rzeczywiście był samowładcą. Doktor Francia jest kreolem, znajomość sztuki rządzenia winien on jezuitom, lecz dla swój odwagi godnym jest władać ludem na wpół-barbarzyńskim. W Kwietniu r. 1827, cesarz Brazylijski uznał niepodległość Paragwayu i rząd doktora Francii.

Część południowa stałego ładu Ameryki, od granic Buenos-Ayres aż do cie-

śniny Magellana, mało dotąd była zwiedzana i w porównaniu z innymi krajami, miała bardzo mało hisztyrków. Dopiero za dni naszych, karta jej hydrograficzna dość dokładnie skreślona została.

Kapitan Head w swych *notatkach* daje nam opis Pampasów czyli wielkich płaszczyn, leżących na zachodzie i południu la Platy. Będąc on naczelnikiem towarzystwa, wydobywającego złoto i srebro w prowincyi Rio de la Plata, udał się przez wielkie płaszczyny Pampas do złotych kopalni Świętego-Ludwika, następnie do srebrnych w Uspallata, leżących po za Mendoza o 1000 mil około od Buenos-Ayres. Pozostawwszy swych górników i dozorców w Mendoza, sam udał się konno do Buenos-Ayres i w ośmiu dniach przebył tę wielką przestrzeń. Zaledwie dostał się do tego miasta, interessa znów go odwołały do Chili. Wracając w ówczas do Mendoza, przebył Andy jadąc do San-Jago. Odbył blisko 1,200 milową podróż w górach Chili, dla przejrzania kopalni złota i srebra, następnie przebywszy znowu Kordylliery, wrócił konno przez płaszczyny Buenos-Ayres. Z dzieła tego niespracowanego podróżnika wyjmujemy następnny opis wielkich płaszczyn: »Pampasy położone na wschód Kordyllierów, mają 900 mil szerokości, a część którą zwiedziłem, lubo znajdująca się pod tą samą szerokością, jest jednak podzieloną na kilka pasów klimatu, zawierających w sobie plody odmienne. Opuściwszy Buenos-Ayres, pierwszy z tych pasów, mający rozległości 180 mil, okryty jest luccerną i ostami; następny ciągnący się na 450 mil wydaje długie trawy, a trzeci dosięgający stop kordyllierów, jest obszernym lasem, składającym się z małych drzewek i krzewów. Powierzchność dwóch ostatnich pasów przez cały rok pozostaje jednakową, drzewa i rośliny są tam zawsze zielone i tylko trawy na owych niezmiernych płaszczynach kolor swój zmieniają; albowiem z zielonych stają się brunatnemi. Pierwszy pas w dziwnym sposobie zmie-

nia się podczas czterech pór roku. W zimie, liście ostu są szerokie i gęste, cała powierzchnia kraju ma pozór obszernego pola zasianego rzepą. W tej porze lucerna jest niezmiernie bujną i silną, a dzikie stada wolno bujające przedstawiają obraz zarówno piękny jak zajmujący. Za nadejściem wiosny, lucerna znika, liście ostu rozciągają się po ziemi, płaszczyzna zachowuje jeszcze swą dawną powierzchność. Lecz w niespełna ciągu miesiąca nadzwyczajna następuje zmiana. Ze wszystkich stron wyrastają ogromne osty i w krótkim czasie dochodzą wysokości 10 lub 11 stóp, okrywają się kwiatami i tworzą niby płoty po obu stronach drożyny; krajobraz w ówczas zupełnie jest zastąpionym; niewidać ani jednego zwierzęcia, a łodygi ostów tak są do siebie zbliżone i tak mocne, że nawet pomimo kolców którymi są uzbrojone, tworzą nieprzebytą zaporę. Cudowny wzrost tych roślin tak jest szybkim, że wojsko nieprzyjacielskie nieznające tego kraju, zostałyby już nagle uwięzione wśród owych pól ostowych, nimby jeszcze pomyślało o odwrocie. Przy końcu lata krajobraz znów ulega szybkiej zmianie: osty tracą nagle swe soki i zieloność; główki ich wędnieją, listki się kurczą, łodygi czernieją i schną; wiatry Pampasu powiewem swoim trącają jedne o drugie, nareszcie gwałtowny orkan ścięło je wszystkie na ziemię, gdzie szybko gniją i nikną. Lucerna znów wyrasta i płaszczyzna przyodziewa się wspaniałą zielonością." Szeroki pas trawy, który jakieśmy wyżej powiedzieli, rozciągający się najmniej na 450 mil, nie zawiera w sobie ani jednej rośliny obecnej i jadowitej; drzewa rosną tam w zadziwiającym porządku, można albowiem galopować pomiędzy nimi we wszystkich kierunkach. Klimat Pampasów podlega wielkim zmianom, równie w zimie jak i w lecie. W zimie, co noc marnie; lecz lód rzadko dochodzi kilku linii grubości. W lecie zaś upały są niezmierne, i klimat Pampasów może być uważany za daleko gorętszy niżeli w krajach południowych Europy, jak np. w Grecyi, Sycylii i Malcie, po-

łożonych w równiejsze odległości od równika. W wschodniej części płaszczyzny i pasach ostu i lucerny, atmosfera zawsze jest wilgotną, lecz ta wilgoć, która szczególniejsz postrzegac się daje w Buenos-Ayres, nie jest szkodzącą zdrowiu, i »można śmiało powiedzieć, nadmieniam Head: że Pampasy mają klima równie piękne i zdrowe jak najbardziej zachwycające krainy Włoch i Grecyi, które nigdy nieulegają zaraźliwym chorobom. Jedyną tylko niedogodnością jest tam pamparo, czyli wiatr południowo-zachodni, który tworząc się z zimnego powietrza Andów, pędzi na te obszernie płaszczyzny z szybkością i gwałtownością, którym oprzeć się niepodobna; lecz po przejściu tego uraganu, powietrze jest znowu bardzo zdrowe i przyjemne."

Roku 1778, rząd hiszpański zamyslał osiedlić pobrzeża Patagonii i w tym celu wysłał znaczną liczbę rodzin do Ameryki. Azara odebrał polecenie rozpoznać brzeg południowy la Platy, i wybrać tam najkorzystniejsze i najłatwiejsze położenia do obrony. Lecz niedbalstwo a może i zła chęć wicekróla, zniweczyły wszystkie te zamiary.

Najlepszy opis Patagonii, który posiadamy, jest Falknera chirurga marynarki, który nawrócony przez jezuitów 40 lat przepędził w tym kraju. »Na granicy hiszpańskiej, mówi on: grunt jest niski i równy, okryty długimi ziołami rosnącymi zwykle na bagniskach, obfituje on w armadyle czyli pancerniki, łosie, danielę, strusie i konie dzikie; w lasach znajdują się lwy i tygrysy. W niektórych miejscach, lasy te oddalone są tylko o dwie mile od brzegu morskiego, który tak jest niskim i pełnym wybojów, że przechodzić po nim niepodobna. Najpierwsze góry które widzieć można podróżując ku południowi, leżą o 3 mile od morza i ciągną się na zachód blisko mil 20. Wznoszą się one prostopadle z łona płaszczyzny i są okryte ziołami prawie aż po same swe wierzchołki, szczyty te są małemi płaszczyznami na których Indianie polują na dzikie konie, zagroździwszy pierwój wazkie przejścia przez

które zwierzęta te mogłyby ujść na dolne płaszczyny. Po za temi górami rozciąga się obszerna pustynia piaszczysta, zwana przez Indian Huekuwu Mapu, czyli kraj Djabła, tej pustyni nigdy oni nieprzebywają; bo gdyby wiatr wzniosł się nagle, powaliłby ich i zagrzebał w piasku. Gdy Kasubiti, leżące na północnym brzegu rzeki Czerwonej, są początkiem wielkiego łańcucha, łączącego się z Kordyllierami Chilijskimi, a którego rozmaite rozgałęzienia ciągną się aż do cieśniny Magellańskiej. Kasubiti jest najwyższą górą tego łańcucha, wiekiste śniegi okrywają niektóre jej cyple. Kilka wielkich rzek spływa z tych gór do Atlantyku. Najgłówniejszymi z nich są: *Rio-Kolorado* czyli *Rzeka Czerwona* i *Rio de Saucos* czyli *Rzeka Wierzb*, pospolicie zwana *Rio-Negro* czyli *Rzeka Czarna*. Wezbrania tej ostatniej rzeki, podług Falknera, są nadzwyczajnie gwałtowne, gdyż jej potoki zwiększone deszczami i topnieniem śniegów, spadając z zachodniej pochyłości Kordyllierów, przyjmują w siebie wszystkie wody skrapiające przestrzeń 700 mil. O 10 mil na południe od rzeki Czarnej, całe pobraże morskie aż do cieśniny Magellana jest krainą niepołudną, nagą i niezamieszkaną, przebiegają ją tylko gwanakosy zesze z gór pobliskich. Przez większą część roku, znajduje się tam woda tylko w jeziorach, zebrana po spadnięciu wielkich deszczów. Indianie korzystając z pory dżdżystej, przybywają tam grzebać ciała zmarłych, zwiedzić ich groby i zbierać sól w porcie Świętego Juliana, lub na pobrażach morza. Terrytorium zajęte przez Indyjskie pokolenia na zachód owej niezamieszkaną przestrzeni, składa się, jak się dowiedział Falkner, z pewnej liczby dolin, zawierających w sobie łańcuchy niskich gór, skropionych źródłami i strumieniami, które w zimie tworzą jeziora a w lecie zupełnie wysychają. W owej też epoce roku, krajowcy przenoszą się zwykle nad brzegi której z wielkich rzek północnych. Od granic Chili, aż do cieśniny Magellana, kraj jest górzysty, zimny, niepołudny. Jednak, jeśli wierzyć

mamy świadectwu Byrona i innych żeglarzy, niektóre części pobraża w cieśninie Magellana, odznaczają się roślinnością silną i piękną. Lasy, których drzewa dochodzą znacznej wysokości, okrywają góry. Falkner otrzymał od Indian szacowne objaśnienia o drzewie zwanem przez nich *Lahual*, uważa on je za gatunek sosny. Drzewo to odznacza się tém szczególniej, że z nadzwyczajną łatwością można go łupać, gdyż pień jego tak jest naznaczony paskami od korzeni aż do samego wierzchołka, że można go podzielić na deski pewnej grubości, za pomocą klinów, wygodniej niż piłą.

Narody indyjskie, przemieszkujące w tych krajach, same sobie nadają ogólne nazwy *Moluchów*, czyli *Wojowników*, i *Puelchów* czyli *Wschodnich*. Pomiedzy pierwszemi, *Pichuncy* czyli mieszkający w górach północnych, są wedle Falknera, »najodważniejszymi i najgrubszymi ze wszystkich Moluchów.« Hiszpanie dowiedziawszy się, że jedno z ich pokoleń przebywało w Arauko, mylną nadal nazwę Araukanów wszystkim Indianom w Chili. Naród ten wstawiony odważnym oporem stawionym Hiszpanom, unięsmiertelnością wierszami Ercylla, dzisiaj jest tylko garszką ludzi; częste wojny z Hiszpanami, a szczególnie nieumiarkowane użycie wódki, zupełnie go wyniszczyły.

Pokolenie Puelchów czyli lud wschodni zowie się *Tehuelhet* czyli raczej *Tehuel-Kunny*, to jest ludzie południowi. Lud ten znany Europejczykom pod nazwą Patagonów, jest narodem błakającym się, żywiącym się głównie gwanakosami, zającami i strusiami, nader licznymi w tych stronach i mięsem kłaczy dzikich, gdy takowego mogą dostać. Błakają się ciągle od cieśniny Magellańskiej aż do Pampasów w Buenos-Ayres, to jest na przestrzeni blisko 100 milowej. »Patagonowie czyli Puelhowie, mówi Falkner: są silnie zbudowani, lecz nigdy nie słyszałem o żadnym olbrzymiem pokoleniu, o którym iuni podróżni wspominają, chociaż widziałem ludzi należących do wszystkich pokoleń Indian południowych. W inną

części swego dzieła mówi: że wzrost wzrost Tehuelhetów rzadko siedm stóp przechodzi, a często nawet 6 tylko osiąga. Oweludy indyjskie, których Falkner tak wychwala odwagę i dobroć, napadły na Buenos - Ayres r. 1767, w 4000 i niema wątpliwości, że lepiej uzbrojone, byłyby odzyskały płaszczyznę wydarte im przez Hiszpanów.

Mappy pobrażę Patagonii zdjęte zostały r. 1782 przez Hiszpanów, którzy szczególnie z wielką pilnością przejrżeli cieśninę Magellana. Powszechnie w ówczas mniemano, że można znaleźć bardziej ku północy, inną cieśninę splewną; gdyż wiele małych kanałów znajdujących się na zachodnim pobrażę Patagonii, nigdy jeszcze nie było przejrżanych, a pobrażę wschodnie całkiem prawie było nieznanne. Skutkiem jednak tej nowej rozpoznawczej podróży, było oznaczenie ciągłości pobrażę ku zachodowi. Stwierdziła ona zdanie dawnych żeglarzy, że Ziemia Ognista, lubo oznaczona na mappach jako wyspa, istotnie jednak jest tylko grupą, złożoną z kilku małych wysepek. Roku 1826, kapitanowi King, który przerysował z tak wielkim talentem pobrażę Nowej - Gallii - Południowej, polecono rozpoznąć pobrażę Patagonii i Ziemi Ognistej. Niepodobna wyobrazić jak niebezpieczną a zarazem i trudną jest pracą, przerysowanie pobrażę tak strzępiatego i ze wszystkich krajów w całym świecie najężej ulegającego burzom. Kapitan King wykonał jednak dane sobie rozkazy nieuległszy żadnemu wypadkowi. W istocie, przekonano się że Hiszpanie wielkie popełnili pomyłki w wielu punktach bardzo ważnych. Pobrażę zachodnie Patagonii otacza wielki łańcuch wysp, które oddzielone są pomiędzy sobą szerokimi cieśninami; cieśniny te wznęciły z razu zwodniczą nadzieję znalezienia przejścia na Atlantyk, i kapitan King przekonał się, że ciągła linia pobrażę, oznaczonych na mappach hiszpańskich po za temi wyspami, nie jest stałym łądem, lecz innym łańcuchem wysp, równie obszernym jak pierwszy archipelag. Rozpoznał także, że Ziemia Ognista jest przerzięta pięknym sple-

wnym kanałem, biejącym na wschód i zachód, któremu nadał on nazwę swego okrętu *Beagle*.

Po podróży Kooka, odbytej 1774 r. zdawało się, że odkrycia południowe straciły cały swój urok. Lecz r. 1818 William Smith, dowódca brygu *William*, płynąc z Monte - Video do Valparaiso pod 62 szerokości, odkrył długi ciąg pobrażę, do których przybliżył się w następnym roku; była to ziemia nieplodna, pokryta śniegiem, na brzegach której znajdowało się wielkie mnóstwo ciał morskich. Pan Smith uwiadomił o swoim odkryciu pana Barnesfield, dowódcę fregaty *Andromaka*, stojącej w ówczas w przystani Valparaiso, który mu polecił rozpoznać te pobrażę. Nadał on temu łądowi nazwę *Nowej - Sztetlandyi - południowej*; jest to grupa składająca się z dwunastu wysp głównych i niezliczonych skał wystających po nad wodę i rozciągających się po nad wodę i rozciągających się pomiędzy 61° i 63° szerokości południowej, a 54° i 63° długości zachodniej. Wyspy te są całkiem ogołoczone z roślinności; lecz znajduje się na nich wielkie mnóstwo ciał morskich, zwanych w tych stronach słoniami morskimi. Łatwość dostania skór kosztownych tych zwierząt, przedstawiała żeglarzom zbyt silne pociąg, aby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo mogło ich odstraszyć i wstrzymać, i Nową - Sztetlandyą południową zaczęły wkrótce zwiedzać tłumy okrętów. Cieleta morskie, nawykłe do ciszy wcale się nielekąły niebezpieczeństwa i pozostawały nieruchome, gdy rybacy zabijali je i odzierali ze skóry. Samce mają niekiedy 24 stóp długości, a 14 stóp obwodu. Samice są o trzecią część mniejsze i nie tak silne; z 3 lub 4 samców wytapiają niekiedy beczkę oleju. Liczba tych zwierząt złowionych na pobrażach Nowej - Sztetlandyi południowej, w latach 1821 i 1822, dochodzi do 320,000, a olej wytopiony z ich tłuszczu, 940 beczek. Lecz ponieważ zabijano bez różnicy samce i samice, przeto już w drugim roku mniej był połów korzystny. Wyrachowano jednak, że pobrażę Nowej - Sztetlandyi południowej, mogły do-

starzyć corocznie 100,000 skór, gdyby połów ciał morskich był należycie urządzonym.

Pomiędzy innymi podróżnikami, którzy zwiedzili Nową-Szetlandyę południową, w epoce, gdy ten handel zaczął się co raz więcej rozszerzać, wspomniemy nade wszystko pana Weddell, oficera marynarki królewskiej. Dnia 17 Grudnia 1824, pan Weddell wszedł na bryg *Joanna*, o 160 beczkach, któremu towarzyszył drugi kutter 65-beczkowy zwany *Beaufort*, dowodzony przez Macieja Brisbane. Dwa te małe okręta zaopatrzone w wszelkie zapasy na dwa lata, miały się udać na przejście morz południowych i po skóry ciał morskich. Podróż tak długa i niebezpieczna, przedsięwzięta tak małemi statkami, dokonana z tak wielką śmiałością, przypomina czasy Drakego, Frobischera i Dawisa. Pan Weddell wypocząwszy czas jakiś w porcie Świętej-Etenty, na pbrzeżach Patagonii, skierował ku południo-wschodowi na początku Stycznia 1825, i 12 tegoż miesiąca rozpoznał Orkady południowe, grupę wysp leżącą blisko pod 61° długości południowej i 43° zachodu, którą odkrył w przeszłym roku. Widok tego pbrzeża ma być jeszcze bardziej przerażającym niżeli Nowej-Szetlandyi: góry lodu utworzone w zatokach w czasie zimy, kruszą się w kawały w lecie, a szczątki ich, kołysane wiałami, zagrażają okrętom ciągle największemu niebezpieczeństwem. Najwynioślejsze szczyty tych wysp, są pospolicie zakończone w kształcie wież i bardzo podobne do gór rozburzonych wstrząśnieniami ziemi. Okręta opłynęły te wyspy w przestrzeni przeszło 50 mil; lecz dla zbyt małej liczby ciał morskich, burz i mgłow ciągłych, musiały niezadługo skierować w inne strony. Pan Weddell postanowił popłynąć ku południowi i dostał się do 7° szerokości. Wyspy lodowe okrywały morza i pod 68° 30' lody te tak się pomnożyły, że prawie niepodobiestwem było żeglować wśród tego pływającego archipelagu. Lecz pod 70° 26' lody zupełnie znikły, powietrze się zlagodziło, gromady ptaków zaczęły

wznosić się w okolo okrętów, postrzeżono kilku wielorybów igrających pośród bałwanów. Stosunkowo jak nasi podróżni zbliżali się ku południowi, temperatura co raz była łagodniejszą, liczba wielorybów zwiększyła się i jak tylko oko dosięgało, niewiadać już było ani kawałka lodu. W tak przyjaznych okolicznościach, Weddell spodziewał się co chwila odkryć ziemię nieznaną; działo się to właśnie 20 Lutego, w porze kończenia się zimy w tych stronach. Znajdowali się pod 34° 16' 45" długości i dosięgnęli 74° 15' szerokości, gdy dobry wiatr południowy nagle powstał; „mocno pragnąłem, mówi Weddell: przejrzeć strony południowo-zachodnie tych pbrzeży; lecz zastanowiwszy się że pora była już bardzo spóźniona, że mieliśmy jeszcze do przebycia 1000 mil na morzu okrytym lodami, w czasie długich i mglistych nocy, korzystałem więc z pomyślnego wiatru i zacząłem myśleć o odwrocie.”

W tej podróży, Weddell dostał się do koła południowego pod 3° 5' czyli 214 mil dalej od kapitana Kook, lub któregokolwiek innego żeglarza. Nazwał on tę część oceanu, dotąd niezwiędzoną, morzem króla Jerzego IV. Rzecz godna uwagi, że lody niezwiększały się w miarę jak się posuwał ku południowi; przeciwnie, płynął po morzu głębokiem, otwartem, w daleko łagodniejszym klimacie. Uważał także, że ruchy igły magnesowej wolniały pod temi wysokimi południowemi stopniami, jak to samo kapitan Parry uważał pod dalekimi stopniami północnemi, szukając przejścia północno-zachodniego.

Żeglarze nasi rozłączeni gwałtownemi nawałnicami, znaleźli się znowu w Nowej-Georgii. Wyspa ta ma około 96 mil długości a 10 szerokości. Brzegi jej głęboko weinane, zawierają w sobie liczne zatoki i bezpieczne przystanie. Wiekuiste śniegi ozdabiają szczyty jej gór; lecz w czasie lata, obfita acz prosta roślinność pokrywa łono jej dolin. Południowa Georgja odkryta była r. 1675 przez La Roche, lecz dopiero wewnątrz jej przejrzano i oznaczono

no położenia aż po podróży kapitana Kooka w roku 1771.

»Niepotrzebuję przypominać czytelnikowi, mówi Weddell: wielkich korzyści które żegluga i ziemio-pisarstwo w ogólności odniosły z odkryć i poszukiwań tego sławnego żeglarsza; lecz może niewiadomo jak podróże jego były sprzyjające handlowi Wielkiej-Brytanii.

»Jego doniesienia urzędowe dotyczącej południowej Georgii i wielkiego mnóstwa ciałat morskich, postrzeżonych na jej brzegach, spowodowały wyprawy

wysłane dla ładowania tłustości i skór tych zwierząt. Obecnie są one już zupełnie tu wyniszczone; lecz osoby godne wiary zapewniały mnie, że od dnia w którym handel ten rozpoczęto, Nowa-Georgia dostarczyła Europie przeszło 20,000 beczek oleju i blisko 1,200,000, skór ciałat morskich. Dodam że wyspa *Zniszczenia*, odkryta przez Kooka, też same wydała rezultata, handel obu tych wysp zajmuje obecnie przeszło 300 żeglarzy, a ładunek ich dochodzi w przecięciu 2,000 beczek.



ROZDZIAŁ XLIV.

WSCHODNIE POBRZEŻA AZJI.

Postępy Rossyan. — Podróż Billingsa. — Jego wyjazd z Kołymy. — Spotyka Ledyarda. — Zwiedza wyspy Aleutkie. — Przebiega kraj Czudzkw. — Baron Wrangel. — Morza Japońskie nieznanne. — Prace Brughtona. — Poselstwo rosyjskie w Japonii. — Podróż Kruzensterna. — Niepowodzenie poselstwa. — Rossyane zdejmują plan pobrzeży. — Saghalen. — Gołwin udaje się na rozpoznanie wysp Kurylskich. — Pojmany przez Japończyków. — Opis przez niego Matsmaju. — Dobroć Japończyków. — Otrzymuje uwolnienie. — Jeograficzne prace missionarzy w Chinach. — Poselstwa Angielskie. — Podróż Alcesty i Liry po morzach Chińskich — Wielki mur. — Archipelag Korejski. — Niedokładność mapp. — Wyspy Loo-Choo. — Zagodny charakter mieszkańców. — Ich pojętność. — Rozbicie Alcesty.

Jeśli przeszkody na pozór największe niemogą wstrzymać ludzi czynnych i przedsiębiorczych od szukania szczęścia w dalekich i nieznanych stronach, krajny najłatwiejsze do zwiedzenia nienęcą nawet ich ciekawości, gdy im nieprzedstawiają żadnego zysku. Zamiłowanie zarobku, spowodowało większą liczbę odkryć niż zamiłowanie nauki. Aby przytoczyć choć jeden tylko przykład wzięty z dziejów ziemio-pisarstwa, dość nadmienić, że ludy europejskie znały dobrze wybrzeża północno-zachodnie Nowego Świata, gdy tymczasem miały tylko bardzo niedokładne wiadomości o wschodnich wybrzeżach Azji. Rossyanom był zostawiony zaszczyt pierwszej odkryciowej podróży wzdłuż tych wybrzeży.

Józef Billings, officer marynarki, który należał do ostatniej wyprawy Kooka, wszedłszy w służbę rosyjską, o-

trzymał polecenie Katarzyny II popłynienia Kołymą i rozpoznania pobrzeża północnego Syberyi aż do przylądka Wschodniego. Z początkiem wiosny 1787, zabrał się na dwa małe statki, umyślnie zbudowane do téj podróży, w jednym z portów Kołymy. Lecz ta rzeka tak nadzwyczajnie wezbrała przez topnienie śniegów i lodów, iż żegluga po niej była bardzo niebezpieczną i nieraz oba statki wypchnięte zostały z jej koryta, pomiędzy lasy rosnące po nad zalaniem brzegami. Żeglując blisko trzy tygodnie na północ i wschód, i natrafiwszy na ogromne masy lodów, kapitan Billings osądził za nieroztropność w dalszą puszcząc się drogę. Najodleglejszy punkt do którego się dostał leżał o $2\frac{1}{2}$ mili po za przylądkiem *Baranoi-Kamen*. Wprawdzie kapitan Saryczew współtowarzysz jego chciał

się w małym czólnie dalej posunąć ku wschodowi, lecz Billings na to niepozwoilił. Powróciwszy do Jakucka, Billings znalazł tam z wielkiem podziwieniem dawnego swego towarzysza w ostatniej podróży Kooka, nazwiskiem Ledyarda, człowiek ten tak namiętnie lubił przygody, że pomimo szczupłych zasobów, zamierzył z Kamczatki przedrzeć się do Ameryki i takową przejść w punkcie największej jej szerokości, zatrzymany jednak został w Jakucku jako podejrzany człowiek. Billings znając doskonale jego charakter i zamiary, odmówił jednak wstawienia się za nim.

Billings znów otrzymał rozkaz przejrzenia wysp w stronie północno-zachodniej Ameryki, dwa statki przygotowane zostały do tej wyprawy w Ochocku, w skutku której w Czerwcu r. 1790 zwiedził wyspy Aleutokie. Z zatoki Świętego-Wawrzyńca, wyruszył Billings przeszło 13 Sierpnia r. 1790, dla przejrzania kraju Czudzków, według danych mu instrukcyi miał on prócz tego rozpoznać północno-wschodnie wybrzeża Syberyi aż do ujścia Kołomy, lecz podróż ta nieosiągnęła żadnego ważnego skutku, prócz tej przysługi dla nauki ziemio-pisarskiej, że oznaczył dosyć dokładnie długość Kołomy. Sauer w historii tej wyprawy, daje następny obraz walecznego ludu, mieszkającego w północno-wschodniej stronie Syberyi: »Przebyliśmy trzy wioski i zatrzymaliśmy się w czwartej, aby tam noc przepędzić. Chaty wykopane w ziemi, pokryte darnią, miały kształt okrągły i coś podobnego do komina we środku. Cztery wielkie kamienie tworzyły ognisko. Musieliśmy wejść z krajowcami wtarg aby dostać wody i drzewa, potrzebnych do sporządzenia wieczerzy, i zapłacić natchmiast wymaganą kwotę. Postrzegłszy nasz dobry charakter, nader polubili guziki od sukien i bez żadnej ceremonii one poobrzynali. Mężczyźni byli wysokiego wzrostu i silni, a wojownicy mieli ręce i nogi pomalowane w rozmaite gzykzaki; kobiety były kształtne, wysokie, łagodne i bardzo zdrowe, nic nie miały w sobie nieprzyjemnego. Ubiór ich składał się ze

skór danielich, któremi całe ciało miały pokryte. Włosy nosiły rozdzielone we dwa warkocze, z których jeden spadał na prawe a drugi na lewe ramie. Twarze i ramiona miały jak najstarchniej i najdelikatniej nakłowane.»

Od roku 1818 Rosyianie pokilkakrotnie usiłowali czynić dalsze odkrycia na oceanie Północnym. Baron Wrangel, officer równie waleczny jak przedsiebierczy, przebiegał w ciągu 56 dni lody stronowych, niemogąc odkryć żadnej z tych wysp, które poprzedni podróżnicy utrzymywali iż widzieli. Oznaczył stanowczo położenie *przylądka Północnego*, i podzielał mniemanie wbrew przeciwnie zdaniu przyjętemu w owej epoce, że brzegi Ameryki, niezbliżały się w pewnym punkcie do brzegów Syberyi.

Lecz nadewszystko na morzach Japońskich i w stronach wysp Kurylskich, prace hydrograficzne Rosyjan najważniejsze otrzymały rezultaty. Z mórz świata całego, morza japońskie i archipelag północny, wzdłuż wybrzeża Tartaryi, są te na których Europejczycowie zawsze czynili najpowszechniejsze i najnieodkładniejsze odkrycia, tak z powodu niebezpiecznej natury tych mórz, ja też dla zazdrości Japończyków, którzy niedozwalają żadnemu cudzoziemskiemu statkowi wpływać do swych portów. Wybrzeża Tartaryi zaczęły dopiero dobrze być znane od podróży Laperusa, który je całkowicie prawie opłynął, od cieśniny Korejskiej, aż na południe wysp Kurylskich. W dziewięć lat później, kapitan Broughton zdjął plan tychże wybrzeży, pomnożywszy ważnemi dodatkami prace żeglarza francuzkiego. Kapitan Broughton wpłynął do wąskiej zatoki Aniwa, oddzielającej Saghalen od Tartaryi, a gdy się dostał do 52^o szerokości, postrzegł przesyk ziemi bardzo niski, który się zdawał zakończyć cieśninę od strony północnej. Według objaśnień udzielonych mu przez krajowców, Laperus sądził że Saghalen była wyspą, oddzieloną od stałego lądu Tartaryi wązkim i niegłębokim kanałem, lecz Broughton jak się zdaje,

uznał stanowczo, że Saghalen czyli Tarakai jest tylko półwyspem.

Skoro tylko handel futrami wykrył Rossyanom korzyści jakie mogli ciągnąć z położenia swych portów wzdłuż wschodniego wybrzeża Syberyi, zaczęli zwracać swoją uwagę na Japonię. Państwo to, tak bogate i znakomite, które zupełnie nieznanie było Europie aż do połowy XVI wieku, rządziło się polityką niedowierzającą. Po wydaleniu z tamtąd Portugalczyków, Hollendrzy mieli tylko pozwolenie prowadzenia niejakiich stosunków handlowych z Japonią, ci chcąc sobie wyłącznie przywłaszczyć monopol podobnego handlu, oczernili wszystkie inne ludy morskie Europy, dla zwiększenia jeszcze wstrętu okazywanego przez Japończyków ku narodom zachodu. Należy tu nadmienić, iż żaden jeszcze lud, tak przedsiębiorczy, tak zupełnie handlowi oddany i tak świątły, niedostarczył mniej materiałów jeografom jak Hollendrzy. Wszystkie objaśnienia, otrzymane o Japonii, starannie ukrywali przed resztą świata; a wiadomości jakkolwiek niedokładne które posiadamy o tém szczególniejszem państwie, winni jesteśmy gorliwości Niemca i Szweda, Koemplera i Thunberga, którzy kilkakrotnie towarzyszyli poselstwu hollenderskiemu do Japonii.

Lubo zabroniono było zawiązać Europejczykom do portów państwa Japońskiego, jednak zdaje się, że ten rozkaz nierozciągał się do Rossyi, w r. 1780, Cesarzowa Katarzyna korzystając z wydarzonej okoliczności, pragnęła otworzyć przyjacielskie stosunki z tym krajem. Statek japoński rozbił się na brzegach jednej z wysp Aleutekich, kapitan i jego osada ocaleni przez Rossyan zaprowadzeni zostali do Irkucka, gdzie przepędzili blisko lat dziesięć. Po upływie tego czasu, Jenerał Pihl, gubernator Syberyi, otrzymał rozkaz odesłania rozbitków do ich kraju w towarzystwie ambassadora niższego stopnia, który miał złożyć cesarzowi Japońskiemu pozdrowienie i podarunki w imieniu jenerała Pihl. Rząd przedsiębrał dla tego tak rozsądne ostrożności, aby zbytnia duma Japończyków nieprzedstawi-

ła potem trudności niepokonanych. Po-rucznik Laxman, jako poseł przybył r. 1793 do *Matsmai*, jednej z wysp najdalej leżących na północy Japonii. Japończykowie przyjęli Rossyan z nadzwyczajną uprzejmością i względami, dostarczali żywności dla wszystkich officerów i ludzi okrętowych przez cały czas ich pobytu na lądzie; lecz rząd japoński nieprzyjął uczynionych propozycyi względem zawiązania stosunków handlowych pomiędzy obu ludami. »Port Nangasaki jedynie jest otwarty dla statków cudzoziemskich, a jeśli Rossyanie pragną mieć jakie stosunki z Japończykami, mogą zawiązać do tego portu i dozwolono im przysyłać corocznie okręt." Laxman przywoził taką odpowiedź na piśmie r. 1793.

Nakoniec r. 1803 dwór Rosyjski postanowił wysłać poselstwo do Japonii, dla zawiązania ściślejszych stosunków pomiędzy obu państwami. Pan Rezanów został mianowany posłem. Miał najprzód, udać się do Japonii z dwoma statkami, a osiągnąwszy ten pierwszy cel swego posłannictwa, przedsięwziąć potem podróż odkryciową. Kapitan Kruzenstern otrzymał naczelne dowództwo wyprawy, która stanowi ważną epokę w dziejach marynarki rosyjskiej. Dnia 5 Października 1803, okręta rosyjskie opuściły Falmouth, dokąd przybyły dla zapotrzebowania się w narzędzia, mapy, książki, żywność i mnóstwo innych przedmiotów, potrzebnych w ciągu długiej podróży. Dnia 26 Listopada, przebyli równik i wystrzeliliwszy jedenaście razy z ręcznej broni, wzniesli toast na cześć Cesarza ALEKSANDRA, pod którego światłem panowaniem, flagą rosyjską po raz pierwszy zjawiała się na półkuli południowej,

Podróźni przybywszy do Nangasaki, spodziewali się bydz zwolnionymi od upokarzających formalności włożonych na Hollendrów. Mieli nadewszystko nadzieję, że towarzysząc ambassadorowi do stolicy cesarskiej w Jeddo, powezną prawdziwsze objaśnienia niżeli te, które dotąd posiadali o tym nadzwyczajnym narodzie. Lecz wszystkie te nadzieje zostały zawiedzione. Układy

ciągnęły się z nadzwyczajną powolnością; ambassador, officerowie, ze wszystkimi swemi ludźmi przez całe dwa miesiące, musieli pozostać jakby jeńcami na statkach na których przybyli. Ambassador tylko z powodu słabości zdrowia, otrzymał pozwolenie przechadzania się po nad brzegiem zatoki, lecz tylko w przestworze stu kroków długości, a pięćdziesiąt szerokości, miejsce to było opasane wysoką i mocną palisadą bambusową, której po obu krańcach strzegł liczny oddział żołnierzy. Piętnaście statków japońskich eskortowało i doglądało ciągle szalup okrętowych ułatwiających komunikacją z lądem. Niedozwalało podróżnym naszym mieć najmniejszą styczność nawet z Hollendrami. Nakoniec po kilku miesiącach tak przepędzonych, ciż podróżni dowiedzieli się iż niema nadziei aby otrzymali posłuchanie w Jeddo; lecz znakomita osoba przybędzie do Nangasaki dla oszczędzenia im nudów tak dalekiej podróży. Gdy pełnomocnik ten przybył, cztery dni upłynęły na ułożeniu ceremoniału przyjęcia. Pierwsze posłuchanie przeszło na kilku grzecznościach i nic nieznaczących pytaniach. W czasie drugiego, dignitarz japoński wręczył ambassadorowi naszemu, najwyższy rozkaz Jego Cesarskiej Mości, mocą którego wzbronionem zostało okrętom kraju naszego, wplywanie odtań do portów Japonii. »Taki był skutek, mówi Kruzenstern: poselstwa z którego tak wielkie rokowaliśmy sobie nadzieje. Nietylko żeśmy nic niezyskali, ale nawet straciliśmy pozwolenie zawiązania corocznie do portu Nangasaki.»

Oddalwszy się z wysp Japońskich, Kruzenstern opłynął wschodnie brzegi Saghalenu i skierował ku Kameczatce, tam ambassador pan Rezanów wysiadł udając się lądem do Europy. Kruzenstern w ówczas puściwszy się na powrót drogą którą już płynął, okrążył północną kończynę Saghalenu, rozpoznał że jej brzeg północno-zachodni jest nieprzerwanym ciągiem wzgórków piaszczystych, i odkrył przeciwległe brzegi Tartaryi. Niestety gwałtowne prądy, zrządzone według jego mniemania wezbra-

niem Amuru lub Saghalen, niedozwoliły mu posunąć się tak daleko na południe jak sobie zamierzył, z wielkim bowiem żalem był zmuszony zwrócić się. Podróż ta wzbogaciła nas kilku ważnemi odkryciami, a szczególnież uzupełnieniem jeografii zatoki Tatarskiej, archipelagu Kurylskiego, brzegów Japonii i Jesso. Prace Kruzensterna, łącznie z pracami Broughtona i Laperusa, obznajmają nas dokładnie z wschodnimi brzegami starożytnego świata.

W Kwietniu 1811, kapitan Gołownin, otrzymał rozkaz przejrzenia brzegów Tartaryi, na północ Ochotska i wysp Kurylskich, z których Japończycowie posiadają jedną najbardziej na południu leżącą; lecz wysiadłszy na ląd, został ujęty wraz z dwoma officerami i czterema majtkami i odesłany do Matsmai. Tu czyni uwagę, że w swęj podróży ku południowi, wzdłuż brzegu Chakodady, na rozciągłości przeszło 500 mil, widział wioski bardzo ludne nad brzegiem każdej zatoki. Przez lato krajowcy mieszkają w chatach zrobionych z liści, cała ludność jest natenczas zajęta łowieniem, soleniem i suszeniem ryb, lub też zbieraniem pewnej rośliny morskiej, rosnącej obficie na wybrzeżu; a którą Rossyanie nazywają *kapustą morską*. Rozkładają te rośliny na piasku dla wysuszenia, potem zgrabiwszy jak siano w kupy, takowe okrywają matami, dopóki niezostaną naładowane na statki które je przewożą do Nifon. Wioski Kurylskie składają się z małych chat, bez ogrodów i plantacyi i mają powierzchowność nadzwyczajnie nędzną; wioski zaś japońskie przeciwnie zupełnie, zajmują obszerny przestwór, mają ulice regularne, ozdobione po każdej stronie domami porządnie zbudowanemi z drzewa. Każdy domek ma ogród. Czystość panująca na ulicach i w domach jest zadziwiająca. Mieszkańcy są nadzwyczajnie żywi i zadowolenie powszechne maluje się na wszystkich twarzach.

Kuryllowie południowi zdają się być pokoleniem zupełnie różnem od mieszkających na wyspach. Są silni, kształtni, nadzwyczajnie czynni i daleko pię-

kniejsi niż ich północni sąsiedzi; nakoniec, mówią zupełnie innym językiem. Podróżnicy którzy nam dostarczyli szczegółów o tym narodzie, wcale się nie zgadzają co do zarostu Kurylczyków. Kapitan Saris przebywając w Jeddo dowiedział się od pewnego podróżnego japońskiego, że mieszkańcy Jeso mają ciało obrosłe włosami, jak matpy. Potwierdzają to Spanberg i Broughton; Kruzenstera zaś przeciwnie twierdzi, że Kurylczycy nie są kosmatsi od innych ludów kuli ziemskiej; Gołownin znów który miał sposobność przypatrzenia się wszystkim ludom tego archipelagu, wspomina o kosmacych Kuryllach, jako o narodzie zupełnie różnym i oddzielnym.

Nakoniec przychylnie raporta gubernatora Matsmaju i pojmanie nawzajem w niewolę bogatego Japończyka przez kapitana Rikord, skłoniły cesarza iż rozkazał wypuścić Gołownina i jego towarzyszy po dwuletniem przytrzymaniu. Dzień ich uwolnienia był prawdziwą uroczystością dla dobrych Japończyków, którzy okazali z tego powodu radość najwyższą, a *Bungo*, czyli gubernator wyspy, rozkazał odmawiać przez pięć dni publiczne modły po wszystkich świątyniach, o szczęśliwą ich podróż. Gołownin często miał sposobność uważać uczciwość, przemysł i ogólną oświatę tego szczególniejszego narodu, Japończykowie nadzwyczajnie lubią książki i zawsze one ze sobą noszą.

Rząd Chiński podobnie jak Japoński, tak starannie unikał wszelkich stosunków z narodami europejskimi, że dzisiaj nie lepiej kraj ten znamy, jak nasi przodkowie przed dwoma wiekami. Ambassadorowie Rosyjscy i Angielscy w Pekinie, zebrali ważne objaśnienia; bezwątpienia dzieje poselstwa lorda Markartneja a później Amhersta, podróże Barrowa i innych, są równie nauczające jak i zajmujące, lecz one wzbogaciły tylko naukę jeografii niewiele nowymi faktami, i nader niedokładnie znalibyśmy wybrzeża Chin, gdyby nie prace misyjonarzy jezuitckich, którzy pomimo wszelkich utrudnień zdołali jednak zdjąć dokładną mapę tego kraju.

Przyznać jednak należy, że hydrografia owej części świata, wina jest ważne nader postępy dowódcom okrętów, które przywiozły do Chin poselstwo lorda Amherst, gdyż po wysadzeniu go na ląd, udali się oni dla przejrzenia zatoki Lea-Tong, do której żaden statek europejski dotąd się nieprzedarł. Zbliżając się do pobrzeża Tartaryi pod 39° 29' szerokości, postrzegli wielki mur chiński. Sławny ten szaniec ciągnął się w licznych zakrętach przez długi łańcuch pagórków i nikt wdali widnokregu na szczycie gór oddalonych. Mieszkańcy tego pobrzeża, jak się zdaje, niewidzieli nigdy Europejczyków, bo gdy jeden z officerów wyszedł na ląd i usiadł pod cieniem drzew, natychmiast go otoczył tłum ciekawych; ubior jego szczególnie zwrócił uwagę wszystkich, a guziki metalowe u munduru zdobne kotwicami, tak się im podobały, iż je na wyścigi brali w zamian za rozmaite przedmioty, za które niechcieli poprzednio przyjąć dolarów. Kobiety składały większą część widzów; wszystkie miały małe nóżki. Ci Chińczycy zdawali się być ucywilizowańszymi niżeli mieszkańcy prowincyi południowych, do których jednak z innych względów zupełnie podobni byli. Nieuszała uwagi officerów angielskich czystość domów i ogrodów, oraz zamożność jaką przedstawiały wszystkie wioski.

Kapitan Hall, w tymże czasie, opłynawszy na okręcie *Lyra*, zachodnie i południowe brzegi zatoki *Pe-Che-Le*, napotkał kapitana Maxwell dowódcę statku *Alcesta* przy wstępie do morza Żółtego, popłynęli wspólnie wzdłuż brzegów wschodnich. Odkryli kilka wysp które nazwano *gruppa sir Jakóba Hall*, potem skierowawszy ku południowi, ujrzeli jak tylko mogli wzrokiem zasięgnąć, morze okryte wyspami. Odwiedził naówczas obu kapitanów stary naczelnik krajowy, nadzwyczajnie ciekawy i grzeczny; lecz gdy ci odważyli się na ląd wysiąść, gość ich wpadł w gwałtowną rozpacz, przesunął rękę po szyi zamykając oczy, przez co chciał im dać poznać, że będzie miał

głową uciętą. Znalazłszy kawałek papieru w izbie okrętowej, nakreślił na prędce kilka wyrazów, które Anglicy kazali potem sobie wytłómaczyć w Kantonie, zawierały one to znaczenie: »*Nie wiem kto jesteście! Po co tu przybywacie!*

Zatoką *Bazylego* nazwali kraj leżący pod 30° 9' szerokości, a 126° 32' długości. Kapitanowie obu okrętów, kierując ku południowi, widzieli morze okryte nieprzeliczonemi wyspami, które lubo niewielkie były jednak wysokie. Mieszkańcy tłumnie wchodzili na wyższe miejsca aby się mogli przypatrzyć cudzoziemskim okrętom. Ze szczytu jednej z najwyższych gór narachowano 135 wysp; ład stały, także górzysty nader, oddalony był tylko o 50 mil ku wschodowi. Odnogi morskie przedzielające te wyspy, mają szerokość od 1 do 3 niekiedy nawet i 4 mil, wszystkie wydają się być wybor-nemi portami, mogącemi pomieścić w sobie wszystkie statki całego świata; tworzą one bowiem istotnie nieskończony łańcuch przystani, połączonych ze sobą ciasnemi kanałami. Ponieważ wszystkie te wyspy są zamieszkane, widoczną więc jest rzeczą, że posiadają źródła świeżej wody. Wyprawa ta pomie-dzy innymi rezultatami i ten odniosła, iż dowiedzionem zostało, że wschodnie pobraże półwyspu Korei; mieszczono było dotąd na mappach o 130 do 150 mil dalej na zachód od prawdziwego swego położenia, i że obeznała z obszernym archipelagiem pierwiej nieznanym, gdyż owe wyspy stykające się prawie ze sobą, były dotąd uważane za ład stały.

Po ukończeniu ważnej pracy zdjęcia planów, kapitanowie Maxwell i Hall udali się do wysp *Loo-Choo* czyli *Leke-yo*, o których Europejcykowie posiadali bardzo niedokładne wiadomości. Dla znalezienia wymówki iż wpuścili do portu wielkiej wyspy *Loo-Choo*, napełniono wodą spód okrętu *Alcesta* i

takową pompami wypuszczano, jak gdyby woda przedzierająca się do okrętu. Wyspiarze, wzruszeni położeniem żę-glarzy, posłali na okręt kilku cieśli, którzy dopomogli majtkom do zatkania otworu.

Następnie naczelnicy wyspy zwiedzi-li okręta i zawiązano stosunki przyja-cielskie z krajowcami. Jeśli można wierzyć kapitanom Maxwell i Hall, to wy-spa ta jest jednem z najprzyjemniej-szych i najpiękniejszych miejsc, jakie tylko znaleźć można na powierzchni ku-li ziemskiej. Grunt jej i klimat hojnie są uposażone we wszystkie plody kró-lestwa roślinnego. Zarówno tam wzra-stają obok siebie bananás Indyjski jak i jodła Norwęgka, pomarańcza i cy-tryna, herbata i trzcina cukrowa. Wy-spa zlaną jest licznemi i pięknemi rze-kami, i mieści kilka portów wygodnych i bezpiecznych dla okrętów ją zwiedza-jących.

Krajowcy z *Loo-Choo*, niezmiernie są mali, średni wzrost mężczyzn nie-przechodzi 5 stóp i 2 cale; nawet i zwierzęta są tam mniejsze i chudsze jak w innych krajach. Wyspiarze wyró-wnywają co do piękności mieszkańcom południowej Europy, i zupełnie byli-by podobni do Chińczyków, gdyby mieli oczy równie jak tamci oddalone od siebie. Zdawali się być bardzo poje-tnemi, jeden z nich w krótkim czasie znaczne uczynił postępy w języku angielskim. Nadzwyczajnie są grzeczni i wolni od wszelkich ceremonii tak nie-znośnych na Wschodzie.

Alcesta wracając do Batawii, uderzy-ła o skałę koralową w cieśninach *Ban-da*. Ambassador z innemi 46 osobami popłynął do Batawii we dwóch szalu-pach, z wezwaniem o pomoc dla swych towarzyszków. Historia tych nieszczę-śliwych, którym ciągle zagrażali mor-scy rozbójnicy malajscy, przedstawia godny uwagi przykład karności, zaszczy-cającej marynarkę angielską.



ROZDZIAŁ XLV.

PODRÓŻE BRUSEGO.

Bruse mianowany konsulem w Algierze. — Jego podróże po pobrażu Barbaryi. — Lew zwyczajnym pożywieniem Arabów. — Zkamieniałe miasto Ras-Sem. — Balbek i Palmira. — Przyjęcie Brusego w Kairze. — Płynię w górę Nilu. — Podróż w pustyni. — Idda. — Góra szmaragdowa. — Handel. — Góra Taranta. — Zwaliska Aksum. — Bifszyk żyjący. — Bruse przybywa do Gondar. — Przyjęty u dworu. — Ras-Michat. — Zwiedza wodospady Alata. — Niezgody domowe. — Widzenie się Brusego z Fazilem. — Bruse mianowany gubernatorem Geesh. — Jego podróż do źródeł Nilu. — Jego siostrzyna Asana. — Zabobony gminu. — Opis wodotrysków. — Radość naszego podróżnego. — Jego zastugi. — Jego próżność.

Ze wszystkich opisów podróży, które po dziś dzień posiadamy, ten który udzieliemy w tym rozdziale niewątpliwie jest najprzyjemniejszym i najbardziej nauuczającym. Jakób Bruse, potomek zamożnej i znakomitej rodziny w północnej Anglii, powziął od młodości zamiar odkrycia źródeł Nilu, i rozwiązanie tym sposobem ważnego zagadnienia, które od najdawniejszych czasów, tak mocno zajmowało uwagę świata uczonego. Przebiegł najprzód część Europy, i zatrzymawszy się w Hollandyi, gdzie kwitnęła jeszcze szkoła Eperniusa i Schultensa, nauczył się tam języków arabskiego i etyopskiego, matematyki i astronomii praktycznej. Roku 1762, został mianowany konsulem w Algierze; udał się z skwapliwością na miejsce swego urzędowania, zaopatrzonego wyborynym zbiorem narzędzi potrzebnych do uważania przejścia Wenery, i z mocnym postanowieniem nauczenia się języka arabskiego, jakim tam mówiono, gdyż znał tylko język pisany. Niedługo jednak sprawował swój urząd. Nieporozumienie zasłało na początku r. 1765 z Dejem, zmusiło go do proszenia o uwolnienie od obowiązków. Przedsięwziął naówczas podróż na Wschód, do której przebywając w Algierze zupełnie się przygotował. Zwiedził wszystkie punkta pobrażu Barbaryjskiego, gdzie miał nadzieję znaleźć jakowe ślady starożytności. W Hydrze (Tunodu-

num starożytnych), niedaleko granic Algieru i Tunisu, trafił na pokolenie arabskie, zwane Synami Ojca Trzód, tworzy ono pewien rodzaj bractwa religijnego i wojskowego, naczelnik jego uważany jest za świętego. Reguła nakazuje wszystkim jego członkom żywić się codziennie mięsem lwim; wszyscy przeto jego członkowie są śmiałymi i zręcznymi łowcami. Bruse jadł lwie mięso, i znajduje że jest chude, twarde, ma smak nieprzyjemny i cuchnie piżmem.

W *Ibbel Aurez* nadzwyczajnie się zdziwił ujrzawszy w górach pokolenie, mające oczy błękitne i płeć piękną. Uważa on dzikie i niepodległe to pokolenie, za ostatni szczytek starożytnych Wandalów. Przemieszkował on w ich chatkach zbudowanych z błota i słomy.

Z *Ibbel Aurez*, Bruse udał się do Ras-Sem, przebywszy Arsinoe i Barkę, w celu zapewnienia się o prawdziwości podania, bardzo upowszechnionego w Afryce a nawet i w Europie, o istnieniu zkamieniałego miasta w środku pustyni. Jak powiadano mieszkańcy Ras-Semu zachowują dotąd tę samą postawę, w jakiej znajdowali się podówczas, gdy zostali ugodzeni pomstą niebios. Pewien konsul francuzki w Tripolis, przyrzekł znaczną nagrodę kilku Arabom, opowiadającym tę historję, jeśli mu dostarczą którego z owych zkamieniałych ludzi; nareszcie po długim wahanu, przynieśli mu uszkodzony posąg,

znaleziony zapewne pomiędzy zwaliskami na pobrzeżu. Bruse uniknąwszy szczęśliwie zgonu w porcie Bengazi, zwiedził wyspy Rodus, Kretę i Cypr, następnie Sydon, góry Libanu i Anty-Libanu. Później przejrzał szacowne zwaliska Balbeku i Palmiry, i gdy wahał się gdzie się ma udać, doktor Russell nakłonił go aby zwiedził Abissynią. Gdy Bruse zwiedzał Egipt, kraj ów nie był tak przystępnym dla cudzoziemców jak dzisiaj. Churześcianie byli wystawieni na wszelkiego rodzaju obelgi, i potrzebowali wielkiej odwagi i zręczności, aby mogli ująć niebezpieczeństw ciągle im zagrażających; szczęściem przybył do Kairu, sekretarz Ali-Bena baszy Egiptu, imieniem Risk, zupełnie rządzący swoim panem, ów potężny minister miał nadzwyczajną namiętność do astrologii. Narzędzia Brusego przejrzone na komorze, spowodowały w umyśle jego tak wielkie wyobrażenie o ich właścicielu, że mu przyrzekł natychmiast opiekę Beya.

Bruse w czasie swego pobytu w Kairze, mieszkał w klasztorze Świętego Jerzego, znalazł tam dawnego przyjaciele, duchownego greckiego, który go uczył po grecku w Algierze. Były nauczyciel wyniesiony na drugą godność Kościoła greckiego w Egipcie; nie tylko udzielił swemu dawnemu uczniowi mnóstwo objaśnień i rad szacownych pod względem zamierzonej podróży; lecz nadto wystarał się o listy rekomendacyjne, adressowane do wszystkich głównych dygnitarzy kościoła greckiego, tak w Egipcie jak i w Abissynii. 12 Grudnia r. 1768, Bruse wsiadł na statek w Kairze, dla popłynienia w górę Nilu. Nędzą i poniżenie ludu, działy na nim żywsze wrażenie, niżeli płodność gruntu; czwartego dnia dopiero krajobraz zwrócił na siebie jego uwagę. Nil miał milę szerokości, znaczną głębokość i prąd bystry. Brzegi okryte wioskami, ocienione pięknymi palmami, przedstawiały ów jednolity widok, trudzący w Hollandyi czy podróżnych. W wiosce zwanej Rhoda, widział wspaniałe zwaliska starożytnego miasta Antinous, zbudowanego przez cesarza Adryana.

Nieszczęściem niesłyszał o nim w czasie swego pobytu w Kairze, niezaopatrzył się przeto w paszporta i polecenia tak potrzebne do bezpiecznego ich zwiedzenia.

Niedaleko od Denderah, postrzegł pierwszego krokodyla; wkrótce odkrył ich kilkaset, rozciągniętych na wypach jak stada baranów. Mieszkańcy Denderach jednak kąpią i poją wszystkie domowe zwierzęta w wodach rzeki, zostawiając w nich niekiedy po całych godzinach. Kobiety przychodzące po wodę, także kąpią się niekiedy w Nilu, a nigdy niebawą zaczepiane od krokodyłów.

Płynąc ciągle w górę rzeki, Bruse przybył wkrótce do Furshout, gdzie zwiedził klasztor mnichów włoskich. To miasto liczy najmniej 10,000 mieszkańców, leży na obszernej i uprawnej płaszczynie, okrytej zbożem i trzcina cukrową. Ponieważ mocny deszcz padał ciągle noc całą, mieszkańcy przejęci trwogą, oświadczyli naszemu podróżnemu, że się lękają, aby miasto zniszczone nie pozostało. Deszcz bardzo rzadko pada w tej części Egiptu. Wrótkowie, wezwani dla wytłómaczenia tego zjawiska, odpowiedzieli iż to oznacza zagubę rządu, przepowiednia ta istotnie spełniła się niezadługo.

16 Lutego r. 1796, Bruse oddalając się od Nilu, ruszył z karawaną, aby się udać przebywając pustynią do Kenne, (*Coene Emporium* starożytnych). Przy studni zwanej Birambar czyli Korzenną, przypatrzył się szczególnem domostwom Azaizów, biednego pokolenia Arabskiego: chaty ich są zrobione z ziemi garncarskiej, w jednej sztuce, w kształcie ulów; największa ma zaledwie 5 łokci wysokości a 3 łokcie średnicy. Droga przechodzi przez otwartą płaszczynę, okoloną na widokregu pagórkami piasku i drobnego zwiru; nieznachodzi się tam śladu żadnego żyjącego stworzenia; niewiada nawet antylop i strusi, owych zwyczajnych mieszkańców najokropniejszych pustyni. Na jednej stacyi, karawana powiększyła się dwudziestu Turkami z Karamanii, których słabość ułożenia, powaga i czystość,

łatwo odróżniały od Arabów. Zostali oni zrabowani przez tłuszcę włóczęgów. Jak się tylko dowiedzieli że Anglik podróżuje z karawaną, ubiegali się o pozyskanie jego przyjaźni jako współrodacy, gdyż jeśli wierzyć mamy Brusemu, Turcy mniemają, że naród angielski pochodzi pierwsiastkowo z obwodu zwanego Kaz-Dagli, na granicach Karamanii; dla tego też mienia się zawsze krewnymi Anglików których napotyka ją, nadewszystko gdy potrzebują ich pomocy.

Bruse opowiada później, że podróżując z Terfoowej do Kosseir, widział kilka nagich gór jaspisowych, granitowych i marmurowych, wszelkiej rozmaitości kolorów, szczególnież czerwonych i zielonych. Przepuszczał zatem, że morze Czerwone musiało brać swą nazwę od owych pagórków, ciągnących się aż do jego brzegów, a które po większej części składają się z czerwonego marmuru. W Kosseir, wsiadł na mały statek arabski, którego deski były pozszywane z sobą. Celem jego podróży było zwiedzenie wyspy, zwanój przez Arabów *górzą Szmaragdową*, nazwa ta przedstawiała nieprzewyciężony pociąg dla podróżnika, zwłaszcza tak namiętnie lubiącego cudowność jak on. Znalazł w niej kilka zielonych kryształów, znanych na wschodzie pod ogólną nazwą szmaragdów; lecz ponieważ te kryształy nie są prawdziwemi szmaragdami jubilerów europejskich, usiłuje więc odebrać owój cudownój górze niestuszenie nadany jej przez Arabów tytuł.

Idda, którą następnie zwiedził, tak nędną przedstawiała pozór, że jej handel i sposób w jakim się odbywał, wielce go zadziwiły. Anglicy wysyłają na kredyt kosztowne ładunki kupcom arabskim i tureckim, których wcale nieznają; układy te odbywają się za pomocą meklerów indyjskich, którzy nie są ani machometanami ani chrześcianami, lecz posiadają zaufanie u ludów wyznających obie te wiary. Siedząc na kobiercu, biorą szal indyjski którym okrywają ramiona i ręce; potem rozmawiają o potocznych rzeczach, o przybyciu okrętów z Indyi, lub dziennych wiadomo-

ściach, jak gdyby się wcale nieznajmowali interessami. Przez 20 blisko minut dotykają się nawzajem rąk swoich, ukrytych pod szalem, i tak targu dobijają, niewyrzekłszy ani jednego wyrazu, ściągającego się do sprzedanych przedmiotów, nieużywszy ani piór, ani atramentu dla ułożenia warunków.

Idda jest najzdrowszém miejscem na całym pobrzeżu odznaczającym się swoją szkodliwością. W wschodniej stronie miasta, wyszedłszy z bram jego, zaczyna się okropna pustynia, wśród której Beduini pobudowali sobie chaty z pęków trzciny. Ci Beduini zaopatrują lidę młkiem i masłem. To miasto winno swoją ważność korzystnemu położeniu nad brzegiem morza. Towary indyjskie, wypakowane w jego porcie wysyłane są do Meki, z kąd je następnie rozwożą na wszystkie punkta wschodu.

Pomimo listów rekomendacyjnych, które gubernator Iddy dał mu do nabywania w Masuah, jednak Bruse z wielką trudnością uszedł zdzierstwa owego naczelnika; puścił się nareszcie w dalszą drogę do Abissynii. Droga którą się udał, przechodzi najprzód przez wąską i nagą płaszczyznę, z której ujrzał trzy następujące po sobie łańcuchy gór Abissyńskich; pierwszy składa się z urwistych pagórków, zupełnie odkrytych chrustami; drugi jest nieco wyższy, bardziej stromy, dziksz i nieplodniejszy; trzeci zaś utworzony z nieprzerwanego ciągu skał i wybiegłych igieł, byłby uważany we wszystkich krajach europejskich jako bardzo wysoki. Po tym umiarkowanym opisie, autor nasz dodaje nierozważnie: »Niezmierna masa, góra Taranta, wznosi się po nad wszystkimi temi szczytami. Góra ta niewątpliwie jest najwyższą na całej kuli ziemskiej; ostatni jej szczyt, nikt nie zupełnie w chmurach, w ówczas jest tylko widocznym gdy niebo jest pogodne; w każdym innym czasie, gęste mgły i wieczne ciemności kryją go przed wzrokiem podróżnych. Błyskawice, pioruny i burze, rozrywają, wstrząsają i burzą strome boki tej góry.»

Zchodząc z góry Hamhamon, ujrzał kilka chat pokolenia Hazorta, którego

całą żywnością jest mleko trzód jego. Bydło gryzło gałązki drzew i chróstów, zamiast paść się na bujnych i pięknych pastwiskach pagórków pobliskich rzece. Drzewo kaparowe, dochodzi w tym kraju, wysokości wiązu angielskiego.

Liczne stada antylop, czyli kóz dzikich przebiegały drogę naszemu podróżnemu, gdy się wdzierał na pagórki leżące u stóp góry Taranta, hyeny zbiegały się natychmiast w około karawany, i długo ją ścigając, nakoniec porwały osła. Bruse opowiada z zwykłą sobie nadętością, trudy jakich doznał w przeniesieniu swoich narzędzi na wierzchołek góry Taranta. Jeśli można mu wierzyć, płaszczyna tworząca szczyt owęj góry, jest może najwyższą w świecie. Wydaje jednak wymienitą pszenicę, chociaż jej słoma zaledwie na czternaście cali jest wysoka. Mieszkańcy tej wzniosłej płaszczyny, różnią się cerą i charakterem, od mieszkańców dolin czyli płaszczyn niższych. Liczne trzody pasły się na wzgórzach; krowy były zupełnie białe, także miały rogi a sierć długą jedwabnistą.

Diksan, pierwsze miasto, które się natotyka u spodu abissyńskiej pochyłości Taranty, jest dość znaczne, podwójna jego ludność chrześcijańska i maurytańska, dzieli się na dwie równe części. Jego mieszkańcy jednym tylko trudnią się handlem, to jest handlem dzieci; Diksan jest wielkim targowiskiem, na które wszyscy rozbójnicy i porywający dzieci z całej Abissynii przybywają zbyć płody swego obmierzłego przemysłu. W Adowie, Bruse widział zamożną i piękną przedziałnię bawelny, i przyjęty został z szczególną gościnnością przez kupca abissyńskiego nazwiskiem Jauni, do którego przywiózł listy polecające. W okolicach tego miasta bywa corocznie trzykrotnie żniwo odbywane; a jednak pomimo wszystkich korzyści gruntu i klimatu, dzierżawcy abissyńscy są zawsze biedni i nędzni. Opuściwszy Adowę, Bruse przebył zwaliska Aksumu, dawniej stolicy Abissynii. Wszedł w okolicę tak zamożną i malowniczą, że sam jej widok byłby dostatecznym wynagrodzić mu wszelkie

trudy podróży. Podczas pobytu na tej szczęśliwej ziemi wydarzyła mu się przyгода, której opis spowodował wątpliwość o jego prawdomówności.

»Wkrótce, mówi on: gdyśmy stracili z oczu zwaliska dawniej stolicy Abissynii, postrzegliśmy trzech ludzi pędzących przed sobą krowę. Mieli oni wszyscy na sobie skóry kóz czarnych, i byli ubrzeni włóczniami i puklerzami; z resztą powierzchowność mieli żodnierzy. Krowa była za chudą na zabicie, wnosiliśmy więc że musiała zostać skradzioną. Raptem ci trzech ludzie zatrzymali krowę, i zadali jej w głowę raz tak gwałtowny, iż padła na ziemię; następnie jeden z katów usiadł na niej, a porwawszy za rogi, zadart jej głowę, drugi związał sznurem przednie jej nogi, tymczasem trzeci, trzymający nóż w ręku, zamiast go pograć w jej gardle, rozpruł jej brzuch i zadał głęboką ranę w wyższą część grzbietu.» Bruse oddał się już aby niebył świadkiem podobnego widoku; lecz dowiedziawszy się, że ci ludzie nie chcą zabić krowy, ciekawość jego przemogła nad czułością, powrócił więc i ujrzał z wielkiem swoim podziwieniem, że kaci wykroili z grzbietu swęj ofiary dwa kawały mięsa, daleko grubsze i dłuższe jak zwyczajne sztuki bifszyku. Skóry nieoderzneli i owszem przyłożywszy ją do rany, przytwierdzili mocno małemi szpilkami, okryli wszystko plastrem ugniecionym z ziemi, zmusili krowę powstać i znów ją popędzili przed sobą. — Jakieśmy wyżej wspomnieli, powieść ta znalazła wielu niedowiarków. Inni pisarze przeciwnie, wyobrażali sobie, że Abissyńczykowie bardzo lubią surowe mięso, i że tym sposobem go nabywają. Lecz wyłączone to okrucieństwo nie powinno być uważane za pospolity zwyczaj, i jeśli Bruse był istotnie świadkiem czynu który opowiada, nienależy ztąd koniecznie wnosić, że Abissyńczykowie tym sposobem wyrzynają kawały mięsa żywym zwierzętom.

Droga do Gondar stolicy Abissynii, przechodzi przez górę Lamalmon, która, pomimo swęj wysokości, okryta jest

wspaniałemi polami zarosłemi zbożem. Górale w tych okolicach są czynni i przemyślni. Zachowali pierwotne swoje obyczaje i daleko wygodniejsze prowadzą życie, niżeli wszyscy inni Abisyńczykowie. Mieszkańcy też płaszczyzn przypisują tę wyższość ich znajomości czarnoksiężtwa. Na płaszczyznach leżących pod Lamalmonem, uprawiano w ówczas kilka plantacyi trzciny cukrowych, które tam zasiano. Prowincya Woggora, sąsiednia prowincyi Gondar, jest jedną z najurodzajniejszych w całej Abissynii; a jednak pomimo trzykrotnego corocznie żniwa, mieszkańcy jęj są ubodzy i nędzni. Niezmierne chmury wielkiej szarańczy, tłumy szczurów i myszy, daleko srodzej uczuwać się dające w okolicach miasta niż gdzie indziej, a szczególniej błędy barbarzyńskiego rządu, są głównemi przyczynami nędzy pospólstwa w kraju tak żyznym.

Gdy Bruse przybył do Gondar, Król i Ras-Michał, gubernator prowincyi, właśnie wyjechali z innemi znakomitemi osobami dworu którym był poleceny. Może też byłby doznał kłopotu, gdyby nie dobroć jego towarzyszków maurytańskich, którzy mu udzielili wybornych rad jak miał postępować. Jego przyjaciel Janni pisał także z Adowy do pewnego Abissyńczyka, równie zamożnego, jak i wielki wpływ mającego, nazwiskiem Ayto-Aylo, polecając mu znakomitego cudzoziemca, udającego się do stolicy. Tegoż samego wieczora za przybyciem do Gondar, odwiedził Brusego Ayto-Aylo, który z wielkiem zadowoleniem przekonał się, że gość jego rozumie doskonale dwa rodzowe narzecza Abissynii, tarantowaty i amharyka, i że zna nieco język arabski. Ayto-Aylo rozumiał istotnie ów język, lecz nieumiał ani czytać ani pisać i sam bardzo źle nim mówił. Z resztą, byli w Gondar tłómacze wszystkich języków. Prowadząc czas jakiś rozmowę złą arabszczyzną, Bruse i Ayto-Aylo użyli narzecza tarantowatego, który ogólnie wszedł w modę od chwili jak Michał przywłaszczył sobie najwyższą władzę. Aylo niezmiernie się

zadziwił, usłyszawszy Brusego tak do brze mówiącego tym dyalektem, wykrzyknął że niczego niepowinien się lękać, i że przedstawięcie jego niezawodnie się powiedzie.

Gdy Bruse przybył do Abissynii, gwałtowne wstrząśnienia polityczne zaburzały tém państwem. Michał, rządcą Tygrei, zamordowawszy monarchę, przywłaszczył sobie najwyższą władzę, lubo dozwolił niedoświadczonemu dziecieniu zasiąść na tronie, dla zwiększenia wpływu swojego ożenił się z Ozo-ro Esterą, córką królowej matki. Nasz podróżny był przedstawionym tej damie jako Francuz i doktor, gdyż machometanie powszechnie mniemają, że wszyscy francuzi są lekarzami. Otrzymaawszy polecenie leczenia jęj dzieci, chorujących na ospę, przepisał im wstrzemięźliwość i czystość. Te środki tak proste, uzdrowiły wszystkich powierzonych jego staraniom, i niewiasty rodziny królewskiej, które same tylko zachowały wpływ swój wśród tych zaburzeń, jak najżywszą oświadczyły mu wdzięczność. W ówczas został przedstawionym straszliwemu Ras-Michałowi. »Był to, mówi: starzec chudy, którego białe kręcone włosy tworzyły niezliczone mnóstwo małych, krótkich pukielków; twarz jego posępna i surowa, niewyrażała jednak najmniejszego nieukontentowania; żywe i przenikliwe jego oczy, zdawały się cierpieć z zetknięcia z zewnętrznem powietrzem. Mógł mieć sześć stóp wysokości, chociaż z powodu kulania niemogłem dokładnie zmierzyć wzrostu jego. Trzeba byłoby nader złym fizyonomistą, aby niepoznać w nim, na pierwszy rzut oka, człowieka pojętnego i do wszystkiego zdolnego; każde jego spojrzenie wyrażało myśl, lub uczucie, niepotrzebował też, chcąc się dać zrozumieć, używać innej mowy, prócz oczu i dla tego jak najmniej mówił.» Bruse został mianowany przez młodego monarchę gubernatorem prowincyi Ras-el-Feel, lecz urząd ten złał na jednego ze swoich przyjaciół, zwanego Yasin.

Nareszcie po usilnych proźbach otrzymał pozwolenie udania się do źró-

del Nilu i wyruszył tam 4 Kwietnia r. 1770; wkrótce dostał się do jeziora Tsana, największego z jezior abisyńskich, ma ono 49 mil długości, a blisko 35 szerokości. Jednak rozległość jego zmienia się z porami roku. Abisyńczykowie, którzy podług zdania Brusego, są wielkimi kłamcami, utrzymują że na powierzchni jeziora Tsana, znajduje się 45 wysp, on jednak zmniejsza tę ilość do 11. Widział na jego brzegach mnóstwo hipopotamów, czyli koni wodnych; jedne z nich pływały nieopodal od brzegu; inne napastły się trawą, spokojnym przechadzały się krokiem; lecz przestraszone widokiem ludzi, zagrażyły się i zniknęły pod wodą.

Po kilku dniach pochodu przybył do wodospadu Alaty, zwanego w Abisynii drugą kataraktą Nilu. Rzeka zwykle w tym miejscu szeroka na pół mili, zwiększona w ówczas deszczami, spadała jedną masą wody, z wysokości 40 stóp z straszliwą mocą i łoskotem. »Wodospad Alata, mówi Bruse: przedstawia widok tak wspaniały, iż wieki dodane do najdłuższego życia ludzkiego niezdolałyby wygładzić jego wspomnienia z mojej pamięci; w takie wpadłem ośłupienie, że zupełnie zapomniałem o wszystkim co maie zajmowało na ziemi.«

Wybuch uraganu politycznego przerwał podróż Brusego. Fazil, naczelnik pokolenia Galla, podniósł oręż przeciw Michałowi, pod pozorem pomśzczenia zgonu ostatniego monarchy, część szlachty abisyńskiej z nim się połączyła. Oba nieprzyjacielskie wojska spotkały się; Michał został pokonany i uszedł, a Fazil stał się władcą Gondaru. Bruse, który niechciał zaniechać swęj podróży do Nilu, był zmuszony złożyć hołd temu na wespół barbarzyńskiemu monarsze. Gdy wszedł do jego namiotu, zastał Fazila siedzącego na poduszce okrytej lwią skórą; druga lwią skóra leżała rozciągnięta pod jego nogami jak kobierzec; głowę miał owiazaną kawałem kalikotu. Objeście Fazila odpowiadało jego powierzchowności, Bruse miał z nowym monarchą nader żywą sprzeczkę, z powodu zamierzonej podró-

ży do źródeł Nilu. Jednak jedli razem nazajutrz śniadanie, składające się z miodu, masła i podostatkiem surowej wołowiny. Kilka podarków ukołło gniew Fazila, nietylko dozwolił swojemu gościowi udać się dla zwiedzenia źródeł Nilu, lecz nawet powierzył mu zarząd obwodu Agow-Geesh, w którym źródła te leżą. A ponieważ Bruse nie miał przewodników, przeto i tych mu dostarczył: »Słuchaj, rzekł do niego: widzisz tych siedmiu ludzi, (nigdy Bruse bardziej przerażających niewidział poczar), są to naczelnicy pokolenia Galla, dziocy, jeśli tak chcesz, jednak dla tego są twemi braćmi; możesz przebiegać ich kraj jakby do ciebie należał, a nikt się nieośmieli co złęgo ci uczynić.«

Przemówił potem do owych siedmiu przewodników, którzy mu odpowiedzili dzi kim zawyciem i uderzyli się w pierśi na znak posłuszeństwa. Lecz to jeszcze niewszystko; Fazil dał Brusem własnego konia, którego miał prowadzić przed sobą jako rodzaj paszportu gdyż w pokoleniu Galla, koń wodza również jest szanowany jak sam wódz.

Tak zaopatrzony we wszystko, dostał się nareszcie Bruse do Nilu, w miejscu, gdzie miał tylko 260 stóp szerokości. Nadzwyczajnie się uradował gdy się dowiedział, że Agowsowie osiedli nad brzegami tej rzeki, czcili ją jako bóstwo. Niechcieli pozwolić osobom składającym karawane, aby ją przebywały konno; nalegali nawet aby pozdejmowano trzewiki. Pokonawszy wszelkie trudności, dopiął Bruse nakoniec upragnionego celu swęj podróży. Zaledwie wskazano mu palcem miejsce z którego Nil bierze swe źródło, pobiegł z pośpiechem, i zatrzymał się, upojony szczęściem i radością, na małej wysepce, zastanej zielonym trawnikiem, który zapewne był dziełem ludzi, gdyż miał kształt ołtarza. Z pośrodku tej wyspy wypływa główne źródło rzeki. »Dostałem się nakoniec, zawołał w zapale tryumfu, do tego miejsca, które wyzywało jenuisz, pojęcie i odwagę wszystkich ludów starożytnych i tegoczesnych, przez ciąg trzech tysięcy lat. Królowie usi-

łowali odkryć je, na czele swych wojsk, wyprawy te różniące się od siebie tylko liczbą ofiar; wszystkie, bez wyjątku nieudaly się. Stawę, bogactwa, zaszczyty, wszystko zgola przyobiecawali ci monarchowie przez długi ciąg wieków owym miriadom ludzi któremi rządili, a jednak nieznalazł się dotąd ani jeden z tych poddanych, któryby zaspokoił tę ciekawość, pomścił ludzkość za obelgi od tak dawna doznawane, i zbogacił tak znakomitem odkryciem naukę geografii."

Bruse drobnostkowo opisuje 3 źródła, które nazywa źródłami Nilu. Agosowie, mieszkańcy tego okręgu, poświęcali corocznie czarną jałowicę głównemu źródłu, i oczyściwszy ją starannie w wodach rzeki, rozdzielali na równe części pomiędzy naczelników pokolenia, którzy zjadali mięso, a kości na popiół palili. Zdejmują zawsze obuwie, gdy się zbliżają do tego uwielbionego miejsca; niekapią się nigdy i niepiorą swych szat w wodach tej świętej rzeki, lecz udają się w tym celu nad brzegi małego strumienia, wpadającego do Nilu. Bruse za pomocą postrzeżeń astronomicznych, oznaczył dokładnie położenie miejsca owych źródeł, a doświadczenia z barometrem przekonały go, że płaszczyzna z której wypływają, wyniesioną jest blisko na 2 mile nad poziom morza.

Bruse dosięgnąwszy zamierzonego celu, udał się z powrotem do Egiptu przez Sennaar i pustynie Nubijskie. Niebezpieczna ta podróż trwała 11 miesięcy; nareszcie stanął w Syenie w Egipcie, a 10 Stycznia 1775, przybył do wielkiego Kairu, z kąd z wszelką łatwością wrócił do Anglii.

Bruse ma tę zasługę, że pierwszy przedsięwziął tak długą i niebezpieczną podróż własnym kosztem, że zwrócił u-

wagę świata uczonego na zagadnienie, o którego rozwiązanie starano się tak długie lata; lecz gdy ogłosił swoje drukiem podróże, znalazły one tylko początkowie samych niedowiarków, pierwsze to szkodliwe wrażenie zaledwie się zaczynało zacierać, gdy główne fakta zawarte w dziele jego, potwierdzone zostały świadectwem innych nowszych podróżników, szczególniejsz lorda Valentia i pana Salt. Bruse nigdy niezmieniła kłamstw dla zabawy swoich czytelników, lecz musi być za takiego uważanym, gdyż na każdej stronicy swjej książki przedstawia się jako bohater, a te przechwałki czynią go tylko śmieszniejszym, i odejmują mu wszelką ufność, jakaby mógł pozyskać. Szczęści się nadewszystko, iż odkrył źródła Nilu, lecz najstaranniejsz unika wspomnieć swym czytelnikom, że Nil którego początku zawsze napróżno szukano, był *Bahr el Abiad*, czyli Rzeka Biała płynąca od Zachodu, i jak sam to wyznaje w ciągu swego opowiadania, rzeka ta przechodzi cō do wielkości *Bahr-El-Azerg*, czyli Rzekę-Błękitną, która wypływa z Abissynii, a której on zwiedził źródła. Usiłuje także ukryć przed publicznością i nawet przed sobą samym, że źródła *Bahr-El-Azerg* były już poprzednio zwiedzone przez innych podróżnych, a między innymi przez Portugalczyka Pazyz, który w tych samych wyrazach opisał góry Geesh, coroczną ofiarę krowy na cześć rzeki, i wodospad Alata. Jeśli Bruse niezawiodł łatwości publicznej, utrzymując iż zwiedził źródła Nilu, popełnił jednak zawsze wielką winę, iż ukrył przed swemi czytelnikami fakta, mogące zmniejszyć świętność odkrycia, którego jak sam się wyraża, niezdolali nigdy dokonać najwięksi bohaterowie starożytności.



ROZDZIAŁ XLVI.

PODRÓŻE MUNGO-PARKA.

Towarzystwo Afrykańskie. — Ledyard. — Lukas, Hughton. — Mungo-Park przedsiębierze podróż do Nigru. — Przyjęcie jego na dworze króla Bondu. — Zmuszony jest ofiarować swoją suknię. — Jego widzenie się z żonami królewskimi. — Dobroć i weselość murzynów. — Lotus. — Mungo-Park pojmany w niewolę przez Maurów. — Jego cierpienia i ucieczka. — Jego podróż w pustyni. — Pierwszy widok Nigru. — Sego. — Spiewy kobiet czarnych. — Bambara. — Masło roślinne. — Mungo-Park przymuszony podróżować pieszo. — Jego przybycie do Silla. — Objaśnienia dotyczące geografii wnętrza kraju. — Wymuszony powrót. — Niepowodzenia. — Spotkanie Kafili. — Mungo-Park przybywa nad brzeg morza. — Przedsiębierze powtórna podróż. — Wyprawa rozproszona przez pszczoły. — Studnia złota. — Choroby w czasie pory dżdżystej. — Wyprawa płynie Nigrem. — Jej przyjęcie w Bambara. — Mungo-Park buduje czółno w Sansanding. — Stan wyprawy. — Zgon Mungo-Parka i jego towarzyszków.

Druga połowa ośmnastego wieku tworzy jedną z najznakomitszych epok w dziejach geografii. Nigdy może rozmaite ludy kuli ziemskiej nieprzedsięwzięły tyle podróży odkrywczych; nigdy nadewszystko skutki owych podróży niezająły mocniej uwagi publicznej. W owym ogólnym ruchu wszystkich umysłów, Anglia odznacza się szczególniej. Gdy jej okręta usiłują otworzyć sobie nowe drogi na wszystkich morzach; tymczasem w Londynie, r. 1778 tworzy się towarzystwo, pod nazwą Ztowarzyszenia afrykańskiego, w celu wysyłania swym kosztem ludzi śmiałych i przedsiębierczych na zwiedzenie krain Afryki środkowej aż dotąd nieznanych. Od powstania tego towarzystwa zaczyna się nowa era dla dziejów stałego łądu afrykańskiego.

Pierwszym podróżnym wysłanym przez ztowarzyszenie afrykańskie, był ten sam człowiek który, jakieś już powiedzieli w jednym z poprzednich rozdziałów, usiłował przedrzeć się łądem do Kamezatkan, w chęci przebycia stałego łądu amerykańskiego aż do Stanów-Zjednoczonych. Ledyard przybywszy do Kairu w miesiącu Sierpniu r. 1778, zajmował się czas jakiś zasięgnięciem objaśnień od handlarzy niewolników, i obeznaniem się z obyczajami pospółstwa. Zamierzał przyłączyć się do

karawany udającej się do Sennaar, zkąd chciał puscć się na zachód ku Nigrowi, lecz nagle zapadł na żółciową gorączkę i w kilka dni umarł.

Lukas, następca Ledyarda, przebywał 16 lat w Maroku i umiał doskonale po arabsku. Gdy ztowarzyszenie przyjęło jego usługi, wyruszył z Trypolis w Lutym roku 1789, z karawaną dążącą do Fezzan, prowincyi położonej w samym środku wielkiej pustyni. Lukas dał nam dokładny opis stolicy tej prowincyi, zwaney Morzuk; jej mieszkańcy dostarczyli mu szacownych objaśnień, dotyczących się kraiu wewnętrznego.

Jednak niepokonane trudności, jakie przedstawiała podróż przez pustynię Sahara, skłoniły ztowarzyszenie do szukania innej drogi, którą by się dostać można było w głąb Afryki, a uwaga głównych jego członków zwróciła się na ludne prowincye, sąsiednie Gambii. Mniemano, iż udawszy się tą nową drogą, będzie się można dostać prędzej i bezpieczniej aż do krain złanych wodami Nigru. Roku 1791, major Hughton udał się do Bambuk przez kraj Mandingo. Z Bambuk skierował do Tombuktu, lecz w Jarra czyli Yarba został zrabowany i zamordowany przez Maurów, lub jak inni utrzymują umarł na dyssenteriją.

Smutne skutki wypraw Ledyarda i Hughtona, niezniechęciły ztowarzyszenie afrykańskie. Zawsze ono znajdowało śmiałych podróżników chwytających się przedsięwzięcia tak widocznie niebezpiecznego. Szkot nazwiskiem Mungo-Park, który już zwiedził Indye wschodnie, patał od dawna najwyższą żądzą zwiedzenia krain nieznanych; ofiarował więc dobrowolnie swoje usługi ztowarzyszeniu afrykańskiemu, które znając jego odwagę i zdatność z pośpiechem przyjęło tak korzystną propozycją.

21 Czerwca r. 1795, Park przybył do Illifrei, na północnym brzegu Gambia. Ziamtąd udał się do Pizania, gdzie przebywał czas jakiś w domu doktora Laidley, ucząc się języka mandingo, obznajamiając z płodami i zwyczajami krajowemi i zbierając objaśnienia co do ziemio-pisarstwa wewnętrznego od handlujących niewolnikami, którzy może przez zawiść kupiecką, z wielkiem nieukontentowaniem patrzyli na tę podróż. Wyruszył w drogę 2 Grudnia tegoż roku, w towarzystwie dwóch czarnych niewolników, Demba i Johnsona. Demba, był młodzieniec żywy, znał języki któremi mówiono wewnątrz kraju; co do Johnsona, był niewolnikiem w Jamajce i umiał po angielsku. Orszak jego składał się prócz tego z dwóch *slateksów* czarnych czyli handlarzy niewolników, i z dwóch murzynów, z tych jeden był kowalem i wracał do swego rodzinnego kraju, spędziwszy lat kilka w usługach doktora Laidley. Murzyni szli pieszo, pędząc przed sobą osły. Park zaś jechał konno; ładunek jego składał się z żywności na dwa dni, z małego zbioru paciorków, z tabaki, nieco sukien, parasola, busoli, termometru, dwóch par pistoletów i dwóch fuzyi.

We trzy dni po wyjściu z Pizania, podróżni nasi przybyli do Medyny, stolicy Woollii, miasta mającego 1000 mieszkańców, otoczonego wałem ziemi, pallisadą z zaostzonych pali i ciernistych chróstów. Stary monarcha przyjął Mungo-Parka z uprzejmością; lecz radził mu aby się wyrzekł swojej niebezpiecznej podróży. Jednak Mungo-Park nie dał się odstraszyć. Przyjawszy do swych

usług trzech ludzi trudniących się połowem stoni, którzy mieli mu przewodniczyć w pustyniach leżących pomiędzy Woollii i granicami Bondu; wkrótce puścił się w drogę. Zaledwie przybył do Fatekony, stolicy tego ostatniego królestwa, rozkazano mu stawić się natychmiast przed królem. Lękając się dobrze znanej chciwości tego monarchy, zabrał ze sobą dary przeznaczone dla niego, to jest trochę prochu, bursztynu, tabaki i swój parasol; lecz ubrał się w swoją błękitną suknię, aby był pewniejszym, że ją dla siebie zachowa. Król, który uważał wszystkich białych za kupeów, mocno się zdziwił, że Park niekupował ani niewolników, ani złota, i że tylko dla samej ciekawości przedsięwziął podróż. Podarunki ofiarowane mu nadzwyczajnie go uradowały, nadewszystko parasol, który otwierał i zamykał kilkakrotnie z wielkim podziwieniem dworzan swoich. Następnie zaczął wychwalać ludzkłość i za możność białych i nareszcie oświadczył, że jeśli Park odstąpi mu swę suknię, to ją będzie nosił we wszystkich ceremoniach publicznych, i światu całemu ogłosi jego wspaniałomyślność. Park lubo z głębokim żalem, zdjął jednak suknię, i złożył ją u stóp króla, który wywdzięczając się za ten dar, zapatrzył go we wszelkie potrzeby, i prócz tego uwolnił od opłaty cła.

Nazajutrz rano, uwiadomiono Mungo-Parka, że żony królewskie pragną go widzieć. »Zaledwie wszedłem, powiada: na dziedziniec, cały seraj mnie otoczył; jedne żądały lekarstw, drugie bursztynu, a wszystkie chciały abym im krew puścił; gdyż w Afryce puszczanie krwi jest uważane za najskuteczniejsze lekarstwo. Było ich dziesięć lub dwanaście; po większej części piękne i młode, nosiły na głowach ozdoby złote i bursztynowe. Żartowały nadewszystko z białości mojej skóry i wystającego nosa. Nawzajem wychwalałem tłusty i świetny kolor ich skóry, powabne spleśzczenie nosa; lecz odpowiedziały mi na to, że pochlebstwa, lub według własnego ich wyrażenia usta miodowe, nie są cenione w Bondu. Później te damy

przysłały mi do mieszkania miód i ryby."

Po za Fatekondą, droga przechodziła przez kraj tak napełniony rabusiami, że przewodnicy postanowili podróżować w nocy. Niewyrzeczono ani słowa przez tę część podróży, wycie tylko zwierząt dzikich, zakłócało milczącą samotność lasów. Tu i owdzie wilki i hyeny przesuwają się pomiędzy drzewami. W Joag, urzędnik skradł panu Park większą część ładunku. Siedział on przed jednym z domów tego miasta i bawił się żując kilka ździebeł słomy, gdy stara niewolnica przechodząca spytała go czy jadł obiad. Nic na to zrazu nieodrzekł, bo jej nierozumiał; lecz gdy tłumacz powiedział, że urzędnicy króla obdarli jego pana ze wszystkiego co posiadał, postawiła na ziemi koszyk który niosła na głowie, i ofiarowała nieszczęśliwemu cudzoziemcowi kilka garszci owoców. Nazajutrz rano, nasz podróżny wyruszył z Joag z siostrzeńcem władcy Kassonu, który ofiarował się tam go przeprowadzić. Wieczorem, tego samego dnia, dostał się do Samee, nader pięknego strumyka nad brzegami Senegalu.

Gdy mała karawana zbliżyła się do Jumbo, rodzinnego miasta kowala, towarzyszącego panu Park, mnóstwo mieszkańców wyszło na spotkanie swego współrodaka, którego poprowadzili wśród śpiewów i tańców. Park mocno zajęty tym widokiem, usunął się na stronę aby mu się przypatrzył do woli. Kowal opowiedział swoje przygody, często wspominał o dobroci białego człowieka. Nakoniec wskazał palcem na pana Park i zawołał: »Patrzcie o to on!" Widok cudzoziemca, zrazu tak zdziwił owych pocziwłych ludzi, że wszystkie ich członki zadrżały; lecz kowal uspokoił ich oświadczywszy, że towarzysz jego nie jest złym wcale; Park cały dzień przepędził bawiąc się wspólnie z niemi.

Z Jumbo nasz podróżny udał się do Kassonu. Władca tego miasta nie tylko przyjął go najchętniej, lecz jeszcze dał mu przewodnika do Kemmu, stolicy Kaarty. Z powodu wojen zaburzających podówczas wewnątrz Afryki, wprost droga była prawie niepodobną do przebycia,

musiano więc koniecznie przechodzić przez maurytańskie państwo Ludamar. Zaraz na początku tej podróży Park widział pierwszy raz krajowców zbierających *tomberongy* czyli owoce *rhamnus-lotos*. Owe *tomberongy*, są to małe mączyste jagody, koloru żółtego, wyśmienitego smaku. Krajowcy robią z nich pewien gatunek chleba. Wystawwszy je poprzednio przez kilka dni na słońce, gniozą następnie z lekka w drewnianym moździerzku, dopóki część mączysta nieodstanie od jądra. Przepłukawszy potem tę mąkę w wodzie, robią z niej małe ciastka, które gdy wyschną na słońcu, nabierają smaku i koloru wyborowego piernika. *Rhamnus-lotos* znajduje się na północnym pobrzeżu Barbaryi, i nieuległa żadnej wątpliwości że był głównym pokarmem starożytnych Lotofagów.

Przybywszy do Jarra czyli Yarba, Park odesłał napowrót Johnsona z wszystkimi swemi papierami do Gambii, a sam zwrócił się ku maurytańskiemu miastu Benown. To miasto składało się z mnóstwa namiotów, rozstawionych bez ładu na obszernej przestrzeni, i poprzedzielanych pomiędzy sobą stadami wielbłądów, krów i kóz. Naczelnik, stary i ponury Arab, przypatrywał się Mungo-Parkowi z uwagą, lecz nieprzemówił do niego ani słowa. Kobiety nie tak wstrzemięźliwe: zadawały mu mnóstwo pytań, wypróżniły jego kieszenie, odpięły kamizelkę dla przypatrzania się białości jego skóry, porachowały nawet jego palce u rąk i nóg, jak gdyby wątpiły czy jest człowiekiem. Dano mu mieszkanie w chacie, w której umyślnie umieszczono dziką świnię aby mu dokuczała. Naczelnik maurytański Ali, zabrał mu garderobę, narzędzia, zgoła wszystko co posiadał; lecz starzec ten zaczął doznawać zabobonnej trwogi postrzegłszy, że igła magnesowa zawsze się zwracała ku wielkiej pustyni. Park objaśniając mu to zjawisko powiedział, że jego matka mieszka w dalekim kraju po za piaskami Sabary, i dopóki ona będzie żyła, igła żelazna nieprzestanie go kierować ku niej; po zgonie przeciwnie wskaże mu miejsce jej grobu. Stary

monarcha podwójnie w ówczas zdziwiony, przypatrzwszy się czas jakiś busoli z natężoną uwagą, zwrócił ją właścicielowi, niechcąc posiadać narzędzie tak niebezpieczne.

Okropne położenie naszego podróżnego, zaczęło się dopiero polepszać od chwili jak go Ali przedstawił królowej. Dzięki jej wstawieniom, Park otrzymał pozwolenie towarzyszenia Alemu w podróży do Jara. Podczas ich pobytu w tém mieście, władca Kaarty przybył na czele wojska, ukarać buntowniczych jego mieszkańców, którzy natychmiast pierzchli w największym nieładzie; Park korzystając z tego ogólnego zamieszania uszedł. Radość jego była nadzwyczajną gdy się ujrzał wśród pustyni, wolnym od pogoni nieprzyjaciół. Nie miał pokarmu; niewiedział gdzie znajdzie wodę, lecz mało dbał o głód i pragnienie; wszystko bowiem było niczem w porównaniu z przykrościami od których się uwolnił. Udał się w kierunku wschodnio-południowo-wschodnim przez lasy; lecz wkrótce wyniszczony trudem i pragnieniem, padł bez zmysłów na piasek. Ku wieczorowi jednak gwałtowny deszcz, ożywił nieco jego zwątłone siły; zawlókł się do pobliskiej wioski zamieszkaniej przez czarnych, gdzie litościwa staruszka pożywiła go nieco. Niezadługo wszedł w królestwo Bambara. Murzyni wzięwszy go za Maura, i widząc w tak okropnej nędzy, gdyż musiał jeszcze pędzić przed sobą konia, (albowiem biedne zwierze niemogło już dzwignąć swego pana), pytali go z szuderstwem czy powraca z Mekki.

Podróżował odtąd z bandą zbiegłych Kaartansów, spodziewając się co chwila ujrzeć Niger. Nakoniec, jeden z murzynów zawołał: *Geo-afill!* (patrzcie woda!), postrzegł wóczas z niewysłowioną radością cel swojej podróży, tę rzekę tak długo szukaną, błyszczącą przy promieniach wschodzącego słońca, równie szeroką jak Tamiza pod Westminsterem, płynącą zwolna ku wschodowi. »Pobiegłem nad jej brzeg, przestałem dziękczynne modły władcy świata, że usiłowania moje uwieńczył szczę-

śliwém powodzeniem." Sego stolica Bambari, do której przybył, jest wielkim miastem, mającém około 30,000 mieszkańców. Domy są tam z ziemi; niektóre o dwóch piętrach, a wszystkie pobielone. Liczne czółna przesuwnące się po rzece, i hałaśna ruchliwość mieszkańców, nadawały temu miastu pozór cywilizacyi, jakiej nasz podróżny wcale się niespodziewał znaleźć w samym środku Afryki. Czekając sposobnej pory do przebycia rzeki, król przysłał z oświadczeniem, że go niechce widzieć, aż w tenczas dopiero gdy pozna cel jego podróży. Wysłaniec radził nawet Mungo-Parkowi, aby zamieszkał w pobliskiej wiosce, którą mu wymienił. Lecz żaden z jej mieszkańców niechciał go przyjąć u siebie. Wszyscy, patrzyli na niego z podziwieniem i przestraczem, cały więc dzień przesiedział pod drzewem, nie pijąc i nie jedząc. Obawiał się nawet, że będzie zmuszony i spać pod gołym niebem, a w sąsiedztwie pełno było zwierząt dzikich. Lecz pozwolmy samemu opowiedzieć, jak litościwa kobieta (gdzież się nieznajdują owi aniołowie dobroci), wydobyła go z tego przykrego położenia.

»Po zachodzie słońca, gdym był już przygotowany przepędzić noc pomiędzy gałęziami drzew, gdym rozkierował i rozsiadł konia, aby się past swobodnie, kobieta powracająca z pola, zatrzymała się przedemną: postrzegłszy że jestem tak strudzony i smutny, zadała mi kilka pytań, na które w krótkich odpowiedziałem wyrazach i spojrzawszy ówczas na mnie z litością i wzięwszy moje siodło i uzdę, kazała mi iść za sobą. Gdy mnie przyprowadziła do chaty, zapaliła lampę, rozesała rogożę na ziemi, i ofiarowała przez noc u siebie schronienie. Postrzegłszy że byłem głodny wyszła, uprzedziwszy mnie, że idzie poszukać co do zjedzenia. Wkrótce wróciła z piękną rybą, którą upiekła na żarzającym popiele, i zastawiła mi ją na wierzchu. Spełniwszy obowiązki gościnności, wskazała mi palcem matę rozciągniętą, i zapewniła że mogę spać bez obawy. Potem przemawiając do innych kobiet swój rodziny, które ciągle mi się przypa-

trywały z podziwieniem, rozkazała im wzięść się do przędzenia bawełny. Kobiety te pracując większą część nocy, śpiewały dla skrócenia czasu rozmaite piosenki.

Całym podarkiem który Park mógł nazajutrz ofiarować téj godnej kobiecie, były cztery guziki miedziane od kamizelki jego odprute.

Król Bambari odmówił posłuchania panu Park. Nawet mu rozkazał natychmiast oddalić się z Segu; lecz zarazem przysłał 5,000 kaurysów (około 25 franków), pragnąc jak mówił, wesprzeć białego w nieszczęściu. Murzyni tego kraju są jak się zdaje, obdarzeni wybornymi przymiotami, dobrzy, gościnni i łatwo się dzielący. Kilka lat pokoju i dobry rząd byłyby dostatecznymi do ich ucywilizowania, wielkie miasto Kabba, do którego Park wkrótce przybył, leży wśród krainy równie pięknej jak urodzajnej. Wszyscy mieszkańcy zajmują się zbieraniem owoców drzewa zwanego *shea*, z których wyrabiają masło roślinne. *Shea* jest podobne do dębu amerykańskiego, a jego owoc ma kształt i pozór oliwki hiszpańskiej. Masło które wydaje jądro tego owocu, nie tylko zachowuje się bez soli przez cały rok, lecz jest bielsze, twardsze i smaczniejsze jak najlepsze masło z mleka krowiego. Szacowne też te przymioty czynią je głównym przedmiotem wewnętrznego handlu Afryki.

Opuściwszy Kabbę, Park przebył liczne wioski rybackie, następnie dostał się do Sansanding, ważnego handlowego punktu, Maurowie składający całą jego ludność, obeszlą się z nieszczęśliwym podróżnym z właściwem sobie grubiaństwem. Wielkie czołna z żaglami, naładowane towarami, żeglowały w tém miejscu po rzece. Dobroć murzyna u którego mieszkał, wynagrodziła Parkowi obelgi doznane od Maurów. Gościnnie ten człowiek niechciał przyjąć innej zapłaty tylko *saphie*, czyli urok. »Jeśli *saphia* Maura jest dobrą, *saphia* białego człowieka musi być daleko lepszą.« Park zaspokoił to żądanie, i napisał mu modlitwę Pańską na cienkiej desce.

Po za Sansanding, płaszczyzna którą musiał przechodzić, napelnioną była drapieżnymi z wierzętami. Nieraz z wielkim przestachem widział ogromne lwy zaczajone w chróstach przy drodze. Lecz po obawie i niespokojności, nastąpiła nagle cicha radość, gdy ujrzał Modibu, piękną wioskę położoną nad brzegami Nigru. Bieg rzeki w tém miejscu majestatyczną ma szerokość i tworzy kilka wielkich wysp odkrytych zielonością, które są schronieniem Fulachów i ich trzód przed dzikimi zwierzętami. Kraina ta, przedstawia może najpoważniejszy widok na całym świecie. Nazajutrz rano, Park wyjechał do Kea, na drodze rabusie obdarli go ze wszystkiego. Zostawili mu tylko podarte łachmany które był okryty. O sześć mil po za Modibu, koń wierny dotąd towarzyszył panu Park padł z utrudzenia. »Siedziałem jakiś czas, mówi: obok tego nieszczęśliwego towarzysza mojej podróży; lecz widząc że wszelka nadzieja była straconą, zdjąłem mu siodło i uzdę, położyłem przed nim wielki zapas trawy. Przyglądałem się w ówczas z boleścią biednemu zwierzęciu, które leżało rozciągnięte przy moich nogach i dyszało... Niezadługo, pomyślałem, padnę i podobnie zginę z wysilenia i głodu...«

Dooty czyli pierwszy urzędnik w Kea, wiosce rybackiej, nienajmilij go przyjął; szczęściem, rybak zgodził się na przewiezienie go czołnem poniżej rzeki. Około wieczora, przybył do Silla, wielkiego miasta położonego na prawym brzegu Nigru, tam go otoczył tłum murzynów osłupiałych z podziwienia. Tegoż dnia jeszcze, zapadł na lekką gorączkę, a zastanowiwszy się nad swoim położeniem, stracił nadzieję zobaczenia kiedykolwiek ojczyzny. W istocie, nieposiadał ani szeląga, zaledwie okryty był łachmanami, nienawieść Maurów zagrażała mu ciągle największymi niebezpieczeństwami, a miał jeszcze ująć pieszo kilkaset mil drogi nim się dostanie do Gambii; postanowił przeto w ówczas nieposuwać się już dalej ku wschodniej stronie. Usiłował zatem od handlujących niewolnikami powziąć wszelkie objaśnienia co do krajów oblanych Ni-

grem. O dwa dni drogi od Silla, miało się znajdować, jak oni mówili mu, miasto Jenni, zbudowane na jednej z wysp tej rzeki, daleko ludniejsze niż Segó. Dalej jeszcze o dwa dni drogi, Niger wpada do wielkiego jeziora zwanego *Dibbie* czyli ponurego. To jezioro tak jest szerokie, że czołna przepływające po nim z zachodu na wschód, przez cały dzień niewidzą brzegów. Po za tém jeziorem, Niger dzieli się na kilka odnóg, z których dwie główne łączą się w Kabra, porcie Tombuktu, utworzywszy wielką rzekę, zwaną Jinbala. Tombuktu leży tylko o jeden dzień drogi od Kabra, a trzeba dziesięć dni ażeby dostać się łądem z Jenni do Tombuktu.

Jeśli można wierzyć objaśnieniom zebranym przez naszego podróżnego, Tombuktu jest miastem maurańskim. Husa, stolica królestwa tegoż nazwiska, leżąca bardziej ku wschodowi, jest większą i ludniejszą od Tombuktu, należy także do Maurów. Żaden z kupców, których pytał, nieumiał go objaśnić gdzie się zaczyna i kończy Niger. Opisywali wszyscy długość jego koryta w przenośnych wyrazach, mówiąc, że ich zdaniem, dochodzi ono aż do ostatnich krańców świata.

Za powrotem do Silla, Park odzyskał swego konia; lecz przeszkody wszelkiego rodzaju, które mu pozostały do pokonania, były daleko większe niż je sobie wyobraził. Z każdym dniem coraz bardziej niedowierzano jego zamiarom. Zmuszony ominąć Segó i trzymając się brzegu Nigru, często był narażony na niebezpieczeństwo utopienia się w głębokich bagniskach, padnięcia ofiarą głodu, lub zostania pastwą dzikiego zwierza. Mocna gorączka, powstała z utrudzenia, obawy i wszelkich niewygód które musiał znosić, zatrzymała go dni kilka w Wonda. Oddalając się zamtąd wynagrodził gościnność swego gospodarza podarowaniem mu konia. Kraj przez który następnie przechodził, ulegał nadzwyczajnemu głodowi, codzienne więc swoje utrzymanie winien był miłosierdziu muzułmanów, którzy sami umierali z niedostatku. Szczęściem spotkał *Kalifa*, czyli karawanę niewolników, któ-

rych właściciele prowadzili do Gambii; *slatee* czyli handlarz, przystał na żywienie go przez całą podróż, pod warunkiem, że stosownie wynagrodzonym zostanie gdy przybędą na pobrzeże. Pomiędzy niewolnikami poznał człowieka który go gościnnie przyjął w Karankalla. Nieszczęśliwy murzyn rzekł do niego wdychając: „Nogi moje niebyły wówczas w kajdanach.” 5 Czerwca, Park przybył do Jindey, gdzie rozstał się z doktorem Laidley przed ośmnastu miesiącami.

Cierpienia doznane przez pana Park w pierwszej wyprawie, niezachwiały jego odwagi, niemógł on resztę życia swego w bezczynności przepędzić. Powróciwszy do Anglii, zaprzyjaźnił się z człowiekiem który często zwiedzał, jako kupiec ujście rzeki Kongo i sąsiednie pobrzeża. Zgodzili się nawzajem w zdaniu, że Niger odbywszy niezmierne zakręty wewnątrz Afryki, wpada do morza ujściem rzeki Kongo. Mungo-Park zabierał się popłynąć w górę rzeki Kongo, gdy r. 1804 rząd angielski wybrał go na naczelnika nowej wyprawy, dla zbadania biegu Nigru. Przedsięwziął w ówczas udać się do Bambara drogą, którą szedł w pierwszej podróży. Przybywszy na miejsce swego przeznaczenia, miał zbudować dwa czołna, długie na 40 stóp, a na 8 szerokie, w których miał się puścić aż do Wangara, a z tamtąd na morze, przez rzekę Kongo. Aby mógł plan ten wykonać, żądał aby mu dodano 36 Europejczyków, to jest 6 rzemieślników, a 30 żołnierzy, kilka osłów do przewiezienia ładunku, narzędzia potrzebne do budowania statków, prócz tego jeszcze towary i inne przedmioty na podarki. Rząd dostarczył wszystkiego czego żądał, przyrzeczono mu nawet wielką nagrodę, jeśli przedsięwzięcie jego dokonaniem zostanie.

Park przybył do Gorei 28 Marca 1805, strawiwszy kilka tygodni na przygotowaniach, wyruszył z Pizanja, nad rzekę Gambią 27 Kwietnia tegoż roku. Niecierpliwość z jaką pragnął rozpocząć w dżdżystej porze podróż tak trudną i niebezpieczną, może być uważaną za główną przyczynę wszystkich jego niepo-

wodzeń, i smutnego końca tej wyprawy. Ta mała karawana przechodząc pustynię Tenda, napadnięta została od roju pszczoł. Wśród powszechnego zamieszania, ogień zakradł się pomiędzy suchą trawę pustyni, i pakuńki o mało nie stały się pastwą płomieni; tak w przeciagu zaledwie pół godziny, rój pszczołi byłby położył koniec tej wyprawie. Kilka zwierząt dzwigających ciężary, zdechło z pokąsania; a żadne nieuszło zdrowe i całe z tej walki. 8 Czerwca napadł naszych podróżnych gwałtowny uragan, zwiastujący początek ich nieszczęść, gdyż w tym kraju podobne nawałnice poprzędzają zwykle powrót perjodycznych deszczy. W kilku chwilach, cała okolica przez którą przechodzili, zmieniła się w obszerne bagnisko; upał stał się nieznosny, i w ciągu trzech dni mała karawana liczyła już dwunastu chorych. Murzyni, dowiedziawszy się o przygotowaniach białych, wiedząc prócz tego iż ci przewozili ze sobą niezmiernie bogactwa, i że niezdolni byli ich bronić, pospieszyli natychmiast w ich ślady dla spróbowania czy niezdolają ich wymordować i złupić.

Dostawszy się Park w górzystą okolicę Konkodu, zwiedził kilka kopalni złota, i przypatrzył się jakim sposobem krajowcy zbierają i przygotowują ten drogi kruszec. Obwód Konkodu, wydał mu się najmalowniczym krajem, ze wszystkich które dotąd widział w swoich podróżach; lecz wśród tego zachwycenia z boleścią serca uważał także opłakany stan wyprawy. Połowa osób rozchorowała się i pozostała na drodze, niemogąc dalej ni kroku postąpić. Im bardziej słaby sily Europejczyków, tem bardziej krajowcy stawali się śmielszymi. Z każdym dniem zwiększały się cierpienia i nędza naszych nieszczęśliwych podróżnych. Sam nawet Park uległ losowi swych towarzyszy, lecz pomimo że gorączka go trawiła, zapął jednak wznęcał w nim odwagę wśród cierpienia. 27 Lipca postrzegł w oddaleniu, w stronie południowo-wschodniej łańcuch gór; w tym miejscu padł ostatni ze 40 osłów, należących do wyprawy. Codziennie grzebano lub zo-

stawiano na drodze dwóch lub trzech ludzi. 19 Sierpnia, Park dostał się do najwyższego punktu łańcucha gór, położonych pomiędzy Nigrem i dalekimi ramionami Senegalu; z wierzchołka owych szczytów raz jeszcze ujrzał, Niger toczący ogromną masę wód swoich na płaszczyźnie. Lecz radość, jaką mu sprawił ten widok, zatrutą była najboleśniejszymi uwagami. Z 38 ludzi, którzy z nim wyruszyli z Gambii, 31 już umarło; pozostali 7 wszyscy byli chorzy; nawet nie mieli nadziei wyleczenia się. W tak okropnym położeniu zgodził czołno, którym miał popłynąć z biegiem rzeki; szerokość jej w tym miejscu zmieniała się od 1 mili do 2. Krajowcy nazywają Niger *Jolibą*, czyli wielką rzeką. Park lękał się czy otrzyma pozwolenie przejść przez królestwo Bambara. Krajowcy bowiem niezdolni pojąć powody tych niebezpiecznych wypraw, ciągle nieufali odważnym ludziom, którzy takowe przedsiębrali. Lecz Park umiał zręcznie darami pozyskać względy pierwszego królewskiego ministra. Pozwolono naszym podróżnym zbudować czołna w Sansanding. Trzy stare łodzie, złączone razem, utworzyły mały okręcik na 40 stóp długi, a 16 szeroki, któremu nadano nazwę *Joliba Schooner Jego Królewskiej Mości*. Nim statek został ukończony, Park utracił swego krewnego i towarzysza, pana Anderson. Powtórnie więc sam bez przyjaciela pozostał wśród pustyni Afryki. 17 Listopada r. 1805, nasz śmiały żeglarz wsiadł na statek w Sansanding, dla popłynienia z biegiem rzeki. Orszak jego składał się z 4 Europejczyków, to jest porucznika Martin i 3 żołnierzy, Izaaka murzyna, który odniósł jego listy i dziennik do Gambii; później nieodebrano już żadnej wiadomości o tej ostatniej wyprawie.

Jeśli można wierzyć objaśnieniom, otrzymanym później przez kapitana Klapperton, Mungo-Park i 4 jego towarzysze, popłynęli z Tombuktu aż do miasta zwanego Bussa. Sułtan Yauryi któremu postali kilka podarunków, ofiarował się dostarczyć im przewodników dla kierowania czołnem pomiędzy skalami,

które nieopodal od miasta tamują żeglugę na rzece. Lecz zamiast przyjąć ofiarę, puścili się w dalszą drogę nocną porą. Wkrótce po odpłynieniu, wątkły ich statek rozbił się o skały. Mieszkańcy nadbrzeżni zaczęli w ówczas strzelać do nich z luków, i dwaj biali

utonęli w wodach Nigru. Według tego opowiadania, kilka książek i rozmaite pliki powiązanych papierów znalezionych zostało na szczątkach czółna, jedna z tych książek, jak twierdzą, znajduje się po dziś dzień jeszcze w ręku sultana Yauryi.



ROZDZIAŁ XLVII.

PODRÓŻE DENHAMA I KLAPPERTONA.

Hornemann. — Jego los. — Adams zwiedza Tombuku. — Niewierzę jego opowiadaniu. — Wyprawa Kapitana Tukey. — Przybycie do Kongo. — Wodospad Yellala. — Widok rzeki. — Smutny skutek wyprawy. — Podróże Majora Peddie, kapitana Campbell, pana Ritchie. — Ich niepowodzenie. — Denham i Klapperton przebywają wielką pustynię. — Jezioro Tshad. — Przybycie do Kuka. — Szeik el Kanemy. — Wyprawa do Mandara. — Angornu. — Zgon porucznika Toole. — Klapperton udaje się do Kano. — Obraz kraju. — Przybycie do Sokatu. — Sultán Bello. — Jego nieufność. — Jego przyrzeczenia. — Jego mapa Nigru. — Objasnienia dotyczące Mungo-Parka. — Powrót Denhama i Klappertona. — Zgon pana Tyrwhit. — Powtórna podróż Klappertona. — Udaje się do Sokatu, później do Beninu. — Złe przyjęty. — Zgon jego. — Skutek jego podróży. — Major Laing dostaje się do Tombuku. — Zostaje zamordowany. — Podróże Kallego. — Jego opis Tombuku.

Nieszczęśliwy koniec powtórnej wyprawy Mungo-Parka, powinien był ostudzić gorliwość najsmielszych podróżników. Nie tak się jednak stało. Powab nowości, nadzieja pomyślnego skutku, zamiłowanie przygód, skłoniły wkrótce innych Europejczyków do narażania się na niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju któremi im zagrażały klimat, żywioły i ludzie w krainach zwrotnikowych.

Roku 1798, Niemiec nazwiskiem Fryderyk Hornemann, człowiek światły i znakomity, ofiarował swoje usługi towarzystwu afrykańskiemu, które je przyjęło. Chcąc dostać się do Nigru od strony wschodniej, przyłączył się we Wrześniu, tegoż roku, do karawany idącej z Kairu do Fezanu. Przesławszy do Europy wyborny opis tej dawniej karawanowej drogi, udał się z Murzuk do Tripolis, powrócił następnie do stolicy Fezanu w stałej chęci podróżowania dalej wewnątrz tej krainy. Wkrótce opuścił Murzuk, lecz od chwili wyjścia z tego miasta niemiano o nim za-

dniej wiadomości. Tylko Major Denham dowiedział się, że się udał aż do Nyffeii nad Nigrem, gdzie umarł z powodu niezdrowego klimatu.

Pomimo tych wszystkich niepowodzeń, główny cel wypraw europejskich wewnątrz Afryki, nakoniec osiągnięty został raz pierwszy r. 1811. Majtek nazwiskiem Adams, rozbiwszy się na pobrzeżu Afryki, wpadł w ręce Maurów, a po wielu przygodach, dostał się nareszcie do Tombuku. Przebywał on w tém sławném i dotąd Europejczykom nieznaném mieście przez 6 miesięcy; później przyprawdzone na powrót na pobrzeże, przez konsula angielskiego w Magadorze został wykupiony. Powróciwszy do Anglii, Adams znajdował się w największej nędzy mieszkając w Londynie. Przypadkiem dowiedział się o jego przygodach pewien znakomity pan, żywo zajmujący się wszystkimi geograficznymi odkryciami. Kazał on przywołać Adama, którego wypytał o wszystko cokolwiek widział w swój podróży, a następnie ogłosił drukiem jego zeznania.

Lecz opis Tombuktu, nieodpowiedział bynajmniej wyobrażeniu które sobie uczyniono o tém mieście tak długo szukaniem, zaczęto więc wątpić o szczerości autora. Opowiadanie Adamsa zaczyna się r. 1810, mówili niedowiaraki, a wiadomo że statek jego rozbił się dopiero r. 1811. Lecz dla czegoż proste omyłkę w dacie uważać za kłamstwo?

Gdy przy końcu ostatniej wojny rząd angielski czynił tyle usiłowań aby rozszerzyć zakres wiadomości ziemio-pisarskich, wewnątrz Afryki znowu ściągnęto na siebie uwagę świata uczonego. Postanowiono popłynąć jak tylko będzie podobna w górę rzeki Kongo. Wyruszyła wyprawa r. 1816 dla dokonania tego zamiaru. Dowodził nią kapitan Tukey, znakomity żeglarz i Smith wielki botanik, oraz kilku innych uczonych należało także do niej. Okręta dostały się do ujścia Kongo w pierwszych dniach Lipca i zaczęły żeglować w górę rzeki. Lecz prąd stawał się tak gwałtownym w miarę jak się posuwano, że musiano rzucić okręta i płynąć dalej w szalupach; o 150 mil od morza, sławny wodospad Yellala, zawalający prawie całe łóżyisko rzeki, wstrzymał znowu wyprawę; porzuceno więc czołna, i udano się pieszo wzdłuż pobrzeża. O kilka mil dalej, powtórnie postrzeżono Yellalę czyli wielki wodospad, który istotnie jest tylko prądem tak silnym, że wszelką żeglugę czyni niepodobną. Przy owych wodospadach, rzeka Kongo miała nader wazkie łóżyisko i ogólna masa jej wód niezdawała się bardzo znaczną, lecz o 20 mil powyżej Yellali, staje się wspaniałą rzeką, szeroką w niektórych miejscach na 3 lub 4 mile, i przedstawiającą wzdłuż swoich wybrzeży krajobrazy, równie malownicze jak urozmaicone. Lecz nagle zaczęła się szerzyć gorączka która nikogo nieoszczędziła. I wyprawa dostawszy się o 280 mil od morza, musiała się zwrócić. Smith botanik, Cranch zoolog, Tudor geolog i Galwey, młody znakomity uczoney, wszyscy członkowie wyprawy, pomarli nim się dostali do statku, sam nawet Tukey nieprzeżył swych towarzyszy. Tak się skończyło owo nieszczęsne usiłowa-

nie przedsięwzięte w celu przejrzenia biegu Kongo, i znalezienia mniemanego połączenia téj rzeki z Nigrem.

Druga wyprawa, pod dowództwem majora Peddie, która w tymże samym czasie co i pierwsza wyruszyła nad brzegi Nigru, miała płynąć zwykłą drogą po Gambii do jej źródeł, aż się połączy z kapitanem Tukey. Wyprawa ta, złożona z 100 ludzi i 200 zwierząt domowych, wysiadła w Kakundzie nad Rio-Nunezie, w Listopadzie r. 1816. Za ledwie Peddie stąpił na ląd, gwałtownie został dotknięty febrą i w kilka dni umarł. Kapitan Kampbell, otrzymał po nim dowództwo wyprawy i dostał się do granicy Fulachów; lecz krajowcy strwożeni, że tak liczna gromada ludzi białych weszła do ich kraju, niepozwolili jej dalej postąpić. Nieszczęśliwi nasi podróżni, zmuszeni byli znowu wrócić do Kakundy, gdzie Kampbell umarł wkrótce z wysilenia i rozpaczcy. Porucznik Stokoe, który po nim nastąpił, padł także z kolei ofiarą zabójczego klimatu.

Podczas gdy rozmaite owe wyprawy usiłowały przedrzeć się w głąb Afryki od zachodu, rząd angielski postanowił korzystać z przychylnego usposobienia baszy Trypolitańskiego. W Marcu r. 1819, pan Ritchie, w towarzystwie porucznika Lyon, udał się z Tripolis do Fezan, w zamiarze przyłączenia się do jednej z owych karawan, które basza wysyłał corocznie do Sudanu po niewolników; lecz klimat w Murzuk był zgubnym dla pana Ritchie, a zdrowie pana Lyon tak nadweryżył, że ów nieulekły podróżny niemogąc przebyć południowych granic Fezanu, wrócił do Tripolis z licznemi objaśnieniami o krajach znajdujących się po za pustynią.

Pomimo niepomyślnego skutku tego ostatniego usiłowania i niezawodnych niebezpieczeństw, zagrażających wszystkim podróżnym, usiłującymi rozwiązać wielkie zagadnienie ziemio-pisarstwa afrykańskiego, wyruszyła nowa wyprawa z Trypolis, w zamiarze dostania się przez pustynię do Bornu; majorowi Denham, porucznikowi marynarki Klapper-ton i doktorowi Oudney dostatecznie

obznajomionemu z historią naturalną, powierzono to niebezpieczne polecenie. Przybyli oni 8 Kwietnia r. 1822, do Murzuk, stolicy Fezanu, tam się zapoznali z Bu-Kalumem, zamożnym kupcem, który ofiarował się bydź im przewodnikiem. 9 Listopada, podróżni nasi opuściwszy Murzuk, zaczęli pochód przez pustynię, którą przeszli bez żadnej przystanki. 5 Lutego, postrzegli jezioro Tshad ów obszerny zbiór wód Burnu. Denham pobiegł najspieszniej nazajutrz nad brzegi tego jeziora, które zastał okryte mnóstwem kur wodnych wszelkiego gatunku, obecność jego niezatrwożyła je bynajmniej. Tak wielka mnogość ryb znajduje się w tém jeziorze, że chcąc one łowić, dosyć jest wejść w wodę i pognać je przed sobą ku brzegowi. 17 Lutego, karawana przybyła do Kuka, stolicy Burnu, podróżni nasi zostali stawieni przed obliczem szejka El-Kanemy. Ow dyktator Burnusu, przyjął ich w małym ciemnym pokoiku, siedział na kobiercu, był ubrany skromnie w błękitnej sukni i turbanie kaszemirowym; miał powierzchowność przyjemną, twarz pełną wyrazu, a uśmiech przyjacielski; zdawał się mieć wówczas około 46 lat. Naprzód pytał cudzoziemców o powód podróży. „Przybyliśmy, odpowiedzieli: umyślnie aby kraj ten zobaczyć i dać naszym współrodakom dokładny opis jego mieszkańców, płodów i ogólnej powierzchowności, gdyż monarcha nasz pragnie poznać wszystkie części kuli ziemskiej.” Przy powrotném widzeniu się, ofiarowali mu podarunki od rządu angielskiego.

Wystawiono w ówczas chaty dla Anglików obok mieszkania królewskiego, i obchodzono się z niemi gościnnie. Prócz licznych darów, składających się z młodych wołów, wielkiej ilości zboża i ryżu, bukłaków skórzanych napełnionych masłem, saszki miodu, dawano im jeszcze co dzień rano mięso gotowane w ryżu i wyborne ciasta z pszennej mąki. Targ miejski, na którym przeszło 15,000 osób uwijało się, przedstawiał im widok równie nowy jak zajmujący. Wszystkie płody natury i przemysłu krajów afrykańskich, znajdowały się tam zgroma-

dzone. Im bardziej pobyt Anglików się przedłużał, tém bardziej oceniali rozsządek i dobroć starego szejka. Rakiety, które oni puszczali dla jego zabawy, sprawiały mu nadzwyczajną radość; a w jego poddanych wzniciły zbawiennej postrach. Hillman, kołodziej towarzyszący majorowi Denham, zrobił dla niego powóz na którym umieścił małą armatę, przywiezioną z Tripolis. Nauczono go potem pierwszych obrotów lekkiej kawaleryi; niezadługo też powziął wielkie wyobrażenie o wyższości swych gości; lecz najbardziej go uradowała tabakierka z muzyką którą mu podarowali. Jednakże, mimo téj dobroci, był jeszcze niedowierzającym; ogłoszono pogłoskę, że cudzoziemcy zamierzają zbudować okręta na jeziorze Tshad, i zająć kraj w posiadłość. Z tego powodu, szejk niepozwolił majorowi Denham i jego towarzyszący wydalic się z Kuka, i odmówił im pozwolenia do odbywania dalszej podróży po Sudanie i krajach zlanych Nigrem.

Niezadługo jednak zdarzyła się sposobność zwiedzenia krain położonych na południe Kuki. Bu-Kalum pragnął z swoim orszakiem Arabów odbyć wojorską przechadzkę do rozmaitych krain zamieszkanych przez murzynów pogan, dla nabycia niewolników, po długich umowach otrzymał nakoniec pozwolenie udania się do Mandara. Major Denham postanowił mu towarzyszyć, zrazu szejk odmówił swego pozwolenia; lecz udzielił je potem, a nawet dodał mu eskortę, z najwaleczniejszych i najwierniejszych swych żołnierzy. Felatahsowie, mieszkający w południowych górach Mandary, odparli bez trudności Arabów i ich sprzymierzeńców. Bu-Kalum umarł z odniesionych ran, a major Denham, obdarty z sukien, cudem uszedł z rąk zwycięzców i połączył się z rozpierzchtemi ich szczątkami. Jedy-nym owocem téj wyprawy było tylko, że powierzchownie obznajmił się z 200 blisko milami kraju.

Za powrotem zwiedził Birnie, dawną stolicę królestwa, którego władca przyjął go z nadzwyczajną gościnnością afrykańską. Z Birni udał się do Angornu,

najobszerniejszej i najludniejszej doliny Bornu, oddalonej tylko o mil kilka od brzegów jeziora Tshad. Angornu lepiej jest zbudowane jak Kuka, większa część jego domów ma 4 mury ulepione z błota; ludność jego dochodzi, jak powiadają do 30,000 i częstokroć w czasie pokoju, na tygodniowe targowiska w tem mieście, przybywa od 80,000 do 100,000 osób.

Zdrowie naszych podróżnych znacznie się nadwerżyło podczas pory dżdżystej. Dnia 21 porucznik Toole, przyniósł do Kuka wiadomość że pan Tyrwhit, któremu rząd polecił złączyć się z wyprawą, natychmiast puścił się w drogę jak tylko wyzdrowieje z febrы. Toole przedsięwziął w Styczniu, roku następnego wycieczkę na około jeziora Tshad; lecz niemogąc się oprzeć szkodliwemu wpływowi klimatu, umarł 26 Lutego. Pan Tyrwhit, przybył dopiero 19 Maja, z bogatemi darami dla szejka, który dozwolił mu rezydować w Bornu, jako konsulowi.

Lecz czas zająć się teraz dawnymi towarzyszami majora Denham. 14 Grudnia r. 1823, kapitan Klapperton i doktor Oudney wyjechali do Kano; ten ostatni umarł 12 Stycznia. Klapperton pomimo osłabionego zdrowia i zmartwień z powodu utraty przyjaciela, niezaniechał jednak zamiaru zwiedzenia Sudanu. Kraj który przebiegł był lesisty, dobrze uprawny i osiadły licznymi wioskami. Zawiódł się nadzwyczajnie co do miasta handlowego Kano w królestwie Husa, które wystawiał sobie, wedle opisu Arabów, jako nadzwyczajnie wielkie. Szczególniej go zdziwiły sklepy kuciarzy, pozakładane obok jatek rzeźniczych; w każdym z tych sklepów znajdowało się ognisko otoczone rożenkami drewnianemi, na których piekli sprzedający kawałki mięsa. Po za Kano, kraj był coraz lepiej uprawnym; wszędzie piękne bydło, a gajki tu i owdzie rozstane po wzgórzach, nadawały krajobrazowi pozór angielskiego parku.

Kapitan Klapperton dostał się narazcie do Sokatu, stolicy sułtana Bello. Liczny orszak wyszedł na jego przyjęcie. Chcąc krajowcom dać wysokie wy-

obrażenie o ważności swego posłannictwa, przywdział swój mundur porucznikowski zdobny złotymi galonami, białe pantalone, na nogach miał jedwabne pończochy i pantofle tureckie, a na głowie zawój. Bello oczekiwał go siedząc na małym kobiercu, pomiędzy dwoma kolumnami podpierającymi dach chaty poszytej słomą. Był to piękny mężczyzna mogący mieć około 44 lat, ubrany był w sukni błękitnej bawelnianej, miał zawój biały, którego spadający koniec zakrywał mu nos i usta, wedle zwyczaju tureckiego. Przypatrywał się z dzieciinnem zajęciem złożonym sobie darom, szczególnie igle magnesowej i teleskopowi. »Wszystko to piękne, rzekł do Klappertona: lecz ty jesteś największą dla mnie osobliwością." Przez cały czas pobytu w Sokatu, zastawiano mu codziennie na półmiskach cynowych z fabryki londyńskiej, potrawy ze stołu królewskiego.

Sułtan niezmiernie był ciekawy dowiedzieć się czy król Angielski zechce przysłać mu konsula i doktora, którzyby odtąd przesiadywali w jego stolicy, oraz kupców dla prowadzenia handlu z jego poddanymi. Jeśli można mu zawierzyć, to rzeka Quorra, tak nazywa Niger, wpada do morza pod Funda, i ofiarował się oddać królowi Angielskiemu przestrzeń ziemi wzdłuż pobrzeża, dla zbudowania miasta, aby tym sposobem towary zagraniczne mogły być dostawiane w górę rzeki aż do Sokatu. Wspominał kilkakrotnie o Mungo-Parku, opowiadał że czas jakiś posiadał dubeltówkę, znalezionej na szczątkach czółna, w którym zginął ów nieszczęśliwy podróżny. Jednakże, lubo sułtan uznał że Anglicy są nadzwyczajnym narodem, niebył jednak zadowolony odpowiedziami, dawanemi na ciągłe jego zapytania: »Jakie powody skłoniły was do przybycia tutaj?" Maurowie bowiem uprzedzili go, że Anglicy, zwiedziwszy Pandye jako kupcy, stali się nakoniec panami kraju, lękał się więc aby ci nowi goście niemieli podobnychże zamiarów względem środkowej Afryki. Ponowił jednak zapewnienie swęj przyjaźni. Prosił Klappertona aby mu

przysłał z Anglii kilka książek arabskich i mapę całego świata; nawzajem za to przyrzekł swoją opiekę wszystkim uczonym, pragnącym zwiedzić jego posiadłości.

Klapperton powracając dostał się do Khasna, miasta niegdyś znacznego, lecz wówczas do połowy zburzonego, 8 Lipca stanął w Kuka, gdzie także w 10 dni później przybył major Denham, który okrążył jezioro Tshad. 16 Sierpnia r. 1824, podróży nasi opuścili Kuke, a 25 Stycznia następnego roku, stanęli w Tripolis. Pan Tyrwhit, konsul którego zostawili w Kuka, niedługo przeżył oddalenie swych przyjaciół: umarł 22 Października. Objasnienia otrzymane od sultana Bello co do biegu i ujścia Nigru, a szczególnie chęć okazana przez tego monarchę zawiązania stosunków handlowych z Anglikami, wzmogły nadzieje wszystkich podróżnych, usiłujących przedrzeć się w głąb krajów Afryki dotąd nieznanych. Pan Klapperton wkrótce znowu objął naczelnictwo nowej wyprawy, i postanowił udać się wprost do Kuka, puściwszy się z zatoki Benin, gdyż tą drogą, która widocznie była najkrótszą, nieprzechodził jeszcze żaden z jego poprzedników. Ponieważ mniemał że Niger wpadał do morza w stronie tego pobrażę, spodziewał się przeto popłynąć nim od ujścia aż do źródła i rozwiązać tym sposobem zagadnienie które przez tyle wieków zajmowało uwagę ziemio pisarzy. Jednakże gdy stanęła na pobrażu wyprawa, musiała zaniechać zamiaru popłynienia w górę rzeki, gdyż jej ujście otoczone było zarzliwemi bagniskami. 7 Września 1825, Klapperton, w towarzystwie kapitana Pearce i doktora Morrison, wyruszył z Badagry i skierował ku środkowej Afryce. Lecz przed końcem jeszcze tegoż miesiąca, śmierć wydarła Klappertonowi dwóch jego towarzyszy, pozostał z nim tylko wierny jego sługa Lander. Mieszkańcy królestwa Yarriba, położonego o 60 mil od wybrzeża, okazywali mu nadzwyczajne dowody uszanowania i przychylności. Eyeo czyli Katunga, stolica królestwa, ma 15 mil ob-

wodu; lecz ta obszerna przestrzeń ma tyle miejsc pustych, że niepodobna dokładnie oznaczyć liczbę jej mieszkańców.

Główne przeszkody, które Klapperton musiał pokonywać w swojej podróży, wzniesła zazdrość władców afrykańskich, z trudnością pozwalających sąsiadom okazywać mu oznaki względów, gdy sami obsypywali go niemil. Zwiedził jednak Bussa, miasto tém więcej mające dla niego zajęcia, że było świadkiem smutnego zgonu Mungo-Parka. Pomimo spustoszeń wojny, i zaburzeń politycznych, na jakie owe państwa afrykańskie ciągle są narażone, kraj przez który przechodził Klapperton, był w ogólności zaludniony i dobrze uprawny. Państwo Zegzeg, odkryte urodzajnymi gruntami i bogatymi państwiskami, wydawało najpiękniejszy ryż w całej Afryce. Ludność jego stolicy Zaria, dochodziła blisko do 50,000 mieszkańców, a jej obwód zawierał w sobie pyszne ogrody i rozległe obszary zboża.

Nareszcie Klapperton przybył do Sokatu, lecz z wielkim swoim podziwieniem został od sułtana przyjęty bardzo obojętnie. Bo dowiedział się bowiem że gość jego niósł dary dla szefika Burnusu, a pomiędzy innymi przedmiotami 6 karabinów, a że wojna wybuchła pomiędzy Burnu i sułtanem, przeto podobny podarunek musiał naturalnie wzbudzić podejrzenie. Rozeszła się pogłoska pomiędzy ludem, że Anglicy mają zamiar podbić narody afrykańskie, i że Klapperton jest szpiegiem; wielu nawet doradców króla nastawało, aby go natychmiast kazał życia pozbawić. Klapperton z zręcznością i cierpliwością byłby się wywikłał z tego przykrego położenia; a nawet wkrótce znowu możeby odzyskał przewagę nad umysłem sułtana. Lecz to przyjęcie tak go zmartwiło, że umarł 13 Kwietnia. Zgon jego zasmucił sułtana Bello, który pozwolił Landerowi z jak największą wspinałością odbyć pogrzeb swego nieszczęśliwego pana.

Spełniwszy ten smutny obowiązek, Lander otrzymał od sułtana wszelkie

ułatwienia dla powrócenia do swego kraju. Lecz postanowił udać się do Funda, mając nadzieję, iż gdy się puści tą drogą, odkryje ujście Nigru. Zbliżając się już do tego miasta, został zatrzymany przez czterech jeźdźców wystanych dla przytrzymania go i stawienia przed sułtanem Żegzeg. Musiał wówczas zaniechać swego zamiaru i wrócić do Badagry na pobrażu, gdzie przybył 21 Listopada r. 1827. Odkrycia Klappertona w środkowej Afryce, znacznie przechodzą pod względem swęj rozciągłości i ważności, wszystkie dokonane przez jego poprzedników. 24^o szerokości był ostatnią granicą do której doszedł na południu kapitan Lyon; major Denham w swojej wyprawie do Mandara, doszedł aż do 9^o 15' szerokości, pomnożywszy tym sposobem o 14^o $\frac{2}{3}$ czyli o 900 mil znajomość krajów odkrytych przez Europejczyków. Hornemann wprawdzie, przebył pustynię, i posunął się na południe aż do Nifei pod 10^o $\frac{2}{3}$ szerokości; lecz nieposiadamy żadnego opisu jego podróży. W pierwszej swojej wyprawie, Park dotarł aż do Silla pod 1^o 54' długości zachodniej, o 1100 mil od ujścia Gambii. Nakoniec Denham i Klapperton, od wschodniego wybrzeża jeziora Tshad (17^o długości), aż do Sokatu (5^o $\frac{2}{3}$ długości), przejrżeli przestrzeń 500 mil z wschodu na zachód w środkowej Afryce; tak iż tylko już 400 mil pozostało nieznanych pomiędzy Sillą i Sokatą; lecz, w powtórnej podróży, Klapperton otrzymał dziesięć razy ważniejszy skutek. Odkrył bowiem istotnie, drogę najkrótszą i najwygodniejszą dostania się w strony tak ludne Afryki środkowej.

W czasie gdy Klapperton dokonywał swęj powtórnej podróży, major Laing, officer marynarki, który się odznaczył w wojnie z Ashantami, usiłował dostać się do Tombuktu. Wyruszywszy z Tripolis, przebył pustynię w kierunku południowo-zachodnim. Dzika zgraja Tuarików napadła na kafilę do której należał. Nieszczęśliwy odebrał w tęj rozprawie 24 ran, i pozostał prawie nieżywy na pobojowisku; lecz dzięki staraniom jego towarzyszy wyleczony, puścił się w dalszą

podróż. 18 Sierpnia 1826, dokonał głównego celu swego życzenia; dostał się bowiem do Tombuktu, gdzie przez miesiąc przebywał. Z listów jego datowanych z tego miasta, można powziąć wiadomość, że ono ma 4 mile obwodu, że jest ludne i kwitnące, a jego mieszkańcy dostarczyli mu szacownych wiadomości o ziemiopisarstwie środkowej Afryki. Major Laing wyruszył z Tombuktu z kupcem maurytańskim, zwanym Bambushi, który miał go doprowadzić aż do Segu; lecz trzeciego dnia podróży, nędznik ten znając całą wartość papierów Lainga, zamordował go wśród pustyni. Zapewniają że one dostały się do Tripolis, i że samolubne tylko intrygi pewnego członka konsulatu francuzkiego, rezydującego w tęp mieście, przeszkodziły osobom w których posiadaniu się znajdowały, że takowych nieprzesłały rządowi angielskiemu.

Po śmierci Lainga zwiedził jeszcze Tombuktu Kaille. Przyjął się on początkowo do nieszczęśliwej wyprawy majora Gray, z którą przedarł się w roku 1818 aż do Budu. Mieszkając potem czas jakiś w europejskich osadach Gambii i Senegalu, tak się obznajomił z językiem i obyczajami maurytańskimi, że sam postanowił przedsięwziąć podróż do wnętrza Afryki. Wyjechał z Kakundy 19 Kwietnia r. 1827, z małą karawaną Mandiagów. W ubiorze Araba, przy ułożeniu i chodzie muzułmanina, niewzbudzał najmniejszego podejrzenia.

20 Kwietnia r. 1828, wszedł do miasta Tombuktu. »Lecz, mówi: to co zobaczyłem wcale nieodpowiedziało memu oczekiwaniu; to miasto tak bardzo zachwalane zdało mi się być tylko zrazu kupą domów daleko mniejszych i nie tak ludnych jak sobie wyobrażałem. Jego handel nie jest tak znacznym jak powszechnie mniemają. Widzieć tylko można na ulicy wielbłądy przybývające z Kabra. Tombuktu jest zamieszkałe przez murzynów narodu Kissur, nie jest obwiedzione murem, ze wszech stron otwarte, i ma od 10,000 do 12,000 mieszkańców, łącząc w to i Maurów.» Kaille przebywał blisko piętnaście dni w Tombuktu, potem wrócił przez wielką

pustynię, do Maroko, a 18 Sierpnia r. 1828, przybył do Tangeru, po czternaście-tygodniowej utrudzającej podróży. Powątpiewano o prawdziwości jego opowiadania, lecz zdaje się że te wątpliwości nie są ugruntowane; nieszczęściem opisy jego są niepoprawne. Bez zaprzeczenia może się chęlcieć, że on był jednym z pierwszych podróżnych którzy zwiedzili Tombuktu. Podróż jego jednak nader małą przysługę uczyniła nauce ziemio-pisarskiej.

Co do Afryki południowej misjonarze z Przylądka Dobrzej-Nadziei, szczególnie rozszerzyli zakres naszych wiadomości, lecz środkowe krainy tego lądu stałego, począwszy od Sudanu aż do

Mozambiku, a od Abissynii aż do Kongo, pozostają jeszcze zupełnie nieznanne. Miejmy jednak nadzieję, że znajdzie się podróżny, który wstępując w ślady wielkiego Kooka, pierwsze starannie mieć będzie o zachowanie swego zdrowia i zamiast ciągle iść naprzód niezważając na pory roku, trudy i choroby, poprzestanie na powolnym a zatem pewniejszym posuwaniu się. Wtedy dopiero gdy praktycznie zastosuje sławne przysłowie włoskie: *cheva piano, va sano, che va sano, va lontano*, ujdzie przed wpływem zabójczym klimatu, i uzupełni nareszcie dotąd tak niedokładne ziemio-pisarstwo wnętrza Afryki.



ROZDZIAŁ XLVIII.

UJSCIE NIGRU.

Zagadnienie co do biegu Nigru — Nowa wyprawa Ryszarda Lander. — Brat jego Jan towarzyszy mu. — Ich instrukcje. — Wjazd z Plymouth. — Przybycie do Badagry. — Podróż lądem z Badagry do Katungi. — Katunga. — Król Mansofach. — Bussa. — Objasnienia o losie Mungo-Parka. — Jego papiery. — Nadzieje zawiedzione. — Żegluga po Nigrze. — Yaourya. — Struś oskubany. — Powrót do Bussa. — Radzenie się wody czarnej. — Odjazd. — Pożegnanie krajowców. — Lewer. — Patashia. — Żegluga po rzecze. — Bajebó. — Zangoshi. — Rabba. — Egga. — Żegluga nocna. — Mewa. — Kakunga. — Obawy. — Połączenie Chary czyli Tshady z Nigrem. — Wylądowanie. — Przestrach krajowców. — Niebezpieczne położenie podróżnych. — Bokwa. — Atta. — Dammuggo. — Niebezpieczeństwa i grabież. — Palabra. — Wyrok. — Eboe. — Król Obi. — Król Boy. — Brass. — Kapitan Lake. — Jego niegodziwość. — Przybycie obu braci do Anglii. — Powtórna wyprawa. — Zgon Ryszarda Lander.

Zbliżał się jednak czas w którym towarzystwo afrykańskie miało zebrać owoce swych usiłowań, i szlachetnego poświęcenia się rozmaitych podróżnych, o których głównych odkryciach wzmiankowaliśmy w poprzednich rozdziałach. Owo wnętrze Afryki tak długo nieznanne, zaczęło być zwiedzanem i poznawanem przez Europę ucywilizowaną; ów majestatyczny Niger, który od tylu wieków dawał powód do mnóstwa domysłów, odkryto nakoniec; przekonano się że płynie z zachodu na wschód; że się niełączy z Nilem, że nieginie w wielkim jeziorze wewnątrz kraju, lecz płynąc czas jakiś ku wschodowi, zmienia kierunek i wpada do oceanu Atlantyckiego. Lecz jakież kraje zlewał dążąc do morza? w jakim punkcie pobrzeża mie-

szął swe wody z wodami oceanu? To ważne zagadnienie pozostawało jeszcze do rozwiązania; i tego wielkiego odkrycia dokonali bracia Lander.

Mungo-Park postzegł po raz pierwszy Niger w Segó; potem wsiadłszy w Sansanding na czółno, zginął z swymi nieszczęśliwymi towarzyszami w Bussa. Rzeka płynąca około Bussy, była niezawodnie tą samą która skrapiała miasta Segó, Sansanding i Tombuktu. Z innej znów strony, Klapperton wysiadł w Badagra, w zatoce Benia, udał się lądem do Sokatu, przeszedłszy Bussę. By więc poznać całkiem bieg Nigru i znaleźć jego ujście, należało puścić się nim z Bussa i żeglować aż do morza. To posłannictwo równie niebezpieczne jak trudne, rząd angielski

postanowił powierzyć Ryszardowi Lander, zdolnemu i wiernemu studze Klappertona, który oddawszy ostatnią przysługę jego zwłokom w Sokatu, wrócił do Anglii z papierami i instrukcjami swego nieszczęśliwego pana i przyjaciela. Jan Lander brat jego, postanowił mu towarzyszyć w tej podróży.

9 Stycznia r. 1830, dwaj bracia wyruszyli z Plimuth na brygu *Poptoch*, dowodzonym przez kapitana Tyson; 22 Lutego przybyli do przylądka Koast-Kastl, po 42-dniowej żegludze. 19 Marca zarzucili kotwicę w przystani Badagry, z kąd wyruszyli przy końcu tegoż miesiąca łądem do Katunga, stosownie do udzielonych im instrukcji. Szli drogą bardzo bliską tej, którą odbył Klapperton, przebyli również jak tamten niezliczone wioski i ważne miasta. Wymienimy nadewszystko pomiędzy miastami, Jenni, Egga, Latu, Jabu, Asinara, Bohu, dawną stolicę kraju Namu, i t. d.

Nakoniec, 13 Maja, przybyli do Katungi, poprzedzeni orszakiem, który król Mansolah wysłał na ich spotkanie, składającym się z kilku osób pieszych i konnych, okrytych łachmanami. Wedle zwyczaju, zatrzymali się pod drzewem, przy bramach tej stolicy Yaryby, aż o ich przybyciu oznajmiono królowi. Lecz znudzeni długiem oczekiwaniem udali się do Ebo, naczelnika rzeźniców największe mającego po królu znaczenie. Mansolach, który dał im później posłuchanie, dobrze ich przyjął, upoważnił na piśmie Ebba, aby natychmiast był ścietym każdy, kto by śmiał im przykrość zrządzić. Mieszkali w domku, w którym niegdyś przebywał Klapperton. Zrazu obawiali się aby ich długo nieastrymano w Katundzie, lub nieodesłano na pbrzeże. To też, podług rady Ebo, niewspomnieli o celu swej podróży, i powiedzieli tylko, że się udają do Bussa, po papiery Mungo-Parka. Lubo niedoznali od Mansolacha tak dobrego obęjścia się jak Klapperton, ten jednak dozwoili im oddalić się w ośm dni po przybyciu, i 17 Czerwca, nasi podróżni postrzegli nakoniec miasto Bussa, wznoszące się na stałym lądzie, a nie na je-

dnęj z wysp Nigru, jak utrzymywał Klapperton. O 10 zrana, 17 Czerwca, weszli do tego miasta od strony zachodniej, i udali się natychmiast do króla i *midiki* czyli królowej. — »Nazajutrz rano, mówi Ryszard, zwiedziliśmy sławną Niger czyli Quorra, płynącą około tego miasta, blisko o milę od naszej rezydencji. Widok tej sławnej rzeki wielki nam sprawił zawód. Czarne i dzikie skały wznosiły się w środku i sprawiały na powierzchnię jego krzyżujące się prądy. Powiedziano nam, że o kilka mil powyżej Bussy, rzeka jest rozdzieloną na 3 odnogi, przez 2 urodzajne wysepki, i że dalej płynie jednostajnie i spokojnie aż do Funda. Tu Niger, jest ledwie szerokim na rzut kamienia. Skała, na której siedzieliśmy, wznosi się nad miejscem gdzie zginął Park i jego towarzysze.

28 Czerwca, dwaj bracia Lander opuścili Busę i udali się konno ku północy, wzdłuż prawego brzegu Nigru, aż do małego miasta Kagogia. Tam, wsiadli na czółno, wystali swe konie łądem do Yaouryi, gdyż krajowe czółna zbyt są słabe, aby mogły unieść tak wielki ciężar. Po trzydniowej żegludze, przykręj tylko w niektórych miejscach, dostali się do portu małej wioski, gdzie na nich oczekiwali ich ludzie i konie, z kąd po kilku godzinach udali do Yaouryi, leżącej blisko o mil 8 w stronie północno-północno-wschodniej od wschodniego brzegu Nigru.

Sultan Yaouryi, który panował od 39 lat, okazał się chciwszym niż wszyscy władcy i rządcy innych miast już zwiedzonych. Nietylko podróżnym niedostarczył żywności potrzebnych, lecz jeszcze widocznie starał się ich przytrzymać czas nieograniczony. »I tak, mówi Ryszard Lander: kazał powyrywać z żywego strusia pewną ilość piór, które nam ofiarował oświadczając, że musimy czekać, dopóki pióra ptakowi nieodrosną, aby przyspieszyć odrośnięcie ich, jak upewniał, trzeba nacierać skórę ptaka masłem, na co wychodzi najmniej 280 funtów masła i kosztuje 2,000 kaurysów, tę kwotę miał potrącić z sumy którą nam był winien, gdyż on na to

niepowinien wydatkować." Niestety dla naszych podróżnych, poprzednie wyprawy zasypały kraj igłami; pozbyli się więc i to z trudnością za 4 części wartości tych które przywieźli, i te krajowcy wkrótce im oddali, uskarżając się że niemogli ich nawlec, gdyż niemają uszek. Guziki odprute od sukien stały się w ówczas dla nich najlepszym źródłem zysku.

Nareszcie postaniec króla Bussy przybył do Jauryi z żądaniem aby Anglicy natychmiast byli wypuszczeni; co więc przyniósł im szczęśliwą wiadomość, że król Bussy przychyłając się do ich próśby, udziela im na piśmie pozwolenie, popłynienia rzeką aż do morza, i że im dostarcza czółno, którym popłyną do Funda, z powodu że droga lądowa nie jest bezpieczną. Podróżni nasi spiesznie wrócili do Bussy, po pięciu tygodniach ścisłego więzienia. Król, uradowany z najszczerzą przyjął ich uprzejmością; lecz nim im dał czółno, chciał poradzić się *Beken-rouach* (czyli wody posepniej, lub czarnej), czy rozsądnie zrobią ludzie biali, jeśli popłyną tą rzeką, *Beken-rouach* odpowiedziała, że się zdrowo dostaną aż do ujścia; lecz nasi podróżni długo jeszcze zatrzymali zostali w Bussa i okolicach tego miasta, z powodu przymuszonych odwiedzin króla Wowu, trudności dostania czółna, spóźnienia się gońców, wystanych przez króla do znaczniejszych sułtanów, przebywających nad brzegami rzeki.

Dopiero w poniedziałek 20 Września, podróżni nasi stanowczo pożegnali się z królem Bussy i z Metykiem. Przechodzili szpalerem utworzonym z krajowców, którzy klęczeli na drodze, płakali i wznosili ręce do nieba, przesyłając im najczulsze pożegnania. Nakoniec o wpół do dziesiątej przybyli nad brzeg rzeki, gdzie na nich dwa czółna czekały. Władca Nifei przystał im swego syna za przewodnika aż do Rabba. Wieczorem, tego samego dnia, zatrzymali się w mieście, leżącym na pięknej i wielkiej wyspie, zwaną *Patashia*, gdzie oczekiwali na czółno kupione od króla Wowu. Lecz ten im oświadczył, że statek znajduje się w *Lewer*, mie-

ście leżącym o 20 mil poniżej *Patashii*. Wyszli więc w *Lewer*, gdzie nieznalesli przyrzczonego i zapłaconego czółna i byli zmuszeni ukraść te, których im pożyczyl dobry władca *Pataschii*. 4 Października, po nowych zwłokach, puścili się znów w drogę. Blisko *Lewer*, brzegi *Nigru* wznoszą się na 40 stóp nad poziom wody, i są prawie zupełnie prostopadłe. Rzeka, głęboka i od wszelkich rafa wolna, biegnie prosto ku południowi; jej szerokość zmienia się od jednej do trzech mil. Nasi podróżni zatrzymali się naprzód w *Bajiebo*, wielkiem i obszernem mieście, położonem na prawym czyli zachodnim brzegu; potem w *Lithi*, ważnem miejscu, zamieszkanem przez *Nyffeeńczyków* na przeciwnem brzegu, i w *Madije* o 30 mil od *Bajiebo*. W kilka minut po opuszczeniu tej wyspy, i pomiijając inne, postrzegli, wybiegającą z pośrodku wałów, skałę wysoką na 281 stóp zwaną górą *Kesa* czyli *Kesy*, która jest nader szanowaną od krajowców; gdyż, wedle podania, dobry jenusz tam miał swoje stałe siedlisko. O kilka mil dalej, wysiadłszy na wyspie *Bili*, odwiedzeni zostali przez króla *Wód-Czarnych*, władcę wyspy *Zangoshii*, i nazajutrz 7 Października, przybyli do *Zangoshii*, miasta zbudowanego na wyspie tegoż nazwiska, i położonego naprzeciw *Rabba*, drugiego miasta *Fellahsów* po *Sokatu*, ze względu ludności i zamożności. Dotąd żegluga była przyjemną i łatwą. Brzegi rzeki przedstawiały obrazy równie urozmaicone jak czarodziejskie, wody jej były w niektórych miejscach, okryte czódnami ubiegającymi się o szybkość z czółnem naszych podróżnych. »Lecz, mówi *Lander*: brudne chaty ulepione z błota i niedołączni krajowcy szpecą swym widokiem kraj przez nich zamieszkanym, a dusza zamiast cieszyć się widokiem tak pięknej przyrody, przeciwnie, przykrego doznaje wrazenia.»

Władca *Rabby*, *Mallam-Dendo*, niezadowolony podarunkami które otrzymał, oświadczył, że jeśli mu niedadzą rzeczy najpotrzebniejszych i droższych, wymagać będzie strzelb, pistoletów i pro-

chu, nim dozwoli ludziom białym oddać się z Zangoshi. Lecz gdy dostał perspektywę Mungo-Parka, którą Lander odzyskał, tak się uradował, że się ogłosił wiecznym przyjacielem i opiekunem Europejczyków i rozkazał królowi Niffei, swemu lennikowi, by się z nimi jak najlepiej obszedł. 16 Października, pożegnawszy się z władcą Wód Czarnych, wsiedli na złe czółno, które im ten przebiegły naczelnik bardzo drogo sprzedał, i puścili się po raz pierwszy z biegiem rzeki, bez pomocy krajowców.

Aż do Egga, żaden nadzwyczajny przypadek nieodznaczył ich żeglugi. Pewnej tylko nocy zmuszeni byli pozostać na wodach rzeki, niemogąc znaleźć stosownego miejsca do wylądowania, a zagrożeni okropną burzą, o mało niepadli ofiarą nocnych igraszek hipopotamów. Niger prawie zawsze płynął ku wschodowi i południo-wschodowi, a szerokość jego zmieniała się od 2 do 8 mil. Prąd był tak bystry, że czółna upływały niekiedy 4 do 5 mil na godzinę. 19 Października, przepłynęli przed ujściem rzeki Kudunia, którą Ryszard Lander przebył blisko Kuttup w pierwszej swojej podróży, a w południe, tegoż dnia, po za ogromnym bagniskiem, przerywanym małymi kanałami i kałużami, ujrzeli wielkie i piękne miasto, najmniej na 2 mile długie, leżące blisko o 3 mile od brzegów rzeki. Była to Egga, podeszły jej naczelnik, przyjął ich po przyjacielsku, mieszkańcy zaś sprzedawali już płótna i sukna portugalskie, z czego wnieśli nasi podróżni, że mieli styczność z pobreżem. Egga nadzwyczajnie jest rozległą i ludną, lecz jak wszystkie prawie miasta położone nad brzegami rzek, często bywa zalaną. Krajowcy budują sobie mieszkania w miejscach najnieodgodniejszych i najniezdrowszych; grunt niezmiernie żyzny, obfite wydaje plony, prawie bez uprawy.

Ludzie towarzyszący naszym podróżnym, strwożeni przez mieszkańców Eggi którzy twierdzili, iż nadzwyczajne niebezpieczeństwa zagrażają żegludze na Nigrze, niechcieli dalej puścić się z nie-

mi, stale domagając się wrócić do przylądka *Coast-Castle*. Owo powstanie szczęściem nie miało tak ważnych skutków, i 22 Października oba bracia opuścili Egge, pożegnawszy ją trzema wystrzałami ręcznej broni. O kilka mil dalej, postrzegli mewę, niezawodną wróżbę bliskości morza i kresu swych trudów. Przepłynęli następnie przed licznymi wioskami dobrze zabudowanymi i przed znacznym miastem, o którego nazwie dowiedzieć się nie mogli. Rzeka okryta była czółnami, które nie raz bardzo blisko zbliżały się do czółten ludzi białych. Nizkie i bagniste jej brzegi w okolicach Eggi, stawały się coraz wyższymi, zamożniejszymi i płodniejszymi. Mieszkańcy miasta Kakungi, stolicy niepodległego państwa Niffei, gdzie zatrzymali się wieczorem, tegoż dnia, lubo przelękli widokiem ludzi białych, przyjęli ich równie uprzejmie jak mieszkańcy Eggi. Jednak wszelkimi siłami starali się przeszkodzić dalszemu ich posuwaniu się. Wiadomości powzięte o nadbrzeżnych mieszkańcach Nigru, poniżej Kakungi, skłoniły Landera do podróżowania tylko nocną porą, i to z nabitemi ostremi ładunkami czterema strzelbami i dwoma pistoletami, które mu jeszcze pozostały. Tak postanowiwszy drogo zaprzedać swe życie, znowu się puścił z biegiem rzeki. Przepłynął przed kilku znacznymi miastami, których starannie unikali. Podczas tej nocy, bieg rzeki kilkakrotnie zmieniał swój kierunek; z południowego, stał się południowo-wschodnim, potem południowo-południowo-zachodnim.

25, o piątej zrana, nasi podróżni znajdowali się w prost znacznej rzeki, płynącej ze wschodu i wpadającej do Nigru. Rzeka ta, zwana Tschadda, miała 3 do 4 mil szerokości, a znaczne miasto zwane Kuttunkurrafi wznosi się nad jej brzegami. Uniknąwszy rozbięcia o skałę, na którą wpędzeni zostali bystrością prądu, Lander i towarzysze jego, wyniszczeni głodem i utrudzeniem, ośmielili się wysiąść na brzeg prawy, w miejscu, które lubo niezamieszkałe, świeżo jednak było zwiedzone. Znalazona baryłka prochu nadzwyczajnie

ich uradowała, gdyż była niezawodnym dowodem, że sąsiedni krajowcy mają stosunki z Europejczykami, a zatem z morzem. Niedaleko ztamtąd znajdowało się sławne targowisko Bokwa, a brzeg przeciwny należał do królestwa Funda. Jednak krajowcy, przestraszani widokiem trzech ludzi z orszaku Landera, którzy przyszedli do wsi po ogień, zbiegli się wkrótce w wielkiej liczbie, uzbrojeni w strzelby, łuki, strzały, noże, haki żelazne, długie ostrza od włóczni i inne narzędzia. Zimna krew i przytomność obu braci, wstrzymały nieuchronną walkę. Zbliżywszy się ku naczelnikowi owej gromady szaleńców, Ryszard i Jan podali mu ręce. Rzucił im się do nóg, zalał łzami, wyznał iż ludzie biali są dziećmi nieba spadłymi z obłoków i prosił ich o przebaczenie.

Objaśnienia, które podróźni nasi otrzymali od naczelnika Bokwy były jak najlepsze. Rzeka w dziesięciu dniach prowadziła do morza, i żegluga na niej żadnego nieprzedstawiała niebezpieczeństwa. Tylko nadbrzeżni jej mieszkańcy nienajlepszą posiadali wziętość. Stosownie do rady nowych swoich przyjacioł, przepłynęli przed wielkiem miastem Atta, niezatrzymawszy się w niem; mimowolnie wypoczęli w Abbakaza, gdzie Niger dzieli się na kilka gałęzi; rzadca tego miasta okazał się nadzwyczajnie chciwym; niechcieli w dwóch lub trzech miejscach wylądować dla zapokojenia ciekawości krajowców, którzy tłumami wskakiwali w wodę dla bliższego przypatrzenia się im, usiłowali ominąć wielką wioskę Damuggo, gdzie z wielkiem podziwieniem, usłyszeli wołającego na nich po angielsku małego człowieka, ubranego w zwyczajną kurtkę majtkowskiej. Daremnie silnie robili wiosłami; dognani przez 12 czółen, zmuszeni byli wrócić i złożyć swe uznanowanie królowi. Przyjął on ich dobrze, przysłał im araku pomiędzy innymi zapasami, rozkazał odbyć uroczystości publiczne z powodu ich przybycia i przyrzekł wszystko skutecznie czego tylko zażądata. A lubo ich zatrzymał aż do 4 Listopada, dał im inne czółno, wiosłarzy i przewodni-

ka. Gdy się radzono fetyszów, względem podróży białych, otrzymano odpowiadź, że na tysiączne niebezpieczeństwa będą narażeni, nim się dostaną do morza.

Złowroga ta przepowiednia wkrótce się ziściła. Aby się zbyt nieopóźnić z powodu powolności murzynów, dwaj bracia wsiadli na dwie osobne pirogi, lecz przepłynawszy jedną z gałęzi Nigeru, która biegła ku zachodowi, zostali przytrzymani i całkiem zrabowani, przez ludzi znajdujących się na wojennych czółnach, na których powiewały chorągwie podobne do europejskich, każda z tych łodzi uzbrojoną była armatą czterolub sześć-funtową, przytwierdzoną do rufy. Zaprowadzeni zostali do Kirri, tam palabr czyli wielka narada, odbyta względem ich losu, po długich sporach, wydała następujący wyrok: »Rzeczy zabrane ludziom białym, będą im zwrócone. Murzyn, który rozpoczął nieprzyjacielskie kroki, będzie miał uciętą głowę za swe przewinienie. Co do białych, stawieni być mają przed Obią, władcą krainy Eboe, który o ich losie wyrecze.» Pierwszą część wyroku, natychmiast wykonaną została. »Oddano nam, powiada Ryszard: pudełko z lekarstwami i tłumok z książkami, które wydobyto z wody; lecz nasze suknie, dubeltówka, fuzye, szpady i pistolety, ukradziono lub zatopiono. Żeby stonie, kilka przedmiotów z historyi naturalnej, nasz kompas, termometry, mój dziennik, pamiętnik mego brata, notatki, książki ze szkicami, kilka zeszytów dziennika Jana, nie licząc w to szpilek i igieł, ani ślad z tego niepozostał; byliśmy jeszcze szczęśliwi, ujrawszy się obdarzeni ze wszystkiego i wystawionemi na łup barbarzyńców!»

Po dwóch dniach żeglugi, jeńcy przybyli do Eboe, pobytu króla Obie. Rzeka zmieniła kierunek; niepłynęła już tak wężykowato, a nigdzie niemożna było spostrzedz najmniejszej wzniosłości, któraby przerywała ciąg jednostajny jej brzegów. Krajowcy przekonani, że skoro ludzie biali ośmiela się spojrzeć na wody Nigru, skutkiem téj śmia-

łości cała ich flotylla zniszczyje, nie tylko ich zmusili do leżenia w czółnach, lecz jeszcze przykryli matami. Jednak gdy mgły się rozeszły, dozwolono znowu naszym podróżnym zobaczyć Niger. Czółn ich znajdował się w ówczas na niezmiernym przestworze wody, przy ujściu wielkiej rzeki, płynącej ku zachodowi i tworzącej znaczną odnogę Nigru. Inna gałąź, wypływająca z tegoż samego punktu, biegła ku południo-zachodowi, gdy tymczasem mała flotylla ciągle płynęła ku południow-schodowi głównem korytem rzeki, o-gół ten tworzył trzy rzeczki znacznej wielkości, których brzegi niskie i ba-gniste, zupełnie są palmami zarosłe. W godzinę później, około południa, w poniedziałek, 8 Listopada, jeden z lu-dzi znajdujących się na czólnie jeńców, rodem z Eboe, zawołał: »Oto mój kraj!"

W Eboe nowe czekały ich nieszczę-ścia. Król, młodzieniec żywy, z twa-rzą uprzejmą, przyjął ich wprawdzie z otwartością, lecz kazał dać im nader mało żywności i postanowił niepuścić bez okupu. Pozbawieni wszelkich za-sobów, byli zmuszeni żebrać; lecz by-ło to samo, co błagać kamienie i drze-wa. Zostawszy wzięci za pół-bożków i jako tacy traktowani z powszechnem uszanowaniem, ujrzeni się przywiedze-ni do stanu istot najbardziej spodlo-nych i najędzniejszych. Najprzód lu-dzie z Bonny i z Brass, znajdujący się w ówczas w Eboe, kłócili się z sobą o szczęście; którzy z nich zaprowadzą An-glików na pobrzeże, jednego lub dru-giego państwa. Nakoniec mieszkańcy Brassu odnieśli pierwszeństwo, gdyż król *Boy*, starszy brat króla *Gun*, ofia-rował się złożyć Obiemu żądany okup za więźniów, w nadziei, że takowy mieć będzie sobie zwrócony przez dowódcę brygu *Tomasz*, który stał wówczas na kotwicy w pierwszej rzece Brass. Okup oznaczono na 20 niewolników i bec-kę araku, za jego trudy i niebezpieczeń-stwa. Ryszard Lander wydał weksel na 36 funtów szterlingów na kapitana Lake, dowódcę brygu *Tomasz*; »zbyt byłem uradowany, abym się mógł z ra-

zu zastanowić, jak mówi: nad tak zby-tecznym wymaganiem."

Czółn króla *Boy* mieścił w sobie naj-mniej 60 osób, pomiędzy któremi 40 było wiosłarzy. Podobnie jak wojen-ne łodzie Obiego, opatrzony był ar-matą, przytwierdzoną do rufy, niezmiernem mnostwem pałaszy, kartaczy, ży-wności i t. p.

21 Listopada, nasi podróżni znowu żeglowali po rzece, mającej zaledwie półtory mili długości, a która płynęła ku południo-zachodowi. Wielkie wio-ski, oddalone jedne od drugich na 2 lub 3 mile, zdobiły jej zielone brzegi. Dnia 14 o 7mej z wieczora, czóln wy-płynął z głównej rzeki, dążąc ku mia-stu Brass, przez małą odnogę, biejącą w kierunku południowo-wschodnim, na wschód wielkiej odnogi, z której wy-płynął. Tegoż dnia, o wpół do 9tej z wieczora, Ryszard Lander niewymo-wnie się uradował, destrzegłszy przy-bieranie morza. Nazajutrz, w Brass uj-rzał białego człowieka, kapitana hisz-pańskiego schoonera, stojącego w ów-czas na kotwicy na rzece Brass, który tam przybył po ładunek niewolników.

Brass, najbrudniejsze i najokropniej-sze ze wszystkich miast na świecie, dzie-li się na dwa miasta, z których każde mieści w sobie blisko tysiąc mieszkań-ców, jedno z nich zostaje pod władzą króla *Jaket*, drugie zaś króla *Forday*. Inne miejsce, zwane przez Europejczy-ków *Miastem Sterników*, z powodu mno-stwa sterników w niem przemieszkują-cych, leży przy ujściu pierwszej rzeki Brass (rzeka *Nun* Europejczyków), bli-sko o 60 lub 70 mil odległości. Osta-tnie to miasto zostaje pod władzą obu monarchów, gdyż początkowo zaludni-ło się ich poddanemi.

Władca *Forday*, rozkazał stawić przed sobą cudzoziemców, żądał aby mu za-płacili 4 sztaby srebra, bo inaczej, nie-pozwoli im wyjść ze swojego państwa. Twierdził, że ten haracz należy mu się od wszystkich białych, do Brass przy-bywających. Ryszard Lander znów był zmuszony wydać powtórny oblig na ka-pitana angielskiego statku, i nazajutrz, 17 Listopada, ruszył do ujścia rzeki,

zostawiwszy brata swego jako zakładnika. Nazajutrz o 7mej z rana, wplynął na główną gałęz Nigru (rzeki Nun), która biegła z północy na południe, w kwadrans później urzął w niewielkiej przed sobą odległości, 2 okręta na kotwicy, ów hiszpański przybyły po murzynów, którego kapitana widział w Brass, i bryg angielski.

Osiągnął wówczas cel życzeń swoich, lecz nieszczęścia jego jeszcze się nieskończyły. Powiemy tylko, że kapitan angielskiego brygu nietylko niewyliczył ani grosza za swych współrodaków, ale nawet niechciał czekać na przybycie Jana Lander; szczęściem że niepogoda niedozwoliła mu wykonać ohydne jego zamiary. Pomimo swój rozżartości, król Boy dozwolił oddalić się Janowi Lander, i 24 Listopada, oba bracia znów zostali połączeni, uszedłszy największych niebezpieczeństw.

Okręt na którym się zaciągnęli do służby jako majtkowie, przebył nakoniec z wielką trudnością prąd rzeki, i 1 Grudnia stanął naprzeciw Fernando-Po. Bracia Lander zabawiwszy 7 tygodni na tej wyspie, wsiedli na statek *Caernarvon* i popłynęli do Rio-Janeiro, a 9go Czerwca przybyli do Portsmouth. Zaraz nazajutrz, Ryszard Lander oddał lordowi Goderich, sekretarzowi stanu wydziału osad, opis swych odkryć.

Natychmiast za przybyciem naszych podróżnych, rząd angielski wystął do przyłodka Cap-Coast-Castle rozkaz wypłacenia bez zwłoki królowi Boy pieniędzy przyrzeczonych. Co do kapitana Lake, ten przy wyspie Fernando-Po został złupiony przez korsarza.

Tak więc zagadnienie jeograficzne, które przez tyle wieków, tak mocno zajmowało uwagę świata uczonego, zostało teraz stanowczo rozstrzygnięte. Niger, lub jak go zowią krajowcy *Dioliba* albo *Kworra*, niełączy się z Nilem, nieginie w piaskach pustyni, niełączy się z wodami jeziora Tschad; wpada do oceanu mnóstwem odnóg, przy pobrzeżu zatoki Gwinejskiej, właśnie w miejscu znaném na tém pobrzeżu pod

nazwą *przyłodka Formosa*. Zaszczty tego odkrycia, w całości należy do braci Lander. Obszerny przestwór kraju, który przebyli od Yauryi aż do morza, zupełnie był nieznanym przed ich podróżą.

Zebrawszy cząstkowe podania, względem tak długo tajemniczego biegu Nigru, widzimy iż tenże przepływa przestrzeń 850 mil, otrzymując w krajach które zlewa, mnóstwo nazw rozmaitych, wszystkie one po większej części znaczą *Rzeka* lub *Wielka-rzeka*.

Laing oznaczył położenie źródła Nigru pod 9° 25' szerokości na północ, 12° 5' długości na zachód południka paryzkiego; wypływa on ze spodu góry Loma, na granicach Kuranko, Kissi i Sangara; według twierdzenia krajowców bieży on ku północy, potem ku wschodowi, co właśnie zgadza się z położeniem miasta Kurtussa, Kaille dostawszy się tam pierwszy, płynął tą rzeką przez 15 mil; następnie bieg jej nieznanym jest aż do Bamaku, lecz od tego punktu aż do Silla, o 2 dni drogi powyżej Geny, Mungo-Park skreślił jej plan, a od Geny Kaille znów daje nam dokładny jej rys aż do Tombuktu. Z tamtąd do Yaouryi, na przestworze blisko 150 mil, bieg Nigru jest prawie zupełnie nieznanym. W powyższym rozdziale płynęliśmy z bracią Lander z Yaouryi aż do oceanu.

Kupecy Liwerpolscy korzystając z odkryć Landera, w celu zawiązania stosunków handlowych z krajowcami nadbrzeżnemi Nigru, przygotowali 2 okręta parowe *Kwora* i *Alburka*. Ryszard Lander należał do tej wyprawy, młodszy brat jego pozostał w Anglii. Wyruszywszy z Liwerpołu, ku końcowi Lipca r. 1832, dwa statki parowe dostały się w górę Nigru aż do Bokwa; lecz wyprawa jak najopłakańsze miała skutki. Niezawiazano żadnych stosunków handlowych, i gorączki straszliwe nadzwyczajnie przerzedziły osady. Nakoniec, Ryszard Lander, który już kilkakrotnie płynął w dół i w górę rzeki, został śmiertelnie raniony, 27 Stycznia r. 1834, przez

dzikich zaczajonych w krzakach, i sko-
nał 5 Lutego, w Fernando-Po.

W chwili gdy drukowano niniejsze
dzieło (w Paryżu 1840 r.), Anglia wy-

stała nową wyprawę, składającą się z
trzech statków parowych, której dowód-
cą był mianowany kapitan Trotter.



ROZDZIAŁ XLIX.

PRZEJŚCIE PÓŁNOCNO-ZACHODNIE.

*Zagadnienie co do przejścia północno-zachodniego. — Wyprawa Jana Ross na okręcie Zwycięstwo. — Znajduje opuszczone szczątki Furyi. — Cztery zimy przepędzone wśród lodów. — Odkrycia tej wyprawy. — Jej powrót do Anglii. — Podróż kapitana Back na statku Terror. — Panowie Piotr Wil-
liam, Dease i Tomasz Simpson. — Ich odkrycia. — Rozwiązanie zagadnienia.*

Po rozwiązaniu wielkiego zagadnienia ujścia Nigru, dwa inne znakomite, zajmowały geografów współczesnych, to jest; przejście z oceanu Atlantyckiego na Wielki ocean, w kierunku północno-zachodnim, i istnienie ziem przy biegunie południowym; zostały one za naszych czasów podobnie jak pierwsze, z pewnością rozwiązane.

Czytaliśmy w poprzednim rozdziale, jakim sposobem bracia Lander osiągnęli cel swój co do Nigru. Pozostają nam do opowiedzenia mniej lub więcej liczne podróże, które jednocząc się z sobą, przedstawiają tym sposobem historią usiłowań dokonanych bądź w północnej Ameryce, bądź ku południowemu biegunowi; lecz te podróże przez lody, już same z siebie są oschłe i jednostajne, przeto musieliśmy być nader skromnymi i nierozszerzać się zszu-
płą ich treścią, którą tu udzielamy. Chcemy szczególniej wykazać ich skutki, gdyż zbyt często opowiadane usiłowania, przez które zostały osiągnięte, są dla czytelnika tylko wystawnem powtarzaniem wypadków, zjawiających się bezustannie wraz z smutną nagością miejsc, które były ich widownią. Tam gdzie nima ani ludzi, ani zwierząt, ani roślinienia, tylko zawsze i wszędzie morze lub ziemia okryte wiekuiestmi lodami, tam zajęcie niemoże być uro-

zmaiconém. Szybkiem opowiadaniem przynajmniej uwolniemy czytelnika od nudów długiej jednostajności.

Kapitan John Ross, powróciwszy z swęj niepomysłnej podróży w r. 1818, pałał chęcią, jaką świetną wyprawę odzyskać wziętość biegłego żeglarza; jakoż otrzymał dowództwo parowego statku *Wiktorya*, na którym wypłynął, 25 Maja r. 1829, do zatoki Bałfińskiej. Przez cztery lata Europa nie miała o nim wiadomości, wszyscy w jak największej zostawali o niego obawie, gdy nareszcie wrócił wzbogacony swemi odkryciami. Dostał się przez cieśniny, Łankasterską, Barrow i Księcia-Rejenta aż do punktu, gdzie przed czterema laty Parry opuścił okręt *Furyę*, uszkodzony przez tarcie lodów; statek ten zupełnie pochłonięty balwany, lecz czółna i żywności złożone na pobrzeżu ocalały. Płynąc dalej ku południowi, i okrążywszy brzegi zachodnie, dotarł aż do 78^o szerokości, i stanął 1 Października, dla przezimowania w małej zatoce, którą nazwał zatoką *Feliksa*, na cześć Feliksa Booth, głównego armatora statku *Wiktorya*, tam dowiedziano się od kilku Eskimosów, że ziemię które przejrzał tworzą wielki półwysep, łączący się z stałym lądem amerykańskim, i rozdzielający dwa morza. Kapitan James Clark Ross, siostrzeniec naczelnika wyprawy, wyruszył w Kwie-

tniu r. 1830, dla zdjęcia planu owych pobrażę. Zwiedził starannie zakręty zatoki, zakreślone morzem zachodniem, pomiędzy ziemią *Boothia*, to jest wielkim półwyspem, którego brzeg zachodni już przejrzano, a ziemią Księcia Wilhelma na południu, posunawszy się dalej ku zachodowi, aż o 150 mil od przylądka Turnagain Franklina; skreślił następnie plan przeciwległej zatoki, utworzonej przez morze wschodnie. Na zachodniem pobrażęu przesmyku, pod 70° 5' szerokości północnej i 99° 12' długości, na zachód od Paryża, przekonał się o zupełnem niedziałaniu busoli i największém pochyleniu igły magnesowej, charakterystycznych oznakach bieguna magnetycznego. W Listopadzie, zaledwie statek posunięto o kilka mil ku półocy, gdzie znów postanowiono pozostać dla przezimowania w porcie któremu nadali nazwę *przystani Szeryffa*. Mrozy w tym roku były nadzwyczajnie ostre.

Lato r. 1831 spędzono na przeglądach, które przekonały, że nieistnieje na północ ich stanowiska w wielkiej odległości, żadna komunikacya pomiędzy obu morzami. W jesieni okręt posunął się o 14 mil tylko, aż do nowej przystani, którą nazwano *portem Odkrycia*: druga sroga zima odjęła wszelką nadzieję ocalenia okrętu i wydobycia go z lodowego więzienia. Zbudowano sobie wówczas na lądzie chatę, z której osada niemogła wyjść przed 1 Sierpnia r. 1832; wówczas popłyniono czołnami, aż do wyspy Leopolda, naprzeciw cieśniny Barrow; lecz przekonawszy się o niepodobienstwie przebycia téj cieśniny, nasrożonej nieprzenikłą masą lodów, zwrócono się do miejsca w którym złożone były zapasy furi, jedyne resztki dla opędzenia potrzeb nowej zimy. Dostano się tam 7 Października i wystawiono chatę z mat, na których śnieg utworzył dach, na siedem stóp gruby; tak przesiedziano wśród najostrejszej wstrzemięźliwości i cierpień niesłychanych, aż do 8 Lipca r. 1833, wtenczas udano się pieszo do szalup opuszczonych o 6 dni drogi na północ; gdy chorzy przyszli nieco do sił i lato

otworzyło przejście pomiędzy lodami, wzdłuż wybrzeża, wypłyniono 15 Sierpnia; w dwóch dniach żeglarze nasi przebyli cieśninę księcia Rejenta, i dostali się do cieśniny Barrow, wstrzymani przez 6 dni wzdłuż wybrzeża, wiatrem gwałtownym, wypłynęli nakoniec 26 Sierpnia z cieśniny Lankastra na morze Bafiuskie, i z radością ujrzeli okręt *Izabella*, którym kapitan Ross dowodził r. 1818, wysłanym on był teraz na jego szukanie. Reszta więc osady *Wiktorji* tym sposobem zabrana, dostała się napowrót do ojczyzny.

Rząd angielski niepoprzestał na zachęcaniu trudniących się połowem wielorybów aby szukali Rossa, i nieśli mu pomoc w razie potrzeby; lecz jeszcze urządzono wyprawę, któraby lądem starała się wynaleźć ślady pierwszej śród lodów, pomiędzy którymi utrzymymano iż się znajduje zatrzymana. Dowództwo jęj powierzono kapitanowi Jerzemu Back jednemu z najśmielszych towarzyszy kapitana Franklin, w dwóch jego podróżach r. 1819 i 1823.

Wyruszywszy on z Liwopolu 17 Lutego 1833, udał się do Nowego-Yorku i przeszedłszy statyład amerykański, przybył 8 Sierpnia, do twierdzy *Postanowienia* nad brzegami jeziora *Niewolnika*; z tamtąd dokonał kilka przygotowanych wycieczek, odkrył nowe jeziora, rozmaite strumienia, a nakoniec *Thloni-Teho-Deseth*, czyli wielką rybną rzekę; a z początkiem następnej wiosny, miał się puścić z jęj biegiem ku północo-wschodowi, aż do wewnętrznego morza, gdzie jak mniemano Ross zatrzymany był przez lody. Nieopuścił jeszcze swoich leż zimowych, gdy otrzymał z Anglii wiadomość o niespodzianym powrocie Rossa, wraz z mapą odkryć przez niego dokonanych i poleceniem czynienia odąd dalszych poszukiwań, wprost w celu jeograficznym.

Back ruszył znowu w drogę 7 Czerwca r. 1834, i w czołnie przeniesionem lądem, puścił się wielką rzeką przez siebie odkrytą, której ziemio-pisarze słusznie nadali jego nazwę; żeglował po niej przeszło 600 mil, przebywając jeziora i wodospady; nareszcie 29 Lip-

ca dostał się do jęj ujścia pod 68° 15' szerokości północnej, a 97° 24' długości, na zachód południka paryzkiego; była to kończyzna zachodniego brzegu, którą nazwano *Punkt - Ogle*. Tam przez lody został wstrzymany; posunął się jeszcze jakie mil 15 ku zachodowi, i z pagórka postrzegł na zachodzie góry, którym nadał nazwę *królowej Adelajdy*; na północ ziemie których wydane części nazwał *Punktem-Bootha* i *Punktem Jamesa-Rossa*; nakoniec na wschód, morze tworzące obszerny obszar lodów. Niektóre skażówki zdawały się odkrywać prąd, pędzący z północo-zachodu. Srogość pory niedozwoliła mu posunąć dalej jego rozpoznaj; wrócił do jeziora Niewolnika, dla przezimowania, a z początkiem r. 1835 przybył do Anglii.

Kapitan Back znów wysłany został morzem w Czerwcu r. 1836, na okręcie *Terror*, by przepłynąwszy zatokę Hudsonską, starał się wyszukać przejście z *zatoki Odepchnięcia* lub *zatoki Wager* do *cieśniny Księcia-Rejenta*, a następnie połączył te ostatnie odkrycia z odkryciami wypraw Rossa i Franklina; lecz niemógł dostać się po za wyspę Southampton; ścisniony i miotany między lodami przez 6 miesięcy, doznawszy szkód wielkich, z uadwyczajnym trudem zaledwie wrócił we Wrześniu r. 1837, niemogąc ani razu zarzucić kowticy w całym ciągu tej niebezpiecznej, szesnasto-miesięcznej podróży.

Dwom innym podróżnikom przeznaczonem było uzupełnić przerwy linii północnych pobrzeży stałego-lądu amerykańskiego, pomiędzy punktami rozpoznanemi przez Franklina, z jednej strony, na zachód przylądka Barrow Beecheja, a z drugiej; na wschód punktu Ogle Backa. Temi nowemi podróżnikami są: Piotr William, Dease i Tomasz Simpson; wszyscy officerowie w służbie kompanii zatoki Hudsonskiej.

Wyruszywszy oni 1 Czerwca 1837 r. z twierdzy Chipewyan, nad brzegami jeziora Atabaska, przybyli po 6 dniach do wielkiego jeziora Niewolnika, i puściwszy się z biegiem rzeki Makenzie, dostali się 9 Lipca, do morza Biegunowego, zawałonego lodami, pomiędzy

którymi posunęli się ku zachodowi, płynąc wzdłuż pobrzeża, aż do przylądka, (położonego pod 71° 3' szerokości a 156° 46' długości zachodniej), któremu nadali nazwę gubernatora Kompanii, Jerzego Simpson. Lody niedozwoliły im dalej płynąć.

Tomasz Simpson postanowił wówczas zwiedzić dalej pieszo pobrzeże; wyruszył 1 Sierpnia z 5 tylko ludźmi, zabrawszy ze sobą broń, aauunicyje, żywność, mały czółn ceratowy do przeprawy przez rzeki, nieodbicie potrzebne narzędzia do czynienia postrzeżeń, i przedmioty przeznaczone na podarki dla krajowców. Grunt przez który przechodził, był nierówny, błotnisty, często przerzynany słonemi kałużami. Nakoniec, 4 Sierpnia, dostał się do punktu Barrow, do którego dotarł w roku 1826, wracający z zachodu pan Elson, jeden z towarzyszy Beecheja.

Tak, od cieśniny Behringa, mappa pobrzeża amerykańskiego nad morzem Lodowatym, zdjęta została bez żadnej przerwy w długości 60 stopni. Pozostała do przejścia część nieznaną pomiędzy przylądkiem Turnagain i punktem Ogle. Dokonanie tej pracy przedsięwzięli nasi podróżni w następnej wyprawie, tymczasem wrócili dla przezimowania, nad brzegi jeziora Wielkiego Niedźwiedzia.

6 Czerwca r. 1838, poczynili przygotowania do wyjazdu, i dostawszy się do rzeki Kopermin, puścili się nią 22 tegoż miesiąca; uniesieni jęj straszliwemi prądami, 1 Lipca rozbili namiot na morskiem pobrzeżu. Czekali do 17 aż lody otworzyły im przejście; puścili się wówczas z trudnością wzdłuż pobrzeża, i po 12 dniach dopiero dotarli do przylądka Barrow; tu byli zmuszeni okrążyć wielką przestrzeń, trzymając się zakrętów pobrzeża, aby się dostać do przylądka Turnagain, do którego dotarli 9 Sierpnia; lecz znalazłszy nieprzebytelody, po dziesięciu dniach oczekiwania, stracili wszelką nadzieję, posunienia się dalej czółnem, Simpson znów postanowił jak w roku zeszłym, udać się pieszo dla rozpoznania tej lodowej krainy, z kilku tylko ludźmi.

Wyruszył 20 Sierpnia, i posunął się na wschód, aż do wielkiego przygórka, który nazwał przylądkiem Aleksandra, widząc na północy w całej swój drodze wielką ziemię, którą nazwał Ziemią królowej Wiktorji; płynął jeszcze czas jakiś pobrażem skracającym się ku południo-wschodowi, aż do punktu, którego położenie oznaczył pod 68° 44' szerokości północnej, a 108° 23' długości zachodniej; działo się to 25 Sierpnia. Wystawiawszy w tém miejscu słup, wrócił do swoich szalup uwiecznych pomiedzy lodami; do których dostał się 29 Sierpnia; a 31, torując sobie siłą drogę, oba podróżni wrócili do rzeki Koppermin, w górę której popłynawszy, stanęli na zimowisko i odłożyli do przyszłego roku dalszą wyprawę.

22 Czerwca r. 1839, powrócili na rzekę Koppermia i czekali przy ujściu jej na rozkruszenie się lodów, co dopiero nastąpiło 3 Lipca; zrazu posuwali się z największą trudnością i przylądek Aleksandra okrążyli dopiero 28, ujrzeni się w ówczas wśród wielkiej zatoki, obsianej niezliczonymi wyspami, któremi droga ich była zawalona. Pobraże chyliło się następnie ku północy; trzymali się go aż do cieśniny której nadali swą nazwę, ta ich doprowadziła do ujścia wielkiej rzeki Back, do której przybyli 12 Sierpnia.

Sprawdzili tym sposobem że ziemia Boothia, oddzieloną jest od stałego lądu amerykańskiego, po lewym brzegu wielkiej rzeki Backa: postanowili następnie przekonać się w jakim położeniu znajduje się tenże ląd z prawym jej brzegiem. Przebywając w tym celu ujście tej rzeki, nadali nazwę przylądka Brytannia, cypłowi przeciwległemu punktowi Ogle. Posunęli się potem ku północno-wschodowi i napadnięni 20 Sierpnia przez nawałnicę, schronili się do ujścia małej rzeczki, znajdującej się pod 68° 28' szerokości i 95° 27' długości zachodniej.

Dotarwszy do tego punktu, osądzili iż niemogą bez niebezpieczeństwa zapuścić się w dalsze odkrycia w ciągu tej wyprawy, poprzestali więc na rozpoznaniu, jak tylko wzrok ich dosięgnął, kształtu lądów, które w około nich się zakreślały. Brzeg do którego zawinęli, ciągnął się na wschód, a potem zdawał się skręcać ku południowi, z czego wniesli, że tam znajdować się musi owa wielka zatoka obsiana wyspami, wskazana przez Eskimosów poprzednim podróżnym, a która miała tylko być oddzielną wązkim przesmykiem ziemi od zatok Odepchnięcia i Wagera. Na północno-wschodzie, niektóre lądy uważali oni za południowe kończyny Booty Rossa.

Pora stawała się coraz ostrzejszą. Burza powstała 29 Sierpnia, trwała 7 dni; musieli więc spieszyć się z powrotem. Wracając, na zachodzie postrzeżono ląd którego zachodniej kończynie Back nadał nazwę Makonochii; zwiedzono także wielką wyspę, następnie ziemię Wiktorji, po której przeszli przeszło 150 mil. Nakoniec 15 Września, przybyli znów do ujścia rzeki Koppermin; 24 t. m. do twierdzy Zwierzenia, a 14 Października, do swych leż zimowych.

Przejsieie z oceanu Atlantyckiego na ocean Wielki, w kierunku północno-zachodnim, tak długo szukane, zostało więc teraz znalezione i sprawdzone ostatecznymi podróżami, których zrobiliśmy rozbiór. Pozostaje jednak jeszcze dokładnie rozpoznać zatokę Boothia, dla skreślenia ciągłych granic stałego lądu nad morzem Lodowatém: byłby to u skutecznit w r. 1837, odważny kapitan Back na statku *Terror*, gdyby lody zupełnie drogi mu niezatamowały. Pan Simpson postanowił sam zdjąć plan pobraża w nowej wyprawie, poprzednie jego powodzenie było niejako rekojmią przyszłego: a może ta praca już została dokonana i ważny jej skutek osiągniętym.



ROZDZIAŁ I.

ZIEMIE ANTARKTYCZNE.

Wyprawa i odkrycia Kapitana Bellingshausen i porucznika Łazarewa. — Ziemie Piotra I i Aleksandra I. — Podróż Fosterera. — Jego zgon nieszczęśliwy. — Porucznik Kendal. — Okręta Tuba i Lively pod rozkazami pana Jana Biskoe. — Ziemia Enderby. — Podróż kapitana Morrell. — Podróż porucznika Jakóba Kemp. — Podróż i Odkrycia kapitana Balleny. — Wyspy Baleny i Sabryna. — Wyprawa Wilkesa. — Zatoka Zawodu. — Wyprawa pana Dumont Durrill. — Odkrycie ziemi Ludwika-Filipa, kanału Orleańskiego, ziemi Joinville i ziemi Adelii. — Wyprawa Jakóba Ross.

Nazwa krain antarktycznych, ściśle biorąc, mogłaby wyłącznie bydź nadaną owej części półkuli ziemskiej, która leży w najbliższem sąsiedztwie bieguna południowego, a którą pospolicie i bardzo niewłaściwie nazywają strefą lodowatą. Ziemiopisarstwo niezdaje się tak ściśle brać rzeczy i poświęcając stronicę ziemiom antarktycznym, obejmuje w tym zakresie wszystkie ziemie sąsiednie kołu biegunowemu, bądź wewnątrz, bądź zewnątrz niego leżące; nawet może niebędzie niedorzecznością rozszerzyć te granice i włączyć w ich obręb owe wyspy tak oddalone od stałych lądów, że niepodobna metodycznie do nich je przyłączyć, jak naprzykład ziemie którym nadano nazwy: *Kerguelen, Marion i Krozat, Księcia Edwarda, Buweta, Sandwich, Nowa-Georgia*, a na przeciwniej stronie *Makwarya, Kampbell i Aukland*.

Lecz jeśli się zajmować mamy najnowszemi tylko odkryciami, przekonamy się, iż niepotrzebną jest rzeczą rozciągać tak daleko granice, które owszem należy jak najbliżej przyłączyć do bieguna od którego przybierają swą nazwę. Równoległa 60° ma pod tym względem tę korzyść że oddziela odkrycia tegoczesne, od odkryć dawniejszych.

W tej to granicy Wilhelm Smith odkrył r. 1818 wyspę *Południowo-Szelandzką*, które później zwiedził wraz z porucznikiem *Barnefield, Botwell* odkrył r. 1820 *Południowo-Orkneye*, zwiedzone r. 1822 przez *Weddela*; *Palmer* i inni nieulekli potawiacze foków, w tymże samym czasie postrzegli zdaleka,

ziemie, oznaczone pod nazwą *Palmera i Trojcy Świętej*.

Był to tylko wstęp do odkryć antarktycznych, ostatecznie dokonanych, a jeszcze nieukończonych, odkrycia te zdają się potwierdzać domysły, nieśmiem rzec marzenia *Desbrossa, Biuffona, Dalrympla*, że istnieje wielki stały ląd australny, stanowiący symetryczną równowagę ziemiom nagromadzonym przy półkuli północnej.

Rzucmy okiem na morskie wyprawy, których skutki ciągle zgromadzane, przeczuwać kazały istnienie długiego ciągu skalistych pobrzeży, tam, gdzie od czasów *Kooka*, przypuszczano że jest tylko lodowate morze.

3 Lipca r. 1819, dwa rossyjskie okręta, *Wostok*, dowodzony przez kapitana *Bellingshausen*, i *Mirni* pod rozkazami porucznika *Łazarewa*, wypłynęły z *Kronsztaadu* i puściły się ku morzom arktycznym. 15 Grudnia rozpoznały wyspę *Georgia*, i skierowawszy ku południo-wschodowi, odkryły 22, wulkaniczną wyspę *Trawersay*, dym wybuchającą, której położenie oznaczyli pod 52° 15' szerokości południowej, a 27° 21' długości zachodniej od południka paryżkiego. Następnie okrążywszy ziemię *Sandwich*, płynęli ku wschodowi w przestworze 400 mil, na równoległej 60°, lecz począwszy od południka 10° na zachód *Paryża*, prawie wprost zęglowali ku południowi bez trudności, na przestrzeni 600 mil aż do równoległej 70°, gdzie lodowa zaporą niedozwoliła im dalej się posunąć; ztamtąd skierowali ku wscho-

bowi, wzdłuż koła biegunowego, aż do 41° długości wschodniej, gdzie lód zmusił ich do powrotu na północ; pozostawili w ówczas na 40 mil w oddaleniu, wielką ziemię której niepostrzegli, odkrycie jej zachowaniem było okrętowi udającym się za połowem wielorybów, który przez usunięcie się lodów we 20 lat później przebył to przejście: Bellingshausen i Łazarzew, puściwszy się aż do równoległej 62, znowu płynęli ku wschodowi przez 1,400 mil poczem dostawszy się do 85° długości, 5 Mca 1820 zatrzymali się w *Port-Zakson* dla naprawy okrętów.

Następne lato użyte zostało na przebieżenie oceanu Spokojnego, i kapitan Bellingshausen, w ciągu tej wyprawy z bogactw ziemio-pisarstwo odkryciem 17 nowych wysp. Wróciwszy do *Port-Zakson*, wypłynął znów 31 Października na zwiedzenie raz jeszcze mór antarktycznych.

Żeglując ku południowi, rozpoznał wyspy *Makwarya*, przeciął równoległą 60° pod 160° długości wschodniej i płynął dalej ku wschodowi pomiędzy równoległymi 64° i 68°, tak daleko jak 95° długości zachodniej; następnie 9 Stycznia 1821 dostał się do 70° szerokości najdalszego punktu do którego on dotarł na południu, o 300 mil tylko na wschód od południka na którym *Kook* 30 Stycznia 1774, dotarł najdalszej swej szerokości południowej. Następnego dnia, wyprawa rossyjska odkryła pod 69° 30' szerokości, a 92° 20' długości zachodniej, wyspę, która otrzymała nazwę *Piotra I^o*: była to z ziem dotąd znanych, najbardziej posunięta na południe. O 15° dalej ku wschodowi i prawie w téjże samej równoległej, odkryto inną wyspę, i tę nazwano *wyspą Alexandra I^o*, woda okazywała się bezbarwna i wiele wskazywało o istnieniu ziemi dostrzeżono w przestworze pomiędzy temi dwoma wyspami; tak iż można wierzyć, polegając na powadze uczonego admirała *Kruzenstern*, że wyspy te łączą się z wielką ciągłą ziemią, która sama nawet może ciągnie się tak daleko ku północno-zachodowi, że się łączy z ziemią dostrzeżoną przez Amerykanina *Palmer*.

Ztamtąd, *Bellingshausen* puścił się ku północy, opłynął wyspy *Południowo-Szetlandzkie*, zobaczył znowu w *Lutym Nową-Georgię* i wrócił do *Kronstadu* w *Lipcu*, po dwóch latach żeglugi, straciwszy tylko dwóch ludzi z 200 składających osadę obu statków.

Roku 1828, admiralicya angielska poleciła kapitanowi *Henrykowi Foster*, poczynić w rozmaitych punktach ziemi postrzeżenia, dla oznaczenia jej kształtu. Wyprawa ta, trwająca 3 lata, zakończyła się nader smutnym wypadkiem: 5 Lutego kapitan *Foster*, przepływając w czółnie rzekę *Chagre*, wpadł w wodę i utonął. Zastępcy jego porucznikowi *Kendal*, winni jesteśmy opisanie tej wyprawy ku ziemiom antarktycznym.

Wypłynawszy z zatoki *Świętego Marcina*, niedaleko przylądka *Horn*, i żeglując prosto ku południowi, znaleźli się, 5 Stycznia 1829, na prost wysp *Południowo-Szetlandzkich* i postrzegli przez gęste mgły, czarniawe skały *wyspy Smith*; napadnięci gwałtownym wiatrem z gęstą mgłą połączonym, miotani wśród prądów i ciemności, dopiero trzeciego dnia rano, to jest 7 Stycznia, z powrotem pogody ujrzeli, że się znajdowali w cieśninie *Barnesfield*, o 65 mil na południow-wschodzie od wyspy *Smith*, mając na południow-wschodzie wielką ziemię górzystą, którą już dnia poprzedniego uważali. Okręt *Chanticleer* otoczony był wielorybami, pingwinami i petrelami, zdawały się one cieszyć krótkimi chwilami pogody, których im używać dozwalało posępne niebo w tych stronach opustoszałych.

Po południu, znajdując się w pobliżu przygórka, *Foster* i *Kendal* postanowili wysiąść na ląd, dla zajęcia go w posiadłość; z wielką trudnością przybili do lądu, i oznaczyli położenie miejsca tego pod 64° 43' szerokości północnej i 64° 5' długości zachodniej, zebrali kilka próbek syenitu, tworzącego grunt tamtejszy, i małą ilość czerwonego śniegu, podobnego do śniegu stron arktycznych; następnie skierowali ku *wyspie Zawodu*, do której nazajutrz przybyli; i zabawiwszy na niej całe dwa miesiące,

odpłynęli 8 Marca, z powrotem do przylądka Horn.

14 Lipca r. 1830, wypłynęły z Londynu dwa okręta, bryg *Tuba* i kuter *Lively*, należące do braci Enderby, a zostające pod dowództwem Jana Biskoe, w podwójnem zleceniu, połowu fok i przejrzenia mórz biegunowych w dalekich ich szerokościach. Wyprawa zawinawszy do wysp Maluińskich, odpłynęła z nich 27 Listopada, udając się do ziemi Sandwich, której północną kończynę opłynęła 1 Stycznia 1831.

Przybywszy do równoległej 59°, napotkano ścisłe lody, które niedozwoliły posunąć się ku południo-zachodowi, gdzie były wielkie wskazania lądu; Biskoe skierował wówczas ku wschodowi, aż do 9° 34' długości zachodniej; a 16 Stycznia, przerznawszy równoległą 60', płynął ku południo-wschodowi, aż do 68° 51' szerokości i 10° długości wschodniej, postrzegając w tym przeciągu wiele śladów sąsiedztwa ziemi, jakimi są, na przykład, bezbarwność wody, obecność niektórych ptaków i wiatr, chwilami mocno wiejący od południo-południo-zachodu. Gdy z powodu lodów niemógł się posunąć w wyższe strefy, płynął dalej ku wschodowi, zbliżając się do koła biegunowego. Nakoniec, 27 Lutego, pod 65° 57' południowej, a 45° wschodniej długości, ujrzał wyraźnie rozległy ląd, górzysty i śniegiem okryty, któremu nadał nazwę *Enderby*; starał się wszelkimi sposobami zawinąć do niego, lecz był zupełnie okolony lodami, grodzącemi do niego przystęp. Tymczasem niespodziany wicher rozdzielił oba okręty, i uniośł one ku północo-wschodowi; *Tuba* skierowała na powrót ku południo-wschodowi, postrzegając jeszcze długi czas tę samą ziemię, mogącą mieć ze wschodu na zachód przestworu przeszło 200 mil. Lecz nie pogody i nędzny stan zdrowia ludzi okrętowych zmusiły Biskoe, że zawinął do ziemi Van-Diemen, gdzie w kilka miesięcy dopiero połączył się z nim statek *Lively*.

Wyruszył znowu z obu okrętami na nową odkryciową wyprawę na początku Stycznia r. 1832, i skierował ku połu-

dno-wschodowi; 14, znajdując się pod 56° 26' południowej, a 158° 8' zachodniej długości, postrzegł bardzo wiele ptaków i porostów na powierzchni wody, i kilka zawiei śnieżnych buchało także od południa; 31, ku równoległej 65° i południkowi 120°, postrzegano ku południo-zachodowi chmury ciągle niskie i gęste jak by ziemia tam się znajdowała; lecz oznaki burzy niedozwoliły to sprawdzić i musiano spieszenie się oddalić ku północo-wschodowi. 12 Lutego, pod 66° 27' szerokości południowej, a 84° 10', ujrzano znowu albatrosy, pingwiny, wieloryby; 15, powtórnie postrzeżono ziemię na wschodzie-południow-wschodzie, lecz w wielkiej odległości; nazajutrz przekonano się że to była wyspa, której nadano nazwę *Adelajda*. Wkrótce powzięto pewność, że była częścią łańcucha wysp, mającego kierunek z zachodu-południo-zachodu na wschód-północo-wschód, i leżącego przed lądem wysokim i ciągłym, który później nazwano ziemią *Grahama*, nazwa zaś *Biskoe* została nadaną łańcuchowi wysp. Żeglarz ten wysiadł na wielki ląd, dla objęcia go w posiadłość z wszelkimi formalnościami, oznaczył położenie wysokiej góry, którą nazwał *górami Williama*, pod 64° 45' szerokości południowej, a 66° 11' długości na zachód Parry'ego. Zawinął potem do *Południowej Szellandyi*, gdzie był zagrożony burzą; zatrzymał się następnie przy *wyspach Maluińskich*, tam utracił okręt *Lively*, następnie zaś wrócił do ojczyzny.

Możnaby jeszcze przytoczyć inną podróż, o której dokładności powątpiewano, chociaż odkrycie przez nią dokonane bardzo się zgadza z postrzeżeniami czynionemi przez żeglarzy, którzy pierwiej lub później morza te zwiedzali.

Kapitan Amerykański, Benjamin Morrell, z Nowego-Yorku, który już poprzednio r. 1829 i 1830, na okręcie zwanym *Antarktyczny*, dokonał wycieczki na morzach północnych, przedsięwziął r. 1833 wyprawę ku strefom bieguna południowego. Przerznął równoległą 60° pod 113° 40' długości wschodniej, znalazł morze otwarte i śmiało żeglował na południe aż po za biegun południowy; po-

tém, korzystając z wiatru wschodniego, który według zdania wszystkich żeglarzy panuje w tej szerokości, przebył 116° długości, nienatrafwszy na żadną przeszkodę godną wspomnienia, pożeglował o 200 mil na południe *ziemi Enderby*. Zkierował następnie ku północo-zachodowi, dla nabrania drzewa z *ziemi Sandwich*; potem posunął się w górę ku biegunowi i dosięgnął równoległej 70° 30' na południku 42° na zachód Paryża; był to najdalszy punkt, do którego dostał się z tej strony; morze było wolne, i mało postrzeżono gór lodowatych. Ztamąd zwracając się znowu ku północy, odkrył rozległą ziemię, którą nazwał *Południową-Grenlandją*; opłynął jej brzeg wschodni, okrążył północną kończynę powracając do przylądka Horn.

W tejże samej epoce, dokonano innej jeszcze podróży, której opisu nieogłoszono, wypadki jej są tylko zapisane na kartach admiralicyi angielskiej. Mówimy tu o wyprawie porucznika Jakóba Kemp. Przybywszy on w Październiku r. 1833 do *ziemi Kerguelen*, puścił się następnie prosto na południe aż do równoległej 59°; poczem skierowawszy ku południo-wschodowi, wkrótce ku 70° długości wschodniej, trafił na jakoweś pozory ziemi; płynął dalej ku wschodowi aż do południka 73°, poczem zwrócił się na zachód; i znowu postrzegł nowe pozory ziemi ku równoległej 61° i południka 71°. Nakoniec, w Grudniu dostawszy się do 66° szerokości i 57° długości wschodniej, ujrzał wyraźnie na południu ziemię, która może łączy się z *ziemią Enderby*, od której jest odłączoną zaledwie 200 milowem przedziałem. Kemp skierował natenczas ku północo-zachodowi, i w Styczniu r. 1834, przebył równoległą 60° pod południkiem wysp Krozat, dla dostania się w stronę umiarkowańszę.

Niezaprzeczone odkrycia Biskoego, opowiadania Morella, wskazania zebrane przez Kempa, spowodowały domysły różniące się bardzo z sobą o istnieniu wielkiego stałego lądu antarktycznego i o podobieństwie żeglowania po tych morzach, po za pierwszą zaporą

lodów, nagromadzonych wzdłuż kilku wysp ciągnących się ku biegunowi północnemu. Spór łatwo wyradza chęć sprawdzenia faktów na których się opiera twierdzenie, i trzy państwa zagrożone gorliwością swych żeglarzy, przygotowały wyprawy, w wyłącznym celu zwiedzenia stref biegunowych. Stany-Zjednoczone wybrały porucznika Wilkes, Francya kapitana Durwille, Anglia kapitana Jakóba Ross, dla dopięcia zamierzonego celu. Lecz gdy te umyślnie wyprawy przysposabiano, angielski statek trudniący się połowem wielorybów, dokonywał niejako wstępu do odkryć tych biegleń żeglarzy.

Na początku r. 1839, statek *Eliza-Skott*, pod dowództwem kapitana Balleny, krążył po morzach antarktycznych, i pomnożył kilku nowymi punktami owe rozpięzchłe skazówki, każące się domyślać istnienia ziem południowo-biegunowych, podzielonych na liczne masy, mniej lub więcej znaczne.

Wyplłynawszy on z *wyspy Kampbell*, na południe *Nowej-Zelandyi*, Balleny niezwłocznie posunął się ku południowi. 7 Lutego, dotarł do 67° 7' szerokości północnej, pod 164° 25' długości zachodniej od południka Paryżkiego; płynąc wówczas ku zachodowi, postrzegł 9 zrana, mnóstwo pingwinów; o godzinie 11, ujrzał czarny pas na widnokregu, w stronie południowo-zachodniej; w południe był to już pozór ziemi; a o 6 z wieczora, doskonale ją można było rozróżnić; o 8 był już tylko od niej o 5 mil; nad zachodem słońca poznano że to były trzy oddzielne wyspy, dość rozległe, a z tych zachodnia najdłuższa. Nadano im nazwę *wysp Baleny*. Naza-jutrz, jak najraniej, usiłowano do nich zawiąć; lecz postrzeżono że były zupełnie lodami okolone, i że morze tworzyło trwałą masę bez żadnego przejścia; położenie wyspy środkowej oznaczone zostało pod 66° 44' południowej, a 162° 25' długości wschodniej. 11 Lutego, widziano jeszcze ziemię, wysoką i okrytą śniegiem, na zachodzie-południowo-zachodzie; 12, znajdowała się ona na południo-południo-wschodzie, o 10 mil blisko. Wsiadłszy na czołno usiłowano

do niej się zbliżyć; lecz u spodu wysokich i prostopadłych skał, zaledwie znajdowało się wybrzeże na 3 lub 4 stopy szerokie, musiano wejść w wodę aż po pas, chcąc zebrać kilka próbek kamieni lub raczej lawy; gdyż ziemia ta jest wulkaniczna, widziano nawet wyraźny dym, wznoszący się ze szczytu owych gór.

2 Marca, w południe, *Eliza-Skott* znajdowała się na równoległej 65° pod 120° 24' długości; postrzeżono wieczorem jakiś pozór ziemi i zwinęto żagle. Nazajutrz rano skierowano ku południowi, lecz niepodobna było przedrzeć się w kierunku południowo-zachodnim, gdzie łódź, zupełnie wstrzymany, zdawał się opierać o ląd na nim znajdujący się. Nazwano tę ziemię *Sabrina*. Znajdowano się wówczas pod 65° 10' szerokości, a 116° 10' długości wschodniej. Kapitan Balleny niemógł dalej posunąć swych sprawdzeń w tém miejscu, i z powrotem skierował pu północy.

Stany-Zjednoczone Ameryki Północnej, wysłały wielką wyprawę odkryciową na morza południowe, pod dowództwem porucznika Karola Wilkes; eskadrecją jego składały okręta *Vincennes*, *Peacock*, *Porpoise* i *Flying-Fish*, oraz kilka statków zapasowych, zaopatrzone one były we wszystkie narzędzia potrzebne do czynienia postrzeżeń.

Wyruszywszy w Wrześniu r. 1838, wyprawa przybyła na czas niejaki do Rio-Janeiro, 19 Lutego r. 1839 dostała się do *Port-Orange*, w *Ziemi-Ognistej*; Wilkes zostawił tam swój oddział, i udał się na statku *Porpoise*, przygotowa-wczo przejrzeć lody, posunął się aż do równoległej 70° blisko 102° długości zachodniej; naraził się za bardzo blisko na niebezpieczeństwo pozostania oszańcowanym, osadził więc roztropniej odłożyć do przyszłego roku szmierszą próbę. Połączył się ze swemi statkami w *Port-Orange*, i skierował ku *Valparaiso*, gdzie przybył 15 Maja; ztamtąd udał się do *Kallao*, potem do wysp *Sandwich*, przy końcu roku znajdował się w *Sidney*, gotów płynąc ku południowi.

Wyprawa wyruszyła 24 Grudnia, i skierowała ku biegunowi; płyniono z

razu wspólnie; lecz 3 Stycznia r. 1840' dwa statki odłączyły się i znikły wśród gęstej mgły. *Vincennes* i *Porpoise* zawięły do wyspy *Makwary* i płynęły dalej ku południowi pomiędzy lodami, aż do 64° 11' szerokości północnej 162° 33' długości na wschód Paryża; działo się to 11 Stycznia; *Porpoise* zniknął tego dnia w gęstej mgle, a Wilkes na statku *Vincennes*, sam dokonywał dalsze swoje śledztwo.

16 Stycznia, ujrzał znów okręt *Peacock*, pod 155° 23' długości wschodniej, a 65° 26' szerokości południowej; napotkał go jeszcze 19 pod 152° 7' długości a 66° 20' szerokości; tegoż dnia rano, postrzeżono ziemię na południu i wschodzie; foki, pingwiny, równie jak bezbarwność wody, były skazówkami jej pobliskości; lecz nieprzebyta zaporą lodu, grodziła do niej przystęp i *Vincennes* napróżno szukał przejścia, płynąc wzdłuż ogromnych odłamów lodu ku wschodowi, aż do 145° 10' długości, a 67° 4' szerokości; zdawało się iż postrzegali skazówki ziemi na wschodzie i zachodzie, lecz żeglarze nasi znajdowali się w zatoce otoczeni nieprzebytemi lodami, z tego powodu, nadano jej nazwę *zatoki Zawodu*. Postrzeżenia, czynione z igłą magnesową, kazaly się domyślać, że w niewielkiej znajdowano się odległości od biegunu magnetycznego. 28, okręt *Vincennes* zmuszony do cofania po 13 razy, posunął się jeszcze ku południowi do 138° 10' południka na wschód, a do 66° 33' szerokości, tam znowu postrzeżono przed sobą ziemię. Burza zmusiła naszych żeglarzy do cofnięcia się, lecz 30 zdołali powrócić do lądu, najeżonego lodami i czarnymi wulkanicznymi skałami, rozciągającego się blisko na mil 60 w kierunku południowym; wiatr dał tak gwałtowny, że niepodobniestwem było zwinąć do lądu, musiano więc znowu wytrzymać wściekły orkan.

12 Lutego, rozrózuiono w oddaleniu góry; lecz niemożna było do nich się zbliżyć: znajdowano się wówczas pod 109° 40' długości wschodniej, a 64° 57' szerokości. Ciągłe kierowano ku zachodowi; 13, w samo południe, pod 105°

25' długości, a 65° 11' szerokości, morze było spokojne, i ujrano ziemię. Wilkes przerznął się przez lody i nazajutrz zbliżył się o 3 lub 4 mile od brzegu; lecz nie mógł przebyć zapory lodowej, poprzestał przeto na zebraniu na kilku wyspach lodowych licznych próbek piasku, kamieni, kwarcu, niekiedy ważących do 100 funtów. Znajdowano się pod 65° 57' na południe, a 105° 20' długości wschodniej: pobrzeże było rozległe przeszło na 70 mil.

17 Lutego, pod 95° 10' długości, na równoległej 64°, postrzeżono jeszcze ziemię, w wielkiej odległości na południowozachodzie. Okręt zostawał uwięziony pomiędzy lodami, zwracającemi się ku północy, a następnie ku wschodowi. Musiano żeglować wężykiem, wzdłuż brzegu przez 4 dni, dla wydostania się z otwój zatoki, i 21 Lutego *Vincennes* puścił się napowrot drogą ku północy, by dostać się do Hobart-Town, postrzegł na wschodzie i zachodzie liczne wskazania ziemi, które zdaniem Wilkesa są rozmaitemi punktami jednego lądu antarktycznego, rozciągającego się w przestworze 79 stopni długości.

Wyprawa francuzka pod rozkazami kapitana Dumont Durwille, składała się tylko z dwóch statków, *Astrolab* i *Zela*; tym ostatnim dowodził kapitan Jacquinot.

Zawinawszy do Rio-Janeiro, i cały miesiąc przepędzwszy na pracach hydrograficznych w cieśninie Magellana, obie korwety wypłynęły 11 Stycznia r. 1838, z ziemi Stanów, dążąc na południo-wschód, ku stronom, do których dostał się Weddel r. 1823, niebędąc zatrzymanym przez lody najdalszych krańców południowych; lecz 22 Stycznia, przybywszy do 64° szerokości a 47° 50' długości zachodniej, statki zatrzymane zostały zaporą ścisłych lodów, ciągnącą się z południowozachodu ku północno-wschodowi, jak tylko okiem można było osiągnąć. Płyniono wzdłuż tej zapory, na milę lub dwie od niej odległości, w przestworze 24 mil, aż do *wysp Orkney*, gdzie zatrzymano się przez tydzień dla czynienia postrzeżeń hydrograficznych. 2 Lutego Durwille puścił się znowu ku południowi. 4 Lute-

go, pod 62° znalazł kry; lecz ponieważ zdawało mu się iż postrzeża przestrzeń mniej zawałoną, puścił ku niej obie korwety, i wkrótce został uwięziony pomiędzy lodami coraz bardziej ścieśniającemi się. Z niestychnaniem usiłowaniami uniknięto niebezpieczeństw, rozbijając oskardami lody zatrzymujące okręta, na przestrzeni dwumilowej, do przebycia której potrzebowano 8 godzin przy żaglach i moenych linach. Oswobodzone z więzienia, obie korwety opływały ogromne kry z zachodu na wschód, w przestworze 300 mil, i nieznalazły wyjścia; dopiero pod 33° długości, 15 Lutego, widząc zaporę lodową przybierającą północny kierunek ku wyspom Sandwich, wyprawa zwróciła się ku zachodowi, popływała dla uzupełnienia ziemopisarstwa Orknejów, wschodniej części Sztlandyi, i wykonania jeszcze wycieczki na południe, ku owym ziemiom nieznanym, niedokładnie wskazanym przez łowiących fok, którzy po odkryciu Schmittha, popłynęli zwiedzić okolice południowej Sztlandyi, i postrzegli pobrzeża śnieżyste, którym nadali nazwę ziemi *Palmera* i *Trójcy-Swiętej*; Foster zawiązał do nich r. 1829; Biskoe r. 1822, widział na południowozachodzie ziemię *Grahama*, a Morell r. 1838, wskazał na południow-wschodzie *Grenlandyę Australną*.

27 Lutego r. 1838, w długiej wycieczce, posunionej ku południowi przez lody, wyprawa francuzka dostała się do owych ziem tajemniczych, w punkcie niewidzianym jeszcze dotąd od żadnego żeglarza; pomimo mgły, lodów i ciągłej niepogody, w przeciągu dni 8, zdołano skreślić dokładny ich kształt, rozciągają się one blisko na 120 mil, pomiędzy równoległą 63° i 64° i południkami 58° i 62° na zachód Paryża. Ziemie te zwieńczone ogromnemi cyplami, pokryte są wiecznym lodem nadzwyczajnej grubości; gdyby nie czarniawe skały, powleczone topniejącemi śniegami, które tworzą ich nadbrzeżną granicę, nieraz trudno by było rozróżnić takowe od niezmiernych mass lodów im towarzyszących. Najznacniejszy z tych łądów otrzymał nazwę *Filipa-Ludwika*; kana-

Orkney

dem Orleańskim nazwano przestwór oddzielający ziemię *Trójcy-Swiętej*, od ziemi *Joinvilla* najbardziej posuniętej ku wschodowi. Obie korwety przebyły następnie ziemię *Barnesfielda*, i udały się do Chili, gdzie zawinęły 7 Kwietnia.

Wyruszywszy z Walparaiso w Czerwcu, kapitan Durville, przebył całą Oceanie i zarzucił kotwicę 1 Stycznia r. 1839, w Guam, na wyspach Maryjańskich; następnie puścił się pomiędzy wielki archipelag azyatycki i przybył w Październiku do Batawii; a ztamtąd popłynął do Hobart-Town, zkąd wyruszył pod żagle 1 Stycznia 1840, dla dokonania nowego przeglądu antarktycznego.

Żegluga była utrudnioną aż do 17 Stycznia, wówczas pod 62° i 63° szerokości południowej, lody stały się liczniejszemi; 19, kilka pingwinów pokazało się naokoło okrętów, a wieczór, pod 66° szerokości, postrzeżono na widnokręgu ziemię, w kształcie długiej brunatnej linii. Niepodobna się było do niej przybliżyć, dopiero 21 i to na 10 mil odległości, pod 66° 30' południowej, a 138° 21' zachodniej długości: przedta wiła się ona wówczas jako niezmierna wstęga ziemi, rozciągająca się jak tylko okiem można było dosięgnąć ku zachodo-południo-zachodowi, wyniosła od 200 do 300 sążni, zupełnie okryta lodem i śniegiem. Ziemia ta nazwaną została *Adelia*. Kilka osób wyprawy udało się czołnem dla objęcia jej w posia-

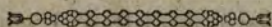
dłość i zebrania próbek skał. Postrzeżenia czynione nad igłą magnesową, okazały sąsiedztwo bieguna magnetycznego. Ciągłe posuwano się ku zachodowi, lecz 23 zapory lodowe zmusiły obie korwety do oddalenia się ku północy; dnia 29 Stycznia, wyprawa usiłując wrócić do lądu, znowu wstrzymaną została przez ogromne kry, lecz nazajutrz znaleziono znowu ziemię pod 64° 30' południowej, a 129° 54' wschodniej długości, i nazwano ją *pobrzeżem Clarie*. Płynąc wzdłuż wybrzeża przez mil 20, wpadnięto znowu na kry i postanowiono opłynąć północny przyładek dla dostania się do Hobart-Town, gdzie zawinęły okręta 17 Lutego.

Wyruszone ztamtąd 25, i udano się do Nowej-Zelandyi, dla uzupełnienia jej hydrografii, potem do Nowej-Gwinei i przekonano się że Luzyada nie była od niej oddzieloną żadną cieśniną; przejrzano starannie cieśninę Torres, z wielkiem niebezpieczeństwem obu korwet, które uniesione na skały koralowe, zaledwie od nich z znaczną szkodą odczepione zostały. 20 Czerwca zawinięto do Timor, zatrzymano się następnie przy Burbon, przy Świętej-Helenie, i wplyniono nakoniec do Tulonu 6 Listopada.

Co do australnej angielskiej wyprawy, pod rozkazami Jakóba Clark Ross, niedoszła jeszcze żadna wiadomość o jej pracach.

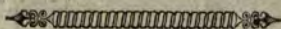


SPIS ROZDZIAŁÓW.



Stronnic.

ROZDZIAŁ I.	Pierwsze odkrycia Portugalczyków	7.
II.	Odkrycie przejścia około Przylądka Dobrej-Nadziei	15.
III.	Kolumb	23.
IV.	Kolumb	31.
V.	Krysztof Kolumb i Ameryk Wespuciusz	36.
VI.	Pierwsze odkrycia w Ameryce	43.
VII.	Odkrycia dokonane przez Hiszpanów i pierwsza podróż na około świata	49.
VIII.	Hernando Korteż	54.
IX.	Zdobycie Peru	62.
X.	Zdobycze Hiszpanów	69.
XI.	Zdobycze Portugalczyków	77.
XII.	Ferdynand Mendez Pinto	83.
XIII.	Podróże na Północ	92.
XIV.	Podróże na Północ	99.
XV.	Podróże na Północ	108.
XVI.	Osady na Wschodzie	117.
XVII.	Osady w Ameryce Północnej	124.
XVIII.	Osady w Afryce	132.
XIX.	Podróże na morzu Południowym	140.
XX.	Podróże na morzu Południowym	148.
XXI.	Podróże po morzu Spokojnym i Odkrycie Australii	157.
XXII.	Wyprawy Bukanierów na morzu Południowym	167.
XXIII.	Podróże Korsarzy i innych po morzu Południowym	171.
XXIV.	Odkrycia Rossyan	179.
XXV.	Dalsze odkrycia Rossyan	185.
XXVI.	Podróże Byrona, Wallisa, Kartereta i Bougainwilla	191.
XXVII.	Pierwsza podróż Kooka	196.
XXVIII.	Druga podróż Kooka	203.
XXIX.	Trzecia podróż Kooka	211.
XXX.	Dalszy ciąg trzeciej podróży Kooka	217.
XXXI.	Podróże Laperusa i innych	222.
XXXII.	Europejczycy na morzu Południowym	230.
XXXIII.	Pobrzeża Australii	235.
XXXIV.	Wnętrze Nowej-Hollandyi	243.
XXXV.	Podróże Wankuera	253.
XXXVI.	Wnętrze Ameryki Północnej	260.
XXXVII.	Ross i Parry	265.
XXXVIII.	Podróż Parrego	273.
XXXIX.	Podróż kapitana Franklin	279.
XL.	Powtórna podróż kapitana Franklin	284.
XLI.	Podróże Humboldta	290.
XLII.	Dalszy ciąg podróży Humboldta	297.
XLIII.	Południowe krańce Ameryki	302.
XLIV.	Wschodnie pobrzeża Azji	308.
XLV.	Podróże Brusego	314.
XLVI.	Podróże Mungo - Parka	321.
XLVII.	Podróże Denhama i Klappertona	328.
XLVIII.	Ujście Nigru	334.
XLIX.	Przejście północno-zachodnie	341.
L.	Ziemie Antarktyczne	345.





OCEAN LODOWATY POŁNOCNY

SYBERYA

CZYLI ROSSYA AZYATYCKA

A Z I A

AMERYKA POŁNOCNA

AFRYKA

EUROPA

INDYJSKI

OCEAN SPOKOJNY

AUSTRALIA

W I E L K I O C E A N A U S T R A L N Y

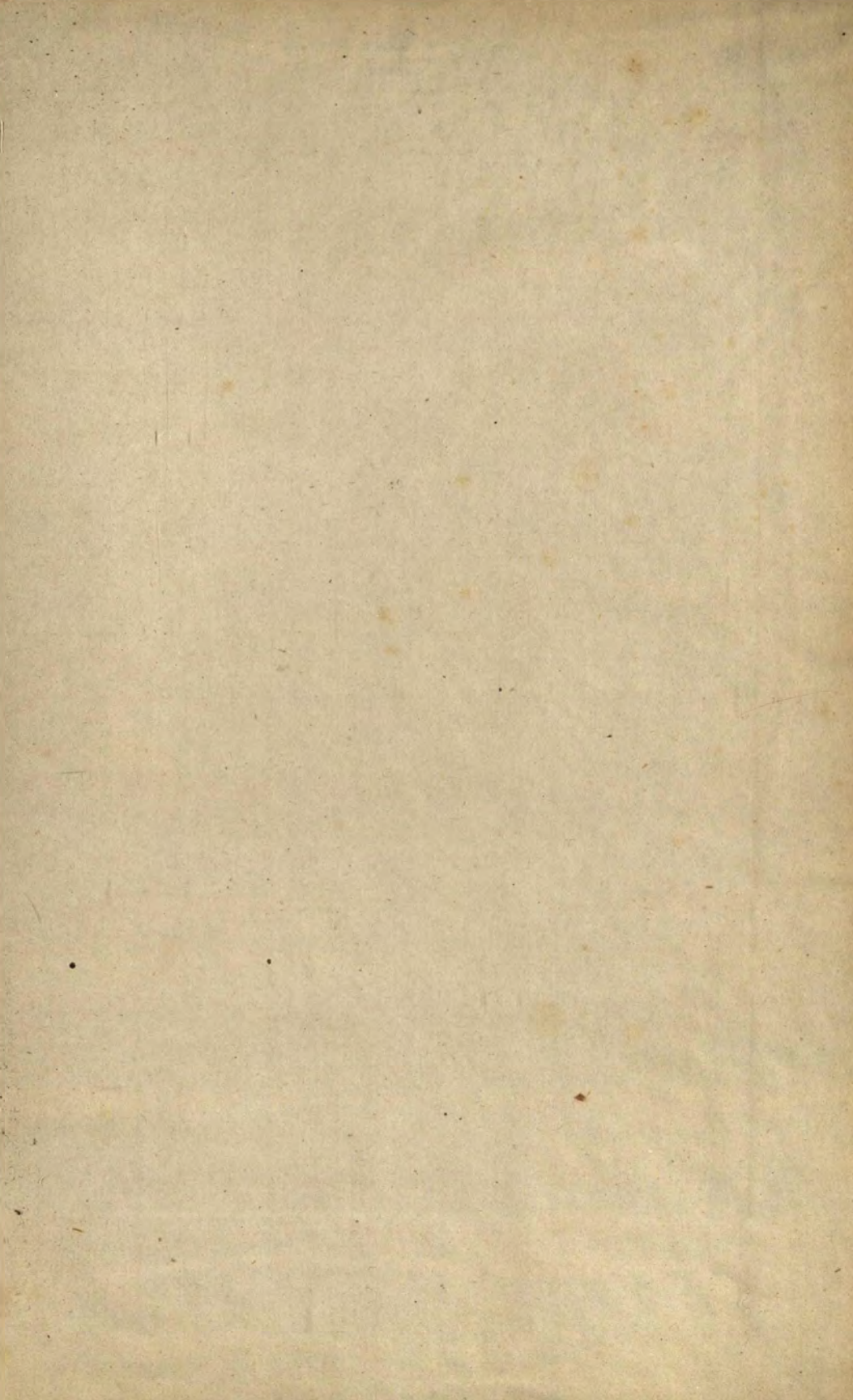
MAPPA SWIATA

do Historji Podrozy i Odkryc.

Wielkość nacięta, Licznica P. Fiedricha Parry'kiego

Długość zachodnia Południka Parry'kiego





64.408

k 9 51/4

27 3/61

~~50~~ —

70 —

31206